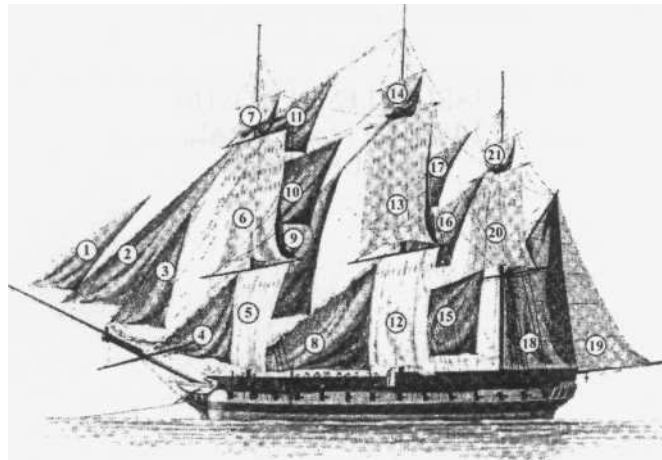


Patrick O'Brian – HMS „Surprise”



Żagle okrętu ożaglowanego na sposób rejoy, postawione podczas ciszy morskiej celem osuszenia:

1. Bomkliwer (latacz)
2. Kliwer
3. Forsztaksel
4. Fokstensztaksel
5. Fokżagiel
6. Fokmarsel
7. Fokbramsel
8. Grotstaksel
9. Grotstensztaksel
10. Grotbramsztaksel
11. Grotbombramsztaksel
12. Grotżagiel
13. Grotmarsel
14. Grotbramsel
15. Stersztaksel
16. Sterstensztaksel
17. Sterbramsztaksel
18. Sterżagiel
19. Bezanżagiel
20. Stermarsel
21. Sterbramsel

Źródło ilustracji: Serres, Liber Nauticus.

Courtesy of The Science and Technology Research Center,
The New York Public Library, Astor, Lenox, and Tilden Foundation

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niemniej podkreślam, milordzie, iż to przyzwoite ma ogromną wartość dla marynarki! Szansa na zabicie fortuny w ciągu jednej akcji, jakkolwiek mało prawdopodobna by ona była, zachęci wszystkich marynarzy, od kuchcika aż po oficera, do jeszcze bardziej uważnej i wyłożonej służby! Pewien jestem, że będący w służbie morskiej Jego Królewskiej Mości członkowie Rady poprą me słowa! - powiedział, spoglądając na siedzących wokół stołu. Rozległ się pomruk aprobaty i poczuł na sobie spojrzenia kilku umundurowanych oficerów, jednakże jeden

czy dwóch spośród ich kolegów wciąż nie podnosiło wzroku znad leżących przed nimi notatek, a cywilni członkowie Rady zdradzali raczej obojętny stosunek do sprawy. Atmosfera tego zebrania była trudna do określenia, jeśli w ogóle można było mówić o jakiegokolwiek atmosferze - nie była to bowiem zwyczajowa sesja zamknięta Lordów Komisarzy Admiralicji, ale pierwsze zebranie generalne nowej administracji, pierwsze od odejścia lorda Melville'a. Jak zatem przystało na pierwsze zebranie w częściowo nowym składzie, z przewodniczącymi zarządów i przedstawicielami innych komisji, panowała atmosfera wyczekiwania i powściągliwości. Nie umiał jeszcze wyczuć ogólnego nastroju spotkania, miał jednak wrażenie, że jego wystąpienie nie wywołało zdecydowanego sprzeciwu Rady. Wydawało mu się, że było to zaledwie niezdecydowanie z ich strony, istniała zatem szansa, że dopnie swego, nawet pomimo tępej niechęci Pierwszego Lorda.

- Jeden czy dwa takowe przykłady na tle zwykłej morskiej harówki i monotonii ciągnącej się wojny - kontynuował - wystarczą, by wskrzesić ducha bojowego w całej flocie na długie lata! Ich brak natomiast będzie miał... cóż... będzie miał efekt całkiem przeciwny.

Sir Joseph, pomimo sporego doświadczenia w wywiadzie marynarki, raczej kiepsko sprawdzał się w wystąpieniach publicznych, zwłaszcza przed tak znakomitą publicznością. Temat, którym mógł porwać słuchaczy, rozmył się w trakcie przemówienia, właściwe wyrażenia wymknęły się z pamięci i naraz uświadomił sobie, że w powietrzu wisi atmosfera nieprzychylności, z którą jego wątpliwy kunszt oratorski już sobie nie poradzi.

- Jakoś nie wydaje mi się, by sir Joseph miał do końca rację, przypisując oficerom naszej floty taką interesowność - zauważył admirał Harte, służalczo skłaniając się w stronę Pierwszego Lorda. Pozostali dowódcy floty obdarzyli krótkimi spojrzeniami zarówno jego, jak i siebie nawzajem - admirał Harte sam słynął z nadgorliwego korzystania z głównego przywileju marynarki i nie pogardziłby udziałem ze sprzedaży żadnego przyzu - czy byłby to niderlandzki szkuner, czy bretoński kuter rybacki.

- Wiąże nas precedens - powiedział Pierwszy Lord, odwracając pozbawioną wyrazu twarz od admirała Harte'a w kierunku sir Josepha. - Był już przypadek „Santa Brigida”...

- „Thetis”, milordzie - podszeptał mu osobisty sekretarz.

- Właśnie, „Thetis”. Moi doradcy prawni twierdzą, że podjąłem właściwą decyzję. Wiąże nas prawo admiralicji, które głosi, iż jeżeli przyz został zatrzymany przed formalnym wypowiedzeniem wojny, należy do Korony.

- Litera prawa to jedno, milordzie, a ludzka sprawiedliwość to drugie. Marynarze nie znają się na prawie, a nie ma na świecie ludzi bardziej niż oni wyczulonych na kwestię tradycji morskiej i wynikających z niej praw. Oto jak oni, a w ich liczbie również i ja, postrzegają naszą sprawę: Wasze Lordowskie Mości, świadomi hiszpańskich zamiarów dołączenia do wojny po stronie Bonapartego, postanowili ich ubiec. Wyszedł zatem rozkaz Waszych Lordowskich Mości, by przechwycić konwój wiozący hiszpańskie złoto z ujścia La Platy, złoto, bez którego Hiszpanie nie byłiby w stanie rozpocząć działań wojennych. Jako że należało działać bez namysłu, wysłano wszystko, co w danej chwili było do dyspozycji Floty Kanału - eskadrę fregat „Indefatigable”, „Medusa”, „Amphion” i „Lively”. Ich zadaniem było zatrzymanie przeważających sił hiszpańskich i eskortowanie ich do Plymouth. Dotarcie eskadry na czas do przylądka Santa Maria kosztowało niezwykle wiele wysiłku zarówno ze strony załóg, jak i, pragnę zauważyć, wywiadu marynarki, za co jednakże nie chcę przypisywać sobie żadnych zasług. Tam nasze okręty nawiązały walkę z hiszpańskimi i w zdecydowanej, śmiałej akcji zatopiły jeden z nich, a resztę przejęły, oczywiście nie bez ciężkich strat. Rozkazy zostały wypełnione co do joty - pięć milionów srebrnych dolarów, niebagatelny upust krwi z hiszpańskiego krwiobiegu, wylądowało w naszym porcie. Jeśli teraz nasi marynarze dowiedzą się, że owo złoto, wbrew wszelkim zasadom uświęconym przez tradycję, zostanie potraktowane nie jako przyzowe, ale jako należności Korony, spodziewać się należy fali demoralizacji ogarniającej całą flotę.

- Niemniej, jeśli akcja miała miejsce przed formalnym wypowiedzeniem wojny... - zaczął jeden z cywili.

- A co z „Belle Poule” w 1778?! - wykrzyknął admirał Parr.

- Oficerowie i marynarze eskadry nie mają wiele wspólnego z formalnymi deklaracjami - odparł sir Joseph. - Ich zadaniem nie jest mieszanie się w sprawy państwowe, ale wykonywanie rozkazów Rady. W kierunku angielskich okrętów otwarto ogień, ale wypełniły one swe rozkazy nie bez sporych strat własnych i na pewno z wielkim pożytkiem dla kraju. I jeśli teraz mają utracić przynależne im w ramach tradycji morskiej pieniądze, jeśli owe pieniądze ma zagarnąć Rada, pod której rozkazami walczyli, to ogólne wrażenie, jakie pozostanie, zwłaszcza pośród oficerów, którzy w końcu wzięli udział w akcji bez cienia wahania, będzie... - zawahał się, szukając odpowiedniego słowa.

- Żalotne - podpowiedział kontradmirał z eskadry błękitnej.

- Żalotne. Konsekwencje będą jednak znacznie poważniejsze, jeżeli pozbawi się flotę wspaniałych przykładów tego, czego może dokonać zdecydowanie i wiara w zwycięstwo. Jako że precedensy wzajemnie się wykluczają, a żaden z nich nie pojawił się jeszcze w sądzie, sprawa pozostaje otwarta - niemniej z powagą podkreśliłam, że byłoby znacznie lepiej rozstrzygnąć kwestię na korzyść oficerów i załóg. Kraj nie poniesie wielkich kosztów z tego tytułu, a dobry przykład zwróci się Koronie stukrotnie.

- Pięć milionów srebrnych dolarów... - Wśród pełnej wahanias ciszy rozległ się rozmarzony głos admirała Erskine'a. - Naprawdę było tego aż tyle?

- Jak brzmią nazwiska oficerów, którzy brali udział w akcji? - spytał Pierwszy Lord.

- Kapitanowie Sutton, Graham, Collins i Aubrey, milordzie - odezwał się jego osobisty sekretarz. - Oto ich akta.

Pierwszy Lord przeglądał akta w ciszy przerywanej jedynie skrzypnięciami pióra admirała Erskine'a, naprędce przeliczającego srebrne dolary na funty szterlingi z potrąceniem przyzowego dla załóg i wieńczącego rezultat swych obliczeń cichym gwizdnięciem. Na widok akt sir Joseph zrozumiał, że gra była skończona - Pierwszy Lord był co prawda dyletantem w sprawach morskich, ale w rozgrywkach parlamentarnych miał sporo doświadczenia i nie mógł się pomylić co do dwóch nazwisk, przeklętych dla obecnej administracji. Nazwiska Sutton i Aubrey wносиły bowiem dużo chaosu do istniejącej równowagi parlamentarnej, a dwaj pozostali kapitanowie nie mieli z kolei żadnych wpływów mogących to zniwelować.

- Suttona znam z obrad - powiedział Pierwszy Lord, zaciskając mocno usta i kreśląc krótką notkę. - Natomiast kapitan Aubrey... Nazwisko jest mi znajome.

- To syn generała Aubreya, milordzie - szepnął sekretarz.

- Ach, tak! Członek opozycji, który z taką pasją zaatakował premiera Addingtona! Pamiętam, zacytował swego syna w przemówieniu na temat korupcji. Często cytował syna. Tak, tak... - Zamknął swe notatki i zerknął na ogólny raport.

- Sir Josephie... - odezwał się po chwili. - Kim jest doktor Maturin, zechciałby pan wyjaśnić?

- To ów dżentelmen, na temat którego przesłałem Waszej Lordowskiej Mości sprawozdanie w zeszłym tygodniu - odparł sir Joseph. - Sprawozdanie w żółtej teczce - dodał z pewnym szczególnym naciskiem w głosie, sugerującym, iż za czasów Melville'a poparłby swe słowa ciśnięciem kałamarzem w głowę Pierwszego Lorda.

- Czy nadawanie czasowych uprawnień kapitańskich lekarzowi to zwyczaj powszechnie praktykowany? - ciągnął Pierwszy Lord, ignorując zarówno ton głosu sir Josepha, jak i znaczenie żółtej teczki. Członkowie Rady pozostający w czynnej służbie wymienili krótkie spojrzenia.

- Otrzymali je sir Joseph Banks i pan Halley, milordzie, i jak domniemywam, wielu innych wielkich mężów świata nauki. To niemały zaszczyt, ale w żadnym wypadku nie jest to praktyka nie znana.

- Ach, tak - powiedział Pierwszy Lord, wnosząc z chłodnego tonu sir Josepha, że właśnie popełnił nietakt. - Więc nie ma to związku ze sprawą?

- Absolutnie nie, milordzie. Jeśli mogę na moment powrócić do kapitana Aubreya, pragnę nadmienić, że poglądy ojca nie są tożsame z poglądami syna. Bynajmniej, milordzie - rzekł, już nie w nadziei, że uda się wyprostować kwestię przyzwoitego, ale by odwrócić uwagę zebranych od nietaktu lorda. Pytanie kontradmirała Harte'a wskazywało, że manewr się powiódł.

- Czy myślę się, dostrzegając w sprawie osobisty interes sir Josepha? - zapytał on, uparcie pragnąc zarówno pochlebić Pierwszemu Lordowi, jak i dać upust własnej złośliwości.

- Oczywiście, że się pan myli! - wykrzyknął czerwony na twarzy admirał Parr. - Na Boga, cóż za chybione stwierdzenie! - Jego głos utonął w serii kaszlnięć i chrząknięć, z których wyrwały się raz po raz pojedyncze słowa takie jak „cholerny zarozumialec”, „nowicjusz”, „kontradmirałczyna”, „gówniarz”.

- Jeśli kontradmirał Harte sugeruje, że moja osoba jest w jakikolwiek sposób powiązana z osobistym majątkiem kapitana Aubreya - spojrzenie sir Josepha było lodowato zimne - to popełnia błąd. Nigdy owego dżentelmena nie spotkałem. Moim jedynym celem jest dobro floty.

Reakcja na własne pytanie, które jemu samemu wydawało się dość celne, najwyraźniej wstrząsnęła kontradmirałem Harte'em. Natychmiast porzucił dalsze pytania o kapitana Aubreya i rozplątał się w chaotycznych zapewnieniach o niezrozumieniu jego intencji i wielkim szacunku wobec zacnego dżentelmena. Przerwał to dopiero Pierwszy Lord, uderzając pięścią w stół.

- Tak czy owak nie mogę zgodzić się z tym, że pięć milionów srebrnych dolarów to nieistotny wydatek dla kraju - oznajmił, odrobinę zde gustowany. - Jak już wcześniej wspominałem, moi doradcy prawni zapewniają mnie, że suma musi być potraktowana jako należność Korony. Mimo że wywody sir Josepha są ze wszech miar przekonujące i pragnąłbym je podzielać, obawiam się, że wiąże mnie precedens. To kwestia zasad. Mówię te słowa z wielkim żalem, gdyż wiem, że owa jakże śmiała i błyskotliwa akcja odbyła się pod pańską egidą i nie ma osoby, która bardziej szczerze życzyłaby powodzenia oficerom floty niż ja sam. Niestety, mam związane ręce. Tak czy owak, pociesmy się tym, co pozostanie dla nas do podziału - nie jest to, co prawda, kwestia milionów, ale i tak niezła sumka, tak, całkiem niezła... Proponuję jednakże pozostawić te przyjemne sprawy i zwrócić naszą uwagę na kwestie...

Tematy przymusowego poboru, tendrów i hulków z rekrutami były kwestiami wykraczającymi poza kompetencje sir Josepha - rozparł się zatem na krześle i jał obserwować zabierających głos. Ogólnie rzecz biorąc, Pierwszy Lord był parającym się polityką głupcem. Sir Joseph służył pod takimi ludźmi jak Chatham, Spencer, St. Vincent czy Melville i w porównaniu z nimi obecny Pierwszy Lord robił kiepskie wrażenie. Oczywiście, tamci mieli swoje wady, zwłaszcza Chatham, ale żaden nie popełniłby takiego błędu w oszacowaniu sytuacji! W końcu to Hiszpanie ponosili wszystkie koszty wspaniałego widowiska dla Marynarki Królewskiej - czterech młodych oficerów w randze kapitana obsypanych hiszpańskim złotem! Fortuny zgromadzone na morzu należały przecież do rzadkości i w przeważającej części zbierali je admirałowie na lukratywnych stanowiskach, ściągający swój udział za akcje, w których nigdy nie wzięli udziału. Kapitanowie dowodzący okrętami - to ich należało wspierać i motywować. Być może nie wyłożył sprawy wystarczająco jasno bądź przekonująco, nie był w każdym razie w formie po bezsennej nocy nad siedmioma raportami z Boulogne. Jedno było pewne - żaden Pierwszy Lord, być może z wyjątkiem St. Vincenta, nie rozstrzygnąłby sprawy według upodobań partyjnych, a już z pewnością żaden z nich nie ujawniłby publicznie nazwiska tajnego agenta.

Zarówno lord Melville (człowiek, który doceniał znaczenie wywiadu, znakomity Pierwszy Lord), jak i sir Joseph byli bardzo przywiązani do doktora Maturina, nie tylko wiernego doradcy do spraw hiszpańskich, a zwłaszcza katalońskich, ale przede wszystkim

bezinteresownego, absolutnie dokładnego i oddanego agenta, który nigdy nie przyjął zapłaty za swe usługi. Były to zawsze usługi doskonałej jakości - to dzięki niemu i jego meldunkom możliwe było zadanie Hiszpanom tak miażdżącego ciosu. Wspomniane przez Pierwszego Lorda uprawnienia zostały specjalnie obmyślane przez sir Josepha i lorda Melville'a, by zmusić doktora do przyjęcia części fortuny zdobytej na wrogu, a teraz, jak na złość, jego imię zostało wypaplane publicznie, w pytaniu skierowanym bezpośrednio do szefa wywiadu marynarki! Żeby jeszcze stało się to na zamkniętej sesji Rady, a nie wśród pstrokatej zbieraniny admirałów i szefów wydziałów najróżniejszej maści! Takie zachowanie było wprost niedopuszczalne. Poleganie teraz na dyskrekcji owych żeglarzy, dla których nie było innego sposobu na rozprawienie się z przeciwnikiem tak sprytnym jak Bonaparte niż rozwalenie go ogniem dział, też byłoby niedopuszczalne. O dyskrekcji cywili, tych politykujących gaduł, których kontakt z wrogiem ograniczał się do oglądania obozowisk dwustutysięcznej armii napoleońskiej przez teleskopy na klifach Dover, nie było nawet co marzyć. Patrzył teraz na twarze wokół stołu, rozgorączkowane dyskusją nad jurysdykcjami poboru i oddziałkami marynarzy, mających zająć się branką - Pierwszy Lord całkowicie stracił kontrolę nad zebraniem i wrzask kłócących się admirałów słyhać było pewnie na całym Whitehall. Sir Joseph poczuł pewną ulgę - w tym tumultie nieostrożne pytanie Pierwszego Lorda mogło już zostać zapomniane.

„Jednakże - myślał, kreśląc w swoim notatniku kolejne przemiany motyla admirała: od jaja, poprzez larwę, poczwarkę aż do rozwiniętego motyla - co ja mu powiem, kiedy się spotkamy? Jaką przybrać minę, kiedy go zobaczę?”

Podczas gdy nad budynkami admiralicji w Whitehall wisiała szara mżawka, powietrze w hrabstwie Sussex było suche i nie poruszane najłżejszymi nawet podmuchami wiatru. Dym uciekający z komina salonu w dworku Mapes Court rozciągał się w długi, nieporuszony słup, dopiero na wysokości stu stóp rozwiewając się w błękitną mgiełkę, by potem osiąść w dolinach pagórków za domem. Liście, wciąż jeszcze żółcące się na drzewach, opadały, wirując w powolnym tańcu w kierunku złocistego dywanu. Szelest upadku każdego liścia wyraźnie było słyhać pośród panującej ciszy, ciszy równie spokojnej jak śmierć we śnie.

- Niech tylko wiatr dmuchnie, a wszystkie te drzewa będą nagie - zauważył doktor Maturin. - Jesień i wiosna są takie różne, ale tyle mają wspólnego, ledwie jedno rozkwitnie, a już wypychane jest przez drugie. Dalej na południu widać to wyraźniej. W Katalonii, gdzie przyjeździecie z Jackiem, jak tylko wojna dobiegnie końca, po jesiennych deszczach trawa staje na baczność jak armia włóczy, a nawet tu... Odrobinę mniej masła, moja droga, jeśli pozwolisz. Spożywam stanowczo za dużo tłuszczu.

Stephen Maturin gościł u pani Williams oraz jej córek: Sophie, Cecylii i Frances. Obiad już zjedli, o czym świadczyły resztki potraw na żabocie, ciemnożółtej kamizeli i brązowych bryczesach doktora - jadał on zazwyczaj niedbale, a serwetkę, mimo wysiłków Sophie, zgubił, zanim jeszcze zdołał ją wymienić. Siedział teraz po jednej stronie kominka, popijając herbatę, podczas gdy po drugiej stronie Sophie pochylała się nad różowosrebrnym żarem i z uwagą szykowała tosty, starając się trzymać je na odpowiedniej wysokości, by ich nie spalić ani nie osmalić. W zapadającym zmierzchu blask żaru opromieniał jej okrągłe przedramię i uroczo twarz, podkreślał szerokie czoło i idealny kształt ust oraz uwydatniał niezwykle rumianą cerę. Niepokój o tost całkowicie wyparł zwyczajową rezerwę na jej obliczu: wysuwała delikatnie język na znak koncentracji - odruch, który przejęła po młodszej siostrze. Ta maniera wraz z rzadko spotykaną urodą tworzyła niezwykle, głęboko poruszający efekt. Doktor patrzył na nią szczerze ujęty, czując w sercu osobliwy ucisk, jakieś nieokreślone uczucie - Sophie była narzeczoną jego przyjaciela, kapitana Aubreya z Marynarki Królewskiej, jego pacjentką i kimś tak bliskim, jak tylko bliscy mogą być sobie mężczyzna i kobieta obojętni na uwodzenie i zaloty, może nawet bliższym, niż gdyby kiedyś była jego kochanką.

- Wspaniały tost - powiedział. - Wspaniały, bez cienia wątpliwości, niemniej niech to już będzie ostatni. Tobie też już ich nie polecam. Jeszcze zaczniesz się robić pulchniutka. Widzę,

że służy ci wizja bliskiego małżeństwa - jeszcze jakieś sześć miesięcy temu byłaś budzącą litość brzydulą, ale doszły ci już chyba z trzy kilogramy, a twoja cera... Nie, zostaw tego tosta! Po co go nadziewasz, dla kogo on ma być?

- Dla mnie, mój drogi - odparła. - Jack twierdzi, że mam być silna. On lubi siłę charakteru. Mówi, że lord Nelson...

Z daleka poprzez nieruchome, mroźne powietrze dobiegł odgłos rogu myśliwskiego znad Polcary Down. Oboje spojrzeli w kierunku okna.

- Ciekawe, czy zabili tego lisa? - spytał Stephen. - Jack by wiedział, gdyby tu był.

- Ach, tak się cieszę, że nie ma go tam na środku tej diabelskiej zatoki - powiedziała Sophie. - Jemu się zawsze coś przytrafia, a ja tak się boję, żeby nie złamał nogi, jak młody panicz Savile. Stephen, możesz mi pomóc z zasłonami?

„Ależ ona wyrosła” - pomyślał Stephen. - Co to za drzewo? - spytał już głośno, trzymając w dłoni uchwyt zasłon i wyglądając przez okno. - To ozdobne drzewko tam, na trawniku?

- To perełkowiec. Perełkowiec japoński. Nie jest to właściwie prawdziwy perełkowiec, ale tak w każdym razie je nazywamy. Zasadził je tu mój wujek Palmer, podróżnik. Powiedział wtedy, że bardzo przypomina mu prawdziwego perełkowca.

Sophie naraz uświadomiła sobie, dokąd to skojarzenie zaprowadzi Stephena - pożałowała swoich słów, zanim jeszcze dobiegła do końca zdania.

Te niosące niepokój przeczucia tak często się sprawdzają - każdy, kto miał chociaż coś wspólnego z Indiami, musiał skojarzyć drzewko z tamtymi stronami. Na podobieństwo jego liści nazwano przecież drobne monety*, a potrząsanie drzewkiem wróżyło rychłe dołączenie do grona nababów* *. Zarówno dla Stephena, jak i dla Sophie Indie były ważnym miejscem - przecież to tam podobno była teraz Diana Villiers wraz ze swym kochankiem i na dobrą sprawę właścicielem, Richardem Canningiem. Diana była kuzynką Sophie, a swego czasu zarówno jej rywalką w walce o względy Jacka Aubreya, jak i obiektem desperackich zalotów Stephena.

* Nieprzetłumaczalna gra słów - po angielsku perełkowiec japoński to *pagoda-tree*, a owe monety zwane były pagodami. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

* * Nabab (anglo-ind.) - Anglik, który dorobił się na interesach w Indiach.

Była to żywa, młoda kobieta o niezwykłym wdzięku i żelaznym charakterze, bez której rodzina nie wyobrażała sobie życia - aż do chwili jej ucieczki z panem Canningiem. Stała się wtedy czarną owcą rodziny i, według pewnych niepisanych zasad, jej imię w Mapes Court nigdy nie było wspominane. Zaskakujące zatem zdawać się mogło to, jak wiele wiedziano o jej poczynaniach i jak wiele myśli skrycie jej poświęcano.

Wiele zdradzały domownikom gazety, gdyż pan Canning był kimś w rodzaju osoby publicznej, zamożnym człowiekiem z udziałami w transporcie morskim i Kompanii Wschodnioindyjskiej oraz pewnymi wpływami zarówno w polityce (wraz z krewnymi posiadali trzy podupadłe gminy, z których wyznaczali reprezentantów do Parlamentu, ponieważ sami ze względu na pochodzenie żydowskie zasiadać w nim nie mogli), jak i w życiu towarzyskim (miał wielu przyjaciół w kręgach bliskich księciu Walii). Jeszcze więcej zdradzały plotki z sąsiedniego okręgu, gdzie żyło jego kuzynostwo, Goldsmidowie. Jednakże nikt w rodzinie nie miał lepszych informacji niż Stephen Maturin, który pomimo uduchowionej pozy i szczerego oddania filozofii naturalnej, miał szerokie kontakty i umiał z nich korzystać. Znał choćby nazwę statku, na którym żeglowała pani Villiers, wiedział, w której kabinie mieszkała i jak miały na imię obie jej służące, znał nawet ich pochodzenie (jedna była Francuzką, a jej brat był żołnierzem, wziętym do niewoli na początku wojny i uwięzionym w Norman Cross). Znał liczbę rachunków, których nie zapłaciła, i sumę, na jaką opiewały. Wiedział wiele o burzy, która rozszalała się w rodzinach Canningów, Goldsmidów i Mocatta i wciąż trwała, ponieważ pani Canning, z domu Goldsmid, nie mogąc znieść myśli o bigamii męża, z niegasnącym

zapalem wzywała wszystkich swoich krewnych i znajomych do obrony jej czci. Owa burza właśnie skłoniła Canninga do wyruszenia do Indii, oficjalnie z misją związaną z francuskimi interesami na wybrzeżu malabarskim.

Sophie miała rację - właśnie te myśli przebiegały przez głowę Stephena na wspomnienie nieszczęsnego drzewka, te i wiele innych. Owe myśli nigdy go nie opuszczały, pozornie nieobecne, błąkały się zawsze w pobliżu, gotowe pojawić się w najmniej odpowiedniej chwili, choćby rano, kiedy budził się, dziwiąc, dlaczego ogarniał go tak obezwładniający żal. W chwilach, gdy owe myśli były daleko, o ich obecności wciąż przypominała mu tętniąca bólem przepona, miejsce, które mógł nakryć dłonią.

W tajemnej, trudnej do otwarcia szufladzie trzymał opatrzone w spisy treści raporty zatytułowane: *Wielmożna Pani Villiers, Diana, wdowa po Karolu Villiers, zamieszkała ostatnio w Bombaju* oraz *Canning Richard, pan na Park Street i Coluber House w hrabstwie Bristol*.

Oba raporty były równie skrupulatne jak sprawozdania na temat ludzi podejrzanych o szpiegostwo na rzecz Bonapartego i jakkolwiek część danych pochodziła z wiarygodnych, życzliwych źródeł, inne zostały po prostu kupione. Musiało to kosztować fortunę - Stephen nie szczędził grosza na umacnianie swej pozycji odrzuconego kochanka i dalsze pograżanie się w depresji.

„Po co rozdrapuję stare rany?” - zastanawiał się. „Jaki cel mi przyświeca? Z pewnością gromadzenie danych to użyteczna rzecz podczas wojny, zatem mogę nazwać to moją prywatną wojną. Czy chodzi mi o utwierdzenie się w przekonaniu, że wciąż walczę, chociaż sromotną klęskę poniosłem już dawno temu? Niby racjonalne twierdzenie, ale z pewnością fałszywe. Zbyt płytkie to wszystko”. Uwagi te padały po katalońsku - jako poliglota miał zwyczaj dopasowywania myśli do języka, który najlepiej oddawał ich nastrój. Jego matka była Katalonką, a ojciec irlandzkim oficerem, zatem swobodne mówienie po katalońsku, angielsku, francusku i kastylijsku przychodziło mu równie łatwo jak oddychanie. Nigdy też nie wartościował języków, temat był właściwie jedynym kryterium ich doboru.

„Że też nie trzymałam języka za zębami” - myślała Sophie, spoglądając na Stephena z niepokojem. Doktor wciąż siedział pochylony przy ogniu, wpatrując się w żarzące przestrzenie pod kłodami w kominku. „Biedak. Przecież jemu potrzebna jest czyjaś opieka, trzeba mu choćby pocerować to i owo. On przecież nie nadaje się do tego, by samotnie przemierzać świat, to takie trudne dla ludzi tak uduchowionych jak on. Jakże ona mogła być tak okrutna, przecież to jakby dziecko uderzyć! Niewiele się nauczył, zostając naukowcem, niewiele wie o świecie. Wystarczyłoby, żeby powiedział do Diany: »Proszę, wyjdź za mnie« zeszłego lata i wykrzyknęłaby: »Och tak, oczywiście!« Powiedziałam mu to przecież. Cóż, raczej by go nie uszczęśliwiła, ale...” - chodziło jej po głowie słowo „suka”, ale stłumiła przekleństwo. „Już nigdy nie pokocham tego japońskiego drzewka. Tak je lubiłam i naraz coś zgasło, coś się wypaliło... Cóż, zaraz się rzeczywiście wypali, jeśli nie dorzucę drewna. Tak tu ciemno...” Jej dłoń powędrowała w kierunku dzwonka, by wezwać służącego do zapalenia świec, lecz nagle zawahała się i powróciła na kolano.

„To okrutne, gdy ludzie muszą cierpieć” - myślała Sophie. „Czasem przeraża mnie to, jak bardzo jestem szczęśliwa. Kochany Jack...” Jej myśli wypełnił cudowny obraz Jacka Aubreya, wysokiego i wyprostowanego jak struna, emanującego energią i radością życia, z jasnymi włosami opadającymi na kapitańskie epolety i twarzą ogorzałą od morskich wichrów, zawsze promieniejącą szczerym śmiechem. Widziała okropną bliznę, biegnącą w górę od szczęki i niknącą wśród włosów, widziała każdy szczegół jego munduru, widziała Medal Nilu i ciężką, inkrustowaną szpadę, którą otrzymał od Funduszu Patriotycznego za zatopienie „Bellone”. Jego niebieskie oczy niemal nikły, gdy się śmiał - widziała wtedy jedynie błyszczące szczelinki, na tle rumianej wesołości jeszcze bardziej niebieskie. Nigdy nie poznała kogoś, z kim zaznałaby tyle radości - nikt nie śmiał się tak jak on.

Odgłos otwieranych drzwi i potok światła z holu zburzył jej wizję - na progu dostrzegła ciemny zarys niskiej, krępej sylwetki pani Williams.

- A to co?! - zawołała głośno pani Williams. - Siedzicie samotnie po ciemku!

Jej spojrzenie przeskakiwało od Sophie do Stephena, starając się znaleźć dowód na podejrzenie, jakie pojawiło się w jej myślach w chwili, kiedy ich rozmowę zastąpiła cisza. Wiedziała o tej ciszy dobrze, jako że siedziała w bibliotece, blisko kredensu opartego o boazerię - gdy jego drzwi były otwarte, nie sposób było nie słyszeć głosów z saloniku. Jednakże zastygłe, nieruchome pozy Stephena i Sophie oraz ich zaskoczone twarze szybko wyprowadziły panią Williams z błędu.

- Panna wraz z dżentelmenem siedzący po ciemku! - powiedziała ze śmiechem. - Za moich czasów byłoby to nie do pomyślenia. Musiałby się pan tłumaczyć, doktorze Maturin. Gdzie jest Cecylia? Powinna przecież dotrzymywać wam towarzystwa. Po ciemku... Pomyślałaś już o zapaleniu świec, prawda, Sophie? Dobra dziewczyna. Nie uwierzyłby pan, doktorze. Mówiła te słowa, odwracając się w kierunku gościa z uprzejmym wyrazem twarzy. Jakkolwiek doktor Maturin nie wytrzymywał porównania ze swym przyjacielem, kapitanem Aubreyem, znany był w Mapes jako właściciel wanny z marmuru i zamku w Hiszpanii, nadawałby się zatem dla młodszej córki, Cecylii. Prawdziwego zamku! Zaiste, gdyby to właśnie z nią doktor siedział w ciemnym pokoju, pani Williams nigdy nie wtargnęłaby do środka

- Nie ma pan pojęcia, jak podróżowały świece, doktorze - kontynuowała. - Cecylia z pewnością też by o tym pomyślała. Wszystkie moje córki zostały wychowane w duchu oszczędności, w tym domu nic się nie marnuje. Niemniej gdyby to Cecylia była w ciemnym pokoju z adoratorem, nie o tym by myślała - gra nie byłaby warta świeczki, hmmm... Nigdy pan by nie uwierzył, jak zdrożał wosk od początku wojny. Czasem korci mnie, by powrócić do łoju, ale jakoś nie mogę się przemóc, aż taka bieda nas nie dusi. Przynajmniej w gościnnych pokojach niech płoną świece z wosku. Dwie już zapaliłam w bibliotece, z czego jedną wam dam... John nie będzie tu musiał zapalać kaganków. Musiałam zapalić aż dwie, doktorze, bo nic, tylko siedzę wraz z moim doradcą od interesów. Wszystkie te pisma, kontrakty i rachunki, to takie czasochłonne i skomplikowane, a ja wciąż raczkuję w tych sprawach. - Posiadłości „raczkującej” pani Williams ciągnęły się daleko poza granice parafii i na groźbę: „Pani Williams przyjdzie po ciebie!” dzieci dzierżawców zamierały z przerażenia aż w Scarveacre. - Pan Wilbraham już nie raz robił nam surowe uwagi za, jak to nazywał, opieszałość, ale pewna jestem, że to nie nasza wina. Kapitan Aubrey jest tak daleko, a bez niego przecież nie ma sensu brać się do czegokolwiek. Odeszła po świecę, zaciskając mocno usta. Negocjacje z panem Wilbrahamem przeciągały się, bynajmniej nie ze względu na drażliwość pana Wilbrahama, ale z powodu uporu pani Williams, która ani myślała oddawać dziewictwa córki i jej dziesięciu tysięcy funtów, dopóki nie uspokoi ją „wystarczające zabezpieczenie”, czyli podpisana i opieczętowana intercyza poparta dotarciem żywej gotówki na miejsce. To właśnie zatrzymało wydarzenia w miejscu. Jack wprawdzie bez namysłu zgodził się na wszystkie warunki, przeznaczając swój dobytek, płace, przyszłe przyzwo i inne dochody na poczet przyszłości Sophie i ich potomstwa, ale same pieniądze jeszcze nie nadeszły. Pani Williams więc trwała w swoim uporze, nie ustępując ani na krok, aż do chwili, kiedy do jej rąk nie wpłynie brzęcząca gotówka.

- Oto świeca. - Pani Williams wróciła do pokoju. - Jedna wam wystarczy - powiedziała, patrząc zmrużonymi oczyma na szczapę, którą Sophie dorzucała do ognia. - Chyba że chcecie poczytać, ale, jak mniemam, wciąż macie wiele tematów do rozmowy.

- Otóż to - powiedziała Sophie, kiedy znowu zostali sami. - W istocie, chciałabym cię o coś zapytać. Właściwie to chciałam odciągnąć cię na stronę od chwili twojego przyjazdu. To okropne być ignorantką i nie chciałabym, by kapitan Aubrey wiedział o tym, matki też spytać nie mogę. Z tobą to jednakże inna sprawa.

- Lekarzowi można powiedzieć wszystko - odparł Stephen, a jego twarz na moment przybrała wyraz anonimowej powagi zawodowca, aby ukryć spojrzenie pełne tklivości.

- Lekarzowi? - zawołała Sophie. - Tak, jasne, lekarzowi. Chodzi mi o tę wojnę, drogi Stephenie. Ona się toczy od zawsze, nie licząc tej krótkiej przerwy. Ciągnie się i ciągnie, rok w rok długie lata, jakże bym chciała, by już się skończyła! Odkąd tylko sięgam pamięcią, zawsze mowa była o wojnie. Nie zawsze niestety poświęcałam jej tyle uwagi, ile powinnam. Oczywiście wiem, że Francuzi są okropni, ale ci wszyscy inni, ci, co pojawiają się i znikają - Austriacy, Rosjanie, Hiszpanie... Czy Rosjanie są już dobrzy? Nie chcę popełniać błędu i modlić się za złych ludzi, zresztą to byłaby zdrada! A ci wszyscy Włosi z kochanym, biednym papieżem - na dzień przed wyjazdem Jack mówił coś o Watykanie. Podniósł banderę Państwa Kościelnego jako *ruse la guerre**, zatem to musi być jakieś państwo. Moja ignorancja to rzecz godna pożałowania - zaledwie pokiwałam głową i powiedziałam: „Ach, Państwo Kościelne”. Tak się boję, że weźmie mnie za ignorantkę! Rzecz jasna, jestem ignorantką, ale nie zniosłabym myśli, że on o tym wie! Wiem, że jest mnóstwo młodych dam, które wiedzą, gdzie leży Watykan i Bawaria, i Republika Liguryjska, ale myśmy nigdy nie omawiali takich rzeczy z panią Blake! A to Królestwo Obojga Sycylii - jedną Sycylię na mapie znalazłam, ale drugiej już nie! Stephen, proszę, opowiedz mi, jak świat dzisiaj wygląda!

- Jak świat dzisiaj wygląda? - Stephen uśmiechnął się, gdzieś zniknął wyraz twarzy lekarza. - Cóż, na razie jest to proste. Po naszej stronie mamy Austrię, Rosję, Szwecję i Neapol, czyli to samo, co twoje Królestwo Obojga Sycylii. Napoleona z kolei wspiera Hiszpania, Bawaria i Holandia oraz cała rzesza małych państw. Sojusze po obu stronach bynajmniej nie są trwałe - Rosjanie, na przykład, byli najpierw z nami, potem przeciwko nam, potem udusili swego cara i obecnie znowu stoją po naszej stronie.

* *Ruse la guerre (ix.)* - fortel wojenny.

Przypuszczam, że niedługo przyjdzie czas na ich kolejny kaprys. Austriacy dali sobie spokój z wojną w 1797 i znowu w 1801 po bitwie pod Hohenlinden - tylko czekać, aż wydarzy się to znowu. Naszą główną troską są przede wszystkim Holandia i Hiszpania, gdyż te kraje mają floty wojenne. Na morzu bowiem rozstrzygną się losy tej wojny. Napoleon ma około czterdziestu pięciu okrętów, a my ponad osiemdziesiąt. Zdawać by się mogło, iż to bezpieczna przewaga, ale w przeciwieństwie do okrętów francuskich, nasze są rozsiane po całym świecie. Doliczmy dwadzieścia siedem okrętów hiszpańskich i flotę holenderską - za wszelką cenę nie wolno nam zatem dopuścić do ich połączenia się. Jeśli Napoleon osiągnie przewagę w kanale i choćby na krótko zbierze przeważającą flotę, jego armia inwazyjna może, Boże uchroni, wylądować u nas. Dlatego właśnie Jack i admirał Nelson krążą wokół Tuluzy, odcinając panu de Villeneuve i jego eskadrze jedenastu okrętów liniowych i siedmiu fregat drogę do Kartagenu, Kadyksu i Ferrolu, gdzie mogą się połączyć z Hiszpanami. Tam zresztą i ja się udaję, jak tylko załatwię kilka spraw w Londynie i kupię trochę barwnika z marzanny. Tak więc, droga Sophie, jeśli masz do przekazania Jackowi jakieś wiadomości, to uczyn to teraz, gdyż na mnie już czas. - Wstał, otrzepując ubranie, a zegar na czarnym sekretarzyku wybił godzinę.

- Och, Stephen, musisz już iść? - zawołała Sophie. - Pozwól mi chociaż otrzepać cię z okruszków. A może zostałbyś na kolację? Zostań, proszę, zrobię tosty z serem...

- Nie mogę, moja droga, choć chciałbym - odparł, stojąc nieruchomo i pozwalając jej oczyścić się z okruszków, postawić kołnierz i otrzepać żabot - od czasu zawodu miłosnego znacznie mniej dbał o ubiór, a nawet zaniedbywał czystość rąk i twarzy. - Jeśli się pośpieszę, może uda mi się wpaść na dzisiejsze zebranie w Towarzystwie Entomologicznym. Dobrze, już dobrze, tak wystarczy, na dwór się przecież nie wybieram. Entomolodzy to nie fircyki. Dobrze, to daj mi buziaka, jak się należy i powiedz, co takiego mam przekazać Jackowi.

- Och, nie masz pojęcia, jak chciałabym jechać tam z tobą! Chciałabym go błagać, by był rozważny i unikał ryzyka, ale to chyba nie ma wielkiego sensu, prawda?

- Powiem mu o tym, jeśli chcesz, ale wierz mi, najdroższa, Jack nie jest człowiekiem nierozważnym, nie na morzu. Nigdy nie podejmuje ryzyka bez dokładnego przemyślenia sprawy - zbyt kocha swój okręt i swoich ludzi, by wpędzić ich w tarapaty. To na pewno nie jeden z tych kąpanych w gorącej wodzie szaleńców, którzy najpierw strzelają, a potem sprawdzają, kto dostał.

- Nie zrobi nic lekkomyślnego?

- Nigdy w życiu. To najprawdziwsza prawda - dodał, widząc, że Sophie nie jest do końca przekonana, iż Jack na morzu i Jack na lądzie to dwie różne osoby.

- Cóż - powiedziała i zamyśliła się. - Ile czasu to wszystko zabierze? Wszystko wydaje się ciągnąć tak długo...

- Bzdura - powiedział Stephen, udając ożywienie. - Sesje Parlamentu kończą się za kilka tygodni, kapitan Hamond powróci na swój okręt, a Jack znowu wyląduje na brzegu. Wtedy będziesz mogła się nim nacieszyć do syta! To co mu przekazać?

- Przekaż mu najgorętsze wyrazy miłości, Stephen. I błagam, o siebie też zadбай...

Doktor Maturin wszedł na zebranie Towarzystwa Entomologicznego w chwili, kiedy czcigodny pan Lamb rozpoczynał odczyt na temat „Pewnych niezidentyfikowanych żuków znalezionych na brzegu w Pringle-juxta-Mare w roku 1799”. Usiadł z tyłu i chwilę uważnie słuchał prelegenta, który zgodnie z oczekiwaniami zebranych szybko zaczął odbiegać od tematu, przechodząc do kwestii hibernacji jaskółek, odnalazł bowiem kolejne argumenty wspierające jego teorię. Otóż latające jaskółki, zataczając coraz ciasniejsze kręgi, nie tylko zbijają się w końcu w bryłę i nurkują na dno niewielkich stawów, ale również znajdują schronienie w szybach kopalń cyny! W kornwalijskich kopalniach cyny, proszę sobie wyobrazić! Stephen nie słuchał już dalej, wodząc spojrzeniem po zniecierpliwionych entomologach, z których kilku już znał - oto szacowny doktor Musgrave, który zaszczycił go dorodnym okazem *carena quindecimpunctata*, dalej pan Tolston, znany ze swoich badań nad jelonkami, i uczonego Szwed Eusebius Piscator i... te pulchne plecy i przypudrowany warkoczyk z pewnością kogoś przypominały... Czyż to nie osobliwe, jak wiele proporcji i wymiarów wychwytuje i przechowuje ludzkie oko? Plecy stają się dzięki temu niemalże tak rozpoznawalne jak twarz! A są jeszcze chód, postawa, sposób trzymania głowy, ileż niezliczonych odniesień z każdym ruchem ciała! Te plecy były pochylone w dziwny, nienaturalny sposób, a lewa ręka była wzniesiona i spoczywała na szczęce, jakby gotowa do ochrony całej twarzy. Niewątpliwie owo skrzywienie pleców przykuło jego uwagę, gdyż nigdy jeszcze przez długie lata pracy nie widział sir Josepha, siedzącego w takiej pozycji.

- ...zatem, panowie, uważam, że mogę ostatecznie stwierdzić, iż hibernacja jaskółek i wszystkich innych ptaków z rodziny *hirundinae* zostaje ostatecznie udowodniona - powiedział pan Lamb, wyzywająco spoglądając na audytorium.

- Nie ulega wątpliwości, że wszyscy jesteśmy wdzięczni panu Lambowi za prelekcję - powiedział przewodniczący zebrania. Po sali niósł się pomruk niezadowolonych głosów i szurania stóp. - Choć obawiam się, że czasu na wszystkie odczyty dziś może nam nie starczyć, chciałbym poprosić sir Josepha Blaina, by zechciał wygłosić odczyt na temat „Prawdziwego *gynandromorpha* ostatnio włączonego do jego kolekcji”.

Sir Joseph uniósł się nieco i poprosił o wybaczenie. Nie czuł się najlepiej, a poza tym pozostawił notatki w domu, a nie chciał nadużywać cierpliwości szacownych słuchaczy improwizowanym przemówieniem. Podkreślił, iż to tylko czasowa niedyspozycja, jednakże na towarzystwie nawet ostry przypadek trądu nie zrobiłby wrażenia. Ponoć podczas spotkań już trzech entomologów odeszło z tego świata.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał sam siebie Stephen, kiedy sir Joseph, wychodząc z sali, ominął go szerokim łukiem. W trakcie następnego wykładu na temat fluorescencyjnych

żuków z Surinamu - znakomitego wykładu, który z pewnością kiedyś powinien z uwagą przeczytać - dojrzało w nim postanowienie. Pchnięty niespodziewanym przecuciem, opuścił spotkanie.

Nie przeszedł nawet stu jardów, gdy zatrzymał go posłaniec z zaproszeniem opatrzonym monogramem sir Josepha. Zgodnie z informacją, miał się udać jednak nie do jego prywatnych, oficjalnych apartamentów, ale do niewielkiego domu w pobliżu Shepherd Market.

- Cieszę się, że jesteś - powiedział sir Joseph, sadzając Stephena przy ogniu w pokoiku, który najwyraźniej był zarówno jego gabinetem, pracownią, jak i salonem. Było to wygodne, a nawet dość luksusowe pomieszczenie, utrzymane w stylu sprzed pięćdziesięciu lat. Na ścianach gabloty z motylami zostały zastąpione obrazkami przedstawiającymi nagie kobiety - niewątpliwie było to jego prywatne pomieszczenie.

- Bardzo się cieszę. - Sir Joseph z trudem utrzymywał spokój. - Bardzo - powtórzył. Stephen milczał. - Chciałem, byś tu przyszedł, bo to mój prywatny, że się tak wyrażę, azyl i jak uważam, jestem ci winien osobiste wyjaśnienia. Nie spodziewałem się ciebie na zebraniu dziś wieczór... gdy tylko cię zobaczyłem, naraz poczułem tak gwałtowne wyrzuty sumienia, że musiałem wyjść. Mam bowiem dla ciebie niezmiernie przykre wieści, wieści, które powinien dostarczyć ktoś inny, ale chcę to uczynić sam. Przygotowałem się do tego na nasze jutrzejsze spotkanie, zatem równie dobrze mogę uczynić to teraz. Niemniej gdy cię ujrzałem tam, w tej atmosferze... Ujmę to tak - powiedział, odkładając pogrzebacz, którym szturchał węgle w kominku. - Na zebraniu admiralicji nastąpił akt poważnej niedyskrecji. Twoje imię zostało wspomniane w kontekście akcji pod Kadyksem.

Stephen pochylił się, ale w dalszym ciągu nic nie mówił. Sir Joseph kontynuował, patrząc nań ukradkiem.

- Oczywiście, zrobiłem wszystko, by obecni o owej niedyskrecji jak najszybciej zapomnieli, a potem w pośpiechu wymyśliłem analogię do Banksa i Halleya, choć ten precedens zgoła nie przypomina twojej sytuacji. Chciałem po prostu, by wszyscy myśleli, że kierowałeś się gdzieś na Wschód w jakiejś naukowej czy na poły dyplomatycznej misji, gdzie twoje czasowe uprawnienia podkreślałyby twój status lub pomogły w ewentualnych negocjacjach. Przedstawiłem to jako autentyczny wgląd w tajną historię, która za wszelką ceną nie powinna wyjść na jaw, co powinno zaspokoić ciekawość większości obecnych na zebraniu oficerów floty i urzędników cywilnych. Jednakże pomimo moich starań jesteś po części zdyskredytowany, a to stawia nasz plan pod znakiem zapytania.

- Kto był obecny na spotkaniu? - spytał Stephen. Sir Joseph podał mu listę. - Duże zebranie... Cóż za głupota - powiedział chłodnym głosem. - Takie igranie z ludzkim życiem i całym systemem wywiadu to najgorszy ze wszystkich rodzajów nieodpowiedzialności.

- Zgadza się z tobą całkowicie - zawołał sir Joseph. - To potworne. Mówię to z tym większym bólem, że mnie również należy obłożyć winą! Przedstawiłem nowemu Pierwszemu Lordowi raport na ten temat i całkowicie zaufałem jego dyskrecji. Służba pod lordem Melville'em osłabiła moją czujność, jemu w końcu ufałem bez zastrzeżeń. Rząd jest bezradny w sprawach wywiadu - stanowiska obsadzane są nowicjuszami, którzy na polityce może się znają, ale na właściwej robocie wcale. Nie dziwota zatem, że wywiad Bonapartego dalece przewyższa służbę Jego Królewskiej Mości. Niemniej, Stephenie, jest jeszcze druga sprawa, równie nieszczęsna. Choć za kilka dni stanie się to sprawą publiczną, czuję, że muszę powiedzieć ci również i o tym - Rada Admiralicji ma zamiar uznać złoto zdobyte na Hiszpanach za należność Korony. Nie będzie przyzwoite dla załóg. Uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, by zmienić tę decyzję, ale bezskutecznie. Mówię ci to, wiedząc, że nawet parodniowe ostrzeżenie jest lepsze niż jego brak i w nadziei, iż powstrzyma cię to od zagmatwania spraw poprzez działanie w dobrej wierze. Mój żal jest tym większy, że wiem, iż masz w sprawie pewien własny interes. Mogę tylko żywić nadzieję, choć bez większego przekonania, że moje ostrzeżenia mogą mieć pewien znikomy, drobny... Wiesz, o co chodzi.

Jako osobisty wyraz mojego największego żalu i troski, przyznam ci, że ledwie wiem, jak wymówić te słowa nawet z dziesiątą częścią współczucia, której wymagają.

- Dobry z ciebie człowiek - odparł Stephen. - I wierz mi, doceniam twoją szczerłość. Nie będę udawał, że strata takich pieniędzy może komukolwiek wydać się sprawą obojętną. Na razie jednakże jedyne, co czuję, to lekkie rozdrażnienie, choć nie wątpię, że prawdziwa wściekłość jeszcze mnie ogarnie. Ów mój interes, o którym wspomniałeś przed chwilą, to inna sprawa, pozwól mi wyjaśnić. Z całych sił chcę bowiem pomóc mojemu przyjacielowi Aubreyowi. Jego agent umknął z całym dotychczasowym przyzwojem, a sąd apelacyjny unieważnił zagarnięcie przez niego dwóch neutralnych statków, pozostawiając go z długiem sięgającym jedenastu tysięcy funtów. Zdarzyło się to w czasie, kiedy zaręczał się z niezwykle uroczą dziewczyną. Ich miłość jest głęboka, ale nadziei na małżeństwo nie będzie dopóki, dopóty nie spłaci swych długów. Matka jego wybranki jest bowiem pozbawioną krzty sumienia i kropli zdrowego rozsądku chciwą wampirzycą, sknerą bez wyobraźni i paskudnym dusigroszem - nie ma mowy o ożenku, póki nie podpisze z nią umowy. Pochlebiałem sobie, że dałem sobie radę z tą przeciwnością losu, czy raczej ty tego dokonałeś, wsparty łaskawością fortuny i pomyślnym układem gwiazd. A teraz... Co ja powiem Aubreyowi, kiedy spotkamy się przy Minorce? Czy cokolwiek przypadnie mu w udziale z tytułu wykonanej akcji?

- Jasne, otrzyma pewną sumkę *ex grana*. Może ona wyprowadzić go z długów, o których wspomniałeś lub przynajmniej z ich części, lecz bogactwo to nie będzie, bynajmniej. Ale, mój drogi panie, wspomniałeś Minorkę. Czy dobrze rozumię, iż masz zamiar ciągnąć nasz pierwotny zamysł, pomimo tych nieszczęsnych, niepotrzebnych zawirowań?

- Tak myślę - powiedział Stephen, studiując ponownie listę. - Tyle można osiągnąć dzięki naszym ostatnim kontaktom i tyle można stracić, jeśli się ich zaniecha... W tym przypadku najważniejszy wydaje się czas - myślę, że uda mi się ubiec ludzką gadaninę, jeżeli odpłynę jutro o świcie. Plotki podróżują wolniej od zdeterminowanego wędrowca, a mieliśmy do czynienia z dość typowymi gadułami. Jest na tej liście jedno tylko nazwisko, którego się obawiam. - Wskazał je sir Josephowi. - Ten tu jest, no wiesz, pederastą. Nie, żebym miał coś przeciwko nim - każdy człowiek ma prawo do decydowania, gdzie dlań leży piękno, a poza tym im więcej uczucia na świecie, tym lepiej, ale rzeczą powszechnie znaną jest to, że niektórzy pederastci są podatni na naciski, które dla innych ludzi nie stanowią problemu. Jeśli spotkania tego dżentelmena z *monsieur de La Tapetterie* mogłyby być obserwowane z ukrycia, albo jeszcze lepiej, gdyby *monsieur de La Tapetterie* mógł być odizolowany na tydzień, nie będę się wahał wypełnić nasz pierwotny plan. Nawet bez tych środków ostrożności wątpię, czy bym go poniechał, w końcu opieramy się na mizernych poszlakach. Posyłać Osborne'a czy Schikandera nie ma sensu - Gomez zaufa tylko mnie, a bez tego kontaktu cała siatka się rozleci.

- To prawda. W końcu znasz lokalne układy znacznie lepiej niż ktokolwiek z nas. Niemniej nie podoba mi się myśl o dodatkowym ryzyku, jakie masz ponieść.

- Nie jest to ryzyko znaczne, jeżeli w ogóle można mówić o jakimś ryzyku w tej chwili. Jeśli ja będę miał odrobinę szczęścia, a tobie uda się zatkać przeciek, okaże się to sprawą nieistotną. W tej podróży nie ma co mówić o ryzyku, porównując ją przykładowo do ryzyka w zwykłym, codziennym handlu. Później, jeśli ludzka gadanina odniesie swój zwyczajowy efekt, rzecz jasna nie będę użyteczny przez jakiś czas - dopóki nie zrehabilitujecie mnie jakąś półdyplomatyczną czy naukową misją do chana Tatarów, ha, ha, ha! A po powrocie napiszę takie opracowanie na temat kamiczackich roślin skrytopłciowych, że nikt nigdy już nie skojarzy mojej skromnej osoby z wywiadem!

ROZDZIAŁ DRUGI

Tam i z powrotem, tam i z powrotem, od przylądka Sicie aż po półwysep Giens i znowu zwrot przez rufę. Żeglowali dzień w dzień, tydzień za tygodniem przez długie miesiące, nie zważając na kaprysy pogody. Białe plamki marsli ich okrętów znikały z południowego horyzontu

wieczorem, gdy brali kurs na pełne morze, by na nowo wykwitnąć bladym świtem. Przybrzeżna eskadra fregat, niczym oczy Floty Śródziemnomorskiej, czyhała na wodach wokół Tulonu. Admirał Nelson wyzywał swego francuskiego kolegę.

Mistral dał już od trzech dni i błękit fal dawno zniknął wśród wzburzonej piany, a wiatr znad wybrzeża ciął drobne fale i słał pył wodny nad burtami śródokręcia. Trzy fregaty już w południe zredukowały żagle, lecz wciąż sunęły z prędkością siedmiu węzłów, aż ławy wantowe lewych burt nurzały się w falach. Byli coraz bliżej Cape Sicie, którego brzeg stanowił codzienną scenerię ich mozolnej służby. W kryształowo czystym morskim powietrzu można już było dostrzec malutkie białe domki, wozy z trudem pnące się drogą aż po stację semaforową oraz baterie. Okręty wciąż się zbliżały, niemal wchodząc w zasięg wysoko usytuowanych dział czterdziestodwufuntowych, czuło się też się pierwsze poddmuchy wiatru znad wzgórz.

- Hej, na pokładzie! - rozległo się wołanie z oka. - Sygnały z „Naiad”, sir!

- Załoga do zwrotu przez rufę! - wydał polecenie oficer wachtowy, bardziej z nawyku wyniesionego z wielu lat służby aniżeli z autentycznej potrzeby. Nie dość, że załoga „Lively” od lat tworzyła zgrany zespół, to na tych wodach wykonywali już ów manewr setki razy. Rozkaz w zasadzie nie był potrzebny - na pokładzie fregaty mechaniczna, oszczędna rutyna już dawno wyparła zapał i gorliwość, a wrzask bosmana: „Ostrożnie z tym cholernym szotem!” zapobiegł jedynie temu, by załoga nie wykonała manewru nazbyt sprawnie. Stenga bukszprytu „Lively” mogłaby wtedy zdruzgotać reling rufowy poprzedzającej ją w szyku „Melpomene”, której największym atutem z pewnością nie było wyszkolenie załogi.

Każda z fregat zgrabnie wykonała zwrot przez rufę w miejscu, gdzie uczynił to poprzedzający ją okręt i wszystkie trzy znów uformowały idealną linię szyku torowego, ponownie kierując się na Giens. Prowadziła „Naiad”, za nią szła „Melpomene”, a szyk zamykała „Lively”.

- Nie cierpię tego snucia się w szyku torowym - oznajmił jeden midszypmen chudzina drugiemu midszypmenowi chudzinie. - I co my z tego mamy? Kiełbasy to nawet z daleka nie widziałem, o powąchaniu już nie mówiąc! - zakończył wypowiedź, spoglądając między linami i płachtami żagli na przestrzeń wodną między półwyspem a wysepką Porquerolles.

- Kiełbasa - powiedział drugi. - Niech cię szlag trafi, Butler, żeś to wspomniał! - I sam również wychylił się w kierunku, gdzie patrzył kolega. Lada chwila powinien pojawić się tam żagiel powracającej „Niobe”, fregaty z ich eskadry, która uzupełniała zapasy wody w cieśninie Agincourt i nękała nieprzyjaciela wzdłuż wybrzeży włoskich, przy okazji zbierając nowe zapasy żywności. Po jej powrocie wypadała kolej „Lively”.

- Kiełbasa! - wrzask midszypmena zagłuszył świst mistrała. - Gorąca, soczysta, tryskająca tłuszczem po ugryzieniu! Bekon, pieczarki...

- Zamknij się, nienażarta świniu! - przerwał mu drugi, wzmacniając wymowę swych słów złośliwym uszczyptnięciem. - Bóg czuwa nad nami...

Na odgłos salutu wartownika z piechoty morskiej oficer wachtowy usunął się na burtę zawietrzną. Chwilę później ciepło ubrany Jack Aubrey wyszedł ze swej kabiny i ściskając pod pachą lunetę, rozpoczął swój tradycyjny spacer na nawietrznej pokładu rufowego, miejscu świętym dla każdego kapitana. Od czasu do czasu z przyzwyczajenia obrzucał spojrzeniem żagle i takielunek, lecz nic nie wymagało komentarza z jego strony - fregata była niezawodnie działającą maszyną. Gdyby rozkazy nie uległy zmianie, Aubrey mógłby nie wstawać z koi przez cały dzień i nic by nie zakłóciło zgranego działania załogi i okrętu. Nawet gdyby miał serce czarniejsze od samego Lucyfera po upadku z niebios, nie potrafiłby znaleźć nic, o co mógłby wszcząć awanturę. Rzecz jasna, nawet do głowy mu to nie przyszło. Nużąca służba w blokadzie portu stanowiła przypuszczalnie najtrudniejszy i najbardziej żmudny ze wszystkich obowiązków marynarza, lecz mimo to pomiędzy nim a załogą narodziło się sporo życzliwości. Niemały wpływ na to miało zatrzymanie jako przyzu jednego z najbogatszych statków w tym rejonie we wrześniu ubiegłego roku - choć pieniądze ponoć szczęścia nie dają, to jednak bliska wizja bogactwa z pewnością uskrzydliła wielu marynarzy „Lively”.

Spojrzenie Jacka przepełniał zachwyty i aprobatą, jednak na próżno by szukać w nim tej niezwykłej miłości, którą iskrzyło niegdyś, gdy patrzył na „Sophie”, pierwszy okręt pod swym dowództwem, przyciężki, pękaty i opornie reagujący na ster. „Lively” nie należała do niego, zastępował jedynie kapitana Hammonda do czasu, kiedy ten powróci z obrad w Westminsterze, gdzie reprezentował Coldbath Fields w interesie wigów. Oczywiście Jack cenił wdzięk okrętu i podziwiał sprawność załogi, której postawienie wszystkich żagli zabierało trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy, licząc od pojedynczej, cichej komendy: „Żagle staw!”, lecz wciąż nie mógł się do „Lively” przyzwyczaić. Atmosfera na fregacie była bowiem doskonałym przykładem ducha wigów, podczas gdy sam Jack był torysem. Podziwiał ten okręt, lecz był to zachwyty chłodny, wyważony, przypominający odrobinę stosunek, jaki miałyby do pozostającej pod jego opieką żony innego oficera - wytwornej, cnotliwej damy, opierającej swój światopogląd na przesłankach naukowych.

Pozostawili przylądek Cepet daleko za burzą. Jack zatknął lunetę za pasek, po czym wspinał się na drabinkę wantową. Wyblinki ugięły się pod jego ciężarem, ale sapiąc ciężko, parł niestrudzenie w górę. Na marsie już go oczekiwano - marynarze urządzili dlań wygodne siedzenie z płótna żagla bocznego.

- Dzięki, Rowland - powiedział i sapnąwszy po raz ostatni, opadł na wskazane mu miejsce. - Żdziebko chłodnawo dzisiaj, nie?

Oparł lunetę na tylnym górnym jufersie grotwanty i skierował na przylądek Cepet - wyraźnie widział teraz stację sygnałową i znajdującą się na prawo od niej wschodnią część Grande Rade wraz z zakotwiczonymi w niej pięcioma siedemdziesięcioczerodziałowymi okrętami wojennymi. Trzy z nich, „Hannibal”, „Swiftsure” i „Berwick”, pływały niegdyś pod banderą Marynarki Królewskiej - na pokładzie „Hannibala” właśnie przeprowadzano ćwiczenia w refowaniu żagli, a na „Swiftsure” dziesiątki mikroskopijnych postaci ludzkich pełzały w górę i w dół po takielunku, przypuszczalnie świeży nabór podczas ćwiczeń bosmańskich. Francuzi niemal zawsze kotwiczili te okręty w nurcie zewnętrznej Rade, jakby samym ich widokiem chcąc upokorzyć Anglików. Zawsze im się to udawało. Eskadra przybrzeżna mijała bowiem ujście Rade dwa razy dziennie, po południu i wieczorem, i Jack dwa razy dziennie wspinał się na grotmars i tłumiał rozdrażnienie, wpatrując się przez lunetę we francuskie okręty. Tak czy owak, były to rutynowe obserwacje i dokonywał ich raczej dla spokoju sumienia aniżeli z rzeczywistej potrzeby. Prawdopodobieństwo wyjścia francuskiej floty na morze było bowiem doprawdy znikome i właściwie możliwe dopiero wtedy, gdyby dziki sztorm wygonił angielskie okręty daleko w morze. Innym powodem jego codziennych wspinaczek były ćwiczenia fizyczne - Jack znowu tył w zastraszającym tempie, a choć nie miał zamiaru pozbywać się tuszy przez szaleńcze wspinaczki po takielunku, co praktykowali inni otyli kapitanowie, czerpał sporo przyjemności z wędrówek na mars. Szorstki dotyk want, opór tańczącego z wiatrem olinowania i kołysanie okrętu na tej wysokości były balsamem na jego duszę.

Teraz już widział resztę kotwicowiska i marszcząc brwi, przesunął lunetę, by obejrzeć fregaty wroga. Siedem z nich stało na kotwicy, tylko jedna zmieniła położenie od wczoraj. Bez wątplenia były to piękne okręty, choć uważał, że miały zbyt wychylone maszty.

Właściwy moment nadchodził. Wieża kościelna była już niemal w jednej linii z błękitną kopułą, dlatego też skupił się ze zdwojoną siłą. Rzeźba terenu nie zmieniała się, lecz ramiona delty Petite Rade z wolna otwierały się, ukazując wewnętrzny port oraz gęsty las masztów. Na każdym z nich założone były reje. Okręty czuwały więc w gotowości do opuszczenia kotwicowiska. Dostrzegł powiewającą flagę wiceadmiralską i kontradmirałską oraz proporzycy komodora - nie było zatem żadnych zmian. Fregata sunęła jednak dalej i wkrótce ramiona ujścia naszły jedno na drugie, zamykając widok przed oczyma Jacka.

Kapitan przeniósł obserwację na wzgórze Faro, potem na wzgórze za nim i w końcu zlustrował drogę w poszukiwaniu niewielkiej gospody, gdzie całkiem niedawno jadł wyśmienity obiad wraz ze Stephenem, kapitanem Christy-Palliere oraz jeszcze jednym francuskim oficerem

marynarki, którego nazwiska już nie pamiętał. Wtedy jeszcze przygrzewało słońce, teraz już panował chłód. Wtedy też można było porządnie się najęść, na Boga, ale się wtedy objedli! Teraz pozostały im ledwie skąpe racje codziennego prowiantu. Na samo wspomnienie zaburczało mu w brzuchu - załoga „Lively” uważała swój okręt za najbogatszy we flocie i odnosiła się z odpowiednią rezerwą do reszty flotylli, lecz ich fregata cierpiała z powodu niedoborów prowiantu, wody, tytoniu i drzewa opałowego w równym stopniu co reszta okrętów. Choroby wśród owiec i świń sprawiły, iż nawet oficerowie skazani byli na dietę złożoną z solonej koniny jak za dawnych lat w kubryku midszypmenów, a szeregowi członkowie załogi już od dłuższego czasu musieli zadowolić się sucharami. Na dzisiejszy obiad Jack miał skrawek cokolwiek już nieświeżej baraniny.

„Powinienem zaprosić oficera wachtowego czy nie?” - zastanawiał się. „Sporo już czasu minęło, odkąd ostatni raz zaprosiłem kogoś na obiad czy kolację”. Sporo też czasu minęło od chwili, kiedy rozmawiał z kimś na równej stopie czy choćby wymieniał poglądy na jakikolwiek temat. Jego oficerowie, czy raczej oficerowie kapitana Hammonda, zapraszali go raz na tydzień na obiad do mesy oficerskiej, a on sam codziennie gościł na śniadaniu oficera i midszypmena z porannej wachty, ale tego typu spotkania nigdy do intrygujących nie należały. Stali bywalcy mesy oficerskiej surowo przestrzegali etykiety Marynarki Wojennej, według której oficer nie pytany nie miał prawa zabrać głosu, a styl bycia kapitana Hammonda, który uważał ową tradycję za niezwykle stosowną, jeszcze mocniej to podkreślał. Oficerów Hammonda cechowała dodatkowo duma i niechęć wobec wszelkich przejawów poufałości czy lizusostwa, tak powszechnych na pokładach innych okrętów. Kiedyś ponoć próbował wepchnąć się w ich krąg pewien nadgorliwy trzeci oficer - załatwili mu przeniesienie na „Achillesa” w ciągu raptem kilku miesięcy. I w ten sposób, choć lubili swego nowego dowódcę, ceniąc go wysoko zarówno jako żeglarza, jak i wojownika, izolowali go ową specyficzną wyniosłością, którą tak wytrwale pielęgnowali. Czasem Aubrey czuł się bardzo samotny w ciszy, w jakiej zmuszony był żyć. Na szczęście rzadko był całkowicie bezczynny, ponieważ istniały obowiązki, których nawet najzdolniejszy pierwszy oficer nie mógłby przejąć. Ponadto popołudniami nadzorował lekcje midszypmenów w swej kajucie. Była to pełna życia grupka sympatycznych młodzieńców, których dzikiego ducha nie mogła poskromić ani obecność kapitana, ani surowość nauczyciela, ani dostojny przykład starszych. Nawet głód nie mógł ich zmóc, gdyż w mrocznych trzewiach kadłuba łapali szczury, patroszyli je, obłupiali zgrabnie ze skóry i wystawiali na sprzedaż. Cena rosła z tygodnia na tydzień, sięgając rekordowego pułapu pięciu pensów za porcyjkę. Jack lubił młodych i jak wielu innych kapitanów dbał o ich wykształcenie, materialną przyszłość, a nawet morale, ale jego konsekwencja w nadzorowaniu lekcji nie była całkiem bezinteresowna. Sam jako dzieciak był bowiem wyjątkowo tępy w rachunkach i choć żeglowanie miał we krwi, swój egzamin na porucznika zdał tylko dzięki kilku nocom wkuwania na pamięć, wstawiennictwu opatrności i obecności dwu znajomych życzliwych mu kapitanów w komisji egzaminacyjnej. Pomimo zaangażowania swej drogiej przyjaciółki Queenie, która cierpliwie tłumaczyła mu tajniki sinusów, cosinusów i tangensów, nigdy naprawdę nie pojął trygonometrii sferycznej. Jego nawigacja opierała się więc na najprostszym z możliwych żeglowaniu z punktu A do punktu B, jednak na szczęście marynarka zawsze zapewniała dobrych nauczycieli. Teraz, opanowany naukową atmosferą na pokładzie, pilnie studiował matematykę i jak wielu spośród tych, którzy do nauki zabierali się późno, czynił szybkie postępy. W chwilach trzeźwości nauczyciel pokładowy potrafił umiejętnie przekazywać wiedzę i Jack bardzo korzystał na przysłuchiwaniu się lekcjom, niezależnie od tego, co wynosili z nich młodzi midszypmeni. Wieczorami, po ustaleniu wacht, w przerwach między graniem na skrzypcach i pisanem listów do Sophie, z prawdziwą przyjemnością czytał do późna *Sekcje konieczne* Grimblego lub prowadził obserwacje nocnego nieba.

Niemniej kwestia tego, czy powinien zaprosić pana Randalla na obiad, wciąż pozostawała nie rozstrzygnięta. Już miał podjąć decyzję, gdy jego uwagę zwróciło znaczące kasznięcie marynarza obserwującego horyzont.

- Za pańskim pozwoleniem, sir - powiedział. - „Naiad” daje jakieś sygnały.

Angielski silnie zabarwiony cockneyem osobliwie kontrastował z żółtą cerą i skośnymi oczyma marynarza, jednak „Lively” od lat pływała na wschodnich wodach i jej załoga, czarni, żółci, brązowi i oczywiście biali pracowała razem tak długo, że wszyscy mówili dialektem z Limehouse Reach, Wapping czy Deptford Yard.

High Bum nie był jedynym człowiekiem na pokładzie, który dostrzegł poruszenie na fregacie poprzedzającej „Lively” w szyku.

- Za cyplem! Za cyplem! - na pokładzie niósł się pisk młodego Randalla juniora, który ześlizgnął się z rei żagla rozprzowego i pomknął w podskokach w stronę kolegów.

„Niobe” wyłoniła się spośród nachodzących na siebie wysp Hyeres jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mknąc naprzód pod marsłami i żaglami głównymi. Była szansa, że wiozła co nieco żywności, może jakieś pieniądze (dowódcy czterech fregat umówili się wcześniej co do sprawiedliwego podziału dochodu z przyzów), a z całą pewnością wieści, które mogły ożywić monotonię blokady.

- I „Weasel”! „Weasel” też tam jest! - zapiszczał dzieciak.

„Weasel” był sporym kutrem, regularnym łącznikiem między eskadrą przybrzeżną a resztą Floty Śródziemnomorskiej. Na kutrze mieli zapewne wieści - cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności!

Kuter sunął pod pełnymi żaglami, wychylając się na burtę pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni, wyraźnie kierując się na fregatę. Na okrętach eskadry, położonej w dryf niedaleko Giens, rykiem aplauzu powitano wyzwanie, jakie rzucił „Niobe” - „Weasel” szybko wszedł w ślad torowy fregaty, po czym przeskoczył na jej nawietrzną z oczywistym zamiarem jej prześcignięcia. Bramsle i bomkliwer rozkwitły bielą na pokładzie fregaty, ale zanim wybrano szoty fok-bramsła, kuter już sunął na sterburcie zaskoczonych „Niobe”, kradnąc wiatr z jej żagli. Wkrótce odkos dziobowy „Niobe” zmniejszył się i kuter przemknął obok ku dzikiej radości załogi na jego pokładzie, kierując się ku „Lively”. Na wietrze załopotwały chorągiewki z numerem wywoławczym fregaty.

„Rozkazy dla nas” - pomyślał Jack na oku, obserwując kuter dobijający do zawietrznej fregaty z łopoczącym grotżaglem. Nie dostrzegł jednak krzątaczki, towarzyszącej zwykle spuszczeniu łodzi na wodę, miast tego wiatr przyniósł wrzaski kapitana zapędzającego załogę do poszukiwania odpowiedniej liny.

„Żadnych zapasów?” - Jack zmarszczył brwi. „Cholera by to wzięła...” Przełożył nogi przez krawędź marsu, szukając stopą wyblinek, ale w tej samej chwili ktoś z załogi fregaty rozpoznał znajomy czerwony worek wyciągany z głównego luku kutra i wrzask: „Poczta!” obiegł pokład. Na dźwięk tego słowa Jack wychylił się, by dosięgnąć baksztagu i pomknął w dół z małą zręcznością godną nastoletniego midszypmena, zapominając całkowicie o swojej godności i o delikatnych, białych pończochach. W chwili kiedy dwa worki kolebiąc się, dotarły na pokład fregaty, stał już między oficerem wachtowym a ochmistrem.

- Pomóżcie tam! - zawołał, obserwując odczepianie worków. Kiedy już znalazły się na pokładzie, z trudem poskromił swą niecierpliwość, obserwując jak midszypmen przekazuje je z powagą panu Randallowi, a ten niesie je przez pokład rufowy, by w końcu wręczyć mu je ze słowami:

- Przesyłka z „Weasela”, sir, jeśli pan pozwoli.

- Dziękuję, panie Randall - odparł Jack, przejmując pocztę i niosąc do swej kajuty z wystudiowaną obojętnością. Dopiero tam dał upust niecierpliwości - z szalonym pośpiechem zdał pieczęcie z pierwszego worka, wyszarpnął wiążący je sznurek i jął gorączkowo przeszukiwać listy. Trzy koperty zaadresowane były do kapitana Jacka Aubreya, dowódcy

HMS „Lively” - poznał litery, stawiane pulchną, zdecydowaną dłonią Sophie. Wrzucił je do kieszeni i już spokojnie, z uśmiechem, zabrał się do otwierania drugiego worka, służbowego. W środku znalazł zalakowaną kopertę z rozkazami, otworzył ją, przeczytał list, zasnuował usta i przeczytał list ponownie.

- Hallows! - zawołał. - Proszę wezwać pana Randalla i pierwszego nawigatora. Proszę również przekazać ochmistrzowi, iż są listy do rozdania. O, panie Randall... Zechce pan nadać sygnał do „Naiad” - „Prośba o odłączenie się od eskadry”. Panie Norry, uprzejmie proszę o wytyczenie kursu na Calvette.

Tym razem rozkazom nie towarzyszył szaleńczy pośpiech i strach przed utratą choćby jednej cennej minuty, na co Stephen zwykł tak często narzekać. Okres dominacji północnych wiatrów na zachodnich wodach Morza Śródziemnego trwał w pełni i mistral wraz z tramontaną dziarsko pchały fregatę ku Minorce, tak że istniało nawet ryzyko zbyt wczesnego przybycia na spotkanie. Jack chciał uniknąć wzbudzenia jakichkolwiek podejrzeń, a ponadto jego rogatą duszę kusily instrukcje admiralicji, nakazujące „nękać wroga żeglugę i instalacje przybrzeżne”. Okręt miał więc sporo czasu i jeszcze więcej swobody, mknął zatem ku wybrzeżom Langwedocji pod pełnymi żaglami, nurzając od czasu do czasu burtę zawietrzną w strugach spienionej wody. Kilka salw burtowych, posłanych w bezbronne fale podczas porannego treningu artyleryjskiego, oraz beztrudny, szybki rejs na zalanej słońcem tafli morza ostatecznie uciszyły pełne niezadowolenia pomruki z dnia wczorajszego. Ani świeżych zapasów, ani wyprawy na wrogie linie, narzekali ludzie, przeświadczeni, iż cholerne rozkazy bufonów z admiralicji pozbawiły ich długo oczekiwanej i na pewno zasłużonej rozrywki w monotonii blokady. Przeklinali nieszczęsnego „Weasela” za ciężki, źle obliczony w czasie dowcip, jaki im spletał. Przeklinali dumny wyścig kutra, który przyniósł im ciąg dalszy harówki, przeklinali złośliwą sumienność obiboków z „Weasela”. „Gdyby ci z »Weasela« zachowali się jak na chrześcijan przystało, a nie jak cholerni, pogańscy Turkowie, byłibyśmy już w połowie drogi do Elby!” - stwierdził Java Dick.

To wszystko jednak działo się wczoraj - energiczne ćwiczenia, perspektywa napotkania czegoś ekscytującego z każdą mijaną milą, a nade wszystko narastające przecucie rychłego wzbogacenia przywróciło załodze „Lively” dobry humor. Aubrey zauważył to wyraźnie podczas ostatniego spaceru po pokładzie tuż przed powrotem do swej kabiny na przyjęcie gości, a towarzyszyło temu spostrzeżeniu osobliwe, trudne do zdefiniowania uczucie. „Nie jest to zazdrość, skoro to ja jestem najbogatszym człowiekiem na pokładzie” - zauważył w myślach, zwyczajowo krzyżując palce, by nie kusić losu. Na swój sposób trochę zazdrości jednak w tym było - oni mieli okręt, mieli siebie, każdy z nich był częścią czegoś stałego, członkiem mocno powiązanej ze sobą społeczności. Okręt był ich, nie jego. Jednak zazdrość, jak zwykle ją pojmowano... Słowa definicji umknęły wraz z kolejnym podmuchem wiatru i kolejnym obrotem klepsydry. Żołnierz piechoty morskiej wystąpił naprzód i wybił cztery szklanki, a pełniący wachtę midszypmen cisnął log do morza. Jack pośpieszył do swej kabiny i oszacował spojrzeniem długi, ustawiony w poprzek stół i lśniąca w słońcu srebrną zastawę, której refleksy współgrały z odbłaskiem fal. Przyjrzał się też bacznie szklankom, talerzom i miskom dokładnie umieszczonym w listwach uniemożliwiających upadek podczas gwałtowniejszej fali, a potem zmierzył spojrzeniem znieruchomiałych w oczekiwaniu stewarda wraz z pomocnikami.

- Wszystko w porządku, Killick? - spytał

- Jak się należy, sir - odparł steward, spoglądając za plecy Jacka i sygnalizując coś eleganckim ruchem podbródka.

- Proszę bardzo, panowie. - Jack odwrócił się we wskazanym kierunku. - Panie Simmons, proszę zająć miejsce na końcu stołu, panie Carew, proszę spocząć na... Ostrożnie! - Kapelan niespodziewanie stracił równowagę przy kolejnym przechyle okrętu i opadł na krzesło z taką siłą, iż nieomal przebił nim pokład. - Lordzie Garron, proszę tu, panie Felding i panie Dashwood, tu. - Wskazał im miejsca. - Panowie, zanim jednak zaczniemy - powiedział w

chwili, kiedy waza z zupą niebezpiecznie ruszyła w drogę przez stół. - Chciałbym panów przeprosić za obiad. Mimo moich najszczerzych chęci... Pan pozwoli, że pomogę, pastorze. - Zręcznie wydobyl perukę kapelana z wazy i podał mu łyżkę.

- Killick, podaj pastorowi serwetkę, wyczyść to i zawołaj midszypmena z wachty. Panie Butler, proszę przekazać moje pozdrowienia panu Norreyowi i powiedzieć, że w trakcie obiadu możemy brać bezan na gejtawy. Pomimo moich najszczerzych chęci, panowie, obawiam się, że obiad, na który was zaprosiłem, może okazać się naszą Ostatnią Wieczerzą.

Ujął swą myśl bardzo zręcznie i dla dodania powagi słowom opuścił skromnie wzrok, ale wtedy przyszło mu do głowy, że użyty przez niego zwrot może się źle skojarzyć niektórym z zaproszonych, a poza tym w misce kapelana dojrzał robaka. Jego kształt trudno było pomylić z czymkolwiek innym - to był ten długi, czarnogłowy, żerujący na sucharach robal, smakujący tak paskudnie, że aż ciarki brały. Kapelan długo już nie był na morzu i mógł nie wiedzieć, że przegryzienie osobnika tego gatunku to jednak nic strasznego - na pewno nie równało się gorzkiemu smakowi wołka zbożowego.

- Killick, podaj panu Carewowi inny talerz, w tej porcji zupy jest włos. Wracając do wieczerzy... To znaczy, chciałem panów zaprosić ze względu na fakt, że przypuszczalnie jest to dla mnie ostatnia okazja do tego rodzaju zaszczytu. Kierujemy się bowiem ku Minorce, panowie, ale ostatecznym celem naszej podróży jest Gibraltar, a tam kapitan Hammond przejmie ponownie dowództwo. - Zewsząd napłynęły okrzyki zaskoczenia i uradowania, uprzejmie okraszone zapewnieniami o żalu. - Jednak moje rozkazy obligują mnie do nękania wrogiej żeglugi i instalacji brzegowych, więc nie spodziewam się, abyśmy mieli czas na wspólne obiady po minięciu przylądka Gooseberry. Ach, nie możecie panowie sobie wyobrazić, jak bardzo marzę o napotkaniu przeciwnika godnego „Lively”! Będzie mi przykro oddawać okręt w ręce kapitana Hammonda bez choćby gałązki wawrzynu zatkniętej na bukszprycie, tudzież w miejscu bardziej nadającym się na wieszanie liści laurowych!

- Czy wawrzyn rośnie na tych wybrzeżach? - spytał kapelan. - Dziki wawrzyn? Zawsze wydawało mi się, że ziele pochodzi z Grecji. Nie znam jednak Morza Śródziemnego poza tym, co wyczytałem w książkach. O ile pamięć mnie nie myli, starożytni nie znali wybrzeża Langwedocji.

- Skądże, ojcze, tu właśnie się wawrzyn zbiera - odparł Jack. - Podobno doskonale smakowo pasuje do ryby. Mówiono mi, że liść czy nawet dwa sprawiają, iż potrawa smakuje wprost niebiańsko, podczas gdy więcej może ją zepsuć.

Uwaga wywołała generalną dyskusję na temat ryb, pokarmu zdrowego, lecz znieawidzonego przez rybaków. Ktoś polecił solę z Dover, ktoś inny nadmienił, że papiści ze względów religijnych uważają morświny, żaby i maskonury za ryby. Rozmawiano jeszcze chwilę na temat łabędzi, wielorybów i jesiotrów, a całą rozmowę zakończyła anegdota o tym, jak pan Simmons zjadł nieświeżą ostrygę na przyjęciu u lorda Mayora.

- A ta ryba z kolei - kontynuował Jack, gdy taca z tuńczykiem zastąpiła wazę z zupą - to jedyne danie, które z całego serca mogę panom polecić. Złapał ją ten Chińczyk z pana sekcji, panie Fielding. Ten niski. Nie Low Bum, nie High Bum, nie Jelly-Belly, tylko...

- John Satisfaction?

- Tak, to on. Niegłupi to człek, wesoły i na wielu sprawach się zna. Skręcił długą żyłkę z kucyków swych kompanów z kubryku, doczepił na końcu haczyk i zasadził na nim przynętę z kawałka wieprzowiny w kształcie ryby. I tak oto wielki tuńczyk trafił na pokład. Co więcej, możemy nasz obiad zakropić flaszką niezgorszego wina. Nie, żebym przypisywał sobie jakiegokolwiek zasługi w wyborze gatunku, skąd, wybrał je doktor Maturin. On zna się na tych sprawach, w końcu sam uprawia winorośl. A skoro już o tym mowa, zatrzymamy się przy Minorce, by wziąć go na pokład.

Znów rozległy się zapewnienia o niecierpliwym oczekiwaniu na spotkanie z wielkim człowiekiem, nie zabrakło pełnych nadziei westchnień, że doktor ma się dobrze.

- Minorka, sir? - zawołał kapelan po dłuższym zastanowieniu. - Czy aby Minorki nie oddaliśmy Hiszpanom? Czy to teraz nie jest hiszpańska wyspa?

- Tak, oczywiście - odpowiedział Jack. - Niemniej doktor Maturin ma prawo swobodnego podróżowania w tych stronach, ma tam swoje posiadłości.

- Hiszpanie są znacznie bardziej cywilizowani od Francuzów na tej wojnie, przynajmniej jeśli chodzi o podróżowanie - zauważył lord Garron. - Mój przyjaciel, katolik, miał prawo swobodnego przejazdu z Santander do Composteli ze względu na śluby, które złożył. Podróżował jako osoba cywilna, zupełnie bez kłopotów, bez eskorty, nic. A sami Francuzi też nie są najgorsi, jeśli chodzi o mężów ze świata nauki. Wyczytałem to w „The Times”, którego egzemplarz znalazł się na pokładzie „Weasela” - pewien facet z Birmingham, naukowiec rzecz jasna, pojechał do Paryża, by odebrać jakąś nagrodę w tamtejszym instytucie. Naukowcy podróżują bez względu na to, czy wojna trwa, czy też nie... wnioskuje zatem, sir, że doktor Maturin jest kimś wybitnym w świecie nauki?

- Bez wątpienia - odparł Jack. - To ktoś w rodzaju Jamesa Crichtona*. Kiedy zrani się pan w nogę, to Maturin powie panu łacińskie nazwy wszystkiego, co będzie w niej pulsować. - Naraz dostrzegł żywego, żółtego ryjkowca, który sunął przez obrus. - Zna tyle języków, że przypomina chodzącą wieżę Babel, tylko jakoś z nami na pokładzie nie umie się dogadać. Na Boga! - roześmiał się serdecznie. - Wciąż nie wierzę, iż odróżnia prawą burtę od lewej! Przypuszczam, że wypijecie panowie ze mną toast za jego zdrowie?

- Naturalnie, sir! - zawołał pierwszy oficer, zerkając jednak przytomnie na swoich kolegów, z którymi, jak Jack zauważył tuż po ich wejściu do kajuty, dzielił jakąś tajemnicę. - Jednakże jeśli pan pozwoli, kapitanie... Ów egzemplarz „The Times”, o którym wspomniał Garron, krył znacznie ciekawszą informację, coś, co poruszyło nas wszystkich w mesie oficerskiej. Otóż wszyscy doskonale pamiętamy pannę Williams... Sir, proszę przyjąć od nas wszystkich najszczerze gratulacje wraz z życzeniami największego szczęścia. Sugeruję, iż ten toast powinien poprzedzić nawet ten, który wypijemy za zdrowie doktora Maturina...

- James Crichton - szkocki awanturnik, poeta i najemnik, władający wieloma językami.

„Lively”

na pełnym morzu

piątek, osiemnastego

Ukochana!

Wiele toastów wypiliśmy za Twoje zdrowie w poniedziałek, gdy na wysokości Cape Sicie dotarł do nas tender, przywożąc rozkazy, pocztę i listy od Ciebie. Wynagrodziły mi one żal po opuszczeniu kolejki w rejsach po zaopatrzenie. Okręcik przywiózł też egzemplarz „The Times”, w którym, o czym nie miałem pojęcia, znajdowała się informacja o naszych zaręczynach. Dowiedziałem się na obiedzie, na którym gościłem większość mesy oficerskiej - stary dobry Simmons wyjawiał wszystko, domagając się wzniesienia toastu za moje i Twoje szczęście. Mówił wspaniałe rzeczy o Tobie, opowiadał, jak to wciąż pamiętali stanowczo zbyt krótką wizytę panny Williams w Kanale, zapewniał, iż wszyscy byli i są Twymi najwierniejszymi sługami i tak dalej, bardzo zgrabne. Wierz mi, że zrobiłem się czerwony jak burak, zwiesiłem głowę niczym wstydliva panienka i jak panienka prawie bym się rozbeczał. Wspomnienia naraz mocno uderzyły, tak bardzo chciałem, byś wtedy przy mnie była w tej kajucie. A Simmons ciągnął dalej - jako upoważniony do zabrania głosu przez całą mesę oficerską spytał, czy wolalabyś otrzymać imbryczek do herbaty, czy dzbanek do kawy, oczywiście z odpowiednią inskrypcją. Odzyskałem rezon, pijąc Twoje zdrowie, i odpartem, iż najlepszym rozwiązaniem byłby dzbanek do kawy z inskrypcją, bym za każdym razem, pijąc kawę, miał przed oczyma jak najżywsze wspomnienia z „Lively” *. Mój żart został dobrze przyjęty, nawet kapelan się śmiał, oczywiście, gdy wyjaśniono mu jego sens.

* Nieprzetłumaczalna gra słów - nazwa fregaty „Lively” oznacza „żywotny, pełen życia”.

Po zapadnięciu zmroku, płynąc z bryzą wypełniającą bramsle, minęliśmy Cape Goosberry w zasięgu wzroku, po czym odpadliśmy od wiatru, by nie zauważyła nas stacja sygnałowa. Wylądowaliśmy kilka mil za nią i forsownym marszem przebyliśmy wydmy, by przypuścić atak od tyłu. Broniące jej dwa działa dwunastofuntowe, jak zresztą przypuszczałem, umieszczono tak, że mogły razić tylko cele na morzu i zaledwie do 75 stopni na plaży, jeśli je przestawiono. Wędrownica była wielce uciążliwa - wiatr wciskał ziarenka piasku w kąciaki oczu, nozdrza i zamki pistoletów. Pastor mówi, że starożytni nie znali tego brzegu. Starożytni wiedzieli zatem, co robią, bo przedzieraliśmy się przez jedną cholerną burzę piaskową po drugiej, a na miejsce dotarliśmy, kierując się kompasem. Francuzi nie spodziewali się nas zupełnie i jeden szybki atak raz dwa rozwiązał sprawę. Wróg salwował się ucieczką, wszyscy poza pewnym małym chorążym, który walczył jak bohater, aż obezwładniony od tyłu przez Bondena odrzucił szpadę i wybuchnął płaczem. Zagwoździliśmy działa, zniszczyliśmy magazyn, wysadziliśmy w powietrze semafor i pośpieszyliśmy do łodzi, zabierając ze sobą francuskie książki kodowe. Poszło zatem nieźle, chociaż działaliśmy stosunkowo wolno - gdybyśmy musieli brać pod uwagę przyptywy, których, jak wiesz, w tym rejonie nie ma, źle by się to skończyło. Chłopaki z „Lively” nie przyzwyczajeni do tego typu akcji, choć część z nich chwytła nowości w lot, a do działania chętni są wszyscy.

Mały Francuzik wciąż kipiał ze złości, kiedy zawlekliśmy go na pokład. Groził, że gdyby fregata „Diomedé” wciąż była na wybrzeżu, nigdy byśmy nie odważyli się tu pokazać, dął się, że wokół roiło się od zdrajców, którzy donieśli nam o jej nieobecności. Głośno wrzeszczał, że go zdradzono i pomstując, groził, że na pokładzie „Diomedé” służy jego brat i fregata z łatwością wykurzy nas z tych wód. Coś też wspomniał, że fregata udała się do Port- Vendres trzy dni albo trzy godziny temu, ale zbyt szybko mówił i nie byliśmy pewni. Angielskiego oczywiście nie znał. Kiedy odbijaliśmy na pełne morze, zaczęło nas trochę huścić i dzielny chorąży naraz zamilkł, biedaczysko, zgięty wpół morską chorobą. „Diomedé”, o której tyle mówił, była jedną z owych francuskich fregat z czterdziestką dział osiemnastofuntowych. O spotkaniu z takim przeciwnikiem marzyłem od dawna

i wciąż marzę. Nie myśl o mnie źle, kochana, ale za kilka dni zdaję dowództwo tego okrętu i to byłaby chyba ostatnia okazja, by się wyróżnić i zasłużyć na następne dowództwo. Dobrze wiesz, że podczas wojny okręt to dla żeglarza coś równie cennego jak żona. Kazałem zatem obrąć kurs na Port- Vendres (znajdziesz to miejsce na mapie w lewym dolnym rogu Francji, tam, gdzie góry zbiegają do morza, tuż przed Hiszpanią), zajmując po drodze kilka barca-longasów. Przylądek Bear mieliśmy w zasięgu wzroku tuż po wschodzie słońca, gdy światło słoneczne wciąż chowało się za górami okalającymi miasto. Od rybaków z zatrzymanych barca-longasów kupiliśmy ryby i obiecaliśmy im zwrot ich łodzi, ale ci podeszli do nas nieufnie i w efekcie niczego nie można było się od nich dowiedzieć. „ Czy »Diomedé« była w Port- Vendres ? ”, pytam. „No, możliwe”, odpowiadają. „A może odeszła do Barcelony?” „Może odeszła ”, pada odpowiedź- „ Czy nikt z tej waszej bandy durniów nie zna ani hiszpańskiego, ani francuskiego ? ” „Nie, monsieur”, odpowiadali, rozkładając ręce, by pokazać, że w istocie są durniami i przykro im z tego powodu. Zwróciliśmy się też do owego młodego francuskiego chorążego o pomoc, ale ten uniósł się dumą, wyrażając zdziwienie, że brytyjski oficer potrafi się aż tak bardzo zapomnieć, by prosić go o współpracę w przestuchiwaniu więźniów. Dodał też coś na temat honneur i patier, co zapewne by nam dopiekło, gdybyśmy to zrozumieli.

Wysłałem zatem Randalla na jednym z barca-longasów, by rozejrzał się w porcie. Była tam długa przystań z dogodnym, wąskim ujściem chronionym przez falochron. Wejścia broniły dwie baterie, po jednej na każdym z ramion, i jeszcze jedna, złożona z dwudziestoczerofuntówek, umieszczona wysoko na Cape Bear. Podejście do portu z tramontaną wiejącą w wąskim

przejściu było cholernie trudnym wyzwaniem nawigacyjnym, ale wewnątrz okazało się już głęboką i bezpieczną przystanią. Randall wnet był ze sprawozdaniem o okrętach widzianych w środku, z których jeden, zdecydowanie większy i zaopatrzony w bermudzkie ożaglowanie, mógł być „Diomedé”. Randall pewności jednak nie miał - łodzie strażnicze i ciemna noc uniemożliwiały bardziej szczegółową obserwację.

Nie chcę zanudzać Cię szczegółami, droga Sophie. Tuż przed świtem ruszyliśmy z łagodną bryzą na północ - północny wschód i rozpoczęliśmy ostrzał baterii broniących wejścia do portu. Kazałem przygotować kotwicę sterburty, by twardo utkwiała w dnie i umożliwiła przeciągnięcie okrętu, gdyby bateria na cyplu wchodziła się do walki i strąciła jakieś drzewce. Kiedy już stało się widno, a zanosilo się na piękny dzień, nakazałem ubrać wszystkich chłopców okrętowych i innych, mniej przydatnych członków załogi w czerwone mundury piechoty morskiej i wysłać ich łodziami na brzeg, do wsi leżącej za następnym przylądkiem. Zgodnie z moimi oczekiwaniami, cały francuski oddział kawalerii, całkiem spora grupa zbrojnych, ruszył jedyną, wijącą się drogą nadbrzeżną, by powstrzymać „lądowanie”. Francuzi dali się zmylić - nie wiedzieli, iż jeszcze przed świtem wysłałem barca-longasy z ładowniami napchanymi ludźmi na drugą stronę Cape Bear. Na dany sygnał ruszyły one bajdewindem w kierunku lądu i wysadziły desant na niewielkiej plaży po drugiej stronie przylądka. Chłopaki z „Lively” natarli na południową baterię od tyłu, opanowali ją błyskawicznie, odwrócili działa i rozpoczęli ostrzał tego, co ogień fregaty pozostawił z sąsiedniej baterii. Do tego czasu nasze łodzie zdążyły wrócić i tym razem my wskoczyliśmy na ich pokłady. Pozostawiona za naszymi plecami fregata trzymała pod ostrzałem drogę, by uniemożliwić powrót francuskim kawalerzystom. Skierowaliśmy się do portu, tak szybko jak to było możliwe. Żywiłem nadzieję na przejęcie wrogiej fregaty, lecz ku mojemu zaskoczeniu okazało się, iż to nie „Diomedé” stoi w porcie, a jedynie wielki hulk „Dromadaire”. Drużyna abordażowa opanowała go bez większych trudności, po czym postawiono marsle i okręt wolno ruszył w stronę wyjścia z przystani. Krypa opornie reagowała jednak na ster i miała mocne przegłębienie na dziób, tak więc za którymś z kolei podmuchem wiatru od gór po prostu przestała słuchać steru i weszła na mieliznę. Spaliliśmy ją zatem aż do linii wodnej, po czym podłożyliśmy ogień, gdzie się tylko dało, wszędzie z wyjątkiem łodzi rybackich. Instalacje wojskowe Francuzów na obu brzegach wysadziliśmy ich własnym prochem. Wszystko odbyło się bez strat własnych, a jakby tego było mało, Killick spędził większość swego czasu na zakupach, przynosząc sporo prowiantu, między innymi świeże mleko, masło, kawę i tyle jajek, ile tylko się dało wepchnąć do kapelusza. Chłopaki z „Lively” nieźle się sprawili, obyło się nawet bez plądrowania piwnic winnych, a widok piechoty morskiej, formującej czworobok na kei, jak zwykle podniósł mnie na duchu, choć przebrani w marynarskie dreluchy i kraciaste koszule wyglądali raczej żałośnie. Powróciliśmy do łodzi i według ustalonego porządku powiośtowaliśmy do fregaty.

Jednakże fort na Cape Bear rozpoczął już ostrzał „Lively”, więc fregatę przeciągnięto na kotwicy w inne miejsce. Jednocześnie nadpłynęło kilka kanonierek, próbując dostać się między nas a okręt - ostrzeliwali nas kartaczami ze swoich osiemnastofuntówek i nie było innej rady, jak tylko odpowiedzieć atakiem. Przyznam ci, iż nigdy w życiu nie byłem bardziej zaskoczony, niż w chwili kiedy ujrzałem załogę mojej łodzi podczas abordażu francuskiej kanonierki. Dobrze wiesz, że większość z nich to Chińczycy lub Malajowie, ludzie ułożeni i spokojni - połowa z nich od razu wskoczyła do morza i zanurkowała, reszta zaś rozplaszczyła się przy nadburciu. „Jack, oto wpadłeś jak śliwka w kompot, ci ludzie nigdy za tobą nie pójdą!”, przyszło mi do głowy, kiedy nasza szalupa uderzyła o burtę wroga. Zaiste, wygląda na to, że stchórzyli, wydobyłem jednak z siebie piskliwy wrzask i przeskoczyłem na wrogi pokład, a za mną krzyczący Bonden, Killick i młody Butler.

Przerwał pisanie na moment, pozwalając atramentowi przyschnąć na piórze. Wspomnienie wciąż było niezwykle żywe - znów ujrzał Chińczyków, jak w ostatniej chwili przeskakują

burtę, by uniknąć ognia muszkietów, i w ciszy rozprawiają się z przeciwnikami. Działali we dwójkę, jeden unikając ciosów przeciwnika, zбивał go z nóg, a drugi wprawnie podrzynał mu gardło, po czym błyskawicznie doskakiwał do następnego. Ich działanie przypominało systematyczną, metodycznie wykonywaną, posuwającą się od rufy w stronę dziobu pracę. Działali na chłodno, bez ślepej furii i w całkowitej ciszy, jeśli nie liczyć kilku piskliwych okrzyków rozkazów. Naraz Jack ujrzał brązowe dłonie, zaciskające się na okrężnicy na całej długości łodzi - z przeciwnej burty na pokład wdzierali się teraz Jawajczycy, którzy przepłynęli pod kilem kanonierki. Francuzi krzyczeli z przerażenia, biegali chaotycznie po śliskim pokładzie, luźny wielki żagiel łopotał, a cicha, straszna praca trwała dalej, noże i kordy wznosiły się i uderzały. Pamiętał swego przeciwnika, zawziętego, przysadzistego marynarza w wełnianej czapce, który w końcu wyskoczył przez burtę, pozostawiając w wodzie czerwoną chmurę krwi. Pamiętał swój krzyk: „Obkładać szoty! Ster na nawietrzną! Zabrać więźniów do przedniego luku!” i pełną przerażenia odpowiedź Bondena: „Ależ sir... Oni wszystkich wyrznęli!” Pamiętał pokład lśniący czerwienią w blasku zachodzącego słońca, pamiętał kucających parami Chińczyków, metodycznie obdzierających poległych z ubrań, i Malajów układających obcięte głowy niczym kule armatnie w zgrabne stosiki. Dwóch ludzi stało już za sterem, ich worek ze zdobycznym leżał tuż obok, szoty były należycie obłożone. Widział już w życiu straszne sceny, jak choćby zaimprovizowaną salę operacyjną na fregacie po ciężkiej bitwie morskiej, widział tuziny abordaży, widział też zatokę Aboukir po eksplozji „Oriona”, ale wspomnienie scen, których był świadkiem na kanonierce, sprawiało, że kurczył mu się żołądek. Abordaż był przeprowadzony profesjonalnie, niezwykle wprost profesjonalnie, tak profesjonalnie, iż dłuższe rozpatrywanie owego zawodowstwa przyprawiało go o mdłości. Był świadkiem rzeczy przechodzących ludzkie pojęcie, ale nie czuł się na siłach, by przelać to na papier. W świetle lampy wpatrywał się w opatrunek na swoim przedramieniu, na krew przesiąkającą przez biel bandażu i nagle uderzyło go, że właściwie nie ma najmniejszej ochoty na opisywanie tego ani niczego podobnego do tych zdarzeń! Sophie oczywiście wiedziała, że życie na morzu to nie wakacje, ale Jack nie wierzył, by jej wyobrażenie wiele się różniło od romantycznych opowieści. Wiedziała o takich rzeczach, jak czasowy brak świeżych warzyw, mleka czy kawy, tu i ówdzie strzelające działa i szcęk oręża, ale na krew umierających w jej myślach miejsca już nie było. Ginący po prostu padali i pozostawały po nich nazwiska na listach ofiar. Umaczał zatem pióro w kałamarzu i pisał dalej.

Mylitem się jednakże, Chińczycy i Malajowie wdarli się dzielnie na pokład od obu burt i uporali się z zadaniem w ciągu kilku minut. Druga kanonierka ostro zmieniła kurs, gdy „Lively” obramowała ją kilkoma kulami z rufowych pościgówek i wkrótce znikła nam z oczu. Wzięliśmy łodzie rybackie na hol i wkrótce byliśmy na pokładzie fregaty. Żagle postaviliśmy w rekordowym czasie, odcumowaliśmy i okręt ruszył w stronę otwartego morza, kierując się na południowy wschód ku wschodowi. Niestety, nie uda nam się pójść śladem „Diomedę” do Barcelony, gdyż to oddaliłoby nas od zawiętrzonej Minorki i zapewne nie zdążyłbym na umówione spotkanie, co byłoby niewybaczalnym błędem. Mam nadzieję ujrzeć Fornells na horyzoncie o świcie.

Droga Sophie, ufam, iż wybaczysz mi kleksy, ale okręt właśnie leży w dryfie i skacze na falach, a ja sam przez większość dnia musiałem być w trzech miejscach naraz, jeśli nie więcej. Pewnie uważasz, że nie powinienem był osobiście schodzić na plażę przy Port-Vendres. Fakt, było to niegrzeczne w stosunku do Simmonsa - kapitan w takich sytuacjach powinien przekazać część odpowiedzialności pierwszemu oficerowi, bo stwarza to dlań możliwość wykazania się. Nie byłem jednak do końca pewien, jak zachowa się załoga fregaty podczas takiej akcji. Nie kwestionuję ich ducha bojowego, bynajmniej - miałem jednak powody przypuszczać, iż nadawać się mogą bardziej do pasywnej obrony czy bitew morskich na pokładzie okrętu, a na moją akcję zabraknie im prędkości, rezolucji czy też w końcu doświadczenia. Wołałem zatem

pozostać wśród nich. Na atak w świetle dnia zdecydowałem się też dlatego, bym mógł lepiej kontrolować bieg wydarzeń. Cieszę się, że tak postąpiłem, gdyż momentami sytuacja wymykała się spod kontroli. Ogólnie rzecz ujmując, dzielnie się wszyscy sprawili, zwłaszcza piechota morska, ale raz czy dwa o mało by wszystko diabli wzięli. Kadłub fregaty świeci dziurami w kilku miejscach, fokmaszt jest nadwerżony w złączeniu ze stengą, pociski strzaskwały też dolną bezanreję i pocięły w kilku miejscach olinowanie, ale okręt jutro do akcji byłby gotów. Nasze straty w ludziach też nie są wysokie, jak zapewne wyczytasz w opublikowanym raporcie. Kapitan dzielnej fregaty również nie ucierpiał, nie licząc kilku ataków strachu o samego siebie i utraty śniadania rozrzuconego po kajucie jednym energicznym ruchem ramienia zaraz po ogłoszeniu alarmu. Obiecuję jednak więcej tego nie robić i żywić nadzieję, iż Fortuna pozwoli mi dotrzymać obietnicy. Jeśli wiatr się utrzyma, za kilka dni będę w Gibraltarze, już bez okrętu, na którym mógłbym ową obietnicę złamać.

Raz jeszcze napisał słowa „Już bez okrętu” i tak zasnął, opierając głowę na ramionach.

- Przylądek Fornells jeden rumb na prawo od dziobu, sir - zameldował pierwszy oficer.

- Bardzo dobrze - odparł Jack niskim głosem. W czaszce łupało, jakby miała za chwilę eksplodować, a umysł wypełniało mroczne przygnębienie, tak często nachodzące go po udanej akcji. - Trzymaj kurs. Kanonierka już uprzątnięta?

- Nie, sir, obawiam się, że jeszcze nie uporano się z tym do końca - odparł Simmons.

Jack nic nie odpowiedział. Simmons miał wczoraj kiepski dzień - głęboko rozorał sobie goleń podczas upadku na kamiennych schodach na kei Pert-Vendres, siłą rzeczy był dziś zatem mniej aktywny. Tak czy owak, Jack był lekko zaskoczony. Podszedł do burty i spojrzał na swój przyz - nie, zdecydowanie było tam jeszcze wiele do zrobienia. Odrąbana ludzka dłoń wciąż leżała na pokładzie, czerwona w chwili, kiedy widział ją po raz ostatni, teraz przybrała ciemnobrązową barwę i przypominała gigantycznego, martwego pajaka. Odwrócił się i popatrzył do góry, na bosmana i jego ludzi, zajętych pracą wśród takielunku, potem na cieśnię okrętowego, który wraz z pomocnikami pracował nad dziurą po kuli, i rzekł z grymasem, który zgodnie z jego intencją miał przypominać uśmiech:

- Cóż, powoli ze wszystkim. Być może uda nam się puścić ją na Gibraltar dziś wieczór.

Wcześniej jednak przyjrę się jej dokładnie.

Pierwszy raz zdarzyło mu się przyganić Simmonsowi, choćby nawet nie bezpośrednio. Biedak mocno wziął to do siebie i pokuszył się do przodu, dotrzymując kroku kapitanowi. Na jego twarzy pojawiło się takie zafrasowanie, iż Aubrey już szykował się do wygłoszenia jakiejś pocieszającej uwagi, kiedy znów pojawił się Killick.

- Kawa gotowa, sir - powiedział z gniewem. Śpieszący do kabiny Jack słyszał jego dalsze słowa: - Całkiem zimna... Stoi już na stole od wybicia szóstej szklanki... Mówię mu i mówię... Tyle zachodu, by ją zdobyć, a teraz zimna... - Słowa zdawały się być kierowane do wartownika z piechoty morskiej. Spojrzenie żołnierza wyrażało całkowity brak ochoty do wysłuchiwanie stewarda czy wręcz przestraszony wywołany tak ostrą krytyką. Był to dowód szacunku, jakim Jacka darzono na okręcie.

Kawa właściwie była tak gorąca, iż poparzył sobie język.

- Doskonała kawa, Killick - powiedział po wypiciu pierwszej filiżanki.

Killick chrząknął i odwrócił się z kwaśną miną.

- Zechce pan wypić jeszcze jedną filiżankę?

Gorąca i mocna, jak wspaniale rozlewała się w żołądku! Czuł nowy przyptyk energii, wyganiający mrok przepelniający jego umysł. Zaczął nucić fragment opery *Wesele Figura*, przerywając, by posmarować masłem kawałek chleba. Killick może i był niepokornym sukinsynem, który uważał, że jeśli wypowiedź okraśli się zbyt wieloma „sirami”, straci ona swój sens, ale mimo że kambuz został przewrócony do góry nogami pociskami z Cape Bear, na stole przed Jackiem stała oto filiżanka kawy oraz jajka, masło i świeże grzanki. Jego znajomość z

Killickiem datowała się od czasów pierwszego samodzielnego dowództwa i w miarę jak awansował, rosła pełna cynizmu niezależność stewarda. Dziś był wyjątkowo wściekły, gdyż podczas akcji Jack zniszczył swój mundur numer trzy i zgubił jedną z rękawiczek.

- Płaszcz podarty w pięciu miejscach i przecięty na przedramieniu. Jakże ja mam to teraz zacerować? O, dziury po kulach, wszystkie osmalone, przecież ja nigdy nie doczyszczę śladów po prochu! Bryczesy w strzępach, wszędzie ta przekłeta krew, tarzał się pan w tym, sir? Co by na to panienka powiedziała, słów mi brak... A epolet całkiem podarty, podarty na kawałki! Bodajbym oślepl...

Na zewnątrz słychać było pracę pomp, bulgot węży przepompowujących wodę oraz pokrzykiwanie marynarzy, szorujących pokład kanonierki. W chwili, kiedy Killick po raz kolejny pokazał mu mundur, w którym walczył wczoraj, wraz z dokładną kalkulacją kosztów naprawy, pojawił się posłaniec od pana Simmons'a z pytaniem, czy kapitan nie zechciałby pojawić się na moment na pokładzie.

„Mój Boże” - pomyślał Jack. „Czyżbym był aż tak nieuprzejmy dla niego?”

- Przekaż panu Simmonsowi, że chętnie ugoszczę go w swojej kabinie - powiedział posłańcowi. - O, panie Simmons, zapraszam do środka. Napije się pan kawy?

- Dziękuję, sir, z chęcią - odparł Simmons, obrzucając go badawczym spojrzeniem. - Cóż za wspaniały, rozjaśniający umysł zapach. Ośmieliłem się panu przeszkodzić, ponieważ Garron, przeszukując kabinę kanonierki, natknął się na to w jednej z szuflad. Nie mówię niestety po francusku, ale wystarczyło spojrzeć, by się domyślić, że powinien pan to widzieć. - Podał Jackowi szeroką, płaską książkę z metalowymi okuciami.

- Na Boga! - wykrzyknął Jack z roziskrzonym spojrzeniem. - Toż to ich książka kodowa! Kody numeryczne, światła, sygnały mgłowe, znaki rozpoznawcze Hiszpanów i innych sojuszników! Co oznacza *banniere de partance*, jak pan myśli? *Pavillon de beaupre* to bandera. *Misaine* to fokmaszt, choć nazwa wskazuje na coś zupełnie przeciwnego. *Hunes de perroquef*. A do diabła z tym, obrazki są aż nadto czytelne. Wspaniale, prawda? - Odwrócił książkę do pierwszej strony. - Obowiązujące do dwudziestego piątego - przeczytał. - Wprowadzają nowe kody wraz ze zmianą fazy księżyca. Możliwe, że uda nam się z tego skorzystać. Jak idzie z kanonierką? - Sporo już zrobione, sir. Będzie pan mógł dokonać inspekcji, jak tylko pokłady wyschną. W marynarce panował przesąd, że opary schnącego pokładu były szkodliwe dla wyższych stopniem, a ich szkodliwość wzrastała wraz z ich rangą. Bardzo niewielu pierwszych oficerów pojawiało się na pokładzie przed zakończeniem szorowania o świcie, a już żaden dowódca nie uczyniłby tego, dopóki pokładu nie wycegiełkowano i wysuszono. Pokłady kanonierki były właśnie suszone.

- Myślałem, by wysłać kanonierkę do Gibraltaru pod młodym Butlerem wraz z jednym czy dwoma podoficerami i całą załogą abordażową. Nieźle się sprawili, na swój własny, pogański sposób, a dowódca kanonierki zginął od kuli Butlera. Samodzielne dowództwo dobrze mu robi. Chce się pan podzielić jakimiś uwagami co do tego pomysłu? - spytał, widząc zmarszczkę na czole pierwszego oficera.

- Cóż, jeśli szuka pan mojej rady, sir, to zasugerowałbym inną załogę. Nie mogę niczego złego o tych ludziach powiedzieć, są cisi, czujni, nie upijają się i nie sprawiają kłopotów, ale niech pan pamięta, iż tych Chińczyków wcieliliśmy do załogi po przejęciu uzbrojonej dżonki bez ładunku. Prawie na pewno był to okręt piracki. Malajów wcieliliśmy w podobnych okolicznościach. Obawiam się, że gdyby ich odesłano, pokusa do podjęcia dawnego fachu mogłaby być zbyt silna. Gdyby nie brak dowodów, wszyscy by zawisli! Już mocowaliśmy pętle na noku rei, ale kapitan Hammond, który jest także sędzią, miał opory przed skazywaniem na śmierć przy braku dowodów. Krążyła zresztą plotka, iż Chińczycy wszelkie te dowody po prostu zjedli.

- Piraci? Rozumiem. To wiele tłumaczy... Tak, oczywiście. Jest pan pewien?

- Sam nie mam cienia wątpliwości. Wskazują na to zarówno okoliczności ich przejścia na pokład, jak i uwagi, które zdarzało im się wygłosić od tego czasu. Kapitanie, od Zatoki Perskiej aż do wybrzeży Borneo co drugi statek to pirat! Niemniej ci są teraz wśród nas i to zmienia postać rzeczy. Jeśli mam być szczery, nie zniósłbym myśli o pętli zaciskającej się na szyi Johna Satisfaction czy High Buma. Chyba się poprawili - już nie modlą się do swoich bożków, nie plują na pokład i słuchają kazań pana Carewa z należytą uwagą.

- Ach, niechże pan nawet o tym nie mówi! - zawołał Jack. - Nawet gdyby sam Najwyższy Sędzia Marynarki nakazał mi powiesić zdolnego żeglarza, nie mówiąc o kapitanie, odmówiłbym wykonania rozkazu. Niemniej, jak pan twierdzi, nie wolno nam wodzić ich na pokuszenie. Niech zatem kanonierka pozostanie z nami. Pan Butler jednak obejmie dowództwo przyzry i to pan będzie łaskaw wybrać dlań odpowiednią załogę.

Kanonierka pozostała zatem w towarzystwie „Lively” i o zmroku ruszyła spod rufy fregaty w kierunku ciemniejszego konturu wyspy. Pan Butler na pokładzie rufowym wydał rozkaz do oddania salutu, a jego głęboki początkowo głos nagle załamał się i przerodził w zdławiony pisk. Tak wyglądały jego pierwsze doświadczenia w torturze samodzielnego dowodzenia.

Jack, zawinięty w płaszcz, usiadł na szotach rufowych z przyciemnioną latarnią między kolanami. Czuł się podniecony oczekiwaniem. Niezły szmat czasu dzielił go od chwili, kiedy ostatni raz widział Stephena Maturina, a monotonia służby w blokadzie jeszcze ów czas wydłużyła. Jakże czuł się samotny, kiedy nie słyszał nieprzyjemnego, gardłowego głosu doktora! Dwustu pięćdziesięciu dziewięciu mężczyzn żyjących w ścisłości i tłoku na dolnym pokładzie i on jeden, dwieście sześćdziesiąt - pustelnik. Oczywiście, był to los typowy dla kapitana i każdy porucznik, a w ich liczbie on sam, gotów był zrobić wszystko, by stan owej izolacji osiągnąć, niemniej przyznanie się do tego bynajmniej samego faktu życia w samotności nie wynagradzało. Filozofowanie nie przynosiło mu ukojenia. Stephen poza tym widział Sophie zaledwie tydzień temu, może nawet mniej, z pewnością miał od niej wieści, a może i list. Bezwiednie położył dłoń na sercu i popadł w zadumę. Spokojne fale od rufy niosły przyzry w kierunku lądu, a szum fal i rytmiczne skrzypnięcia wiosła sprawiły, iż co chwila zapadał w lekką drzemkę, wciąż z uśmiechem na twarzy.

Znał dobrze całą wyspę, stacjonował tu w końcu, kiedy była ona pod brytyjską kontrolą. Tę zatoczkę też dobrze znał - nazywano ją Cala Blau i często bywał tu ze Stephenem, by obserwować parę sokołów czerwononogich, które gniazdowały na górującym klifie. Rozpoznał ją natychmiast, kiedy tylko Bonden, sternik na łodzi, uniósł głowę znad kompasu i wydał cichy rozkaz, jednocześnie nieznacznie zmieniając kurs. Dostrzegł ową skałę z dziwnym zwieńczeniem, sylwetkę zrujnowanej kapliczki na tle nieba i ciemniejszą plamę na ścianie klifu, tam gdzie mieściła się jaskinia, w której żyły foki.

- Wiosłować mocniej! - wydał rozkaz i dał znak latarnią w stronę brzegu, próbując jednocześnie wzrokiem przebić ciemność. Brak odpowiedzi nie zmartwił go zbyt. - Mocniej przy wiosłach! - rzucił i kiedy pióra znów zanurzyły się w wodzie, przystawił zegarek do światła. Niezłe zgrali to w czasie, miał jeszcze dziesięć minut rezerwy. Nie było powodu do pośpiechu - Stephen rzecz jasna nie miał wycucia czasu charakterystycznego dla żeglarzy, zresztą i tak miał to być dopiero pierwszy z czterech umówionych dni na spotkanie.

Na czystym od chmur nocnym niebie dostrzegł już pierwsze gwiazdy Plejad. Kiedyś już podejmował Stephena z samotnej plaży i Plejady były w tym samym położeniu. Przy kołysaniu się lekko wzdłużnie, utrzymywany delikatną pracą wiosła. Teraz Plejady świeciły jeszcze wyraźniej, cała zbita konstelacja. Znów dał sygnał latarnią.

„Pewnie nie może skrzesać ognia” - pomyślał, wciąż wolny od jakichkolwiek obaw. „W każdym razie mam ochotę na spacer po tej plaży. Pozostawię mój własny znak”.

- Naprzód, Bonden - powiedział. - Ostrożnie, bez hałasu.

Łódź sunęła przez czarną wodę poznaczoną plamkami gwiazd. Dwa razy się zatrzymali, by posłuchać odgłosów z ładu. Usłyszeli jedynie parsknięcie wynurzającej się foki, a potem długo nic, aż do chwili, kiedy kamienie plaży zachrzęściły o dno łodzi.

Spacerował po wygiętej w półksiężyc plaży wzdłuż wilgotnej linii nacierających na piach fal z dłońmi splecionymi na plecach i pozostawiał znaki, które na pewno wywołałyby uśmiech na twarzy Stephena, gdyby spóźnił się na to spotkanie. Czuł już ogarniające go napięcie, ale nie równało się ono z tym szaleńczym niepokojem owej pierwszej nocy oczekiwania dawno, dawno temu, na południe od Palamós, kiedy to jeszcze nie miał pojęcia o możliwościach przyjaciela.

Saturn wznosił się za Plejadami, wyżej i wyżej, odbiwszy już prawie o dziesięć stopni od horyzontu. Naraz usłyszał hurkot kamieni na ścieżce klifowej powyżej. Z nadzieją uniósł głowę, dostrzegł poruszającą się ciemną sylwetkę i po cichu zagwizdał umówioną melodię *Deh vieni, non tardar*.

Przez moment nie było odpowiedzi, a potem z góry nadbiegło pytanie:

- Kapitan Melbury?

Jack zatrzymał się za kamieniem, wy dobył pistolet z za pasa i odwiódł kurek.

- Proszę zejść na dół - powiedział zapraszającym tonem, a potem rzucił w stronę jaskini: - Bonden, wychodźcie!

- Gdzie pan jest? - dobiegł go szept już niżej, od podnóża klifu.

Kiedy Jack upewnił się, że na ścieżce ponad nim nikt się nie poruszał, wyłonił się z za skały i ruszył po piasku w stronę źródła głosu. Ścieżką nadchodził człowiek w brązowym płaszczu - Jack uniósł latarnię i zaświecił w podejrzliwą twarz o oliwkowej cerze. Blask latarni zniekształcał czujną, spiętą twarz nieznanego, który postąpił krok naprzód i pokazał otwarte dłonie.

- Kapitan Melbury? - spytał raz jeszcze.

- Kim pan jest?

- Jestem Joan Maragall, sir - wyszeptał po angielsku w charakterystycznym dialekcie minorkańskim, zbliżonym do angielskiego używanego na Gibraltarze. - Przybywam od Estebana Domanovy. On mówi Sophia, Mapes, Guarnerius.

Melbury Lodge to nazwa domu, który kiedyś dzielili, pełne nazwisko Stephena brzmiało Maturin y Domanova i nikt inny na świecie nie wiedział, że Jack kupił kiedyś skrzypce Guarneriusa. Zabezpieczył więc pistolet i wepchnął go z powrotem za pas.

- Gdzie jest Stephen?

- Pojmany.

- Pojmany?

- Pojmany. On dał mi to.

W świetle latarni ujrzał kilka niewyraźnych liter na papierze: „Drogi J” potem kilka słów, jakieś cyfry i zamaszty podpis S, wybiegający za kartkę.

- To nie jest jego pismo - wyszeptał spokojnie w ciemnościach, a jego niepokój wzrastał z każdą chwilą. - To nie on pisał.

- Torturowano jego.

ROZDZIAŁ TRZECI

W świetle lampy kołyszącej się u stropu kajuty Jack uważnie wpatrywał się w twarz Maragalla. Zawzięte, pobrużdżone oblicze młodego człowieka było poznaczone śladami po ospie, dostrzegł też kilka zepsutych zębów. Nieznajomy mrużył jedno oko, jakby chciał ukryć wrogość, drugie zaś, szerzej otwarte, znamionowało łagodność. Co z nim począć? Nie mógł ocenić uczciwości obcego na podstawie języka, którym się posługiwał - jego minorkański angielski był wprawdzie płynny i całkowicie zrozumiały, ale przecież obcy. Przemawiał za nim list, który ręczył, ale zapisane węglem znaki były niemal całkowicie zamazane i nieczytelne.

„Nie” - być może „nie czekaj”, potem kilka niezrozumiałych, podkreślonych słów, potem „prześlij to” i jakieś imię, być może „St. Jones” z adnotacją „nie ufać”. Na zakończenie pięć postawionych z trudem linii cyfr i rozciągnięte S.

To wszystko mogło być zmyślną pułapką albo też zgoła wybiegiem, aby stworzyć pretekst do aresztowania Stephena. Jack starał się opanować natłok myśli, roztrząsał jedną możliwość po drugiej, starannie oglądał list, przez jego głowę przelatywały setki domysłów. Być może było w Jacku coś chłopięcego i niepoważnego, coś, co Sophie kochała ponad wszystko, jednak gdyby ktoś spojrział nań teraz lub podczas akcji, nigdy nie dałby temu wiary.

Zmusił Maragalla do opowiedzenia całej historii raz jeszcze, począwszy od zatrzymania Stephena przez władze hiszpańskie, z czego ten wykaraskał się dzięki paszportowi amerykańskiemu. Pomogła też interwencja wikariusza generalnego - nikt już wtedy nie miał wątpliwości, że senor Domanova był Amerykaninem hiszpańskiego pochodzenia. Niestety, do sprawy wmieszali się Francuzi i mimo gwałtownych protestów Hiszpanów przejęli więźnia i przetransportowali do swojej kwatery głównej. Napięcia między Hiszpanami powstawały właściwie w każdej dziedzinie współpracy i dotyczyły w równym stopniu pracowników administracji, wyższych szczebli dowództwa marynarki wojennej i armii lądowej, a nawet ludności cywilnej. Francuzi panoszyli się na wyspie niczym na terytorium podporządkowanym i niechęć do nich zbliżała do siebie nawet Kastylijczyków i Katalończyków. Szczególną niechęć, jak opowiadał Maragall, budziła francuska komisja zakupów, która, jak się okazało, była jedynie przykrywką dla działalności komórki wywiadowczej. Ostatnio do owej grupy dołączyli prosto z Paryża pułkownik Auger, którego Maragalla uważał za skończonego głupca, i błyskotliwy kapitan Dutourd. Komórka była niewielka, ale bardzo aktywna i wydajna w werbunku informatorów, szybko też owiała ją ponura sława dorównująca inkwizycji. Maragall raz jeszcze podkreślił fakt rosnącej niechęci do Francuzów, właściwej wszystkim Hiszpanom z wyjątkiem grupki oportunistów i przywódców Fraternitat - organizacji dążącej do pozyskania francuskiego poparcia w walce o niepodległość Katalonii.

- A pan należy oczywiście do innej organizacji? - spytał Jack.

- Tak, sir. Ja przewodzę komórce Confederacio na tej wyspie. Dlatego ja znam Estebana tak dobrze. Dlatego ja mogłem przynosić informacje z jego celi. Nasza organizacja jest jedyna, która ma tak dużo poparcie. Nasza jest jedyna, która coś robi, a nie tylko mówi i wydaje władzom innych. W ciągu dnia mamy dwóch ludzi w bazie Francuzów. Mój brat, który jest ksiądz, był tam wiele razy. Ja sam zaniósłem jemu laudanum, o które prosił, i ja rozmawiałem z nim przez kraty. Wtedy on mi powiedział słowa, które miałem ja powiedzieć.

- Jak się trzyma?

- On jest słaby. Francuzi nie mają litości.

- Gdzie go trzymają? Gdzie jest francuska kwatera główna?

- Czy zna pan Port Mahon?

- Jasne, nawet bardzo dobrze!

- A czy zna pan miejsce, gdzie angielski komendant mieszkał?

- Dom Martineza?

- Tak. Francuzi zabrali go, dom. Przesłuchują więźniów w małym domku z tyłu ogrodu. Ale wrzaski można usłyszeć już z kościoła Świętej Anny. Czasami, o trzeciej albo czwartej nad ranem, oni wynoszą trupy i wrzucają ich do wody. W porcie za garbarnią oni to robią.

- Ilu ich tam stacjonuje?

- Teraz jest pięciu oficerów. I oddziałek gwardii w koszarach Alfonso. Jednocześnie jest około tuzin mężczyzn na służbie, a zmieniają warty o siódmej. Na dworze nie jest ruch, bardzo cicho tam, nie ma posterunków. Jest tam trochę cywilów, tłumacze, służba. Mamy tam dwóch ludzi, jak już powiedzieć... eee... powiedziałem.

Dzwon okrętowy wybił właśnie osiem szklanek, na górze nastąpiła zmiana wachty. Jack zerknął na barometr - wciąż opadał.

- Niech pan posłucha, panie Maragall - powiedział. - Przedstawię panu ogólny zarys mojego planu, proszę dzielić się spostrzeżeniami, jeśli przyjdą panu jakieś do głowy. Mam zamiar dostać się do Port Mahon na zdobytej wczoraj francuskiej kanonierce. Przybijemy do, dajmy na to, Johnson's Steps albo Boca Chica, po czym małymi grupkami dostaniemy się przez kościół Świętej Anny w okolice muru okalającego ogród. Zajmiemy dom tak cicho, jak to tylko możliwe, po czym albo szybko powrócimy na pokład kanonierki, albo udamy się za miasto do Cala Garau. Słabe punkty mojego planu to: sposób wejścia do portu, brak przewodników po mieście i awaryjnej drogi odwrotu. Zanim jednak to omówimy, proszę mi powiedzieć, czy wie pan coś o francuskich okrętach w porcie? Jaka jest formalna procedura towarzysząca wejściu okrętów francuskich do portu, jak często wchodzi do portu, gdzie są rejony ich cumowania?

- Ja nie znam się na tym. Jestem prawnikiem. Adwokatem - powiedział Maragall po chwili. - Teraz nie ma w porcie francuskiego statku. Gdy nadpływa jakiś, to wymieniają sygnały przy Cape Mola, ale jakie to sygnały? Jest też łódź sanitarna. Jeśli statek ma świadectwo sanitarne, to łódź prowadzi do rejonu cumowania. Jeśli nie, to do wyspy kwarantannowej. Myślę, że Francuzi cumują powyżej urzędu celnego. Ja mógłbym panu wszystko powiedzieć, gdyby był czas. Mój kuzyn jest doktor.

- Nie ma czasu!

- Ależ tak, kapitanie, jest czas - wolno powiedział Maragall. - Ale czy pan naprawdę wpłynie do portu? Liczy pan na to, że Francuzi nie wystrzelą, bo pan wywiesi ich flagę?

- Niech pan pozostawi to mnie.

- Dobrze. Jeśli pan wysadzi mnie na ląd przed świt, ja spotkam pana na łodzi sanitarnej albo ja powiem mojemu kuzynowi doktorowi, co on musi zrobić. Tak czy tak, spotkam się z panem i powiem wszystko, co załatwiłem, i pomogę poradzić sobie z wszystkimi problemami. Chce pan mieć przewodników po mieście, zatem dostanie ich pan. Załatwię też drogi odwrotu, tak. Ja muszę się naradzić.

- Mam zatem rozumieć, że uważa pan ów plan za wykonalny?

- Tak. Dostać się do środka, tak. Wy płynąć z portu, tak - zna pan port tak dobrze, jak ja znam. Wszystkie działa i baterie przez całe cztery mile. Jednak wpłynąć i wzbudzić podejrzenia jakimś głupstwem, co moi przyjaciele potrafiliby zaradzić, byłoby niemądre. Ja muszę się naradzić. Ja mam nadzieję, że pozwoli mi pan zejść na ląd?

- Tak, jasne. Żaden ze mnie polityk ani znawca charakterów ludzkich, ale mój przyjaciel jest nim jak najbardziej. Czuję ulgę, mogąc zawierzyć jego intuicji - powiedział Jack, a po pojawieniu się oficera wachtowego dodał: - Panie Fieldings, podejźmy do brzegu. Przy Cala Blau? - spytał, patrząc na Maragalla. Ten pokiwał głową. - Do Cala Blau. Postawić pełne żagle! Kuter ma być gotowy na mój znak!

Fielding powtórzył rozkaz i wybiegł na pokład.

- Załoga, przygotować okręt do zwrotu! - wykrzykiwał rozkazy, nim jeszcze minął wartownika przy schodach.

Jack przez chwilę słuchał tupotu stóp na pokładzie, po czym powiedział:

- W trakcie podchodzenia do lądu chciałbym jeszcze omówić z panem kilka szczegółów.

Napije się pan wina? A może kanapkę?

- Cztery szklanki - oznajmił Killick, budząc go. - Pan Simmons czeka już na pana.

- Panie Simmons - oznajmił Jack zachrypniętym głosem, któremu starał się nadać oficjalne brzmienie. - Po zachodzie słońca zabieram przyz do Port Mahon. Ta misja ma specjalny charakter i nie wymagam od żadnego z oficerów na pokładzie, by wzięli w niej udział, poza tym, jak przypuszczam, nikt nie zna dobrze portu i miasta. Co do załogi, wezmę ochotników spośród tych, którzy wczoraj zdobyli kanonierkę, niemniej przed podjęciem decyzji należy ich ostrzec, że biorą udział w misji wielce niebezpiecznej. Proszę też wysłać kuter do Cala Blau, ma na nas czekać w jaskini od północy aż do zachodu słońca następnego dnia - o zachodzie słońca ma się spotkać się z fregatą w miejscu oznaczonym tutaj, chyba że wcześniej otrzyma

inne rozkazy. Z identycznymi rozkazami wysłał pan szalupę do Rowley's Creek. Proszę ich zaopatrzyć w żywność na tydzień. Rozkazy dla fregaty są następujące: po wysłaniu szalupy i kutra weźmie pan kurs na nawietrzną Cape Mola. Po nastaniu świtu wciągnie pan banderę francuską i będzie się trzymał przylądka na odległość strzału armatniego. Do tego czasu powinienem dotrzeć na pokład - jeśli nie uczynię tego do szóstej po południu, proszę się udać do umówionego punktu spotkania i czekać tam dwadzieścia cztery godziny. Po upływie tego czasu proszę skierować się na Gibraltar, niezależnie od tego, czy powrócę, czy nie. Proszę, oto rozkazy dla pana, przeczyta pan tam wszystko, o czym teraz panu mówię. Przede wszystkim proszę zapamiętać jedno - zabraniam podejmowania jakichkolwiek ekspedycji ratunkowych. Nagła wizja wyprawy tych pocziwych, dzielnych, ale jakże bezradnych i pozbawionych umiejętności perspektywicznego myślenia chłopaków brnących na obce ziemie oraz fregaty padającej pod ostrzałem hiszpańskich kanonierek lub ciężkich baterii na Cape Mola czy St Phillip, sprawiła, że powtórzył te słowa jeszcze raz. Po chwili przerwy nieco mniej pewnym tonem dodał:

- Mój drogi panie Simmons, chciałbym również obciążyć pana obowiązkiem zatroszczenia się o moje prywatne sprawy. Jeśli wydarzenia przybiorą niekorzystny obrót, proszę przesłać te listy z Gibraltaru na mój adres domowy.

Pierwszy oficer spuścił wzrok, po czym ponownie spojrzał Jackowi w twarz. Wyglądał na bardzo zakłopotanego i najwidoczniej nie potrafił znaleźć właściwych słów, ale Jack już nie chciał ich słyszeć. To była jego własna wyprawa. Poza garstką ludzi z dawnej załogi „Sophie” był jedynym człowiekiem na pokładzie znającym Port Mahon od środka i zdecydowanie też jedynym, który był w ogrodzie Molly Harte i jej pokoiku muzycznym, toteż teraz, gdy ogarniające go napięcie z wolna sięgało zenitu, nie życzył sobie żadnych wielkich gestów. Nie była to odpowiednia chwila na dzielenie się emocjami.

- Proszę porozmawiać z załogą abordażową przyzu, panie Simmons - w jego głosie pojawił się cień zniecierpliwienia. - Ci, którzy zdecydują się na udział w wyprawie, mają być zwolnieni ze swoich obowiązków, muszą przecież odpocząć. Chcę też zamienić kilka słów ze sternikiem tej łodzi. Niech kanonierka przybije do burty, zejść na jej pokład, gdy będę gotów. To wszystko, panie Simmons.

- Tak jest, sir - powiedział Simmons. Zatrzymał się i odwrócił w drzwiach, ale Jack był już zajęty przygotowaniami.

- Killick - odezwał się. - Moja szpada stępiła się wczoraj, zabierz ją do zbrojmistra. Niech ją naostrzy jak brzytwę! I zerknij też na pistolety, skałka się zużyła. O, Bonden, jesteś. Pamiętasz Port Mahon?

- Oczywiście, sir.

- Dobrze. Dziś wieczór wpłyniemy tam kanonierką. Francuzi trzymają doktora w więzieniu. A teraz spójrz na tę książkę. Zawiera francuskie kody i sygnały, posprawdzaj według niej chorągiewki oraz latarnie kanonierki i przygotuj wszystko jak należy. Jeśli czegoś nie ma, to zdobądź to. Potem uszykuj sobie jakieś ciepłe ubranie i weź pieniądze. W najgorszym przypadku możemy skończyć w twierdzy Verdun.

- Tak jest, sir. Pan Simmons do pana.

Pierwszy oficer zameldował, że cała załoga szalupy zgłosiła się na ochotnika do udziału w wyprawie, w związku z czym dał im wolne.

- I jeszcze jedno, sir - dodał. - Oficerowie i załoga uznają to za obrazę, jeśli zabroni się im udziału w misji... znaczy, jeśli pan ich nie zabierze. Nalegam, by nie rozczarował pan mnie i całej mesy oficerskiej.

- Wiem, o co panu chodzi, Simmons. Uszanuj czyjeś uczucia i tak dalej. Sam powinienem mieć takie odczucia, niestety, to szczególna misja i nie mam zamiaru zmieniać moich rozkazów. Czy kanonierka stoi już przy burcie?

- Dobija do ćwiartki rufowej, sir.

- Niech pan West i jego ludzie sprawdzą takielunek, sam zejść na pokład za pół godziny. Aha, niech pan wyda załozce kanonierki czerwone wełniane czapki, takie, jakie się nosi na Morzu Śródziemnym - dodał, spoglądając na zegarek.

— Tak jest, sir - odparł Simmons zmartwiałym głosem.

Pół godziny później Jack wyszedł na pokład w zarzuconym na ramiona płaszczu, zakrywającym wygnieciony mundur, w zadartym kapeluszu i hesyjskich butach na nogach.

- Na okręt powrócę dopiero po wykonaniu zadania w Port Mahon, panie Simmons - powiedział, patrząc na niebo. - Proszę wysłać szalupę po wybiciu ósmej szklanki wachty popołudniowej. Do widzenia.

- Do widzenia, sir.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Jack skinął każdemu z oficerów i dotknął kapelusza na pożegnanie. Na pokład kanonierki zszedł przy akompaniamencie gwizdków bosmańskich i natychmiast chwycił za rumpel, pozwalając łodzi odpaść na zawietrzną i pomknąć z rześką bryzą wiejącą z baksztagu lewej burty. Wyspa rosła na horyzoncie z południowej strony, cyple pojawiały się jeden za drugim i Jack pchnął rumpel do długiego, łagodnego zakrętu. Łódź nie należała do typowych kanonierek strzegących Tulonu, nie była też jedną z owych ciężkich hiszpańskich kryp, które wypęzły z Algeciras za każdym razem, gdy zalegała cisza morska, nie przypominała też owych niezdolnych do samodzielnej żeglugi barek portowych, na których ustawiano pojedyncze, ciężkie działa. Nigdy by zresztą nawet nie pomyślał o zatrzymywaniu któregoś z tych łodzi jako przyz. Ich kanonierka była półpokładowym barca-longasem z możliwością umieszczenia działa tuż przed krótkim, wychylonym do przodu masztem. Tego typu okręciki były doskonale przystosowane do warunków Morza Śródziemnego i wślizgiwania się do każdego portu.

Zachwycać się jednak nie było czym. W miarę jak wyostrzał do wiatru, rumpel stawał się coraz bardziej oporny, dawał też o sobie znać ciężar działa na dziobie. Mimo to łódź mocno trzymała się kursu, nie wykazywała tendencji do wychodzenia z wiatru i dziarsko cięła fale dziobem, śląc bryzgi wody daleko za rufę.

Oto było coś, na czym znał się dobrze. Co prawda żagiel łański różnił się od rejowego bądź kutrowego, jednak ogólna zasada sterowania była taka sama. Czuł się niemal jak jeździec dosiadający dobrze ułożonego konia z innej stajni. Sterował łodzią bez widowiskowych popisów, ale pewnie i zdecydowanie, kreśląc długie zakręty wokół fregaty, dopóki słońce nie zaczęło zbliżać się ku zachodowi.

Podprowadził łódź pod zawietrzną burtę fregaty, zasygnalizował, że czeka na resztę załogi, po czym zszedł do niskiej, trójkątnej klitki na rufie. Czas schodzenia załogi w czerwonych kapeluszach na pokład kanonierki wypełnił studiowaniem zdobycznej książki sygnałowej i map okolicznych wód. Nie było ku temu żadnej konkretnej potrzeby, jako że bardzo dobrze znał wody minorkańskie, a kody świateł i chorągiewek sygnałowych miał mocno wryte w pamięci, jednak w tej chwili każdy kontakt z fregatą oznaczał osłabienie koncentracji, tak bardzo mu potrzebnej już za kilka godzin. Jeśli, rzecz jasna, opadający barometr i nieprzyjemnie wyglądające niebo nie zwiastowały zbliżającej się wichury...

Bonden zameldował komplet załogi na pokładzie. Całkowicie nieobecny myślami Jack wyszedł na górę, niecierpliwym ruchem głowy zbył witający go wrzask, po czym chwycił za rumpel i wyłożył go na prawą burtę. Łódź zaczęła odpadać od wiatru w kierunku wschodniego cypla. Dostrzegł markotnego Killicka, wbrew jego rozkazom czającego się na pokładzie z koszem pełnym jedzenia i kilkoma butelkami, ale zignorował go, szukając wzrokiem sternika. Przekazał mu rumpel wraz z wytycznymi co do kursu, po czym zaczął przemierzać pokład tam i z powrotem, szacując siłę wiatru, prędkość kanonierki i zmiany w rzeźbie terenu.

Brzeg przesunął się w odległości mili od sterburty, dobrze mu znajome cypelki, plaże i zatoczki sunęły jak w sennym majaku. Wrażenie to potęgowała cisza na pokładzie. Naraz

uderzyła go myśl, że monotonne kroczenie wzdłuż burty powoli odrywa go od rzeczywistości i burzy potrzebną mu teraz koncentrację - schylając się, zniknął pod pokładem.

- Znowu zaczynasz swoje cholerne dąsy, jak widzę - powiedział chłodno na widok Killicka. Steward nie odpowiedział i skupił się na układaniu na stole zastawy z zimną baraniną, masłem i chlebem oraz butelki czerwonego wina.

- Muszę coś zjeść - powiedział do siebie Jack i demonstracyjnie przystąpił do jedzenia. Ściśnięty żołądek jednak wzbierał się przed przyjęciem jakiegokolwiek posiłku, nawet wino z trudem przechodziło przez gardło. Nigdy wcześniej - ani w trakcie jakiegokolwiek akcji, ani w okresie jakiegoś osobistego kryzysu - nie przytrafiło mu się coś podobnego. - Przecież to nie ma sensu! - zachnął się, odsuwając od siebie posiłek.

Kiedy znów wyszedł na pokład, słońce dotykało już niemal krawędzią lądu na zachodzie, a Cape Mola wyrastał przed dziobem z prawej burty. Wiatr stał się porywisty, część załogi zajęta była wyczerpywaniem wody. Okrążanie przylądka byłoby teraz ryzykownym manewrem, wiatr mógł zepchnąć ich z kursu i rzucić prosto na skalisty brzeg. Tak czy owak, czas mieli dobry - Jack zamierzał minąć zewnętrzne baterie w świetle dnia, by wyraźnie było widać banderę francuską, i wpłynąć do portu z nastaniem zmroku. Zerknął na trójkolorową flagę na topie masztu, na chorągiewki, które Bonden przymocował do fałów sygnałowych, po czym przejął ster.

Nie było już czasu na zadumę, teraz całkowicie skupił się na rozwiązywaniu problemów technicznych. Coraz szybciej zbliżał się ku lądowi i coraz wyraźniej widział białą pianę przyboju - musiał teraz zgrabnie okrążyć cypel, a nawet przy najlepszej ocenie stanu morza, nie zauważony wir wodny mógł wywrócić łódź lub cisnąć ją na zawietrzną.

- Teraz, Bonden - powiedział, kiedy stacja sygnałowa pojawiła się w polu widzenia. Zwinięte dotąd chorągiewki sygnałowe zafurkotały na wietrze. Odwrócił wzrok od powierzchni morza i napiętego żagla i patrzył z napięciem na łopoczącą na wietrze flagę hiszpańską - jeżeli nadali właściwy sygnał, Hiszpanie powinni odpowiedzieć, salutując flagą. Ta jednak tkwiła nieruchomo przez niepokojąco długą chwilę, po czym drgnęła w dół i w górę.

- Uznali sygnał - powiedział. - Wybierać szoty. Do fałów!

Marynarze w ciszy skoczyli na miejsca, spoglądając to na naprężony żagiel, to na niebo. Jack znalazł oparcie i zaciskając mocno zęby, napał na rumpel. Łódź odpowiedziała natychmiast, nurzając burtę zawietrzną coraz głębiej w pianie. Wiatr nacierał z trawersu, ale kanonierka twardo parła na ustalonym kursie, aż na lewo od dziobu wyłonił się St. Phillips. Szeroka linia białej piany, oznaczająca krawędź pełnego wiatru, była już ćwierć mili przed dziobem, najgorsze zatem mieli już za sobą. Jeszcze trochę i po wyprostowaniu kila łódź wpłynęła na spokojniejsze wody za zawietrzną półwyspu.

- Satisfaction, przejmij rumpel - powiedział Jack. - Bonden, czuwaj nad kursem.

Dwa cyple, stanowiące wejście do portu, zbiegały się, a w najwęższym przesmyku między nimi czuwały po obu stronach ciężkie baterie. W niektórych kazamatach paliło się już światło, ale wciąż było wystarczająco widno, by Francuzi mogli dostrzec oficera za sterem łodzi, co stanowiło widok raczej niezwykły. Zbliżali się coraz bardziej i w końcu w absolutnej ciszy kanonierka wpłynęła w przesmyk, sunąc tak blisko armat, że z pokładu z łatwością można było wrzucić kawałek suchara prosto do lufy jednej z nich.

- *Parlez-vous francais?** - wykrzyknął ktoś w półmroku i zachichotał.

- *Hijos de puta!*** - wrzasnął inny.

Przed nimi rozciągała się rozległa przestrzeń wodna z wyspą szpitalną w odległości dobrej mili na prawo od dziobu. Ostatnie promienie słoneczne opuściły już szczyty wzgórz i długi port wypełniała rdzawa poświata zachodu słońca, miejscami przechodząca już w czerń mroku. Powierzchnię basenu marszczyły podmuchy tramontany, z rzadka wiało mocniej, lecz poczucie bezpieczeństwa było złudne. Wśród coraz jaśniejszych świateł portowych widać już było

przerwę między wzgórzami, skąd taki właśnie nagły podmuch w 1798 poważnie zagroził „Agamemnonowi”.

- Brać żagle na gejtawy. Wiosła w dół - poleciał Jack. Wpił wzrok w wyspę szpitalną i patrzył na nią w napięciu, aż oczy poczęły mu łzawić. Wreszcie jakaś łódź odbiła od brzegu. - Cisz na pokładzie! - zawołał. - Żadnego pokrzykiwania, żadnego gadania, słyszać mnie dobrze?

- Łódź na prawo od dziobu - wyszeptał mu Bonden do ucha.

Jack pokiwał głową.

- Kiedy machnę ręką w ten sposób, wciągajcie wiosła - powiedział i zademonstrował. - Kiedy machnę tak, cała naprzód.

Z wolna obie łodzie zbliżały się do siebie i choć czuł, że jego umysł pracuje tak precyzyjnie, jak tylko mógłby sobie tego życzyć, zauważył, że wstrzymuje oddech. Z westchnieniem wciągnął w płuca głęboki haust powietrza, a wtedy okrzyknięto ich z drugiej łodzi.

- *Ohe, de la barca!*

- *Ohe!* - powtórzył i pomachał dłonią.

Obie łodzie zetknęły się burtami i szczyły hakami, po czym jakiś człowiek ciężko przeskoczył przez burtę, niemalże upadając. Jack pochwycił go za ramię i pomógł zachować równowagę. Spojrzał mu w twarz - to był Maragall. Obca łódź odbiła od kanonierki i Aubrey, machnąwszy w umówiony sposób do Bondena, poprowadził Maragalla do kabiny.

- Co z doktorem?

- On żywy. I ciągle tam. Ale oni mówią, żeby jego przenieść. Ja nie wysłałem jemu żadnej informacji i nie otrzymałem żadnej. - Twarz Maragalla była napięta i blada, ale zmusił się do grymasu przypominającego uśmiech. - A więc wpłynął pan. Bez kłopotu. Ma pan zakotwiczyć przy starym nadbrzeżu, gdzie oni ładują prowiant. Oni dali panu brudne, śmierdzące miejsce, ponieważ oni myślą, że pan jest Francuz. Proszę posłuchać - mam czterech przewodników. Załatwiłem też, że kościół będzie otwarty. O godzinie wpół do trzeciej ja podłożę ogień w magazynie Martineza blisko arsenału. Martinez zasłużył na to, on wydał doktora. Wtedy mój przyjaciel, oficer, wyprowadzi swoich żołnierzy, żeby oni nie wylecieli w powietrze. O trzeciej nie będzie więc ani żołnierzy, ani policji w promieniu mili od domu. Dwóch naszych ludzi, którzy w domu pracują, będą czekać w kościele, by pokazać wam drogę. Rozumie pan?

- Tak. Ilu ludzi będzie w domu?

- Jakaś łódź nas okrzykuje. - Bonden wetknął głowę do kabiny.

Obaj poderwali się z miejsc i wybiegli na pokład, Maragall wyteżył wzrok. Światła Port Mahon lśniły wokół, ukazując ciemny kontur feluki w odległości kilkuset jardów.

- On pyta, jaka pogoda jest na zewnątrz - wyszeptał Maragall.

- Ostro wieje. Niech mocno zrefują marsle. Maragall wykrzyknął coś po katalońsku i feluka została

z tyłu, znikając po chwili z pola widzenia. Znowu znaleźli się w środku, Minorkańczyk wytarł spoconą twarz.

- Gdyby było więcej czasu... - wymamrotał. - Ilu ludzi? Ośmiu i kapral, poza tym prawdopodobnie wszystkich pięciu oficerów i tłumacz, ale pułkownik może jeszcze nie wrócił. Gra w karty w twierdzy. Jaki jest pana plan?

- Wysadzić małe oddziały między drugą a trzecią w nocy, dotrzeć do kościoła Świętej Anny bocznymi uliczkami i przez mur dostać się do ogrodu. Jeśli znajdziemy tam doktora, natychmiast wycofujemy się tą samą drogą. Jeśli go tam nie będzie, wpadamy przez patio do domu, w ciszy barykadujemy wejścia i przeszukujemy go od piwnic aż po strych. Jeśli wywołamy alarm, wycofamy się w przeciwnym kierunku, za miasto. Szalupy będą na nas czekać w Cala Blau i Rowley's Creek. Może pan załatwić konie? Może potrzebne są pieniądze?

Maragall potrzęsła niecierpliwie głową.

- Nie chodzi tu tylko o Estebana - wyjaśnił. - Jeżeli pozostawicie innych więźniów w celach, Francuzi będą wiedzieć, kogo mają szukać, a to wywoła nowe aresztowania. Poza tym wśród więźniów są nasi ludzie.

- Rozumiem - powiedział Jack.

- Esteban by sam tak panu powiedział - szeptał Maragall z naciskiem. - To musi wyglądać na powstanie wśród wszystkich więźniów.

Jack pokiwał głową, patrząc przez tylny bulaj.

- Już prawie dobijamy. Niech pan będzie na pokładzie podczas cumowania.

Stare nadbrzeże było coraz bliżej, a wraz z nim zbliżał się smród zgniłych ryb. Kantonierka prześlizgnęła obok jasno oświetlonego urzędu celnego i pogrążyła się w ciemnościach za nim. Łódź sanitarna okrzyknęła ich, zwracając w kierunku portu, Maragall coś odpowiedział. W chwilę później Bonden półgłosem wydał komendę: „Wiosła złoś” i łagodnie pchnął rumpel, sterując burtą łodzi w kierunku czarnej, pokrytej szlamem, kamiennej kei. W jednej chwili zamocowano cumy wokół pachołków i na pokładzie znów zaległa cisza, zakłócana jedynie pluskiem wody na prawej burcie i przytłumionymi odgłosami miasta. Na nadbrzeżu górowały kupy śmieci, a za nimi wznosiła się opuszczona manufaktura i fragment stoczni za zniszczonym ogrodzeniem. Dwa niewidoczne koty miauczały przeraźliwie gdzieś pośród śmieci.

- Czy pan mnie rozumie? - nalegał Maragall. - Doktor powiedziałby dokładnie to samo.

- Dobrze już - uciął gniewnie Jack.

- On by tak powiedział - powtórzył Maragall. - Wie pan, gdzie my teraz jesteśmy?

- Tam jest kościół kapucynów. A tam Świętej Anny. - Skinął głową w stronę wieży. Górowała wysoko nad nimi, ponieważ kościół wybudowano na klifie rozpoczynającym się w połowie miasta i ciągnącym się daleko, daleko za nim.

- Ja muszę już iść - powiedział Maragall. - Ja wrócę o pierwszej wraz z przewodnikami. I błagam pana, proszę przemyśleć to, co ja rzekłem - trzeba uwolnić wszystkich.

Dochodziła ósma. Przeciągnęli łódź na kotwicy zawoźnej i przycumowali rufą do nadbrzeża.

Wiosła mieli pod ręką, gotowi ich użyć w każdej chwili. Rozpoczęło się samotne czuwanie.

Jack kazał wydać posiłki, ludzie tłoczyli się więc po sześciu w kabinie, podczas gdy reszta kryła się pod półpokładem. Widać było tylko jedno światło, nie dostrzegali żadnego poruszenia, nie docierały do nich żadne niepokojące dźwięki. Zakątek portu sprawiał wrażenie wymarłego.

Jak znakomicie załoga znosiła oczekiwanie! Jedyne, co Jack mógł usłyszeć, to cichy pomruk rozmów i stłumiony grzechot kości, jeden z Chińczyków pochrząkiwał przez sen. W końcu nic dziwnego, oni mieli wiarę we wszechwiedzącego przywódcę, który w pełni kontrolował sytuację, był starannie przygotowany do działania, znał lokalne układy i miał pewnych sojuszników. Jack takiej wiary, rzecz jasna, nie miał. Co kwadrans nad Port Mahon rozlegało się bicie zegarów na wieżach kościelnych. Wyraźnie rozróżniał łagodniejsze brzmienie tego z wieży kościoła Świętej Anny, który tyle razy słyszał wraz z Molly Harte w owej pamiętnej altance w ogrodzie. Minął kolejny kwadrans, i jeszcze jeden. W końcu wybiła dziewiąta. Potem dziesiąta.

Naraz uświadomił sobie, że patrzy w górę na Killicka.

- Trzy szklanki, sir. Oto pańska kawa i kawałek mięsa. Niech się pan spróbuje przespać, sir. Bóg czuwa nad nami.

Jak na żeglarza przystało, Jack zwykł zrywać się z koi o każdej godzinie na każdej szerokości geograficznej. Przez długie lata wojny do perfekcji opanował też umiejętność błyskawicznego zrzucania z siebie oparów głębokiego snu, by natychmiast być gotowym do akcji na pokładzie, jednak teraz czuł się inaczej. Miał uczucie rozpierającej go energii i gotowości do działania - był innym człowiekiem niż podczas rejsu do portu, minął już stan chłodnego, desperackiego skupienia. Zamiast ostrego zapachu prochu do działania wzywał go smród nadbrzeża. Jack

żarłocznie pochłonął swoją porcję, po czym przesunął się w stronę dziobu, by porozmawiać z załogą. Jego pogodny nastrój najwyraźniej zaskoczył marynarzy, wciąż pamiętających rejs do Port Mahon i dzikie ataki na każdego, kto tylko naruszył jego prywatność. Jeszcze bardziej zaskoczył ich jednak fakt, że dawno już wybiła pierwsza, a nie było śladu Maragalla. Szybkie kroki człowieka biegnącego na nadbrzeżu usłyszeli dopiero tuż przed drugą.

- Wybaczcie mi - wysapał. - W tym kraju trudno zmusić ludzi do pośpiechu. Oto przewodnicy. Wszystko w porządku. Zatem w kościele o trzeciej? Będę tam.

- Niech będzie trzecia - potwierdził Jack, po czym zwrócił się do stojących w cieniu przewodników. - *Cuatro groupos, cinco minutos** każda, dobra? Satisfaction, idziesz ze swoją grupą po mnie, potem Java Dick i jego ludzie, na końcu Bonden.

Wreszcie zeskoczył na brzeg, po raz pierwszy od wielu miesięcy morskiej włóczęgi czując twarde gruntu pod nogami. Wydawało mu się, iż dobrze zna Port Mahon, ale zagubił się całkowicie już po pięciu minutach wędrówki ciemnymi uliczkami, gdzie jedyną oznaką życia były przemykające w mroku koty i daleki głos matki uciszającej dziecko. Dopiero gdy, pochyleni, przebyli niski, cuchnący tunel, ze zdumieniem powitał znajomy widok małego dziedzińca przed kościołem Świętej Anny. Jeden po drugim wślizgnęli się po cichu do środka przez uchylone drzwi. Ciemności wewnątrz kościoła rozświetlała pojedyncza świeca w jednej z bocznych kapliczek. Czuwało przy niej dwóch ludzi trzymających białe chustki. Jeden z nich wyszeptał coś do ich przewodnika, księdza lub też mężczyzny wyglądającego jak ksiądz, po czym podeszli do niego bliżej i zagłębili się w szybkiej rozmowie. Jack nic z niej nie rozumiał, zwrócił jedynie uwagę na fakt, że powtórzono kilkakrotnie słowo *foch*.

* *Cuatro groupos, cinco minutos* (hiszp.) - „Cztery grupy, pięć minut”. Hiszpański Jacka jest kiepski i miesza się z angielskim - powinien powiedzieć: *Cuatro grupos, cinco minutos*.

Drzwi otworzyły się ponownie i do środka wślizgnęła się kolejna grupa. Jack dostrzegł w tym momencie lunę czerwieniejącą nad miastem. Kiedy drzwi rozwarły się na nowo, by wpuścić kolejny oddziałek spiskowców, Jack stał już przy framudze i wyglądał na zewnątrz. Przy porcie płonęły jakieś zabudowania, a przez ulatujące na południe kłęby dymu przebijała purpura płomieni. Niespodziewanie dobiegł ich przeraźliwy, nagle urwany krzyk cierpienia. Dochodził z niezbyt oddalonego miejsca.

- Słyszał pan? - zawołał Bonden, nadbiegając przez dziedziniec na czele ostatniej grupki. - Słyszał pan, co te sukinsyny wyprawiają?

- Zamknij się, przeklęty durniu! - warknął Jack. Zegar na wieży zazgrzytał i wybił trzecią. Na ten sygnał

Maragall wychynął z mroku.

- Naprzód! - rzucił Jack i ruszył biegiem w kierunku uliczki wychodzącej z rogu dziedzińca przed kościołem. Poprowadził spiskowców wzdłuż wysokiego muru aż do miejsca, gdzie gałęzie rosnącego po drugiej stronie figowca rozpostarły się nad ich głowami. - Bonden, podsadź mnie! - rozkazał. Błyskawicznie znalazł się na szczycie muru i przywiązał linę dla reszty. - Zeskakiwać po cichu! Cisza! - szepnął ostrzegawczo i zsunął się na podwórze.

Widział przed sobą w ogrodzie pawilon z dużymi, pełnymi światła oknami. W środku dostrzegł trójkę otaczających koło tortur oficerów, cywila notującego coś przy biurku obok i jeszcze jednego żołnierza, opierającego się o drzwi. Gdy Francuz, krzyczący coś do człowieka na kole, cofnął się, by wziąć zamach do kolejnego ciosu, Aubrey dostrzegł, że ofiarą nie był Stephen. Za sobą słyszał stłumiony łoskot kolejno opuszczających się z muru marynarzy.

- Satisfaction! - wyszeptał. - Zajmij ze swoimi pozycje po drugiej stronie, przy drzwiach. Java Dick, bierz to oświetlone przejście, Bonden za mną!

Z ust torturowanego znów wyrwał się przeszywający do szpiku kości krzyk. Jeden z Francuzów, młodzieniec o uderzająco pięknej twarzy, spojrział z tryumfem na swoich kolegów. Miał rozpięty kołnierz, płaszcz zarzucony na ramię i trzymał coś w dłoni.

Jack dobył szpady i otworzył okno - wyraz oburzenia na twarzach odwracających się ku niemu Francuzów w jednej chwili przerodził się w szok i przerażenie. Jack nie tracił czasu - w trzech długich susach dopadł młodzieńca, ciął go z furją, po czym natychmiast wyprowadził cios w bok, w mężczyznę obok niego. Naraz pokój eksplodował życiem - ryk atakujących, tupot stóp, łoskot walących się ciał, krzyk ostatniego z oficerów, trzask łamanych mebli, stłumiony wrzask czarnoskórego pisarza przygniecionej przez dwóch marynarzy i w końcu zwierzęce wycie próbującego salwować się ucieczką żołnierza przy drzwiach. Potem nastąpiła cisza.

Wykrzywiona z bólu, zalana potem, niemalże pozbawiona ludzkich cech twarz torturowanego wpatrywała się w nich z napięciem.

- Odciąć go - rozkazał Jack.

Mężczyzna jęknął i zacisnął oczy, czekając na ulgę.

W napięciu czekali na jakąkolwiek reakcję. Docierały do nich wyraźne odgłosy kłótni trzech lub czterech żołnierzy na parterze i czyjeś pogwizdywanie na piętrze, jednakże nic nie wskazywało na to, że Francuzi przeczuwali jakieś zagrożenie.

- Dobrze, teraz budynek główny - rozkazał Jack. - Maragall, gdzie siedzi straż?

- Pierwszy pokój na lewo w przejściu.

- Znacie ich imiona?

Maragall rozmawiał przez chwilę z mężczyznami z białymi chustkami.

- Kapral to jest Potier. Jeden z żołnierzy nazywa się Normand - oznajmił.

Jack pokiwał głową.

- Bonden, pamiętasz drzwi we frontowym patio? Zablokuj je z szóstką ludzi. Satisfaction, zostań ze swoimi na podwórzu. Java, ty i twoi ludzie zastawcie te drzwi. Reszta za mną. W ciszy!

Wolno przeszedł przez podwórze, hałasując buciorami na kamiennym podejściu, marynarze sunęli za nim z cichym szelestem stóp. Odwrócił się, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, po czym głośno krzyknął:

- Potier!

W tej samej chwili, niczym echo, ktoś na piętrze powtórzył „Potier!” Przerwane pogwizdywanie podjęto na nowo, po czym znowu przerwano.

- Potier! - tym razem krzyk był głośniejszy. Kłótnia w pokoju strażników przycichła.

- Potier!

- *J'arrive, mon capitaine!** - zawołał kapral i wyszedł z pokoju, wciąż mówiąc coś do siedzących w środku. Naraz rozległo się pojedyncze, pełne zaskoczenia westchnienie, głuchy odgłos upadku, a potem cisza.

- Normand! - zawołał Jack. Drzwi znowu się otwały, lecz tym razem na twarzy wyglądającego zza nich Francuza wypisana była podejrzliwość. Zorientowawszy się w sytuacji, żołnierz natychmiast zatrzasnął drzwi.

- A więc to tak... - mruknął Jack i nie namyślając się wiele, uderzył w nie z impetem. Już po pierwszym natarciu drzwi wypadły z hukiem i Jack wpadł do środka, ale w pokoju pozostał tylko jeden żołnierz, próbujący w ślad za resztą przecisnąć się przez okno. Pochwycili go i obezwładnili, a tymczasem w ogrodzie rozległy się alarmujące wrzaski uciekających.

- Potier? - nadbiegło z góry. Pogwizdywanie przesunęło się w dół schodów. - *Qu'est-ce que ce remue-menage?***

W świetle wielkiej latarni w przejściu Jack dostrzegł tryskające energią i dobrym samopoczuciem oblicze schodzącego po schodach oficera w dobrze dopasowanym mundurze. Znieruchomiał - to był Dutourd, nie miał wątpliwości.

* *J'arrive, mon capitaine!* (fr.) - Już idę, mój kapitanie! ** *Qu'est-ce que ce remue-menage* (fr.)
- Co tam się, u licha, dzieje?

Dutourd właśnie chciał podjąć pogwizdywanie przerwane go motywu muzycznego, kiedy naraz na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Dłonią bezwiednie sięgnął po rękę szpady, napotkał jednak pustkę.

- Trzymajcie go - rozkazał Jack nadbiegającemu ciemnoskóremu marynarzowi. - Maragall, spytaj go, gdzie trzymają Stephena.

- *Vous etes un officier anglais, monsieur?** - zapytał Dutourd, ignorując Maragalla.

- Odpowiadaj, łajdaku, obyś szczeł! - wrzasnął Jack z taką wściekłością w głosie, iż Francuz aż się zatrząsł.

- *Chez le colonel*** - odpowiedział.

- Maragall, ilu tu ich jeszcze jest?

- On mówi, on jest jedyny w domie. On mówi, że Esteban jest w pokoju pułkownika.

Pułkownik nie wrócił jeszcze z kart.

- Idziemy.

Stephen widział ich, jak wdzierają się w jego zawieszony w czasie senne widziadła. Bywali już w nich wcześniej, ale nigdy wszyscy razem, nigdy też w takich zamazanych, nieciekawych kolorach. Uśmiechnął się do Jacka, choć jego twarz była tak nieprzyjemnie blada i poważna. Dopiero gdy dłonie Aubreya zaczęły zrywać krępujące go pasy, jego uśmiech zamienił się w skurcz bólu. Świat majaków i świat rzeczywisty rozpoczęły bolesny proces przenikania się.

* *Vous etes un officier anglais, monsieur?* (fr.) - Czy pan jest angielskim oficerem?

** *Chez le colonel* (fr.) - U pułkownika.

- Jack, ostrożnie, mój drogi - wyszeptał, kiedy delikatnie sadowili go na wyściełanym krześle.
- Na miłość boską, dajcie mi coś do picia. *En Maragall, valga'm Deu* - powiedział, uśmiechając się.

- Satisfaction, wyrzuć ich stąd. - Jack naraz się ocknął. Polecenie dotyczyło oswobodzonych więźniów, którzy zaczęli się pojawiać w pokoju, niektórzy pełzając. Dwóch ruszyło już bowiem w stronę wciśniętego w róg pokoju, nieruchomego Dutourda.

- Trzeba mu księdza - odezwał się Stephen.

- Musimy go zabijać? Stephen skinął głową.

- Niech najpierw napisze wiadomość... sprowadzi tu pułkownika... na przykład, że są ważne wieści... Amerykanin zaczął mówić... i że to nie może czekać...

- Niech pan mu to powie - polecił Jack Maragallowi, zerkającemu mu ponad ramieniem z wyrazem głębokiego wzruszenia na twarzy. - Niech pan mu powie, że koniecznie musi napisać krótki liścik do pułkownika. Jeśli pułkownik nie pojawi się tu w ciągu dziesięciu minut, osobiście każę go przykuć do maszyny tortur.

Maragall poprowadził francuskiego oficera do biurka i wręczył mu pióro

- On mówi, że on nie może - odezwał się po chwili. - Jego honor oficera francuskiego...

- Jego co? - wrzasnął Jack, szacując spojrzeniem maszynę, od której odwiązał Stephena.

Naraz doszedł do nich czyjś krzyk, odgłosy szamotaniny i w końcu upadek

- Sir. - Do pokoju wpadł Bonden. - Ten człowiek podszedł przed chwilą do frontowych drzwi.

- Na ramionach dwójki marynarzy wisiał bezwładnie jakiś człowiek. - Więźniowie dorwali go na schodach - wyjaśnił.

Zapadła cisza, wszyscy patrzyli na umierającego pułkownika. Niespodziewanie Dutourd poderwał się, stracił lampę i skoczył przez okno.

- Cóż, śmierć nastąpiła podczas próby ucieczki - oznajmił Stephen, kiedy już Java Dick powrócił z raportem. - Och, Jack, i co teraz? Co będzie ze mną? Niestety, ledwie dam radę pełznąć.

- Poniesiemy cię do kanonierki - zdecydował Jack.

- Z tyłu jest wyjście, którym oni wynoszą martwych więźni, za tymi drzwiami - rzucił Maragall.

- Joan - odezwał się jeszcze Stephen. - Wszystkie papiery, które mają znaczenie, są w tej biblioteczce na prawo od stołu.

Niesiono go ostrożnie, lecz szybko, pustymi uliczkami w kierunku przystani. Stephen wpatrywał się w gwiazdy i głęboko wciągał w płuca czyste, chłodne powietrze nocy. Uliczki były jak wymarłe, jedynie pojedynczy przechodzień spojrział na tak bardzo mu znajomy *cortège* i szybko odwrócił wzrok. Wciąż biegli do kei i dalej, wzdłuż niej. Już widzieli kanonierkę, grupka Johna Satisfaction czuwała na pokładzie, wszyscy gotowi przy wiosłach. Potem tylko cichy meldunek Bondena: „Wszyscy na pokładzie. Bez strat własnych, sir!”, jeszcze cichsze pożegnanie z Maragallem: „Bywaj, bywaj!” Odpowiedź: „Bóg z tobą, kapitanie, i obyśmy już nigdy nie musieli nadstawiać karków” przybiegła już przez rosnącą przestrzeń czarnej wody. Fala coraz energiczniej pluskała przy burcie. Spomiędzy tobołków z łupami zrzuconych pod pokładem rozległa się stłumiona melodia kuranta zegara. Zegnała ich cisza, Port Mahon wciąż spał.

Wywiesili latarnie sygnałowe, pozostawiwszy wyspę szpitalną na lewo za rufą. Z baterii odpowiedziano im regulaminowym salutem, flagą i szyderczym wrzaskiem: *Cochons** Potem z ulgą powitali fakt, że tramontana jak zwykle o świcie słabnie i że ów żagiel na zawietrznej to „Lively”.

- Niech będę przeklęty, jeśli podejmę się jeszcze kiedyś czegoś takiego - westchnął Jack, napierając na rumpel. Oczy piekły go od słonej wody. - Teraz to trzeba by mi całego morza, by zmyć zmęczenie.

* *Cochons* (fr.) - świnię.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Czy chory dżentelmen wypije jeszcze łyżeczek kordiału przed odjazdem? - spytała właścicielka zajazdu. - Pogoda dziś jest doprawdy paskudna, w końcu Portsmouth to nie Gibraltar. Pański przyjaciel jest wciąż blady.

Już chciała kąśliwie zasugerować, że w chwili obecnej gość nadaje się bardziej do przejażdżki karawanem aniżeli powozem, ale w porę ugryzła się w język. Nie chciała, by jej dowcip komukolwiek nasunął niewłaściwe skojarzenia na widok najlepszego powozu w zajazdzie, czekającego w tej chwili przed drzwiami.

- To znakomity pomysł, pani Moss, zaniósę mu to na górę - powiedział Jack Aubrey. - Czy wstawiła już pani naczynie do ogrzewania pościeli do powozu?

- Dwa, jeśli chodzi o ścisłość, ale nawet gdyby było ich tam dwieście, nie pozwoliłabym mu na podróż o pustym żołądku. Nie może go pan namówić, by został na obiad? Przecież cały świat wie o tym, że nic nie wzmocni go tak jak porcja gęsi zapiekanej w cieście.

- Spróbuję, pani Moss, ale z doktora uparciuch co niemiara. Jeśli już się uprze, to nic go nie odwiedzie od decyzji.

- Tacy są wszyscy pacjenci. - Potrząsnęła głową pani Moss. - Zawsze to samo. Mój stary zapierał się przed lekami nawet na łożu śmierci. Ani kordiału, ani gęsi, a wyciągu z mandragory nawet nie tknął, niczego!

- Stephen! - zawołał Jack, siląc się na beztróską wesołość. - Wypij to, proszę, i będziemy zbierać się do drogi! Czy twój płaszcz jest wystarczająco ogrzany?

- Nie będę niczego pił! - zawołał Stephen. - To kolejny z twoich cholernych kordiałów! Na litość boską, czyżbym był dzieckiem w kołysce, żeby tak wpychać we mnie wszystkie paskudztwa?

- Tylko łyczek, drogi Stephenie - upierał się Jack. - Przygotuje cię to na podróż. Pani Moss nie chce cię w takim stanie wypuszczać, a ja w pełni się z nią zgadzam. Oprócz tego zaopatrzyłem się w butelkę „Eliksiru wzmacniającego doktora Meada”, zawiera mnóstwo żelaza! No, to najpierw kropelka eliksiru, a na to kordiał pani Moss!

- Pani Moss, doktor Mead, żelazo, zaiste! - wykrzyknął Stephen. - Skąd się bierze ta wyraźna skłonność ku...

- Pana płaszcz, sir - powiedział Killick. - Ciepłutki niczym tościk. Proszę włożyć, nim się wychłodzi.

Pomogli doktorowi zapiąć płaszcz i wspierając pod oba ramiona, niemal znieśli w dół po schodach, tak że jego stopy ledwie dotykały stopni. Bonden czekał przy powozie, we trójkę pomogli mu wejść do nagrzanego wnętrza, z pełnymi zrozumienia uśmiechami ignorując wyrzaskiwane przekleństwa i oskarżenia o zamiar uduszenia go pledami i skórą owiec.

- Macie zamiar zakopać mnie żywcem? - wrzeszczał Stephen. - Więcej siana na podłodze, niż mógłby zjeść regiment koni!

Killick i Bonden troskliwie dorzucili zatem jeszcze kilka wiązek. Jack czekał przy drugich drzwiach, już gotów wskoczyć do środka, gdy niespodziewanie poczuł czyjeś dotknięcie na ramieniu. Odwróciwszy się, ujrzał człowieka z oszpeconą twarzą, urzędową laską w dłoni, a za nim dwóch innych funkcjonariuszy, trzymających konie przy uzdach. Nieopodal czekało kilku krzepkich ludzi szeryfa z pałkami.

- Kapitan Aubrey? - zapytał mężczyzna. - W imieniu prawa proszę pana o udanie się ze mną. Chodzi o tę drobną sprawę Parkina i Clappa. Zakładam, że nie będzie pan sprawiał trudności i pójdziemy powolutku bez wywoływania zbiegowiska. Pójdę z tyłu, jeśli panu to nie przeszkadza, Joe pójdzie z przodu.

- Cóż, skoro tak - odparł Jack. Nachylając się do okna powozu, rzucił: - Stephen, nakryli mnie. Chodzi o Parkina i Clappa. Chyba pójdę siedzieć. Zobacz się z Fanshawem. Napiszę do ciebie z Grapes, być może dołączę tam do ciebie. Killick, wyciągnij mój kuferek, Bonden, pojedziesz z doktorem. Opiekuj się nim, dobrze?

- Gdzie go zabieracie? - spytał zmartwiony doktor.

- Do Bolter's na Vulture Lane - odparł pełnomocnik szeryfa. - Same luksusy i najwyższy standard opieki.

- Jedźcie już - popędził ich Jack.

- Maturin, Maturin, mój drogi! - zawołał sir Joseph. - Jakże głęboko wzruszony jestem, widząc cię tu w takim stanie!

- Dobrze, dobrze... - wymijająco odparł Stephen. - Wygląda paskudnie, nie ma wątpliwości, ale to tylko powierzchowne obrażenia. Nic, czym naprawdę należało by się martwić, wszystko będzie dobrze. Byłem jednak zmuszony poprosić pana o przybycie tutaj, gdyż ze schodami radzę sobie jeszcze z trudem. To wspaniałomyślne z pana strony, że zgodził się pan tu przybyć. Doprawdy, chciałbym móc być lepszym gospodarzem..

- Ależ nie trzeba! - zawołał sir Joseph. - Bardzo podoba mi się twój pokój. Jakże przemyślnie urządzony w stylu minionego stulecia! I ten Rembrandt... Co za wspaniały kominek! Mam nadzieję, że traktują cię tu dobrze?

- Tak, dziękuję. Wszystko jest w porządku, znają tu mnie i moje zwyczaje, tylko jedna sprawa mnie martwi. Otóż wciąż zmuszony jestem spędzać w łóżu kilka godzin każdego dnia i niespodziewanie pani domu postanowiła odgrywać wobec mnie rolę pani doktor. „Nie, proszę pani!”, tłumacząc jej. „Nie będę pił żadnego »Kordiału Godfrey« ani brał »Kropki Warda«. Pani jest kucharką, więc nie mówię pani, jak przyrządzić *salmagundę**, ja zaś jestem lekarzem, proszę więc trzymać się od moich spraw z daleka!” A ona na to: „Oczywiście, proszę pana, ale

nasza Sarah, która kiedyś była w takim samym stanie jak pan, gdy przewróciła się podczas nagonki na niedźwiedzia, szybko wróciła do zdrowia, biorąc właśnie »Kordiał Godfrey« , więc proszę, sir, oto łyżeczka".

* *Salmagunda* (ang.) - potrawa składająca się z siekanego mięsa, jaj, cebuli i przypraw.

Jack Aubrey był taki sam, jeśli nie gorszy. „Do cholery, nie uczę cię, jak żeglować twoim słupem, strupem czy jak tam zwiesz tę swoją diabelską maszynę, nie próbuj nawet..." Ech tam, groch o ścianę. Szarlatani z odpustu i mikstury wiejskich znachorek, fuj! Gdyby gniew mógł na nowo połączyć moje, zmaltretowane mięśnie, byłbym już zdrow jak ryba.

Słuchający wyводу sir Joseph postanowił poniechać wcześniejszego zamiaru polecenia doktorowi leczniczych wód w Bath.

- A twój przyjaciel... Mam nadzieję, że miewa się dobrze? - powiedział zamiast tego. - Jestem wobec niego szczerze zobowiązany. Akcja twego uwolnienia to prawdziwie bohaterski wyczyn. Im więcej o tym myślę, tym bardziej go podziwiam.

- Tak, to była niezwykła akcja... Wygląda na to, że zamachy udają się, gdy poprzedza je staranne przygotowanie lub gdy przeprowadza się je zniecałkująco, wręcz improwizując. Do tego trzeba jednak kogoś wyjątkowego, kogoś, kto ma pewne specjalne przymioty, których ja nazwać nie umiem. Maurowie mówią na to *baraka*. U niego owa cnota występuje aż nader obficie i choć u innych zasługiwałaby ona na miano bezczelności, u niego jest całkiem naturalna. A mimo to musiałem go zostawić w areszcie w Portsmouth.

Reakcją sir Josepha było zaskoczenie.

- Otóż to. Jego zdolności ujawniają się tylko na morzu. Po zejściu na ląd został aresztowany za długi na żądanie całego sabatu prawników. Jego agent przyzwoity Fanshaw twierdzi, że była to suma wysokości siedmiuset funtów. Kapitan Aubrey był świadom, że hiszpański skarb nie zostanie uznany za przyz, ale nie wiedział, że wiadomość o tym rozprzestrzeniła się już w Anglii. Ja zresztą też nie, przyznaję, jako że do tej pory nie było oficjalnego oświadczenia w tej sprawie. Nie mam jednak zamiaru zrzucać panu moich osobistych problemów na głowę.

- Mój drogi, najdroższy Stephenie, nigdy nie wahaj się traktować mnie jak swego bliskiego zaufanego. Przecież poza wszelkimi oficjalnymi układami cenię cię przede wszystkim jako osobistego przyjaciela!

- Jakże to uprzejmie z pana strony, sir Josephie, jakże uprzejmie. Przyznam się w takim razie do większych obaw - boję się mianowicie, iż inni jego wierzyciele dowiedzą się o nowych problemach Jacka i dopadną go z innymi pretensjami. Biedny Aubrey pograży się w procesach. Moje środki nie pozwalają na wybawienie go z kłopotu, a choć suma *ex grana*, o której wspominałeś, mogłaby pokryć znaczną część jego długu, wciąż pozostałoby sporo do zapłacenia. To nie do pomyślenia, żeby człowiek miał zgnić w więzieniu nie za kilka tysięcy funtów, lecz za ledwie kilkaset!

- Nie wypłacono mu jeszcze tych pieniędzy?

- Nie. Co więcej, u Fanshawa wyczuwam pewną niechęć do wypłacenia zaliczki z tego tytułu. Opowiada mi, że to nietypowy obrót wydarzeń, niecodzienna, nie wyjaśniona sytuacja i że nie wiadomo, kiedy i jak pieniądze zostaną Aubreyowi wypłacone.

- Nie leży to w moich kompetencjach, niestety, a w gestii ślamazarnej Rady Transportu oraz jeszcze bardziej ślamazarnej Komisji do spraw Papierów Wartościowych, to oni mieli wystawić kwit. Mogę jednak obiecać małą przesyłkę, a tymczasem polecę panu Carlingowi, by zamienił słówko z panem Fanshawem. Będziesz mógł wyciągnąć czek w jego imieniu, na jakąkolwiek sumę sobie zażyczysz.

- Nie miałby pan nic przeciwko otwarciu okna?

- Nie, jeśli nie będzie to tobie przeszkadzać. Nie jest ci za gorąco?

- Nie. Mnie potrzeba tropikalnego słońca, ogrzewanie pomieszczenia ledwie mi starcza, ale to za mało nawet dla dobrze zbudowanego człowieka. Niech pan zdejmie płaszcz i poluźni kołnierzyk. Podarujmy sobie ceremoniał, sam pan widzi, że mam na sobie koszulę nocną i szalik.

- Z tymi słowami Stephen rozpoczął manipulowanie przy całym systemie sznurków i dźwigni, służącym do otwierania okna, lecz niebawem opadł bezsilnie na fotel.

- Chrystusie, Mario i Józefie - wymamrotał. - W ogóle nie mam siły w ramieniu. Bonden!

- Sir? - Bonden błyskawicznie pojawił się w drzwiach.

- Wybierz no tę linę i obłóż ją na rufę - polecił mu Stephen, zerkając na sir Josepha ze źle skrywaną dumą.

Bonden gapił się przez moment, po czym chwycił intencję doktora i ruszył w stronę okna. Zatrzymał się jednak, gdy jedną dłonią trzymał już linę.

- No nie wiem, sir - powiedział. - Przeciąg może panu zaszkodzić. Nie wyzdrowiał pan do końca.

- Teraz ma pan przykład, sir Josephie. Dyscyplina poszła w diabły, żaden rozkaz nie zostanie wykonany bez marudzenia! Niech cię szlag trafi, Bonden!

Z markotnym wyrazem twarzy Bonden uchylił okno na cal lub dwa, pogrzebaczem poruszył polano w kominku i wyszedł z pokoju, kręcąc głową.

- Tak, zdecydowanie zdejmę płaszcz - oznajmił sir Joseph. - Więc powiadasz, Stephenie, że ciepły klimat odpowiadałby ci?

- Im cieplej, tym lepiej. Jak tylko wydobrzeję, udam się do Bath, do ciepłych źródeł...

- Właśnie miałem to zasugerować! - wykrzyknął sir Joseph. - Cieszy mnie, że to mówisz. To właśnie byłbym ci polecił, gdyby... - „Gdybyś nie wyglądał na tak upartego, wściekłego i gotowego do ataku na każdego, kto chce ci pomóc” - pomyślał, lecz w ostatniej chwili postanowił inaczej zakończyć myśl. - Gdyby... gdyby dawanie tego typu rad było moim zadaniem. Nic tak nie wzmocni twoich ścięgien, jak takie kąpiele. Moja siostra Clares słyszała o pewnym przypadku, być może nie całkiem identycznym, ale... - przerwał, czując, że zaczyna poruszać się na śliskim gruncie, kaszlnął i płynnie zmienił temat. - Niemniej, wracając do twego przyjaciela, czy małżeństwo nie rozwiąże jego problemów? Widziałem komunikat o zaręczynach w „The Times”, jak rozumiem, wybranka jego serca to posiadaczka dość sporego posagu? Lady Keith powiedziała mi, że jej posiadłość jest całkiem bogata, w jej skład wchodzi w końcu część najlepszych gruntów ornych w hrabstwie.

- Ma pan rację, sir, ale losy całej posiadłości spoczywają w rękach jej matki, a to najmniej romantyczne stworzenie, jakiego ciężar ścierpieć musiała lamentująca matka ziemia. Jack to jej całkowite przeciwieństwo. Jack nie ma pojęcia, z czego składa się miotła, nigdy by mu też do głowy nie przyszło gonienie za fortuną. To najprawdziwszy romantyk i najgorszy kłamca, jakiego kiedykolwiek miałem okazję poznać. Gdy powiedziałem mu, że hiszpański skarb nie zostanie uznany za przysięgę i że wciąż będzie biedakiem, udał, iż wie o tym od dłuższego czasu. Śmiał się, mówił, że jestem wrażliwy jak kobieta, zapewniał, że już od kilku miesięcy nie traktował owych pieniędzy jak własnych, nie chciał nawet, bym go denerwował mówieniem o tym. Twierdził, że nie zależało mu na pieniądzach. Ale wiem, że całą noc pisał listy do Sophie, i jestem niemal pewien, że zwolnił ją z zaręczyn. Problem w tym, że na tym kochanym króliczku nie wyrze to absolutnie żadnego wrażenia - dodał z uśmiechem, opierając się na poduszkach.

Bonden wszedł do środka, uginając się pod ciężarem dwóch kubłów węgla, po czym zabrał się za palenisko.

- Napije się pan kawy? A może szklaneczkę madery, sir Josephie? Mają tu doskonały serciał, szczerze polecam!

- Dziękuję, wystarczy mi szklanka wody.

- Bonden, przynieś szklankę wody i karafkę madery. A jeśli na tacy znajdę jeszcze jedno surowe jajko utarte z rumem, wyląduje ono na twoim łbie.

- Chwila, kiedy musiałem podzielić się z nim ową smutną nowiną, z pewnością była najbardziej bolesnym momentem mojej podróży - ciągnął, popijając wino. - Z pewnością było to bardziej bolesne od faktu, że owo tak zwane „przesłuchanie” przeprowadzili Francuzi, naród, który najbardziej sobie umiłowalem.

- Któż spośród cywilizowanych ludzi ich nie miłuje? - wykrzyknął sir Joseph. - Ach, gdyby nie ich politycy, przywódcy i ów przekłety Bonaparte!

- Otóż to. Jednakże ci dwaj nie byli nowymi ludźmi systemu. Dutourd był inżynierem w okresie *ancien regime*, a Auger dragonem, to eks-oficerowie z armii królewskiej. I właśnie to mnie przeraża. Wydawało mi się, że poznałem ten naród na wylot, mieszkałem przecież w Paryżu podczas studiów. Tak czy owak, Jack Aubrey poradził sobie z nimi na swój sposób. Tak... jak już panu mówiłem, romantyczny z niego łajdak. Po skończonej awanturze wyrzucił swoją szpadę do morza, choć bardzo ją sobie cenił. Widzi pan, Jack kocha ścierać się w walce i nie ma człowieka bardziej odeń zajadłego w starciu, ale kiedy już wszystko się skończy, można odnieść wrażenie, że niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, że walka opiera się na zabijaniu. Osobliwa sprzeczność, prawda?

- Cieszę się, że udajesz się do Bath - powiedział sir Joseph, dla którego rozdarcie w sercu kapitana fregaty było raczej nieistotne w porównaniu z rekonwalescencją przyjaciela. Szefer wywiadu marynarki w kontaktach osobistych wzorował się na górze lodowej, ale do doktora Maturina żywił szczerą, pełną ciepła przyjaźń. - Cieszy mnie to, ponieważ spotkasz tam moją następcę, ja też będę się tam pojawiał od czasu do czasu. Będę się starał bywać tam jak najczęściej, by móc przebywać z tobą, a także pomagać ci w przełamaniu lodów w kontaktach z nim. - Zauważył, jak oczy Stephena pociemniały na brzmienie słowa „następca”, cieszył się nim przez ułamek sekundy, po czym ciągnął dalej. - Tak, udaję się na emeryturę. Wracam do mojej kolekcji żuków. Mam niewielką posiadłość w Fens, istny raj dla rodzaju *coleoptera*. Nie mogę się już doczekać! Rozstaję się ze stanowiskiem nie bez żalu, ale pociesza mnie fakt, iż zostawiam nasze wspólne problemy w dobrych rękach. Znasz zresztą owego dżentelmena.

- Czyżby?

- Tak. Ze względu na twój niedowład rąk poprosiłem zaufaną osobę, by zapisała twój raport, wysłałem do ciebie pana Waringa. Przykro mi bardzo, wykorzystałem cię całkiem po barbarzyńsku. Siedziałeś z nim całe dwie godziny! - powiedział, smakując tryumf.

- Zaskakuje mnie pan, doprawdy. - W głosie Stephena można było wyczuć nutki złości, ale po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Waring, ów całkowicie nie rzucający się w oczy ponury człowiek, będzie się doskonale nadawał. Swoją pracę wykonał umiejętnie i bez narzekania, a jego pytania, choć rzadkie, były uzasadnione. Z niczym się nie zdradził - nie wykazał się ani szczególną wiedzą, ani osobliwymi zainteresowaniami, na dobrą sprawę mógł być jednym z niższych, szanowanych, aczkolwiek częstokroć tępych pracowników administracji.

- Pan Waring wielce podziwia twoją pracę i wyznaje się w jej szczegółach - ciągnął sir Joseph.

- Stoi za nim admirał Sievewright, ale podczas mojej nieobecności będziesz pracować bezpośrednio z samym Waringiem. Myślę, że współpraca dobrze się wam ułoży, to profesjonalista. To on pracował z *monsieur de la Tapetterie*. A tak na marginesie, dałeś mi do zrozumienia, że jesteś w posiadaniu informacji, które daleko wykraczają poza ramy twojego raportu. Czy to prawda?

- Tak, to prawda. Zechciałby mi pan podać ów skórzany rulon? O, dziękuję. Ludzie z Confederacio spalili dom, w którym mnie trzymano, ach, jakże oni uwielbiają palić budynki! Niemniej zanim się ewakuowaliśmy, poprosiłem ich dowódcę o zabranie wszystkich ważnych papierów z płonącego budynku. Składam je teraz na pana ręce jako mój prezent w związku z pańskim odejściem. Należą się one panu prawnie, gdyż widnieje na nich pana nazwisko: *les agissements nefastes de sir Blaine** na stronie trzeciej i potem: *le perfide sir Blain*** na stronie siódmej.

* *Les agissements nefastes de sir Blaine* (fr.) - Szkodliwa działalność pana Blaina.

** *Le perfide sir Blain* (fr.) - Niegodziwy pan Blain.

To raport sporządzony dla pańskiego odpowiednika w Paryżu, nominalnie spisany przez pułkownika Augera, lecz w istocie nad całością czuwał znacznie bardziej od niego błyskotliwy Dutourd. Raport dotyczy obecnego stanu naszej siatki szpiegowskiej we wschodniej części Półwyspu Iberyjskiego z włączeniem Gibraltaru, zawiera nazwiska agentów, a nawet szczegóły dotyczące ich opłacania. Raport nie został dokończony, ponieważ opiekujący się nim dżentelmeni niespodziewanie postradali życie, ale jest wystarczająco kompletny. Znajdzie pan w nim kilka przykrych niespodzianek, jak choćby nazwisko pana Judasza Griffitha, ale myślę, że całość wielce pana zadowoli. Ach, gdybyśmy mieli taki dokument o francuskich szpiegach! Zgodnie z moim wczorajszym stanem wiedzy uważam, że dokument powinien przejść bezpośrednio z rąk moich do pańskich - z tymi słowami podał mu zawartość rulonu. Sir Josephowi błysnęły oczy, gdy porwał papiery, skoczył w stronę światła i jął wertować je pośpiesznie.

- To psi syn - odezwał się półgłosem. - Przekłety pies... Edwardzie Griffith, zmów pacierze... W samej ambasadzie... A więc Osbourne miał rację! Boże, chroń mą duszę... Cóż - powiedział już głośno. - Podzielę się tym z moimi kolegami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i dowództwie Horse Guards, ale sam dokument zatrzymam dla siebie. Będę się nim napawał w samotności. Cóż za rarytas! Jakże jestem ci wdzięczny!

Wykonał ruch, jak gdyby chciał wyciągnąć dłoń do Stephena, ale w porę się powstrzymał.

Dotknął delikatnie dłoni przyjaciela i powiedział cicho:

- Niniejszym, mój drogi, jeśli chodzi o pojedynki na niespodzianki, bezpardonowo wyrzuciłeś mnie z ringu.

Listonosz był rzadkim gościem w Mapes Court. Zarządca pani Williams mieszkał w wiosce, z księgowym widziała się raz na tydzień, sama zaś miała niewielu krewnych, z którymi utrzymywała kontakt listowny. Jednak jej najstarsza córka natychmiast rozpoznawała dźwięk kroków listonosza i otwieranej przez niego żelaznej furtki. Poderwała się zatem, słysząc znajome dźwięki i ruszyła biegiem w kierunku drzwi, mijając destylatornię i trzy korytarze i sfrunęła po schodach, ale spóźniła się. Lokaj już niósł „The Ladies' Fashionable Intelligencer” i jeden list na tacy w kierunku jadalni.

- Czy jest coś dla mnie, John? - zawołała.

- Jest tylko magazyn i ten list, panienko - odparł zapytany. - Zanoszę je jaśnie pani.

Sophie natychmiast wyczuła wykręt w głosie lokaja.

- John, natychmiast daj mi ten list - zażądała.

- Jaśnie pani kazała mi przynosić całą pocztę, by uniknąć pomyłek.

- Masz mi go dać! Przetrzymanywanie cudzej poczty jest niezgodne z prawem, mogą cię za to zatrzymać i powiesić!

- Och, panienko, na więcej nie zasłużyłem.

Pani Williams wychodziła właśnie z jadalni - bez słowa zabrała pocztę i znikła, marszcząc brwi. Sophie popędziła za nią i słysząc szelest rozdieranej koperty, wykrzyknęła:

- Mamo, oddaj mi ten list!

Pani Williams spojrzała na nią, a jej twarz była czerwona z oburzenia.

- Wydajesz mi polecenia, młoda damo? W tym domu! Wstydz się! Zabroniłam ci korespondencji z tym przestępcą!

- On wcale nie jest przestępcą!

- To dlaczego siedzi w więzieniu?

- Dobrze wiesz, mammo, za długi!

- To znacznie gorzej, córeczko, oszustwo finansowe to coś znacznie gorszego od walnięcia kogoś w jego godzien pożałowania łeb. To poważne przestępstwo! Tak czy owak, wydałam ci zakaz korespondencji z nim!

- Jesteśmy zaręczeni i chcemy się pobrać, mamy więc wszelkie prawa do korespondencji! Nie jestem już dzieckiem!

- Bzdura. Wyraziłam jedynie warunkową zgodę na wasze małżeństwo, nic ponad to, ale teraz już po wszystkim. Mam dość tłumaczenia ci tego na okrągło. Ledwie nam się udało wyjść z tego z twarzą - wiele kobiet pada ofiarą pięknych słówek i wspaniałych obietnic, za którym nie ma ani śladu solidnych rządowych obligacji, na których można się oprzeć, gdy przychodzi co do czego. Mówisz, że nie jesteś dzieckiem. Otóż jesteś! Jesteś dzieckiem w tych sprawach i dlatego właśnie potrzebujesz opieki! To dlatego czytam twoje listy! Jeśli nie masz czego się wstydić, to dlaczego protestujesz? Ależ masz niegodziwą minę, wstydić się, Sophie! Nie pozwolę, byś padła ofiarą pierwszego lepszego mężczyzny, który ostrzy sobie zęby na twój majątek, młoda damo. Nie będzie w tym domu żadnej potajemnej korespondencji, mam już dość tych waszych liścików. To byłoby nie do pomyślenia za moich czasów. Za moich czasów żadna dziewczyna nie byłaby na tyle bezczelna, by mówić do swojej matki tym tonem, prędzej splełaby ze wstydu. - Potok słów pani Williams biegł już wolniej, gdyż czytała list w trakcie wygłaszania ostatnich zdań. - Tak czy owak - odezwała się w końcu - twój upór i nieposłuszeństwo były zupełnie bezcelowe. Znow przez ciebie dostałam migreny. List jest bowiem od doktora Maturina i zaraz go tobie przeczytam. „Droga panno Williams! Żywię nadzieję, że wybaczysz mi, iż ten list został podyktowany, lecz nieszczęśliwy splot wydarzeń pozbawił mnie chwilowo pełnej władzy w dłoniach. Śpieszę donieść, że wypełniłem zlecenie, które mi jaśnie panna przydzieliła - udało mi się nabyć wszystkie książki u znajomego księgarza, szacownego pana Bentleya, u którego mam trzydziestoprocentowy rabat” - czytając te słowa, pani Williams wyduła wargi w geście aprobaty. - „Co więcej, znalazłem również stosownego posłańca w osobie wielbego pana Hinkseya, nowego pastora Swiving Monachorum, który będzie przemierzał Champflower, by objąć swój nowy urząd czy raczej prebendę, jak powinienem to ująć”. Otóż to, przecież wszyscy wiedzą, że proboszcz sprawuje pieczę nad parafią - skomentowała pani Williams, u której wybuchy emocji były gwałtowne, lecz nie trwały długo. - Zobaczymy go pierwsze, Sophie! „Wielbny Hinksey posiada duży powóz, a jako kawaler nie ma majątku rodziny do przewiezienia, zgodził się tedy zabrać dzieła Clerka of Eldin, Duhamela, Falconera i całą resztę. Oszczędzi to tobie nie tylko czekania, ale także niebagatelną sumę pół korony za transport”. W istocie, dla pani Williams była to kwota nie do pogardzenia. W końcu osiem półkoronówek to była już cała gwinea.

- „Raduje mnie myśl, że jaśnie panna będzie w Bath, co umożliwi mi złożenie ukłonów szacownej matce panienci” - czytała dalej. - „Ja będę przebywał w Bath od dwudziestego. Żywię szczerą nadzieję, że wizyta szacownej pani Williams w Bath nie jest spowodowana pogorszeniem stanu zdrowia lub nawrotem poprzednich dolegliwości”. Jakże on się przejmuje moimi bólami! Stanowczo nadawałby się dla Cissy, oznaczałoby to lekarza w rodzinie, a ktoś taki zawsze pod ręką to świetna rzecz. Co z tego, że jest papistą, czyż nie jesteśmy wszyscy chrześcijanami? „Proszę, przekaż matce, że jestem do jej dyspozycji, jeśli tylko moje usługi na coś się przydadzą. Mieszkać będę u Lady Keith w Landstone Crescent, tym razem bez towarzystwa, jako że kapitan Aubrey został zatrzymany w Portsmouth”. Myśli podobnie jak ja, zerwał z nim wszelkie kontakty. Cóż za rozsądny człowiek! „A zatem, panno Williams, pragnę przekazać pozdrowienia dla szanownej pani Williams oraz uroczych sióstr Cecylii i Frances...” I tak dalej. Bardzo miły list, napisany z szacunkiem, choć mógłby pokryć opłatę za doręczenie. Zdecydowanie napisany męską ręką - musiał podyktować go jakiemuś dżentelmanowi. Możesz go zatrzymać, Sophie. Z przyjemnością ujrzę doktora Maturina w Bath, jest uprzejmy, wrażliwy i przede wszystkim rozważny w wydawaniu pieniędzy! Nadaje się dla Cecylii, rzadko zdarza się poznać dżentelmena, który bardziej potrzebuje żony od niego, a i twojej siostrze

przydałby się mąż. Biorąc pod uwagę przykład Aubreya oraz tych kręcących się tu oficerków z milicji, im szybciej ją wydamy, tym lepiej. Życzę sobie, byś w Bath często zostawiała ich samych.

Ciepłe promienie słońca, oświetlające wznoszące się jeden nad drugim tarasy Bath, opactwo i same uzdrowisko, przenikały również gęstą mgłą w Łażni Królewskiej. Sir Joseph i pan Warring spacerowali wzdłuż galeryjki, pogrążeni w rozmowie, a poniżej, w kamiennej, quasi-gotyckiej niszy, pławiąc się w gorącej wodzie aż do stanu całkowitego odprężenia, siedział Stephen. Wokół niego zażywali kąpeli inni, cierpiący na skrofuły, reumatyzm, artretyzm, gruźlicę lub też po prostu na nadwagę, bez zbytniego zainteresowania patrząc na nagie postacie kobiet w sąsiednim basenie. Kilkoro pacjentów brodziło w wodzie, podtrzymywanych przez pomocników. Z kłębow pary wyłoniła się potężna sylwetka Bondena w płóciennych majtkach, który znalazł się przy niszy Stephena, pomógł mu wstać i jął prowadzić po basenie, pokrzykując przy tym: „Uwaga, pani szanowna, proszę o wybaczenie! Przepuści mnie pani z tym dżentelmenem!” Z jego głosu przebijał całkowity spokój - bez względu na temperaturę woda była jego żywiołem.

- Dziś ma się lepiej - powiedział sir Joseph.

- Zdecydowanie - odparł pan Warring. - W czwartek samodzielnie pokonał większą część mili, a wczoraj sam przeszedł do Carlow's. Aż trudno w to uwierzyć... widział pan jego ciało?

- Tylko dłonie. - Sir Joseph przytknął powieki.

- Musi mieć fenomenalną siłę woli.

- Z pewnością - powiedział sir Joseph i chwilę spacerowali w milczeniu. - Proszę spojrzeć, wraca do swojej niszy. Porusza się całkiem zwawo, te wody w istocie czynią cuda. Sam je polecałem. Niebawem będzie wracał do Landsdowne Crescent. Może pójdziemy już wolno przez miasto, korci mnie jak dziecko, by z nim porozmawiać! Ach, jakież on silny! - mówił, przedzierając się przez tłum. - Wyjdźmy na słońce. Taki wspaniały dzień, na dobrą sprawę płaszcz mógłbym dziś powiesić na haku - przerwał, by złożyć ukłon mijanej kobiecie. - Sługa unizony jaśnie pani! To była znajoma lady Keith, właścicielka sporych posiadłości w hrabstwach Kent i Sussex - wyjaśnił.

- Doprawdy? Myślałem, że to jakaś kucharka!

- Tak, to prawda. Nawiasem mówiąc, przepiękne posiadłości. A wracając do tematu, doktor jest silnym człowiekiem, ale nie pozbawionym słabości. Swego przyjaciela, który miał poślubić córkę tej właśnie kobiety, oskarżył o przesadny romantyzm i gdybym nie był tak wstrząśnięty jego stanem zdrowia, wybuchnąłbym chyba śmiechem. Maturin to doskonały przykład Don Kichota naszych czasów, żarliwy zwolennik rewolucji francuskiej aż do roku 1793, a potem piewca niepodległości Irlandii aż do momentu jej powstania oraz doradca lorda Edwarda. Warto nadmienić, że jest jego kuzynem.

- To jeden z Fitzgeraldów?

- Z nieprawego łoża. Teraz z kolei bije się o niepodległość Katalonii. Nie, źle się wyraziłem... o niepodległość Katalonii walczył od samego początku, równocześnie z wszystkimi innymi. Tak czy owak, zawsze był człowiekiem ciałem i duszą oddanym misjom, które nigdy nie przynosiły mu żadnych wymiernych korzyści.

- Innymi słowy jest typowym romantykiem?

- Nie, nie typowym. To człowiek tak cnotliwy i czysty w stosunku do kobiet, że w pewnym momencie zaczęliśmy mieć lekkie obawy. Na szczęście pewien romans z kobietą z zacnego rodu, rzecz jasna zakończony fiaskiem, uspokoił nas.

Na Pulteney Street zatrzymały ich dwie grupki znajomych, a potem napotkali dżentelmena sytuowanego tak wysoko, że nie mogli go wyminąć. Do Landsdowne Crescent dotarli zatem po upływie jakiegoś czasu i okazało się, że doktor Maturin ma w tej chwili towarzystwo. Kiedy wreszcie poproszono ich, by weszli, ujrzeni go leżącego w łóżku oraz siedzącą przy nim młodą dziewczynę. Dziewczyna poderwała się na ich widok i dygnęła głęboko. Zastygli oszołomieni,

chowając podbródki w nakrochmalone kołnierze - owa młoda, niezamężna dama była stanowczo zbyt piękna, by określić ją jako „towarzystwo” samotnego dżentelmena w jego sypialni.

- Moja droga, pozwól, że cię przedstawię. Oto sir Joseph Blaine i pan Warring. Panowie, oto panna Sophie Williams - powiedział Stephen.

Ponownie złożyli ukłon, przepełnieni szacunkiem dla doktora, jednakże był to podziw innej już natury, kiedy bowiem dziewczyna zwróciła się ku światłu, mogli w pełni docenić jej świeże, delikatne oblicze i niezrównaną urodę. Sophie już nie usiadła ponownie, tłumacząc, że niestety, musi szacowne towarzystwo opuścić, gdyż jest już późno i pora pośpieszyć do matki do Pump Room, lecz zanim wyjdzie, za przeproszeniem szanownych panów... Przetrzęsła koszyczek i wyjęła małą butelkę wraz z zawiniętą w papierową chusteczkę srebrną łyżeczką i pudełkiem pigułek. Napełnioną gęstym płynem łyżeczkę włożyła ostrożnie do otwartych ust Stephena, po czym podała mu dwie pigułki i uważnie upewniła się, że ten je połknął.

- Cóż, mój drogi - powiedział sir Joseph, kiedy już zamknęły się za nią drzwi. - Gratuluję wyboru lekarza. Rzadko się zdarza ujrzeć dziewczę tak wspaniałej urody, a przecież pamiętam księżnę Hamilton i lady Coventry, zanim obie wyszły za mąż. Przyznam się, że gdyby ktoś taki miał się mną opiekować w chorobie, życzyłbym sobie, aby moje stare skurcze wróciły. Pigułki przeżykałbym łagodnie jak owieczka. - Uśmiechnął się bezmyślnie, to samo zrobił pan Warring.

- Miło słyszeć takie komplementy, panowie - cierpko zauważył Stephen.

- Lecz poważnie, na mój honor i z jak największym szacunkiem dla panny Williams - ciągnął sir Joseph. - Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek czerpał tyle przyjemności na widok damy! Cóż za wdzięk, co za świeżość!

- Ha! - zawołał Stephen. - Powinien pan ją ujrzeć, kiedy Jack Aubrey stoi przy niej.

- A więc to o tę młodą damę chodzi! To była narzeczona owego dzielnego kapitana!

Oczywiście, jakże mogłem się nie domyślić! Powiniennem był skojarzyć samo nazwisko! - przerwał na chwilę. - Doktorze, czy to prawda, że już wydobrał pan co nieco?

- W miarę, dziękuję panu. Wczoraj bez zmęczenia przeszedłem milę, potem zjadłem obiad z towarzyszem z okrętu, a dziś po południu mam zamiar przeprowadzić z doktorem Trotterem sekcję zwłok pewnego żebraka, osobnika płci męskiej w zaawansowanym wieku. Za tydzień powinienem być z powrotem w mieście.

- A gorący klimat, jak sądzisz, pomoże ci całkowicie odzyskać siły?

- Ja jestem jak salamandra.

Z uwagą przyjrzeni się owej salamandrze, drobnej i osobliwie zniekształconej w wielkim łożu, wciąż nadającej się bardziej do przejażdżki karawanem aniżeli dorożką, nie mówiąc już o podróży morskiej. Uszanowali jednak osąd lekarski Maturina i sir Joseph powiedział:

- Zatem bez żadnych skrupułów dokonam na tobie drobnej zemsty. Myślę, że zaskoczę cię bardziej, niż tobie udało się to w Londynie. Nie tylko bajki, ale i przekomarzanie się kryje w sobie źdźbło prawdy.

Do umysłu dotkniętego Stephena natychmiast wskoczyło kilka innych przysłów - jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, fortuna kołem się toczy, w domu powieszzonego nie mówi się o stryczku, nic, co dobre, nie trwa wiecznie - ale jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydał, było parsknięcie.

Sir Joseph kontynuował jednostajnym głosem:

- W naszym wydziale istnieje zwyczaj, że kiedy szef odchodzi ze stanowiska, ma kilka tradycyjnych przywilejów, podobnie jak admirał, który może dokonać kilku awansów, gdy opuszcza swoją flagę. W tej chwili w Plymouth przygotowuje się do podróży pewną fregatę, która ma zabrać naszego posła, pana Stanhope'a, do Kampongu. Dowództwo owej fregaty już wstępnie obiecano trzem różnym dżentelmenom, niemniej, krótko mówiąc, decydujący głos w

tej sprawie mam ja. Wydaje mi się, że taka podróż u boku kapitana Aubreya zrehabilitowałaby cię na sposób czysto naukowy. Czyż nie mam racji, panie Waring?

- Oczywiście - odpowiedział Waring.

- Podróż pomogłaby ci w odzyskaniu pełni sił, a twojemu przyjacielowi pozwoliłaby uniknąć niebezpieczeństw, o których wspominałeś. Są zatem same plusy, ale i jeden minus. Otóż wszystko, o czym decydują moi koledzy w admiralicji czy Departamencie Marynarki Wojennej, rozgrywa się albo w gwałtownym pośpiechu, albo ciągnie się wiecznie, by czasem w ogóle się nie zakończyć. Pan Stanhope znalazł się na pokładzie fregaty w Deptford już jakiś czas temu wraz ze swoją służbą i dobytkiem podróżnym i czekał tam dwa tygodnie, wydając pożegnalne obiady. Potem okręt przepłynął do Nore, gdzie pan Stanhope wydał jeszcze dwa obiady. Następnie komuś w admiralicji przypomniało się, że okrętowi brakuje masztów, żagli albo dna, zatem pana posła błyskawicznie umieszczono na lądzie, a samą fregatę skierowano do doku. Tymczasem pan Stanhope stracił swojego orientalnego sekretarza, kucharza i lokaja, a dorodny byk, którego miał zabrać dla sułtana Kampongu jako prezent, całkiem skapcał. Fregata straciła wówczas większość obsady oficerskiej przez przeniesienie oraz część załogi w wyniku branki zarządzanej przez komendanta portu wojennego. Teraz jednak wszystko się zmienia. Dzień i noc na pokład fregaty wnoszą zapasy, pan Stanhope pędzi rozstawionymi końmi ze Szkocji, a okręt ma wypłynąć gdzieś za tydzień. Dasz radę wejść na pokład do tego czasu? A kapitan Aubrey? Czy wiesz, gdzie przebywa?

- Dam radę! - wykrzyknął Stephen, w którego naraz wstąpiła nowa energia. - A kapitan Aubrey opuścił areszt po interwencji agenta Fanshawa i umknął tuż przed powodzią nakazów sądowych. Natychmiast dostał się na pokład stateczku pocztowego, szybko znalazł się w Pool of London i w tej chwili jest w Grapes.

- Dobrze, porozmawiamy zatem o szczegółach.

- Bonden - odezwał się Stephen. - Chwytaj pióro, kałamarz i pisz.

- Chce pan, bym coś napisał, proszę pana? - zawołał Bonden.

- Tak. Bierz ryzę papieru i pisz. W nagłówku napisz: „Landsdowne Crescent”... Barrecie Bonden, czyżby cię cisza morska chwyciła?

- Nooo... Chyba wypadłem z wiatru... Czytam całkiem nieźle, zwłaszcza jeśli litery są duże, ale najmocniejszy w pisaniu to ja nie jestem.

- Mniejsza o to. Nauczę cię, gdy będziemy mieli chwilę na morzu, to żadna sztuka. Spójrz tylko na tych durni, którzy całymi dniami nic innego nie robią, tylko piszą. Na lądzie w każdym razie ta umiejętność się przydaje. Aha, a jeździć konno umiesz?

- Nooo... jechałem na koniu, sir. I to chyba ze trzy lub cztery razy!

- Dobra. Pójdiesz zatem pieszo... Nie, nie pójdiesz... Polecisz prosto do Paragon i powiadomisz pannę Williams, że będę zaszczycony, jeśli w trakcie swego popołudniowego spaceru zechciałaby pojawić się w okolicach Landsdowne Crescent. Potem leć do „Głowy Saracena”, przekaż pozdrowienia panu Pullingsowi i przekaż mu, że będę rad, mogąc go ujrzeć tak szybko, jak to możliwe.

- Zatem do Paragon, a potem do „Głowy Saracena”, polecieć obojgu przyjść jak najszybciej do Landsdowne Crescent.

- Idź, Bonden, nie ma czasu do stracenia!

Frontowe drzwi trzasnęły głośno, po czym rozległ się tupot nóg człowieka biegnącego po łukowato wygiętej alejce. Potem nastął długi okres ciszy, przerywanej jedynie trelami kosa, oznajmującymi rychłe nadejście wiosny, i to przybliżający się, to oddalający, posępny śpiew pracującego w polu rolnika. Chwilę rozmyślał nad etiologią chorób roślin zbożowych i o przewodzie żółciowym pani Williams. Potem nagle usłyszał odgłosy ożywionej rozmowy przy drzwiach frontowych, odbijające się echem w pustym domu (państwo Keith wyjechali, zabierając ze sobą całą służbę poza jedną staruszką). Zmarszczył brwi. Rozmowa toczyła się

już na schodach, po czym drzwi otwały się nagle i ujrzał wchodzące Cecylię z Sophie, a za nimi Bondena porozumiewawczo mrugającego i dającego znaki kciukiem.

- Na Boga, doktorze Maturin - zawołała Cecylia. - Wciąż odpoczywa pan po chorobie? Cóż, nareszcie jestem w sypialni dżentelmena... Znaczący, nie chodzi o to, że jestem nareszcie w ogóle, ale... Zresztą, jak pan się miewa? Jak przypuszczam, właśnie wrócił pan z łaźni i próbuje się wypocić? Spotkałyśmy Bondena po drodze i od razu pomyślałam, by pana odwiedzić! Nie widziałyśmy pana od wtorku! Mama była już całkiem...

Ktoś potężnie załomotał do drzwi, Bonden zniknął na ten odgłos, i po chwili na schodach poniosły się gromkie uwagi w żargonie marynarskim, między innymi na temat „kłębu pakuł”, ani chybi odnośnie do panny Cecylii i jej jasnych loków. Polecznik Jacka Aubreya, jeśli pozbawieni szczęścia kapitanowie takowych mieć mogli, pan Pullings, wysoki, gibki młodzieniec o miłym obliczu, wszedł tryumfalnie do pokoju.

- Miłe panie, znacie już pana Pullingsa z Marynarki Królewskiej? - spytał Stephen.

Tak, znały, odwiedził przecież Melbury Lodge dwa razy, a Cecylia nawet tańczyła z nim na balu.

- Ależ to była uciecha! - zawołała, patrząc na Pullingsa z radością. - Jakże ja uwielbiam bale!
- Szacowna matka panią mówiła mi również, że ma panią niezwykły zmysł artystyczny
- dodał Stephen. - Panie Pullings, czy zechciałby pan pokazać pani Cecylii nowy obraz Tycjana u lorda Keitha? Wisi w galerii, a ciekawych obrazów jest tam wiele, panie Pullings, naprawdę wiele, całe mnóstwo... Niech pan też opowie pani Cecylii bitwę sławnego pierwszego czerwca!* Proszę wyjaśnić wszystkie szczegóły! - zawołał za nimi, kiedy już wyszli. - Sophie, a ty weź, proszę, pióro i pisz żwawo: „Drogi Jacku! Mamy okręt, »Surprise«, który ma wypłynąć do Indii Wschodnich. Musisz natychmiast stawić się na pokład w Plymouth...” Ha, ha, ha! Ciekawe, co on na to powie?

* Bitwa sławnego pierwszego czerwca - słynne zwycięstwo admirała Howe'a nad Francją na Północnym Atlantyku 1 czerwca 1794.

- „Surprise”! - wrzasnął Jack, aż szyby w gospodzie Grapes zabrzęczały. Pani Broad za barem upuściła szklankę.

- Kapitana spotkała jakaś niespodzianka! - powiedziała, ze spokojem przyglądając się okrucinom szkła.

- Miejmy nadzieję, że to przyjemna niespodzianka* - odpowiedziała Nancy, zbierając je. - Kapitan to taki przystojny człowiek.

* Nieprzetłumaczalna gra słów - po angielsku słowo *surprise* oznacza niespodziankę.

Strudzony podróżą Pullings, zwrócony w stronę okna, by nie przeszkadzać Jackowi w lekturze, aż podskoczył na jego wrzask.

- „Surprise”! - krzyczał Jack. - Na Boga, wiesz, co nasz doktor właśnie zrobił? Otóż doktor znalazł nam okręt, „Surprise” płynący do Indii! Mamy natychmiast znaleźć się na pokładzie! Killick, Killick! Szykuj mój kufer i leć na pocztę, zamów nam miejsca w dyliżansie pocztowym do Plymouth.

- Nie pojedzie pan żadnym dyliżansem - odparł Killick. - Żadnym powozem, gdy cała ta zgraja czyha na pana, sir. Do karawanu pana załadujemy, porządnego karawanu, sir.

- „Surprise”! - Po karczmie znów poniosł się wrzask Jacka. - Nie widziałem jej, od kiedy sam byłem midszypmenem! - Naraz ujrzał ją wyraźnie, dwudziestoosmiodziałową eks-francuską fregatę z zadartym dziobem i piękną linią, kołyszącą się na fali English Harbour w odległości zaledwie kabla, przepiękną w blasku słońca, posłuszną sterom, rączą pod dobrym dowódcą, suchą, stateczną i przestronną... Służył na niej pod surowym kapitanem i jeszcze surowszym

pierwszym oficerem, ech, spędził tam za karę całą wieczność na topie masztu. Tam też odrabiał większość lekcji, tam w końcu wrył swoje inicjały, może wciąż tam były? Okręt nie był najmłodszy, to pewne, zdecydowanie wymagał wiele wysiłku w utrzymaniu, ale cóż to za wspaniały okręt do dowodzenia! Odepchnął niewdzięczną myśl, podszeptującą mu, że Ocean Indyjski już dawno oczyszczono z przyzów, i powiedział:

- Mam prawo do zabrania ze sobą dwóch oficerów. Pullings, idziesz?

- Oczywiście, sir.

- A co na to pani Pullings? Nie będzie żadnych protestów?

- Cóż, będzie beczeć, ale minie jej. Po prostu bardziej się ucieszy, jak zobaczy mnie po powrocie. Kapcanieję, kapitanie, między tymi wszystkimi miotłami i patelniami. Żeniaczka nijak się ma do żeglugi.

- Czyż nie, Pullings? - powiedział Jack, patrząc nań wzrokiem pełnym zadumy.

Stephen dyktował dalej:

- „...»Suprise« ma zawieźć wysłannika Jego Królewskiej Mości na dwór sułtana Kampongu.

Pan Taylor z admiralicji jest *au courant* i już przygotował wszystkie potrzebne papiery.

Zakładam, że jeśli pojedziesz drogą na Bath i skręcisz przy Dayrolle, przejedziesz obok

Wolmer Cross około czwartej nad ranem trzeciego. Będę na ciebie czekał w powozie. Jeśli nie uda mi się Ciebie spotkać trzeciego, będziemy z Bondenem oczekiwać Ciebie w Blue Posts.

Wejdiesz na pokład w niedzielę, a wtedy obowiązuje niedzielny zakaz ścigania dłużników.

Wygląda na to, że twój nowy statek to fregata i że brakuje jej obsady oficerskiej, załogi oraz, o

ile sir Joseph nie użył żartobliwej przenośni, zdaje się, że również dna". Pisz szybciej, Sophie!

Jako skryba nigdy nie zarobiłabyś na chleb. Jak napiszesz „przenośnia"? Na litość boską, jeszcze nie skończyłaś? Pokaż, co napisałaś!

- Nie! - zawołała Sophie, przewracając kartkę.

- Wszystko wskazuje na to, że napisałaś więcej, niż ja kiedykolwiek powiedziałem. - Stephen zmrużył oczy. - Mocno się rumienisz, moja droga... Wspomniałaś chociaż o szczegółach spotkania, tak jak chciałem?

- Wolmer Cross o czwartej w nocy trzeciego. Stephen, ja też tam pojedę. Wyjdę oknem i przelezę przez mur. Zabierzecie mnie z narożnika ulicy!

- Dobrze, ale nie lepiej wyjść drzwiami, jak na dobrze wychowaną dziewczynę przystało? A jak potem wrócisz do domu? Jeśli cię ktoś przyuważy, jak włóczysz się po Bath o świcie, będziesz skompromitowana po wsze czasy!

- Niech więc i tak będzie! - powiedziała Sophie. - Stracę cześć i będą się starali mnie wydać za mąż jak najszybciej. Że też wcześniej o tym nie pomyślałam... Stephen, miewasz doskonałe pomysły.

- Już dobrze... Zatem na rogu o wpół do trzeciej. Załóż ciepły płaszcz, dwie pary rajstop i ciepłe, wełniane kalessy do tego. Będzie zimno, a my być może będziemy musieli czekać.

Gdybyśmy zaś mieli Jacka w ogóle nie ujrzeć, to zmarzniesz jeszcze bardziej, gdyż rozczarowanie wraz z... Dobrze, dobrze, tylko nie płacz. Daj mi ten list.

Silny wiatr z północnego zachodu wyl wśród kołpaków na kominach Bath. Dochodziło wpół do czwartej nad ranem, przekrzywiony księżyc spoglądał na Paragon z wolnego od chmur nieboskłonu. Drzwi numer siedem uchylały się lekko, by wypuścić drobną postać Sophie i zamknęły się za nią z okropnym hałasem, co wywołało wrzaskliwy komentarz grupki

podpitych żołnierzy. Sophie nie zwróciła na to uwagi i zdecydowanie pomaszerowała w kierunku rogu, gdzie miał oczekiwać na nią powóz. Róg ulicy był jednak pusty. Oczom zrozpaczonej dziewczyny ukazał się jedynie biegnący wzdłuż ulicy długi rząd drzwi do domów, w świetle księżycy wyglądający obco, niezmiernie i wręcz wrogo.

Sophie nie zwróciła na to uwagi

i zdecydowanie pomaszerowała w kierunku rogu, gdzie miał oczekiwać na nią powóz. Róg ulicy był jednak pusty. Oczom zrozpaczonej dziewczyny ukazał się jedynie biegnący wzdłuż ulicy długi rząd drzwi do domów, w świetle księżycy wyglądający obco, niezmiernie i wręcz wrogo.

Naraz rozległ się za nią odgłos kroków biegnącego człowieka, coraz szybszych i szybszych.

- To ja, panienko, Bonden! - dobiegło ją ciche wołanie.

Chwilę później wspinała się już po schodkach do pachnącego skórzanym obiciem wnętrza pierwszego z dwóch powozów stojących w bezpiecznej odległości od domu. Czerwone kurtki woźniców w upiornym świetle księżyca były czarne.

Serce biło jej tak szybko, że przez pierwszych pięć minut nie mogła wymówić słowa.

- Jakże dziwacznie wszystko wygląda w nocy - powiedziała, gdy ich powóz wspinał się już drogą wychodzącą z miasta. - Zupełnie jakby wszyscy na tym świecie umarli. Spójrz na rzekę - jakże ona czarna!

Nigdy jeszcze nie była poza domem o takiej porze.

- Oczywiście, moja droga - powiedział Stephen.

- Czy to tak wygląda każdej nocy?

- Czasem noc jest łagodniejsza. Na innych szerokościach geograficznych ten przeklęty wiatr jest znacznie cieplejszy, ale nocą świat zawsze powraca do korzeni. Słuchaj, posłuchaj teraz. Słyszysz? Jest gdzieś w lasach nad kościołem.

W nocnym powietrzu niósł się piekielny wrzask lisicy, mrozący krew w żyłach, ale Sophie nie zwróciła na to uwagi, wpatrując się w oświetloną bladym blaskiem księżyca twarz Stephena i poprawiając jego ubranie.

- Dlaczego nie ubrałeś nic oprócz tego okropnego, podszytego wiatrem płaszcza? - wykrzyknęła. - Och, Stephen, kiedy ty się poprawisz? Daj, otulę cię moim płaszczem, jest podbity futrem.

Stephen sprzeciwił się stanowczo, tłumacząc jej raz jeszcze, że skoro skórze zapewni się powłokę ochronną, wstrzymującą utratę jej naturalnego ciepła, każde inne okrycie jest nie tylko zbędne, lecz wręcz szkodliwe.

- Inaczej sprawa się ma z jeźdźcami - zauważył. - Nalegałem, by Thomas Pullings przed wyruszeniem w drogę wetknął płachtę zatłuszczonego jedwabiu między koszulę a kamizelę. Sam ruch konia, niezależnie od prędkości wiatru, może bowiem rozproszyć otoczkę ciepła. W dobrze skonstruowanym powozie nie ma obawy przed czymś takim. Osłona przed wiatrem to podstawa, przecież Eskimosi, siedzący w swoich śnieżnych domkach, mogą urągać wichurze. Mówimy jednakże tylko o dobrze skonstruowanych powozach - nigdy w życiu nie radziłbym ci przemierzać stepów tatarskich w tamtejszych powozach, całkiem otwartych na wiatr lub zaledwie przykrytych płócienną przesłonką. O tych irlandzkich bryczkach dwukołowych też zapomnij.

Sophie złożyła solenną obietnicę, że nigdy tego nie zrobi, zatem przykryci obszernym płaszczem zajęli się raz jeszcze obliczaniem dystansu z Londynu do Bath, prędkości podróży Pullingsa i wreszcie samego Jacka.

- Musisz się przygotować na rozczarowanie, moja droga - mówił Stephen. -

Prawdopodobieństwo, że Jack się pojawi, jest doprawdy niewielkie. Pomyśl tylko, ile wypadków może się zdarzyć na trasie setek mil, pomyśl o możliwości upadku z konia czy złamania nogi przez zwierzę, pomyśl o innych niebezpieczeństwach, jak rozbójnicy... Dobrze już, nie denerwuj się...

Powozy zwolniły do prędkości niewiele przekraczającej tempo piechura.

- Musimy być gdzieś w okolicach Cross - oznajmił Stephen, wyglądając przez okno. Biała wstążka drogi kryła się już pod długimi pasmami całkowitej ciemności, wjeżdżali zatem między drzewa. Wiatr wciąż świstał między gałęziami, gdy nagle na jednej z plam księżycowego światła pojawił się samotny jeździec. Woźnica dostrzegł go i pociągnął za lejce, wstrzymując pojazd.

- To Jeffrey Rzeźnik! - zawołał z przestachem do swego kolegi, powożącego pojazdem za nim. - Zawracamy?

- Za nami jest jeszcze dwóch! Wielkie, okrutne diabły! Lepiej nie ruszajmy się, Amos!

Uspokój konie wielmożnego pana!

Tętent kopyt szybko się zbliżał.

- Nie strzelaj, Stephen - wyszeptała Sophie.

- Nie mam zamiaru, moja droga - odparł Stephen, cofając głowę z okna. - Mam natomiast...

W tej samej chwili przy niedomkniętym oknie pojawił się koń, parując ciężkim oddechem. Światło księżycy znikło, zasłonięte przez ogromną ciemną postać, przechylającą się przez łąk siodła w stronę okna.

- Proszę o wybaczenie, że niepokoję pana, sir, ale... - nieznajomy odezwał się cichym, niezwykle uprzejmym głosem.

- Oszczędź mnie! - wrzasnął Stephen. - Weź wszystko, co mam, weź tę młodą kobietę, ale oszczędź mnie!

- Wiedziałam, że to ty, Jack! - zawołała Sophie, ściskając jego dłoń. - Od razu wiedziałam! Och, tak się cieszę, że cię widzę, kochany!

- Zostawię was samych na pół godziny - zdecydował Stephen. - I ani chwili dłużej. Ta młoda dama musi znaleźć się w domu przed pierwszym paniem koguta.

Przeszedł do drugiego powozu, gdzie Killick z nie ukrywanym zadowoleniem opowiadał Bondenowi o wyjeździe z Londynu. Aż do Putney wieźli Jacka w karawanie, Pullings jechał za nimi, a ludzie po obu stronach drogi zatrzymywali się, pobożnie ściągali czapki z głów i skłaniali z szacunkiem.

- Za nic bym nie chciał tego przegapić! Za nic! - ekscytował się Killick. - Nawet za patent bosmański!

Stephen pospacerował chwilę, usiadł na moment w powozie, znowu zaczął kolejny spacer, pogawędził trochę z Pullingsem o jego podróżach do Indii, szczególnie chciwie słuchając opowieści o nieznośnych upałach na kotwicowisku przy ujściu Hugli i duszącym żarze krainy, gdzie nawet księżyc zsyłał gorąco.

- Jeśli wnet nie przeniosę się w ciepłe strony - zauważył - pogrzebiecie mnie i powiecie: „Oto odszedł, wyzionąwszy ducha z czystej rozpaczy”.

Pomajstrował chwilę przy zegarku i naraz do szumu wiatru dołączył srebrzysty dźwięk kuranta, wybijającego czwartą i trzy kwadransy. Z powozu przed nim nie dobiegł jednak żaden odgłos - stał przez chwilę niezdecydowany, aż drzwi otworzyły się i Jack pomógł Sophie zstąpić na ziemię.

- Bonden - zawołał. - Zawieź pannę Williams do Paragon w tym drugim powozie. Dołącz do nas pocztowcem. Wskakuj, Sophie, kochana moja! Niech Bóg ma cię w opiece.

- I ciebie też, Jack. Dopilnuj, by Stephen dopinał szczelniej płaszcz. I pamiętaj, na zawsze pamiętaj, niezależnie od tego, co inni powiedzą, pamiętaj, Jack...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Prażące słońce nad Bombajem osiągnęło południowy pułap w swojej dziennej wędrówce, zsyłając ciszę na tętniące życiem miasto. Nawet w najgłębszych zakątkach odległych bazarów słyszeć było teraz miarowy łoskot przyboju - Ocean Indyjski oddychał ciężko pod niebem oczekującym na południowo-zachodni monsun, tak rozgrzanym, że pozbawionym błękitu. W tej samej chwili, daleko na zachodzie, za wybrzeżem afrykańskim i jeszcze dalej, to samo słońce dźwigało się jednak dopiero zza horyzontu, posyłając pierwsze promienie prosto na obwisłe bombramsle i bramsle fregaty „Surprise”, kołyszającej się na martwej fali trzydzieści stopni długości zachodniej i nieco na północ od równika.

Promienie wschodzącego słońca ześlizgnęły się na poziom marsli, potem żagli głównych i wreszcie dotarły do pokładu. Dzień nastał nagle, bez ostrzeżenia. Blask słońca wypełnił już cały nieboskłon, a noc, widziana jeszcze z dziobu na prawej burcie, umykała już ku Ameryce. Nagle zniknął Mars, wiszący na wysokość dłoni nad zachodnim horyzontem, niebo wypełniało się światłem, a czarne fale szybko wracały do codziennego, głębokiego błękitu.

- Za pańskim pozwoleniem, sir - zawołał podoficer z bezanwachty, nachylając się nad doktorem Maturinem i wykrzykując swe słowa prosto w wielki worek przykrywający jego głowę. - Pan wybaczy, sir!

- Co znowu? - warknął w końcu Stephen niczym rozdrażnione zwierzę.

- Już prawie cztery szklanki, sir!

- No i co z tego? Ach, niedzielny poranek i cholerne cegiełkowanie? - Worek, który nakładał na głowę jako ochronę przed blaskiem księżyca, stłumił jego słowa, ale jęk człowieka śpiącego obok, wyrwanego z błogiego snu erotycznego, pozostawał aż nadto wymowny. Po zaokrętowaniu Stanhope'a wraz ze świtą okręt był zatłoczony ponad miarę i Stephen spędzał nocę na pokładzie, narażony na podeptanie przez każdą zmianę wachty.

- Chodzi o ślady po smołe - powiedział podoficer z bezanwachty tonem na poły przeproszającym, na poły argumentującym. - Jak by wyglądał pokład rufowy z tymi wszystkimi plamami, kiedy już postawimy tent? Za pańskim pozwoleniem, sir! - wykrzyknął, widząc, że doktor najwidoczniej ma zamiar znowu zapaść w sen.

W upale smoła z takielunku szybko topniała i ciemne krople zastygały na pokładzie, to samo działo się ze smołą użytą do uszczelniania. Zbierający swój worek Stephen ujrzał, że wokół niego plamy już skrobano, posypywano piaskiem i cegiełkowano. Uzmysłowił sobie również, że stoi na jedynym kawałku pokładu, gdzie plamy jeszcze widniały, a otacza go tłum niecierpliwych marynarzy, marzących już o tym, by zakończyć pracę, ogolić się i włożyć niedzielne ubrania. Sen odszedł na dobre. Stephen ostatecznie zrzucił worek z głowy.

- Ani chwili spokoju na tym cholernym wraku - wymamrotał, odchodząc na bok. - Tylko prześladowają człowieka... Uwzięli się z tym idiotycznym sprzątaniami, staroświeccy durnie. Przesądny żydowski rytuał czystości...

Kiedy tak stał, ciepłe promienie słoneczne rozgrzały jego ciało, napełniając go nową energią. Kogut w klatce obok zapał, stając na jednej nodze, a w odpowiedzi kura oznajmiła gdakaniem, iż zniosła jajko. Stephen przeciągnął się, rozejrzał i znowu napotkał kamienne, nieprzychylnie spojrzenia marynarzy z bezanwachty. Jego kolejnym spostrzeżeniem było to, że lepkość podeszew jego butów pochodziła od smoły, w którą wdepnął. Od miejsca, gdzie spał, po czystym pokładzie ciągnął się szlaczek brudnych śladów.

- Wybacz, Franklin - zawołał. - Wybrudziłem podłogę, jak się zdaje. Dajcie mi piasku, miotełkę i coś do skrobania.

Twarde oblicza złagodniały.

- Nie, nie trzeba! - poniosły się wołania. - To tylko trochę smoły! Żaden tam brud, zaraz to zetrzemy!

Stephen trzymał już jednak mocno małą cegiełkę i z uporem, systematycznie rozmazywał plamkę smoły, otoczony przez grupkę zdumionych i zdenerwowanych marynarzy. Tak zastało ich wybicie czwartej szklanki, a wtedy, ku ich ogromnemu przerażeniu, na deski pokładu padł wielki cień - potężna postać kapitana, naga i z ręcznikiem w garści, górowała nad nimi.

- Dzień dobry, doktorze - powiedział. - Co tam wyprawiasz?

- O, dzień dobry - odparł Stephen. - Chodzi o tę przeklętą plamę smoły. Zaraz ją usunę, zobaczysz.

- A co byś powiedział na kąpiel?

- Z ogromną przyjemnością, za chwileczkę, niech no tylko uporam się z tą plamą. Mam już sposób... Poproszę ciut piasku i mały nożyk. Nie, moja teoria nie sprawdziła się. Może *aqua regia* wraz z odrobiną spirytusu...

- Franklin, pokaż doktorowi, jak to się robi w marynarce! Mój drogi przyjacielu, mógłbyś ściągnąć buty? Jeszcze przez ciebie chłopaki zeskrabiają cały pokład i zostawią Jego Ekscelencję bez dachu nad głową.

- Doskonały pomysł - przytaknął Stephen. Boso podbiegł do karonady i usiadł na niej, oglądając podeszwy butów. - Za czasów Markusa Martialisa rzymskie kobiety nosiły sandały z

wygrawerowanym napisem *sequi me*, z czego łatwo wywnioskować, iż Rzym był niezwykle zabłoconym miastem. Na piasku przecież druk by się nie odbił. Dziś przepłynę całą długość statku.

Jack stanął na relingu na zachodniej burcie i spojrzał w dół. Woda była tak przejrzysta, że można było dostrzec refleksy świetlne, sunące pod kilem okrętu, a sam kadłub fregaty odbijał szkarłatne, podwodne cienie. Wyraźnie widział też wcinające się w wodę dziób i rufę, jednakże podwodna część kadłuba nikła w gęstym zagajniku wodorostów tańczących z prądami. Fregata znajdowała się już od jakiegoś czasu na południe od zwrotnika, dlatego też nowe, miedziane dno zdążyło obrosnąć na nowo. Nie dostrzegał żadnych złowrogich kształtów, kryjących się wśród wodorostów, zaledwie kilka ławic lśniących drobnych rybek i parę pływających krabów.

- Dalej! - zawołał i skoczył do wody.

Woda była cieplejsza niż powietrze, ale roje bąbelków powietrza, mknące po jego skórze, były niezwykle orzeźwiające. Woda wdarła się w jego włosy, natychmiast poczuł znajomy smak soli w ustach. Zerknął do góry i dostrzegł srebrzyste lustro morza, rozcięte potężnym kadłubem okrętu, którego miedziane poszycie tuż pod linią wodną wysyłało przedziwne, fioletowe refleksy. Chwilę później lustro wody eksplodowało bielą - Stephen dołączył do przyjaciela, skacząc z wysokości dwudziestu stóp nogami do przodu. Pęd wbił go głęboko w wodę i Jack zauważył, że Stephen przez cały czas nurkowania, aż do chwili wynurzenia, zaciskał nos palcami. Gdy tylko znalazł się na powierzchni, ruszył naprzód, młóćąc wodę krótkimi, kataleptycznymi wyrzutami ramion, mocno zaciskając oczy i usta z wyrazem zaciętości wypisanym na twarzy. Budowa ciała Stephena powodowała, że zanurzał się głęboko w wodzie z nosem ledwie sterczącym nad powierzchnię, ale i tak uczynił wielkie postępy od czasu, kiedy Jack opuścił go za burzę na cumie dziobowej trzy dni przed dotarciem do Madery. Miejsce to zostało dwa tysiące mil za nimi po wielu tygodniach żeglugi, czy może raczej wielu tygodniach trzymowania żagli w usilnych próbach schwytania najsłabszego choćby wiatru w kłiwry i bombramsle za sobą. Uciekali się już nawet do gwizdania na pokładzie celem przywołania wiatru. Jedynie na nawietrznej Wysp Kanaryjskich złapali w żagle północno-wschodnie pasaty, które popchnęły ich aż o dwadzieścia pięć stopni szerokości geograficznej. To były czasy wygodnej żeglugi, dzień po dniu sunęli po tafli morza bez dotykania brasów czy szotów, czasem przez dobę pokonując nawet i dwieście mil. Z każdym kolejnym stopniem szerokości geograficznej słońce wzbijało się jednak wyżej i wyżej, aż dostali się w strefę wiatrów zmiennych, daleko przed równikiem. Od tego momentu nie napotkali śladu południowo-wschodnich pasatów, choć o tej porze roku powinny wiać już daleko na północ od równika. Ostatnie trzysta mil przebyli zdani na łaskę łagodnej, kapryśnej bryzy, z której próbowali wycisnąć jak najwięcej, a to ustawiając okręt do linii wiatru, a to polewając żagle wodą z pomp przeciwpożarowych. Setki kubłów wody wsiąknęło w płótno bombramsli, by pomóc im chwytać wiatr, lecz ten albo szybko nikał, albo marszczył tafle wody dziesięć mil dalej. „Surprise” ociężała wędrowała w kierunku równika, niesiona przez prądy morskie, z wolna obracając się wokół własnej osi. Bez rozpostartych żagli, które mogłyby stabilizować kołysanie się okrętu, przechyły na ledwie żywych falach przyprawiały o mdłości. Otaczał ich martwy ocean, nie widzieli niemal żadnych ptaków i bardzo niewiele ryb, a w ciągu ostatnich dziewięciu dni jedyną atrakcją był schwytany żółw i wczorajszy głuptak. Wokół nie było widać ani śladu żagli, a słońce prażyło bezlitośnie dwanaście godzin na dobę. Kończyła się już woda - na jak długo miały starczyć zapasy?

Jack odepchnął od siebie obliczenia i popłynął w kierunku holowanej za okrętem łodzi, do której burty przywarł właśnie ciężko sapiący Stephen, wykrzykując coś o Hellesponcie.

- Widziałeś? - wrzasnął, gdy Jack był już blisko. - Przepłynąłem całą długość okrętu! Dwieście dwadzieścia uderzeń bez przerwy!

- Dobra robota! - pochwalił Jack, wślizgując się bez trudu do łodzi. - Doskonała robota! - Dwudziestoośmiodziałowa „Surprise” była okrętem szóstej kategorii i miała pojemność ledwo

579 ton, co stwarzało pretekst do niewybrednych żartów dla każdego, kto do jej załogi nie należał. Łatwo było zatem obliczyć, że każdy wyrzut ramienia Stephena przesunął go niewiele ponad trzy cale. - Chcesz wejść do łodzi? Pomogę ci...

- Nie, nie - zawołał Stephen, odsuwając się. - Dziękuję, ale doskonale dam sobie radę. Właśnie łapię oddech. Dam sobie radę.

Stephen nie znosił, kiedy mu pomagano. Odmawiał pomocy nawet na początku rejsu, kiedy jego słabe członki ledwie pozwalały mu przemieszczać się po pokładzie. Samodzielnie przemierzał jednak odległość między dziobem a rufą, codziennie zwiększając częstotliwość spacerów, a na wysokości Lizbony wspinał się na top stermasztu, pozwalając na asystę jedynie Bondenowi. Zmartwiały Jack obserwował jego wspinaczkę, a dwóch członków załogi biegało pod masztem z odbijaczem, by w razie czego złapać doktora. Ponadto każdego wieczoru Stephen z poszarzałą z bólu twarzą zmuszał swoją gojącą się rękę, by coraz szybciej biegła w górę i w dół po niemych strunach wiolonczeli, czyniąc ogromne postępy. Z trudem przepłynięty odcinek od dziobu do rufy byłby nie do pomyślenia jeszcze miesiąc temu, nie mówiąc o okresie ich pobytu w Portsmouth.

- Co mówiłeś o Hellesponcie? - spytał Jack.

- Jak szeroka jest ta cieśnina?

- Na milę, może trochę więcej, mierząc w linii prostej z któregośkolwiek brzegu.

- Następnym razem, gdy znajdziemy się na Morzu Śródziemnym, przepłynę ją - obiecał Stephen.

- Z pewnością. Jeśli jednemu bohaterowi się to udało, dlaczego drugi nie miałby tego powtórzyć?

- Patrz! Patrz tam! - wykrzyknął niespodziewanie Stephen. - Rybołówka zwyczajna! Tam, tuż nad horyzontem!

- Gdzie?

- Tam! Tam! - wołał Stephen, puszczając burtę, by móc lepiej wskazać ptaka. Natychmiast bulgocząc, zniknął pod wodą, a wystająca ponad powierzchnię dłoń wciąż wskazywała punkcik na niebie. Jack chwycił ją mocno i wciągnął Stephena do łodzi.

- Chodź, tam jest drabinka. Już czuję zapach kawy, a przed nami pracowity poranek. - Jack chwycił faleń, podciągnął łódź do rufy fregaty i pomógł Stephenowi mocno chwycić drabinkę. Rozbrzmiał dzwon i na odgłos gwizdka bosmańskiego ponad dwieście hamaków załogi, jeden po drugim, poczęło lądować w siatkach. Pośród zamieszania na pokładzie górowała potężna sylwetka Jacka, ubranego w jedwabną koszulę w kwiaty, krytycznie oglądającego pokład. Zapach kawy i smażonego bekonu kusił go do granic, ale wciąż miał zamiar dokładnie przyjrzeć się działaniu załogi. Pracowali tak sprawnie, jak tylko mógł sobie życzyć, ale niektóre hamaki były złożone niedbale i zwiotczałe wystawały z siatek. Pierwszy oficer, pan Hervey, powinien znów sięgnąć po swój rzemień. Pullings, odpowiedzialny za poranną wachtę, najwyraźniej miał podobne odczucia, raczej mało świątecznym tonem nakazując winowajcy umocować hamak na nowo. Zwyczajem Jacka było zapraszanie na śniadanie oficera z porannej wachty, wraz z którymś z młodych midszypmenów - prócz Pullingsa kolej wypadła dzisiaj właśnie na winowajcę incydentu ze źle zamocowanym hamakiem - młodego Callowa, młodzieńca z obliczem ozdobionym kolonią pryszczy zdolnych każdemu mężczyźnie odebrać apetyt. Zapowiadał się dziś szczególny dzień, więc Pullings mógł mu darować karę.

Wśród uwijających się marynarzy pojawił się zataczający cywil, sekretarz Stanhope'a, pan Atkins. Był to mały, przewrażliwiony na punkcie własnej ważności człowieczek, czasem dumny i wyniosły, czasem aż nazbyt poufaly. Zdążył już nieźle zaleźć Jackowi za skórę, awanturując się zarówno o warunki zakwaterowania na pokładzie niewielkiej w końcu fregaty, jak i o panujące na jej pokładzie zwyczaje.

- Dzień dobry panu - powiedział Jack, rozpoczynając swój rytualny spacer po nawietrznej stronie pokładu rufowego.

- Dzień dobry, kapitanie - zawołał Atkins, równając krok z Jackiem. Nie miał zielonego pojęcia o świętych przywilejach kapitanów okrętów wojennych, a Jack, nawet pomimo napadu złego humoru, jaki nawiedzał go zawsze przed śniadaniem, nie miał prawa go pouczać.

- Jego Ekscelencja ma się dziś lepiej - mówił Atkins. - Nie czuł się lepiej od początku rejsu.

Myślę, że wyjdzie dziś na pokład, zaczerpnąć świeżego powietrza. Ośmielę się zatem zasugerować panu - dodał ciszej, mimo niechęci Jacka biorąc go pod ramię - że zaproszenie na obiad będzie w takiej sytuacji bardzo na miejscu.

- Cieszy mnie, że Jego Ekscelencja ma się lepiej. - Jack uwolnił ramię. - Mam nadzieję, że wkrótce wszyscy będziemy mogli cieszyć się jego towarzystwem.

- Och, nie musi się pan martwić! Niech się pan nie kłopotce żadnymi specjalnymi przygotowaniami! Jego Ekscelencja nie jada wykwintnych dań, zwykły obiad wielce go zadowoli. Co pan powie na dzisiejsze popołudnie?

- Nie wydaje mi się - odparł Jack, spoglądając z zaciekawieniem na człowieka u swego boku.

- W niedzielę jadam obiady w mesie oficerskiej. To tradycja.

- Ależ, kapitanie! Przecież żadne wcześniejsze ustalenia nie mogą wchodzić w grę, kiedy chodzi o zaproszenie na obiad bezpośredniego przedstawiciela Jego Królewskiej Mości!

- Tradycja morska to świętość na pełnym morzu, panie Atkins. - Jack zwrócił się w jego stronę, mówił teraz podniesionym głosem. - Hej tam, na marsie fokmasztu! Uwaga z tą wantą! Panie Callow, kiedy pan Pullings przyjdzie na rufę, proszę przekazać mu moje pozdrowienia i poprosić, by zjadł ze mną śniadanie. Mam nadzieję, że pan również dołączy, panie Callow. Wreszcie nadeszła pora śniadania i dobry humor powrócił równie szybko, jak zniknął. Jedli w czwórkę ściśnięci w małej kajucie - znacznie przestronniejsza kabina kapitańska Jacka została oddana na użytek pana Stanhope'a. Ścisk i tłok był jednakże częścią ich życia, tak więc kiedy Jackowi jakoś się udało wygodnie rozsiąść na krześle, zapalił cygaro i rzekł:

- Wcinaj, młodzieńcze. Nie zwracaj na mnie uwagi. Spójrz, tam pod przykrywką jest jeszcze sporo bekonu, szkoda byłoby to wyrzucić.

Pełną zgody ciszę, jaka nastąpiła po jego słowach, zakłócał jedynie chrzęst szczęk młodego midszypmena, starającego się pochłonąć na raz dwadzieścia siedem plasterków bekonu. Z pokładu dobiegały wrzaski: „Hej tam, słyhać mnie dobrze? Szykować się na zbiórkę na piątą szklanek! Słyhać mnie? Czyścić koszule i golić mordy! Pięć szklanek!” Przez ciekawą ściankę działową dobiegały też wyraźnie zgrzytliwy, dokuczliwy głos Atkinsa i ciche odpowiedzi Stanhope'a. Poseł był człowiekiem szlachetnie urodzonym, ale cichym i zamkniętym w sobie, nie mogli się zatem nadziwić, iż przyjął na służbę kogoś tak hałaśliwego i nieznośnego jak Atkins. Stanhope zapadł na chorobę morską już z chwilą wkroczenia na pokład i cierpiał aż do Gibraltaru. Kolejny atak choroby ciągnął się aż do Wysp Kanaryjskich, ale jej prawdziwy nawrót nastąpił dopiero w równikowym pasie ciszy, kiedy to okrętem kołysało tak mocno, jakby lada chwila miał stanąć stępką do góry. Atakowi choroby morskiej towarzyszył również nawrót dny i obie dolegliwości trzymały go tak długo w kabinie, że właściwie nie widzieli go wcale.

- Proszę mi powiedzieć, panie Callow - rzekł Jack, częściowo, by zagłuszyć strzępy rozmów z sąsiedniej kabiny, częściowo, by rozluźnić atmosferę, krępującą młodego gościa - cóż słyhać w mesie midszypmenów? Już od jakiegoś tygodnia nie widziałem waszego barana!

Sędziwe stworzenie, wciśnięte nic nie podejrzewającemu ochmistrzowi jako jednoroczne jagniątko, było częstym widokiem na pokładzie.

- Kiepsko, kapitanie - odparł Callow, cofając dłoń od koszyka z chlebem. - Barana zjedliśmy na siedemdziesiątym stopniu szerokości północnej, teraz mamy tylko kurę. Ale dajemy jej wszystkie robaki, sir, i może zniesie jajko.

- A młynarczyki? - spytał Pullings.

- Och, pewnie, sir! - zawołał Callow. - Już kosztują trzy pensy za sztukę, cholera by to... To znaczy, chciałem powiedzieć, że są stanowczo za drogie, sir.

- O jakich młynarczykach rozmawiacie? - zainteresował się Stephen.

- O szczurach - wyjaśnił Jack. - Nazywamy je młynarczykami, żeby lepiej smakowały, może też dlatego, że są upaprane od myszkowania w grochu i mące.

- Moje szczury nie tknęłyby niczego poza najlepszymi okruchami sucharów, lekko posmarowanymi topionym masłem. Są tłuste i mają wielkie, dumne brzuszyska, które muszą ciągnąć po ziemi.

- Szczury, doktorze? - wykrzyknął Pullings. - Trzyma pan szczury? Po co?

- Chcę obserwować ich zachowanie - odparł Stephen. W istocie przeprowadzał eksperyment - dodawał szczurom do karmy wyciąg z marzanny, by zbadać, kiedy czerwony barwnik dotrze do kości, ale przemilczał to. Stephen zawsze lubił utrzymywać swoje sprawy w sekrecie, teraz też nie miał ochoty opowiadać nikomu o grubaśnych szczurach kocich rozmiarów, które drzemały dniami i nocami w jego niewielkim magazynie

- Młynarczyki - rozmarzył się Jack, a przed oczyma stanęły mu sceny z młodych, zazwyczaj chudych lat. - Na samej rufie, gdzieś pod jedną z koi w mesie midszypmenów, na lewej burcie jest dziura, przed którą kładliśmy kawałek sera. Kiedy szczury wystawiały nosy z dziury, by przemknąć do składu chleba, łapaliśmy je na pętlę. Podczas środkowej wachty w okolicach Wysp Zawietrznych łapaliśmy ze trzy, cztery sztuki w jedną noc, a potem Heanage Dundas wcinał jeszcze ser z przynęty.

- Był pan midszypmenem na „Surprise”? - Zaskoczenie młodego Callowa nie miało granic. Nawet jeśli kiedykolwiek zastanawiał się nad tym, skąd pojawiają się kapitanowie, doszedł zapewne do wniosku, iż w pełnym uzbrojeniu wychodzą prosto z najwyższych kręgów admiralicji.

- Tak, byłem - odparł Jack.

- Wielkie nieba, sir, to musi być strasznie stary okręt! „Surprise” to najstarsza jednostka we flocie!

- Cóż - powiedział Jack. - Liczy już sobie ładnych parę lat, trzeba przyznać. Zdobyliśmy ją na Francuzach na początku wojny jeszcze jako „Unite”, a już wtedy do najmłodszych okrętów nie należała. Ma pan ochotę na jeszcze jedno jajko?

Callow podskoczył, niemalże zrzucony z krzesła kuksańcem Pullingsa i błyskawicznie zmienił: „Oczywiście, sir,

z prawdziwą ochotą” na: „Nie, dziękuję, sir, jest pan bardzo łaskaw”, po czym powstał.

- W takim razie - powiedział Jack - proszę zawołać tutaj pana kolegów z mesy wraz z kajetami. Resztę poranka aż do piątej szklanki przesiedział w kabinie, z początku w towarzystwie młodych midszypmenów, potem kolejno odwiedzali go bosman, pierwszy artylerzysta, cieśla i ochmistrz. Jack zagłębił się w rachunkach - zapasy wołowiny i wieprzowiny, grochu i sucharów miały jeszcze wystarczyć na sześć miesięcy, ale ser i masło nadawały się do wyrzucenia. Pan Bowes przyniósł mu próbki i Jack, choć zahartowany żeglarz, który niejedno widział, aż się wzdrygnął od ich smrodu. Znacznie gorzej przedstawiała się sprawa z wodą - fuszerka bednarska sprawiła, że z dolnego rzędu zbiorników na wodę wyciekała dzienna porcja, a nowy żelazny zbiornik też przeciekał. Jack wciąż siedział zagłębiany w papierach, gdy do kajuty wszedł Killick, trzymając najlepszą kurtkę mundurową.

- Dobrze, panie Bowes - powiedział Jack. - Dokończymy kiedy indziej.

Straszliwy upał sprawiał, że materiał munduru wydawał się gruby przynajmniej na trzy cale. Ubierając się, myślał o braku wody i o pozycji okrętu, który zdryfował tak daleko na zachód, że gdyby teraz pochwycili południowo-wschodni pasat w żagle, mogliby mieć problemy nawet z dotarciem do przylądka St. Rogue w Brazylii. Widział pozycję „Surprise” dokładnie na mapie - jego wyliczenia z grubsza zgadzały się ze wskazaniem chronometrów oraz wynikami pana Herveya i pierwszego nawigatora. Od wybrzeża Brazylii dzieliło ich w końcu ponad pięćset mil morskich, a co więcej, na linii równika pasaty często wiały prosto z południa. Wciąż rozważając przeciwności losu, z wolna dopinał kołnierz, guziki i szeroki pas ze szpadą, kiedy okręt

niespodziewanie drgnął, pochylił się raz i drugi, a potem Jack usłyszał charakterystyczny odgłos wody sunącej wzdłuż kadłuba. Zerknął na umieszczony wysoko kompas - płynęli na południe południowy-zachód. Czyżby kolejny z tych cichnących od razu powiewów? Wciąż jednak wiało, gdy wyszedł na zatłoczony, jeszcze gorętszy pokład. Okręt miał już sterowną szybkość i płynął pod ciasno zrefowanymi żaglami i ostro zbrasowanymi rejami, naraz brzęknęły naprężane liny i strzeliły wypełniane wiatrem płótna żagli. Jego pulchny, pozbawiony wyobraźni pierwszy oficer, pan Hervey, pocący się w swoim mundurze, uśmiechnął się doń nerwowo i Jackowi zdało się, że w jego uśmiechu kryło się więcej pewności siebie niż zwykle.

- Bardzo dobrze, panie Hervey - powiedział Jack. - Właśnie po to gwizdaliśmy, nieprawdaż? Niech się utrzyma jak najdłużej! Myślę, że możemy trochę odpaść, proszę postawić fok i grotmaszt.

Na szczęście Hervey nie należał do gatunku przewrażliwionych pierwszych oficerów, którzy ustawicznie wymagali specjalnego traktowania. Miał co prawda raczej niską opinię o własnym kunszcie żeglarskim, ale nie obrażał się tak długo, jak długo traktowano go uprzejmie. Hervey powtórzył więc rozkazy i okręt rażno skoczył naprzód, jakby pragnął jeszcze przed zapadnięciem zmroku przekroczyć linię równika.

- Proszę dać sygnał na zbiórkę - powiedział Jack. Pierwszy oficer przekazał rozkaz Nicollswi, oficerowi wachtowemu, ten Babbingtonowi, młody Babbington zwrócił się w stronę dobosza z piechoty morskiej z zaciętym wyrazem twarzy, lecz ledwie zdołał otworzyć usta, po pokładzie przetoczył się dźwięk werbla. Oficerowie pośpieszyli na swoje miejsca. Uderzenia w bęben nikogo nie wystraszyły ani nie zaalarmowały, załoga dawno już oczekiwała w wyznaczonych miejscach na pokładzie rufowym, dziobowym i przy zejściówkach, a midszypmeni kręcili się wśród swoich podwładnych, uciszając ich, równając szereg i poprawiając talrepy oraz chusty na szyjach i wstążki przy kapeluszach. W pojęciu załogi zbiórka była ceremonią oficjalną, niemalże tak oficjalną, jak pełen powagi bal, który otwiera kapitan, wykonując dostojny taniec. Aubrey otworzył zatem ów bal, gdy tylko oficerowie zameldowali gotowość swoich podwładnych, a jego z kolei poinformował o tym Hervey. Najpierw podszedł do szeregu żołnierzy piechoty morskiej. W tylnej części pokładu rufowego, gdzie ciągnęły się ich szeregi, rozstawiony tent nie stanowił już żadnej osłony, jednak żołnierze stali niewzruszenie w szkarłatnych mundurach, dzierżąc błyszczące w słońcu muszkiety. Oddał salut dowódcy oddziału i rozpoczął wolny przemarsz wzdłuż pierwszego szeregu. Ich dowódca Etherege był oficerem ze wszech miar zdolnym i kompetentnym, dlatego też ewentualne uwagi Jacka na temat stanu rzemieni czy liczby brakujących guzików były wręcz bezcelowe. Jego zadaniem jednakże było odgrywanie roli boskiego sędziego, tak więc przeprowadził inspekcję z należytą powagą. Słońce grzało coraz mocniej, aż krople topniejącej smoły poczęły opadać na płótno tentu. Jako człowiek współczuł tonącym we własnym pocie żołnierzom, ale jako kapitan odwrócił się, pozostawiając ich sterczących nieruchomo w wyznaczonym miejscu.

- Wielce zadowolające, panie Etherege - zakończył przegląd krótką pochwałą i skierował się ku kolejnej grupie żołnierzy, obsadzie pokładu dziobowego, dowodzonej przez drugiego oficera, Nicollsa, zdecydowanie najlepszych i najbardziej doświadczonych marynarzy na okręcie. Niektórzy z nich byli już w średnim wieku, inni jeszcze starsi, ale żaden z nich przez długie lata służby nie nauczył się jeszcze stać na baczność. Wszyscy ściągnęli kapelusze na jego widok i wyrównali szereg, ale Jack wiedział, że był to szczyt formalnej dyscypliny, na jaką było ich stać. Stanowili całkowite przeciwieństwo żołnierzy - niektórzy z nich przeczesywali włosy, inni podciągali portki, rozglądali się, uśmiechali, kasłali i gapili wokół.

„Nieźła obsada dziobu” - myślał, spacerując po cichym pokładzie z Herveyem u boku. „Wilki morskie z krwi i kości”. W rozedrganym od upału powietrzu tentu dostrzegł kilka białawych łysin, osobliwie kontrastujących z opalenizną na twarzach, reszta wiązała długie włosy w kucyki. „Co za doświadczenie...” - wciąż rozmyślał, oddając salut Nicollswi, gdy naraz ze

z dumieniem zauważył, że drugi oficer był nie ogolony, a jego mundur był brudny! Doprawdy rzadko zdarzało się takie zaniedbanie u oficera, rzadko też widywał tak źle skrywane znużenie i obojętność.

- Wachta w gotowości! - Pullings dowodzący podwachtą fokmasztu powitał go tak uroczyście, jakby nigdy wcześniej nie uczestniczył w niedzielnym przeglądzie, po czym ruszył na obchód za kapitanem i pierwszym oficerem. W tej grupie kryło się najwięcej zbytku i próżności - każdy z marynarzy oczywiście miał na sobie najlepsze ubranie, śnieżnobiałe spodnie i błękitną kurtkę mundurową z otwartym kołnierzem, a u młodszych midszypmenów Jack dostrzegł powszywane wstążki, barwne chustki na szyi, fantazyjnie poskręcane loki i błyszczące wśród nich złote kolczyki.

- Co jest z Kelynachem, panie Pullings? - zapytał Jack, zatrzymawszy się.

- Spadł w piątek z rei bramsla, sir.

Tak, Jack pamiętał ten upadek, dość widowiskowy, ale zakończony szczęśliwie. Okręt skoczył na fali i Kelynach, straciwszy równowagę, wpadł prosto do wody, nie zahaczając jednak po drodze ani o liny, ani o drzewce. Wyłowiono go zresztą natychmiast i jego piątkowa przygoda w żaden sposób nie tłumaczyła teraz szklatego, tępego spojrzenia na pozbawionej życia twarzy. Zapytany oznajmił, że czuje się wybornie, ale Jack zbyt często widział już takie opuchnięte twarze i zapadnięte oczy, by miało go to zmylić. Podczas inspekcji wachty śródokręcia z Babingtonem na czele, dostrzegł to samo na twarzy Garlanda, wielkiego dryblasa, który na morzu nie nauczył się niczego poza czyszczeniem pokładu i który zawsze uśmiechał się głupkowato, gdy zwracano na niego uwagę podczas przeglądu.

- Co pan powie o tym człowieku? - spytał Herveya.

- To Garland, sir - pierwszy oficer bacznie przyjrzał się wskazanemu marynarzowi. - Dobry człowiek i pilny marynarz, ale niezbyt bystry.

Tym razem Garland stał nieruchomo, na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad wesołości.

Jack ruszył w kierunku artylerzystów. W większości byli to lenie co się zowie i zastał ich w typowym stanie rozprężenia. Jack zamierzał zamienić ich życie w piekło, aż będą miłować działa równie mocno, jak miłowali Boga. W szeregu ostatni stał młody Conroy, wysoki młodzieniec o błękitnych oczach, dorównujący wzrostem Jackowi, ale znacznie szczuplejszy. Jego kompani często naigrawali się z jego niezwykle urodziwej, niemalże dziewczęcej twarzy, ale nie to przykuło uwagę Aubreya. Uważnie przyjrzał się suwakowi z kręgu rekina, który spinał rogi chusty Conroya - wygrawerowano bowiem na nim z niezwykłym kunsztem kształt „Sophie”, pierwszego okrętu, którym dowodził. Jack poznał kontur okrętu od razu. Przyszło mu do głowy, iż Conroy musiał być spokrewniony z kimś, kto należał do dawnej załogi „Sophie”.. Tak, oczywiście! To nazwisko nosił ochmistrz, żonaty mężczyzna, który zawsze wysyłał swoje zarobki i udział w przyzowie do domu. Zatem żeglował z synem swojego dawnego kompana? Na Boga, jakże ten czas leciał... Nie był to jednak czas na pogawędkę o starych dziejach, zresztą Conroy, chociaż niegłupi, jękał się tak bardzo, że w efekcie wielu brało go za głupka. W wolnej chwili warto by jednak zerknąć do księgi werbunkowej.

Na pokładzie dziobowym oddał honory bosmanowi, artylerzyście i cieśli pokładowemu, którzy sterczeli na baczność, cierpiąc męki upadku w swoich rzadko nakładanych mundurach. Myśl o zbyt szybko biegnącym czasie odeszła w jednej chwili, gdyż znalazł się przed etatowymi oficerami fregaty, a zwłaszcza jednym, Rattrayem. Rattray służył na „Surprise” od chwili podniesienia bandery i już piastował funkcję bosmana, podczas gdy młody Jack był zaledwie pomocnikiem nawigatora. Pod jego przenikliwym, pełnym szacunku, ale odrobinę cynicznym spojrzeniem Jack zawsze czuł się zenująco niedojrzały. Miał wrażenie, iż Rattray ignoruje całą pompę i paradę, a jego wzrok przenika przez kapitańskie epolety i niezbyt ceni to, co znajduje pod nimi. Jack rozumiał jego podejście, lecz dalej odgrywał swoją rolę i sztywno wymienił z nim formalne grzeczności, by już nie bez pewnej ulgi przejść do zbrojmistrza i chłopców okrętowych. Pomyślał jeszcze mściwie, że z Rattraya nigdy nie był dobry bosman, jeśli chodzi

o dyscyplinę, a i w sprawach takielunku nie błyszczał już tak jak kiedyś. Chłopcy okrętowi wyglądali na zwawą gromadkę, ale wrażenie psuły liczne czarne plamki na ich ubraniach. Na ramieniu kurtki mundurowej jednego z nich Jack dostrzegł plamę wprost gigantyczną. Smoła.

- Panie zbrojmistrzu - odezwał się Jack. - Co to ma oznaczać?

- Dopiero co skapnęło z takielunku, sir, może minutę temu. Widziałem, jak spada!

Chłopiec, oszołomiona istotka z wciąż otwartymi ustami, wyglądał na przerażonego do granic.

- Cóż - powiedział Jack. - Zdaje się, że możemy to nazwać upomnieniem od Boga. Niech to się już więcej nie przydarzy, Peters.

Kątem oka dostrzegł, jak trzech chłopców w tylnym szeregu skręcało się od ledwie tłumionego, zaraźliwego chichotu i przeszedł szybko do podwachty lewej burty śródokręcia i podwachty bezanu. Tutaj nie miał co się łudzić w kwestiach doświadczenia morskiego - miał przed sobą grupkę tępych, nieporadnych obiboków, choć kilku spośród niedawnych szcurków lądowych jeszcze rokowało nadzieje. Mimo to większość wyglądała na dobrze usposobionych, wesołych ludzi, zaledwie trzech czy czterech trafiło na pokład prosto z więzienia. Także między nimi dostrzegł ponure twarze bez śladu życia.

Przegląd załogi miał zatem za sobą - nie był to zły zespół, nareszcie też miał pełną obsadę.

Biedny Simmons, jego nieszczęsny poprzednik, dopuścił jednak przed śmiercią do rozluźnienia dyscypliny. Długie miesiące postojów w Portsmouth też zrobiły swoje, a Hervey nie był w stanie stworzyć z załogi na powrót zgranego i sprawnego zespołu. Z pewnością pierwszy oficer był człowiekiem miłym i sumiennym, uzdolnionym matematykiem i dobrym towarzyszem, gdy tylko przezwyciężył nieśmiałość, ale miał pewną istotną wadę - otóż stojąc na rufie, nie sięgał wzrokiem dziobu. Zresztą, nawet gdyby miał oczy rysia, wciąż kiepski byłby z niego żeglarz.

Co gorsza, nie miał autorytetu wśród członków załogi. A jego życzliwość i ignorancja przyczyniały się do rozprężenia dyscypliny. Zresztą i tak trzeba byłoby kogoś wybitnego, by zgrać załogę po utracie połowy ludzi, przymusowo wcielonych do służby na innych okrętach i zasiloną przez marynarzy z „Racoon”. Okręt ten właśnie powrócił z czteroletniej służby na wybrzeżach Ameryki Północnej, podczas której służący na nim ludzie ani razu nie postawili stopy na lądzie. Dawna załoga „Surprise”, nowi ludzie z „Racoon” oraz grupka świeżych poborowych wciąż się nie zintegrowali i wciąż dochodziło do nieprzyjemnych incydentów. Przydział obowiązków również pozostawiał wiele do życzenia. Ludzie z podwachty fokmasztu na przykład zupełnie nie znali się na swojej robocie, a jeśli chodzi o ćwiczenia artyleryjskie... Nie tym jednak martwił się Jack, schodząc do kambuza. Miał wspaniały okręt, choć stary i z pewnością nie pierwszej jakości, miał kilku dobrych oficerów i w sumie nie najgorszą załogę. Prześladowała go jednak myśl o skorbcu. Pocieszał się tym, że mógł się mylić, te tępe spojrzenia mogły być przecież spowodowane setką innych rzeczy, a poza tym czyż nie było zbyt wcześnie na wybuch epidemii?

Upał w kambuzie zaskoczył go. Żar na pokładzie nawet pomimo błogosławionej bryzy był nie do wytrzymania, ale wejście do kambuza w porównaniu z nim równało się skokowi w żar pieca chlebowego. Powitał go trzynożny kuk, który stracił obie nogi w bitwie sławnego pierwszego czerwca i wyszedł ze szpitala na dwóch protezach. Wspierał się dodatkowo na trzeciej, przemyślnie przymocowanej do jego pośladków, co miało go uchronić przed wpadnięciem do pieca kuchennego lub przed zanurkowaniem w którymś z wielkich kotłów na wzburzonym morzu. Żar w piecu pulsował na czerwono w mroku kambuza, twarz kucharza lśniła od potu.

- Nieźle, Johnson. Bardzo dobrze - powiedział Jack, cofając się o krok.

- Nie sprawdzi pan kotłów? - zawołał kucharz. Jego szeroki uśmiech natychmiast zniknął, co sprawiło, że cała twarz nieomal rozmyła się w ciemnościach.

- Oczywiście, że sprawdzę - odparł Jack, wciągając na dłoń swoją ceremonialną białą rękawiczkę. Tak odzianą dłonią przesunął kilka razy po lśniącej powierzchni kotłów, po czym przyjrzał się dokładnie swoim palcom, jakby w istocie spodziewał się ujrzeć pokrywający je

brud. Kropla potu trzęsła się na czubku jego nosa, inne wnikały głęboko za kołnierz. Jack przyjrzał się jeszcze bulgoczącej zupie grochowej, piecom i niedzielnemu puddingowi z rodzynekami, po czym ruszył w stronę szpitalika, gdzie czekał na niego Stephen wraz ze swoim kościstym, szkockim pomocnikiem. Rozejrzał się po kojach z chorymi (jeden przypadek złamanego ramienia, jedno powikłanie przepukliny z kiłą oraz cztery przypadki zwykłej kiły) i wygłosił kilka uwag, które miały brzmieć pokrzepiająco („wyglądacie już lepiej”, „wkrótce wszystko wróci do normy”, „będziecie wraz z resztą podczas przekraczania równika”), po czym zatrzymał się pod nawiewnikiem, gdzie przez chwilę rozkoszował się chłodnym podmuchem wiatru.

- Stephen - odezwał się na stronie. - Przejdźcie się z panem M'Alisterem wzdłuż każdej z podwacht. Niektórzy ludzie mają chyba objawy szkorbutu. Mam nadzieję, że się mylę, jest w końcu na to zdecydowanie za wcześnie, ale objawy są podobne.

Został mu jeszcze pokład mieszkalny z owym paskudnym kociskiem. Stworzenie przywitało ludzi, leżąc wygodnie z założonymi łapami i prowokując ich wystudiowaną beczelnością w spojrzeniu. Jego najlepszy przyjaciel, przybita upałem pstrokata papuga, która dorównywała kotu w parszywości charakteru, leżała obok. Siły miała ledwie, by wrzasnąć: *Erin go bragh!** za plecami Jacka i Herveya, idących z pochylonymi głowami wśród nieskazitelnie czystych stołów, kufków, ław i beczulek na grog. Podłoga upstrzona złocistymi promieniami słońca wpadającymi przez luki i otwory gretingu również nie budziła zastrzeżeń, podobnie jak kubryk midszypmenów i oczywiście mesa oficerska. Kłopoty zaczęły się dopiero w składziku na żagle, gdzie dołączył do nich bosman - już płótno pierwszego odwróconego sztaksła okazało się zmurszałe, a następne, leżące pod spodem, były w jeszcze gorszym stanie.

To było partactwo i to bardzo niebezpieczne partactwo. Biedny pan Hervey załamał ręce.

Posypały się chaotyczne tłumaczenia w stylu „przy równiku one tak szybko murszeją”, „brak nam świeżej wody, by wywabić sól”, „sól przyciąga wilgoć”, „trudno je dobrze złożyć, gdy ciągle stawiamy tenty”, ale Jack był wściekły i nie miał najmniejszego zamiaru wysłuchiwać żadnych usprawiedliwień. Rattray był wstrząśnięty a i bosman, choć ulepiony z twardszej gliny aniżeli pierwszy oficer, szybko osiągnął jego stopień zakłopotania.

Uwagi Jacka na temat sprawności załogi okrętu wojennego nie zostały co prawda wyrzeszczane, ale ton konwersacyjny też to nie był. Kiedy zatem Aubrey pojawił się na pokładzie po skontrolowaniu forpiku, ładowni i składu lin, załoga na pokładzie zamarała z ciekawości i lęku. Cieszyło ich, że za przewinienie oberwał bosman, z wyjątkiem tych, którzy mieli spędzić święte niedzielne popołudnie na wysłuchiwanie wrzasków w stylu: „Już wyciągamy, sir! Każdy żagiel, każdy sztaksel sztormowy, każdy zapasowy skrawek płótna! Słysząc mnie tam, do jasnej cholery!”, lecz atmosferę nerwowego wyczekiwania również dało się jednak zauważyć - kapitan był surowym i łatwo wpadającym w złość człowiekiem. Każdy drżał teraz, by przypadkiem nie zebrać bury za jakies własne niedopatrzenie.

* *Erin go bragh!* (gael.) - *Niech żyje Irlandia!* - tytuł patriotycznej pieśni irlandzkiej.

Kapitan powrócił jednak na pokład rufowy bez besztania kogokolwiek po drodze

- Panie Hervey, proszę przygotować pokład do nabożeństwa - powiedział i zerknął na żagle wciąż wydęte od wiatru.

W jednej chwili na pokładzie rufowym pojawiły się krzesła, ławy oraz przykryty chorągiewkami sygnałowymi stojak na kordy, mający spełniać rolę ambony, jednocześnie odezwał się dzwon pokładowy. Załoga stłoczyła się na rufie, oficerowie i cywile zajęli swoje miejsca, wszyscy czekali na Stanhope'a, który szedł wolno w stronę krzesła po prawicy kapitana, wspierany po obu stronach przez kapelana i sekretarza. Wśród opalonych na mahoń marynarzy wyglądał wręcz upiornie ze swą bladą, znużoną twarzą. Stanhope wcale nie chciał wybierać się do żadnego Kampongu, a przed powierzeniem mu misji nie wiedział nawet, gdzie

się znajduje ów Kampong, a co najgorsze, nienawidził morza. Teraz jednak żagle „Surprise” wypełniała delikatna bryza i kołysanie było mniej dokuczliwe, a wręcz nieodczuwalne, póki nie spoglądało się ponad reling w stronę horyzontu. Msza anglikańska również podniosła go na duchu, wreszcie dostrzegł coś znajomego w skomplikowanym, dyszącym żarem morskiego słońca labiryncie lin, drewna i płótna. Słuchał mszy tak uważnie jak reszta marynarzy, a jego drżący tenor wmieszał się w śpiewający psalmy chór, obniżany huczącym, głębokim basem Jacka i podwyższany przepięknym, walijskim trelem z oka na fokmaszcie. Jednak kiedy kapelan rozpoczął kazanie, myśli Stanhope'a powędrowały w stronę chłodnej, rodzinnej kapliczki słabo oświetlonej światłem wpadającym przez szafirowo błękitny witraż po wschodniej stronie, ciszy panującej przy grobowcach przodków. Zamknął oczy i pogrążył się we wspomnieniach.

- Szósty wers psalmu siedemdziesiątego piątego mówi nam - kontynuował wielebny White - „bo nie ze wschodu ani z zachodu, ani z pustyni ani z gór przychodzi wywyższenie”...

Na te słowa ożywili się zarówno midszypmeni na zawietrznej, jak i oficerowie na nawietrznej, wychylając się do przodu w stanie pełnego napięcia wyczekiwania.

„Niech mnie, niezły fragment” - pomyślał Jack, na którego spadłby obowiązek wygłaszania kazań, gdyby na okręcie zabrakło kapelana.

Co sprytniejsi midszypmeni szybko doszli do tego, że „wywyższenie”, o którym mówił White, nadejdzie najprawdopodobniej z północy. Po chwili okazało się jednak, że nie tam go szukać, a w dalszej części kazania, w której wielebny kapelan jał jeden po drugim analizować wszystkie dziesięć przykazań. Napięcie poczęło opadać. Z wolna myśli marynarzy porzucały niematerialne „wywyższenie” i umykały ku bardzo materialnemu wyobrażeniu nadchodzącego obiadu, ich niedzielnej uczyty, ku kociołkowi pełnemu budyniu, gotującemu się teraz na wolnym ogniu na garstce rozżarzonych węgli. Zerkali na żagle, które poczęły łopotać wraz ze znikającym wiatrem, dumali, kiedy też jakiś boczny żagiel wpadnie do wody i utworzy mały basenik.

„Jakby dało radę ocyganić Babbingtona” - rozmyślał Callow, który był zaproszony na obiad do mesy oficerskiej na drugą po południu, „może zdołałbym wtrzynić dwa obiady. Wślizgnę się zaraz po pomiarach wysokości słońca”.

- Hej tam, na pokładzie! - rozległo się wołanie z marsa. - Żagiel na horyzoncie!

- Gdzie? - wykrzyknął Jack. Kapelan przerwał.

- Dwa rumby na prawo od dziobu, sir!

- Davidge, nie wychodź na wiatr! - Jack zawołał do człowieka za sterem, który, choć sterczał w środku zgromadzenia, nie należał do niego. Ani razu nie otworzył ust do hymnu, psalmu czy modlitwy. - Proszę o wybaczenie, pastarze. Zechce pan kontynuować?

Podniecone spojrzenia pomykały dziko przez pokład rufowy. Jack czuł potężniejsze z każdą chwilą napięcie wokół, ale nie zareagował. Jego jedynym ruchem był krótki rzut oka na zegarek. Siedział niewzruszony z lekko przechyloną głową, z powagą słuchając dalszego ciągu kazania.

- I po dziesiąte i ostatnie... - ciągnął White coraz szybciej.

Na pustym pokładzie mieszkalnym Stephen krążył między kojami, czytając raz po raz rozdział o skorbucie w *Chorobach marynarzy* Blane'a.

- Co to? - zapytał kota, usłyszawszy okrzyknięcie statku. - Krzyczą, że widzą żagiel i nie ma żadnego zamieszania? Żadnej bieganiny? O co chodzi?

W odpowiedzi kot zamknął pyszczek, więc Stephen ponownie otworzył książkę i zagłębił się w lekturze aż do chwili, kiedy usłyszał choralne: „Amen” z ponad dwustu piersi.

Podczas pełnej podniecenia bieganiny błyskawicznie usunięto zaimprovizowaną kapliczkę.

Marynarze obrzucali pośpiesznymi spojrzeniami zarówno kapitana, jak i horyzont za siatkami z hamakami, gdzie w istocie wisiała biała plamka. Krzesła i ławy z hałasem ciśnięto pod pokład, służącą za klęczniki przybitkę układano przy działach, a stojak z kordami odzyskał swój

pierwotny, starotestamentowy charakter. Kazanie o dziewięciu pierwszych przykazaniach przeciągnęło się niemalże do południa, więc sekstansy i kwadranty pojawiły się na pokładzie, zanim jeszcze znikły modlitewniki. Słońce stało już niemal w zenicie, nadchodził zatem najlepszy moment, by obliczyć szerokość geograficzną. Tent był już zwinięty i promienie słoneczne przypuściły kolejny atak na nagi pokład rufowy, gdzie pierwszy nawigator wraz z pomocnikami, midszypmeni oraz pierwszy oficer z kapitanem zajęli stanowiska. Słońce w zenicie właściwie rozpoczynało morski dzień - cień, jaki rzucali w tej chwili, nie wykraczał poza niewielkie ciemne plamy pod ich stopami. Mierzenie szerokości geograficznej zabierało uczciwe pięć minut, zwłaszcza midszypmenom, gdyż Jack zawsze pilnował, by dokonali jak najdokładniejszych obserwacji. Nikt ze zgromadzonych na pokładzie rufowym nie mógł jednak skoncentrować się na położeniu słońca, aż do chwili, gdy za plecami Jacka pojawił się Stephen.

- O co chodzi z tym żaglem? - zapytał.

- Zaraz, zaraz. - Jack podszedł do nadburcia rufowego, nastawił sekstans tak, by sprowadzał słońce do horyzontu, i spisał odczyt na małej tabliczce z kości słoniowej - Żagiel? Żaden żagiel, to tylko wysepka St. Paul's Rocks. Nie ucieknie nam, cierpliwości. Jeśli wiatr się utrzyma, podejdziemy całkiem blisko po obiedzie. Sporo tam ciekawych stworzeń, wiesz, mewy, głuptaki i inne takie.

Wieść szybko rozniosła się po pokładzie - St. Paul's Rocks znał każdy, kto tylko w żegludze wypuścił się dalej niż do Margate. Załoga powróciła więc do rozmyślań na temat obiadu, który miano wydać natychmiast po ustaleniu pozycji okrętu. Kukowie ze wszystkich mes czekali już z drewnianymi kubkami przy kambuzie, gdzie mat mający w swej pieczy spiżarnię rozpoczął już mieszanie grogu pod czujnym okiem stewarda ochmistrza i jego pomocników. Zapach rumu unosił się nad pokładem, mieszając się z zapachem obiadu, w stu dziewięćdziesięciu siedmiu marynarskich paszczach ciekła już ślina. Bosman z gotowym gwizdkiem balansował na uskoku pokładu dziobowego, a nawigator na galerijce opuścił sekstans i podszedł do Herveya.

- Godzina dwunasta, sir. Pięćdziesiąt osiem minut szerokości północnej - zameldował.

Hervey ściągnął kapelusz i zameldował dowódcy.

- Za pańskim pozwoleniem, sir. Godzina dwunasta i pięćdziesiąt osiem minut szerokości północnej.

- Panie Nicolls, proszę zapisać dwunastą. - Jack zwrócił się do oficera wachtowego.

- Zapisać dwunastą! - krzyknął Nicolls do swego zastępcy.

- Wybić osiem szklanek - polecił podoficer wachtowy sygnaliście.

- Osiem szklanek! - ryknął sygnalista na żołnierza piechoty morskiej. - Obrócić klepsydrę i wybić osiem szklanek!

- Gwizdać na obiad! - krzyknął Nicolls do bosmana przez całą długość okrętu, kiedy tylko dzwon odezwał się po raz pierwszy.

Gwizdek bosmana utonął wśród wrzasku kuków, tupotu stóp na pokładzie, stukotu targanych kubków z jedzeniem i łomotu walenia miskami przez każdą z mes. Podczas takiej pogody marynarze jadal na pokładzie, wśród dział, lokując się z posiłkiem tak, by swe miejsce na ławie w mesie mieć możliwie dokładnie pod sobą. Jack poprowadził Stephena do kabiny.

- Co sądzisz o owych przypadkach? - spytał.

- Masz rację - odparł Stephen. - To skorbut. Potwierdzają to wszystkie moje źródła - ogólna słabość, rozprzestrzeniający się ból mięśni, drobne wybroczynki na skórze, osłabione dźwięki i cuchnący oddech. Pan M'Alister również nie ma wątpliwości. To bardzo inteligentny człowiek i wiele przypadków już widział. Zbadałem sprawę dokładniej i odkryłem, że niemal wszyscy chorzy pochodzą z „Racoona”. Spędzili na morzu całe miesiące, zanim przeniesiono ich do nas.

- A więc to tu pies pogrzebany - zawołał Jack. - Oczywiście! Ale możesz ich uzdrowić, prawda? Tak, oczywiście, że dasz sobie radę.

- Chciałbym mieć twoją wiarę. Chciałbym też mieć więcej soku z cytryny. Powiedz mi, rośnie coś zielonego na tych skałach?

- Ani źdźbła trawy - odparł Jack. - Wody też tam nie ma.

- Trudno - odrzekł Stephen, wzruszając ramionami. - Będę zatem musiał jakoś sobie radzić z tym, co mamy do dyspozycji na okręcie.

- Na pewno dasz sobie radę! - wykrzyknął Jack, zrzucając kurtkę mundurową oraz część trosk. Bezkrytycznie wierzył w umiejętności Stephena i chociaż widział już załogi tak wyniszczone szkorbutem, że ledwie mogły postawić żagle lub wciągnąć kotwicę, nie mówiąc już o walce, naraz z większym spokojem pomyślał o oczekującym ich starciu z „ryczącymi czterdziestkami”. - Jaka to ulga, że płyniesz z nami. To tak, jakbyśmy na pokładzie mieli kawałek Krzyża!

- Bzdura! - Stephen był rozdrażniony. - Naprawdę życzę sobie, byś wyrzucił te idiotyczne myśli z głowy. Medycyna niewiele może zdziałać, chirurgia jeszcze mniej. Mogę dać ci coś na przeczyszczenie, upuścić krwi czy przystawić pijawki, mogę złożyć nogę albo ją amputować, ale to niemal wszystko. Cóż mogli poradzić Hipokrates, Galen, Rhazes, coż może poradzić Blane czy Trotter na przypadek nowotworu, tocznia czy mięsaka? - Stephen próbował już od dawna wykorzenić dziecięcą ufność Jacka w jego talent lekarski, ale i tym razem jego tyrada nie odniosła skutku. Jack słuchał go z uprzejmym, wyrozumiałym uśmiechem - pamiętał bowiem trepanację artylerzysty na „Sophie”, widział dziurę w czaszce i sam mózg. Wszyscy na „Sophie” głęboko wierzyli że doktor Maturin, jeśli tylko zechce, jest w stanie uzdrowić każdego, a Jack był tak mocno zżyty ze swoją załogą, że w nieco złagodzonej formie podzielał niemal wszystkie ich poglądy.

- Co powiesz na szklaneczkę madery, zanim zejdziemy do mesy oficerskiej? - zaproponował. - Wydaje mi się, że na dzisiejszy obiad ubili tego młodego świniaka, a madera dobrze smakuje pod wieprzowinę.

Madera w istocie okazała się niezłym podkładem, burgund sprawdził się podczas posiłku, a porto wypili sobie jako deser - wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że temperatura na zewnątrz przewyższała temperaturę ciała.

„Oto przykład, jak długo ludzkie ciało może wytrzymać tego typu nadużycia” - myślał Stephen, rozglądając się wokół. Nauczony przykładami z życia, popartymi teoretycznymi wywodami, sam jadł suchary natarte czosnkiem i popijał cieką, wystudzoną czarną kawę, ale już powierzchowna obserwacja przekonała go, że jak dotąd otaczające go ludzkie ciała wytrzymywały owe nadużycia całkiem nieźle. Jack był niezwykle skupiony na wielkiej porcji wieprzowiny z przyprawami, pokrytej grubą warstwą puddingu, i wydawał się nieco bliżej udaru niż zazwyczaj, ale jego oczy na tle zaczerwienionej twarzy błyszczały zwykłym błękitem. Nie było zatem bezpośredniego zagrożenia. To samo można było powiedzieć o Herveyu, którego dobry posiłek i krzepkie wino niemal wyzwoliły z ram wstydlivej powściągliwości. Jego okrągła twarz przypominała teraz wschodzące słońce, z tą różnicą, że słońce nie marszczy się z uciechy. Z wyjątkiem twarzy Nicollsa, każde oblicze lśniło purpurą, lecz twarz Herveya przebijała je wszystkie intensywnością.

Osoba pierwszego oficera zwracała uwagę swoją prostotą. Nie dowodził swoich praw, nie miał do nikogo pretensji, nie znać było po nim agresji. Jak zachowa się ten typ człowieka w walce wręcz, jeden na jeden? Czy uprzejmość i grzeczność nie zepchną go na straconą pozycję? W każdym razie biedaczysko Hervey wydawał się elementem nie pasującym. Ludzie jak on bardziej nadają się na pastorów bądź nauczycieli. Jego stanowisko w marynarce było efektem niezliczonych znajomości i koneksji rodziny, która sama miała niezwykle bogate tradycje morskie i dla której dobrem najwyższym było umieszczenie młodego Herveya na stanowisku admirałskim, obojętnie jakimi metodami. Egzamin na porucznika zdał przed komisją złożoną z protegowanych jego dziadka, którzy napisali potem z powagą, iż „Pan Hervey, liczący sobie lat dwadzieścia, udowodnił przed komisją, iż jest człowiekiem przytomnym i pilnym oraz iż umie splatać i wiązać liny, refować żagle i zajmować się takielunkiem, wykorzystywać zmiany pływów i utrzymywać kurs okrętu zarówno za pomocą obserwacji i gwiazd, i słońca, jak i

czytania mapy i wskazań kompasu. Uznajemy przeto, iż jest zdolny do służby jako midszypmen na okrętach Jego Królewskiej Mości". Poza matematyką, do której miał istotnie smykałkę, wszystko okazało się wierutną bzdurą, gdyż Hervey nie miał za grosz prawdziwego talentu żeglarskiego. Zaraz po dotarciu okrętu do Indii Wschodnich, gdzie stacjonował jego wuj admirał, miał awansować na dowódcę okrętu nie klasyfikowanego, by w ciągu kilku miesięcy służby stać się wątpiącym we własne siły, niepewnym jutra dowódcą okrętu.

Dla niego i dla ochmistrza byłoby znacznie lepiej, gdyby wymienili się stanowiskami. Bowes, który pełnił tę funkcję na okręcie, nie poszedł na morze jako chłopiec, lecz dopiero dzięki bratu, który był kapitanem, rozmiłował się w morzu. Kupił dla siebie stanowisko ochmistrza okrętowego i pomimo chorej nogi wyróżnił się podczas kilku szalonych, desperackich akcji. Zawsze czuwał na pokładzie, doskonale rozumiał wszelkie manewry i szczyił się umiejętnością prowadzenia łodzi. Wiedział sporo o morzu, jako ochmistrz wypełniał swoje obowiązki gorzej, ale przynajmniej uczciwie, co było nader rzadkim zjawiskiem.

Pullings nie zmienił się wcale. Odkąd Stephen go pamiętał, zawsze był chudzielcem o długich rękach i nogach oraz ujmującej osobowości, dla którego szczytem ambicji była służba oficerska na tym samym okręcie co kapitan Aubrey. W jaki sposób udawało mu się zachować sylwetkę stracha na wróble przy tej bezrozumnej żarłoczności?

Harrowby, nawigator o szerokiej, zastygłej w uśmiechu twarzy, uśmiechał się nawet teraz, rozchylając lekko wargi na kącikach ust i zamykając je na środku. Sprawiało to wrażenie nieszczeroci, przypuszczalnie niesłusznie, bo choć Harrowby był człowiekiem zadufanym w sobie i niezbyt błyszczącym inteligencją, nie było w nim świadomej dwulicowości. Brakowało mu zębów, miał przerzedzone jasne włosy, szerokie czoło i zazwyczaj bladą, a teraz czerwoną, zroszoną potem twarz. Stephenowi zdawało się, że był raczej miernym nawigatorem. Swój awans zawdzięczał Gambierowi, admirałowi - ewangelizatorowi i, jako członek jakiejś sekty z zachodniej części kraju, cały swój czas na lądzie spędzał jako świecki kaznodzieja. Stephen często spotykał go w szpitaliku okrętowym, gdzie odwiedzał chorych.

- Jest w nich wiele dobra - mawiał wtedy. - Musimy starać się uczynić ich podobnymi do nas.
- Jak pan ma zamiar tego dokonać? - pytał Maturin.
- Polegam na namaszczeniu i osobistym magnetyzmie - odpowiadał Harrowby.

Istotnie, przynosił im wino i kurczaki, pisał dla nich listy oraz pożyczał lub nawet dawał drobne sumy pieniędzy. Cechowała go chęć dawania, przypuszczalnie nawet większa od chęci brania u innych. Był człowiekiem czynu, gorliwym, zdrowym i żyjącym w wielkiej czystości, a nawet entuzjastycznym. Dostrzegł właśnie wzrok Stephena - uśmiechnął się jeszcze bardziej i uprzejmie skinął głową.

Etherage, porucznik piechoty morskiej o obliczu równie czerwonym jak mundur, popuszczał właśnie ukradkowo pasa, rozglądając się wokół z wyrazem ogólnej życzliwości na twarzy. Był niskim człowiekiem o okrągłej głowie, raczej małomównym, choć nie mrukliwym - bogata mimika twarzy i częsty śmiech zastępowały u niego rozmowę. W istocie niewiele miewał do powiedzenia, ale wszędzie był lubiany.

Nicolls - i znowu inny typ człowieka. Czarnowłosy, zamknięty w sobie, nie dawał sobie w kaszę dmuchać, on jeden miał w miarę bladą cerę. Najwyraźniej nie pasował do rozbawionego towarzystwa - starał się, lecz było widać, że są to sztuczne próby. Na twarzy Nicollsa zastygł bowiem wyraz smutku, a popijane porto najwyraźniej mu nie smakowało. Stephen znał go dobrze z dawnych lat w Gibraltarze. Raz zjedli suto zakrapiany obiad w „42nd Foot” w Chatham, po którym rozśpiewanego Nicollsa trzeba było siłą przywlec na okręt. Było to na krótko przed jego małżeństwem. Stephen nie miał wątpliwości, że obecnie Nicolls znajdował się w stanie napięcia nerwowego. Kiedyś uważał go za typowego oficera okrętu wojennego, powściągliwego, lecz ogólnie dobrego towarzysza, który z naturalną swobodą łączył dobre urodzenie z szorstkością wykonywanego zawodu. Typowy oficer... To sformułowanie nie było pozbawione sensu, ale nie miał pojęcia, jak je zdefiniować. W każdym zbiorowisku żeglarzy

można było napotkać kilku, w stosunku do których reszta stanowiła warianty osobowościowe, ale jak na podstawie owych kilku określić całą profesję? Od ręki mógł wymienić takich kilku z owych setek, które w życiu napotkał - Dundas, Riou, Seymour, Jack, może również Cochrane, choć nie... Cochrane na łodzi zachowywał się zbyt ostentacyjnie, by można go było uznać za „typowego” żeglarza. Nadmiernie skoncentrowany na sobie, zbyt mocno przekonany o swojej wartości, zbyt duży wpływ na jego osobowość miało też owo szkockie zamiłowanie do uskarżania się. Miał też ten niefortunny tytuł, który zwisał mu z szyi niczym ukochany młyński kamień. W Jacku było coś z Cochrane' a, owo nie mające kresu lekceważenie autorytetów, owo przekonanie o własnej racji, lecz jego akurat to nie dyskwalifikowało. W każdym razie Jack znacznie się poprawił przez ostatnie trzy lata.

Czy definicja „typowego oficera” miała jakieś wspólne, charakterystyczne cechy? Beztroska umiejętność dostosowania się do każdego warunków? Gotowość do kompetentnego działania? Szczerłość, komunikatywność i brak fałszu? Rozwój ilu z tych cech stymulowało samo morze? A może ich dobór wywołany był tym, że zawód podejmowali ludzie o podobnych osobowościach i temperamentach?

- Kapitan ma już dość. - Jego sąsiad nachylił się i szepnął mu do ucha.

- Otóż to. - Stephen podniósł się. „Podnosi kotwicę” - pomyślał.

Jeden po drugim wspinali się na pokład, gdzie po ucichnięciu wiatru upał był jeszcze większy niż w mesie. Jeden z żagli bocznych na lewej burcie zanurzył się w wodzie, tworząc w środku basen, w którym pluskała się teraz połowa załogi. Na prawej burcie, w odległości około dwóch mil, widniały skały, z których najwyższa liczyła sobie około pięćdziesięciu stóp wysokości. Zgoła nie przypominały już żagli, lecz wciąż olśniewały bielą, mocno odcinającą się od błękitu morskiej toni, bielą tak intensywną, że powolny przybój sprawiał w porównaniu z nią wrażenie śmietankowego. Nad ich głowami szybowały głuptyki przemieszane z rybitwami, od czasu do czasu któryś z głuptyków składał skrzydła i nurkował głęboko w toń morską z pluskiem czterofuntowej kuli armatniej.

- Panie Babbington, czy zechciałby pan pożyczyć mi lunetę? - zawołał Stephen.

Pochwyciwszy instrument, przyglądał się skałom przez chwilę. - Ach, jakże chciałbym być tam teraz! Jack... To znaczy, kapitanie Aubrey... Mogę wziąć łódź?

- Mój drogi doktorze - powiedział Jack. - Jestem pewien, że gdyby nie to, iż właśnie mamy niedzielne popołudnie, w ogóle byś nie spytał. - Niedzielne popołudnie było świętem ludzi morza, ich jedynym świętem, do którego - jeśli pozwoliła na to pogoda i nieprzyjaciel - przygotowywali się przez całą sobotę i niedzielę rano. - Muszę zejść pod pokład do tego cholernego składu żagli. - Szybko odwrócił się, by nie patrzeć na rozczarowanie przyjaciela. - Nie zapomnij też, że jesteśmy zaproszeni do pana Stanhope'a na kolację.

- Ja pana zabiorę, jeśli pan sobie życzy - zaofiarował się Nicolls chwilę później. - Myślę, że pan Hervey pozwoli nam zabrać bączka.

- Och, jakże to miło z pana strony! - wykrzyknął Stephen, spoglądając na twarz Nicollsa, cokolwiek pijanego, lecz doskonale panującego nad sobą. - Będę panu bezgranicznie wdzięczny. Zabiorę tylko mój młoteczek, kilka pudełek, kapelusze i już jestem gotów. Istniało niebezpieczeństwo, że pod wpływem palących promieni słonecznych deski łodzi mogą się rozstąpić, tak więc łodzi holowano za okrętem. Bączek znajdował się na końcu, przymocowany za barkasem, szalupą i jednym z kutrów. Po chwili wiosłowania zostawili z tyłu radosne pokrzykiwania kąpiących się, a kilwater łodzi ciągnął się daleko po gładkiej tafli morza. Stephen zdjął ubranie i usiadł nagi, za jedyne okrycie mając swój słomiany kapelusz - od Madery wygrzewanie się w słońcu stanowiło dla niego codzienną rozrywkę. Jego opalona, ciemnobrązowa skóra upstrzona była od stóp do głów ciemniejszymi, szarymi plamkami. Był to skutek kąpieli w słonej wodzie - jako że nie mieli słodkiej wody do opłukiwania ciał, sól osadzała się na jego skórze niczym kurz.

- Właśnie rozmyślałem o oficerach marynarki - odezwał się. - Próbowałem ustalić, jakie cechy sprawiają, że człowiek na widok marynarza nagle woła: „Oto żeglarz z krwi i kości!”, co przywiodło mnie do wniosku, że typowy oficer to zjawisko tak samo rzadkie jak typowe anatomicznie ciało ludzkie. Mam na myśli to, że typowego oficera otacza wielu innych, których z braku lepszych określeń można nazwać okazami mało satysfakcjonującymi lub podgatunkami. Kolejnym spostrzeżeniem, jakie mi się nasunęło, jest to, że jakkolwiek istnieje wielu dobrych lub przynajmniej przyjaznych innym midszypmenów, dobrych oficerów jest znacznie mniej. Jeszcze mniej znajdzie pan dobrych kapitanów, a dobrych admirałów nie ma prawie wcale. Możliwym wytłumaczeniem owego faktu jest to, że oprócz zawodowej kompetencji, spontanicznej elastyczności, zdolności przywódczych, dobrej wątroby i setek innych cnót, musi istnieć jeszcze rzadka umiejętność opierania się dehumanizującym skutkom egzekwowania władzy. Władza to szkło powiększające ludzkości. Weźmy choćby pod uwagę jakiegokolwiek męża i ojca rodziny i już widać, jak bardzo zmienia człowieka funkcja, jaką sprawuje. Pomnóżmy jednostkę rodziny i jej ojca razy kilkadziesiąt i mamy kapitana okrętu z załogą. Przykład monarchy absolutnego na razie sobie podarujmy. Zdecydowanie, człowiek rodzi się po to, by być ciemniejszym lub samemu ciemnić i z rzadka trafia się sytuacja, kiedy ktoś jest odporny na truciznę nadużywania władzy. Podczas służby na morzu taka odporność może zostać wykryta jedynie po długim czasie, niemniej istnieje z całą pewnością. Jak inaczej wytłumaczylibyśmy sobie istnienie rzadkich, lecz całkowicie ludzkich i w pełni skutecznych admirałów, takich jak, dajmy na to, Nelson czy Duncan...

Kiedy dostrzegł, że Nicolls dawno już przestał słuchać, jego głos przerodził się w nie kończący się pomruk, po czym, ponieważ na niebie nie było żadnych ptaków, wyciągnął książkę z kieszeni płaszcza i zabrał się do czytania. Wiosła skrzypiały w dulkach, pióra zanurzały się w wodzie z miarowymi pluśnięciami, słońce wciąż prażyło. Łódź wolno sunęła po tafli morza. Od czasu do czasu Stephen unosił wzrok i, powtarzając właśnie wyczytane frazy w języku urdu, przyglądał się twarzy Nicollsa. Od pewnego czasu z drugim oficerem działo się coś niedobrego. Źle z nim było w Gibraltarze, źle na Maderze, a od St. Jago było jeszcze gorzej. Szkorbut nie wchodził tu w rachubę. Może miał syfilis albo robaki?

- Proszę o wybaczenie - odezwał się Nicolls ze sztucznym uśmiechem. - Obawiam się, że straciłem wątek. Co pan mówi?

- Nic, powtarzałem jedynie frazy z tej książeczki. Jedynie to udało mi się zdobyć, poza gramatyką Fort William, która została w mojej kajucie. Ten okaz tutaj zawiera tylko zwroty i mam wrażenie, że skompilował je człowiek niezwykle rozzarowany życiem. Proszę posłuchać: „Mój koń został zjedzony przez tygrysa/lamparta/niedźwiedzia”. „Chciałbym wynająć palankin. - Nie ma palankinów w tym mieście, proszę pana”. „Moje pieniądze zostały skradzione, chciałbym porozmawiać z inkasentem. To niemożliwe, sir, inkasent nie żyje”. „Zostałem pobity przez niegodziwych ludzi”. O, a tu lubieżny rodzynek, zaiste musiała być to sfrustrowana duszyczka: „Kobieto, czy pójdziesz ze mną do łóżka?”

- Czy to w tym języku rozmawia pan z Achmetem? - spytał Nicolls, siląc się na zainteresowanie.

- Tak, wszyscy nasi hinduscy marynarze mówią w urdu, choć pochodzą z zupełnie innych części kraju. To ich *lingua franca*, a Achmeta wybrałem, gdyż to jego język ojczysty, a on sam to cierpliwy i grzeczny chłopak. Niestety, nie umie pisać ani czytać, więc ćwiczę z nim język mówiony, a nad gramatyką ślęczę sam. Nie odnosi pan wrażenia, że język mówiony jest jak podmuch wiatru? Wpada do głowy i wypada, i niewiele po nim zostanie, jeśli nie zakotwiczysz się go mocno drukiem.

- Niezbyt mam o tym pojęcie, doktorze, nigdy nie byłem dobry w obcych językach. Zaskakuje mnie pan, trąkając swobodnie z tymi czarnymi. Cóż, nawet w angielskim, kiedy mowa o czymś bardziej skomplikowanym aniżeli postawienie żagli, odkrywam, że... Przerwał i zerknął ponad ramieniem, po czym oznajmił, że lepiej będzie chyba wylądować z drugiej strony wyspy,

gdyż z tej strony brzeg jest zbyt stromy. W miarę jak zbliżali się do skał, w powietrzu kołowało coraz więcej ptaków, a gdy dziób łodzi skierował się ku południowej krawędzi wyspy, nad ich głowami zrobiło się czarno od głuptaków i rybitw. W osobliwej ciszy ptaki wzbijały się i opadały na swoje terytoria łowieckie, kreśląc na niebie niezwykle, oszałamiające ewolucje. Stephen również milczał, gdyż zachwyty odebrał mu mowę. Zapatrzył się na kołujące nad nim ptaki, aż łódź przechyliła się, szurając dnem o porośniętą wodorostami skałę. Nicolls wyskoczył z łodzi i wciągnął ją do bezpiecznej zatoki powyżej zasięgu fal, zacumował i pomógł Stephenowi wysiąść.

- Dziękuję, dziękuję - odparł Stephen, rozpoczynając wspinaczkę po szerniałej od uderzeń morza skale w stronę lśniących, białych ścian za nią. Naraz zamarł - tuż przed nim, tak blisko, że mógł go dotknąć, siedział głuptak. Niejeden, ale dwa, cztery, sześć głuptaków, białych jak skała, na której siedziały i jego oczom ukazał się istny dywan ptactwa, zarówno młodych jak i starych. Głuptaków i rybitw. Najbliższy ptak spojrział na niego bez śladu zainteresowania. Jedyne co Stephen dostrzegł w jego lśniącym oku i długim, gadzim obliczu, to odrobina irytacji. Wyciągnął palec i dotknął go - głuptak tylko poruszył się lekko. W tej samej chwili powietrze wypełnił szum skrzydeł, i na skale wylądował inny, trzymając w dziobie zdobycz dla pisklaka, szeroko rozwierającego dzióbek kilka stóp dalej.

- Święci pańscy... - wymamrotał, prostując się, by spojrzeć na całą wysepkę. Było to obłe wyrzucenie wyrastające z fal morza, przypominające kształtem spróchniały ząb trzonowy, którego wszystkie dziury wypełniały tłoczące się ptaki. Rozgrzane powietrze tętniło od łopotu skrzydeł, wypełniał je zapach amoniaku wydzielany przez ich odchody oraz smród gnijących ryb. Białe skały lśniły od upalnego słońca tak mocno, że odległe o pięćdziesiąt jardów ptaki ledwie były widoczne, a krawędzie skał drgały niczym świeżo wybrana lina. Nie dostrzegał żadnego źródła wody, ani żdźbła trawy, wodorostu czy porostu, wysepka była całkowicie jałowa. Nic tylko smród, rozgrzane skały i nieruchome powietrze.

- To raj! - wykrzyknął Stephen.

- Cieszę się, że się panu podoba - oznajmił Nicolls, siadając ciężko na jedynym czystym od odchodów skrawku skały, który udało mu się znaleźć. - Nie sądzi pan jednak, że jak na raj zbyt tu śmierdzi, upał jest wprost piekielny? Ta skała przepala podeszwy moich butów.

- Fakt, da się odczuć specyficzny odór - przyznał Stephen. - Używając słowa „raj”, miałem na myśli brak lęku u ptaków. - Szybko pochylił głowę, gdyż właśnie rybitwa śmignęła tuż nad nim, przelatując nad krawędzią skały i wyhamowując do lądowania. - Ptaki wykazują całkowity brak strachu przed człowiekiem, niczym przed grzechem pierworodnym! Nie sądzę jednak, by to one tak śmierdziały. Zaraz powącham tego ptaka, odnoszę wrażenie, że większość owego smrodu pochodzi od ekskrementów, martwych ryb i wodorostów. - Przynal się bliżej jednego z głuptaków, jednego z nielicznych, które wciąż siedziały na jajach, przyklęknął, delikatnie ujął ptaka za dziób i powąchał jego grzbiet.

- Ptaki też mają swój wkład w ten smród - oznajmił. Nastroszony głuptak wyglądał na oburzonego, ale do najmądrzejszych przedstawicieli swego gatunku się nie zaliczał, skoro cichy syk był jego jedyną reakcją. Ptak nie uciekł, poruszył się jedynie, by wygodniej umościć się na wysiadywanych jajkach, po czym jął wpatrywać się w kraba, z uporem dobierającego się do latającej ryby, porzuconej przez rybitwę dwie stopy od krawędzi gniazda.

Z czubka najwyższego wzniesienia wyspy można było dostrzec fregatę z obwisłymi żaglami stojącą nieruchomo w odległości dwóch mil. Stephen pozostawił Nicollsa pod daszkiem zaimprovizowanym z rozpostartych na wiosłach ubrań, jedynym źródłem cienia na niezwyklej wyspie, i ruszył na eksplorację. Zabrał dwa głuptaki i dwie rybitwy, z konieczności przewyciężając niechęć do ogłuszania ptaków ciosem w głowę, lecz jeden z ptaków, ten głuptak z czerwonymi nogami, stanowczo należał do nowego, nie opisanego jeszcze gatunku. Staral się wybierać ptaki, które nie miały potomstwa, a pocieszał się tym, że tak czy owak według jego rachuby na wysepce pozostało jeszcze jakieś trzydzieści pięć tysięcy innych

osobników. Jego pudełka z wolna wypełniały się napotkanymi okazami, znalazł między innymi dwie odmiany ciem, żuka nie znanego mu rodzaju, zwinnego kraba-żłodzieja oraz niezliczoną mnogość kleszczy i bezskrzydłych muszek, które chciał sklasyfikować w wolnej chwili. Co za łów! Teraz uderzał młoteczką w skały, już nie w poszukiwaniu geologicznych trofeów, gdyż ich sterta piętrzyła się w łodzi, ale by poszerzyć szczelinę, gdzie schronił się niezidentyfikowany arachnid. Skała była twarda, szczelina szeroka, a pająk uparty. Przerywał od czasu do czasu, by odetchnąć głęboko czystszy nieco tu w górze powietrzem i spojrzeć w kierunku okrętu - na wschodzie było znacznie mniej ptaków, choć tu i ówdzie dostrzegał głuptaka składającego nagle skrzydła i wbijającego się w toń morską. Przypomniał sobie, że podczas sekcji musi zwrócić baczną uwagę na ich nozdrza - musiał przecież istnieć jakiś mechanizm, który uniemożliwiał wniknięcie wody do wnętrza.

Wciąż myślał o Nicollisie, z którym rozmawiał przy łodzi. Nigdy by się nie spodziewał takiego potoku słów z jego ust, takiej eksplozji zaufania. Jakies odległe, zamazane, ledwo kojarzone wspomnienie naraz pchnęło oficera do wyznań:

- Byłem na łądzie, odkąd rozpuszczono załogę „Euryalusa” aż do zaciągu na „Surprise”.

Miałem wtedy awanturę z żoną.

Protestanci często spowiadali się lekarzom i Stephen już słyszał podobne historie, zawsze zakończone usprawiedliwieniami i prośbą o pomoc - głęboko zranione żony i niegodziwi mężowie chcący odpokutować opowiadali mu o pełnym uprzejmości naśladownictwie małżeństwa, ostrożnych słowach, rezerwie i urazie, koszmarze nocy i przebudzeń, stopniowym obumieraniu wszystkich przyjaźni i znajomości i tak dalej. Jednakże nigdy jeszcze nie słyszał w niej tak przejmującego uczucia smutku i osamotnienia.

- Pomyślałem, że może lepiej będzie, gdy wypłynę na morze - mówił Nicolls. - Ale to była nieprawda. W Gibraltarze nie było listów dla mnie, choć „Leopard” i „Swiftsure” dotarły tam przed nami. Za każdym razem, kiedy miałem wachtę po północy, spacerowałem po pokładzie, układając w myślach odpowiedź na jej list, który miał oczekiwać na mnie na Maderze. Nic na mnie nie czekało. Okręt pocztowy przybył dwa tygodnie przed nami, kiedy my wciąż staliśmy w Gibraltarze, ale listu nie było. Nawet króciutkiego. Wciąż nie mogę w to uwierzyć, przez całą drogę do równika nie wierzyłem w to wszystko, ale teraz chyba już wierzę, doktorze. Nie mogę tego znieść, nie mogę znieść tej długiej, powolnej śmierci.

- W Rio czeka na pana cała ich sterta! - powiedział Stephen. - Ja też nic nie znalazłem na Maderze. Zupełnie nic. Na pewno zostały wysłane do Rio albo nawet do Bombaju, proszę mi wierzyć!

- Nie - odparł Nicolls, w jego beznamytnym głosie brzmiała pewność. - Nie będzie już listów. Dość już pana nudziłem moimi sprawami, proszę o wybaczenie. Rozłożę dla pana parawan z wioseł i mojej koszuli, schroni się pan pod nim? Jeszcze dostanie pan udaru słonecznego.

- Nie, dziękuję. Brak czasu na to wszystko. Chcę zbadać dokładnie tę skalistą arkę Noego, Bóg jeden wie, kiedy ją znów ujrzę.

Stephen miał nadzieję, że Nicolls nie będzie żałował swoich słów. Zwyczajowa spowiedź była bardziej formalna, daleko mniej szczegółowa i stąd też mało satysfakcjonująca w swoim aspekcie niesakramentalnym, ale przynajmniej spowiadającego słuchał ksiądz, człowiek zajmujący się tym przez całe swoje życie, a nie lekarz, człowiek z tłumu. Poza tym trudno jest nie czuć się nieswojo, siedząc obok siebie podczas obiadu po takiej serii zwierzeń.

Powrócił do poprzedniego zadania, łup, łup, łup! Przerwa, łup, łup, łup! Kiedy szczelina była już całkiem szeroka, Stephen zauważył, że na skałę wokół padają krople i natychmiast wyparowują w zetknięciu z rozgrzaną powierzchnią.

„Nigdy bym nie przypuszczał, że pozostał mi jeszcze jakiś pot” - pomyślał, kontynuując poszerzanie szczeliny. Naraz poczuł jednak, że krople opadają także na jego plecy, a są to duże, ciepłe krople, coś zupełnie innego od kulek odchodów, którymi zaszczyczały go przelatujące raz na jakiś czas ptaki.

Wstał, rozejrzał się i naraz jego oczom ukazała się nadciągająca z zachodu chmura ciemności. Morze pod nią z niezwykłą prędkością wzbierało w rozpędzoną, białą linię. W powietrzu nie było już żadnych ptaków, nawet na zatłoczonym do tej pory zachodnim niebie. Widok rozmywał deszcz, nadchodzącą chmurę ciemności rozświetlały bijące od środka czerwone błyskawice, wyraźne nawet pomimo rozgrzanego, rozedrganego od upału powietrza. Słońce znikło, pożarte przez ciemności, upalny półmrok pobudzał fale do szaleństwa. Krople deszczu zamieniły się w gęste strumienie, równie gorące jak powietrze, wkrótce już strugi wody mknęły w szczelinach skalnych z ogromną siłą. Deszcz zbił się z pyłem wodnym ze wzburzonych fal w tak gęstą mieszankę, że Stephen ledwo mógł oddychać. Zakrył usta dłońmi, co pomogło nieco. Strumienie wody mknęły między jego palcami, nabierał jej pełne garście i pił, garść za garścią. Niebawem, choć stał na szczycie wzgórza, jego kostki zniknęły w strugach wody, porywającej pudełka. Zataczając się i nachylając pod wiatr, zdołał pochwylić dwa z nich, nim odpłynęły, i kucnął nad nimi. Deszcz ciął cały czas, oszałamiając go rykiem niemalże zagłuszającym nadchodzące gromy. Teraz szkwał przechodził tuż nad nim, wiatr zbił go z nóg. To, o czym myślał, że jest szczytem kataklizmu, przybrało na sile dziesięciokrotnie. Wepchnął pudełka między kolana i klęcząc na czworakach, stawiał czoło żywiołowi. Czas biegł teraz inaczej, odmierzany kolejnymi błyskawicami, z sykiem wyskakującymi z chmur nad nim, uderzającymi w wyspę i z powrotem w chmury. Kilka słabych, oszołomionych myśli kłębiło mu się w głowie: „Co ze statkiem? Czy jakieś ptaki przetrwają? Co z Nicollsem?”

Naraz wszystko ucichło. Deszcz nagle przestał padać, a podmuchy wiatru oczyściły powietrze. Kilka minut później chmura wypuściła opadające ku horyzontowi słońce, które na nowo zaświeciło z jeszcze bardziej błękitnego nieba. Na zachodzie świat sprawiał wrażenie nie tkniętego kataklizmem, przybyły jedynie białe grzywy na falach, na wschodzie zaś szkwał wciąż zakrywał miejsce, gdzie uprzednio Stephen widział okręt. W poszerzającym się pasie słonecznego światła między wyspą i odpływającą ciemnością prąd niósł setki martwych piskląt. Tu i ówdzie pojawiły się już rekiny.

Woda spływała z pluskiem wszystkimi szczelinami skalnymi.

- Nicolls, Nicolls! - krzyczał Maturin, zbiegając z pluskiem wody po zboczu wzgórza. Musiał uważać, by nie nadepnąć na układające swe piórka ptaki wciąż siedzące na gniazdach i jajach. Trzy razy minął postrzępione szeregi martwych rybitw i głuptaków, osmołonych mimo wilgoci, w powietrzu wciąż czuł zapach spalenizny. Wreszcie dotarł do miejsca, gdzie postawili ów symboliczny daszek - nie było ani płótna, ani wiosel, ani nawet łodzi. Obszedł wysepkę, opierając się podmuchom wiatru i krzyżąc w pustkę. Kiedy dotarł do wschodniego krańca po raz drugi i spojrzął na morze, szkwał już zdążył zniknąć. Nie widział okrętu... Dopiero ze szczytu wzgórza wreszcie go dostrzegł. Fregata sztormowała z wiatrem pod postawionym fokmarslem, lecz nie dostrzegł ani grotmasztu, ani stermasztu. Wpatrywał się w poturbowany okręt, aż znikła reszta migoczącej bieli. Słońce zachodziło za horyzontem, odwrócił się więc i zszedł ze skały. Głuptaki powróciły do połowu, nurkując w krwistoczerwonych wodach zachodu słońca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W końcu przyплыnęli po niego barkasem, z Babingtonem na czele. Mimo że przy każdym z wiosel siedziało po dwóch dobrze zbudowanych marynarzy, barkas wolno parł pod wiatr.

- Wszystko w porządku, panie doktorze? - krzyczał Babbington, gdy już dojrzano z łodzi sylwetkę siedzącego Maturina.

Nie odpowiedział, machnięciem ręki wskazał jedynie, by łódź przybiła z przeciwnego brzegu.

- Wszystko w porządku? - Babbington już wyskoczył na brzeg.

Stephen kiwnął głową, a z jego gardła zamiast głosu wydobył się zaledwie skrzek:

- Ze mną wszystko w porządku, dziękuję panu. Ale nieszczęsny pan Nicolls... Macie wodę na łodzi?

- Podajcie beczułkę! Szybciej, szybciej!

Woda. Wlewał w siebie wodę nasączającą jego szerniałe usta i wyschłe gardło, napełniając wyschnięte ciało, aż skóra na nowo trysnęła potem. Zdziwieni marynarze stali wokół, okrywając go kawałkiem płótna żaglowego. Nigdy by się nie spodziewali, że zastaną go przy życiu - w końcu dla nich, ludzi morza, zaginięcie Nicollsa było elementem naturalnego biegu wydarzeń.

- Starczy dla wszystkich? - spytał Stephen głosem już przypominającym ludzki.

- Starczy, sir, starczy - odparł Bonden. - Na pewno pan chce jeszcze? Żeby pan nie pękł! Stephen nie przestawał pić, zamykając oczy z rozkoszy. „To doznanie przyjemniejsze od miłości, jest bliższe, pełniejsze” - przyszło mu do głowy. W końcu otworzył oczy tylko po to, by wykrzyknąć na nowo silnym głosem:

- Hej, wy, przerwać natychmiast! Ty tam, natychmiast odłóż tego głuptaka! Powtarzam, wy przekłęci rabusie o morderczych instynktach! I te kamienie też zostawcie!

- O'Connor, Bogusławski i Brown, do łodzi! - zawołał Babbington. - Sir, może zjadłby pan coś? Może odrobinę zupy? Kanapkę z szynką? Kawałek ciasta?

- Nie, dziękuję. Proszę tylko kazać ludziom przenieść te wszystkie kamienie, ptaki i jaja do łodzi, a te pudełka niech pan zanieśe osobiście. Potem już możemy odbijać, jak wy to nazywacie. Co z okrętem? Gdzie jest?

- Cztery czy pięć mil na południe ku wschodowi. Być może widział pan wczoraj wieczorem nasze marsle.

- Nie, nie widziałem. W jakim stanie jest okręt? A ludzie?

- Cóż, okręt dostał w kość. Bonden, są już wszyscy? Ostrożnie, panie doktorze, ostrożnie. Plumb, wyściel tą koszulą miejsce dla pana doktora. Bonden, co tam wyprawiasz?

- Pomyślałem, by zmajstrować dla pana doktora jakąś parasolkę, jeśli pan zechciałby przejąć rumpel.

- Odbijamy! - krzyknął Babbington. - Mocniej przy wiosłach!

Barkas odbił od skały, odwrócił się i z podniesionym kliwrem i grottem ruszył na południowy wschód.

- Cóż, sir - powiedział Babbington, manewrując rumplem według wskazań kompasu. - Okręt dostał niezłe bity, straciliśmy kilku ludzi. Starego Tiddimana po prostu zdmuchnęło z dziobu, a trzech chłopców okrętowych wyleciało za burtę i utopiło się, zanim zdołaliśmy ich uratować. Tak byliśmy zajęci gapieniem się na zachodnie niebo, że nie zauważyliśmy białego szkwału.

- Białego? Wydawało mi się, że jest czarny jak otwarty grób.

- Drugi był czarny. Pierwszy szkwał był biały i nadszedł prosto z południa kilka minut przed czarnym. Ludzie powiadają, że to się często zdarza przy równiku, ale nie słyszałem, by były takie silne! Uderzył bez ostrzeżenia, gdy kapitan siedział w składziku na żagle. Morze było niemalże gładkie. Szkwał walnął w okręt na wysokości marsli i położył nas na burcie, zanurzając wręcz kawałek pokładu. Wiatr powydzierał większość żagli z liklin, zanim zdążyliśmy chwycić za szoty i fały, ani kawałka nie zostawił!

- Nawet flagę podarł! - dorzucił Bonden.

- Tak, nawet flaga. I złamał grotstęgę i stęgę stermasztu i fokbramstęgę, a wszystko zleciało na zawietrzną. Okręt miał przechył, pootwierały się furty i trzy armaty uwolniły się z uprzęży. I wtem kapitan wyskoczył na pokład z siekierą w garści, wyrzaskując rozkazy i zapędzając nas do roboty. Okręt wyprostował się w try miga, ale ledwie zawróciliśmy dziób fregaty, uderzył w nas czarny szkwał. Na Boga, co się wtedy rozpętało...

- Ciągle mieliśmy kawałek żagla na stendze fokmasztu - ciągnął Bonden - i okręt zaczął sztormować. Na pokładzie wciąż jeździły te luźne działa i kapitan się bał, co by burt nie poprzebijały.

- Byłem przy nawietrznym nokbenclu - odezwał się Plumb, wiosłujący na rufie - i przez pół szklanki walczyłem, by go porządnie zawiązać. Wiało tak silnie, że mój warkoczyk wkręciło w

okucie bomu, Dick Trunbull musiał mi go po prostu odciąć. To była straszna chwila, sir. - Odwrócił głowę, by pochwalić się stratą. Piętnaście lat żmudnego zaplatania, czesania i smarowania olejkim Macassar zamieniło się w trzycalowy, postrzępiony kikucik.

- Nareszcie jednak napełniliśmy zbiorniki na wodę - zakończył Babbington. - I postawiliśmy już zapasową grotstęgę i stęgę stermasztu. I coraz lepiej żeglujemy!

Mnogość szczegółów przytłoczyła Stephena. Niespokojne, zadane cichym głosem pytania Babbingtona o los Nicollsa, zaskakująco szybkie, filozoficzne pogodzenie się z jego śmiercią i dalsze opowieści o połamanych rejach, uderzeniu pioruna w bukszpryt i wytężonej pracy w dzień i w nocy zmęczyły go nad wyraz szybko i Stephen naraz zapadł w drzemkę, wciąż ściskając w dłoni kawałek suchara.

- Tam stoi. - Głos Bondena przedarł się przez opary drzemki. - Postawili już fokbramstęgę. Kapitan ucieszy się na pana widok, doktorze! Już mówił, że nigdy pan nie przeżyje na tej cholernej skale. Czuwał na pokładzie dzień i noc, co wybili szklankę, to on nakazywał zwrot. Bóg miał nas w opiece - zachichotał na wspomnienie monotonnej, wytężonej harówki, po której wręcz padali ze zmęczenia. - Ależ był rozdrażniony - dodał.

Rozdrażnienie Jacka w istocie nie miało granic, ale kiedy z salingu okrzyknięto pokład, że barkas wraca z żywym doktorem na pokładzie, kamień spadł mu z serca. Wciąż pozostał niepokój o Nicollsa i gdy wychylał się przez reling, na jego twarzy powaga mieszała się z ledwie tłumioną radością i z trudem powstrzymanym uśmiechem. Stephen żwawo przeskoczył przez burtę, niemalże z wprawą doświadczonego żeglarza.

- Dziękuję, ze mną wszystko w porządku - oznajmił.

- Niemniej z głębokim żalem muszę oznajmić, że pan Nicolls oraz szalupa, na której dostaliśmy się na wyspę, znikli bez śladu. Przeszukałem wysepkę wieczorem po szkwale, a potem jeszcze dwa razy - ani widu, ani słyhu.

- Mój żal nie ma granic. - Jack potrząsnął głową i opuścił wzrok. - Był bardzo dobrym oficerem. Stephen, zejdź proszę na dół i spocznij w koi - dodał po chwili. - Pan M'Alister zajmie się tobą. Panie M'Alister, proszę zaprowadzić doktora Maturina pod pokład...

- Pomogę panu zejść - zaoferował się Pullings.

- Służę pomocą - wtrącił się Hervey.

Spojrzenia całego pokładu rufowego i większej części reszty załogi ściagały teraz cudem ocalałego doktora - starsi towarzysze jego podróży patrzyli nań z radością, inni z zadziwieniem, Pullings posunął się nawet do tego, że wepchnął się między doktora i kapitana, aby ująć Maturina pod ramię.

- Nie mam najmniejszego zamiaru schodzić pod pokład - zaprotestował żywo Stephen, wrywając się. - Marzę tylko o filiżance kawy.

Cofnął się nieco ku rufie, gdzie dostrzegł pana Stanhope'a.

- Och, Ekszelencjo! - wykrzyknął. - Proszę o wybaczenie, że nie mogłem dotrzymać terminu naszego spotkania w niedzielę!

- Proszę mi pozwolić pogratulować panu niezwyklego ocalenia - powiedział pan Stanhope, podchodząc bliżej i wyciągając dłoń. W jego głosie ponad zwyczajową rezerwę przebiło się wzruszenie. Stephen stał nagi i choć pan Stanhope widział już wcześniej nagich mężczyzn, nigdy jeszcze nie ujrzał oczu tak czerwonych od podrażnienia solą i blasku okrutnego słońca czy ciała tak wyschniętego i pomarszczonego, że zgoła przypominało trupie.

- Jakże się cieszę z pana uratowania, doktorze - rzekł pan Atkins, jedyny człowiek na pokładzie, którego powrót barkasa niezbyt uradował. Misja Stanhope'a była bowiem w przemyślny sposób powiązana z osobą Stephena i instrukcje zobowiązywały posła do zasięgnięcia rady u doktora Maturina. O Atkinsie i jego kompetencjach w wytycznych misji nie było ani słowa, przez co zżerała go zazdrość. - Czy mogę podać panu ręcznik lub coś innego do okrycia? - spytał, patrząc na zapadnięty brzuch Stephena.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, sir - odparł Stephen - ale odpowiada mi to, jak się prezentuję w tej chwili. W tym oto stroju stanę kiedyś przed Bogiem, nie mam się zatem czego wstydić, stając, jak On sam mnie stworzył, przed panem.

- To mu doktor powiedział... - wyszeptał Pullings do Babbingtona, zachowując pokerową twarz. - Zatkąło darmozjada...

Stephen pojawił się na śniadaniu punktualnie z chwilą pierwszego uderzenia w dzwon pokładowy. Wprost kipiał energią i pogodą ducha.

- Jesteś pewien, że nie powinieneś zostać w łóżku? - wykrzyknął Jack na jego widok.

- Oczywiście! - odparł Stephen, sięgając po dzbanek z kawą. - Czyż nie mówiłem, że czuję się dobrze? Poproszę plasterek szynki. Mój drogi, gdyby nie biedaczysko pan Nicolls, cieszyłbym się z bycia rozbitkiem na bezludnej wyspie.

Cierpiałem niewygodę, rzecz jasna, słońce niemal mnie usmażyło, ale też uczyniło cuda dla moich mięśni. Czuję się teraz zdrowszy niż po stu latach taplania się w źródłach Bath. Nie czuję ani bólu w stawach, ani odrętwienia członków, nic! Zatańczyłbym teraz gigę i to całkiem zgrabną gigę! A poza tym czy w innych okolicznościach mógłbym pozwolić sobie na dzień tak dokładnych obserwacji? Choćby tylko skorupiaki... Zanim udałem się na spoczynek, sporządziłem na bieżąco trochę notatek - o samych skorupiakach mam siedemnaście stron! Dam ci je do przeczytania, będziesz miał okazję zapoznać się z moimi spisanyymi na gorąco, nie poddanymi analizie obserwacjami!

- Wielkie dzięki, Stephen, zaszczytasz mnie.

- Potem obmyłem się kilka razy świeżą, świeżutką, błogosławioną wodą, od stóp do głów i zasnąłem... Na Boga, jakże ja spałem... Czuję się, jakbym opadał w bezdenną czeluść, tak głęboką, że dziś rano miałem problemy z przypomnieniem sobie wczorajszych wydarzeń. Dopiero po chwili z napływających z mojej podświadomości elementów poukładałem wizję szpitalika okrętowego. Obawiam się, że po porannym obchodzie będę miał dla ciebie smutne wieści.

- Zdecydowanie nie przypominasz już ofiary poparzenia słonecznego tak bardzo jak wczoraj - rzekł Jack, spoglądając z zadowoleniem na jego oblicze. - Nawet twoje oczy przypominają już ludzkie. Ale - ciągnął, odniósłszy wrażenie, że jego słowa mogły być poczytane za nieuprzejme - niebawem będziesz już mógł nimi oglądać pasjonujące widoki. Schwytaliśmy wreszcie południowo-wschodni pasat w żagle. Co prawda wieje bardziej na południe, niżbym sobie tego życzył, ale i tak dotrzemy z nim do przylądka St. Roque. Tak czy owak, powinniśmy przekroczyć równik dziś przed południem. Robimy już siedem, a nawet osiem węzłów od początku środkowej wachty. Jeszcze filiżankę? Powiedz mi, Stephen, co ty piłeś na tej przeklętej wyspie?

- Rozgotowane łajno. - Odpowiedź Stephena zaskoczyła Jacka całkowicie. Doktor był wstrzeźliwy w mowie, prawie nigdy nie przeklinał, a wulgaryzmów zgoła nie używał. Pierwszą myślą Jacka było więc, że źle zrozumiał jakiś naukowy termin.

- Rozgotowane łajno - powtórzył Stephen. Jack uśmiechnął się w niezobowiązujący sposób, ale czuł, jak jego policzki pokrywa rumieniec. - Tak - ciągnął doktor. - W jednej z niecek pozostało oczko deszczówki i ptaki obficie zostawiały tam swoje odchody. Nie czyniły tego rzecz jasna świadomie, gdyż w fekaliach tonęła cała wyspa, ale wystarczało, by sam zapach kałuży przyprawiał o mdłości. Następny dzień był jeszcze gorętszy, jeśli to w ogóle możliwe, i temperatura cieczy bardzo wzrosła. Tak czy owak, musiałem ją pić i robiłem to tak długo, aż woda przestała zasadniczo być cieczą. Sięgnąłem zatem po krew - krew kilku niczego nie podejrzewających głuptaków, rozcieńczona morską wodą i sokiem z wodorostów. Krew... Powiedz mi, Jack, ten przylądek St. Roque, o którym z takim utęsknieniem mówisz, jest w Brazylii, czyż nie? A Brazylia to kraina nietoperzy-wampirów?

- Proszę wybaczyć, że przerywam - na progu kajuty pojawił się Hervey - ale prosił pan, by powiadomić, gdy będziemy gotowi do osadzenia fokbramstengi.

Stephen pozostawiony sobie samemu przyglądał się pozbawionym paznokci dłoniom i z dużym zadowoleniem powitał fakt, że ich sprawność, precyzja i elastyczność nie zmieniły się zupełnie. Niewielkim kieszonkowym lancetem przeprowadził drobną operację na plasterku szynki, po czym wolnym krokiem pomaszerował w kierunku szpitalika okrętowego.

„Nie potrafiłbym tego, gdyby mnie nie usmażono, wysuszono i zmumifikowano” - przyszło mu do głowy po drodze. „Niech błogosławiona będzie potęga słońca”.

Tego dnia przekroczyli równik, czemu towarzyszyła skromna uroczystość, pozbawiona zwyczajowej, spontanicznej radości. Utrata kilku towarzyszy wraz z Nicollsem, przypiętowana sprzedażą ich rzeczy na kabestanie, ciążyła na nastrojach wśród załogi. Jedynie Badger Bag wyskoczył na pokład z trójzębem, niedbale ogolił kilku chłopców pokładowych i młodszych marynarzy, wyłuskał od Stephena, Stanhope'a i jego świty kilka pensów grzywny, rozbrzygwał kilka kubłów wody na forkasztelu i śródokręciu, po czym zniknął.

- I to były nasze saturnalia - powiedział Jack. - Mam nadzieję, że nie napawają cię obrzydzeniem?

- Nie, skąd. Jestem ogromnym zwolennikiem nieskażonej radości, ale wydaje mi się, że tobie owo małe święto niezbyt przypadło do gustu. Jak sam powiadasz, czas jest bardzo cenny, a tymczasem pokład jest zasłany szczątkami rei, kawałkami lin i żagli...

- Tradycja to tradycja, Stephen, nie wolno jej stawać na drodze. Jutro załoga popracuje na dwie zmiany, będą w lepszym nastroju. Tradycja...

- Zwariowałaś na punkcie tradycji w marynarce! - przerwał mu Stephen. - Te wasze dzwony i szklanki, ezoteryczny żargon, ceremonie pozbawione sensu! Sama sprzedaż rzeczy biednego pana Nicollsa wydała mi się wydarzeniem całkiem nie na miejscu, pan Stanhope zresztą odniósł podobne wrażenie. To znacznie ciekawszy człowiek, aniżeli ci się wydaje - sporo czyta i gra na flecie. Nie mam zamiaru jednak prawić ci kazań o naszym pasażerze, Jack, jest sprawa znacznie poważniejsza. Ta nie kończąca się harówka przez ostatni tydzień całkowicie wyczerpała twoją załogę. Ci, którzy wcześniej nie wykazywali ani śladu skorbutu, teraz są już nim zarażeni. Spójrz, oto moja lista, są na niej właściwie wszyscy ludzie z „Racoon”, sporo z „Surprise” i kilku nowych. Co gorsza, szkwał zamienił mój magazynek w rumowisko, a zapas leków w najosobliwszą papkę, jaką kiedykolwiek widziałem, że już nie wspomnę o resztkach soku z cytryny, i tak wątpliwej jakości. Oficjalnie ci to mówię i mogę potwierdzić na piśmie, jeśli tego zechcesz, że jeśli w ciągu kilku dni nie zdobędę świeżych warzyw, mięsa, a przede wszystkim owoców cytrusowych dla załogi, nie wezmę na siebie odpowiedzialności za konsekwencje takiego stanu rzeczy. O ile się nie mylę, masz zamiar płynąć wzdłuż brzegu wschodniej Brazylii, a tam - zawołał, wpatrując się chciwie w przestrzeń wodną na zachodzie - owe produkty występują w wielkiej obfitości.

- Tak - potwierdził Jack. - Nie mówiąc już o wampirach.

- Och, nie myśl, że nie walczę z własnym sumieniem! - wykrzyknął Stephen, kładąc dłoń na kolanie Jacka. - Nie myśl, że nie zdaję sobie sprawy z własnej tęsknoty za postawieniem stopy na lądzie Nowego Świata tak szybko, jak tylko się da. Ale tymczasem pozwól, proszę, za mną, rzucimy okiem na kilka pięcioletnich, ropiejących obecnie amputacji i przypadków otwierających się na nowo ran, ropiejących dziąseł, wysokich temperatur i wybroczyn na skórze!

- Tylko żartowałem - odparł Jack. - Faktem jest, że muszę teraz wziąć pod uwagę bardzo wiele czynników.

Istotnie, czynników było całe mnóstwo. Podróż trwała już długo i stracili sporo czasu. Przylądek Horn był teraz w rękach Holendrów i musieli zejść aż do czterdziestego stopnia szerokości południowej, gdzie silne, niezawodne wiatry zachodnie niosłyby „Surprise” na Ocean Indyjski z prędkością dwustu mil morskich na dzień. Na wysokości Madagaskaru złapałoby potem monsun południowo-zachodni. Według rozkazów miał zatrzymać się w Rio, które leżało nieco ponad tysiąc mil stąd, co nie byłoby wielkim dystansem, gdyby tylko

utrzymał się złapany z takim trudem pasat. Po zbliżeniu się do lądu istniało ryzyko zgubienia wiatru. Mógł się zatrzymać w Recife, ale wtedy nieuniknione byłyby kłopoty z władzami portugalskimi

- Portugalczycy bowiem z trudem znosili obecność jakiegokolwiek obcego okrętu wojennego w jakimkolwiek porcie poza Rio. W najlepszym razie mógł spodziewać się bliżej nieokreślonej zwłoki w podróży, w najgorszym zaś incydentów, zatrzymania okrętu, a nawet aktów przemocy. Recife oznaczało zatem na pewno opóźnienie, być może awanturę i raczej brak pewności, że uzupełni się zapasy. Chociaż Stephen przemawiał w dobrej wierze, Jack jakoś nie mógł zapomnieć o jego fascynacji robakami i nietoperzami. - Daj mi to przemyśleć, Stephen - powiedział. - Na razie zejdźmy do szpitalika.

- Dobrze. Jednak, Jack, skoro już będziesz oddawał się przemyśleniom, dorzuć sobie także i ten temat - otóż moje szczury znikły i nie szkwał był tego przyczyną. Klatka jest w miarę nietknięta, ale ktoś otworzył drzwiczki. Odwracam się do nich plecami na pięć minut, by zaczerpnąć świeżego powietrza na St. Paul's Rock i moje cenne okazy znikają! Jeśli to kolejna z twoich tradycji morskich, to chciałbym, żeby was wszystkich oćwiczono do kości, a potem ukrzyżowano na bombramrejach! Już nie pierwszy raz padam ofiarą czegoś takiego.

Ukradzono mi żmiję niedaleko Fuengirola i trzy myszy w zatoce Lyonu. Sam te szczury wychowałem, troszczyłem się o nie już od przylądka Berr Head, cierpliwie wciskałem w nie pokarm nasycony barwnikiem z marzanny, choć niezbyt miały na to ochotę, i teraz cały mój eksperyment poszedł w diabły! Wszystko przepało, cały wysiłek daremny!

- Czemu karmiłeś je marzanną?

- Według Duhamela kolor czerwony osadza się w kościach i sam chciałem się przekonać, jak głęboko przenika barwnik i czy sięga do szpiku kostnego. Tak czy owak przekonamy się o tym z panem M'Alisterem, kiedy już dokonamy sekcji najbardziej odpowiednich osobników. Widzisz, właściwości barwnika zostaną przekazane tym, którzy zjedzą moje szczury, a szczerze ci powiem, że jeśli będziesz się upierał przy tej ślepej harówce i pokrzykiwaniu: „Szybciej, więcej żagli, nie ma czasu do stracenia!”, to większość ludzi z twojej załogi z pewnością trafi w nasze ręce. Na pewno będzie wśród nich ów nikczemny złodziej, którego kości rozgorzeją purpurą ze wstydu! - Ostatnie słowa wy wrzeszczał na progu szpitalika, by dobrze słyszano go w zbrojowni, gdzie właśnie wykańczano nową prowadnicę do szotów w zastępstwie starej, zmiecionej przez szkwał.

Jack stanął przed zatłoczonymi kojami - powietrze cuchnęło tu tak mocno, że żaden płócienny nawiewnik nie mógł temu zaradzić. Stephen i M'Alister odwiązywali bandażę i pokazywali mu efekty działania szkorbutu na stare rany. Nie poddawał się jednak ich argumentacji nawet wówczas, gdy doprowadzili go do najbardziej zatrważającego świadectwa, człowieka, który od pięciu lat miał drewnianą nogę, a teraz ropiały mu rany po amputacji. Zmięknął dopiero, gdy pokazali mu pudełko zębów i posłali na górę po ich niedawnych właścicieli, by pokazać, jak łatwo wypadają zęby trzonowe, i zmusić Jacka do dotknięcia ich ropiejących dziąseł. Kapitan oznajmił, że ma już dość, i wycofał się na rufę.

- Killick - powiedział. - Nie mam dziś ochoty na obiad. Zawołaj do mnie Babbingtona. - Nareszcie nie czułem zapachu tej przeklętej kostnicy. - O, jest pan, Babbington. Proszę usiąść. Mam nadzieję, że wie pan, po co pana wezwałem?

- Nie, sir - natychmiast padła odpowiedź. Młody midszypmen wołał na wszelki wypadek zaprzeczać wszystkiemu tak długo, jak to było możliwe.

- Kiedy kończy się pański staż? Pora pańskiego egzaminu już chyba nadchodzi?

- Mam za sobą pięć lat, dziewięć miesięcy i trzy dni stażu, sir. - Po odsłużeniu sześciu lat midszypmen może przystąpić do egzaminu na porucznika, czyli stanąć przed wielką szansą awansowania z degradowanego byle kaprysem, z zera pokładowego, na oficera z godnością i uprawnieniami. Babbington znał swoją datę co do godziny.

- Tak. Wyznaczam pana zatem do tymczasowego pełnienia obowiązków biednego pana Nicollsa. Niebawem otrzyma pan szansę stanięcia przed komisją egzaminacyjną i ufam, iż admiralicja potwierdzi mój awans. Na pewno da pan sobie radę w kwestiach czysto morskich, jednakże niech pan poprosi pana Herveya, by pomógł panu z matematyki.

- Dziękuję, dziękuję panu! - wykrzyknął Babbington, przepełniony radością. Liczył się z decyzją kapitana, zdążył już nawet kupić na wyprzedazy przy kabestanie jedną z kurtek mundurowych Nicollsa, lecz nie miał pewności. Braithwaite, drugi ze starszych midszypmenów, który zresztą kupił dwie kurtki, dwie kamizele i dwie pary bryczesów świętej pamięci Nicollsa, również miał spore szanse na awans, tym bardziej że młody Babbington dostał ostrą reprimendę od kapitana na Maderze. Wszyscy pamiętali wrzask Aubreya: „Ten okręt to nie pływający burdel, panie Babbington!”

W życiu młodego midszypmena nastąpiła zatem niezwykła chwila, a do tego wszystkiego Jack zakończył swój wywód, nazywając go człowiekiem rokującym nadzieje na dobrego oficera oraz stwierdzając, że będzie się czuł na okręcie równie bezpiecznie z wachtą pod Babbingtonem, jak z każdym innym oficerem. Babbingtonowi napłynęły łzy do oczu. Coś go jednak tknęło i kiedy stał już w drzwiach po zwyczajowym oddaniu honorów, odwrócił się nagle i powiedział drżącym głosem:

- Jest pan dla mnie taki dobry, sir... Zawsze pan był... że aż czuję się jak łajdak. Nie zrobiłby pan tego wszystkiego dla mnie... gdyby... Ale ja nie do końca kłamałem!

- Co? - Jack był zdumiony.

Naraz wydało się, że niespodziewane wyrzuty sumienia Babbingtona biorą się stąd, że to on zjadł jednego ze szczurów doktora.

- Cóż, Babbington - westchnął Jack. - Zrobiłeś coś cholernie niegodziwego, przecież doktor zawsze był dla ciebie przyjacielem. Kto połatał ci ramię, gdy wszyscy wokół mówili, że trzeba je będzie amputować? Kto położył cię we własnej koi i czuwał nad tobą całą noc? Kto... Babbington nie wytrzymał i wybuchnął płaczem. Pochlipując i wycierając nos w rękaw, świeżo mianowany porucznik próbował wytłumaczyć Jackowi, że to nie on przemycił owe „młynarczyki pierwsza klasa” do mesy midszypmenów i że nie brał udziału w samej kradzieży, a gdyby wiedział o jej planach, to na pewno by temu zapobiegł. Zawsze żywił do doktora największy szacunek, raz nawet pobił się z Braithwaite'em, który nazwał go nadętym bufonem, ale skoro szczury były już martwe, usmażone i przybrane cebulą, a on wyczerpany po bieganinie po wantach, nie mógł pozwolić, by inni zjedli wszystko. Zapewniał też, że od tego czasu sumienie nie pozwalało mu spać, a wezwania do kajuty kapitańskiej spodziewał się w każdej chwili.

- Gdyby pan wiedział, czym doktor je naszpikował, to nie sumienie, ale żołądek nie dawałby panu spać - wtrącił Jack. - Doktor...

- Posłuchaj, Jack, już wiem... - Do kabiny wszedł niespodziewanie Stephen. - Och, wybaczcie mi.

- Ależ zostań, jeśli chcesz - zawołał Jack. Babbington przenosił wzrok z jednego na drugiego, malowała się w nim rozpacz. Obliznął w końcu wargi i oznajmił:

- Doktorze, zjadłem jednego z pana szczurów. Jest mi bardzo przykro i błagam o wybaczenie.

- Ty zjadłeś? - spytał łagodnie Stephen. - Cóż, mam nadzieję, że ci smakował. Słuchaj, Jack, zerkniesz na moją listę?

- On go zjadł, gdy już był martwy - powiedział Jack.

- Dziwiłbym się, gdyby pożarł go żywcem. - Stephen z uwagą przeglądał swoją listę. - Panie Babbington, zachował pan może jakimś trafem kości?

- Nie, sir. Bardzo mi przykro, ale z reguły gryziemy kości. Kilku chłopaków mówiło, iż wyglądały na osobliwie ciemne...

- Biedne dzieciaki - cicho powiedział Stephen do siebie.

- Czy życzysz sobie, bym zajął się tą kradzieżą w tradycyjny sposób? - spytał Jack.

- Nie, mój drogi, daj sobie spokój. Natura zajmie się nią na swój sposób - odparł Stephen i wrócił do szpitalika, gdzie wypytał pana M'Alistera, ilu młodych dżentelmenów mieszka wraz z Babbingtonem. Gdy dowiedział się, że jest ich aż sześciu, wypisał tyleż recept i przygotował sześć zestawów tabletek.

Kiedy wyszedł na pokład, był świadom, że wszyscy ukradkiem bacznie go obserwują. Po obiedzie, czyli o tej porze, kiedy był w najbardziej dobrotliwym stanie ducha, odwiedziła go deputacja szóstki młodych dżentelmenów z mesy midszypmenów. Wszyscy byli umyści i mimo upału ubrani w mundury. Ci również przyznali się, było im niezwykle przykro z powodu zjedzenia szcurów, prosili o wybaczenie i przyrzekli, że nigdy więcej nie zrobią czegoś podobnego.

- Młodzi panowie - powiedział. - Spodziewałem się was. Panie Callow, proszę pozdrowić ode mnie kapitana i wręczyć mu tę kartkę papieru.

Na karteczce napisał krótkie pytanie: „Czy mógłbyś zdjąć na jeden dzień ze służby tych młodych dżentelmenów i klerka?“, po czym kartkę złożył i podał Callowowi. W tym czasie bacznie przyjrzał się reszcie - byli to Meadows i Scott, ochotnicy w wieku lat dwunastu i czternastu, klerk kapitański, szesnastolatek o bujnej czuprynie i rękawach kurtki ledwie sięgających za łokcie, oraz piętnastolatki Joliffe i Church, midszypmeni. Stali przed nim wygłodzeni i wychudzeni mali chłopcy, których widok wywołałby przerażenie matki każdego z nich. Zniknęło gdzieś ich codzienne, bezmyślne rozchichotanie - stali teraz przed nim bladzi i poważni, rzucając ukradkowe spojrzania.

- Kapitan przesyła panu pozdrowienia, sir - oznajmił powracający Callow. - Mówi też, że z ochotą przychylił się do pana prośby. Nawet tydzień, jeśli pan sobie zażyczy.

- Dziękuję, panie Callow. Proszę połknąć te pigułki. Panie Joliffe i panie Church, teraz panów kolej...

„Surprise” leżała w dryfie, a cenne podmuchy pasatu gwizdały w jej olinowaniu, umykając bez pożytku w przestworza. Na trawersie prawej burty wdierał się w morze przylądek St. Roque, pokryty tak gęsto tropikalnym lasem, że nie było widać ani plamki nagiej ziemi z wyjątkiem pociętego strumyczkami brzegu, o który rozbijały się morskie fale.

Jeden ze strumieni miał silny prąd - w zatoczce u jego ujścia było widać jego mętne wody mieszające się z błękitem morskich fal. W górze strumienia można było w pewnej odległości dostrzec dachy wioski, lecz były to jedyne ślady ludzkiej bytności. Na resztę Nowego Świata składał się ów starożytny, bujny ponad miarę las, nie kończąca się plama najrozmaitszych odcieni zieleni. Ani śladu traktów, zabudowy czy nitek dymu. Teleskop Jacka, wsparty na siatce hamakowej, przybliżył puszcę tak bardzo, że można było rozróżnić pnie na poły przewrócone przez wiatr, wciąż wstrzymywane przed upadkiem przez płatanię gigantycznych pnączy, nowe drzewa strzelające ku niebu, a nawet rozkwitające kolorami punkciki ptaków i plamki kwiatów. Większość czasu Jack poświęcił jednak obserwacji dachów i strumienia, z godziny na godzinę łudzając się, że dostrzeże tam jakiś ruch.

Jack postanowił porzucić myśl o odwiedzeniu Recife czy jakiegokolwiek innego portu - po prostu chciał płynąć wzdłuż wybrzeża, rzucić kotwicę przy najbliższej wiosce rybackiej i wysłać szalupę po prowiant. W ten sposób na pewno oszczędziłby sobie kłopotów z władzami, a i czasu nie straciłby wiele. Stephen był przekonany, że każdy uprawiany odcinek lądu wzdłuż brzegu obfitował we wszystkie produkty, których potrzebował. Gdy ląd Brazylii zamajaczył na zachodzie wczesnym rankiem, pomysł wydawał mu się genialny.

- Potrzebujemy jedynie zieleniny - powiedział, wpatrując się w Cape St. Roque. - A cóż, poza samą doliną Limerick, może być zieleńsze od tego?

Niebawem dostrzeżono kilka kanoe, płynących w górę strumienia, a za nimi dachy. Na ląd wysłano Stephena, który jako jedyny członek załogi mówił po portugalsku i był świadom potrzeb szpitalika. Misję poprzedziły jednak długie rozmowy z Jackiem i w końcu Stephen z

ledwie skrywanym tajemniczym uśmiechem złożył przysięgę na swój honor, że nie przywiezie na pokład żadnego wampira.

Za plecami Jacka wciąż trwała praca. Przerwa w podróży miała być wykorzystana, by na nowo przewlec liny na grot-maszcie i założyć borny, lecz przerzedzona, podupadła na duchu załoga pracowała powoli. Bosman i jego pomocnicy dawali z siebie wszystko, ale ich wrzaski, choć dwukrotnie głośniejsze niż zwykle, zgoła nie przynosiły efektu. Z przedniego kokpitu dobiegały odległe odgłosy kłótni, nawet Hervey był dziś osobliwie wzburzony.

- Gdzie się pan podziewał, panie Callow! - wrzeszczał. - Już dziesięć minut temu kazałem panu przynieść mi kompas azymutowy!

- Byłem na dziobie, sir - odparł Callow, zerkając nerwowo na plecy kapitana.

- Na dziobie, na dziobie! Każdy midszypmen wciska mi dzisiaj tę bajeczkę! Joliffe jest na dziobie, Meadows na dziobie, Church na dziobie... Co się z wami dzieje? Zjedliście coś szkodliwego czy to jakaś zмова? Nie mam zamiaru tolerować takiego obijania się! Proszę nie lekceważyć swoich obowiązków, albo poleci pan na top masztu i to już niebawem!

Dzwon pokładowy wybił szóstą szklanekę i Jack ruszył pod pokład - był zaproszony na herbatę przez Stanhope'a. W miarę jak go poznawał, darzył emisariusza coraz większą sympatią, choć był to z pewnością jeden z najbardziej niezaradnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał.

Niewątpliwie było coś ujmującego w tym, jak się starał, by nikomu nie sprawiać kłopotu, okazywał wdzięczność za oddanie mu kajuty kapitańskiej czy wyrażał troskę o załogę, na ogół jednak na opak. Cechował go też niezwykle hart ducha - po ataku szkwału Jack nie słyszał od niego słowa skargi. Z chwilą, gdy odkrył, że Jack z Herveyem są spokrewnieni z rodzinami, które znał, zaczął traktować ich jak ludzkie istoty - resztę załogi traktował jak pieski, grzeczne, inteligentne i dobrze ułożone pieski w przyjaznej dla nich społeczności. Był uprzejmy, wręcz ugrzecznony i miał uciążliwe poczucie obowiązku.

Jacka powitał po raz kolejny przeprosinami, iż musi to czynić w jego własnej kabinie.

- Obawiam się, że w pańskiej nowej kabinie jest panu niezwykle ciasno - stwierdził. - Jakież żałosny ścisk, doprawdy.

Nalewał herbatę w sposób nieodmienne przypominający Jackowi jego ciotkę Letycję - te same nabożne gesty, to samo opadanie nadgarstka, to samo pełne powagi skupienie. Rozmowa dotyczyła fletu jego ekscelencji, o brzmieniu o ćwierć tonu za wysokim w tym upale, uzupełnień, jakie spodziewali się odebrać w Rio de Janeiro, i o morskiej tradycji, wedle której rok liczył trzystaście miesięcy.

- Już wiele razy miałem pana spytać, kapitanie. - Stanhope zmienił nagle temat. - Moi przyjaciele i znajomi związani z marynarką często używają nazwy „Nemesis”, gdy mówią o „Surprise”. Czyżby zmieniono nazwę okrętu po przejęciu go od Francuzów?

- Skądże, sir, jest to zaledwie przezwisko, które ciągnie się za okrętem, podobnie jak „Old Ironsides” za „Britannią”. Pamięta pan może „Hermione” z 1797?

- Okręt o tej nazwie? Nie, nie wydaje mi się.

- To była trzydziestodwudziałowa fregata, stacjonująca w Indiach Zachodnich. Cóż, przykro o tym mówić, ale jej załoga podniosła bunt, dokonała egzekucji na oficerach i popłynęła w kierunku La Guayra na wodach hiszpańskich posiadłości kolonialnych.

- Och, to okropne! Jestem głęboko wstrząśnięty!

- Tak, to paskudna historia. Hiszpanom jednak również zależało na okręcie, tak więc Edward Hamilton, ówczesny dowódca „Surprise”, udał się w pościg za „Hermione” i odciął jej drogę w Puerto Cabello. To jeden z najważniejszych portów na świecie i „Hermione” stała tam przycumowana do nadbrzeża pod ochroną hiszpańskich baterii, liczących sobie około dwustu dział. Hiszpanie patrolowali ponadto wody portu na wiosłowych kanonierkach i zbliżająca się „Surprise” nie mogła podejść bliżej. Po zapadnięciu zmroku kapitan Hamilton nakazał swojej załodze zejść do szalup, zdobył „Hermione” abordażem i wyprowadził z Puerto Caballe. W walce zginęło stu dziewięćdziesięciu marynarzy z „Hermione”, a dziewięćdziesięciu zostało

rannych, straty po stronie „Surprise” były niewielkie, choć sam Hamilton został ogłuszony ciosem w głowę. Cóż to była za akcja! Prawicę dałbym sobie odrąbać, by być wtedy z nimi! Tak więc admiralicja nakazała zmienić nazwę „Hermione” na „Retribution”*, a służący na morzu „Surprise” zaczęli nazywać „Nemezis”, wiedząc, że...

**Retribution* (ang.) - zemsta.

Usłyszał naraz marynarza z topu grotmasztu, okrzykującego pokład - od brzegu odbiła łódź holująca dwa kanoe. Stanhope sam podjął temat, nudząc jeszcze chwilę na temat „Nemezis”, odwetów, sprawiedliwości i nieuchronności kary za złamanie prawa i ubolewając nad zdeprawowanymi buntownikami.

- Bez wątpienia przewodził im jakiś nikczemnik - ciągnął. - Jakiś przeklęty radykał czy jakobin wzbudził w nich nienawiść i upiół! By tak po barbarzyńsku unieść rękę na legalnie ustanowioną władzę! Ufam, że ponieśli karę?

- W marynarce nie cackamy się z buntownikami, sir. Wszystkich powieszono na rei przy dźwiękach *Rouge's March*, granych przez orkiestrę pokładową. Paskudna historia, sir - zakończył. Osobiście znał niesławnego kapitana Pigota, którego okrucieństwo rozpętało bunt, znał też kilku dobrych, przywoitych ludzi, których w niego wplątano. Nie było to przyjemne wspomnienie. - A teraz, sir, pan wybaczy, muszę powrócić na pokład i obejrzeć, co przywiózł ze sobą doktor Maturin.

- Doktor wraca? Niezmiernie się cieszę. Udam się z panem, kapitanie, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Cenię doktora Maturina i darzę wielkim szacunkiem - to niezwykle człowiek o wielkim umyśle i zupełnie nie przeszkadza mi jego oryginalność. Czy zechciałby pan podać mi ramię?

„Niezwykle człowiek o wielkim umyśle” - pomyślał Jack, poszukując jego sylwetki lunetą.

„Ale także fałszywy człowiek skłonny do krzywoprzysięstwa. Sam zaproponował przysięgę, że nie będzie łąpał żadnych wampirów, a tymczasem...”

Tymczasem u pasa Stephena zwisało zielonkawę, włochate stworzenie obejmujące go w pół.

„Ani chybi straszliwy wampir z najbardziej trującego gatunku” - myślał Jack. „Nie powinienem był wierzyć w ani jedno jego słowo - najpierw składa uroczystą przysięgę podczas porannej wachty, a teraz zapycha mi okręt wampirami, Bóg zaś jeden wie, co trzyma w torbie. Na pewno strasznie go kusiło, ciekawe tylko, czy zarumieni się choć trochę ze wstydu za swój postępek?” Na twarzy doktora wolno wspinającego się po trapie nie było ani śladu rumieńca, za to wyraz debilnego wręcz zachwyty. We wspinacze przeszkadzał mu kołyszający się worek, do którego mówił uspokajająco po portugalsku.

- Cieszę się, że udało się panu, doktorze Maturin - powiedział Jack, zerkając na stosy pomarańczy, bananów i innych tropikalnych owoców, które piętrzyły się na dwóch przyholowanych kanoe. - Obawiam się jednak, że nietoperze i wampiry mają zakaz wstępu na pokład.

- To nie wampir, to leniwiec - odparł Stephen z uśmiechem. - Leniwiec trójpalczasty, najbardziej charakterystyczny i najchętniej przywiązujący się do człowieka rodzaj, jaki istnieje!

Leniwiec uniósł pyszczyk, wlepił ślepkę w Jacka, po czym załkał i ukrył główkę w ramieniu Stephena, zacieśniając uścisk.

- Pozwól, Jack, uwolnij jego prawe ramię, nie masz się czego obawiać. Wasza Ekscelencjo, pan pozwoli... Jego lewe ramię, teraz delikatnie proszę uwolnić jego pazurki. No, już, mój przyjacielu. Zniesiemy go pod pokład. Ostrożnie, nie wolno nam go zaniepokoić, proszę was... Okazało się jednak, że leniwca trudno zaniepokoić. Zwierzak uczeplił się pazurami liny rozciągniętej w kabinie doktora i szybko zapadł w sen, kołyszając się wraz z ruchem okrętu, zupełnie jakby nie schodził z bujanych wiatrem gałęzi drzew w rodzimej dżungli. Poza lękiem

na widok Jacka, szybko przywykł do życia na morzu - okazał się stworzeniem niewymagającym, nie potrzebował świeżego powietrza ani światła, zupełnie nie przeszkadzały mu duszne, zatłoczone pomieszczenia, a zasnąć mógł w każdych warunkach. Był stworzonkiem żywotnym i odpornym na niewygody, z chęcią jadł suchary i kleik, a wieczorami pełzał po pokładzie i wspinał się na takielunek. Wisiał potem na linach, przesuając się o dwa, trzy jardy z przerwami na drzemkę. Marynarze od razu pokochali zwierzaka i chętnie wnosili go na marsy, a nawet wyżej. Zapanowała opinia, że leniwiec przynosi okrętowi szczęście, choć trudno było znaleźć dla niej uzasadnienie - wiatr z południowego wschodu wiał bowiem rzadko i niezbyt mocno.

Świeże zapasy błyskawicznie wywarły korzystny wpływ na załogę, szpitalik okrętowy opustoszał niemal całkowicie w ciągu tygodnia i fregata, wreszcie z uzupełnioną, pełną życia załogą, odzyskała dawną formę. Wyciągnięto okręt na brzeg celem dokonania pilniejszych napraw i powrócono do ćwiczeń artyleryjskich - podmuchy pasatu codziennie rozwiewały wielkie kłęby dymu prochowego znad pokładu. Z początku leniwiec był nimi bardzo przestraszony i niemalże biegnąc, umykał niezdarnie pod pokład, stukając pazurkami w ciszy między jedną salwą burtową a drugą. Szybko się jednak przyzwyczał i kiedy słońce tkwiło w zenicie, a wiatr trwale przybrał na sile, wisiał na swojej ulubionej linie, łączącej obie drabinki wantowe stermasztu, tuż nad karonadami pokładu rufowego, przesypiając nie tylko ćwiczenia pokładów artyleryjskich, ale i palbę muszkietów piechoty morskiej i pistoletowe ćwiczenia Stephena.

Podczas długiego, żmudnego rejsu, nawet w strefie pasatów północno-zachodnich, fregata nie miała okazji popisać się swoimi możliwościami. Dopiero teraz, kiedy wiatr stawał się silniejszy i przeobrażał się w świszczące fale pędzącego powietrza, fregata zaczęła przypominać starą „Surprise” z czasów młodości Aubreya. Jack wciąż nie był zadowolony z jej trymu i pochylenia masztów, nie wspominając już o stanie dna, lecz teraz, z wiatrem zza trawersu w sam raz, by wypełnić żagle boczne, fregata mknęła przez fale z życiem, niczym tknięta czarodziejską różdżką. Jack znów odczuwał ową szczególną, pełną elastyczności władzę okrętu nad falami, którą rozpoznałby, nawet gdyby stanął niewidomy na deskach pokładu.

Słońce skryło się za horyzontem, barwiąc morze purpurą, po wschodniej stronie rozlewała się bezkسیężycowa noc, a błękit nieba ciemniał z minuty na minutę. Każda grzywa na fali zdawała się pulsować wewnętrznym ogniem. Trzeci oficer wstrzymał swój dumny spacer przy nawietrznej burcie i wykrzyknął w stronę burty sąsiedniej:

- Panie Braithwaite, czy zakończył już pan mierzenie prędkości okrętu? - Babbington nie ośmielił się jeszcze zadzierać nosa wobec niedawnych kolegów z mesy, ale chłopakom z kubryka na prawej burcie zdążył już wyciąć kilka kawałów. Był to miód na jego serce - a pytanie, wyrzeczane w stronę Braithwaite'a, miało na celu tylko i wyłącznie zmusić midszypmena do grzecznej odpowiedzi.

- Gotowe, sir! - odpowiedział Braithwaite. Rozległ się brzęk dzwonu. Braithwaite cisnął log między

błyszczące fale, przemykające wzdłuż kadłuba, a loglina poczęła wartko odwijać się z bębna. Na wrzask trzeciego oficera jeszcze raz sprawdził odczyt i wyciągnął log na pokład.

- Udało nam się! - krzyknął. - Udało się! Jedenaście węzłów!

- Nie może być! - W głosie Babbingtona zachwyty wyparł poczucie godności. - Spróbujmy jeszcze raz!

Wspólnie wrzucili log do wody i patrzyli, jak tonie w lśniącym, wzburzonem kilwaterze, jaśniejszym teraz od ciemniejącego nieba.

- Jedenaście! - wykrzyknął Babbington, własnoręcznie przepuszczający węzły logliny między palcami.

- Co porabiacie? - Za grupką rozentuzjasmowanych midszypmenów pojawił się nagle Jack.

- Właśnie sprawdzałem dokładność pomiarów pana Braithwaite'a, sir! - odpowiedział Babbington. - Sir, robimy jedenaście węzłów! Jedenaście! Czyż to nie wspaniale? Jack uśmiechnął się, namacał naprężony baksztąg i ruszył ku forkasztelowi, gdzie Stephen i White, kapelan Stanhope'a, zwisali przymocowani linami za burtą, desperacko czepiając się elementów takielunku podczas kołysania okrętu.

- Gotowe? - spytał.

- Czekamy na umówiony moment, sir - odparł duchowny. - Czy zechciałby pan mierzyć czas i dopilnować, czy wszystko rozgrywa się według reguł? Od tego zależy cała butelka ciemnego piwa! W chwili, kiedy z firmamentu zniknie planeta Wenus, doktor Maturin odczyta fragment tekstu z pierwszej, losowo wybranej strony jedynie przy blasku fosforescencji.

- Nie licząc przypisów - wtrącił Stephen.

Jack spojrział w górę - wysoko na poświsującym foksztagu bramzągła naprzeciw Krzyża Południa, zwisał leniwiec, kołysząc się łagodnie wraz z okrętem.

- Wciąż macie za dużo światła - ocenił.

Przy tej prędkości fala dziobowa fregaty potężniała, sięgając swym nieziemskim, niebieskozielonym światłem relingów na nawietrznej burcie i śląc nad nimi krople błyszczące jeszcze mocniej od ciągnącej się na trzy mile pręgi kilwateru, lśniącej w ciemności niczym roztopiony metal. Przez chwilę Jack przyglądał się odpryskom fal, jak wpadały na pokład, po czym porywały je prądy powietrzne znad kliwrów i sztaksli, potem spojrział na zachód, gdzie Wenus szykowała się do ukrycia za horyzontem. Planeta zniknęła z pola widzenia, pojawiła się, gdy okręt wzniósł się na fali, i naraz skryła się całkowicie. Blask gwiazd natychmiast osłabł.

- Wenus zaszła! - krzyknął

Stephen otworzył książkę i trzymając ją otwartą w stronę fali dziobowej, odczytał głośno: *I przyspiesz godzenie się ze sobą duszy Niech pojednanie znad Indusu aż po Biegun ruszy!* Panie White, jest pan świadkiem mojego tryumfu! Proszę o butelkę, kapitanie, zapraszam do wspólnego osuszania! Letarg, do mnie - zawołał, kierując głos prosto w aksamitną ciemność nieba, ku leniwcowi.

- Och! - krzyknął kapelan, zataczając się i wpadając na bom. - Ryba... Ryba mnie uderzyła! Latająca ryba uderzyła mnie w twarz!

- Tu jest jeszcze jedna! - Stephen podniósł ją z pokładu. - Zauważył pan, że latające ryby osobiwie zawsze skaczą z wiatrem. Przypuszczam, że musi tu istnieć jakiś wznoszący się prąd powietrzny. Ależ one błyszczą, przez cały lot! Tam, patrzcie! Patrzcie! Tam jest trzecia! Podsmażę ją trochę i podrzucę mojemu leniwcowi.

- Nie potrafię zrozumieć - mówił Jack, pomagając kapelanowi powstać i prowadząc go w stronę zejściówki - jakie pretensje ma do mnie leniwiec. Zawsze byłem dla niego miły, nawet bardziej niż miły, ale on nie zwraca na to uwagi. Nie rozumiem, dlaczego mówicie o tym, że go dyskryminuję.

Jack był człowiekiem optymistycznie nastawionym do świata, lubił większość ludzi, których poznawał, i z zaskoczeniem przyjmował fakt, że bywają tacy, którzy tego nie odwzajemniają. Co prawda jego wrodzona otwartość na ludzką sympatię mocno ucierpiała w ostatnich latach, ale w stosunku do psów, koni i leniwców pozostawała niewzruszona. Mocno ranił go widok też napływających do oczu stworzonka za każdym razem, kiedy wchodził do wspólnej kajuty, i Jack zadawał sobie wiele trudu, by być dlań miły. Na trasie do Rio siadał z nim czasem i częstował drobnymi przysmakami, które zniknęły pośpiesznie połykane w pyszczku zwierzątka lub wyciekały zeń wraz ze śliną. Próbował też doń zagadać po portugalsku, ale leniwiec nie reagował aż do chwili, kiedy przekraczali zwrotnik Koziorożca, mijając Rio de Janeiro na prawo od dziobu.

Ochłodziło się wtedy znacznie, gdyż wiatr wiał bardziej ze wschodu, z kierunku chłodnych prądów między Tristan i przylądkiem Horn. Zmiany zaskoczyły zwierzę, które zaczęło unikać pokładu i spędzało cały czas w pomieszczeniach. Jack siedział w swojej kabinie, ponuro

przykładając cyrkiel do mapy i sącząc grog z małej szklaneczki. Niewiele miał powodów do zadowolenia - prędkość okrętu znowu spadła, w nocy wiały wiatry od dziobu, a na domiar złego znów mieli poważne problemy z grotmasztem. Stephen siedział na marsie stermasztu, ucząc Bondena pisać i lustrując morze w poszukiwaniu pierwszego albatrosa. Wiszący na linie leniwiec kichnął i spojrzał na niego - Jack po chwili poczuł jego wzrok na sobie, na odwróconym pyszczku stworzenia malował się niepokój i troska. - Spróbuj no tego, chłopie - zaproponował Jack, mocząc kawałek suchara w grogu i wyciągając go w stronę zwierzęcia. - Może to cię wesprze na duchu.

Leniwiec westchnął, zamknął oczy, lecz posłusznie zjadł suchara i znowu westchnął.

Kilka minut później coś dotknęło kolana Jacka - leniwiec niespostrzeżenie, w ciszy zsunął się na dół i stał teraz przed nim, wpatrując się w niego paciorkowatymi, błyszczącymi, pełnymi nadziei oczkami. Jeszcze sucharka z grogiem, zdawały się mówić, tym razem już z szacunkiem i zaufaniem. Od tej pory zawsze, kiedy tylko Jack zamykał się w kajucie, leniwiec biegł ku niemu na swoich krzywych nóżkach, by powitać go w progu. Dorobił się również swojej miski - z uwagi na fakt, iż jego język był za krótki, by mógł nim chłęptać, przywierał do miseczki mocno, pochylał się nisko nad nią i wciągał pokarm przez pyszczek ułożony w trąbkę. Czasem zdarzało mu się w tej pozycji zasnąć, wciąż pochylony nad pustą miseczką.

- W tym wiadrze - powiedział Stephen, wchodząc do kabiny - w tym oto wiaderku mieści się populacja Dublina, Londynu i Paryża. Te drobnoustroje... Co się stało z leniwcem?

Zwierzątko oddychało ciężko, zwinięte w kłębek na kolanach Jacka. Na stole przed nimi stały puste naczynia - szklanka Jacka i miska leniwca. Stephen podniósł zwierzę i spojrzał w jego miły, niewyraźny pyszczek, potrząsnął nim i zawiesił na linie. Leniwiec instynktownie uchwycił linę jedną przednią łapą i jedną tylną, dwie pozostałe zawisły bezwładnie, kołysząc się.

Stephen rozejrzał się bacznie po kabinie, dostrzegł karafkę i powąchał leniwca.

- Jack! - wykrzyknął. - Zdeprawowałeś moje zwierzę!

- Oho! Poważna wymiana słów między panem doktorem i panem kapitanem - powiedział Atkins do pana Stanhope'a po drugiej stronie grodzi. - Ostre słowa! Nie rozumiem, jak kapitan, człowiek honoru może coś takiego ścierpieć? Na jego miejscu sprawiłbym doktorowi lanie. Stanhope nawet nie pomyślał o podsłuchiowaniu rozmów po drugiej stronie grodzi, nic więc nie odpowiedział. Po chwili jednak i do jego uszu dotarły fragmenty ostrej tyrady *tes moeurs crapuleuses, tu cherches a corrompre mon paresseux, va done, eh, salope, espece de fripouille**, prowadzonej przez Stephena po francusku od momentu, gdy w drzwiach pojawił się Killick z kamienną twarzą.

* *Tes moeurs crapuleuses, tu cherches a corrompre mon paresseux, va done, eh, salope, espece de fripouille* (fr.) - „twoje barbarzyńskie zwyczaje”, „deprawujesz mojego leniwca!”, „dość już tego, ty męska suko!”, „nędzniku!”

- Mam nadzieję, że nie spóźnią się przez to na naszą partyjkę wista - wymamrotał. Stanhope odzyskał siły z chwilą, gdy powietrze stało się lżejsze i bardziej nadawało się do oddychania i każdego dnia z niecierpliwością czekał na wieczorki karciane, jedyne urozmaicenie w monotonnej żegludze.

Nie spóźnili się, przyszli punktualnie, jednak obaj mieli zaczerwienione twarze, a Stephen kilka razy został przyłapany na oszukiwaniu, by mieć emisariusza za partnera. Jack grał nieudolnie, Stephen zaś z pełną wyrachowania koncentracją, niczym atakująca żmija, zbierał wszystkie lewy i zabawiał się, komentując zagrania jego przeciwników, pokazując, jak mogli wygrać robra czy wyjść w atut z asa. Wieczór bynajmniej nie przyczynił się zatem do rozluźnienia atmosfery - po zakończeniu gry wypłacili mu wygraną, zerkając nań nerwowo, a Jack, siłąc się na beztróskę, oznajmił:

- Cóż, panowie, jeśli obliczenia nawigatora są tak miażdżąco dokładne jak zagrania doktora Maturina i jeśli wiatr się utrzyma, możemy przebudzić się już jutro w Rio de Janeiro. Czuję w kościach bliskość lądu.

Odziany w samą tylko koszulę nocną Jack pojawił się na pokładzie jeszcze w czasie trwania wachty środkowej, przyjrzał się uważnie zapisanym odczytom logu przy świetle kompasu i nakazał Pullingsowi skrócić żagle po zakończeniu wachty. Gdy dzwon uderzył pięć razy, niczym niespokojny duch pojawił się znowu i na moment nakazał odwrócić marsle na wiatr. Jego obliczenia były zaskakująco dokładne i wprowadził fregatę na redę portu Rio de Janeiro w chwili, kiedy słońce wyjrzało zza horyzontu za jej rufą i skąpało świat w złocistych promieniach. Nawet jednak to nie zażegnało kryzysu na pokładzie.

- Dziwi mnie, jak bardzo wulgarna i krzykliwe ozdobna potrafi być natura - skomentował wyrwany z łóżka Stephen. - To właśnie chciał chyba osiągnąć Astley w swoim cyrku i na szczęście mu nie wyszło.

Szykował się zapewne do wygłoszenia innych uwag tego typu, jako że przez całą noc musiał się opiekować chorym leniwcem, niemniej w tym właśnie momencie jego słowa zagłuszył ryk dział. Burta „Surprise” rozkwitła serią eksplozji, a potem spowił ją dym - tak okręt salutował admirałskiej fladze na siedemdziesięcioczwartodziałowym portugalskim okręcie liniowym, kotwiczącym przy Rat Island.

Po śniadaniu Jack odziany w najlepszy mundur zszedł na ląd wraz ze Stanhope'em - załoga szalupy również dobrze się prezentowała: świeżo ogoleni, w śnieżnobiałych spodniach z płótna żaglowego i słomianych kapeluszach. Kiedy wrócił, w jego zachowaniu nie było już ani śladu rezerwy, wyniosłości czy zamiaru zjednywania sobie kogokolwiek. Na widok Bondena taszczącego jakiś worek, okręt obiegnęła wieść „Poczta!”

- Kapitan przesyła panu pozdrowienia i mówi, że będzie wdzięczny, jeśli poświęci mu pan chwilę - wysapał szczurożerca Church. - I jeśli by pan mógł, niech pan się wstawi za mną i za Scottem - dodał błagalnym szeptem, czepiając się rękawa Stephena. - Chcielibyśmy zejść na ląd i na pewno sobie na to zasłużyliśmy!

Stephen ruszył w stronę kabiny kapitańskiej, zastanawiając się po drodze, jak młody Church może mniemać, że zasługuje na cokolwiek poza wbiciem na pal. Już na progu kajuty kapitańskiej wyczuł unoszący się w powietrzu zapach portera przemieszany z atmosferą ukontentowania i radości. Na stole, za którym zasiadał wygodnie Jack, stał dzban piwa, dwie szklance i kilka otwartych listów od Sophie.

- Jesteś zatem, mój drogi Stephenie - zawołał Jack. - Siadaj i wychyl szklanicę portera z franciszkańsko-irlandzkimi pozdrowieniami. Otrzymałem pięć listów od Sophie, a oto jej listy do ciebie, chyba z Sussex!

Listy leżały na całym stosie innych, zaadresowanych „doktor Maturin”, lecz adres zdecydowanie napisany był dłonią Sophie.

- Ależ ona ma przepiękny charakter pisma! Każde słowo da się odróżnić! I co za styl... Co za styl! Gdzie ona się tego nauczyła? To muszą być najlepsze listy, jakie kiedykolwiek zostały napisane! Tu jest fragment o ogrodzie w Melbury i o gruszkach, przeczytam ci go zaraz. Niewiele odbiega od kanonów w literaturze. Tylko nie zwracaj sobie mną głowy, jeśli chcesz w spokoju przeczytać listy do siebie.

- Nie chcę. - Głos Stephena był nieobecny. Doktor automatycznie wepchnął listy od Sophie do kieszeni i przejrzał resztę. - Sir Joseph, pan Waring, doktor Ramis, czterech nadawców bliżej mi nie znanych. Są jakieś listy dla pana Nicollsa?

- Nie, nie ma. Jest za to całe mnóstwo dla reszty mesy oficerskiej. Killick!

- O co chodzi, sir? - warknął ponuro steward, dzierżąc łyżkę.

- Przekaż tę pocztę stewardowi z mesy oficerskiej i przynieś jeszcze jeden dzban. Stephen, zerknij no na to, proszę.

Pokazał mu list, w którym agent, pan Fanshaw, uprzejmie pozdrowiał kapitana Aubreya i czuł się zaszczycony, mogąc go powiadomić, iż admiralicja przekazała na jego rachunek sumę 9,799 funtów i 13 szylingów tytułem wynagrodzenia *ex gratia* za udział w zatrzymaniu i zdobyciu okrętów Jego Katolickiej Mości króla Hiszpanii: „Gara”, „Fama”, „Medea” i „Mercedes”. W świetle obowiązującego prawa admiralicja nie czuje się zobligowana do wypłacenia żadnych kwot dodatkowych za straty wśród załogi czy uszkodzenia kadłuba. Wyżej wspomniana kwota została przekazana przez bank Messers Hoarse na konto kapitana Jacka Aubreya za potrąceniem zwyczajowych opłat, marży oraz wypłaconej wcześniej zaliczki.

- Ty byś zapewne nie nazwał tego przyzwoitą kwotą - śmiał się Jack - lecz to zawsze wróbel w garści. Niezła sumka, nie ma co w bawełnę owijać, prawda? Mocno zmniejsza to mój dług, jeszcze tylko kilka przyzwoitów i, na mój honor, doprawdy nie wiem, co jeszcze wymyśli mateczka Williams. Jestem jednak pewien, że po tej stronie Batawii nie ma śladu statków kupieckich czy legalnych przyzwoitów, a niech mnie Bóg ustrzeże przed dorwaniem kolejnego neutralnego! Ale tu są przecież jednak korsarze... Kursują tu z Isle of France i może by się jednego czy dwóch... - Naraz w oku Jacka znów pojawił się piracki błysk, który natychmiast odjął mu pięć lat. - Ale, Stephen, o tobie też pomyślałem. Muszę wyciągnąć okręt na brzeg, dokonać napraw i przemieścić ładunek bardziej ku dziobowi, dobrze wiesz, jaki bałagan panuje wśród bagaży i prezentów pana Stanhope'a w tylnej ładowni. Przyszło mi zatem do głowy, że skoro z takim trudem możesz wysiedzieć na jednym miejscu, powinienesz wziąć tygodniowy urlop i wybrać się za miasto. Wiesz, jaguary, strusie, jednorożce...

- Och, Jack, jaka to wspaniała propozycja! Musiałem się ostro wziąć w karby, by odbić od Cape St. Roque i porzucić tę wspaniałą roślinność. Brazylijskie puszcze to królestwo tapira, pekari, węży boa! Zapewne trudno będzie ci w to uwierzyć, Jack, ale ja jeszcze nigdy nie widziałem boa...

Zatem zobaczył węże boa, a nawet dotykał ich, widział kolibry, robaczki świętojańskie, tukana wyglądającego dumnie z gniazda, mrówkojada z młodymi, których sierść zabarwił na purpurowo wschód słońca nad opuszczonym bagniskiem, pancerniki, trzy rodzaje małp Nowego Świata i najprawdziwszego tapira. Zamęczył przy tym trzy konie i swego towarzysza, pana White'a, który po powrocie do portu był cieniem człowieka. „Surprise” stała na jednej kotwicy, zmieniona nie do poznania - z nowym grotmasztem zdjętym z innej, trzydziestosześciodziałowej fregaty oraz fokmasztem i stermasztem wychylonymi mocno ku rufie. Jej burty pomalowane były w czarno-białą kratę Nelsona.

- To był mój własny pomysł - powitał ich Jack na pokładzie. - Coś pomiędzy „Lively” a „Surprise” z czasów mojej młodości. Nowy rodzaj ożaglowania pomoże jej wykorzystywać lekką bryzę i dorzuci co najmniej jeden węzeł do maksymalnej prędkości. Na okręcie jest sporo nowego, utrudniającego życie, lecz potrzebnego ekwipunku, co na pewno wam się nie spodoba.

- Stephen gapił się na nieopierzoną jeszcze papugę na jednej z rei. - Ale pozbyłem się całego balastu żwirowego i zastąpiłem go sztabami żelaza. Nie macie pojęcia, ile dobrej woli okazał admirał! Teraz, z całym ładunkiem nisko umieszczonym, okręt jest stabilny jak... cóż, tak stabilny, jak tylko to można sobie wyobrazić i będę szczerze zdumiony, jeśli nie uda nam się wyciągnąć dodatkowego węzła. Może się to przydać, gdyż Rio przed nami odwiedziła „Lyra” i zostawiła wieści, jakoby Linois przebył Ocean Indyjski z eskadrą składającą się z okrętu liniowego, dwóch fregat i korwety. Pamiętasz Linois, Stephen?

- *Monsieur de Linois*, który pojmał nas w niewolę na pokładzie „Sophie”? Tak, tak, dobrze go pamiętam. Uprzejmy, energiczny dżentelmen w czerwonej kurtce.

- I cudowne dziecko rzemiosła morskiego. Tym razem jednak nie dorwie nas, nie na swoim siedemdziesięciocząterodziałowcu. Fregaty to inna sprawa - „Belle Poule” to potężna jednostka z czterdziestoma działami dwudziestoczołkowymi na nasze dwadzieścia osiem.

„Semillante” jest mniejsza i z nią damy sobie radę, jeśli będziemy szybko się ruszać i celnie strzelać. To dopiero byłby przyz, co?

- Obawiasz się jakiegoś pośredniego niebezpieczeństwa? Czyżby te okręty były już przy Cape la Roque?

- Nie, dzieli ich od nas dziesięć tysięcy mil. Wpłynęli na Ocean Indyjski przez Cieśninę Sund.

- Czy twoje kalkulacje nie są zatem odrobinę przedwczesne?

- Skądże! Nie ma ani chwili do stracenia, nawet jeśli chodzi o załogę - ludzie wciąż są niezgrani i pozostają daleko w tyle za „Lively”, a nawet „Sophie”. Poza tym, jak sam dobrze wiesz, nie mogę się już doczekać żeniaczki. Nie masz pojęcia, jaki jestem niecierpliwy, na Boga, muszę się ożenić! Oczywiście mam na myśli tylko i wyłącznie małżeństwo z Sophie, wybacz, jeśli źle się wyraziłem!

- Daj spokój. Sam wiesz, mój drogi, iż nie jestem zwolennikiem idei związku małżeńskiego i czasem zastanawiam się, czy nie przywiązujesz zbyt wielkiej wagi do owej umowy, która automatycznie ma cię uszczęśliwić. Czy jakkolwiek powrót do domu jest równy sumie wszystkich odbytych podróży? Czy nie lepiej jest podróżować w nieskończoność? -

odpowiedział Stephen. Jego własne listy od Sophie opowiadały ponurą historię o niedoli. Otóż zdrowie pani Williams pogarszało się coraz bardziej. Badający ją przewodniczący Kolegium Medyków i sir John Butler nie byli ludźmi, których zwieść mogła hipochondria czy depresja u pacjenta i odkryli wiele złowróznych symptomów. Panią Williams na przemian a to trapiły bóle i bladeść, a to z czerwona twarzą miotała się po domu w napadach gniewu. Znosiła ból z prawdziwą godnością, a nieugięty upór nakazywał jej szukać wciąż nowych źródeł energii - ostatnio usilnie próbowała wyswatać Sophie z nowym pastorem, panem Hinckseyem.

Umęczonym głosem, który nazywała swoim ostatnim, przedśmiertnym apelem, namawiała Sophie do porzucenia myśli o kapitanie Aubreyu, któremu nigdy nie dane było jej uszczęśliwić i który wybrał się do Indii w znanym wszystkim celu. Popłynął do tamtej kobiety! Błagała ją, by pozwoliła umrzeć matce w spokoju, w pewności, że jest bezpiecznie zamężna w tak bliskim i jakże wygodnym probostwie Swiving, a nie gdzieś w nadmorskiej rezydencji na wybrzeżu Anglii czy Peru! Zaklinała ją, by związała się z człowiekiem, którego szanowali wszyscy wokół, z człowiekiem zamożnym i z widokami na przyszłość, z człowiekiem, który mógł zabezpieczyć jej byt i zaopiekować się siostrami-sierotami po jej śmierci, z człowiekiem, któremu nie była obojętna wbrew temu, co sama twierdziła! Kapitanowi Aubreyowi szybko minęłoby uniesienie miłosne, jeśli już przypadkiem nie minęło w ramionach jakiejś dziry... Czyż jego ukochany admirał Nelson nie powiedział, że każdy człowiek, który odpłynie za Gibraltar, jest już kawalerem? Jeśli zaś wierzyć atlasowi, Indie były daleko, daleko za Gibraltar. Tak czy owak, admirał Haddock i wszyscy inni ludzie związani z morzem, których pani Williams знаła, zgodnie mawiali, że dystans i morska woda zmyją każdą miłość. Upierała się, że mówi te słowa tylko i wyłącznie dla dobra samej Sophie, i błagała, by dziewczyna nie odrzucała jej ostatniej prośby, przynajmniej dla dobra siostr, jeśli dobro jej matki nic ją nie obchodziło.

Stephen znał Hinckseya, nowego proboszcza, wysokiego, przystojnego mężczyznę o manierach dżentelmena, człowieka wykształconego, z natury rozsądnego. Nie było w nim nic z surowego ewangelisty - sypał dowcipami, był uprzejmy i potrafił rozbawić towarzystwo. Stephen znał też Sophie, kochał ją i szanował bardziej niż jakąkolwiek kobietę, którą znał, ale nie spodziewał się po niej heroicznego oporu. Wiedział, jak trudno jest trwać w uporze w osamotnieniu. Jacka i Sophie dzieliło dziesięć tysięcy mil morskich i doprawdy trudno ocenić, ile czasu - tygodnie, miesiące, może lata? Czas biegł zupełnie inaczej w czynnej służbie na okręcie, a inaczej w odległej rezydencji na prowincji, pod opiekuńczymi skrzydłami silnej, pozbawionej skrupułów i święcie przekonanej o swoich racjach matki.

Niewyczerpanym źródłem nowych sił w argumentacji z córką był dla pani Williams lęk przed długami, jedna z jej nielicznych, nie udawanych cech charakteru. Na cichej, odległej prowincji

dług właściwie nie istniał - pani Williams słyszała o nim jedynie w straszliwych opowieściach o awanturkach bez krzty cnoty z odległych regionów czy rozpustnych metropolii. Całe jej dzieciństwo przepełnione było szeptanymi z ucha do ucha apokaliptycznymi opowieściami o ludziach tak dalece porzuconych przez Boga, że cały swój kapitał tracili w nieroztropnych przedsięwzięciach. Pani Williams przerażona była wizją, iż pozbawiona majątku musiałaby zarabiać pracą własnych rąk tyle, co wszyscy ludzie, których znała w majątku - pięć pensów dziennie przy sianiu lub pieleniu, nieco więcej w przypadku mężczyzn przy sianokosach czy żniwach. Zebranie sumy ponad stu funtów było poza granicą ich możliwości, a sumy dziesięciu tysięcy nawet nie potrafili sobie wyobrazić. Pani Williams otaczała zatem swoje zasoby niewzruszoną, bezrozumną czcią, graniczącą z przesadnymi zabobonami.

Stephen zadumał się, czytając listy od Sophie. Myślał o pani Williams podczas wędrówki po brazylijskiej puszczy, obserwując motyle wielkości misek do zupy i rozległe katarakty z występani skalnymi porośniętymi orchideami, rozważał tworzone przez nią przeszkody. Jack wyczuł istnienie ukrytego znaczenia słów Stephena i wyraz jego twarzy przeszedł jedynie od zaskoczenia po pełen zaintrygowania niepokój. Na wiadomość o łodzi odbijającej od brzegu z Stanhope'em wyraz jego twarzy błyskawicznie zmienił się w zadowolenie i ulgę.

- Już myślałem, że nie zdążymy z przypiływem - wykrzyknął i śmignął po drabinie na pokład rojący się od ludzi. Pokład był zatłoczony, lecz panował na nim pewien porządek - cokolwiek by powiedział o niezgraniu załogi, ludzie sumiennie przygotowywali okręt do wypłynięcia z portu. Nikt już nie pamiętał o „Racoonie”, a nowi poborowi dawno zapomnieli o pozostawionych w domach pługach i wrzeczonych. W rozgrywanych na ładach bójkach z załogą „Lyry” ludzie z „Surprise” tłukli się ramieniem w ramię i wstażeczka z wyhaftowanym napisem „Surprise” powiewała teraz na każdym słomkowym kapeluszu.

Pan Stanhope wszedł na pokład przy szczęku broni prezentowanej przez piechotę morską, po czym nastąpił długo oczekiwany rozkaz: „Kotwica w górę!” Zaświstał gwizdek bosmana i na pokładzie rozległ się tupot butów żołnierzy, biegnących do swych stanowisk przy handszpakach kabestanu.

Czas spędzony na ładzie, przedłużony do ostatniej możliwej chwili, znacznie poprawił nastrój Stanhope'a, ale z pobieżnych obserwacji Stephena wynikało, że do poprawy jego zdrowia nie przyczynił się wcale. Stanhope utracił również umiejętność utrzymywania równowagi na rozkołysanym pokładzie. Siedzieli teraz z w kajucie, omawiając oficjalne listy, które dotarły z Anglii i Indii, gdy wiatr zwrócił się przeciwko prądowi i kierującym się na otwarte morze okrętem poczęło bujać niczym koniem na biegunach.

- Pan wybaczy, doktorze - rzekł poseł królewski. - Chyba się jednak położę, choć wątpię, by to pomogło. Za jakąś godzinę mdłości osiągną swój szczyt i na nowo przestanę być ludzką istotą, nadającą się do jakiegokolwiek przyzwoitego towarzystwa. Dobry Boże, na jak długo tym razem?

Stephen został przy nim tak długo, jak ludzka obecność mogła służyć za wsparcie, po czym pozostawił Stanhope'a w towarzystwie lokaja z wiadrem, mówiąc:

- Pana stan poprawi się szybko, bardzo szybko. Przyzwyczaj się pan do kołysania znacznie łatwiej niż na kanale i po opuszczeniu Gibraltaru czy Madery. Widzę rychły kres pana cierpień. Sam nieszczęśliwie w to wierzył - wiele czytał o czekającej ich trasie i gawędził z Pullingsem, który przemierzył ją wiele razy na statkach Kompanii Wschodnioindyjskiej, żeglujących do Chin. Znał więc reputację południowych szerokości geograficznych. Nie kierowali się bowiem ku tradycyjnej drodze do Indii, gdyż Przylądek Dobrej Nadziei, wraz z całą masą uśmiechów i ukłonów, oddano Holendrom w 1802. Naturalnie, wkrótce Przylądek miał być im odebrany, ale na razie „Surprise” musiała ominąć południowy cypel Afryki szerokim łukiem i płynąć na południe aż do „ryczących czterdziestek”, potem skierować się na wschód, by w końcu odbić na północ, w stronę krainy letnich monsunów.

Fregata mknęła zatem z tchnieniem pasatów w żaglach, starając się nadrobić stracony czas. Zalety nowego ożaglowania były oczywiste dla każdego na pokładzie: okręt płynął szybciej, z większą łatwością i z większą gracją. Jack był oczarowany jej nowymi możliwościami; mówiąc o nich Stephenowi, porównał fregatę do klaczy czystej krwi. Okręt wspaniale żeglował na wiatr, lecz potrzebował delikatnej, a zarazem silnej dłoni na sterze, bo gdyby mu popuścić cugli, mogłyby z tego wyniknąć problemy. Fregacie zdarzało się bowiem nie posłuchać steru i miała wówczas tendencję do brania fali rufą.

- Kiepsko by to wyglądało, gdyby „Surprise” rzeczywiście wzięła kilka fal rufą. - Jack pokręcił głową. - Gdyby tylko wypadła z wiatru, nie odpowiadałbym ani za tę cholerną fokreję, ani za samego foka, a to były jedyne rzeczy, których nie mogłem wymienić. Pamiętasz, w jakim stanie był opętnik?

Stephen niewyraźnie przypomniał sobie, jak Jack wbijał marszpikiel w drewno masztu w kłębach strzelających drzazg, więc również pokręcił głową i przybrał poważny wyraz twarzy. Dla przyzwoitości odczekał chwilę i spytał:

- Kiedy w końcu będę miał szansę ujrzeć albatrosa?

- Mój drogi. - Myśli Jacka wciąż krążyły wokół szczegółów technicznych okrętu. - Wiesz, obawiam się, że ten okręt po prostu się starzeje. Możesz na głowie stanąć, ale czasu nie zatrzymasz. Albatros? Myślę, że możemy jakiegoś zobaczyć przed osiągnięciem szerokości Przymłotka. Rozkażę załodze, by ci o tym meldowali, kiedy dostrzegą jakiegoś.

Dzień po dniu szerokość geograficzna rosła - 26°16', 29°47', 30°58', każdego dnia było też chłodniej. Futrzane czapy i cieplejsze kurtki załogi zupełnie zapomniane podczas podróży przez tropikalne wody przeżywały swój renesans, a dla oficerów noszenie mundurów wreszcie przestało być torturą. Stephen alarmowany przez załogę dzień po dniu, po kilkanaście razy na dzień wybiegał na pokład, by obserwować fulmary i petrele. Płynęli teraz przez bogate w faunę wody południowego Atlantyku. Mogły one wyżywić potężne lewiatany, których ogromne grzbiety często widywano w oddali. Pewnej nocy fregata zatrzymała się na chwilę po uderzeniu w niewidzialną przeszkodę, co później tłumaczono jako bezpośrednie spotkanie z jednym z tych olbrzymów.

Płynęli dalej i dalej na południe, zostawiając za sobą strefę narodzin pasatów i prąc naprzód pod kapryśnymi, coraz chłodniejszymi wiatrami. Wciąż zmierzali w kierunku „ryczących czterdziestek”, gdzie zachodni wiatr, niestrudzenie obiegający wody ziemskiego globu na tej szerokości, miał popchnąć ich na wschód. Okręt sunął uparcie naprzód, a co południe słońce wspinało się coraz niżej na nieboskłon, jednocześnie kurcząc się i śląc coraz mniej ciepła. Księżyc z kolei co noc zdawał się rosnąć.

Szybkość zmian zachodzących w przyrodzie w niczym nie zakłóciła rutyny dnia powszedniego. Niezmienny rozkład dnia, począwszy od gwizdka bosmańskiego, podrywającego marynarzy z hamaków, poprzez wybijany na bębnie rytm *Heart of Oak**, wzywający mesę oficerską na obiad, nie kończące się ćwiczenia artyleryjskie, a na wyznaczaniu wacht skończywszy, zatarł różnicę w szerokościach geograficznych i uczynił jednakim zarówno początek, jak i koniec podróży.

* *Heart of Oak* (ang.) - patriotyczna pieśń, której rytm tradycyjnie wybijany był podczas werbla ogłaszającego alarm bojowy na okrętach Royal Navy.

Marynarze przywykli już do myśli, że ich rejs będzie się ciągnął w nieskończoność przez bezkresne, puste wody pod gasnącym słońcem i potężniejącym księżycem.

Owego pamiętnego czwartku, kiedy Bonden i doktor Maturin wygonili obsadę marsu stermasztu i usadowili się tam sami na zwiniętych żaglach bocznych, na niebie znajdowały się zarówno księżyc, jak i słońce. Bonden zakończył etap stawiania pierwszych kulfonów daleko na północ od równika, na trzecim stopniu szerokości południowej wyrzucił za burtę tabliczkę

do nauki stawiania liter, a teraz pisał już piórem maczanym w atramencie. W miarę jak rosła szerokość południowa, charakter jego pisma stawał się zgrabniejszy.

- Poezja - oznajmił Stephen. Dla Bondena pisanie wierszem stanowiło źródło niewysłowionej satysfakcji; szczerząc zęby, otworzył kałamarz i umoczył w nim pióro sporządzone z lotki głuptaka. - Poezja - jeszcze raz powiedział Stephen, wpatrując się w bezkresną, szaroniebieską taflę morza i wiszący nad nią rąbek księżycy.

*Stamtąd ruszymy ku krańcom globu naszego,
By ocean nasz podziwiać, wsparty o niebo.
Stamtąd sąsiadów krążących wnet powitamy
I świat księżycowy bez lęku poznamy.*

- ...na Boga, chyba widzę albatrosa...

- ...chyba widzę albatrosa... - powtórzyły bezgłośnie wargi piszącego Bondena. - Doktorze, to się nie rymuje. Może opuścił pan linijkę?

Odpowiedź jego surowego nauczyciela nie nadeszła, zatem Bonden uniósł głowę i spojrział tam, gdzie wpatrywał się Stephen.

- Tak, to albatros - potwierdził. - Niebawem zrówna się z naszym śladem torowym i będzie nam towarzyszył. To wspaniałe ptaki, choć cokolwiek podejrzane. Znajdzie pan takich, co nienawidzą albatrosów, bo uważają, że one zsyłają złe wiatry.

Albatros był coraz bliżej, kołyszając się nad kilwaterem okrętu. Prawie nie poruszał skrzydłami, a mimo to leciał niezwykle szybko - Stephen zauważył go jako zaledwie drobną plamkę na niebie, a gdy Bonden kończył swój krótki wywód, widzieli go już w całej okazałości. Był ogromnym białym ptakiem, a rozpiętość jego czarno zakończonych skrzydeł sięgała blisko trzynastu stóp. Płynął w powietrzu tuż za rufą, po czym nagle przechylił się na skrzydło, śmignął wzdłuż burty, zniknął za żaglami i pojawił się na nowo pięćdziesiąt jardów za okrętem. Na stermaszt wspinali się jeden po drugim marynarze.

- Sir, albatros dwa rumby na lewo od dziobu - zameldował Achmet w urdu.

- Pozdrowienia od kapitana! - niespodziewanie wrzasnął majtek z pokładu rufowego, wdzierając się przed oblicze Achmeta. - Kapitan mówi, że widzi ptaka, którego pan poszukiwał.

- Maturin, Maturin! - krzyczał z pokładu ochmistrz Bowes, podciągając się nad pokład na mocarnych ramionach i wlokąc drewnianą nogę za sobą. - Twój albatros!

- Nadeszła moja wachta, sir - odezwał się w końcu Bonden. - Muszę zejść na pokład, jeśli pan pozwoli, albo oberwie mi się od pana Rattraya. Czy chciałby pan może, bym posłał na górę kogoś z czymś cieplejszym do okrycia? Robi się naprawdę chłodno!

- Tak, tak... - wymamrotał zafascynowany widokiem i głuchy na wszystko Stephen.

Uderzono w dzwon i nastąpiła zmiana wachty. Uderzono w dzwon po raz drugi, trzeci, rozległ się werbel oznajmiający ćwiczebny alarm bojowy, potem werbel na koniec ćwiczeń, a Stephen wciąż wpatrywał się w szybującego ptaka. Albatros sunął w powietrzu z niezwykłą lekkością, czasem opadając niczym błyskawica, by porwać przedmioty wyrzucane za burtę i łagodnymi łukami potem znów wspiąć się na poprzedni pułap.

Następne dni należały do najtrudniejszych, jakie Stephen kiedykolwiek spędził na morzu.

Niektórzy z marynarzy z pokładu dziobowego, jako byli wielorybnicy z mórz południowych, okazali się zapalonymi łowcami albatrosów. Pierwsza próba schwytania przez nich któregoś z ptaków (a „Surprise” towarzyszyło ich teraz około pół tuzina) napotkała wybuch wściekłości ze strony Stephena, tak więc darowali sobie dalsze próby tak długo, jak przebywał on na pokładzie. Kiedy jednak doktor zniknął, po kryjomu rozwijali linę i szykowali się na łowy - martwy albatros oznaczał nowe kapciuchy na tytoń, gwizdki z kości, ocieplacze z pierza i amulety przeciwko utonięciu. Wiadomo, że z piór albatrosa amulety były najlepsze, przecież

nikt jak świat światem, nawet podczas najgorszego sztormu, nie widział tonącego albatrosa. Stephen wiedział zaś, iż z moralnego punktu widzenia jego zachowanie nie było w pełni konsekwentne, gdyż sam jednego z martwych albatrosów odkupił i przeprowadził na nim sekcję. Nie był w stanie kontrolować poczynań łowców albatrosów, gdyż większość czasu spędzał pod pokładem w szpitaliku okrętowym, gdzie zajmował się dwoma przypadkami zapalenia płuc oraz analizował liczący sobie trzy lata splechetek mięsa wieprzowego z Indii Zachodnich (operacja nr 113), będąc na krawędzi epokowego odkrycia w zakresie wiedzy o dyzenterii. Z początku nie miał też najmniejszego zamiaru prosić Jacka o wydanie zakazu polowań, jednak ustawiczna bieżączka między pokładem a szpitalikiem w końcu go wyczerpała. Przemógł się wtedy i zwrócił do Jacka.

- Cóż, mój stary przyjacielu - odparł Jack. - Zakażę im prób łapania albatrosów, jeśli sobie tego życzysz, ale marynarzom to się nie spodoba. To wbrew tradycji - ludzie łapali albatrosy i burzyki od chwili, kiedy na te wody wyłynął pierwszy statek. Nie spodoba im się to, powiadam ci. Pojawią się skwaszone miny i odpowiedzi półgębkiem, a połowa ze starszych marynarzy zacznie nam wróżyć, że uderzymy w górę lodową albo rozpęta się sztorm.

- Z tego, co wyczytałem i usłyszałem od Pullingsa, z łatwością sam mogę wywróżyć, że na czterdziestym stopniu szerokości południowej napotkamy silne wichry.

- Chodź - Jack sięgnął po swoje skrzypce - zagramy coś Boccheriniego przed pójściem spać. Spojrzenia spode łba i nutki wyrzutu w głosie marynarzy rozpoczęły się następnego poranka, a wraz z nimi pojawiły się pierwsze prorocтва. Na pokładzie dziobowym kręcono siwymi głowami i długo padały złowróżbne słowa, niektóre z nich nawet w zasięgu słuchu Stephena. „Jeszcze wszyscy zobaczymy...” - mówiły zgorszzone wilki morskie.

Całkiem osamotniona fregata płynęła pod szarym niebem coraz dalej na południe, kierując się w sam środek pustki oceanu z zachodnim wiatrem na trawersie. Niemalże z dnia na dzień morze stało się lodowato zimne, a potem wilgotny chłód począł wpełzać szczelinami do kabin, ładowni i mes. Stephen wyszedł na pokład, gratulując sobie pozostawienia leniwca w Rio, gdzie stał się on stołownikiem irlandzkich franciszkanów i potajemnym amatorem mszalnego wina. Fregata mknęła tak mocno pod żaglami, pochylając się na zawietrzną, aż pokład stał się stromy niczym dach, a ławy wantowe tonęły w pianie. Z wiatrem z baksztagu jej prędkość wynosiła dwanaście i pół węzła, a postawione miała niemal wszystkie możliwe żagle - bombramżagle oraz górne i dolne sztaksle. Jack wciąż chciał odbić bardziej na południe, trzymał więc okręt na prawym halsie, blisko linii wiatru. Stephen dostrzegł go na rufówce, przy relingu, obserwującego zachodnie niebo.

- Co myślisz o tych falach? - zawołał.

Zimne powietrze sprawiło, że Stephen zamrugał kilka razy, myśląc jednocześnie o tym, co usłyszał - potężne, gładkie fale, czarne, lecz ozdobione grzywami, uderzały z zachodu, przecinając kurs fregaty dokładnie pod kątem prostym. Grzywy wynurzały się z wody z niezwykle regularnością co dwieście jardów, biły w kadłub i unosiły go tak wysoko, że horyzont niemalże stawał się szerszy o dwadzieścia mil, po czym biegły dalej, a okręt opadał w dolinę fali ze zwisającymi żaglami głównymi. Kiedy okręt znalazł się w jednej z takich dolin, Stephen dostrzegł albatrosa wciąż płynącego bez wysiłku w powietrzu, lecz wielkie ptaszysko wydawało się teraz małe niczym mewa na tle zmagania żywiołów.

- To imponujące - stwierdził w końcu.

- Czyż nie? - podchwycił Aubrey. - Uwielbiam, jak mocniej powieje! - W jego oczach było widać iskry radości, lecz czujności nie stracił. Gdy okręt wznosił się na fali, baczne spojrzenie Jacka biegło ku górnym sztaksłom - siła wiatru wychylała wtedy mocno okręt i bomby sztaksli niebezpiecznie się wyginały. Maszty i reje skrzypiały cały czas, co było najlepszym świadectwem walki, jaką toczył okręt, jednak najgłośniejszym słychać było właśnie bomby sztaksli. Wielkie płachty piany przelatujące między olinowaniem na śródokręciu nikły za burta, przemaczając artylerzystę pana Hailesa do nitki. Pan Hailes wraz z grupką matów przesuwiał się

od działa do działa, sprawdzając i dopinając ich uprząż. Rattray znajdował się między bomami, mocując je i jednocześnie zabezpieczając szalupy. Każdy członek załogi odpowiedzialny za jakiś element wyposażenia okrętu pracował teraz w ciszy, bez potrzebnych rozkazów. Raz po raz przerywali pracę, by zerknąć na kapitana, który jak zwykle sprawdzał stopień napięcia takielunku, dotykając poszczególnych lin i śledził zmiany na niebie, ruchy morza i pracę górnych żagli.

- Ale zasuwamy! - oznajmił Joliffe z zachwytem.

- Tak, zasuwamy! - odparł Church. - Tylko że jeśli nie zwiniemy części żagli, to nam się okręt rozleci!

Aż do wybicia następnej szklanki wachta na pokładzie czekała na rozkaz zwinięcia części żagli, by nie pozwolić Bogu na zwinięcie ich samemu. Rozkaz jednak nie nadchodził - Jack chciał wykorzystać ostatnie chwile wspaniałego biegu fregaty, przenikliwy świst olinowania i dostojne wspinanie na grzbiety fal napawały go ekstazą, która jaśniała teraz na jego twarzy, widoczna dla każdego. Mimo owego stanu uniesienia, zachował chłodny umysł i surowość kapitana - jego umysł był w pełni zjednoczony z okrętem, chociaż stał na pokładzie rufowym, jego myśli dotyczyły napiętego bomu żagla bocznego, analizując punkt możliwego złamania.

- Tak więc - powiedział, zupełnie jakby podejmował przerwany dopiero co wątek. - Przed końcem wachty będzie dwa razy lepiej niż teraz. Barometr leci na łeb na szyję i wtedy to dopiero zacznie wiać! Poczekaj jeszcze, to zobaczysz, jak się morze wzburzy. Panie Harrowby! Panie Harrowby, proszę zmienić człowieka za sterem! Zwinicie też latacz i żagle boczne! Gwizdek bosmana zagłuszył tupot stóp i niebawem niezwykła prędkość fregaty wyraźnie się zmniejszyła.

- Jakim cudem oni wszyscy nie powpadają do morza - powiedział Stanhope z trudem utrzymujący równowagę na schodach prowadzących pod pokład i przeszkadzający wszystkim krzątającym się wokół. - Biedne chłopaki. Ależ ucieszne wrażenie! Czuję się, jakbym wypił za dużo szampana.

W istocie Stanhope miał prawo tak się czuć, stojąc na pokładzie trzęsącego się okrętu, słuchając jęku drewna z wnętrza kadłuba i wciągając do płuc krystalicznie czyste, chłodne powietrze. Przed zapadnięciem zmroku wiało już tak mocno, że wiatr zdawał się wyrwać oddech z ust. „Surprise” utrzymywała południowo-wschodni kurs, wciąż płynąc coraz szybciej pomimo mocno zreflowanych marsli i żagli głównych oraz zdjętych steng.

Stephen był świadom zmiany kursu, mimo że noc spędził, śpiąc, słyszał bowiem przez sen rozmaite stuknięcia i okrzyki, a potem jego hamak bujał się już w innym kierunku. Nie był jednak przygotowany na to, co ujrzał po wyjściu na pokład. Na tle nisko zawieszonego, wzburzonego szarego nieba, tnącego raz deszczem, raz bryzgami wody morskiej, całe morze było białe - piana bieliła się wokół jak tylko okiem sięgnąć. Widział już Zatokę Biskajską w najgorszym okresie, przeżył wielkie południowo-zachodnie wiatry na wybrzeżu Irlandii, lecz oba zjawiska w niczym nie równały się z tym. Przez chwilę zdało mu się wręcz, że podziwia dziki, górzysty, lecz osobliwie poukładany krajobraz, dopiero po chwili uświadomił sobie, iż ów krajobraz porusza się, że sunie przed siebie majestatycznie z niezwykłą prędkością, trudną do określenia ze względu na masę i wielkość. Doliny między falami były teraz głębsze, a grzywy na nich większe i znacznie bardziej od siebie oddalone. Nadbiegające fale zwiły się i łamały z hukiem niczym lawina bieli spadająca stromo w dół. „Surprise” mknęła tuż przed nimi, wciąż trzymając kurs na wschód ku południowi. Załódze udało się opuścić stengę o pierwszym brzasku, gdyż trzeba było zrobić wszystko, aby osłabić napór wiatru od rufy i kryjące się za tym ryzyko wypadnięcia z wiatru. Na mokrym pokładzie rozciągnięto poręcze linowe. Wzrok Stephena powędrował w kierunku pokładu rufowego i nad nim dostrzegł zbliżającą się olbrzymią, szarozieloną falę gotującą się do uderzenia na reling. Zderzenie wydało mu się nieuniknione, zadarł wysoko głowę, by ujrzeć jej szczyt. Balansując, fala parła naprzód z rozchełstaną wiatrem brodą bryzgów wodnych. Usłyszał Jacka, wykrzykującego

rozkaz w stronę sternika - fregata odbiła nieco od kursu, po czym nagle poczęła wznosić się na fali z rufą skierowaną ku niebu. Stephen przywarł do drabiny. Fala wdarła się gwałtownie pod stępkę, unosiła okręt coraz wyżej i wyżej, obryzgując śródkręcie, by nagle cisnąć fregatę w dół doliny. Napór wiatru osłabł na moment, a wraz z nim wycie takielunku opadło o oktawę.

- Doktorze, chwycić się czegoś! - krzyknął Jack. - Obiema rękami!

Stephen chwycił się liny sztormowej i trzymając się jej, wypełznął na pokład, napotykając pełne wyrzutu spojrzenia czwórki ludzi za sterem, które zdawały się mówić: „I spójrz, w co wpadliśmy przez twoje albatrosy!” Po chwili znalazł się przy wsporniku, do którego przywiązany był Jack.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry, dzień dobry - padła odpowiedź. - Zaraz zacznie wiać!

- Co?

- Zaraz powieje! - zawołał Jack głośnie.

Stephen zmarszczył brwi i spojrzał w kierunku rufy, starając się przebić wzrokiem chmurę pyłu wodnego. Dwa albatrosy, jaśniejsze od piany, unosiły się na wietrze, jeden zanurkował w kierunku okrętu i zawisł na wysokości relingu rufowego w odległości zaledwie dziesięciu stóp. Stephen dostrzegł jego okrągłe, łagodne oko i bezustanne, ledwie dostrzegalne drgania lotek.

Ptaka przechylił się na skrzydło, uniósł na wietrze

i znów zanurkował. Już płynąc na wznoszącej się fali, rozpostarł skrzydła, porwał coś z wody i wystrzelił w górę, zanim grzywacz się załamał.

Killick pojawił się na pokładzie z kwaśną, wręcz wściekłą miną i ruszył wolno w stronę kapitana, niosąc dzbanek z kawą. Jack przejął dzbanek i upił nieco z dzióbka włożonego do ust.

- Lepiej zejść pod pokład - krzyknął do Stephena. - Idź pod pokład i najedz się do syta. Jeśli pogoda naprawdę się zepsuje, długo nie zjesz nic ciepłego.

Mesa oficerska najwyraźniej podzielała zdanie kapitana. Stół był zastawiony półmiskami z gotowaną szynką, befsztykiem i papką z gotowanego mięsa, ryby, warzyw i sucharów, zwaną w morskim żargonie *sea-pie*. Potrawy na razie utrzymywała w ryzach kratka na stole, sos jednak radośnie wylewał się ze wszystkich naczyń.

- Porcyjkę *sea-pie*, doktorze? - Etherage rozpromienił się na jego widok. - Zatrzymałem kawałek dla pana.

- Chętnie. - Stephen wyciągnął swój talerz. Porucznik nałożył nań porcję *sea-pie* akurat w chwili, gdy fregata wspięła się na szczyt fali. Ułamek sekundy później fregata runęła w dół i porcja zawisła w powietrzu. Etherage w ostatniej chwili przyszpilił ją widelcem i trzymał do chwili, aż fregata znalazła się w dolinie fali i grawitacja poczęła działać na nowo.

Pullings podał mu specjalnie wybrany suchar i oznajmił z uśmiechem, że barometr wciąż leci w dół, ale „zanim się poprawi, przecież musi być kiepsko, prawda?” Zaproponował też, aby doktor najadł się do syta, póki to jeszcze jest możliwe.

W chwili, gdy ochmistrz akurat opowiadał o sposobie obliczania wysokości fal za pomocą prostej triangulacji, do mesy wpadł Hervey, ociekając wodą niczym fontanna postawiona do góry nogami.

- Och, och... - mówił, ściągając brezentowe okrycie, wrzucając je do swojej kajuty i nakładając okulary. - Babbington, poproszę o filiżankę herbaty, mój drogi. Palce mi tak zdrętwiały, że nie dam rady odkręcić kurka.

- Herbatę zanieś już na pokład. Może być kawa?

- Cokolwiek, byleby gorące i mokre. Zostało trochę *sea-pie*!

Pokazali mu pusty półmisek.

- No, nieźle! - wykrzyknął. - Całą noc spędziłem na pokładzie i tak mi się odpłacacie?

- Dlaczego spędził pan całą noc na pokładzie? - zapytał Stephen, kiedy Herveya udobruchano porcją szynki.

- Kapitan nie chciał zejść na spoczynek, choć szczerze nalegałem, by się położył. Sam też nie mogłem pójść spać, bo nie chciałem zostawiać go samego. Mam szlachetną duszę - odpowiedział Hervey, zjadając szynkę.

- Czy znajdujemy się w poważnym niebezpieczeństwie? - spytał Stephen.

Tak, tak, zapewnili go z poważnymi, zaniepokojonymi twarzami. Przecież okręt cały czas stawiał czoło niebezpieczeństwu wypadnięcia z wiatru, zatonięcia czy staranowania Australii! Na ich szczęście istniała drobna, zgoła minimalna szansa, że władają się dziobem w górę lodową. Dzięki temu pół tuzina ludzi mogłoby uratować życie!

Rozwodzili się nad swoim dowcipem dłuższy czas, gdy nagle Hervey odezwał się:

- Kapitan martwi się o fokstengę. Wspięliśmy się na fokmaszt, by zerknąć na stengę z bliska i, nie uwierzcie panowie, w tym czasie siła wiatru zepchnęła nas na rumb z kursu. Kapitan miał rację, dyby tuż nad połączeniem ze stengą są w kiepskim stanie, wrogowi bym czegoś takiego nie życzył! Jeśli ta pogoda się utrzyma i mocniejsze kołysanie potrwa dłużej, wezmę się chyba za odmawianie pacierzy.

- Pan Stanhope prosi doktora Maturina o poświęcenie mu chwili - Killick wyszeptał Stephenowi do ucha.

White, Atkins i młody attache o nazwisku Berkeley siedzieli w ciemnej, chłodnej kajucie przy świetle świeczki od ochmistrza. Stopy całej trójki zanurzone były w wodzie, która z chłupotem przelewała się po kajucie zgodnie z rytmem kołysania okrętu. Każdy z nich miał na sobie płaszcz sztormowy z postawionym kołnierzem, a Stanhope pólleżał na sofie. W cieniu kryli się milczący służący, najwyraźniej nie nakarmieni - piecyki dawno już nie działały. Stanhope wyraził wdzięczność za tak szybkie pojawienie się doktora Maturina. Nie miał zamiaru sprawiać mu kłopotu, ale byłby wdzięczny, gdyby doktor powiedział mu, czy już nadszedł ich koniec? Woda przeciekała przez wszystkie szczeliny, a jeden z marynarzy powiedział lokajowi, że należy to rozumieć jako poważny zwiastun rychłego końca. Na dodatek jeden z młodych dżentelmenów utwierdził pana Atkinsa w przekonaniu, że ryzyko wzięcia fali rufą jest znacznie większe od rozbicia się czy rozpadnięcia na kawałki, choć tych dwóch możliwości również nie wolno było wykluczyć. Co konkretnie oznaczało samo „branie fali rufą”? Czy oni mogliby się na coś przydać?

Stephen wyjaśnił, że o ile sam się orientuje, prawdziwe niebezpieczeństwo polega na tym, że fala nacierająca od rufy może pchnąć okręt tak, że stanąłby burtą do wiatru. Następna fala uderzyłaby wtedy w otwartą burtę i przypuszczalnie przewróciła okręt. Stąd też brała się konieczność gnania przed siebie ze wszystkimi żaglami, jakie można postawić, i sterowania na tyle ostrożnego, by uniknąć potężnych ciosów morza. Zwrócił jednak ich uwagę na fakt, że jakkolwiek fregata wystawiona była na pełną moc wiatru na szczycie każdej z owych monstualnych fal, to w jej dolinie, jakieś pięćdziesiąt stóp poniżej, była już w miarę bezpieczna. Tak czy owak, prędkość nie mogła ulec zmianie, by okręt zachował pożądaną sterowność i stawił czoło prędkości kolejnej nadbiegającej fali - to zaś stwarzało konieczność zamocowania i utrzymywania w porządku odpowiedniego kompletu lin i żagli. Zapewnił jednak słuchaczy, że okręt został przygotowany do ciężkich warunków sumiennie i ze znajomością rzeczy, i jeśli chodzi o niego, pod takim dowództwem, z taką załogą i na takim okręcie nie widział żadnych powodów do obaw.

- Wielokrotnie słyszałem kapitana Aubreya, jak powiadał, iż „Surprise” to najwspanialsza fregata w swojej klasie - stwierdził.

Woda wnikająca do wnętrza kadłuba to w istocie powód do narzekań, a nawet niepokoju, mówił dalej, lecz na morzu w takich warunkach to nic nowego, zwłaszcza na niemłodych jednostkach. Marynarze określali to zjawisko jako „praca okrętu”. Na końcu ostrzegł ich przed zbyt poważnym traktowaniem słów marynarzy.

- Czerpią niezwykłą uciechę z nabierania nas, szczerów lądowych - wyjaśnił.

Ulga Stanhope'a wywołana rozwianiem przez doktora wizji nagłej śmierci trwała krótko, gdyż rozpoczął się kolejny atak choroby morskiej, nękającej go od północy.

- Jestem taki wdzięczny... - wysapał, kiedy Stephen i kapelan pomagali mu dotrzeć do koi. - Nie nadaję się do morskich podróży... Już nigdy się na to nie odważę... Jeśli z Kampongu nie będzie można wyjechać łodem, pozostanę tam na zawsze...

Stanhope był jednak wyjątkiem - reszta zgromadzonych w kajucie poczęła awanturować się głosami pełnymi oburzenia. Pan White stwierdził, że rząd dopuścił się skandalicznej rzeczy, wysyłając ich w podróż na tak niewielkim stateczku, który w dodatku przecieka. Czy doktor Maturin zdaje sobie sprawę, że na morzu jest zimno, znacznie zimniej niż na lądzie? Potem głos zabrał Atkins, zarzucając mu, że oficerowie, których wypytywał o szczegóły podróży, odpowiadali zdawkowo lub zgoła nie zwracali na niego uwagi - kapitan zdecydowanie powinien wyjaśnić to osobiście przed panem Stanhope'em. Co więcej, wczorajsza kolacja była żenująco nie dogotowana. Pan Atkins chciał się natychmiast widzieć z kapitanem.

- Znajdzie go pan na pokładzie rufowym - powiedział Stephen. - Myślę, że ucieszy się, mogąc posłuchać sobie pańskich narzekań.

- I jeszcze mamy potłuczoną zastawę - w ciszy, jaka nastąpiła po stwierdzeniu Stephena, rozległ się ponury głos pana Berkeleya.

Stephen ruszył przez wilgotne, cuchnące mechy w kierunku szpitalika. Marynarze w mijanych pomieszczeniach spali twardo, ubrani od stóp do głów pomimo przerażającego ryku fal i trzeszczenia kadłuba - tej nocy wzywano ich na pokład trzy razy. W szpitaliku znalazł przypadki typowe dla sztormowej pogody, jak potłuczenia czy przygniecenia - jednego człowieka fala cisnęła o łapę kotwicy, inny zleciał na łeb na szyję w dół przedniego łuku podczas prób uszczelnienia go, jeszcze inny prawie by się nadział na marszpikiel. Nie były to jednak przypadki, z którymi chirurg by sobie nie poradził. Jedyne, co go martwiło, to przypadek zapalenia płuc u starszego marynarza nazwiskiem Woods. Już przed rozpoczęciem sztormu Stephen nie dawał mu wielu szans, a teraz wstrząsy kadłuba i brak snu uczyniły swoje. Stephen posłuchał jego oddechu, namacał puls, wymienił kilka uwag z panem M'Alisterem i w ciszy zakończył obchód.

Gdy już znalazł się na pokładzie, odkrył, że pejzaż znów się zmienił. Siła wiatru wzrosła, a kierunek zmienił się o trzy rumby, zatem siłą rzeczy morze przybrało inny wygląd. Regularną procesję potężnych bałwanów zastąpiła chaotyczna bieranina fal, wypełniająca swe doliny chmurami bryzgów wodnych. Bałwany, które widział poprzednio, sunęły po morzu nadal, lecz oddalone już były o ćwierć mili, miejscami tracił je z widoku z powodu kotłowania mniejszych fal, wśród których płynął teraz okręt. W polu widzenia nie było żadnych albatrosów. Fregata dalej utrzymywała sporą prędkość, dumnie unosząc dziób na większych falach, a ciosy mniejszych przyjmując na kadłub. Mimo potrójnych zabezpieczeń ze strony bosmana utracono jedną z szalup, lecz jak do tej pory była to jedyna strata. „Surprise” kołysała się już zarówno na boki, jak i wzdłużnie, a przy każdym przechyle zawietrzna ćwiartka dziobowa nurzała się w białych falach.

Na pokładzie byli wszyscy oficerowie wciśnięci w najrozmaitsze kąciaki. Pan Bowes, trudny do rozpoznania w brezentowym ubraniu, pochwycił Stephena, gdy ten stracił równowagę podczas któregoś z gwałtowniejszych przechyłów i pomógł mu dotrzeć do kapitana wzdłuż lin sztormowych. Kapitan wciąż tkwił pod wspornikiem. Odczekał, póki Jack nie zlecił Callowowi, by ten zszedł pod pokład i odczytał wskazania barometru, po czym powiedział:

- Stan Woodsa z podwachtu stermasztu pogarsza się coraz szybciej. Jeśli chcesz go zobaczyć, zanim umrze, musisz zejść do niego teraz.

Jack zastanowił się, po czym rzucił serię rozkazów człowiekowi za kołem sterowym i rozejrzał się, wciąż niepewny, czy może opuścić pokład w takiej chwili. Na rufę dotarł Callow, trzymając się czego popadło.

- Barometr podnosi się, sir! - wykrzyczał. - Podniósł się o dwie i pół kreski! A pan Hervey kazał mi powiedzieć, że pozaczepiał nowe talie!

- To oznacza jeszcze silniejszy wiatr. - Pokiwał głową Jack, zerkając na nadjedzony tropikalną wilgocią sztormowy fokmarsel. Zrobili wszystko, co się dało, by go wzmocnić i jak do tej pory żagiel jakoś się trzymał.

- Zejdę do Woodsa, póki jeszcze mogę - oznajmił, po czym odpiął się, zawołał nawigatora i Pullingsa, by zajęli jego miejsce, i zataczając się, ruszył w stronę zejściówek. W kabinie łyknął szklankę wina i rozpostarł ramiona. - Przykro mi słyszeć o ciężkim stanie biednego, pocziwego pana Woodsa - powiedział głosem wciąż ochrypłym od wydawania rozkazów. - Jest jeszcze nadzieja? - spytał, próbując nadać swemu głosowi normalniejsze brzmienie. Stephen potrząsnął głową.

- Nie w tym rzecz. Pytałem, czy jest jeszcze nadzieja, aby pan Stanhope i jego ludzie przeżyli to szaleństwo w dobrym zdrowiu?

- Wszystko w porządku. Powiedziałem im, że „Surprise” to dobry okręt i nie będzie kłopotów.

- Bo to jest dobry okręt tak długo, jak długo pracuje fokmarsel. „Surprise” to najdzielniejszy okręt, jaki kiedykolwiek pływał. A jeśli barometr mówi prawdę, za kilka dni wypogodzi się. Pójdziemy już?

- Nie przejmuj się tą wizytą, Jack. Przykro mówić o chorobie i jeszcze bardziej przykro na chorego patrzeć, ale zapewniam cię, że pan Woods nie czuje bólu. To będzie łagodna śmierć. Twarz Woodsa miała niebieskawy odcień, a ciężki, charkotliwy oddech chorego był najgłośniejszym odgłosem w szpitaliku, głośniejszym nawet od zamieszania na pokładzie. Być może rozpoznał Jacka, lecz pewności nie było, spojrzenie jego wółprzymkniętych oczu nie zmieniło się. Jack spełnił swój kapitański obowiązek, powiedział kilka stosownych zdań, spędził chwilę przy każdym z pozostałych pacjentów i, wzruszony do głębi, pośpieszył na pokład.

Minął ledwie kwadrans, lecz zmiany na morzu były ogromne! Kiedy schodził pod pokład, przechył fregaty nie przekraczał dziesięciu stopni, teraz kotbelka lewej burty sięgała zielonej toni morskiej. Ogromne fale, wciąż nacierające od ciemności zachodniej strony nieba, były teraz większe niż kiedykolwiek, niewyobrażalnie wprost wysokie, a śródkręcie tonęło na pięć stóp w niesionej przez nie pianie. Dziób zsuwającego się z fali okrętu nikał niemalże w wodzie, lecz „Surprise” wciąż wspinała się na kolejne grzywacze, parszając wodą ze szpigatów, wciąż walcząc z żywiołem. Lecz czy jej ruchy nie były już ociężałe?

W kabinie jeden ze służących Stanhope'a, na wół pijany, poparzył się ciężko przy piecyku spirytusowym i dodatkowo poturbował upadkiem. Maturin i M'Alister zabrali się do opatrywania jego obrażeń. White, Atkins i Berkeley, którzy w Londynie długo walczyli o objęcie piastowanych obecnie stanowisk, siedzieli ściśnięci w trójkę na jednej koi z podkulonymi nogami, gapiąc się bezmyślnie przed siebie. Godzina mijała za godziną.

Światło dnia z wolna zastępował mrok, jeśli ów trwający od świtu szary półmrok można było w ogóle nazwać dniem. Jack z odległości pół mili wciąż jeszcze widział jasne grzywy wielkich bałwanów, nacierających na rufę okrętu, zdających się wypełniać całe niebo podczas przechyłów okrętu. Widział, jak dwa gigantyczne grzywacze idą zbyt blisko siebie i naraz eksplodują tuż za rufą z potwornym hukiem, unosząc okręt połączoną, potężną siłą. Gdy tylko przebrzmiał łoskot zderzających się fal, Jack usłyszał ostry trzask przypominający wystrzał z działa i nagle na przednim pokładzie ujrzał łamiący się fokmaszt. Zerwany z rei fokmarsel w mgnieniu oka stał się migoczącą plamką bieli na tle ciemnego nieba.

- Załoga! - ryknął Jack, gdy okręt zaczynał już niebezpiecznie zbaczać z kursu. Rzucił spojrzenie za siebie, okręt zsuwał się właśnie w dolinę fali. Jeśli nie zdołają odzyskać kontroli nad okrętem, zanim ponownie uderzy weń wiatr, jeśli nie uda się postawić jakichś żagli na dziobie, fregata stanie bokiem do wiatru i przyjmie następną falę na burtę! - Załoga! - zdzierał

sobie gardło. - Pullings! Poślij ludzi na wanty fokmasztu! Maszt poszedł tuż nad łączeniem ze stengą! Fokszaksle! Fokszaksle! Za mną! Siekiery w garść!

Okręt znalazł się akurat w najspokojniejszej części doliny fali - Jack pędził na czele dwudziestki marynarzy. Fala wdarła się przez burtę, mocząc ich aż po pas - przebrnęli przez wodę i dotarli na pokład dziobowy, nim kolejna fala przebyła połowę odległości do okrętu na pół obróconego pod wiatr. Marynarze wspinali się gromadnie po drabinkach wantowych. Ich ciała stanowiły wystarczająco duży opór dla wiatru, by odwrócić nieco dziób fregaty, nim kolejny grzywacz pochłonął ich ścianą wody i lawiną piany. Okręt ciągle walczył, wciąż nie oddawał swej burty na pastwę następnego bałwana. Ciosy siekier szybko uporały się z resztkami fokmasztu. Bonden był na bukszprycie, rąbiąc w sztag fokstengi, który wciąż łączył unoszące się na wodzie drzewce z okrętem, nieubłagane obracając okręt pod wiatr. Jack zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i ruszył za nim. Natychmiast zanurkował w pianie, próbując wymacać liny trzymające płótno zwiniętego fokszaksła, tkwiące mocno pod sztagiem. Wreszcie złapał je - szarpał się z przewiazami, inni również porwali za nie, ale te nie chciały puścić, nie chciały!

- Trzymać mocno! - ktoś ryczał za nim, jakiś silny marynarz nacierał na jego plecy, a potem fala uderzyła w nich z niewyobrażalną, przekraczającą wszelkie pojęcie siłą. To była trzecia fala - i ona ustawiła okręt dokładnie burtą do wiatru.

Napór zelżał i Jack wynurzył głowę ponad wodę. Na wantach było coraz więcej ludzi. Znow siła wiatru wraz z dzikimi falami poprzecznymi odwróciła nieco dziób okrętu ku poprzedniemu kursowi, ale długo tak wytrwać nie mogli - jeszcze kilka minut, a żywioły całkiem oczyściłyby wanty! Fregata znów sunęła w dół fali, a Jack dalej bezskutecznie mocował się ze zwiniętym sztaksem, aż wreszcie znalazł przyczynę niepowodzeń - poszarpane kawałki lin tkwiły w raksach.

- Nóż! - ryknął, gdy tylko fala pozwoliła mu się rozejrzeć. Ktoś wcisnął mu narzędzie do ręki, Jack machnął kilka razy i poczuł, że żagiel ma wolną drogę. - Trzymać się! - krzyczał. Znow rozległ się łoskot potwornej, spadającej fali - coś ugniatało mu klatkę piersiową z niemożliwą siłą. Trzymał się jednej jedynej myśli, że nie wolno mu wypuścić żagla, który przyciskał swoim ciężarem. Kurczowo przywarł do bukszprytu. Tylko wytrzymać, tylko wytrzymać... Napór znów zmalął i Jack głęboko zaczerpnął powietrza w rozsadzane brakiem tlenu płuca.

- Do fałów! - zaryczał, wyczołgując się z wody. - Słuchać mnie! Do fałów!

Miarowe szarpnięcia za fały porywały żagiel w górę, natychmiast wypełnił go wiatr, a marynarze wybrali szoty. Fregata wciąż tkwiła burtą do wiatru i niezdolnie powoli obracała się. Fokszaksel przejmował z wolna napięcie, a tymczasem nadbiegała kolejna gigantyczna fala, zdążyli! „Surprise” przyjęła grzywacz na ćwiartkę rufową, wspięła się na nim i wystawiona na pełną moc wiatru, ustawiła się równolegle do linii wiatru. Płynęła coraz szybciej i sterowała coraz sprawniej - mimo że ostatnie uderzenie wiatru odrzuciło ludzi od koła sterowego, mocujące go talie wytrzymały. Następna fala uniosła okręt, nie wyrządzając żadnej szkody. Jack stał już na pokładzie, trzymając się fragmentów olinowania, gdy fregata znów runęła w dół. Pokład dziobowy oczyszczono już ze szczątków fokmasztu, a sztaksel postawiony był jak należy. Odwołał ludzi z want i ruszył na śródokręcie.

- Jakies straty, Hervey? - spytał, znów przywierając do wspornika.

- Nie, sir - padła odpowiedź. - Jest kilku rannych, ale na rufę wrócili w komplecie. A u pana wszystko w porządku?

Jack skinął głową.

- Okręt lepiej steruje - powiedział. - Proszę odwołać wachtę pod pokładem i wydać porcję grogu dla każdego. Zarządzi pan wydanie alkoholu na półpokładzie. Proszę też zawołać do mnie bosmana.

Ta noc nie miała końca. Wszyscy oficerowie spędzili ją na pokładzie, wpadając do mesy na krótkie przerwy wypełnione nerwową drzemką i uważnym nasłuchiowaniem pracy pojedynczego trójkąta płótna na dziobie. Już po pierwszej godzinie czuwania Jack uświadomił sobie, że zaczyna dygotać, jego ciało z wolna drętwieje, a wraz z tym odplywa świadomość. Znowu uwolniono koło sterowe. Ochryplym głosem Jack coraz to wykrzykiwał kolejne rozkazy, dwukrotnie wysyłając grupki ludzi na dziób, by najlepiej jak potrafią w ciemnościach i w tak przejmującym zimnie wzmacniali i sprawdzali wiązania. Na godzinę przed świtem kierunek wiatru zmienił się o rumb, potem o dwa i począł uderzać w nieregularnych, nagłych porywach, których świst ranił jego uszy. Nigdy nie słyszał niczego tak dzikiego. Serce bolało go z niepokoju o sztaksel i o cały okręt - z imieniem Sophie na ustach z wolna zapadał w odrętwienie pełne żalu i ciepłych wspomnień. Potem świst opadł o pół tonu, później o kolejne pół tonu i jeszcze, powoli przeradzając się w cichy pomruk. Wtedy to właśnie pierwsze blade promienie słońca ukazały mu biel morza aż po horyzont, z wciąż ciągnącą się, uporządkowaną procesją wielkich grzywaczy. Fale wciąż wydawały się potężne, lecz pozbawione już były wczorajszej furii. Nie przypuszczały już szturm na boki okrętu, na śródokręciu zostało wody ledwie na stopę, a kołysanie ledwie dawało o sobie znać. „Surprise”, dzielny okręt, który za rufą zostawił już każde morze, zwycięsko zakończył sztormowanie przez mroźną pustkę. Na trawersie sterburty znowu pojawił się albatros.

Jack rzucił liny, mocujące go do wspornika, i sztywno postąpił naprzód.

- Panie Hervey, możemy obsadzić pompy - powiedział. - Myślę też, że można już postawić grotmarsel.

I wreszcie nastął spokój. Okręt, który jako potłuczony wrak z trudem minął czterdziesty równoleżnik, wypompowując wodę dzień i noc i wlokąc za sobą resztki porwanych lin, był teraz nie do poznania. Madagaskar i Komory zostały już daleko za rufą „Surprise” i okręt płynął teraz równo, dobrze wytrzymały i świeżo odmalowany. Oko eksperta dostrzegłoby co prawda ślady podwójnego łatania takielunku czy osobliwy brak szalup na wytykach, zdziwienie wywołałby zapewne również obecny kształt steru czy brak jakichkolwiek innych żagli ponad marsłami pomimo idealnej pogody i dogodnej bryzy. Nie ośmieliliby się postawić bramsli - z nowiutką fokstengą i świeżym odmalowaniem okręt był piękny niczym z obrazka, ale wewnątrz kadłuba mocno ucierpiało podczas sztormu. Jack tyle mówił o wadliwych stykach i węzłówkach w kadłubie, że Stephen w końcu oznajmił:

- Kapitanie Aubrey, o ile mogłem zrozumieć, na pewno nie uda nam się naprawić tu ani twoich styków, ani węzłówek. Dopiero w doku możemy sobie na coś takiego pozwolić, a dok znajduje się trzy tysiące mil morskich stąd. Sugeruję zatem, byś przestał tyle gadać i pogodził się z tym, czemu zaradzić nie potrafimy, lub chociaż zmusił się do okazywania pozorów obojętności! Jeśli mamy się rozpaść, to się rozpadniemy i basta! Jeśli o mnie chodzi, pokładam głęboką wiarę w to, że dotrzemy do Bombaju.

- Ja wiem coś, o czym ty nie wiesz! - wykrzyknął Jack.

- Na pokładzie nie został nam ani jeden gwóźdź dziesięciocalowy!

- Niech Bóg błogosławi cię i ten twój gwóźdź - odparł Stephen. - Oczywiście, że wiem o tym. Wspominałeś o tym codziennie przez ostatnich dwieście mil przy okazji gładzenia o blokach i stykach. Słyszałem o tym zresztą nawet w nocy, gdy mamrotałeś przez sen. Padnij na kolana przed twoim przeznaczeniem, Jack, lub przynajmniej pogrąż się w cichej modlitwie!

- Ani gwoździa... - pokręcił głową Jack. - Ani zapasowego masztu, ani bomu, jedynie to, co sami wyłowimy...

Była to prawda, jednakże z irytującym go zadowoleniem zarówno Stanhope, jak i jego świta, wspierani nawet przez Stephena, uznali, że podróż wkroczyła w cudowną fazę. Twierdzili teraz, że żegluga była dla nich jedynym sposobem podróżowania, przebijającym nawet dyliżans pocztowy na szerokiej szosie i że będą polecać okręty wszystkim swoim przyjaciółom.

Z całą pewnością ten odcinek podróży był rozrywką dla pasażerów, gdyż morze było gładkie, a bryza pchała ich łagodnie w stronę coraz cieplejszych stref. Jednak już na wysokości Isle of France Jack wraz ze sternikiem i cieślą okrętowym oraz całą resztą oficerów znajdujących się na rzemiośle morskim zaczęli gorączkowo rozglądać się za francuskimi korsarzami. Nic nie sprawiłoby ich w większe szczęście niż nowa fokstenga, kilka nowych rei czy ze sto sążni półtoracalowej liny! Wytężali wzrok, jak mogli, ale Ocean Indyjski pozostawał tak samo bezludny jak południowy Atlantyk - nie było śladu nawet po wielorybach.

Żegluga wciąż trwała, sunęli ku morzom coraz cieplejszym, lecz wciąż bezludnym, zupełnie jak gdyby „Surprise” jedyna przetrwała potop Deukaliona, a cały ląd zniknął pod powierzchnią morza. Znowu rutyna służby na okręcie zatarła różnice między zmianami w długości dnia i nocy, płynęli jakby w nie kończącym, powtarzającym się śnie, którego ramy wyznaczał niezmienny horyzont, a przerywał jedynie codzienny łoskot dział przygotowujących się na spotkanie wroga, w którego istnienie trudno było uwierzyć.

Stephen odłożył pistolety, lufy oczyścił chusteczką i zamknął skrzynkę. Broń wciąż była gorąca po ćwiczeniach, ale nietknięta butelka-cel nadal zwisiała z noku fokrei. Nie upatrywał winy w wadliwości sprzętu - pistolety należały do najlepszych, jakie kiedykolwiek opuściły wytwórnię Joe Mantona, a poza tym ochmistrz trafił z nich w cel wcześniej trzy razy. Co prawda Stephen strzelał lewą ręką, gdyż prawa ucierpiała w Port Mahon znacznie bardziej, jednak rok wcześniej bez trudności trafiał w butelkę z obu rąk. Zbyt szybko naciskał spust? Za bardzo chciał trafić? Westchnął i z głową pełną rozmyślań o naturze koordynacji nerwowej i mięśniowej począł wspinać się na stermaszt. Śledził go wzrokiem Atkins, który właśnie doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie wszczynać z doktorem kolejnych kłótni przed dotarciem do Bombaju.

Stephen dotarł do podwanteł i tam podjął decyzję - jeśli ciało odmawiało mu współpracy w jednej dziedzinie, powinno posłuchać go w innej. Chwycił za podwantełkę, rozpiętą od krawędzi platformy, i miast wolno piąć się po nich w kierunku przełazu zwanego *lubber's hole**, zawisł pod kątem czterdziestu pięciu stopni plecami do pokładu i, posapując, ruszył do góry. Cel swój osiągnął jak prawdziwy marynarz, a nie zwykły szczer łądowy, skrępowany prawami grawitacji. Bonden spodziewał się, że Stephen dotrze na salinę w normalny dla siebie sposób, obierając drogę przetartą, bezpieczną i logiczną, lecz upokarzającą dla każdego marynarza, tak więc nieudana próba ukrycia zaskoczenia na jego twarzy była dlań wystarczającą nagrodą. Stephen aż pokraśniał z dumy.

* *Lubber's hole* (ang.) - „dziura dla szczerów łądowych”, otwór, przez który niedoświadczony marynarz mógł łatwo dostać się na platformę marsu.

- Zabierzmy się do kolejnego wiersza - powiedział, próbując opanować zadyszkę, która zepsułaby cały efekt. Tylko to zdanie mógł wykrztusić na jednym oddechu, przerwał zatem, niby zbierając myśli, czekając w rzeczywistości, aż serce zacznie bić normalnym rytmem. - Gotowy, Barrecie Bonden? Piszemy...

*I ku bogactwom Wschodu przez burze zmierzamy;
Przyłądek za nami, porzuć swe obawy;
Wiernego pasatu bezpiecznie się trzymamy,
Który wiedzie nas na brzeg słynny z przyprawy.*

- Bardzo ładny kawałek, sir - oznajmił Bonden. - Równie dobre jak cokolwiek Dibdina. Jednak jeśli miałbym to skrytykować, to z całym szacunkiem, doktorze, ale ten wiatr na morzu to my nazywamy monsun. A co do tych bogactw... Cóż, każdy poeta pisze, co mu się żywnie podoba, i jego to sprawa. Tak widzi sprawę poeta, ma do tego prawo i mnie nic do tego. Przyprawa to

może i bogactwo, choć większość przypraw to, jeśli pan wybaczy, zwykłe gówno. Ale bogactwo, doktorze... Wybaczy pan, że się śmieję... Ha, ha, ha, ha! Możemy dorwać kilku korsarzy z Reunion czy Isle of France, a to i tak nie oznacza bogactwa. Na całym cholernym Oceanie Indyjskim nie ma ani śladu przyzów od czasu, gdy admirał Rainer oczyścił Trikunumalaję. Możemy ostatecznie zaatakować admirała Linois na jego fregacie z siedemdziesięcioma czterema lufami. Nieźle pogonił naszą starą dobrą „Sophie”. Na Boga, wesoły był z niego staruszek, pamięta pan?

Oczywiście, że Stephen pamiętał zarówno jego, jak i ów pościg na Morzu Śródziemnym, zakończony przejściem okrętu przez Francuzów i wzięciem ich do niewoli. Twarz Bondena, przed chwilą rozciągnięta w uśmiechu wywołanym przez stare wspomnienia, nagle spowaźniała. Odłożył swój kajet w chwili, kiedy nad relingiem pojawiła się obrzydliwa twarz młodego Callowa, który przekazał pozdrowienia od kapitana i jego pytanie, czy doktor ma zamiar zmienić kurtkę. - Na litość boską, z jakiej racji miałbym zmieniać kurtkę? - wykrzyknął Stephen. - Co więcej, w ogóle nie mam kurtki na sobie, jak miałbym ją zatem zmienić!

- Kapitan być może myślał, że chciałby pan nałożyć jakąś na okoliczność obiadu z panem Stanhope'em. To taka dżentelmeńska aluzja, proszę pana. Obiad ma być po wybiciu trzeciej szklanki, a piasek w klepsydrze już się prawie przesypał. Aha, jeszcze jedno. Kapitan prosi pana bardzo uprzejmie, by zechciał pan zejść... zechciał pan zejść w tradycyjny dla pana sposób.

- Obiad u pana Stanhope'a - powiedział Stephen półgłosem. Wstał i spojrzał na pokład rufowy, gdzie z wyjątkiem kapitana zgromadzili się wszyscy oficerowie fregaty, każdy w pełnym umundurowaniu. Całkiem zapomniał o zaproszeniu. Pokład rufowy, zatłoczony ludźmi w niebieskich i czerwonych, a nawet czarnych mundurach, z wszystkimi marynarzami w kraciastych koszulach kręcącymi się między nimi, wydawał się taki odległy. Pozornie odległość nie była duża, ledwie jakieś pięćdziesiąt stóp, a mimo to jakże daleko było do desek pokładu! Znał tych wszystkich ludzi poniżej, niektórych nawet lubił, Pullingsa zaś i młodego Babbingtona uwielbiał, a mimo to wciąż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że żyje w próżni. Wrażenie to znów nawiedziło go z całą siłą, choć dostrzegł przyjacielskie skinięcia kilka zadartych ku niemu głów. Z poważną twarzą wsunął nogi w *lubber's hole* i rozpoczął schodzenie.

„Okręt jest pełen ludzi, niczym gęsto zaludniony mikro-świat mknie wciąż naprzód, lecz jest otoczony ludzką próżnią. Mój pamiętnik, który wczoraj czytałem na nowo, potwierdza moje myśli - jestem egocentrykiem żyjącym wśród białych cieni. Z zapisanych przeze mnie stronic nie przebija energia złożonego życia na tej zatłoczonej w końcu jednostce. Sam gospodarz, którego zresztą bardzo cenię, oraz jego ludzie, cała mesa są ledwo zarysowani na jego stronicach” - ciągnął rozmyślania podczas obiadu, w przerwach w rozmowie. Mocarne dłonie Jacka wcisnęły go w najlepszą kurtkę i bryczesy i doprowadziły do ogólnego porządku w ciągu minuty i dwudziestu sekund, w trakcie których żołnierz piechoty morskiej pod karą śmierci krył w dłoniach półgodzinną klepsydrę, by odwlec uderzenie w dzwon. Po tym krótkim zamieszaniu Stephen zasiadł po lewicy Stanhope'a, zjadając ostatnie ocalałe delikatesy z zapasów posła i popijając ciepławe czerwone wino w intencji urodzin księcia Cumberlandu. Był jednak świadom, że jego zachowanie stało się przyczyną niezręcznej sytuacji, a brudne dłonie i umorusana twarz nie przynoszą chluby okrętowi, zmuszał się zatem to uczestnictwa w rozmowie. Dołożył wszelkich starań, by być miłym, a gdy wino zatoczyło już wiele rund wokół stołu, zmusił się nawet do śpiewu.

Pan Bowes, ochmistrz, zaszczycił towarzystwo nie mającą końca, śpiewaną na melodię *I was, d'ye see, a Waterman*, balladą o bitwie sławnego pierwszego czerwca. Obsługiwał wtedy jedną z armat. Śpiewał jednak monotonnym, nie modulowanym głosem, zawieszonym gdzieś w okolicach dolnego a, ze wzrokiem utkwionym w sęk tuż nad głową Stanhope'a. Poseł

uśmiechnął się odważnie i siedzący przy nim wyraźnie usłyszeli jego piskliwy sopran we wspólnie wyryczanym refrenie *To make 'em strike or die*.

Fregata nie mogła się pochwalić dużymi osiągnięciami muzycznymi. Etherage nigdy nie był znany z dobrego poczucia rytmu, a teraz, rozanielony winem Stanhope'a, pogubił się również w słowach. Kiedy w końcu po trzech ciężkich upadkach z krzesła dał sobie spokój ze śpiewaniem, zapewnił wszystkich, że nie ma większej uciechy nad dobrą pieśń. Przyznał jednak, że sam do śpiewania niezbyt się nadawał, choć uwielbiał muzykę - nie to, co doktor! Doktor znał się na tym znacznie lepiej, doktor mógłby nawet zmylić każdego psa imitacją kociego miauczenia na wiolonczeli!

Stanhope odwrócił pobrużdżoną, uprzejmą twarz w stronę Stephena, mrużąc oczy przed promieniami słonecznymi wpadającymi do kabiny przez bulaj podczas kolejnego przechyłu bocznego fregaty. Po raz pierwszy Stephen zauważył, że wokół jego wyblakłych, niebieskich oczu pojawiły się pierwsze ślady białawych obwódok, *arcus senilis*.

- Nie, nie. Wasza Ekszelencjo! - zawołał Atkins z drugiego końca stołu. - Nie wolno nam niepokoić doktora Maturina, którego umysł nie zniży się do naszych prostych uciech! Stephen opróżnił swoją szklankę, wybił rytm na stole i rozpoczął:

*Niech się morza cudami chwala,
Lecz blask oczu Chloe bije je
I niechaj skarby kryje w falach,
Na łądzie skarb większy czeka mnie.*

Jego zgrzytliwy, ochryply głos ledwie trzymał się rytmu i bynajmniej nie poprawił muzycznej reputacji fregaty, lecz teraz Jack wspomógł go głębokim basem, który wprawił szklanki w drżenie. Stephen śpiewał coraz głośniej:

*Chłodne brzegi Irlandii ojczystej
Zostały daleko za morza końcem,
By drzeć na mrozie zimy wieczystej
Lub pocić pod indyjskim słońcem.*

Naraz Stephen uświadomił sobie, że Stanhope może już nie wytrzymać następnej zwrotki - gorąco i duchota wypełnionej ludźmi kabiny, hałas i kilka niezbędnych toastów zrobiły swoje i gwałtownie blednąca, sztucznie uśmiechnięta twarz posła zwiastowała omdlenie w ciągu następnych kilku taktów.

- Proszę ze mną, sir - wyslizgnął się ze swego miejsca. - Proszę. Na moment, sir, jeśli pan wybaczy.

Poprowadził go do sypialni, pomógł się położyć, poluźnił pas i kołnierz. Pozostawił Stanhope'a dopiero w chwili, gdy na jego twarz poczęły wracać pierwsze, blade z początku, kolory. W tym czasie towarzystwo zdążyło się rozejść i Stephen, nie mając ochoty na odpowiadanie na jakiegokolwiek pytania, ruszył przez szpitalik okrętowy ku dziobowi. Tam przeczekał wieczorną rutynę zajęć, obserwując podwodną część dziobnicy, tnącą mila za milą wody oceanu z odgłosem przypominającym darcie jedwabiu. Woda układała się w równych warstwach wzdłuż obłego kadłuba fregaty, by w końcu dołączyć do kilwateru, który ciągnął się już za rufą okrętu przez osiem tysięcy mil. Nie dokończona piosenka wciąż brzmiała mu uszach i nucił ją pod nosem raz za razem.

Jej urok będzie szedł w ślad za mną, A marzyć o jednym będę ja...

Marzenie - o to właśnie chodziło. W pojęciu „marzenie” kryło się wiele rzeczy, jak osłabiony kontakt z rzeczywistością, dziecięce fantazje czy wiara w istnienie potencjalnej szansy. Były też marzenia, które lepiej niech się nie spełniają, cóż... Stephen wciąż nie mógł przestać myśleć

o Dianie Villiers i skrycie darzył ją ogromnym uczuciem, tak ogromnym, jak tylko jeden człowiek mógł obdarzać drugiego. Wydawało mu się, że swego czasu Diana do pewnego stopnia odwzajemniała to uczucie - na miarę swoich możliwości. Ale jak można określić jej możliwości? Traktowała go źle zarówno jako kochanka, jak i przyjaciela i dlatego z ogromną ulgą powitał to, co nazwał stanem wyzwolenia od niej. Stan wyzwolenia nie trwał jednak długo - zatarł się wkrótce po ostatnim jej widzeniu. Było to w loży operowej, gdzie Diana rozsyłała swe wdzięki na prawo i lewo, by wywołać uśmiech na twarzy otaczających ją mężczyzn. Bezrozumna część jego umysłu ożywiła wspomnienie owych wdzięków i niewysłowionej gracji jej ruchów. Rozumna część jego umysłu sprzeciwiła się temu, proponując dołączyć owe zachowania do dobrze mu znanej, długiej listy defektów i wad Diany, jednak owe „wady” niknęły w obliczu jej niezwyklej odwagi i wielu zalet umysłu. Diana nigdy nie działała bezmyślnie ani tchórzliwie. Diana nigdy nie zaprzętała sobie głowy moralnymi wątpliwościami, a w jej przypadku cnotliwość została wyparta przez grację i wdzięk. Była osobą tak osobliwą, że to, co w innej kobiecie byłoby nazwane brakiem wstydu, u niej stanowiło esencję czystości. Był to inny rodzaj czystości, wręcz pogański. Jej wdzięk nie był już tak zniewalający jak kiedyś, lecz wciąż jego pokłady były ogromne - można by rzec, że Diana Villiers wyczerpała jedynie peryferie owego zapasu, lecz pozostało całe niezniszczalne centrum. To właśnie centrum, owa esencja wdzięku i gracji, odróżniała Dianę od każdej innej kobiety, jaką Stephen zdążył w swoim życiu poznać.

Oto miał przynajmniej wstępne wnioski z własnych rozmyślań - podróżował przez te osiem tysięcy mil morskich z rosnącym pragnieniem ujżenia jej znów, a towarzyszył temu coraz silniejszy lęk przed owym spotkaniem. Oczywiście, pragnienie przebijало lęk swoją mocą. Lecz, dobry Boże, istniało tyle możliwości samooszukania się! Nie było mu łatwo rozpleść owe niezliczone kombinacje emocji i nadać każdej z nich właściwą nazwę czy też oddzielić obowiązek od przyjemności. Cokolwiek by powiedział, czasami gubił się w labiryncie niepewności. Na szczęście, w tej chwili labirynt zamienił się w mleczne morze i na razie sama żegluga ku możliwym, lecz mało prawdopodobnym chwilom uniesienia stanowiła dlań jeśli nie sens istnienia, to przynajmniej coś bardzo zbliżonego.

Spokój panował coraz większy. Fregata sunęła teraz wśród ospałych, mdłych fal Morza Arabskiego. Wiał południowo-zachodni monsun, wiatr równie stały jak pasaty, ale łagodniejszy, tak łagodny, że na pogruchotanej „Surprise” postawiono bramsle, a nawet dolne żagle boczne. Okręt śpieszył się bardziej niż zwykle, gdyż spiżarnie tak bardzo świeciły pustkami, że nawet mesa oficerska od kilku tygodni zajadała soloną wołowinę, wieprzowinę, suchary i suszony groch. Midszypmeni donosili, że na okręcie nie pozostał przy życiu ani jeden szczur, a co gorsza, Stephen i pan M'Alister znów musieli zajmować się przypadkami szkorbutu. Chude lata miały się jednak niebawem skończyć. W pewnym momencie Harrowby zasugerował obranie kursu na Cieśninę Dziewiątego Stopnia i Lakkadiwy, ale uczynił to z typowym dla siebie brakiem przekonania. Jack odrzucił propozycję, nakazując nakreślenie kursu na sam Bombaj. Okręt sunął już tak długo na północny wschód ku wschodowi, że wedle wszelkich szacowań powinni być już o sto mil na wschód od wzniesień Zachodnich Ghatów. Jednakże po naradzie z Pullingsem, kilkakrotnym sprawdzeniu własnych obliczeń i po zaprzęgnięciu co bystrzejszych midszypmenów do pracy nad poszukiwaniem błędu w rachunkach, po kilkunastu sesjach z chronometrami i wprowadzeniu wszystkich potrzebnych poprawek Jack był niemalże w stu procentach pewien swej pozycji. Pojawienie się ptaków morskich, samotnego statku kupieckiego na horyzoncie, który umknął, bynajmniej nie ciekaw, czy byli Francuzami czy Anglikami, oraz pełna muszli garść białego piachu, wydobyta podczas sondowania na głębokości jedenastu sążni, utwierdziły go tylko w przekonaniu, że pozycję okrętu wyznaczało 18 stopni i 34 minuty szerokości północnej i 72 stopnie i 29 minut długości wschodniej i że następnego dnia miał dotrzeć do lądu. Stał więc teraz na pokładzie rufowym,

wpatrując się raz w przestrzeń za burtą, raz w stronę salingu, gdzie marynarze o najbystrzejszym wzroku, wyposażeni w lunety, wciąż wpatrywali się na wschód.

Wiara Stephena w znawstwo rzemiosła morskiego przez kapitana Aubreya była teraz tak ślepa, jak zaufanie Jacka do umiejętności lekarskich doktora Maturina. Nie przejmując się zatem troskami, które gnębiły jego przyjaciela, siedział w stroju Adama na ławie wantowej, zarzucając raz po raz do morza siatkę.

Ławy wantowe, szerokie deski wystające poziomo poza pokład, by umożliwić rozciągnięcie want jeszcze szerzej, zapewniały doktorowi najbardziej wygodne stanowisko, jakie mógł sobie wymarzyć - tu najlepiej korzystał ze słońca i miał zapewnioną samotność, jako że niektóre z ław znajdowały się poniżej relingu. Fale morskie sunęły tuż pod jego stopami, czasem omywając mu nogi w ciepłej piesszocie, czasem spryskując ciało przyjemną chmurką pyłu wodnego. Śpiew Stephena *Asparages me, Domine, hyssopo* przerwało pojawienie się kolejnego węża morskiego i doktor szybko zastawił mu kurs siatką. Gad uznał jednak pustą siatkę za nic interesującego i bez wahania z łatwością prześlizgnął się obok niej.

Nad sobą i trochę z tyłu słyszał głos Herveya - zwykle przebijał z niego pojednawczy ton, teraz jednak pierwszy oficer wrzeszczał z pasją, próbując się dowiedzieć, czy jakieś cholerne szczołki dotrą w końcu na rufę i ta obora zamieni się wreszcie w pokład okrętu wojennego. Inny głos, cichy i intymny, należał do Babbingtona, który był pożyczony od Stephena rozmówki w urdu i półgłosem powtarzał na okrągło: „Kobieto, czy pójdziesz ze mną do łóżka?“, patrząc niecierpliwie ku północnemu wschodowi. Jak wielu innych żeglarzy, podświadomie czuł już obecność niewidocznego jeszcze lądu, lądu pełnego kobiet, z których zapewne każda mogłaby z nim iść do łóżka.

- Nie będzie dziś wieczór ćwiczeń artyleryjskich, doktorze - powiedział Pullings, wychylając się za reling. - Będzie wielkie sprzątanie. Myślę, że przed zmierzchem ujrzymy już Wzgórza Malabaru, a w Bombaju czeka na nas admirał. Okręt musi aż błyszczeć!

Bombaj oznaczał świeże owoce dla chorych, sorbet z lodem dla wszystkich członków załogi i obfite posiłki. Bombaj to też cuda Wschodu, bez wątpienia marmurowe pałace i ciche wieże Persów, biura komisarzy dawnych kolonii francuskich, państwka i faktorie wzdłuż wybrzeża malabarskiego i wreszcie rezydencja komisarza Canninga.

- Uszczęśliwia mnie pan, Pullings - powiedział Stephen. - Zapowiada się zatem pierwszy wieczór od trzydziestego stopnia szerokości południowej bez tego barbarzyńskiego... Ciii! Mam go! Mam go! Ha, ha, drogi przyjacielu, chodź tu! - W uniesionej przez doktora siatce Pullings ujrzał smukłego węża morskiego z lśniącą w słońcu, czarno-żółtą łuską.

- Eee... Lepiej niech pan tego nie dotyka! - wrzasnął Pullings. - To wąż morski!

- Oczywiście, że to wąż morski! - odparł Stephen. - Schwywanie go było moim celem do chwili, kiedy wpłynęliśmy na te wody.

- Ale i tak niech pan tego nie dotyka. - Pullings nie poddawał się. - Jest bardzo jadowity!

Widziałem, jak jeden facet umarł w dwadzieścia minut...

- Łąd na horyzoncie! - okrzyknięto z oka. - Łąd na prawym trawersie!

- Panie Pullings, proszę udać się na mars - polecił Jack - i złożyć raport z tego, co pan ujrzy.

Na pokładzie rozległ się tupot wielu stóp i okręt przechylił się na burtę, gdy niemal cała załoga popędziła, by wyteżyć wzrok w kierunku horyzontu. Stephen trzymał siatkę w bezpiecznej odległości, wąż morski wił się wściekle, zginając się i rozprężając niczym nagle uwolniona potężna sprężyna.

- Hej, na pokładzie! - wołał Pullings. - To Wzgórza Malabaru, sir! Wyraźnie widzę wyspę!

Wąż morski, ślepy poza swoim naturalnym środowiskiem, pokąsał dotkliwie swój ogon i zdechł. Zanim Stephen zdołał wnieść gada na pokład i umieścić w przygotowanym słoju spirytusu, żywe kolory łuski mocno już przybladły. Kiedy jednak przełaził przez reling, fregatę owionął powiew wiatru od lądu, tchnienie tysiąca nieznanych zapachów: zielony zapach wilgotnych roślin, palm i zatłoczonej cywilizacji, zapach Nowego Świata.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przybycie do Bombaju w istocie oznaczało świeże owoce dla chorych, ale obfitymi posiłkami cieszyli się już tylko ci, którzy mieli czas na jedzenie. Poza wszechobecnym zapachem tropiku i odrobiny araku, który przemycono na pokład, marmurowe pałace i inne cuda wschodu pozostały dla załogi „Surprise” jedynie przedmiotem teoretycznych rozważań. Okręt natychmiast trafił do stoczni, gdzie dosłownie rozebrano go na kawałki - na ląd zniesiono armaty i do czysta wymieciono ładownie, by przyjrzeć się dnu „Surprise”. Już po wstępnym zapoznaniu się ze stanem kadłuba okrętu oficer dowodzący stocznia nakazał jak najszybciej przygotować suchy dok na jego przyjęcie, by „Surprise” przypadkiem nie poszła na dno w miejscu cumowania.

Admirał, pogodny mężczyzna o zaróżowionych policzkach, oficjalnie odwiedził okręt i pochwalił go w pięknych słowach, ale przy okazji wizyty na fregacie zabrał ze sobą Herveya. Były pierwszy oficer objął dowództwo osiemnastodziałowego słupa, co zrzuciło cały ciężar doprowadzenia jednostki do porządku na barki Jacka.

Admirał okazał się jednak człowiekiem nie pozbawionym sumienia, zdawał sobie także sprawę z wagi misji Stanhope'a. Szepnął zatem słówko stoczniovcowi i naraz podwoje bogato zaopatrzonej magazynów portu w Bombaju stanęły przed „Surprise” otworem. Jack oniemiał ze szczęścia na widok płynącego na pokład szerokiego strumienia beczek smoły, zwojów lin konopnych, lin holowniczych i wszelkiego rodzaju cieńszych linek, całych płatów płótna żaglowego, lśniących arkuszy blachy miedzianej, nowych rei, bloków, a nawet szalup! Co prawda, jego również korciło, by zejść na ląd i powłóczyć się po plaży pod palmami, jednak powiedział:

- Dopóki trwa remont, nikomu nie wolno opuszczać okrętu. Kuj żelazo, póki gorące, jak mawiał drogi Christy-Palliere.

- A nie odnosisz wrażenia, że w pewnym momencie załodze wszystkiego się odechce? - spytał Stephen. - A co, jeśli dogadają się i po prostu uciekną z okrętu?

- Cóż, nie mogę im popuścić cugli. Musimy złapać monsun z okrętem w dobrym stanie. Poza tym to marynarka i wiedzą, że tu nie ma taryf ulgowych. Wiedzieli, w co się pakują. Skoro wpadłeś między wrony, to tak już się wyśpisz.

- Masz na myśli, że sami sobie pościelili i teraz muszą krakać?

- Nie, nie do końca. To znaczy... Stephen, skończ już mieszać mi w głowie. Mamy tydzień, może trochę więcej. Tydzień na zapięcie wszystkiego na ostatni guzik, inaczej do portu wpłyną „Ethalion” albo „Revenge”, trzeszcząc z tęsknoty za nowymi rejami i linami. Potem możemy trochę odzipnąć i dać ludziom ciut wolnego. Póki co, roboty jest mnóstwo. Widziałeś, w jakim stanie jest wzmocnienie poszycia? Pracy starczyłoby na całe tygodnie, trzeba więc się śpieszyć! Już od pierwszych kontaktów z Marynarką Wojenną Stephena denerwował ów niezwykle pośpiech, ów szaleńczy pęd, by jak najszybciej odkryć, co jest za horyzontem, jak najszybciej dotrzeć do określonego miejsca i jak najszybciej z niego uciec na wypadek, gdyby coś się działo w odległej cieśninie. Teraz też panowało hasło „jak najszybciej”, zapomniano już o kuciu żelaza, każdy teraz myślał o złapaniu monsunu. Wszyscy wiedzieli, że jeśli nie wysadzą Stanhope'a w Kampongu przed określoną datą, będą wracać do domu z wiatrem od dziobu, tracąc miesiące cennego czasu, który mogliby spędzić w czynnej służbie.

- Ta cała wojna może się skończyć, zanim dotrzemy do Przylądka Dobrej Nadziei! - mówił Jack podniesionym głosem. - A na pewno tak będzie, jeśli nie zdążymy na północno-wschodni monsun. Fatalny układ wydarzeń, przyznaję.

Szansa na doprowadzenie „Surprise” do dawnego, należytego stanu nadal istniała, ale Stephena od samego początku niewiele to obchodziło. Ochota do zejścia na ląd, zwalczana przez Jacka, przeradzała się z wolna w palące pragnienie, któremu już nie potrafił się oprzeć. Pozostawił więc Jacka, pieszczotliwie głaszczącego bal najlepszego drewna na wyspie, mówiąc:

- Moi pacjenci są teraz w szpitalu, pan Stanhope gości u gubernatora, na okręcie nie ma więc dla mnie nic do roboty. Muszę poświęcić trochę czasu badaniu miasta, a jest ku temu wiele powodów.

- Pewnie, że musisz! - nieprzytomnie odparł Jack. - Panie Babbington! Panie Babbington, gdzie, u diabła, jest ten cholerny patałach cieśla? Pewnie, że musisz, Stephen, ale nie przegap zdejmowania masztów! Przybijemy burtą do okrętu warsztatowego, a oni je wyjmą, jakby to była zupełna drobnostka! Mówię ci, to najwspanialszy widok na świecie. Wyślę po ciebie, szkoda by było to stracić.

Stephen od czasu do czasu wracał na pokład. Raz przyszedł w towarzystwie perskiego matematyka, który chciał przyjrzeć się tablicom nawigacyjnym okrętu, innym razem pojawił się w towarzystwie małej dziewczynki nieznanego rasy, która uratowała go od zdeptania na śmierć przez bawoły, wyprowadzając go za rękę i trajkocząc całą drogę w urdu. Pojawiał się też w towarzystwie chińskiego nawigatora morskiego i pewnego księdza z Makao, który zrzucił sutannę. Stephen rozmawiał z nim po łacinie, pokazując mu wyłożoną pracę pomp na okręcie. Czasem doktor zachodził do kwatery Jacka, gdzie teoretycznie również i on miał spać i jadać posiłki. Jack był zbyt dyskretny, by wypytywać, gdzie Stephen sypiał, kiedy nie wracał na noc, miał też zbyt dobre maniere, by komentować to, iż Stephen jednego dnia ubierał się na modłę europejską, innego wkładał luźną koszulę na białe spodnie albo tylko owijał biodra ręcznikiem. Niezależnie jednak od tego, co Stephen miał na sobie, jego twarzy nie opuszczał wyraz bezustannego, tajemnego zachwyty.

Spał właściwie gdzie popadło - pod drzewami, na werandach, w karawanseraju, na schodach świątynnych lub w pyle ulicy, między bezdomnymi. Miejsce spędzenia nocy uzależniał od tego, gdzie zmogło go zmęczenie. Włóczył się po zatłoczonym mieście, przyzwyczajonym do setek ras ludzkich i niezliczonej liczby języków i nigdzie nie napotkał żadnego komentarza. Chodził po bazarach, odwiedzał arabskie targi końskie i gaje, gdzie zbierano sok palmowy, odwiedzał kościoły, świątynie, pagody i meczety, włóczył się po plaży i podziwiał stopy pogrzebowe Hindusów. Przyglądał się Mahrattom, Bengalczykom, Rajputanom, Persom, Sikhom, Malajom, Syjamczykom, Jawajczykom, Filipińczykom, Kirgizom, Etiopczykom, Żydom bagdadzkim, Syngalezom i Tybetańczykom - ci odwzajemniali spojrzenia, jeśli akurat nie mieli nic innego do roboty, ale w ich wzroku nie kryła się niezdrowa ciekawość czy baczniejsza uwaga, a już na pewno nie było tam ani śladu wrogości. Czasem tylko niezwykle jasne oczy Stephena, teraz jeszcze bardziej wyblakłe w kontraście z pokrytą kurzem skórą, sprawiały, że przyglądano mu się baczniej, czasem wręcz biorąc go za proroka. Kilka razy wylano olejek na jego skórę i otaczający go uśmiechnięci ludzie wciskali mu do rąk słodkie, ciepłe ciastka, owoce i miseczki z ryżem, dostawał sok palmowy, herbatę z masłem i sok z trzciny cukrowej. W trakcie wymiany elementów grotmasztu wrócił raz z wieńcem nagietków wokół nagiej, brudnej szyi - był to podarunek od miejskich dziwek. Stephen zawiesił wieniec na prawej poręczy swego krzesła, po czym zasiadł do uzupełniania zapisków w pamiętniku. „Spodziewałem się po Bombaju cudów, jednak moje gorące oczekiwania, karmione wrażeniami z wizyt w mauretańskich miastach w Afryce oraz lektury dzienników z podróży i *Baśni z Tysiąca i jednej nocy*, w zetknięciu z rzeczywistością okazały się blade i mizerne. Jestem świadkiem istnienia całej cywilizacji, ambitnej, tętniącej życiem, światowej cywilizacji. Wszystkie te łase na zysk, ogromne jarmarki i bezustanna lawina kupna i sprzedaży to chyba najlepszy dowód na jej żywołość. Nie miałem jednak pojęcia o istniejącym tu wszechobecnym *sacrum*, życiu duchowym, które przepaja tak mocno tutejsze życie świeckie. Indie to brud, smród i zabobon, jak się u nas mawia, kraina strasznej biedy i gigantyczny śmietnik bez ładu i składu, ale na życie duchowe wpływu nie ma to żadnego. Nie zakłóca to także oglądu otaczających mnie ludzi. Cóż za niezwykle, gościnne miejsce, gdzie mężczyzna może spacerować nago po ulicy, jeśli mu to odpowiada! Rozmawiałem dziś z nagim Hindusem, *parama-hamsą* na schodach portugalskiego kościoła, który okazał się prawdziwym

gimnosofistą. Zauważyłem w rozmowie z nim, że w takim klimacie mądrość jest odwrotnie proporcjonalna do ilości założonej odzieży, a Hindus na to zmierzył dłonią rozmiary mojego odzienia i stwierdził, że nie ma jednego rodzaju mądrości, że mądrość ma wiele form. Nigdy też nie ceniłem tak wysoko powierzchownego opanowania wielu języków. Gramatyka Fort William, ciut arabskiego i nade wszystko rozmowy z Achmetem i Butoo przyniosły nadspodziewanie niezwykle rezultaty. Gdybym został niemową, wolałbym również stracić wzrok - jaki pożytek ma bowiem widok skrzypiec, których muzyki nie słyhać? Bezustanne trajkotanie kochanej małej Dil wiele mnie nauczyło - dziewczynka bez przerwy opowiada, komentuje i powtarza to, czego nie rozumiem. Upiera się wręcz, bym rozumiał to, co ona do mnie mówi, i niełatwo ją zmylić. Nie wydaje mi się jednak, by urdu był jej rodzimym językiem. Z ową staruszką, u której mieszka, porozumiewa się przecież w innym języku, którego nie rozumiem zupełnie. Starsza pani chciała mi ją sprzedać za dwanaście rupii, przekonując, że mała jest dziewicą. Chciała mi nawet pokazać jej błonę dziewiczą, by uwiarygodnić swoje słowa. Taki pokaz byłby absolutnie zbędny - cóż może być bardziej dziewiczego od śmiałej, chudziutkiej istotki, która patrzy mi prosto w oczy, jakbym był oswojonym, lecz niezbyt inteligentnym zwierzęciem i która przekazuje myśli i wnioski natychmiast, jak zrodzą się w jej główce, jakbym ja również był dzieckiem! Niezle rzuca kamieniami, skacze i wspina się zupełnie jak chłopiec, ale żaden z niej *garcon manque**, gdyż oprócz owej niezwyklej komunikatywności, cechuje ją jeszcze skłonność do matkowania.

**Garcon manque* (fr.) - zniewieściały chłopiec.

Dil dla mego własnego dobra chciałaby kontrolować zarówno to, co robię, jak i to, co jem. Sprzeciwia się zażywaniu opium i paleniu *bhang*, nie chce też, bym nosił spodnie powyżej pewnej długości. Zdarzają się jej też wybuchy spontanicznej wściekłości - w piątek pobiła sarniokiego chłopca, który chciał do nas dołączyć w gaju palmowym, a jego kolegom pogroziła gotowym do rzutu kamieniem i kłótwami, od których tylko wybałuszyli oczy. Je żarłocznie, nie dziwota, bo w końcu ile razy na tydzień udaje jej się najeść? Na własność ma jedynie kawałek bawełnianego płótna, który czasem owija wokół bioder niczym kilt, a czasem nosi jak szal, czarny kamyk, który ceni ponad wszystko oraz swą błonę dziewiczą. Myślę, że naprawdę jest szczęśliwa, gdy się porządnie naje, a jedynym jej marzeniem, niestety nierealnym, jest srebrna bransoleta. Prawie wszystkie dzieci pobrzękują tutaj czymś takim. Nie mam pojęcia, ile ma lat, może dziewięć, może dziesięć, wkrótce będzie miała pierwszą menstruację. Kusi mnie, by ją odkupić, ale nie chciałbym, by się zmieniła. Chciałbym, by żyła jako dziecko, nieświadoma swej płci, by żyła uwolniona od swej cielesności i wszystkich rynsztoków i bazarów Bombaju jako jednostka całkowicie ludzka i wykształcona. Cóż, jednemu Józefowi udało się wstrzymać słońce. Za rok, czy nawet mniej, mała wyląduje w burdelu. Czy w Europie byłoby jej lepiej? Czy skazać ją na los czystej, uwięzionej służącej? Czy wolno mi ją zatrzymać jak zwierzątko domowe? Na jak długo? Zapisać jej majątek? Nie mogę sobie wyobrazić jej żywej, młodej duszyczki, gasnącej na tle szarości dnia. Poradzę się Diany - nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dziewczynka jest kimś więcej aniżeli tylko zwykłym dzieckiem.

Religijność miasta jest niezwykle, lecz nigdzie nie uniknie się ciemnej strony życia. Widziałem ciała zatłuczonych na śmierć, widziałem ciała uduszonych, zadźganych i zagłodzonych i jak w każdym handlowym mieście czyjeś nieszczęście jest przyczyną radości kogoś innego. Jednak materializm, który w Dublinie czy w Barcelonie nie wywołałby żadnego komentarza, dziwi przybywającego do Bombaju. Siedziałem pod wieżami ciszy na wzgórzu Malabar i oglądałem sępy - cóż za widok! Miałem przy sobie lunetę Jacka, ale nie potrzebowałem jej, gdyż ptaki zupełnie nie bały się ludzi. Widziałem zatem bardzo dużo ich odmian, nawet żółtodziobego sępa faraona, który według pana Nortona jest prawie całkowicie nie znany na zachód od

Hajdarabadu. Oglądałem więc ptaki i zbierałem co bardziej osobliwe kości, kiedy odezwał się do mnie nieznamy Pers w czapce koloru śliwki. Wracalem właśnie od pana Stanhope'a i miałem na sobie europejski ubiór, więc człowiek przemówił po angielsku - spytał mnie, czy nie wiem, że zbieranie kości jest zabronione? Odpowiedziałem mu, że w kwestiach tradycji i zwyczajów tego kraju jestem całkowitym ignorantem i spodziewam się, że trupy zostały porzucone przy owych wieżach na pastwę sępów. Jeśli więc ujmemy ludzkie ciało jako czyjąkolwiek własność, przypadnie ona sępom. Jeśli zatem sęp zrzeknie się przysługujących mu przywilejów, tytułem naturalnej sprawiedliwości mnie przekaże prawo do tej osobliwie zniekształconej kości udowej. Nie chcąc jednak obrażać uczuć żadnego człowieka, pogodziłem się z koniecznością kontemplacji szczątków na miejscu, nie biorąc niczego ze sobą. Nie jestem przecież ghulem ani handlarzem klejem ze sproszkowanych kości ludzkich, ale filozofem. Mój rozmówca poinformował mnie, że sam para się filozofią, zwłaszcza filozofią cyfr. Spytał mnie, czy miałbym ochotę wysłuchać, jak wyciąga pierwiastek trzeciego stopnia? Miałem podać mu jakąkolwiek cyfrę i ku mojemu zaskoczeniu otrzymałem odpowiedź, zanim zdołałem zapisać działanie zaostrozonym kawałkiem żebra na piasku. Mówił niczym nawiedzony i byłby kontynuował temat, gdybym nie wspomniał, że znam kilka sekretów zaawansowanej matematyki nawigacji i niezbędnych do jej prowadzenia tablic. Matematyka to wszakże nie moja specjalność - nie mogąc zatem zaspokoić jego ciekawości, zaproponowałem, że zaprowadzę go na okręt. Mój nowy znajomy zdawał się być zaniepokojony szczerą propozycją, ale jego ciekawość zwyciężyła. Na okręcie poświęcono mu wiele uwagi i pozwolono obejrzeć instrumenty nawigacyjne, co sprawiło mu wiele radości. Kiedy nadszedł czas powrotu na ląd, w podziękowanie zaprosił mnie na herbatę do swego biura rachunkowego, okazało się bowiem, że jest znanym kupcem. Tam, na wyraźne życzenie, streścił mi swoje dotychczasowe życie. Jego historia rozczarowała mnie, lecz nie zaskoczyła - mój przygodny towarzysz okazał się człowiekiem pragmatycznym, świeckim i zadowolonym z życia. Niezbyt się znam na prawie czy matematyce, ale znani mi nieliczni matematycy i prawnicy, im zaszczytniejsze stanowiska piastują, tym bardziej zdają się jałowieć. Możliwe, że coraz bardziej zadowala ich wtedy panujący porządek, choć ma on liczne wady, a z punktu widzenia prawników jest nawet komiczny. Nie wiem, gdzie leży tego przyczyna, jednak również i ten człowiek zastąpił swoje łagodne, tradycyjne poglądy religijne jałowym systemem mechanicznego przestrzegania prawa. Czas poświęcony ceremoniom i rytuałom, część przychodów wydana na jałmużnę i nienawiść dla Khadmesów, którzy od zarania dziejów mieli poglądy sprzeczne z jego własną sektą Shenshahesów w kwestii każdej niemal doktryny wiary, zeszyły na dalszy plan. Równie dobrze mógłbym być na Seething Lane. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, że ten człowiek jest typowym Persem w czymkolwiek poza czujną i wytężoną pracą. Zajmował się wieloma rzeczami, między innymi ubezpieczeniami morskimi, mówił więc o podwyżkach składek, przypisując je domniemanym ruchom eskadry Linois. Pojawienie się Francuzów wzbudziło zatem niepokój nie tylko w Kompanii Wschodnioindyjskiej, ale także na pokładach wszystkich statków angielskich, więc składki sięgnęły wysokości większej niż za czasów Suffrena. Jego rodzina parała się handlem rozlicznymi artykułami, zdołałem zapamiętać jedynie tybetański boraks, gałkę muszkatołową z Bencoon i perły Tuticorin. Bank kuzyna miał bliskie kontakty z biurem komisarzy byłych faktorii francuskich. Gdyby nie wrodzona czujność, zapewne wiele by mi o nich powiedział, ale i tak sporo się od niego dowiedziałem o Richardzie Canningu, o którym zresztą mówił z dużym szacunkiem, niewiele ponad to, co sam wiem, lecz potwierdził przynajmniej, że powrót Canningów był zaplanowany na siedemnastego. Nie umiał nic powiedzieć o ceremonii Hindusów nad brzegiem zatoki nadchodzącej nocy. Nie obchodziło go to albo po prostu nie wiedział. Znowu muszę się zwrócić do Dil, choć jej pojmowanie religii jest tak eklektyczne, że sama szybko się w tym gubi. Twierdzi na przykład, że Bóg nie będzie miłosierny dla próżnych ludzi noszących długie spodnie, jak nauczyli ją muzułmanie, a jednocześnie utrzymuje, że jestem niedźwiedziolakiem, zabłąkanym w mieście

demonem z prowincji i że potrafiłbym latać, gdyby tylko mi się zachciało. Twierdzi nawet, że moje latanie byłoby chaotyczne i nieudolne, nie umiałbym ani dobrze sterować w powietrzu, ani przemierzać dużych dystansów. Ten kawałek z pewnością wzięła od Tybetańczyków. Rację ma niewątpliwie w tym, że potrzebna mi opieka.

Siedemnasty. Jeśli wyliczenia Jacka są prawidłowe, a na błędzie w kwestiach morskich nie udało mi się go jak dotąd złapać, do całkowitego ukończenia remontu pozostały jeszcze trzy tygodnie. Już nie mogę się doczekać ich przybycia do miasta, choć kiedy »Surprise« wpływała do Bombaju, bardzo się obawiałem tego spotkania. To była niezwykła przerwa, dzięki której część mego życia..."

- O, tu jesteś, Stephen - zawołał Jack. - A zatem wróciłeś do domu!

- Prawda - odrzekł Stephen z uśmiechem. Uwielbiał Jacka za tego typu stwierdzenia. - Ty też, jak widzę, i to nawet wcześniej niż zwykle. Wyglądasz na zmarnowanego - upał ci doskwiera? Zrzuć więc część swego wspianiałego stroju!

- Nie, nie o upał chodzi - powiedział Jack, odpinając pas ze szpadą. - Upał nie przeszkadza bardziej niż zwykle, choć jest zaiste jak w piekle, gorąco i wilgotno. Nie. Wiesz, zaproszono mnie na obiad do admirała i przy okazji dowiedziałem się o czymś, co zmroziło mi krew w żyłach. Diana Villiers jest tu, Stephen, wraz z tym człowiekiem, z Canningiem. Na Boga, chciałbym, by okręt był już gotów do wyjścia na morze. Nie zniósłbym chyba tego spotkania. Ciebie to nie zaskoczyło?

- Nie. Naprawdę nie. Jeśli o mnie chodzi, nie mogę się doczekać tego spotkania. W rzeczywistości Diana i Richard nie wrócili jeszcze do Bombaju, będą tu siedemnastego.

- Wiedziałaś, że ona tu będzie? - wykrzyknął Jack. Stephen skinął głową.

- Tajemniczy z ciebie typ, Stephen - powiedział Jack, patrząc nań spode łba.

- Pewnie tak. - Wzruszył ramionami Stephen. - Muszę być tajemniczy, dobrze wiesz, tylko dzięki temu wciąż jeszcze żyję, a człowiek łatwo się przyzwyczaja. Wybacz jednak, jeśli nie byłem z tobą tak szczery, jak na to zasługujesz. Diana to jednak delikatna sprawa.

Kiedyś byli przecież rywalami, a uczucie Jacka do Diany było tak silne, że sprawa była nawet nie tyle delikatna, ile niebezpieczna. Aubrey o mały włos złamałby wtedy sobie karierę wraz z wszelkimi szansami na ożenek z Sophie. Żałował gorzko owych chwil i wściekał się na wspomnienie jej zdrady, choć przecież nie była zobowiązana do dochowania mu wierności. Na swój sposób Jack nienawidził Dianę za tamte chwile i wciąż uważał za osobę przynajmniej niebezpieczną, jeśli nie złą do szpiku kości. Obawiał się więc spotkania, lecz bardziej bał się o Stephena niż o siebie.

- Nie przesadzaj, mój drogi przyjacielu - powiedział, potrząsając dłonią Stephena. - Masz rację, to jasne. Nie ufając komu popadnie, oczywiście.

- Tak czy owak, dziwi mnie to, że nie usłyszałeś o miejscu jej pobytu, jeśli nie tu, to w Anglii.

- Stephen podjął temat po chwili. - Raczono mnie opowieściami o jej losie na każdym obiedzie czy podwieczorku, a wzmianka o niej pojawiała się niemal przy każdym przypadkowym spotkaniu z jakimś Europejczykiem.

W istocie tak było. Dla elit Bombaju, śmiertelnie znudzonych gadaniną o wojnie w Mahracie i epidemii głodu w Gudzaracie, wieści o rychłej wizycie Richarda Canninga i Diany Villiers były wybawieniem. Oficjalna pozycja Canninga była bardzo mocna, miał wielki wpływ na Kompanię Wschodnioindyjską i otaczał się zbytkiem. Był to aktywny, przedsiębiorczy mężczyzna, który chętnie podejmował nowe wyzwania i jasno postawił sprawę, iż oczekuje dla Diany akceptacji w nowych dla niej kręgach. Kilku wysoko sytuowanych urzędników znało jej ojca i ci nie widzieli problemu, podobnie było z kawalerami lub tymi z miejscowych, którzy żyli z hinduskimi konkubinami. Trudności pojawiały się dopiero przy europejskich żonach. Hipokryzja angielskiej klasy średniej kwitła bowiem w najlepsze pod każdą szerokością geograficzną i zameżne Angielki z ochotą ciskały w Dianę błotem, powstrzymywane jedynie obawą o przyszłe awanse mężów. Sama zaś Diana nie należała do osób, które potrafiłyby sobie

zjednać innych przez dyskrecję i odpowiadała pięknym za nadobne. Canning spędzał sporo czasu we francuskich posiadłościach i na półwyspie Goa, tak więc podczas jego nieobecności panie z dobrych domów kierowały lunety w stronę posiadłości Diany. Przesadnie długo opłakiwały śmierć pana Jamesa z 87 pułku piechoty, zabitego przez kapitana Macfarlane'a, mówiły o zranieniu członka rady i z upodobaniem podejmowały pomniejszych wrogie kroki. Sprawę reputacji Diany Villiers podtrzymywano w tej drażliwej, zepsutej społeczności z niemalże religijnym uporem, podczas gdy inne zatargi i kłótnie na zasadzie ogólnej ugody odkładano na dalszy plan lub traktowano jako przejściowe trudności, typowy rezultat zmienności nastrojów wywołanych przez upały. Najlepszym tego dowodem był ciąg listów wysyłanych do pana Canninga, człowieka bardzo zazdrosnego, przez nieznanych adresatów, informujących go o prawdziwych i urojonych gościach Diany.

- Sir, sir! - wrzasnął Babbington, wbiegający na werandę.

- Tu! - odkrzyknął Jack mocnym głosem.

Schody zatrzęsły się pod ciężarem biegnącego człowieka, drzwi z hukiem otworzyły się do środka i w progu pojawił się uśmiechnięty Babbington. Jego pogodny nastrój natychmiast zniknął na widok ponurej twarzy kapitana.

- Co pan robi na ładzie, Babbington? - spytał Jack. - Dwie pary want czekają na założenie, a pan na brzegu?

- Kurier gubernatora dostarczył pocztę. Sądziłem, że może będzie pan chciał rzucić na to okiem od razu!

- Ma pan właściwie rację. - Ponura twarz Jacka naraz rozjaśniła się. Kapitan porwał torbę i pobiegł z nią do następnego pokoju. Wszedł stamtąd po chwili, wręczył Stephenowi listy dla niego i znowu zniknął.

- Cóż, doktorze - powiedział Babbington. - Nie będę panu przeszkadzał.

- Poza tym twoja pani czeka. - Stephen wyrżał przez okno.

- To nie pani! - wykrzyknął Babbington. - To córka pastora.

- To na co pożyczasz co tydzień pieniądze od jedynej osoby na okręcie, która jest na tyle słaba duchem, by wciąż ci je dawać? W zeszłym tygodniu dwie pagody, cztery rupie i kilka miedziaków tydzień wcześniej...

- Och, widzi pan, ona pozwala swoim przyjaciółom... eee... przyjacielowi pomóc spłacać dzierżawę. Ma pewne eee... zaległości. Śpię u niej, kiedy schodzę na ład, wie pan, a tak rzadko mam miejsce. Ale to prawda, jest pan dla mnie bardzo dobry.

- A więc sypiasz tam, młody panie Babbington? Cóż, mogę powiedzieć tylko jedno. Taka przygoda może mieć poważne konsekwencje, a rodziny duchownych nie zawsze są takie, jakie się wydają. Pamiętaj o tym, co ci mówiłem o *gunmata* i trzecim pokoleniu? Wiele przykładów ujrzysz na bazarach. Chciałbyś mieć niedorozwiniętego, bełkoczącego bez ładu i składu wnuka, bez śladu włosów czy zębów już przed dwudziestym rokiem życia? Uważaj na siebie, zaklinam cię. Każda kobieta to źródło potencjalnego niebezpieczeństwa dla marynarza.

- Będę uważał, panie doktorze! - zawołał Babbington, zerkając ukradkiem przez listewki żaluzji. - Ale wie pan co, sir? Cóż za idiotyczna sprawa! Chyba zszedłem z okrętu bez grosza przy duszy.

Babbington zbiegł z hałasem po schodach, Stephen zaś westchnął i począł otwierać swoje listy. Sir Josepha interesowały jedynie żuki, to z tego gatunku, to z innego. Napisał, że byłby dozgonnie wdzięczny, gdyby jego drogi przyjaciel Maturin, przypadkiem potknąwszy się o przedstawiciela gatunku *bupestrids*, zechciał go zabrać. Jednakże zagadkowe postscriptum zawierało klucz do listu pana Warringa, sprawiającego wrażenie opowiadania o gronie nie grzeszących inteligencją, skłóconych wspólnych znajomych, lecz w istocie był zaszyfrowanym opisem obecnej sytuacji wywiadu na Półwyspie Iberyjskim. W Katalonii wywiad wojskowy Wielkiej Brytanii znów stawał na złego konia, a ambasada w Lizbonie utrzymywała dialog z

kolejnym, dość wątpliwym członkiem ruchu oporu. Istniało ryzyko ponownych podziałów wewnętrznych i obaj wypatrywali już jego powrotu.

Jego prywatny szpieg donosił, że pani Canning przygotowywała się do podróży do Indii, by stanąć twarzą w twarz z mężem. Rodzina Mocatta dowiedziała się, że przed następną porą deszczową Canning musi znaleźć się w Kalkucie, więc jego żona miała wsiąść na zmierzający do tego portu statek „Warren Hastings”.

Na trzech listach od Sophie nie było konkretnej daty, ograniczyła się jedynie do podania dnia tygodnia, Stephen otworzył je zatem w złej kolejności. Jego pierwszym wrażeniem było zatem, iż czas zaczął nagle biec inaczej - otóż Cecylia była w ciąży i ze spokojem oczekiwała narodzin! „Nie mogę się doczekać, aż zostanę ciotką!” - pisała Sophie, nie wspominając ani słowa o oczywistej utracie czci siostry ani też o złośliwych komentarzach wspólnych znajomych. Frances przeprowadziła się do odległych wybrzeży Lough Erne, gdzie trzęsła się z zimna w towarzystwie niejakiej Lady F., oczekując z utęsknieniem na powrót bliżej nieokreślonego pana O.

Dopiero drugi list wniósł nieco jasności - otóż obie siostry Sophie były już zamężne. Cecylia wyszła za młodego oficera milicji, a Frances, nie chcąc pozostać w tyle, poślubiła jego znacznie starszego kuzyna. Był on posiadaczem ziemskim w Ulsterze i reprezentował hrabstwo Antrim na obradach w Westminsterze, podczas gdy Frances zamieszkała z jego sędziwą matką w Floodville, wznosząc dwa razy dziennie toasty winem jagodowym na pohybel papieżowi. Ze słów Sophie przebijała radość ze szczęścia sióstr - Cecylia uwielbiała swego męża i przyznawała szczerze, że małżeństwo było znacznie większą uciechą, aniżeli się spodziewała. Wciąż jednak mieszkali w Gosport i mieli tam pozostać, dopóki sir Oliviera nie uda się nakłonić, by zrobił coś dla swego kuzyna. Dalej w liście Sophie następował szczegółowy opis obu ślubów, poprowadzonych z należytą pompą w pogodne dni przez pana Hinckseya. Nie doszukał się jednakże wiele szczęścia między linijkami obu listów - nie były to listy, które czytałby z radością.

Dopiero trzeci z nich potwierdził jego przypuszczenia - małżeństwo Cecylii było zawarte w pośpiechu i pani Williams musiała się poddać na wszystkich frontach, kiedy młody, bystry żołnierz podminował jej twierdzę. Z bogatym ponurakiem sir Olivierem Floodem zdołała już sobie jednak poradzić. Stephen utwierdził się w przekonaniu, że Sophie pisała ten list w nastroju przygnębienia. Podekscytowana nastrojem ślubów i zwycięstwem nad adwokatem sir Oliviera pani Williams odzyskała na moment siły, ale stan jej zdrowia pogarszał się znowu. W Mapes Court pozostały tylko ona i Sophie - liczba służących zmniejszyła się, skrzydło z wieżą zatrzęsnięto na głucho i porzucono wszelką rozrywkę. Jedynym gościem był teraz pan Hincksey, który wpadał co kilka dni na obiad. Teraz, kiedy pani Williams nie pozostało żadne inne zmartwienie, ze zdwojoną siłą podjęła dręczenie biednej Sophie, zasypując ją potokiem słów, gdy czuła się lepiej, lub wysapując oskarżenia z łóżka. „Dziwi mnie tylko” - pisała Sophie - „że choć słyszę jego imię do znudzenia, pan Hincksey jest dla mnie prawdziwą pociechą. To dobry człowiek i przyjazna dusza, zresztą byłam pewna, iż taki właśnie będzie ktoś polecony przez ciebie. Nazywa cię drogim myślicielem doktorem Maturinem i zapewne zarumieniłbyś się, gdybyś słyszał, w jakich słowach o tobie mówimy, a przyznaję, robimy to często. Nigdy nie narzuca mi się ze swymi problemami, nigdy mnie nie niepokoi, a dla mojej drogiej matki jest tak uprzejmy, jak to tylko możliwe, nawet mimo tego, że ona nie zawsze jest dyskretna. Jego kazania są świetne, bo nie ma w nich entuzjazmu, trudnych słów czy tej rzeczy, którą ty nazywasz elokwencją, tak więc przyjemnie się go słucha, nawet gdy mówi o oddaniu wobec Boga. Często mu się to zdarza, ale przyznaję, że sam żyje według tego, o czym mówi w kazaniach, to naprawdę wielce oddany syn Boży. Jego przykład bardzo mnie zawstydzia i wprawia w przygnębienie. Jego matka to piękna, ale absolutnie głucha kobieta...”

- Bzdura - powiedział do siebie Stephen, którego nie obchodziły losy starszej pani Hincksey. - Kobieta słyszy doskonale, gdy tylko ma na to ochotę. Nie znoszę tych wszystkich przewag starszego wieku.

Przeskoczył w lekturze do części, która interesowała go najbardziej. Sophie dziwił fakt, iż Jack jak do tej pory nic nie napisał.

- Głuptasie, nie rozumiesz, że okręt wojenny płynie szybciej od szybkiej poczty? - mruknął. Sophie była pewna, że Jack nigdy w życiu nie uczyniłby celowo niczego niegodziwego, ale nawet najlepsi ludzie czasem zapominają, zwłaszcza kiedy mają wiele spraw na głowie, jak kapitanowie okrętów wojennych. Było też to porzekadło o tym, co robi dystans z uczuciami... Nic dziwnego zatem, że mężczyzna może znużyć się uczuciem głupiej dziewczyny ze wsi jak Sophie, a nawet największe uczucie może wygasnąć w człowieku, który ma tak poważne obowiązki. Najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie chciała uniknąć bycia kulą u nogi Jacka czy hamować jego karierę, w końcu były Pierwszy Lord Admiralicji, St. Vincent, był zdeklarowanym przeciwnikiem małżeństwa. Jack mógł przecież zdobyć dobrych przyjaciół w Indiach, a wtedy ona, Sophie, czułaby się okropnie, gdyby Jack był przez nią skrępowany.

- A powodem wszystkiego jest wizyta generała - zauważył Stephen, przyrównując pismo Sophie do pisma w jej poprzednich listach. - Píše pośpiesznie, jakby była poruszona, i robi więcej błędów niż zwykle.

Sophie starała się pokazać, że nie traktuje owego incydentu poważnie, ale jej rozbawienie było sztuczne i mało przekonujące. Generał Aubrey razem z młodą macochą Jacka, była mleczarką o wulgarnym poczuciu humoru, i ich synkiem odwiedzili Mapes Court w czasie, kiedy na szczęście pani Williams i pan Hincksey byli w Canterbury. Sophie podjęła ich najlepszym obiadem oraz kilkoma butelkami wina, niestety, wszystko na próżno. Generał Aubrey należał do innej cywilizacji, nie tkniętej duchem oświecenia ani wpływem burżuazji, cywilizacji, która w hrabstwach wokół Londynu wymarła na długo przed narodzeniem Sophie. Należąca do klasy średniej, stosunkowo nowoczesna, rodzina Sophie nigdy zresztą nie należała do cywilizacji generała Aubreya - dziewczynę wychowano w cichym, poważnym domostwie bez udziału mężczyzn i Sophie zupełnie nie rozumiała jego szarmanckich aluzji co do smaku Jacka. Cecylia zdecydowanie lepiej dałaby sobie z tym radę. Generał głośno twierdził, iż Jack jest i zawsze był smutasem, ale tym nie powinna się przejmować. Był pewien, że Sophie z ochotą zajmie się wychowywaniem pół tuzina dzieci.

Generał Aubrey był na swój sposób uprzejmy, szlachetny i dobrze wychowany, ale nie należał do osób szczególnie bystrych ani dobrze ułożonych. Kiedy więc był zdenerwowany lub wychylił zbyt wiele szklanic wina, czuł, iż wszyscy się po nim spodziewają nadania rozmowie głównego toku. Tak więc jego pozbawione smaku, wręcz obsceniczne dowcipy głęboko zszokowały Sophie i naraz wydał się jej nieokrzesanym, rozpustnym hulaką i pozbawioną zasad karykaturą własnego syna. Jedyną pociechą w tej sytuacji było to, iż los oszczędził jej zetknięcia własnej matki z drugim panem Aubreym.

Wciąż pamiętała głośny, szczery głos generała z drugiego końca stołu, wciąż opowiadający o swym synu. „Jack nie ma złamanego grosza przy duszy!” - rechotał. „I nigdy mieć nie będzie! Żaden Aubrey nigdy nie miał szczęścia w interesach, więc każdy z nich musi mieć szczęście w małżeństwie!” Pamiętała ciągnącą się w nieskończoność przerwę po obiedzie, kiedy mały synek generała robił dziurki w osłonie przed kominkiem, pamiętała, jak mocno pragnęła, by generał skończył już swoją flaszkę, wypił herbatę i odjechał przed powrotem jej, mocno już spóźnionej, matki. Nie mogła zapomnieć, jak wraz z rozchichotaną panią Aubrey pomagały generałowi dotrzeć do powozu, wciąż pamiętała ciągnące się bez końca pożegnania i generała płaczącego się w opowiadanej anegdocie o polowaniu na lisy, w trakcie której ich dzieciak z wrzaskiem tratował grządki z kwiatami. Matka wróciła w dziesięć minut po ich odjeździe i zrobiła wciąż wstrząśniętej Sophie straszną awanturę z wrzaskami, łzami, omdleniami, błądzącością, zasłabnięciami i nie kończącymi się wyrzutami.

- Stephen, Stephen! - Jack wyszedł ze swego pokoju z listem w ręku. - Nie przeszkadzam ci? Słuchaj, co za cholerny galimatias... Sophie bajdurzy w tym liście jak diabli! Listu nie mogę ci pokazać, to osobiste sprawy, rozumiesz, ale w gruncie rzeczy chodzi o to, że jeśli chciałbym uwolnić się od niej, nic by jej bardziej nie uszczęśliwiło! Po jaką cholere miałbym się uwalniać, na litość boską! Niech to wszystko szlag trafi, przecież jesteśmy zaręczeni i mamy się pobrać! Gdyby to była jakakolwiek inna kobieta, nie Sophie, mógłbym myśleć, że kręci się przy niej jakiś inny facet. O co jej do cholery chodzi? Łapiesz coś z tego?

- Możliwe, że ktoś wydumał sobie, że przybyłeś do Indii, by zobaczyć się z Dianą Villiers i podszeptał jej to - powiedział Stephen, czując ogarniający go z wolna wstyd. Była to kolejna bezpośrednia próba odsunięcia Diany od Jacka, zorientowana na osobistą korzyść. Było to oczywiście zagranie nie fair, a nigdy wcześniej tak wobec Jacka się nie zachowywał. Poczuł, jak napęnia go złość na samego siebie.

- Wiedziała, że Diana będzie w Bombaju?! - wykrzyknął Jack.

- W Anglii wszyscy o tym wiedzą.

- A pani Williams pewnie też? Stephen pokiwał głową.

- A więc o to chodzi... - Twarz Jacka zajaśniała od uśmiechu. - Możesz sobie wyobrazić coś słodsze, bardziej pocziwszego? Oto cała Sophie... Co za skromność u tej dziewczyny. .. Zupełnie jakby ktoś mógł jeszcze patrzeć na Dianę po tym jak... - przerwał, opamiętawszy się i spojrzał na Stephena przepraszająco. - Wybacz, nie chciałem powiedzieć nic złego czy cię obrazić. Na Boga, w całym liście od Sophie nie ma ani słowa wyrzutu! Jakże ja kocham tę dziewczynę!

Naraz jego oczy zaszyły mgiełką i szybko wytarł je rękawem.

- Ani słowa skargi o tym, że ktoś ją wykorzystuje, choć dobrze wiem, jakie piekło ta kobieta jej tam sprawia, nie wspominając nawet o tych okropnych kłamstwach, którymi ją karmi. Co za życie... Wiesz, że Cecylia i Frances już wyszły za mąż? To jedynie pogarsza sytuację Sophie. Na Boga, ależ ja im teraz popędzę kota z remontem okrętu! Nie mogę się doczekać, aż znów znajdę się na Atlantyku czy na Morzu Śródziemnym - na tych wodach tutaj nie da rady ani się wsławić, ani wzbogacić. Gdybyśmy dorwali chociaż jeden przyzwoity przyz przy Isle of France, napisałbym, by dotarła do Madery i... Już za kilkaset funtów kupilibyśmy niezły domek. Och, jakże ja bym chciał mieć taki domek, Stephen, wiesz, pomidory, kapusta i takie tam...

- Na mój honor, nie rozumiem, dlaczego nie napiszesz już teraz, czy masz ten przyz, czy nie. Przecież i tak ci zapłacą!

- Och, wiesz, że to nie byłoby w porządku. Już niemal całkowicie spłaciłem długi, ale parę tysięcy wciąż bardzo by się przydało. Nie licuje z moim honorem spłacać własne długi jej pieniędzmi, podczas kiedy samemu mam do zaoferowania ledwie siedem szylingów pensji na dzień.

- Masz zamiar uczyć mnie o różnicach między zachowaniem honorowym i niehonorowym?

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Nie naskakuj na mnie, Stephen, znowu nieprecyzyjnie się wyraziłem. Po prostu ja bym się źle czuł w tej sytuacji, rozumiesz. Pani Williams nazywałaby mnie wtedy łowcą fortun, a tego bym nie zniósł. Wiem, że w Irlandii jest inaczej... O cholera, znowu się zaplątałem. Nie mam na myśli tego, iż ty sam jesteś łowcą fortun, ale że w Irlandii wszystko inaczej się układa. *Autre pays, autre merde**. Tak czy owak, Sophie obiecała nigdy nie wychodzić za mąż bez zgody swojej matki, tak więc nie mam wyboru.

**Autre pays, autre merde* (fr.) - Co kraj, to inne gówna.

- Skądże znowu, mój drogi. Gdyby Sophie przyjechała do Madery, pani Williams musiałaby albo wyrazić zgodę, albo stawić czoło sąsiadom zachwyconym kolejnym skandalem. Przypuszczam, że w przypadku Cecylii tak właśnie się ułożyło.

- Nie byłoby to podstępne posunięcie? - Jack patrzył mu prosto w oczy.

- Nie, skądże. Przyzwolenie, które cofnięto bez konkretnego powodu, można wyegzekwować zgodnie z prawem zwyczajowym. Znacznie bardziej obchodzi mnie szczęście twoje i Sophie, aniżeli nędzne pojękiwania pani Williams. Musisz napisać ten list, Jack. Rozważ no tylko - Sophie to piękność nad pięknosciami, podczas gdy ty, choć prezentujesz się nie najgorzej, swoje lata już masz, a młodszy nie będziesz. Już masz brzuszysko, a będzie ci ono rosnać, Jack! Jack zerknął na swój brzuch i pokręcił głową.

- Spójrz w lustro, Jack. Brakuje ci pół ucha, cały jesteś w bliznach, bracie, żaden z ciebie adonis! Tylko nie czuj się urażony! - zakończył Stephen, kładąc dłoń na kolanie Jacka.

- Nigdy nie uważałem się za adonisa - burknął Jack.

- George Fox* też z ciebie mizerny. Nie masz błyskotliwego dowcipu, którym mógłbyś zrównoważyć brak urody, brak ci wdzięku, młodego wieku czy fortuny.

* George Fox - angielski kaznodzieja, założyciel sekty kwaków, słynący z krasomówstwa i daru przekonywania.

- Może i nie jestem specjalnie zabawny - powiedział Jack. - Ale jak trzeba, to potrafię powiedzieć coś stosownego.

- A Sophie, mój drogi, to piękność, a wokół niej jest całe mrowie bogatych, dowcipnych adonisów. Powtarzam ci, Sophie wiecie marne życie. Dwie jej młodsze siostry znalazły sobie mężów - mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z wagi małżeństwa dla młodej kobiety? Dla nich małżeństwo oznacza nowy status, ucieczkę z domu, świadomość bycia wartościową, chcianą osobą oraz pewną gwarancję godziwego bytu, ty zaś masz do przebycia ponad dziesięć tysięcy mil morskich, w każdej chwili możesz zaliczyć cios w łeb, a na co dzień od śmierci dzieli cię dwa cale desek kadłuba. Od Sophie dzieli cię pół świata, a od Diany pół mili. Zapewniam cię, iż poza tym, co opowiada jej matka, Sophie ma niewielkie pojęcie o świecie i o mężczyznach. No i w końcu, jest jeszcze poczucie obowiązku. Choć Sophie jest zbiorem samych zalet ludzkich, jak rzadko która młoda kobieta, jest tylko człowiekiem i ma zwykłe ludzkie przemyślenia. Nie sugeruję oczywiście, że teraz siedzi i chłodno rozważa sprawę, ale jej przemyślenia, a nade wszystko presja zewnętrzna, musi w pewnym momencie odnieść skutek. Pisz ten list Jack. Bierz pióro, kałamarz i pisz.

Jack patrzył przez chwilę na przyjaciela z ciężką, znękaną twarzą, po czym powstał, westchnął, wciągnął brzuch i powiedział:

- Muszę iść do stoczni. Mamy montować nowy kabestan dziś wieczór. Dzięki za to, co mi powiedziałeś.

I w końcu to Stephen wziął pióro i kałamarz. „Muszę iść do stoczni, powiedział” - pisał w swoim pamiętniku. „Zakładamy nowy kabestan. Gdyby w pokoju czuć było dym prochu strzelniczego i jakiś wróg był w zasięgu, wiedziałby, co zrobić, działałby bez wahania i niepewnych spojrzeń, reagowałby szybko, lecz z rozmysłem. A teraz się waha. Gadałem i gadałem, by choćby w ten sposób zapomnieć o palącym mnie wstydzie, lecz on trwał, gorzki i przejmujący. Kiedy Jack spytał, czy pojmuję coś z tego, co napisała mu Sophie, zanim jeszcze sam odpowiedziałem, diabeł podszepnął mi myśl: »Jeśli Aubrey pokłóci się z panną Williams, to pewnie zwróci się znów ku Dianie, a tobie, Stephen, już Canning wystarczająco plany pokrzyżował«. Uległem od razu. Gdyby nie ta myśl, niemal uwierzyłbym, iż moje słowa są słowami człowieka uczciwego. Gdyby nie te wydarzenia... Swej przygody z Dianą nie mogę nazwać romanssem, gdyż romans zakłada wzajemną fascynację, a na to nie mam dowodów poza moją, jakże zawodną, intuicją. Nie mogę się doczekać siedemnastego. Jak niecierpliwych dzieciaków zaczynam zabijać czas, cóż za okrutna zbrodnia. Festyn na brzegu morza zniszczy może sześć niewinnych godzin...”

Ceremonia odbyła się wzdłuż brzegu od cypla Malabar Point aż po fort, a szeroki plac trawy przed samym fortem, przypominający park, był najlepszym miejscem dla widzów. Jak

wszystkie hinduskie ceremonie, które widział wcześniej, i tę przygotowywano z entuzjazmem, energią i całkowitym brakiem organizacji. Niektóre grupy ludzi czekały już na plaży, a ich przywódcy stali po pas w wodzie i wrzucali do morza kwiaty, ale większość mieszkańców Bombaju gromadziła się na trawie i spacerowała w najlepszych ubraniach, śmiali się, śpiewali, uderzali w bębny, zjadali gotowane potrawy z niewielkich straganików i przerywali od czasu do czasu te czynności, by sformować nierówną procesję śpiewającą głośny hymn. Było gorąco, a powietrze wypełniały niezliczone kombinacje zapachów i kolorów, grzmiąły konchy i trąby, przetaczały się masy ludzkie, a nad nimi kołysały się potężne cielska słoń, dźwigających na grzbietach zameczki wypełnione ludźmi. Przez tłumy przedzierały się wozy zaprzężone w woły, setki, setki palankinów, tu i ówdzie widać było jeźdźców, święte krowy i europejskie powozy.

Czyjaś ciepła rączka wślizgnęła się w jego dłoń. Stephen zerknął w dół i ujrzał uśmiechniętą Dil.

- Jesteś dziwnie ubrany, Stephen - powiedziała. - Mało co wzięłabym cię za jakiegoś wallaha*. Mam cały liść pondoo - zjedz go, zanim wycieknie z niego sok. Uważaj na koszulę, jest za długa. Ubrudzisz ją.

* Wallah (anglo-ind.) - hinduski urzędnik, biurokrata.

Poprowadziła go po wydeptanej trawie ku zboczowi, na którym piętrzyły się mury fortu. Usiedli, gdy tylko znaleźli wolne miejsce.

- Pochyl głowę - nakazała dziewczynka, rozwijając liść i podając mu nabrzmiałą masę. - Jeszcze ją pochyl. Zlituj się, upaprzesz całą koszulę. Gdzie cię wychowano? Coś ty miał za matkę? Do przodu!

Narzekaniami zmusiła go, by jadł, jak na dobrze wychowanego człowieka przystało, po czym wstała, zlizwała plamkę z jego koszuli i ukucnęła tuż przed nim.

- Otwórz buzię. - Z wprawą ugniatała masę w małe kulki i wkładała mu je w usta. - Otwieraj. Dalej, *maharadž*. Jeszcze jedna. Dalej, mój ty gaju ze słowikami. Otwórz jeszcze. No, zamknij. Słodkie, tłuste kuleczki roztopiały się w jego ustach, a przez cały ten czas głos Dil rósł i opadał.

- Jesz jak niedźwiedź. Przełknij. Teraz poczekaj, aż ci się odbije. Nie umiesz? Ja bekam, gdy tylko zechcę. Jeszcze raz beknij. Spójrz, spójrz, tam jadą wodzowie Mahratta!

Niedaleko zatrzymała się imponująca grupa jeźdźców w karmazynowych szatach i połyskujących złotem turbanach. Czapraki na siodłach również kapwały od złota.

- Ten w środku to Peschwa, a tam radża Bhosli! Jeszcze jedna kuleczka i koniec. Otwórz usta. Masz piętnaście zębów na górze, a na dole jeden mniej. O, powóz z Europy, pełen ludzi z Zachodu. Nawet tu czuję ich zapach, oni pachną silniej od wielbłądów. Wszyscy wiedzą, że oni jedzą świnie i krowy. Ty sam jesz palcami niewiele lepiej od nich czy od niedźwiedzi. Biedny Stephen, czy ty aby sam nie jesteś czasami z Zachodu?

Patrzyła nań z ogromną ciekawością, ale nim zdołał odpowiedzieć, oboje pobiegli ku zbliżającemu się szeregowi słoń. Skórę zwierząt niemal całkowicie pokrywała farba i błyszczące dzbany, widzieli jedynie ich wielkie nogi powłóczące w kurzu drogi, ozdobione srebrem ciosy i myszkujące cierpliwie trąby.

- Zaśpiewam ci hymn do Kryszny! - zaproponowała nagle Dil i uderzyła w nosowy zaśpiew, wybijając ręką takt w powietrzu. Minął ich kolejny słoń z masztem zatkniętym ponad zameczkiem - powiewał nań trzepoczący na wietrze proporzec z napisem „Revenge”. Na słońcu siedzieli stłoczeni marynarze z prawoburtowej podwachty grotmasztu, ich koledzy z podwachty lewej burty biegli za zwierzęciem, z wrzaskiem dopominając się ich kolejki. Rywalizował z nimi inny słoń z załogą „Goliatha”, uginający się pod grupą zachwyconych marynarzy w jasnych kapeluszach słomkowych z powiewającymi wstążkami. Niziutki, energiczny Smith, którego Stephen znał z czasów służby na „Lively”, obecnie drugi oficer na

„Goliacie”, galopował na wielbłądzie tuż za słoniem, niedbale ściskając kolanami szyję zwierzęcia. Zgrabnie wprowadził wielbłąda między słonia a fort, tak że jego twarz znalazła się na poziomie głowy Stephena w odległości jakichś piętnastu stóp. Załoga „Goliatha” powitała manewr wrzaskiem entuzjazmu i wymachiwaniem butelkami, Smith odpowiedział im, machając i układając usta jak do krzyku, ale żaden odgłos nie przebił się przez wrzawę. Dil wciąż śpiewała, zahipnotyzowana melodią własnej pieśni i jej słowami.

Robiło się coraz chłodniej. Stephen widział coraz więcej Europejczyków, a wraz z nimi powozy i bryczki najróżniejszych typów. Grupa rozochoconych midszypmenów z „Revenge” i „Goliatha” ładowała się właśnie na małe arabskie koniki, osły i zaskoczone obrotem wydarzeń woły.

Z każdą chwilą napływało coraz więcej Europejczyków, ale i tak ginęli w tłumie Hindusów - punkt kulminacyjny festynu był coraz bliżej. Na plaży tłoczyły się już brązowoskóre postacie w białych szatach, a odgłos rogów zagłuszył szum morza. Tłum na trawie potężniał i powozy poruszały się w tempie pieszych, jeśli w ogóle miały jakąkolwiek swobodę ruchu. Kurz bił w niebiosa, słońce prażyło, niosła się radość, a wysoko nad całym zamieszaniem wolno, bez wysiłku kołowały sępy i kanie. Ptaszyska wzbijały się coraz wyżej, by w końcu zniknąć na tle błękitnego nieba. Dil wciąż śpiewała.

Stephen porzucił w końcu śledzenie ptasich manewrów i spojrzał przed siebie - by ujrzeć na wprost twarz Diany. Siedziała w powozie w towarzystwie trzech oficerów, padał na nią cień dwóch parasolek w kolorze moreli - pochylała się teraz do przodu, żywo zainteresowana, co też ich zatrzymało. Tuż przed nimi dwa wozy zaprzężone w woły szepiły się kołami, a woźnice obrzucali się wyzwiskami. Zwierzęta nie zwracały uwagi na wykrzykiwane przekleństwa, rady i rozkazy, oparły się ciężko w jarzmach i zamknęły oczy. Po jednej stronie bryczki wznosiło się strome zbocze fortu, po drugiej płynął nieprzerwany potok ludzki, było więc jasne, że Diana nie ruszy naprzód, dopóki nie uda się oddzielić obu zaprzęgów. Dziewczyna zaczęła się rozglądać - obróciła głowę ruchem, którego Stephen dawno nie widział, lecz wydał mu się teraz równie znajomy, jak bicie własnego serca. Przycupnięci za nią służący z parasolkami odchyliłi się, by dać jej lepsze pole widzenia, ale wyjścia nie było - przez tłum przebić się nie mogli. Diana opadła na siedzenie i powiedziała coś do człowieka siedzącego naprzeciwko, na co ten wybuchnął śmiechem. Znowu pojawił się nad nią cień morelowych parasolek.

Wyglądała znacznie piękniej, niż gdy Stephen widział ją po raz ostatni. Była co prawda odrobinę za daleko, by mógł mieć pewność, lecz odniósł wrażenie, że tutejszy klimat, który przyprawia cerę większości Europejczyków o żółć, dla niej był wyjątkowo łaskawy. Jej twarz tryskała rzeźkością, której nigdy nie widział w Anglii. Wszystkie przymioty Diany, które pamiętał, bladły teraz, gdy znowu widział piękno jej ruchów - znowu wierzył, iż jej wdzięk był wdziękiem doskonałym.

- Co z tobą? - Dil przestała śpiewać i popatrzyła na niego bacznie.

- Nic - odparł Stephen, nadal wpatrzony w Dianę.

- Jesteś chory? - Dil wstała i nakryła dłońmi jego serce.

- Nie - odparł Stephen i pokręcił głową, uśmiechając się do niej. Znowu był spokojny i opanowany.

Dziewczynka ukucnęła, nie odwracając od niego spojrzenia. Diana rozglądała się szybko wokół, mechanicznie odpowiadając na jakąś uwagę swojego towarzysza. Jej wzrok sunął po zboczu pod ścianą fortu, prześlizgnął się po postaci Stephena, po czym naraz zatrzymał i natychmiast doń powrócił. W spojrzeniu Diany pojawiła się wątpliwość, którą natychmiast zastąpiło całkowite zaskoczenie, po czym na jej twarzy pojawił się wyraz szczerzej radości. Zarumieniła się, zbladła, otworzyła drzwiczki powozu i zeskoczyła na ziemię, pozostawiając swych towarzyszy w stanie całkowitego zdumienia.

Wbiegła na zbocze. Stephen powstał, przeszedł nad Dil i ujął biegnącą Dianę za wyciągnięte ręce.

- Stephen, na wszystko co święte! - wykrzyknęła. - Stephen, jakże się cieszę, że cię widzę!
- Też się cieszę, moja droga. - Stephen wyszczerzył zęby w uśmiechu niczym małe dziecko.
- Na Boga, jakżeś tu dotarł?
- Morzem... Na okręcie... Normalnie... - Krótkie wyjaśnienia wciąż oszołomionego Stephena urywały się jedno po drugim. - Dziesięć tysięcy mil... - Chaotycznie wymieniali zwyczajowe grzeczności, pytali o zdrowie i chwalili swój wygląd, śmiejąc się i patrząc na siebie bez cienia skrępowania.

- Twoja skóra jest gładsza, niż kiedy cię ostatnio widziałem - powiedział Stephen.
- Stephen - wymamrotała znów Dil.
- A kim jest twoja słodka towarzyszka? - spytała Diana.
- Pozwól, że ci przedstawię Dil, moją przyjaciółkę i przewodniczkę...
- Stephen, powiedz tej kobiecie, by zdjęła nogę z mojej *khatta*. - Spojrzenie Dil było chłodne jak kamień.

- Malutka, wybacz mi! - wykrzyknęła Diana, pochylając się i strzepując kurz z kocyka Dil. - Jest mi bardzo przykro. Jeśli ci ją zepsułam, dostaniesz ode mnie nowe *sari* z gholkandzkiego jedwabiu, z dwiema złotymi nitkami.

Dil spojrzała na miejsce, które nadepnęła Diana.

- Zejdzie - oceniła. - Nie śmierdzisz jak kobieta z Zachodu - dodała.

Diana uśmiechnęła się i machnęła w jej stronę chusteczką. W powietrzu uniósł się zapach olejku z Ough.

- Zatrzymaj ją, proszę, Dil-Gudaz - powiedziała. - To prezent dla ciebie, zaklinaczko ludzkich serc, marzenie Siwadź.

Dil odwróciła głowę - na jej twarzy wyraźnie było widać konflikt między niezadowoleniem a ochotą na przyjęcie podarku. W końcu to drugie zwyciężyło i dziewczynka ujęła ofiarowaną chusteczkę z ładnym, zgrabnym ukłonem, dziękując *Begam Lala* i wachając ją chciwie. Za nimi niósł się hałas rozczepianych wozów, woźnica wstał i krzykiem oznajmił, iż droga jest wolna. Ścisk był ogromny, a konie spocone.

- Stephen - powiedziała. - Nie mogę teraz z tobą zostać. Odwiedź mnie, powiem ci, gdzie mieszkam. Wiesz, gdzie znajduje się wzgórze Malabar?

- Wiem, wiem - odparł, myśląc, że pyta, czy wie, gdzie ona mieszka. Stephen doskonale wiedział, ale rozgorączkowana Diana nie zwróciła na to uwagi i ciągnęła dalej.

- Nie, zgubisz się na pewno - zwróciła się do Dil. - Znasz świątynię Dżain za Czarną Pagodą? Potem pałac Dżaswant Rao i wieża Satara... - Z ust Diany popłynął zawiły potok wyjaśnień i wskazówek, któremu Dil przysłuchiwała się z lekko cynicznym wyrazem twarzy. Widać było, że tylko grzeczność powstrzymuje zarówno ją, jak i Stephena, od ucięcia wyводу Diany krótkim: „Wiem, jasne że wiem!” - ...i przez ogród. Stephen na pewno się zgubi bez kogoś sprytnego, więc przyprowadź go jutro w nocy, a spełnię twoje trzy życzenia.

- Jasne, że potrzebuje przewodnika.

Drzwiczki powozu zatrasnęły się, woźnica wskoczył na kozioł, a trzech oficerowie dyskretnie zerkali na zbocze pod ścianą fortu. Powóz zanurzył się w gąszczu poruszających się kształtów - jeszcze przez chwilę widzieli morelowe parasolki, a potem po Dianie zniknął wszelki ślad.

Stephen poczuł ciężar badawczego spojrzenia Dil. W ciszy słuchał głośniego bicia swego serca.

- Och, och, och! - zawołała w końcu dziewczynka, wstając i układając ręce jak tancerka świątynna. - Och, och! Teraz już rozumiem! - Wiła się w tańcu, przechylała, drobiła w miejscu, nucąc. - Och, *Kriszna, Krisznadźi*, och, Stephen *bahadur, Siwahi*, och, zaklinaczu ludzkich serc, ha, ha, ha!

Nagły wybuch radości przerwał jej taniec i padła na ziemię.

- Rozumiesz? - pytała, śmiejąc się.

- Pewnie nie tak dobrze jak ty!

- Wytłumaczę ci, wyjaśnię. Ona się zaleca do ciebie, chce cię widzieć w nocy! Och, jakie to bezwstydne, ha, ha, ha! Ale dlaczego, skoro ma trzech mężów? Bo musi mieć czwartego, jak Tybetańczycy, a francuskie kobiety są jak Tybetańczycy, bardzo, bardzo dziwne. Ci trzej nie dali jej dziecka, więc musi to zrobić czwarty, a ciebie wybrała, bo wyglądasz tak inaczej! Na pewno ostrzeżono ją we śnie - miała wizję, w której dowiedziała się, jak cię znaleźć, jesteś taki inny.

- Całkowicie inny?

- Tak, tak! Tamci mężowie to głupcy, mają to wypisane na czołach. I oni są bogaci, a ty jesteś biedny. Oni są młodzi, a ty stary, oni są przystojni, a ty... Cóż, większość świętych mężów to brzydale, choć mają czyste dusze. Rogi i trąby! Chodź, musimy się pośpieszyć! Do morza, biegnijmy na plażę.

Stephen wkroczył w wąziutką alejkę złotników, gdzie szeroko rozpostarte markizy chroniły przez palącymi promieniami zachodzącego już słońca. Rozedrgane od upału powietrze wypełnione było nieustannym klikaniem przypominającym wieczorne cykanie owadów. Po obu stronach alejki złotnicy pracowali nad kolejnymi sztukami filigranu, kolczyków do nosa, obręczy na kostki, bransoletek, każdy przy własnym, otwartym warsztacie. Przy niektórych stały kosze z żarem wraz z systemem rurek do kontrolowania płomienia, w powietrzu unosił się zapach palonego węgla drzewnego.

Przysiadł, by przyjrzeć się pracy chłopca pucującego swoje dzieło na wściekle kręcącym się kole, ślącym strugi czerwonego płynu na ulicę.

„Nie mam najmniejszej ochoty, by Dil szła ze mną” - pomyślał. „Europejskie ubranie także niezbyt mi odpowiada”.

Na niego i na warsztacik padł cień wołu, powstał lekki półmrok, przez co żar w koszu wydawał się wręcz różowy. Wół opuścił ku niemu swój wielki łeb, prychnął i poszedł dalej.

„Męczą mnie kłamstwa. Kłamstwa i oszustwa rozmaitej maści towarzyszą mi stanowczo zbyt długo. Nakładanie wciąż innego oblicza, wykręty i podstępny to niebezpieczna sprawa, to skaza, która kiedyś zawładnie mną całym. Są ludzie, do których, jak mniemam, należy i Diana, którzy tworzą własne pojęcie prawdy. Reszta - normalni, zwykli ludzie jak ja czy Sophie - nie potrafią żyć bez prawdy ogólnej, generalnej. Bez szczerości i niewinności jesteśmy niczym i bez tego umieramy. Jednakże większość ludzi i tak zabija się sama długo przedtem, zanim ich czas nadejdzie. Żyją jak dzieci, ich twarze stają się blade, gdy osiągną wiek dojrzały, na krótko rozkwitają w miłości i umierają, mając dwadzieścia lat, by dołączyć do reszty nieszczęsnych, sfrustrowanych, pełnych żalu istot, które włóczą się po naszej ziemi. Niewielu z nas naprawdę żyje. Dil żyje naprawdę. Ten chłopiec też żyje naprawdę”.

Przez chwilę chłopiec, istotka z wielkimi oczyma, uśmiechał się do niego, zerkając znad bransolet i zanim Stephen się odezwał, miał już wrażenie, że są starymi znajomymi.

- Chłopcze, ile kosztują te bransolety? - spytał w końcu.

- *Pandit*. - Chłopiec błysnął zębami. - Prawda jest mi równie cenna jak matka moja i ojciec mój, tedy powiem ci prawdę. Mam bransolety na każdą kieszeń.

Kiedy znalazł Dil, dziewczynka bawiła się w coś tak przypominającego grę w klasy z czasów jego młodości, że aż poczuł niepokój z dawnych lat, kiedy ujrzał kamień sunący przez linie. Jedna z jej koleżanek doskoczyła już do końca, potrząsając bransoletką na kostce, na co Dil zareagowała gwałtownym sprzeciwem. Oszustwo, krzyczała, nawet ślepa hiena widziałaby, że się zachwiała i dotknęła ziemi! Wrzeszcząc z zaciśniętymi pięściami i wzywając niebo i ziemię na świadka, dojrzała wreszcie Stephena. Ruszyła natychmiast w jego stronę, opuszczając grę, lecz wciąż wyzywała swoje koleżanki od bezpłodnych, kurwich córek.

- Idziemy? - spytała. - Aż tak ci się pali? - Wyobrażenie Stephena jako pana młodego niezwykle ją rozbawiło.

- Nie - powiedział. - Nie. Znam drogę, byłem tam wiele razy. Ciebie chcę prosić o inną rzecz - zanieś, proszę, ten list na statek.

Dil zachmurzyła się i wyduła dolną wargę. Całym ciałem pokazywała teraz niezadowolenie i sprzeciw.

- Boisz się iść na statek, bo ma się ku wieczorowi? - spytał, patrząc na słońce, zbliżające się już do linii horyzontu.

- Ba! - prychnęła, kopiąc ziemię. - Ja chcę iść z tobą. Poza tym jeśli tam nie pójde, to co z moimi trzema życzeniami? Na tym świecie nie ma sprawiedliwości.

Rozszyfrowanie natury życzeń Dil nigdy nie stanowiło wielkiego problemu, niezależnie, ile by ich miała. Już od pierwszego dnia ich przyjaźni mówiła o bransoletach, srebrnych bransoletach, szczególnie i ze znanstwem. Opowiadała o każdym rozmiarze, wadze i typie zarówno w tej prowincji, jak i w sąsiednich, a Stephen widział, jak potrafiła kopnąć każde pobrzękujące czymś srebrnym dziecko z czystej zazdrości. Weszli w gaj palm kokosowych naprzeciwko Słoniowej Wyspy.

„Nawet jaskiń jeszcze nie widziałem” - pomyślał i wydobył niewielką paczuszkę zza pazuchy. Zupełnie jak gdyby samą Dil ostrzeżono we śnie, dziewczynka niespodziewanie wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu, patrząc jak oczarowana na Stephena.

- Oto pierwsze życzenie - powiedział, wyciągając pierwszą obrączkę. - Oto drugie. - Wyciągnął dwie następne. - I trzecie. - Miał w ręku jeszcze trzy.

Dil niepewnie wyciągnęła dłoń i lekko dotknęła ozdób. Jej śmiała, radosna twarz była teraz onieśmielona i bardzo, bardzo poważna. Chwilę trzymała jedną z nich i odłożyła delikatnie.

Cały czas patrzyła na Stephena, wpatzonego w wysepkę na zatoce. W końcu Dil założyła pierwszą bransoletę i ukucnęła zdumiona, patrząc na własną dłoń i srebrną ozdobę wokół niej. Założyła więc drugą, potem kolejną i nagle porwał ją zachwyty. Wybuchnęła dzikim śmiechem, zsunęła wszystkie i założyła na rękę w innej kolejności, poklepując je, mówiąc do nich i każdej z osobna nadając imię. Zaczęła podskakiwać i kręcić się wokół własnej osi, potrząsając cieniutkimi ramionami, by bransolety pobrzękiwały. Nagle upadła u stóp Stephena i zaczęła się do niego modlić, poklepując jego stopy. Jej podziękowania były pełne szczerości i uwielbienia, raz po raz przerywały je okrzyki: „Skąd wiedziałeś?”, „Zapewne użyłeś magii!”, „Jak pięknie błyszczą w słońcu!”, „Lepiej tak je założyć czy tak?”, „Mogę zatrzymać szmatkę, w którą były zawinięte?” W końcu zdjęła je wszystkie, założyła na nowo, zachwycona, jak gładko wślizgują się na jej ramię, i przywarła do jego kolana, wciąż wpatrzona w migotliwe srebro wokół jego ramienia.

- Dziecko - odezwał się. - Słońce już zaszło. Księżyc nie będzie dziś świecił. Musimy iść.

- Natychmiast! - wykrzyknęła. - Daj mi ten list i pofrunę na statek, prosto na statek, ha, ha, ha! W podskokach zbiegła ze wzgórza. Śledził ją wzrokiem aż do chwili, kiedy zniknęła w półmroku. List trzymała w zębach, gdyż w biegu rozpostarła lśniące srebrem ramionka niczym skrzydła.

Wiele razy widział już ten dom - znał jego mury, okna i wejścia. Był to stary dom stojący na tyłach ogrodów otoczonych murem, lecz jego rozmiary wewnątrz zadziwiły Stephena. W rzeczywistości był to niewielki pałac, nie tak ogromny jak rezydencja komisarza, lecz znacznie piękniejszy. Stephen stał teraz w ośmiokątym pokoju, którego ściany pokryte były chłodnym, białym marmurem, pokrytym przemyślnie grawerowanymi wzorami. Sufit był kopułowaty, a w środku pokoju pluskała fontanna.

Tuż pod kopułą ciągnęła się galerijka, zdobiona podobnym, marmurowym wzorem, wzdłuż ścian zbiegały z niej schody aż do miejsca, w którym stał Stephen. Na piątym stopniu widział trzy niewielkie garnuszki i mosiężną szufelkę, a na szóstym leżały miotełka z liści palmowych i większa miotła. Pod szufelką ukrył się skorpion, najwyraźniej jednak niezadowolony ze schronienia, gdyż teraz Stephen śledził jego niespokojne ruchy między garnuszkami.

Poruszający się skorpion unosił się z dużą gracją na nóżkach, balansując ogonem i szczypcami. Słyszając głosy z galerijki, Stephen podniósł głowę, próbując dostrzec jakieś kształty między szczeblami balustrady. W końcu na szczycie schodów pojawiła się Diana w towarzystwie innej

kobiety. Kiedy się patrzy na kobietę z dołu, najczęściej nie wypada ona najkorzystniej - jednak Diana była wyjątkiem. Ubrana była w jasnoniebieskie, ściągnięte przy kostkach spodnie z muślinu i tunikę bez rękawów, przewiazaną w pasie intensywnie niebieską szarfą. Wydawała się wysoka i niewiarygodnie szczupła - już pierwsze wrażenie powaliło go na kolana.

- Maturin! - krzyknęła i zbiegła po schodach.

W biegu jej prawa stopa nastąpiła na szuflę, a w tej samej chwili lewa trafiła na kij większej miotły. Biegła zbyt szybko, by jeszcze złapać równowagę - Stephen chwycił ją w pól na dole, przytrzymał jej gibkie ciało w ramionach, ucałował w oba policzki i postawił na nogi.

- Niech pani uważa na skorpiona, proszę pani - zwrócił się do starszej kobiety na schodach. - Schował się za miotłką.

- Maturin! - znów wykrzyknęła Diana. - Wciąż jestem zaskoczona, że cię widzę, całkowicie zaskoczona. To przecież niemożliwe, byś tu stał, to znacznie bardziej zaskakujące aniżeli widok ciebie siedzącego pod ścianą fortu. Czuję się jak we śnie. Pani Forbes, chciałabym przedstawić pani doktora Maturina. Doktorze, oto lady Forbes, która jest uprzejma mieszkać tu ze mną.

Pani Forbes była pękata, niedbale ubraną kobietą z dużą twarzą pracowicie umalowaną w próbie uzyskania jakichś ludzkich cech. Na głowie miała perukę, której loki nisko spadały na czoło. Pani Forbes wykonała głębokie, dworskie dygnięcie.

- *Co za dziwak... Wyróżnia się tu, rzekłabym. Ależ mnie noga boli, niech ją szlag trafi. Nie będę już wstawać.* Jak się pan miewa, sir? Miło mi pana poznać. Urodził się pan tu, w Indiach? Pamiętam jakichś Maturinów na wybrzeżu Coromandel.

Diana klasnęła w dłonie - do pokoju wbiegli służący, z okrzykami zatroskania na widok bałaganu i niebezpieczeństwa, w jakich znalazła się ich pani. Komentowali niedopatrzenie, mamrocząc z dezaprobatą, i kłaniali się, w powietrzu zgęstniała atmosfera niepokoju. W końcu wszedł ostatni ze służących, mężczyzna w starszym wieku, który wyniósł szuflę. Zaraz potem usunięto skorpiona drewnianymi szczypcami, dwóch innych służących uprzątnęło resztki bałaganu.

- Wybacz mi, Maturin - powiedziała. - Nie masz pojęcia, jak trudnym zadaniem jest utrzymanie domu, mając służących z tyłu różnych kast. Jednemu nie wolno dotknąć tego, inny boi się tego, a przynajmniej połowa z nich naśladuje się wzajemnie, by się wymigać od pracy. Rzecz jasna tylko *radha-vallabhi* może dotykać garnuszków. Cóż, zobaczymy, czy potrafią nam podać coś do picia. Jadłeś już?

- Nie, jeszcze nie - odparł.

Znów klasnęła w dłonie. Pojawili się inni służący i Diana poczęła wydawać im instrukcje. Było przy tym więcej śmiechu, napominania i przepychanki, aniżeli ktokolwiek mógł oczekiwać poza Irlandią. Podczas gdy Diana była zajęta, Stephen zwrócił się do lady Forbes:

- Jest tu rozkosznie chłodno.

- Nic tylko te przepychanki i zamieszanie! - wykrzyknęła lady Forbes. - *Ona nie ma pojęcia, jak zarządzać służącymi, nawet jako dziecko nie znała się na tym!* Tak, proszę pana, celowo tak to zbudowano, częściowo pod ziemią, wie pan. *Mój Boże, mam nadzieję, że zamówiła szampana. Gardło mam wyschnięte na wiór. Uzna, iż tego żółtawego człowieczka warto poczęstować alkoholem? Canning to taki skąpiec w tych sprawach...* Tak, tak, jedyna niedogodność to fakt, że często zalewa go woda. Sama pamiętam dwie stopy błota na podłodze w czasach Raghunath Rao - wtedy to on zarządzał domem, wie pan. Na szczęście nie padało podczas tego monsunu, w ogóle nie padało, ledwie co. Zapowiada się kolejna klęska głodu w Gudżaracie, ludzie będą umierać setkami i nie będzie wypadało urządzać porannych przejażdżek.

Partie przeznaczone tylko dla siebie wypowiedziała niższym tonem, ale tak samo głośno jak resztę.

- Diano, co to był za język? - spytał Stephen.

- Mówię do nich w języku bangla-bhasa, którym posługują się w Bengalu. Kiedy byłam w Kalkucie, zabrałam ze sobą część ludzi mojego ojca. Ale proszę, opowiedz mi o swojej podróży. Miałaś pomyślną pogodę? Na jakim statku tu przyplynałeś?

- Na fregacie, nazywa się „Surprise”.

- Cóż za trafna nazwa. Nie obraż się za to stwierdzenie, ale naprawdę zaskoczyłeś mnie, gdy ujrzałam cię w tej podartej koszuli przy forcie. W zasadzie nie powinnam się spodziewać jakiegokolwiek innego odzienia w tym klimacie. Nosi się to znacznie lepiej niż cokolwiek z wełny czy jedwabiu. Podobają ci się moje spodnie?

- Bardzo.

- „Surprise”. Cóż, zaskakujesz mnie raz za razem. Admirał Hervey mówił mi o fregacie, na której pokładzie służył jego bratanek, jej nazwa brzmiała jednak „Nemesis”. Czy dowodzi nią Aubrey? No tak, oczywiście, że nią dowodzi, inaczej nie znalazłbyś się tutaj. Już się ożenił? Czytałam o jego zaręczynach w „The Times”, ale o ślubie nie było jeszcze ani słowa.

- Myślę, że to kwestia czasu.

- Czyli wszystkie moje kuzynki Williams będą zameżne - zauważyła, a między jej pytaniami zadawanymi wesołym tonem pojawiła się pauza. - O, jest szampan. Na Boga, ależ mam ochotę na lampkę, mam nadzieję, że jesteś równie spragniony jak ja. Wypijmy za szczęście i zdrowie.

- Z największą ochotą.

- Powiedz mi, Stephen - dodała Diana, gdy odstawili kieliszki. - Czy Jack wydorósł już może?

- Nie sądzę, byś u kogoś spotkała więcej dojrzałości - odrzekł. „Ja z wiekiem staję się gruboskórny” - pomyślał, opróżniając szklankę.

Siwobrody służący, dzierżąc srebrną laskę, zbliżył się do Diany, złożył ukłon i końcem laski uderzył trzy razy w posadzkę. Natychmiast wniesiono niskie ławy, na których pojawiły się srebrne tace z mnóstwem naczyń, w większości małych.

- Wybacz mi, moja droga - powiedziała lady Forbes, podnosząc się. - Wiesz dobrze, że nie jadłam kolacji.

- Oczywiście - odparła Diana. - A gdy będziesz przechodzić obok kuchni, bądź taka dobra i zobacz, czy już wszystko przygotowane. Doktor Maturin pozostanie w pokoju lazurytowym. Zasiadli na dywanie, mając ławy tuż przed sobą. Diana ze swadą i błyskiem w oku opowiadała o naczyniach na stole.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko jedzeniu na modłę hinduską - rzekła. - Ja to uwielbiam.

Była w doskonałym nastroju, śmiała się i mówiła z wielkim ożywieniem, zupełnie jakby odreagowywała długotrwały brak towarzystwa.

„Do twarzy jej z uśmiechem na ustach” - myślał. „*Dulce loquentem, dulce ridentem.*”

Większości kobiet brakuje poczucia humoru, a niewiele ma tak wspaniałe zęby”.

- Ile masz zębów, Dianio? - spytał na głos.

- Nie mam pojęcia, na Boga! A ile powinnam mieć? W każdym razie wszystkie są na miejscu. Ha, podał nam *bidpai catta!* Uwielbiałam tę potrawę jako dziecko i wciąż za nią przepadam. Pozwól, że ci pomogę. Myślisz, że Aubrey przyjąłby zaproszenie na obiad ze swoimi oficerami? Mogłabym zaprosić admirała. To stary złośliwiec, ale kiedy chce, da się go lubić. Ma głupią żonę, ale większość żon ludzi związanych z morzem to kobiety nie do zniesienia.

- Nie mogę odpowiadać za Jacka, rzecz jasna, ale wiem, że jest bardzo zajęty remontem okrętu. Podnoszą kadłub i opuszczają, większość masztów jest w tej chwili zdemontowana. Fregacie nieźle się oberwało na „ryczących czterdziestkach”. Jak do tej pory Jack odrzucił wszystkie zaproszenia z wyjątkiem admirałskiego, a i to przyjął tylko z obowiązku.

- Mniejsza o Aubreya! Wciąż nie mogę wyrazić mojej radości na twój widok, Stephen. Byłam tu taka samotna, a ty często mnie odwiedzałeś w moich myślach. Wspominałam cię nawet

tuż przed naszym spotkaniem u stóp fortu. O, jak widzę, jedzenie na modłę hinduską nie jest twoją najmocniejszą stroną. Na Boga, co się stało z twoimi dłońmi?

- To nie ma znaczenia - odrzekł Stephen, chowając je natychmiast przed wzrokiem dziewczyny. - Byłem ranny. Wkręcono je w maszynę tortur. To nie ma znaczenia, wkrótce minie.

- Nakarmię cię. - Usiadła po turecku na poduszce tuż przed nimi zaczęła wybierać kawałki pożywienia z rozmaitych misek, talerzy i półmisek. Czuł, jak przełknięte kęsy na przemian palą go w żołądku i rozlewają się słodyczą na podniebieniu. Patrzył z uwagą na zarys jej jędrnych, kształtnych nóg pod nogawkami z muślinu i jej plecy, kiedy pochylała się ku niemu i powracała do poprzedniej pozycji.

- Kim jest to chudziutkie dziecko, z którym cię widziałam? - spytała. - Dhaktari? Zbyt blade jak na Gonda. Kiepsko mówiła w urdu.

- Nigdy nie wypytywała mnie, skąd pochodzę, to i ja jej nie pytałem. Nie wiem, co z nią zrobić, Diano. Większość z tego, co je, to albo wyżebrze, albo ukradnie, a ja nie chciałbym, by cierpiała głód. Mogę ją mieć za dwanaście rupii, zasadniczo więc nie byłoby problemu, gdyby nie to, że nie chcę stawiać jej w sytuacji konieczności uczciwego zarabiania na siebie, na przykład szyciem. Widzisz, ona nawet nie ma igły i nigdy nie potrzebowała niczego takiego. Nie chciałbym też oddawać jej na wychowanie portugalskim siostrzyczkom, by ją przechrzciły i odziały na swój sposób. Musi być jakieś rozwiązanie, ale ja nie mogę go znaleźć.

- Na pewno jest jakieś rozwiązanie - powiedziała Diana. - Muszę jednak więcej o niej wiedzieć, choćby z jakiej kasty pochodzi, zanim powiem cokolwiek, co mogłoby ci pomóc w rozwiązaniu problemu. Nigdy byś nie uwierzył, jakie trudności może sprawić przynależność kastowa w kwestii wyboru miejsca dla dziecka. Może się okazać, że jest nietykalna i najprawdopodobniej tak właśnie jest. Przyślij ją tu, gdy tylko będziesz miał dla mnie jakieś wiadomości, a wtedy dowiem się wszystkiego. Zanim to nastąpi, niech tu przychodzi, gdy tylko poczuje się głodna. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, na pewno. Byłbyś jednak wielkim głupcem, gdybyś zapłacił za nią dwanaście rupii, to o trzy za dużo. Jeszcze kawałek?

- Gdybyś była tak uprzejma... Nie zapomnijmy jednak o tym dzbanie piwa obok twego łokcia. Piwo, sorbet, owoce... Niebo zdążyło już zblednąć, a oni rozprawiali o hinduskich cukiernikach, celu podróży fregaty, panu Stanhope, leniwcu i mieszkańcach Bombaju. Osoby Canninga dotykała ich rozmowa jedynie w sposób okrężny, jak na przykład: „Lady Forbes była dobrą towarzyszką w swoim czasie, ale nawet teraz jej obecność daje mi wsparcie moralne. Dobrze wiesz, jak tego potrzebuję”.

- Przedwczoraj przebyłam trzydzieści mil - mówiła też - a dzień wcześniej sześćdziesiąt. To dlatego wróciłam tak wcześnie, wcześniej, niż mnie oczekiwano. Było wiele niecierpiących zwłoki spraw do omówienia z Nizamami, ale nagle poczułam, że mam już serdecznie dość, i wróciłam sama, pozostawiając słonie i wielbłądy na miejscu. Mają dotrzeć tutaj siedemnastego.

- Dużo ich jest?

- Nie tak wiele, z trzydzieści słoni, około setki wielbłądów i oczywiście wozy zaprzężone w woły. Jednakże nawet takie małe karawany wloką się niemiłosiernie, oszaleć można od tego.

- Naprawdę podróżujesz z trzydziestką słoni?

- To była tylko krótka podróż, nie dalej niż do Hajdara-badu. Na dłuższe podróże bierzemy sto słoni i odpowiednio więcej wielbłądów i wołów, to już mała armia! Och, Stephen, jakże bym chciała, byś mógł zobaczyć choć połowę tych wszystkich cudów, które ja ostatnio widziałam! Setki lampartów, mnóstwo gatunków ptaków i małp, pytona pożerającego jelenia i nawet wyrosniętego tygrysa - niezbyt dużego jak na nasze bengalskie standardy, ale i tak była to spora bestia. Powiedz mi, Stephen, co mogę ci pokazać? To w końcu mój kraj i bardzo chciałabym cię oprowadzić po ciekawych miejscach! Jestem panią swojego czasu przez najbliższych kilka dni!

- Niech cię Bóg błogosławi, moja droga, najbardziej chciałbym obejrzeć jaskinie na Wyspie Słoniowej, jeśli nie masz nic przeciwko temu, las bambusowy i tygrysa.

- Wyspę mogę ci obiecać, pod koniec tygodnia zorganizuję tam małą wyprawę i zaproszę twego przyjaciela pastora oraz pana Stanhope'a. To taki czarujący człowiek, był dla mnie niezwykle uprzejmy w Londynie. Las bambusowy mogę ci również obiecać, ale z tygrysem mogą być kłopoty. Jestem pewna, że Peshwa mogliby nam jednego nagonić na wzgórzach Poona, ale ostatnio tam padało i dżungla zgęstniała. Tak czy owak, jeśli nie uda nam się zobaczyć tu tygrysa, obiecuję ci ich pół tuzina w Bengalii. Bo z tego, co rozumiem, po wysadzeniu starszego pana w Kampongu, wrócisz do Kalkuty?

Zaproszenie pana Stanhope'a było najprawdopodobniej błędem. Dzień był bardzo gorący i wilgoć w powietrzu stawała się wprost nie do zniesienia, tak więc jedynym marzeniem ambasadora było położyć się na łóżku i czuć na twarzy powiew wachlarzy z liści palmowych, które przynajmniej wprawiłyby w ruch nieznośnie ciężkie powietrze. Wyszedł jednak z założenia, że towarzyszenie pannie Villiers to jego obowiązek, chciał również zobaczyć się z doktorem Maturinem, który zniknął i nikt nie widział go przez ostatnich kilka dni. Przewyciężył zatem mdłości i ubarwiwszy karminem swe poźółtkie policzki, wsiadł na łódź kołyszącą się na falach. Nie było bryzy, zatem załoga pochwyciła za wiosła i łódź wyruszyła na sześć przeklętych mil rejsu przez zatokę.

Atkins siedział tuż przy nim i pośpiesznym, pełnym podniecenia szeptem relacjonował Jego Ekscelencji świeżo dokonane odkrycia. Zebranie wszystkich plotek w nowo poznanej społeczności nigdy nie zajmowało Atkinsowi wiele czasu. Dowiedział się chociażby, o czym właśnie żywo opowiadał, iż panna Villiers nie była osobą otoczoną powszechnym szacunkiem, mieszkała bowiem z pewnym żydowskim kupcem. „Z Żydem, na litość boską!” - podkreślił i dodał, że jej ostentacyjne osiedlenie się w Bombaju wywołało ogólne oburzenie. Według jego wiadomości doktor Maturin świadom był ich kryminalnej przeszłości i przez to postawił Jego Ekscelencję w bardzo niezręcznej sytuacji, ponieważ posłowi Jego Królewskiej Mości nie przystoi utrzymywanie tego typu kontaktów.

Odpowiedzi pana Stanhope'a były skąpe, ale po wylądowaniu na brzegu zachował się bardziej powściągliwie i oficjalnie niż dotąd, co było zauważalne, mimo że w stosunku do Diany zachowywał się nad wyraz uprzejmie. Pochwalił też wspaniałe dobór namiotów, parasolek, dywanów i napojów orzeźwiających i rozplýwał się w zachwycie nad ciężką, niezdarną rzeźbą słonia i zaskakującym pięknem rzeźby jaskiń. Jego szczerą ochotę do zabawy okazała się zaraźliwa dla całego towarzystwa. W końcu zabrał Stephena na stronę i gdy szli we dwójkę przez jaskinie, powiedział:

- Jestem niezwykle zaniepokojony, doktorze, zasłyszałem bowiem od kapitana Aubreya, że mamy odplýnąć już siedemnastego. Liczyłem na jeszcze co najmniej trzy tygodnie w Bombaju. Kuracja upuszczania krwi i kąpieli błotnych doktora Clowesa trwa dokładnie trzy tygodnie.

- Aubrey musiał użyć kolejnej kwiecistej hiperboli wprost z żargonu marynarskiego. Ile to już razy słyszałem o pasażerach, którym surowo nakazano, by zjawili się na pokładzie statku, dajmy na to, w Greenwich czy Downs danego dnia, a kiedy ci pojawiają się punktualnie, napotykać leżących beczynnym marynarzy, którzy nie mają ochoty wypłýnąć lub nie mogą, bo okrętowi brakuje żagli na masztach. Niechże się pan uspokoi, jestem niemal pewien, że jeszcze kilka dni temu „Surprise” była całkowicie ogołocona z masztów. Techniczną niemożliwością jest, by załoga przygotowała okręt do żeglugi przed siedemnastym. Dziwi mnie pośpiech kapitana.

- Widział się pan ostatnio z kapitanem Aubreyem?

- Nie, nie widziałem się z nim, od piątku nie odwiedziłem też, czego się wstydę, doktora Clowesa. Czy odczuwa pan poprawę po jego terapii błotnej?

- Doktor Clowes i jego koledzy to doskonali lekarze, jestem tego pewien. To odpowiedzialni fachowcy, którzy starannie wypełniają swoje obowiązki, lecz nie wydaje mi się, by poradzili

sobie z moimi problemami z wątrobą. Boję się, że choroba przeniesie się na żołądek i zagnieździ się tam na dobre. Jednak nie prosiłem pana na stronę, by mówić o moim zdrowiu - chciałem powiadomić pana, że otrzymałem dyspozycje z kraju, co do których chciałem zasięgnąć pańskiej opinii. Jednocześnie chciałem zasugerować, że być może zaczął pan zaniedbywać swoje obowiązki w związku z naszym zadaniem. Przez ostatnich kilka dni nie meldował się pan w biurze, a zlokalizowanie pana nastroczało ogromnych trudności. Wielokrotnie bezskutecznie wypytywaliśmy o pana zarówno na okręcie, jak i w pańskiej kwaterze. Nie mam wątpliwości, że pańska zwyczajowa punktualność zawiodła przez to, że odciągnęła pana obserwacja ptaków.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Ekscelencjo. Pojawię się w biurze dziś po południu i przy okazji porozmawiam również z doktorem Clowesem o pańskiej wątrobie.

- Będę panu niezwykle wdzięczny, doktorze, lecz tak czy owak, zaniedbujemy nasze obowiązki w sposób wręcz niegodny. Ach, panno Villiers! - wykrzyknął po obrzuceniu zmęczonym spojrzeniem obiadu przygotowywanego przed wejściem do jaskini. -

Wspaniałości! Przysięgam, toż to uczta godna samego Lukullusa!

Kapelan White, któremu Atkins zdążył już przekazać swoje rewelacje, zachowywał się równie powściągliwie jak pan Stanhope. Co więcej, zgorszyły go niektóre rzeźby, przedstawiające kobiety i hermafrodytów, a na końcu usiadł na bliżej nie znanym stworzeniu, które ugryzło go w pośladek. Wszystko to sprawiło, że White był w ponurym nastroju i pozostał obojętny na atmosferę pikniku.

Atkins i młodzi ludzie ze świty pośła nie zważali na nastroje i czynili tyle rozgardiaszu, by stworzyć wrażenie dobrze bawiącej się grupki ludzi. Spośród nich wyróżniał się sam Atkins, zachowywał się beztrząsowo, głośno i bez ceregieli i przez cały czas trwania pikniku wołał do Stephena, by nie pozwalał, aby kurz osiadł na butelkach - nie co dzień bowiem mogli się cieszyć szampanem. Potem poprowadził Dianę do grupki bawiącej się w głębi drugiej jaskini i trzymając wysoko lampę, kazał jej podziwiać rzeźby, ich łagodną linię i niezwykłą harmonię proporcji, godną słynnego rzeźbiarza greckiego, Fidiasza. Dianę zdumiała poufałość Atkinsa i sposób, w jaki ujmował jej łokieć i przybliżał usta ku jej twarzy, ale przypisała to wypitemu alkoholowi i nie protestowała głośno. Uwolniła tylko swe ramię z uścisku Atkinsa, przeprosiła, że nie jest w stanie nadążyć za jego bystrym umysłem i z ulgą dołączyła do Stephena zmierzającego w ich stronę.

Dobry nastrój Atkinsa utrzymał się jednak i gdy już wylądowali na brzegu zatoki, wetknął głowę między firanki jej palankinu.

- Wpadnę do pani któregoś wieczoru - powiedział z łobuzerskim uśmiechem, który odebrał jej mowę. - Wiem, gdzie pani mieszka!

- Pan Stanhope pragnie przekazać ci najlepsze pozdrowienia - powiedział Dianie Stephen, który później tego dnia odwiedził ją w domu - i serdeczne podziękowania za wspaniałe popołudnie. O, witam panią, lady Forbes, sługa uniżony. Straszny upał, nieprawdaż?

Lady Forbes posłała w jego stronę dziwny, pełen przestrochu uśmiech i szybko wyszła z pokoju.

- Maturin, byłeś kiedyś w całym swoim życiu na tak żalnym, nieszczęsnym pikniku? - zapytała Diana. Miała na sobie okropną niebieską suknię, starannie obszytą perłami, a sznur znacznie większych pereł na szyi. - To bardzo miło ze strony pana Stanhope'a, że przekazuje najlepsze pozdrowienia upadłej kobiecie.

- Co ty za bzdury wygadujesz, Dianko?

- Musiałam w istocie nisko upaść, by taka przebrzydła gadzina, jak ten Atkins, pozwalała sobie na takie rzeczy. Chryste, Maturin, ja tu wiodę naprawdę podłe życie. Każde wyjście z domu to ryzyko afrontu, siedzę więc samotnie, zamknięta w tych czterech przeklętych ścianach. Moje towarzystwo wita z ochotą ledwie pół tuzina miejscowych dam, z których cztery same mają marną reputację, a reszta to idiotki pełne miłosierdzia dla bliźnich. Oto towarzystwo, w jakim

się obracam! Inne kobiety, z którymi się spotykam, zwłaszcza te, które znam z moich poprzednich wizyt w Indiach, te to wiedzą, jak wbijać szpile w moje serce. Nigdy nie mówią nic wprost, bo wiedzą, że Canning mógłby zniszczyć ich mężów po powrocie, ale i tak bardzo bolą mnie te ich uwagi, mój Boże, jakże bolą! Nie masz pojęcia, jakimi wrednymi sukami są kobiety. Tak mnie to rozwściecza, że zupełnie nie mogę spać! Żółć zalewa mnie z wściekłości i wyglądam potem, jakbym miała przynajmniej czterdziestkę na karku! Za sześć miesięcy nie będzie można na mnie patrzeć.

- Diano, moja droga, oszukujesz sama siebie. Już w pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, przyszło mi do głowy, że twoja cera jest jeszcze piękniejsza niż w Anglii. Kiedy tu przyszedłem, utwierdziłem się w przekonaniu...

- Ciekawe, dlaczego tak łatwo dałeś się nabrać. To tylko zbyt dużo *trompe-couillon**, jak to zwie Amelie. To najlepsza malarka od czasów... jak jej tam było...

- Vigeo Lebrun?

- Nie, Jezebel. Spójrz tutaj - zawołała, pocierając palcem policzek i pokazując mu słabą smużkę różu.

Stephen przyjrzał się z bliska i pokręcił głową.

* *Trompe-couillon* (fr.) - zwód dla głupców.

- Nie, to nie o to chodzi - powiedział. - Nie to jest przyczyną. Przy okazji muszę jednakże ostrzec cię przed używaniem *ceruse*, może ono wysuszyć głębsze warstwy skóry. Świńska słonina nadaje się znacznie lepiej. Wyglądasz tak pięknie ze względu na stan ducha, na twą odwagę, inteligencję, wesołość. Te cechy są nienaruszone, a to one kształtują piękno twojej twarzy. Innymi słowy, sama jesteś odpowiedzialna za wygląd własnego oblicza.

- A jak myślisz, Stephen, jak długo duch jakiegokolwiek kobiety będzie się opierał takim warunkom życia? Nie ośmielią się używać sobie na mnie, kiedy Canning tu jest, ale on tak często wyjeżdża do Mahe i dalej... Kiedy zaś jest w domu, dzieją się tu inne sceny. Czasem niewiele mi brakuje do załamania. Umiesz sobie wyobrazić moją przyszłość? Bez grosza przy duszy w Bombaju? To nie do pomyślenia, ale życie w okowach tchórzostwa też nie mieści mi się w głowie! Och, to miły opiekun, nie mówię, że nie, ale jest piekielnie zazdrosny... Spływaj stąd! - krzyknęła do służącego, który pojawił się w drzwiach. - Zjeżdżaj! - wrzasnęła po raz drugi, kiedy się ociągał, pokazując obelżywe gesty. Diana cisnęła za nim karafką.

- Nieustanne podejrzenia są bardzo upokarzające - mówiła. - Wiem, że połowa z moich służących ma za zadanie obserwować mnie. Gdybym się w pewnym momencie nie sprzeciwiła, otaczałby mnie teraz oddział wielkich, czarnych eunuchów. To tylko dlatego mam swoich ludzi... Och, jakże ja mam tego dosyć... Podróżowanie jest przynajmniej znośne. To sytuacja bez wyjścia dla kobiety pozbawionej siły ducha. Pamiętasz, jak kiedyś ci powiedziałam, dawno temu, że mąż jest wrogiem swojej żony? Oto więc jestem, dostarczona mojemu wrogowi ze związanymi rękami i nogami. Oczywiście to moja własna wina, tego nie musisz mi mówić, ale ta świadomość nie czyni życia ani odrobinę lżejszym. Dostatnie życie to wspaniała rzecz, a sznur pereł na szyi jest dla mnie równie cenny jak dla każdej innej kobiety, lecz jakże ja marzę o jakiejś okropnej, zimnej i wilgotnej angielskiej chatce!

- Przykro mi - powiedział Stephen zachrypniętym, oficjalnym głosem. - Przykro mi, że nie czujesz się szczęśliwa. Przykro mi, ale przynajmniej usprawiedliwia to pewną moją propozycję i dodaje mi pewności siebie, bym mógł ją wypowiedzieć.

- Też masz zamiar wziąć mnie pod dozór? - spytała, uśmiechając się.

- Nie - odparł i również udało mu się uśmiechnąć. Skrzyżował ramiona i ciągnął, płacząc słowa w stanie silnego wzruszenia. - Nigdy nie uczyniłem kobiecie propozycji małżeństwa... Jestem ignorantem w kwestii przyjętych norm. Przykro mi z tego powodu. Ale błagam cię, uczyni mi ten zaszczyt, ten zaszczyt największy z możliwych i wyjdź za mnie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi Diany, dodał po chwili milczenia:

- Byłbym niezwykle zobowiązany, Diano.

- Dlaczego, Stephen? - powiedziała w końcu, wpatrzona weń ze szczerym zachwytem w oczach. - Na honor, zaskakujesz mnie. Niemal odebrało mi mowę. To najcudowniejsza rzecz, jaką mogłeś mi powiedzieć, lecz, Stephen, zwodzi cię dobre serce, pełne współczucia dla przyjaciółki, która...

- Nie, nie! - wykrzyknął z pasją. - To stwierdzenie jak najbardziej dorzeczne i dobrze przemyślane, stwierdzenie, które narodziło się dawno i dojrzało przez dwanaście tysięcy mil morskich. Jestem boleśnie świadom tego - mówił, raz po raz zaciskając pięści za plecami - że moja aparycja nie jest moim atutem. Wiem, że są sprzeciwy wobec mojej osoby, niektórym nie odpowiada moje pochodzenie, innym nie odpowiada religia, a mój stan posiadania jest niczym w porównaniu z majątkiem człowieka zamożnego. Nie jestem już jednak zerem bez grosza przy duszy jak wtedy, kiedy cię poznałem, i mogę ci zapewnić jeśli nie dostatnie małżeństwo, to przynajmniej przyzwoite małżeństwo, a w najgorszym razie godną przyszłość, gdybyś została wdową.

- Stephen, kochany, nie mogę wyrazić w słowach, jak bardzo mnie wzruszyłeś. Jesteś najukochańszym mężczyzną, jakiego znam, i z pewnością moim najlepszym przyjacielem. Wiesz jednak, że kiedy jestem zagniewana, mówię jak głupiec, to znaczy posuwam się dalej, niż wypada. Obawiam się, że niegodziwa ze mnie kobieta, ponieważ jestem głęboko oddana Canningowi, był dla mnie taki dobry... Co mogłabym ci dać jako żona, Stephen? Powinieneś był pobrać się z Sophie, ją tak łatwo zadowolili i nigdy byś się jej nie wstydził. Wstyd... Pomyśl, kim byłam, pomyśl, kim jestem teraz. Londyn w końcu nie jest tak bardzo oddalony od Bombaju i plotkuje się tu właściwie o tym samym. Przeżywając po raz kolejny to samo, mogłabym... Stephen, dobrze się czujesz?

- Miałem właśnie powiedzieć, że jest jeszcze Barcelona, Paryż, Dublin...

- Nie czujesz się najlepiej, okropnie wyglądasz. Zdejmij płaszcz, zostań tylko w koszuli i bryczesach.

- Nigdy jeszcze nie było mi tak gorąco, to pewne - zrzucił płaszcz i odpiął żabot.

- Tu jest woda z lodem, napij się i połóż. Drogi Stephenie, naprawdę chciałabym cię uszczęśliwić. Proszę, nie patrz na mnie z takim nieszczęściem w oczach. Wiesz, że być może, gdyby miała w tym wszystkim nastąpić przerwa...

- A jeszcze nie powiedziałem - dodał, zupełnie jakby nie upłynęło dziesięć minut w zupełnej ciszy - że nie chodzi tu o byle co według standardów europejskich. Mam około dziesięciu tysięcy funtów, posiadłość wartą drugie tyle z możliwościami rozwoju. Jest jeszcze moja pensja. Dwie, trzy setki na rok.

- I zamek w Hiszpanii - uśmiechnęła się Diana. - Leż spokojnie i opowiedz mi o twoim zamku w Hiszpanii. Wiem, że masz w nim marmurową wannę.

- Tak, i nawet dach z marmuru, a raczej resztki dachu. Ale nie będę cię oszukiwał, Diano, to nie to, co ty masz tutaj. W moim zamku jest sześć, nie, właściwie pięć pokoi nadających się do zamieszkania, a w większości z nich mieszkają po prostu owce. To ruina pełna romantyzmu, otoczona przepięknymi górami, ale sama romantyczność nie zrównoważy dziur w dachu. Podjął próbę, przedstawił ofertę i przegrał - jego serce uspokoiło się i znów było wolno. Nieobecny tonem opowiadał o owcach, ciekawostkach hiszpańskiej listy czynszowej, niedogodnościach związanych z wojną, szansach na godziwe przyzwoite i już sięgał po żabot, kiedy Diana przerwała mu:

- Stephen, twoje słowa tak mi zawróciły w głowie, że ledwie wiem, co odpowiedziałam. Muszę to przemyśleć. Porozmawiamy o tym jeszcze raz w Kalkucie. Muszę mieć całe miesiące do namysłu. Mój Boże, znów straszliwie pobladłeś! Chodź, nałóż na siebie tę podomkę i usiądziemy w ogrodzie, na świeżym powietrzu. Te lampy są nie do zniesienia w zamkniętych pomieszczeniach.

- Nie, nie... Zostaw.

- Dlaczego? Bo to podomka Canninga? Bo on jest moim kochankiem? Bo jest Żydem?

- Bzdura. Żywię ogromny szacunek dla Żydów, o ile można w tak ogólny i pozbawiony głębszego znaczenia sposób mówić o ogromnej, różnorodnej grupie ludzi.

I w tej chwili Canning nagle wszedł do pokoju - ogromny, bezszelestnie poruszający się człowiek.

„Jak długo był pod drzwiami?” - przyszło Stephenowi na myśl.

- Canning, doktor Maturin źle znosi ten upał - odezwała się Diana. - Staram się go namówić, by nałożył tę szatę i usiadł przy fontannie w pawim ogrodzie. Pamiętasz doktora Maturina?

- Doskonale go pamiętam i bardzo się cieszę, że go widzę. Drogi panie, z troską zauważam, że nie czuje się pan najlepiej. Podam panu ramię i wyjdziemy na świeże powietrze. Sam z chęcią zaczerpnę jego haust. Diano, kaź, by przyniesiono jakąś szatę lub może nawet szal.

„Ile o mnie wie?” - zastanawiał się Stephen, gdy już zasiedli przy fontannie, gdzie powietrze było w miarę chłodne. Diana i Canning rozmawiali cicho o podróży, Nizamach i niejakim panu Nortonie. Wyglądało na to, że jego najlepszy przyjaciel uciekł z panią Norton na ziemie Nizamów.

„On nie oddaje niczego” - przyszło Stephenowi na myśl. „Lecz to w rzeczy samej jest nieistotne. Nie pytał jeszcze o Jacka, co jest nawet jeszcze bardziej nieistotne. Ten wywołany przez niego nastrój rubasznosci z pewnością nie jest udawany - bardzo przypomina mi atmosferę wokół Jacka i z pewnością wiele o nim mówi. Dostrzegam jednak w Canningu sporo ukrywanego sprytu. Chciałbym, by miał właściwą pani Forbes cechę mówienia wszystkiego, o czym myśli”.

- Pan Norton? - spytał już głośno. - Ten ornitolog?

- Nie - zaprzeczyła Diana. - On się interesuje ptakami.

- Tak mocno się nimi interesuje - dodał Canning - że w poszukiwaniu jakiegoś gatunku przepiórek zapędził się aż pod Bikanir. Kiedy wrócił, pani Norton już nie było. Uwiedzenie żony przyjaciela to doprawdy paskudna sprawa.

- Ma pan rację - powiedział Stephen. - Zastanawia mnie jednak, czy to w ogóle możliwe? Jasne, że można uwieść podlotka, który ma pstro w głowie, ale mężatkę? Jeśli o mnie chodzi, nie wierzę, że jakiegokolwiek małżeństwo zostało rozbite przez czynniki z zewnątrz. Założmy, że pani Norton staje przed wyborem między porto a bordo. Stwierdza, że niespecjalnie zależy jej na bordo, ale chętnie skosztuje porto. Od tej chwili jest skazana na to, co wybrała, i impertynencją byłoby zapewniać ją, że bordo to prawdziwa rozkosz, ani też winić butelki, którą wybrała.

- Gdyby tylko wiatr przywiał jakieś żywsze powietrze znad morza - roześmiał się głęboko Canning - zapewne chętnie przystąpiłbym do polemiki. Tak czy owak, to niegodziwy postępek ze strony owego Mortona - uczciwy pan Norton, jego dobry przyjaciel, zaprasza go do domu, a ten odnajduje drogę do alkowy jego własnej żony.

- To w istocie przykre, przyznaję. Taki czyn ma posmak bezbożności.

- Ale co tam słyhać u pańskiego przyjaciela Aubreya - wykrzyknął Canning. - Ma pan jakieś wieści o nim? Z tego, co wiem, powinniśmy wypić za jego szczęście, być może nawet teraz!

- Aubrey jest tu, w Bombaju. Jego fregata „Surprise” jest właśnie remontowana.

- Zaskoczył mnie pan.

„Raczej bym w to wątpił, mój przyjacielu” - odpowiedział Stephen w myślach. Słuchał Canninga mówiącego z entuzjazmem o służbie na morzu, o wybitnych zdolnościach żeglarskich Jacka i o szczerych nadziejach na jego szczęście w małżeństwie, po czym wstał i oznajmił, że z żalem musi prosić o wybaczenie, ale dawno już nie był w swojej kwaterze i ma mnóstwo pracy, a kwatera mieści się tuż przy stoczni i ma ochotę na spacer.

- Przecież nie pójdzie pan pieszo całą drogę do stoczni!

- zaprotestował Canning. - Zawołam o palankin dla pana.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, ale wolę pójść pieszo.

- Drogi panie, spacer przez Bombaj o tej porze to szaleństwo. Jeszcze pana pobiją... proszę mi uwierzyć, to niebezpieczne miasto.

Canning nalegał na przydzielenie mu eskorty i nawet nieprzejednany Stephen ostatecznie uległ. Szedł teraz pustymi uliczkami Bombaju na czele szeregu brodatych sikhów z szablami u pasa, lecz nie był z siebie zadowolony. „W sumie podoba mi się ten człowiek” - myślał „i nie do końca mam sobie za złe, że pozwoliłem mu odkryć moją obecność, a nawet wie, gdzie mieszkam”. Zeszli w dół wzgórza, widząc płonące w oddali stosy pogrzebowe - w powietrzu unosił się zapach płonących ciał i drewna sandałowego. W mijanych alejkach napotykali jedynie pariasów, psy i śpiące święte krowy, a na jednym bezlistnym drzewie Stephen dostrzegł gniazdujące wrony, sępy i kawki. Szli przez bazy, wypełnione otulonymi w koce, śpiącymi na ziemi postaciami i minęli dzielnicę rozkoszy przy porcie, gdzie mimo późnej pory kwitło życie, rywalizowały uliczne kapele i włóczyły się grupy marynarzy. Nie znalazł jednak między nimi nikogo z „Surprise”. Potem szli wzdłuż długiego muru okalającego stocznię, a kiedy wyszli z za narożnika, ich oczom ukazała się stojąca w kole i pochylona nad czymś banda Molaphów. Na widok sikhów Molaphowie wyprostowali się. Wahali się przez chwilę, szacując swoje siły, i w końcu umknęli, pozostawiając leżące na ziemi ciało. Stephen nachylił się nad człowiekiem, unosząc latarnię jednego z sikhów, lecz jego kunszt lekarski nie mógł się tu już na nic przydać. Ruszyli dalej.

Już z pewnej odległości dostrzegł światło palące się w oknie ich domu. Zdziwił się, a jego zdumienie przybrało na sile, kiedy po wejściu do środka ujrzał śpiącego kamiennym snem Bondena. Głowa Bondena spoczywała na skrzyżowanych, zabandażowanych ramionach, opartych o blat stołu - zarówno ramiona, jak i głowę pokrywała szara chmura niezliczonych, unoszących się w powietrzu ciem, przyciągniętych światłem lampy. Zastęp gekonów czyhał na stole na oszołomione nocne motyle.

- Wreszcie pan jest, sir! - Poderwał się Bonden, płosząc gekony. - Cieszę się, że pana widzę.

- Miło mi to słyszeć, Bonden - powiedział Stephen. - Co się dzieje?

- Piekło i szatani, sir, jeśli wybaczy mi pan określenie. Kapitan zawziął się, żeby pana znaleźć - chłopcy okrętowi latają tam i z powrotem, posłańcy gonią w miasto co godzinę i boją się wracać z meldunkiem, że nie znaleźli ani pana, ani żadnych informacji o panu. Był już pan na okręcie? Biedaczysko Babbington jest zakuty w kajdany, a młodych Churcha i Callowa kapitan wychłostał osobiście. Nawet nieźle się do tego przyłożył - darli się jak koty obdzierane ze skóry.

- Czemu? Co jest grane?

- Co jest grane? Nic takiego, przesada z tym całym alarmem. Żadnych swobód, przepustki na brzeg wstrzymane, okręt zakotwiczony z dala od brzegu i zakaz dobijania do burt łodziom aprowizacyjnym. Nic, tylko praca na dwie zmiany, wszyscy, nie wyłączając oficerów. Ani chwili swobody, choć kapitan obiecał. Pamięta pan, jak staremu „Ceasarowi” wprawiono nowe maszty przy blasku ognia w Gibraltarze, tuż przed naszą przepierką z Hiszpaniami? Teraz jest tak samo, tylko wlecz się dzień za dniem i jakoś, cholera, skończyć się nie może - za liny ciągnie każdy, kto tylko potrafi, obojętnie, chory czy zdrowy, a kapitan dodatkowo najął bandy Hindusów i robotników ze stoczni. Okręt wygląda jak pieprzone mrowisko, za pańskim przeproszeniem. W niedzielę nie było puddingu! Nikomu, nikomu nie wolno zejść na brzeg, poza kilkoma próżniakami, z których nie było pożytku, i posłańcami. Sam bym tu nie był, gdyby nie moje ramię.

- Co się stało?

- Wrząca smoła. Prosto ze stengi fokmasztu. Bolało jak cholera, ale to nic w porównaniu z tym, co kapitan na nas wylewa. Przypuszczamy, że usłyszał coś o okrętach Linoisa, w każdym razie śpieszy mu się, oj śpieszy. We wtorek na pokładzie nie było jeszcze ani jednego jufersa, dziś rozciągnęliśmy wanty, a wyruszamy z jutrzejszym przypiływem! Admirał nie wierzył, że to w

ogóle możliwe. Ja też w to nie wierzyłem, nie wierzyli nawet najstarsi marynarze z pokładu dziobowego, powiedziałem to zresztą panu Rattrayowi w poniedziałek, kiedy skonani rzucaliśmy się na kolana. Połowa załogi powiedziała by to samo, gdyby mieli odwagę. A kapitan nic, tylko wrzeszczy: „Gdzie jest doktor? Niech cię szlag trafi, nie możesz znaleźć doktora, nędzna szmato?!“ Cholernie wściekły, mówię panu. Bagaż Jego Ekscelencji był na pokładzie dwa razy szybciej niż ostatnio, kapitan kazał wycelować działa w kierunku szalup, by się pośpieszyli. Niech Bóg się nad nami zlituje. A ten świstek dał mi dla pana.

HMS „Surprise“

Bombaj

Sir!

Niniejszym wzywam Pana do stawienia się na pokładzie fregaty Jego Królewskiej Mości „Surprise“, pozostającej pod moim dowództwem, natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości.
Aubrey

- Ma datę sprzed trzech dni - zauważył Stephen.
 - Tak, proszę pana. Przekazywaliśmy ten list kolejno jeden drugiemu. Ned Hyde rozlał sok na jednym z rogów.
 - Cóż, przeczytam go jutro. Ledwo co widzę w tych ciemnościach, a warto się zdrzemnąć chociaż tych kilka godzin przed wschodem słońca. Kapitan naprawdę ma zamiar wyruszyć z przyływem?
 - Na Boga, tak! Kiedy schodziłem na brzeg, okręt stał na jednej kotwicy w kanale, Jego Ekscelencja był już na pokładzie, a z cumującej przy burcie barki z prochem strzelniczym sztautowano na pokład ostatnie baryłki.
 - Niech mnie... Więc pędź na okręt, Bonden, przekaz kapitanowi moje pozdrowienia i powiedz mu, iż dotrę na pokład, zanim przyływ przybierze na sile. Co, czemu jeszcze tu stoisz, Barrecie Bonden, jak ten wół?
 - Sir, niech mnie pan nazwie wołem czy osłem, ale nie wiem, co się stanie, jeśli wrócę na pokład bez pana. Powiem to panu bez ogródek - kapitan wyśle po pana oddział piechoty morskiej z rozkazem przyniesienia pana siłą, gdy tylko dowie się, gdzie pan jest. Pływam z nim od lat i nigdy nie widziałem go w takim stanie.
 - Obiecuję, dotrę na miejsce przed odpłynięciem. Nie musisz się śpieszyć, wiesz - powiedział, delikatnie wypychając opierającego się, niespokojnego Bondena przez próg i zamykając mu drzwi przed nosem.
- Jutro miał być siedemnasty. Być może istniały inne czynniki, ale wiedział, że do tak szaleńczego pośpiechu pchało Jacka przede wszystkim pragnienie opuszczenia Bombaju przed powrotem Diany i Canninga. Niewątpliwie czynił to z grzeczności, bo bał się skutków spotkania z Canningiem. Jack sprytnie to obmyślił, ale choć Stephena również obowiązywało prawo Marynarki Wojennej, nie pozwalał, by manipulowano nim w ten sposób. Stephen nigdy zresztą nie przejmował się żadnymi prawami.
- Zrzucił z siebie ubranie, obmył się wodą i zasiadł do pisania krótkiego listu dla Diany. Pierwszy nie udał się, uderzył w nieodpowiednią nutę. Podczas pisania drugiego kropla potu spłynęła między palcami i rozmazała litery. Canning był strasznym wrogiem, cichym i szybkim w działaniu, lecz... Czy aby na pewno był on wrogiem? Istniało duże niebezpieczeństwo, że przesadza z tą podejrzliwością. Niedobrze mu się robiło na myśl o kolejnych, nie kończących się podejrzeniach i intrygach i ogarnęła go beznadziejna tęsknota za jasno sprecyzowanym, prostym związkiem. Sięgnął po kolejną kartkę. W krótkich słowach nakreślił, że najwidoczniej wróg wyszedł na morze i muszą odpływać, a on sam przeprasza, że nie wziął urlopu. Przypomniał, że nie widział jeszcze obiecanego tygrysa, załączył pozdrowienia dla Canninga, zapewnił, że z niecierpliwością wyczekuje spotkania w Kalkucie, i zakończył, wyrażając

ufność, iż może powierzyć swoją malutką protegowaną jej opiece. Już bowiem miał wykupić dziecko, pisał...

- Ach, moja sakiewka! - przypomniał sobie. Znalazł szybko niewielki woreczek z płótna, zawiesił wokół szyi

i nałożył koszulę. Wyszedł na chłodniejsze, bardziej rześkie powietrze i znów zaczął wędrówkę po ulicach. O tej porze spotkał już więcej ludzi, gdyż ogrodnicy śpieszyli się, by dostarczyć świeże warzywa i owoce na targ i do sklepów. Wózki oraz większe wozy zaprzężone w osły, woły i wielbłądy ostrożnie sunęły przez szarzejące ciemności z nieodłącznymi ogonami bezdomnych psów. Na bazarach zapłonęły małe lampki, tu i ówdzie jarzyły się kosze z rozżarzonym węglem, rozpoczynało się już poranne zamieszanie. Ludzie wstawali z łóżek i wnosili je do domów albo odwracali, by uczynić z nich stragany. Stephen zmierzał w kierunku karawanseraju Gharwal, minął kościół Franciszkanów i świątynię Dżain, by wreszcie znaleźć się w alejce, gdzie mieszkała Dil.

Alejka była osobiwie zatłoczona - ludzie wypełniali ją od jednej ściany domów do drugiej. Dopiero po odgonieniu ogromnego byka przed sobą dotarł do trójkątnego straganu, wspartego o przyporę. Tuż przed nim siedziała stara kobieta z lampą po prawej stronie, po jej lewej stronie zasiadał mężczyzna w białej szacie. Przed nimi spoczywało ciało Dil, częściowo zakryte kawałkiem płótna. Obok stała miseczka z kilkoma kwiatkami i czterema miedzianymi monetami. Ludzie stali ciasno w kręgu, z powagą słuchając ochrypłego głosu staruszki. Stephen przedarł się aż do drugiego szeregu, kiedy nagle ugięły się pod nim nogi. Opadł na kolana z głuchym jęknięciem, a w jego sercu rozgorzał nieznośny ból. Widział w swoim życiu tyle przypadków śmierci, że nie mógł teraz się mylić. Długą chwilę tkwił nieruchomo, póki jego doświadczenie nie pomogło mu pogodzić się z tragedią. Jego umysł przegnał otępienie i Stephen usłyszał, jak kobieta wołała o pieniądze, przerywając, by błagać bramina o choć odrobinę drewna, kłócić się z nim i targować. Ludzie zachowywali się uprzejmie, zewsząd padały słowa pociechy i współczucia, a w miseczce pojawiały się drobne datki. Była to jednakże biedna okolica i pieniądze nie starczyłyby nawet na pół tuzina szczap.

- Nie ma tu nikogo z jej kasty - powiedział człowiek stojący obok Stephena. Ktoś inny wymruczał, że to przeklęty pech, gdyż ludzie z jej własnej kasty zatroszczyliby się o drewno na jej stos. Zbliżała się jednak kolejna klęska głodu i nikt nie śmiał nawet myśleć o ludziach spoza kasty.

- Ja jestem z jej kasty - powiedział Stephen, dotknąwszy ramienia człowieka stojącego przed nim. - Powiedz jej, że zapłacę. Powiedz jej, że zapłacę za dziecko i dopilnuję stosu. Człowiek obejrzał się na niego. Wzrok Stephena był nieobecny, jego policzki zapadłe i brudne, skołtunione włosy opadały na twarz, wyglądał na szaleńca lub wygnańca z innych stron. Nieznajomy spojrzał też na pełnych powagi sąsiadów, wyczuł ich aprobatę i wykrzyknął:

- Mateczko, jest tu święty człowiek z twej kasty, który z pobożności wykupi twoje dziecko i dopilnuje jego stosu! Rozmowy rozgorzały na krótką chwilę, potem zapadła martwa cisza. Stephen czuł, jak nieznajomy maca jego sakiewkę, unosi ją i opuszcza z powrotem na pierś, zakrywając ręką koszulę.

Stephen powstał po chwili. Twarz Dil była spokojna, chybotały płomień lampy nadawał jej tajemniczy wyraz, lecz światło rodzącego się dnia pokazywało, że było ono równie chłodne jak morze, opanowane i pozbawione jakichkolwiek emocji. Na skórze jej ramionek widoczne były ślady zrywanych bransolet, lecz niezbyt głębokie - nie było zatem zacieklej szamotaniny. Uniósł ją w ramionach i ruszył przed siebie, a za nim szła staruszka, bramina i kilku przyjaciół. Główka Dil zwiślała z jego ramienia. Świtało już, kiedy mijali bazar. Na brzegu spokojnego morza były już trzy inne grupy.

Modlili się i obmywali jej ciało, potem śpiewali hymny i znów je obmywali, w końcu Stephen położył Dil na stosie. Pierwsze płomienie wydawały się blade w świetle wschodzącego słońca,

potem ogień energiczniej zaatakował drewno sandałowe i nad stosem uniósł się słup dymu, nachylający się delikatnie pod dotykiem rodzącej się bryzy.

- ...*nuncet in hora mortis nostrae* - powtórzył Stephen i naraz poczuł fale obmywające mu stopy. Podniósł wzrok - przy stosie nie było już nikogo, a drewno dopalało się, sycząc, w miarę jak podmywały je fale. Przyptyw przybierał na sile. Pozostał sam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Fregata „Surprise” stała daleko w kanale wyjściowym na pojedynczej kotwicy. Wiatr był dogodny, a wysoka woda maksymalnie przybrała już na sile. Kapitan stał przy relingu, wpatrując się w odległy ląd z gniewnym wyrazem twarzy. Dłonie miał splecione za plecami, uważny obserwator dostrzegłby, jak zaciskały się lekko od czasu do czasu. Młody Church przepełniony bliżej nieokreśloną radością, wybiegł w podskokach z mesy midszypmenów, zakłócając pełną wyczekiwania ciszę. Kryjący w sobie ostrzeżenie wzrok Callowa zatrzymał go w miejscu.

- Uważaj, bo rozpętasz szkwał - mruknął Callow. Jack dostrzegł już łódź odbijającą od okrętu flagowego,

ale nie była to łódź, na którą czekał. Płynął ku niemu kuter okrętu wojennego z jego kufrem i oficerem na pokładzie, z jego pierwszym oficerem, którego krotochwilny admirał przydzielił mu zaraz po powrocie z ćwiczeń artyleryjskich. Jack czekał na zupełnie inną łódź, na miejscową, najprawdopodobniej obskurną krypę i wypatrywał za nią aż do chwili, kiedy kuter przybił do burty fregaty, a oficer wskoczył na pokład.

- Nazywam się Stourton, sir - zaszalutował. - Melduję się pod pana rozkazy.

- Cieszę się, że wreszcie pana widzę, Stourton - powiedział Jack z wymuszonym uśmiechem. - Wejdzmy do mojej kajuty. - Obrzucił brzeg ostatnim spojrzeniem.

Siedzieli w milczeniu. Jack czytał list od admirała, a Stourton ukradkiem zerkał na swego nowego kapitana. Jego ostatni przełożony był ponurym, zamkniętym w sobie człowiekiem, który z ochotą zaglądał do butelki, wiecznie prześladował swoich oficerów, a przez sześć dni w tygodniu zarządzał chłostę załogi na kabestanie. Stourton, jak każdy inny, chcący się utrzymać oficer, zmuszony był ścierpieć tę tyranie, wskutek której załoga wspinała się na górne reje w dwadzieścia dwie sekundy, a sam „Narcissus” stał się najbardziej zadbanym okrętem na wschód od Greenwich. Była to wymuskana fregata z najsurowszymi karami i największą liczbą przypadków dezercji w całej Marynarce Królewskiej.

Za Stourtonem wędrowała zatem reputacja typowa dla pierwszego oficera takiego okrętu, ale siedzący przed Jackiem pocziwy, energiczny i pilny mężczyzna o starannie ogolonej twarzy nie wyglądał na poganiacza niewolników. Jack był jednak świadom, co z człowiekiem może uczynić władza.

- Są różne okręty i różne metody pracy z załogą, jak zapewne pan wie - powiedział, odkładając admiralski list. - Nie jest moim zamiarem krytykowanie innych dowódców, jednak chcę, aby pan wiedział, że na „Surprise” obowiązują moje zasady. Są ludzie, którzy uważają, że pokład powinien wyglądać jak sala balowa, i ja sam do nich należę, pod warunkiem, że tańczyć będziemy płasy bitewne. Rzemiosło wojenne stawiam na równi z rzemiosłem żeglarskim, a okręt z niezadowoloną załogą nigdy nie sprawdzi się w boju. Jeśli działa są wypucowane, że aż błyszczą, jeśli pełną burtą trafiamy w cel i szybko stawiamy żagle, to nic mnie nie obchodzi garstka odpadków wciśnięta pod karonadę. Nie chcę, by moje słowa przedostały się poza tę kajutę, lecz nie uważam, by należało chłostać za byle błahostkę. Kary cielesne nie mają na „Surprise” bogatej tradycji. Jeśli załoga jest zdyscyplinowana i wypełnia prawidłowo swoje obowiązki, a oficer nie umie utrzymać tego stanu inaczej, jak poprzez ustawiczne chłostanie, znaczy to, że nie zna się na swoim fachu. Nie znoszę brudu i niechlujstwa, ale wypucowany na połysk okręciak z załogą pozbawioną ducha bojowego to rzecz znacznie gorsza. Pewnie pan powie, że zapuszczony okręt również nie nadaje się do prowadzenia działań bojowych, i będzie

pan miał rację, zatem pana zadaniem będzie utrzymanie okrętu w stanie optymalnym. Kolejną rzeczą, o której chcę panu powiedzieć, byśmy się dobrze rozumieli od samego początku, jest to, że nienawidzę braku punktualności. - Zakłopotanie na twarzy Stourtona pogłębiło się. Nie była to jego wina, lecz na pokład zameldował się przerażająco późno. - Nie adresuję tego bezpośrednio do pana, ale zwrócił pan pewnie uwagę, że młodzi dżentelmeni na środkowej i porannej wachcie to dranie bez poczucia obowiązku i spóźniają się na zmianę wachty. Na tym okręcie mało kto jest punktualny - choćby teraz, w szczytowym momencie przypływu, wstrzymuje nas tutaj... Naraz dostyszał hałas łodzi, dobijającej do burty, a potem kłótnię o opłatę za przejazd. Jack nadstawił ucha, po czym zerwał się z krzesła i runął w stronę pokładu z wyrazem wzburzenia na twarzy.

*„Surprise” na morzu
Najdroższa!*

Po kłopotach z kapryśnymi wiatrami w rejonie Lakkadiwów złapaliśmy wreszcie monsun i mogę wrócić do mojego listu z głową wolną od trosk. Płyniemy w tej chwili przez Cieśninę Ósmego Stopnia z wyluzowanymi szotami, mijając Wyspy Minicoy na północnym zachodzie ku północy, w odległości czterech mil morskich. Ludzie powoli dochodzą do siebie po trudach remontu w Bombaju. Przyznaję, że nieźle ich przycisnąłem, ale okręt sunie teraz pod pełnymi żaglami na południowy wschód niczym ogier czystej krwi na Epson Downs. Nie dokonałem wszystkich napraw w stoczni, jakie były konieczne, ale bardzo mi zależało na wypłynięciu siedemnastego. Nie jestem całkiem zadowolony ani z trymu, ani założenia baksztagu, ale nie zasypialiśmy gruszek w popiele i z wiatrem na dwa rumby od rufy fregata steruje niczym żagłówka. To już nie ta żalosna „Surprise”, którą wprowadziliśmy na redę Bombaju, naprędce połataną i z pracującymi pompami. Wczoraj zrobiliśmy 172 mile i w tym tempie za tydzień będziemy na wysokości Cejlonu i weźmiemy kurs na Kampong. Fregata wciąż ma tendencję do wychodzenia z wiatru, ale mamy dwa tysiące mil na poradzenie sobie z tym problemem. Nawet przy obecnym trymie jestem pewien, że dalibyśmy radę prześcignąć każdy okręt wojenny na tych wodach. Z tak oczyszczonym dnem nawet na „Lively” postawiłbym topżagle i pewnie nawet bomkliwer.

To ogromna przyjemność, kiedy okręt łapie w żagle nawet lekkie podmuchy i wyrywa do przodu przy silniejszej bryzie i byłbym całkowicie szczęśliwy, gdybyśmy tylko płynęli na zachód, a nie na wschód. W drodze do domu nie wahałbym się postawić nawet bombramsli i żagli bocznych. Moi ludzie sprawili się wyjątkowo dobrze w Bombaju, za co jestem im głęboko wdzięczny. Tom Pullings to naprawdę niezwykły człowiek! Niestrudzenie pchał swych ludzi do pracy i sam harował jak szatan dzień i noc, a gdy admirał przysłał nam Stourtona, by ten objął stanowisko pierwszego oficera, kiedy w zasadzie cały remont był już zakończony, nie usłyszałem od Pullingsa ani słowa skargi. To była ciężka praca, a jeszcze więcej przypadło mu jej w udziale z chwilą zachorowania bosmana. Nie wydaje mi się, by opuścił okręt więcej niż raz, mówiąc beztrzesko, iż zna Bombaj, był tam wiele razy i nie wywarł na nim większego wrażenia niż Gosport. Na szczęście rozeszła się plotka, że eskadra Linois była w okolicach Przylądka Kormorana, to podtrzymało ducha pracy w załodze. Nie przeczyłem, choć trudno mi było uwierzyć, że dotarł tak daleko na zachód.

Na Boga, cóż to była za harówka w tym upale! Bowes, nasz ochmistrz, okazał się wielce pomocny - nie dziwi cię to? Prawdziwy z niego marynarz, on i Bonden, dopóki ten drugi nie poparzył się smołą, zastępowali bosmana w sposób godny podziwu. William Babbington również, to wspaniały młody człowiek, choć z chwilą zejścia na ląd usidliła go jakaś pożalowania godna miejscowa dziewczucha i trzeba go było trzymać pod nadzorem. Niemniej kiedy zabraliśmy się na dobre do pracy w wyniku pewnych osobliwych okoliczności, o których ci zaraz opowiem, również dał z siebie wszystko. No i młody Callow, choć brzydal z niego straszny, nieźle się zapowiada - dobrze, że młodzi midszypmeni widzieli generalny remont prze-

prowadzany w wielkim pośpiechu, gdyż niektórych reperacji nie widzi się, gdy okręt jest na służbie. Trzymałem ich na okręcie przez cały czas. Sam również rzadko schodziłem na ląd z wyjątkiem oficjalnych wizyt i uroczystego obiadu u admirała. A teraz, najdroższa Sophie, pisząc ten list, wpływam na płytkie wody bez map z wielkim ryzykiem utknięcia na mieliźnie, gdyż, jak wiesz, nie jestem ekspertem w sztuce przelewania słów na papier. Postaram się jednak oddać to, co myślę, jak najlepiej, pokładając wielką wiarę w tym, iż prawidłowo odczytasz me słowa. Ledwie godzinę przed otrzymaniem listów od Ciebie, ku mojemu zaskoczeniu dowiedziałem się, że Diana Villiers jest w Bombaju oraz że zarówno Ty, jak i Stephen, wiedzieliście o tym. Uświadomiłem sobie wówczas dwie rzeczy. Po pierwsze, pomyślałem, że gdybym zszedł wtedy na brzeg, mogłoby to wywołać Twój niepokój, po drugie, ogarnął mnie lęk o Stephena. Stephen nigdy nie prosił mnie o dyskrecję w tej sprawie, więc nie nadużyję chyba jego zaufania, mówiąc, że on schodził na ląd. Co więcej, obawiam się, że wciąż jest w niej zadurzony. Ciężko zgłębić jego zamysły i nawet nie próbuję tego dokonać, ale kocham go mocniej niż ktokolwiek na świecie poza Tobą i w tym przypadku moje oddanie wobec niego udziela mi odpowiedzi tam, gdzie nie starcza mi intelektu. Był ożywiony niczym dziecko, kiedy podchodziliśmy do sondowania, już wtedy mnie to zastanowiło. Ożywił się też, gdy wspomniałem jej imię, choć starał się to ukryć. Od początku wiedział, że ona będzie w Bombaju. Po zejściu na ląd odkrył, że Diany nie ma w mieście, że wyjechała gdzieś na prowincję, ale wróci do siedemnastego. Niezwykle zależało mu na tym, by ją ujrzeć. Przemyslałem to i doszedłem do wniosku, że albo Diana wykorzysta go w niegodny sposób, albo Stephen stawi czoło Canningowi, albo wydarzą się obie te rzeczy. Stephen powrócił już do pełni sił, ale wciąż nie nadaje się ani do stawiania nikomu czoła, ani też do poddawania się kolejnym torturom.

Zdecydowałem więc wypłynąć na morze z tą datą, tym bardziej że szybciej dotarłbym wtedy do domu. Pochlebiałem sobie, że uda mi się to dzięki tej dzikiej harówce, choć często dręczyły mnie wątpliwości. Stephen zaś zniknął na całe dni i wściekałem się, że opuszcza służbę i nie dopilnowuje zaopatrzenia szpitalika. Nie mogliśmy go znaleźć, nie zostawiał ani słowa wskazówki, dopiero Stanhope powiedział, że widział jego i Dianę podczas pikniku na Wyspie Słoniowej. Powziąłem wtedy decyzję, że wrzucę go do aresztu, gdy tylko go dorwę, ale to ostatnie okazało się niemożliwe. Byłem zarówno wściekły, jak i głęboko zatroskany, powziąłem więc decyzję o udzieleniu mu służbowej nagany i ochrzanieniu na osobności.

Staliśmy już na ostatniej kotwicy przy kanale wylotowym, kiedy w końcu pojawiła się jego łódź. Upał, niepokój, gniew, zmęczenie po całonocnym oczekiwaniu i kilka głupich uwag sekretarza Stanhope'a - wszystko to sprawiło, że chciałem postać w jego stronę salwą burtową. Kiedy jednak go ujrzałem, zmiękło mi serce - wciąż nie mogę zapomnieć, jak żałośnie wyglądał. Jego skóra była ciemna jak u tubylca, ale wciąż wydawał się blady czy może raczej szary.

Jesteśmy na morzu już od kilku dni, żeglując z dobrym wiatrem na spokojnym, ciepłym morzu - wiadomo, że taka żegluga to najlepsze lekarstwo na zapomnienie ciemnych stron postoju w porcie, a mimo to Stephen wciąż nie odzyskał pogody ducha. Boję się, że Diana naprawdę mocno go skrzywdziła. Życzyłbym sobie teraz, by na pokładzie wybuchała jakaś łagodna choroba, może to by go poruszyło, ale jak dotąd na liście chorych jest tylko jedno nazwisko - Babbington. Z wyjątkiem Rattraya i kilku innych, cierpiących na udar słoneczny, reszta załogi ma się zaskakująco dobrze. Nigdy nie widziałem Stephena tak przybitego i cieszę się, że zrezygnowałem z udzielenia mu nagany. Na nic by się to zdało teraz, kiedy żyjemy wraz z ludźmi Stanhope'a w strasznym ścisku. Mimo to mogę chyba żywić nadzieję, że cała ta afera z Dianą zakończyła się na dobre, a resztę załatwi rozłątka i stona woda. Widzę go teraz, jak siedzi naprzeciwko mnie na schowku na prawej burcie i studiuje słownik malajski - wygląda bardzo staro. Jakże ja bym chciał natknąć się na którąś z fregat monsieur de Linois i zwrócić się burtą w jej stronę! Ostro trenujemy teraz strzelanie, nie mam cienia wątpliwości, że byśmy jej przygrzali! Nic tak nie poprawia nastroju jak walka. Nawet zdobycie okrętu wojennego nie przynosi

wiele przyzowego, bo zanim się go przejmie, samemu z reguły nieźle dostaje się w skórę. Jednak i taki przyz starczyłby na domek dla nas! Tyle myślałem o domku dla nas, Sophie! Pullings zna się na tych sprawach, bo jego rodzice prowadzą farmę, wypytywałem go więc o tajniki uprawy ziemi. Wydaje mi się teraz, że dwójka ludzi przyzwyczajonych do życia bez wielkich luksusów może całkiem nieźle żyć z dobrego spłachetka ziemi średniej jakości. Nigdy mi nie zbrzydzie zielenina czy ziemniaki po tylu latach okrętowej kuchni! Spójrz na rysunek, zastanowiłem się już nad płodozmianem - działka A przeznaczona jest pod warzywa na pierwszy rok. Bóg jeden wie, kiedy dostaniesz ten list, być może oddam go na statek z chińskiej floty Kompanii, jeśli takowy spotkamy. Wiele z nich nie zatrzymuje się ani w Madrasie, ani w Kalkucie, list otrzymałabyś wtedy przed Bożym Narodzeniem. Ruchy statków handlowych zależą teraz od Linois, żaden nie popłynie, jeśli Francuzi będą w pobliżu cieśniny Malakka. Możliwe więc, że sam spełnię rolę listonosza.

Zamyślił się na moment, widząc oczyma wyobraźni równiutkie rzędy główek kapusty, kalafiorów, porów, wszystkie warzywa dorodne i dobrze pielęgnowane, nie tknięte przez gąsienice czy larwy. Wyobraził sobie przy ogródku strumień z pstrągami, z brzegami porośniętymi soczystą trawą i pasącą się na nich parę dorodnych krów. Idąc w dół strumienia, ujrzałby kanał z płynącymi na nim okrętami. Nad kanałem unosiła się lekka mgła, przez którą dostrzegł naraz uśmiech Stephena.

- Powiesz mi, o czy tak dumałeś? - spytał. - Musiały to być przyjemne myśli.
- Myślałem o małżeństwie - odparł Jack. - I ogrodzie, który chciałem założyć.
- To trzeba mieć ogród po ślubie? - wykrzyknął Stephen. - Nie wiedziałem.
- Z pewnością trzeba. Oto oczyma wyobraźni widzę, jak zdobyłem przyz, mam ogród i kapusta rośnie w pięknych, równych rzędach. Nie wiem, czy zdobędę się na ścięcie pierwszej z nich. Stephen! - wykrzyknął nagle. - Chcesz zobaczyć pamiątkę z mojej młodości? Chciałem ci to pokazać, kiedy zakotwiczył przy naszej burcie okręt warsztatowy, ale nie pojawiłeś się. Zachowałem ją jednak. Ten widok podniesie cię na duchu.

- Z przyjemnością obejrzę pamiątkę z twojej młodości - powiedział Stephen i obaj poszli na słoneczny pokład, tchnący teraz spokojną atmosferą niedzielnego popołudnia. Tent dla zaimprovizowanego ołtarza wciąż był rozstawiony, a w jego cieniu starali się zrelaksować podwładni Stanhope'a, oficerowie i większość midszypmenów. Nie było to proste zadanie, gdyż po mszy na pokładzie pojawiły się klatki z kurami ze wszystkich mes wraz z kózką Stanhope'a. Skoro „Surprise” płynęła teraz pełnym wiatrem i na pokładzie niewiele było cienia, ptactwo również stłoczono pod osłoną tentu. W tym samym czasie rytualny spacer wzdłuż burty odbywał oficer wachtowy z lunetą pod pachą, a jego mat i midszypmen starali się naśladować go na pozostałej wolnej przestrzeni po przeciwnej stronie pokładu rufowego. Oprócz tego za kołem trwał sternik, nad jego ruchami czuwał pomocnik nawigatora, dwaj chłopcy okrętowi pełniący rolę posłańców tkwili na wyznaczonych miejscach, posłusznie niczym myszki, a pośród tego zamieszania kręciła się jeszcze energicznie młoda mangusta, strasząc kury zamknięte w klatkach. Jack zatrzymał się na chwilę, by pochwalić White'a za kazanie, w którym mocnymi słowami zbijał argumenty zwolenników arminianizmu. Spytał też o zdrowie Stanhope'a, który zdołał dziś przełknąć suchy tost i odrobinę rosółu, i liczył na to, że za dzień czy dwa będzie mógł, jak dawniej, spacerować po pokładzie.

Wraz ze Stephenem ruszyli wzdłuż burty, mijając marynarzy w niedzielnych ubraniach. Wielu z nich miało bajecznie kolorowe chusty indyjskie. Niektórzy gapili się na morze nad siatkami z hamakami, inni gawędzili z kolegami siedzącymi na ławach wantowych, kilku spacerowało, rozkoszując się beczynnością. Wkrótce obaj znaleźli się na pokładzie dziobowym - tam to dopiero panował tłok! Pod pokładem było gorąco nie do wytrzymania, więc załoga zgromadziła się na dziobie, przypatrując się grze z prowincji angielskiej, która polegała na robieniu jak najokropniejszych min przez chomąto. Chomąto zastąpiono pętlą, przez którą na

co dzień przewlekano zwinięte hamaki, a wnioskując z niezmiernej uciechy widzów, największe szanse na zwycięstwo miał Choles, młody asystent chirurga. Chłopak miał zostać rzeźnikiem na wyspach Bahama, ale kiepska głowa do matematyki uniemożliwiła mu podjęcie tej pracy. Przy stole operacyjnym sprawdzał się jednak nieźle, a przy sekcjach zwłok jeszcze lepiej. Na co dzień zwykł trzymać się z daleka od ciemnej, niedouczzonej części załogi, ale teraz, folgując młodzieńczemu entuzjazmowi i dając się porwać skutkom wypitego grogu, purpurowy z wysiłku szczerzył zębiska niczym gotycki gargulec. Kiedy spojrzenie jego przekrwionych oczu napotkało wzrok Stephena, twarz natychmiast odzyskała normalny kształt i przybrała nieszczęśliwą minę na pograniczu powitania i zakłopotania. Wyzwolenie się z pętli zabrało mu już znacznie więcej czasu.

Nie zauważony przez nikogo, cichy niczym duch, Jack jął wspinać się po wantach fokmasztu, wetknął głowę przez *lubber's hole* i usłyszał grzechot rzuconych kości. Kości oznaczały hazard, a zatem przewinienie karane pięćdziesięcioma uderzeniami różgi przy kabestanie. „Kapitan!” - jęknął ktoś z przerażeniem. Spojrzał w dół, by pomóc Stephenowi i gdy w końcu wspiął się na mars, oniemiał winowajcy zbili się w kupkę przy lewych jufersach. Przyzwyczajeni byli do niezwyklej ruchliwości swojego kapitana, ale widok jego samego, pojawiającego się na marsie, nie dość, że w niedzielę, to jeszcze przez *lubber's hole*, przechodził ich pojęcie. Faster Doudle, jedyny, który zachował przytomność umysłu, wcisnął kostki to ust i wbił nieobecne spojrzenie w horyzont. Z jego twarzy jasno można było wyczytać przestrach człowieka, który wie, że właśnie popełnił przestępstwo. Jack uśmiechnął się i obdarzył go przelotnym spojrzeniem, po czym usiadł na płótnie zwiniętego żagla bocznego, by pomóc Stephenowi dostać się na platformę. Całkowicie przy tym zignorował jego wrzaski, że sam doskonale da sobie radę i że setki razy sam włąził na mars po wantach. W końcu Stephen sam usiadł na żaglu, oddychając ciężko. Włożył mnóstwo wysiłku we wspinaczkę i pot ściekał teraz po jego chudych policzkach.

- A więc to mars foka - stwierdził w końcu. - Byłem na marsie stermasztu i grotmasztu, ale tu nigdy. Wygląda tak samo jak inne, naprawdę. Ta sama przemyślna kombinacja kolumn, łączeń i tych tu okrągłych przedmiotów... zauważyłeś, mój drogi panie, że między marsami nie ma żadnej różnicy?

- Dziwaczny zbieg okoliczności, czyż nie? - powiedział Jack. - Nie przypominam sobie, by ktokolwiek wcześniej to zauważył.

- Czy ta pamiątka jest tutaj?

- Nie, nie całkiem tu. Trochę wyżej. Nie masz nic przeciwko temu, byśmy się wspięli jeszcze wyżej?

- Nie - odparł Stephen, patrząc w górę, gdzie ku niebu piął się pień masztu, jedyny prosty kształt na tle bieli żagli pociętej linami takielunku. - Masz na myśli następne piętro? Zdejmę więc kurtkę, bryczesy i rajstopy. Rajstopy z owczej wełny kosztują trzy szylingi dziewięć pensów para, szkoda by je zmarnować - powiedział, odpinając je i przyglądając się jednocześnie ludziom przy relingu marsu.

- Fasterze Doudle - powiedział. - Pomógł mój rabarbar? Jelita sprawują się jak należy? Pokaż język.

- Nie, nie w niedzielę, doktorze - powiedział Jack. Faster Doudle świetnie sobie radził na górnych rejach i Jack nie chciał być zmuszonym go ukarać. - Zapominasz, że dzisiaj jest niedziela. Mellish, zaopiekuj się peruką doktora, włóż do niej pieniądze i zegarek i przykryj chustką. Stephen, idziemy, chwyć się mocno samej wanty, a nie podwantek. Nie patrz w dół. Ze spokojem, będę tuż za tobą.

Wspinali się wyżej i wyżej, mijając obserwatora na noku rei, i wciąż wyżej. Jack przesunął się na drugą stronę masztu, wspiął na saling i wciągnął tam ciało uległego nagle Stephena, przymocował go liną i kazał otworzyć oczy.

- Cóż za widok! - wykrzyknął Stephen, odruchowo przytulając się do masztu. Siedzieli teraz wysoko nad powierzchnią morza, a przez szpary między marsłami i sztakslami dostrzegali malutki pokład i ludzi małych niczym lalki, z tej wysokości poruszających się w nieproporcjonalny sposób i stawiających zbyt długie kroki.

- Cudownie! - wykrzyknął znów. - Jakie rozległe wydaje się morze, jakie lśniące! Jack śmiał się, widząc radość na jego twarzy i lśniące, pełne ciekawości oczy.

- Spójrz w stronę dziobu - powiedział.

Na fregacie nie postawiono jeszcze żagli dziobowych, gdyż wiatr wiał na razie głównie z rufy. Napięte liny foksztagów bieły więc ostro w dół, tworząc z pokładem elegancki kąt ostry. Pod nimi widzieli dziób fregaty z zaokrąglonymi relingami i wyrastający zeń bukszpryt, sięgający daleko w nieskończoność oceanu. W stałym, niezmiennym rytmie burty unosiły się i opadały w ciemnoniebieskie wody, rozbryzgując fale i odsyłając je na boki ze strumieniami piany. Stephen dłuższą chwilę spoglądał w dół. Za każdym razem, kiedy dziób fregaty opadał w dół, przesuwali się w powietrzu jakieś pięćdziesiąt stóp, potem powoli cofali, chwila przerwy i znów opadali ku przodowi.

- Znacznie czystsze tu powietrze - powiedział w końcu.

- Tak - potwierdził Jack. - Zawsze tak było. W czystszym powietrzu napór bombramsli równa się naporowi żagli głównych, a czasem nawet jest większy! - Spojrzał ku górze, na nagi maszt bramstengi wskazujący bezchmurne niebo. Rozmyślał właśnie nad dynamicznymi zaletami umocowania masztu, gdy inna myśl podpowiedziała mu, że jest nieuprzejmy wobec Stephena - doktor zadał mu wszak pytanie, na które Jack wciąż nie odpowiedział. Zrekonstruował je w myślach: „Czy rozważałeś kiedykolwiek żeglugę, przyjmując okręt jako terażniejszość, nie tknięte jego dziobem fale jako przyszłość, a odkos dziobowy jako bezpośredni dowód na istnienie?”

- Nie, nie wydaje mi się, bym kiedyś to tak rozważał. Ale mądrze to ujmujesz, kiedy morze jest tak przyjazne jak dziś, podoba mi się każde stwierdzenie. Mam nadzieję, że dobrze się tu bawisz, Stephen?

- Bardzo. Rzadko co bardziej mnie porusza i wprawia w większy zachwyt. Jestem ci wdzięczny, że zmusiłeś mnie do wspinaczki tak wysoko. Ty bywałeś tu pewnie całkiem często, nieprawdaż?

- Mój Boże, kiedy służyłem na tym okręcie jako midszypmen, stary Fidge wysyłał mnie na top masztu za byle co. Był dobrym żeglarzem, ale popędliwym człowiekiem. Zmarł na żółtą febrę w 1797. Spędziłem tu całe lata, tu właśnie odbywała się większość mojej nauki.

- Cenne miejsce.

- Ach! - wykrzyknął Jack. - Gdybym dostał jedną gwineę za każdą spędzoną tu godzinę, nie martwiłbym się o przyzy ani nie dyskontowałbym weksli z wypłaty w przyszłym kwartale! Dawno już byłbym żonaty.

- Kwestia pieniędzy zbyttno zaprzęta twój umysł. Mój czasami też, chciałbym być tak bogaty, by bez żalu darować przyjacielowi sznur pereł! A z drugiej strony, w posiadanie wielkich fortun wchodzi często tak głupi ludzie, czasem nawet zgoła bez wysiłku, bez handlu, nawet bez posiadania produktu, po prostu przez nakreślenie kilku cyfr na papierze. Mój Pers z Bombaju na przykład powiedział mi, że gdyby tylko znał obecną lokalizację eskadry Linoisa, wraz ze współnikami zarobiłby cały stos rupii.

- Jak by to zrobił?

- Przez różnego rodzaju spekulacje, głównie na ryżu. Bombaj sam się nie wyżywi, a z eskadrą Linois przy Mahe żaden statek z ryżem by nie przyplłynął. Ceny wzrosłyby niesamowicie i zgromadzone zapasy mojego Persa poszłyby za ogromną sumę - oto jest indyjska fortuna. Nawet nieprawdziwa, lecz umiejętnie rozprowadzona i poparta autorytetem uczciwego człowieka plotka mogłaby do czegoś takiego doprowadzić. Nazywają to braniem rynku na postronek.

- Tak? Ach, niech ich wszystkich szlag trafi! Pokażę ci moją pamiątkę. Udało mi się ją zachować i na Madagaskarze, i w Bombaju. Będziesz musiał wstać, Stephen, ostrożnie, chwyć się tej śruby. Tu!

Wskazywał stary, wytarty od lin wielki kłoc drewniany, który obejmował dolny koniec stengi i górny bramstengi.

- Wycięliśmy go z pnia drzewa o zielonkawym kolorze, gdzieś nad potokiem na jednej z wysp posiadłości hiszpańskich. Będzie jeszcze służył przez następne dwadzieścia lat. A oto jest moja pamiątkę. Widzisz?

Na szerokiej obwódce czworokątnego otworu na górnym końcu stengi widniały starannie wyrzeźbione inicjały J.A., podtrzymywane z obu stron przez rozczochrane postacie, które przypominały manaty, choć zapewne miały to być syreny.

- Podniosło cię to na duchu?

- Oczywiście - powiedział Stephen. - Dziękuję, że mi to pokazałeś.

- Podniosło cię, cokolwiek byś powiedział. - Uśmiechnął się Jack. - Podniosło cię jakieś pięćset stóp nad pokład, ha, ha, ha! Ech, od czasu do czasu udają mi się dowcipy! Nie zorientowałeś się, o co mi chodzi, nie?

W chwilach, kiedy Jack był tak rozbawiony, gdy śmiał się całym swym potężnym ciałem, aż jego czerwona twarz jaśniała, a zmrużone, niebieskie oczy tryskały wesołością, niepodobna było oprzeć się zaraźliwej wesołości. Stephen naraz poczuł, jak jego usta z wolna rozchylają się, oczy lekko mrużą, a oddech przerodził się w serie urwanych kaszlnięć.

- Jestem ci niezwykle wdzięczny, mój drogi - powiedział - za to, że zabrałeś mnie na tę pełną niebezpieczeństw wędrowną do tego niezwykłego miejsca, na sam szczyt okrętu. W istocie podniosło mnie to na duchu zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Podjąłem decyzję, że będę się tu codziennie wspinał. Już pogardzam moim marsem stermasztu, ongiś moją ultima Thule, teraz to nawet chciałbym aż tam dotrzeć. - Ruchem głowy wskazał top bramstengi. - Jeśli jest coś, czego może dokonać małpa albo spasiony kapitan fregaty, jest to również i w moim zasięgu.

Te słowa i postanowienie, z którym zostały wypowiedziane, starty uśmiech z twarzy Jacka.

- Niech każdy zajmuje się tym, co potrafi - zaczął szczerze. - Zarówno małpy, jak i ja sam...

- Na pokładzie! - krzyknął marynarz na oku, kierując jednakże słowa w górę. - Żagiel na horyzoncie!

- Gdzie? - odkrzyknął Jack.

- Dwa rumby na lewo od dziobu!

- Panie Pullings! Panie Pullings! Proszę przesłać moją lunetę na saling foka!

W chwilę później dotarł do nich Callow, przebywszy bez zatrzymania drogę od kajuty kapitańskiej aż po saling. Biała plamka na południowym wschodzie przybliżyła się - nieznanomy okręt płynął prawym halsem pod marszlami i żaglami głównymi. Już widać było jego ciemny kadłub, wznoszący się na fali. Jego odległość od „Surprise” wynosiła w tej chwili cztery mile morskie. „Surprise” płynęła z prędkością siedmiu, ośmiu węzłów i wobec nieznanego okrętu była na nawietrznej. Mieli więc mnóstwo czasu.

„Nie wolno stracić ani minuty!” - było jednak dewizą Jacka, głęboko zakorzenioną w jego świadomości.

- Niechże pan zasuwa wyżej, panie Callow, i proszę nie obserwować samego pościgu, ale morze za nieznaną fregatą.

Doktorze, niech się pan nie rusza przez chwilę. - Wezwał na górę Bondena i jął zsuwać się po wantach z pośpiechem. W połowie drogi spotkał wspinającego się Bondena. - Ściągnij doktora na pokład, tylko ostrożnie! - zawołał w przelocie. - Ma się ubrać i pozostać na marsie. Szybko znalazł się na pokładzie rufowym

- Co tam widzieli, kapitanie? - wykrzyknął Atkins, biegnąc w jego kierunku. - Czy to wróg? To Linois?

- Panie Pullings, cała załoga do stawiania żagli! Postawić grotbramsel, żagle boczne i bombramsle! Podciągnąć reję fokmarsla!

- Tak jest, sir! Postawić grotbramsel, żagle boczne i bombramsle! Podciągnąć reję fokmarsla! Świst bosmańskiego gwizdka popędził krzątających się marynarzy, po pokładzie niósł się tupot niedzielnych butów, Jack usłyszał również przenikliwy wrzask pana Atkinsa, tratowanego przez podwachtę stermasztu. Po kilku chwilach z chaotycznej bieganiny wyłoniły się zwarte grupy ludzi zarówno na pokładzie, jak i na masztach, czekające przy linach na rozkaz. Wśród panującej ciszy padły pierwsze rozkazy - szybko wybrano szoty i żagle wypełniły się żywszym wiatrem, okręt wyraźnie skoczył do przodu. Naraz odgłosy i rytm kołysania się okrętu stały się żywsze, niczym po przebudzeniu. Na ostatni krzyk: „Obkładać!” Jack spojrział na zegarek. Załoga radziła sobie nieźle, do chłopaków z „Lively” i ich minuty czterdziestu sekund sporo im jeszcze brakowało, ale i tak wynik był nie najgorszy. Dojrzał zaskoczenie, malujące się na twarzy nowego pierwszego oficera. Sam uśmiechnął się w duchu.

- Kurs południowo-zachodni ku południowi - powiedział do sternika. - Panie Pullings, może pan zwolnić wachtę.

Wachta zniknęła pod pokładem jedynie na chwilę, by zrzucić świąteczne odzienie, koszule z podszywanymi wstążkami, nieskazatelnie czyste białe spodnie i buty i pojawić się z powrotem na pokładzie dziobowym i marsie fokmasztu w ubraniach codziennych. Wszyscy byli wpatrzeni w żagiel na horyzoncie.

Jack rozpoczął swój rytualny spacer od uskoju pokładu rufowego aż po reling, za każdym zwrotem spoglądając na takielunek i na ofiarę ich pościgu. Tak, w drapieżnych oczach kapitana fregaty nieznany okręt już stał się ofiarą pościgu, choć daleko mu było do ucieczki. Wręcz przeciwnie, coraz bardziej zbliżał się do kursu kontaktowego z „Surprise”. W tej chwili okręt był plamą bieli tuż pod dolnym żaglem bocznym na lewej burcie i jeśli utrzymałby swój kurs na wiatr, niebawem zniknąłby za nim. Główny napór szedł w tej chwili na kadłub fregaty i górne maszty na moment przestały skrzypieć z napięcia, a napięte niczym żelazne pręty baksztagi opadły luźniej. „Surprise” sunęła przez fale z marslem, bramslem, bombramslem i oboma żaglami bocznymi na grotmaszcie. Grotżagiel był zwinięty, by wiatr mógł wypełnić, żagiel główny i dwa rozpostarte niczym skrzydła boczne na fokmaszcie. Jack na razie nie kazał stawiać fokmarsla, gdyż grotmarsel zabrałby mu cały wiatr, ale reja fokmarsla i żagle boczne były w pogotowiu. Wciąż nie stawiali żagli na stermaszcie. Fregata sunęła gładko przez fale, z energią opadając dziobem w dół i nawet nie próbując zbaczać z kursu. Przy tej prędkości kursy „Surprise” i nieznanej fregaty powinny się zbiec za godzinę lub nawet mniej - musiałby zredukować powierzchnię żagli. Gdyby cel ich pościgu nagle zmienił kurs i zaczął uciekać, wciąż miał w zanadru żagiel rozprzowy i pozostałe żagle boczne, a to oznaczało dwa, trzy węzły więcej.

Cywili uciszono lub zapędzono pod pokład. Pan Stourton krzątał się bezgłośnie, przygotowując okręt do rozkazu przystąpienia do boju, a na pokładzie i wśród lin zapadła niemal absolutna cisza. Jedyнным słyszalnym odgłosem był szum wody prześlizgującej się wzdłuż burt i z pluskiem wpadającej w ślad torowy fregaty.

Wybito sześć szklanek. Braithwaite, mat wachtowy, podszedł do relingu z logiem w ręku.

- Klepsydra gotowa? - zawołał.

- Gotowa! - wykrzyknął pomocnik nawigatora. Braithwaite uniósł log i cisnął go za reling.

- Odwrócić klepsydrę! - krzyknął, gdy między palcami poczuł pierwszy supeł. Bęben zazgrzytał głośnie.

- Zatrzymać! - wykrzyknął dwadzieścia osiem sekund później pomocnik nawigatora.

- Jedenaście węzłów i sześć sążni! - zameldował Braithwaite Pullingsowi, starając się z całych sił nadać swej rozradowanej twarzy wyraz oficjalnej powagi. Marynarze nasłuchiwali z uwagą, po pokładzie poniósł się szmer pełnych zadowolenia komentarzy.

- Tak trzymać - powiedział Pullings i zbliżył się do Jacka.

- Jak nam idzie, panie Pullings? - spytał kapitan.

- Jedenaście węzłów i sześć sążni! - Pullings wyszczerzył zęby.

- Ho, ho! - zdumiał się Jack. - Ledwie mogę w to uwierzyć! Aż tak dobrze? - Jego pełen uwielbienia wzrok przesunął się po pokładzie aż po porządek, łopoczący na wietrze niemalże dokładnie nad jego głową. „Surprise” zawsze była dzielnym okrętem, ale nigdy nie widział jej osiągającej aż taką prędkość! Tymczasem ofiara pościgu zniknęła z jego pola widzenia i, stojąc na rufie, nie ujrzał jej aż do chwili wejścia w zasięg strzału armatniego. Stephen siedział na kabestanie, jedząc mango i obserwując mangustę, szamoczącą się z jego chustką.

- Robimy jedenaście węzłów - powiedział doń Jack.

- Och, przykro mi! - odparł Stephen. - Jestem głęboko przejęty! Czy da się temu jakoś zaradzić?

- Obawiam się, że nie! - pokręcił głową Jack. - Pójdziemy na dziób?

Na dziobie okazało się, że ścigany okręt jest bliżej, niż Jackowi się wydawało. Wciąż nie zmienił ani kursu, ani żagli.

- Mówię to z zastrzeżeniem i pewną nieśmiałością - odezwał się Stephen, podczas gdy Jack ustawiał ostrość lunety wycelowanej w obcą jednostkę - lecz przypuszczam, że nasza prędkość jest całkiem zadowalająca, biorąc pod uwagę fakt, iż nasz okręt jest stary i w nie najlepszym stanie, ba, rzekłbym nawet, że dochodzi swych ostatnich dni. Spójrz na pianę odkosu, bije z obu burt, jakby kto ją łopatą z dołu wyrzucał. Widać przynajmniej z jard jej miedzianego poszycia, pierwszy raz widzę, by okręt tak się pochylał. Już po samych bryzgach na dziobie znać, że płyniemy dość szybko, mój płaszcz jest cały przemoczony. Myślę, że starczy tego pędu, chyba że sam padnę ofiarą nowoczesnej manii bicia rekordów.

- Nasza prędkość jest dobra. - Jack opuścił lunetę, otarł soczewkę i znów ją nakierował. -

Osobiście bardziej zaprzęta mnie tożsamość tej cholernej krypy tam!

Na pokładzie dziobowym napięcie poczęło z wolna opadać, gdyż z każdą chwilą tożsamość obcego statku była coraz bardziej oczywista. Najprawdopodobniej był to jeden z rodzimych okrętów Kompanii, płynących do Bombaju, żaden inny nie utrzymywałby kursu, widząc pędzący w swoją stronę okręt wojenny pod pełnymi żaglami. Pomalowane w kratę burty, rząd dziesięciu furt armatnich i bojowy wygląd nieznanego okrętu mogły zwiędzić obcych, ale na „Surprise” od razu sklasyfikowano obcego jako statek kupiecki.

- Cóż, dobrze, że nie kazałem oczyścić luf pościgówek na dziobie - oznajmił Jack, przechodząc na rufę. - Ładnie byśmy wyglądali, stając naszą najeżoną lufami burtą równo z nimi. Panie Pullings, proszę zwinąć bombramsel i żagle boczne bramsli.

Pół godziny później oba okręty stały w dryfie z marsłami pracującymi wstecz, kołysząc się lekko na fali. Jednonogi dowódca „Seringapatam”, naśladując zwyczaje marynarki, przybił do burty „Surprise” elegancką szalupą z marynarzami przy wiosłach. Postępując, wspiał się na pokład w towarzystwie hinduskiego marynarza, dźwigającego paczkę, oddał salut pokładowi rufowemu i utykając, ruszył ku kapitanowi. Uśmiechając się, wyciągnął rękę w jego stronę.

- Nie poznaje mnie pan? - powiedział. - Theobald, z „Oriona”.

- Theobald, na litość boską! - wykrzyknął Jack, którego natychmiast opuściła cała rezerwa. - Ależ się cieszę, że cię widzę! Killick! Killick! Gdzie jest ten przekłety drań?

- Czego? - warknął Killick dwie stopy za plecami Jacka. - Sir, znaczy się.

- Podaj mrożony poncz w mojej kajucie! Szybko!

- Jak się masz, Killick? - spytał Theobald.

- Da się znieść, sir. Służba nie druźba. Wszystkim nam było przykro słyszeć o pana wypadku, sir.

- Dziękuję, Killick. Przynajmniej na portkach oszczędzam, płacę za jedną nogawkę mniej! Wiedzieliśmy, że to „Surprise” w chwili, kiedy postawiłeś marsle - ponownie zwrócił się do Jacka. - Nigdy bym nie pomyślał, że kiedyś jeszcze ujrzę ten stary grotmaszt.

- Słyszałeś coś o de Linois?

- Nie i niech mnie Bóg ma w opiece. Będzie pewnie teraz przy Isle of France, jeśli nie w okolicach Przylądka Dobrej Nadziei. Na pewno nie ma go na tych wodach.

Zeszli do kabiny na dziobie, a kiedy z niej wyszli, twarz Theobalda była rumiana, a oblicze Jacka niewiele mu ustępowało. Mocne głosy obu kapitanów niosły się po pokładzie, aż Theobald uchwycił szczeble drabinki sznurowej i opuścił się w dół, polegając wyłącznie na sile ramion. Jego czerwona twarz zniknęła za nadburciem niczym zachodzące słońce za horyzontem. Kiedy Theobald dotarł na pokład własnego statku, „Surprise” i „Seringapatam” rozstały się, wymieniwszy zwyczajowe sygnały na pożegnanie. Jack odwrócił się do Stephena i powiedział:

- Musisz być rozczarowany, nieprawdaż? Ani jednego wystrzału. Chodź, pomożesz mi dopić ten poncz. Łódź się kończy i Bóg jeden wie, kiedy znowu napijemy się czegoś zimnego po tej stronie Jawy. Chciałbym prosić cię o wybaczenie, że nie przedstawiłem ci Theobalda - powiedział w kabinie. - Musiałbyś jednak pójść z nami do kabiny, a nie ma nic bardziej uciążliwego niż wysłuchiwanie wrzasków dwóch starych wilków morskich: „A pamiętasz ten trzydniowy sztorm na Mona Passage?”, „A pamiętasz Wilkinsa i to, co wyczyniał z braszem?”, „A co się stało ze starym Blodge'em?” Theobald to dobry człowiek i świetny żeglarz, ale pozbawiony wpływu, a przez to szans na samodzielne dowództwo. Służył przez osiemnaście lat jako pierwszy oficer, a potem stracił nogę, co jego szansę rzecz jasna nie zwiększyło. Zwrócił się więc w stronę Kompanii Wschodnioindyjskiej i teraz tam służy jako kapitan tego wagonu z herbatą. Biedaczysko, w porównaniu z nim jestem szczęściarzem.

- Pewnie. Współczuję mu bardzo. Sprawiał jednak wrażenie człowieka pełnego energii i optymizmu, a Pullings mówił mi, że kapitanowie statków Kompanii często niezwykle się bogacą!

- Bogacą? Tak, tarzają się w złocie, ale żaden z nich nigdy nie wywiesi własnej flagi. Nie, biedaczysko Theobald nigdy nie popłynie pod własną flagą. Tak czy owak, czy dobry z niego przyjaciel czy nie, ma dla nas złe wieści. Po pierwsze, Linois zabrał swoje okręty na Isle of France na remont. Jego eskadra musi mieć spore braki w zapasach, a Francuzi nie mają tu żadnego innego portu. Linois nie wróci zatem na te wody przed monsunem, a w każdym razie nie zbliży się do nas na mniej niż trzy tysiące mil morskich. Druga zła wiadomość to odpłynięcie statków Kompanii Chińskiej. Theobald nie spotkał żadnego z nich w cieśninie Sundajskiej, zatem my też ich nie spotkamy.

- Co z tego?

- Bardzo chciałem nadać moją przesyłkę do Anglii! Sam byś pewnie chętnie skorzystał z okazji. Cóż, słona woda zmyje rozczarowanie, jak zmywa wiele innych rzeczy. Często mnie dziwiło, jak szybko człowiek zapomina, Stephen, już po kilku dniach na morzu. Z chwilą, kiedy znika ląd z widnokładu, to jakbyś ruszał w rejs po Lete. Właśnie powiedziałem, że z chwilą, kiedy znika ląd z widnokładu, to jakbyś ruszał w rejs po Lete!

- Tak, słyszałem. Nie zgadzam się. Co tam leży na tej szafce za tobą?

- To pudło na pistolety.

- Nie, nie, chodzi mi o tę nieudolnie zapakowaną paczkę, z której wystają pióra.

- Ach, to. Właśnie miałem zamiar ci to pokazać. Theobald przyniósł to w prezencie. To dla Sophie - rajski ptak! Czyż to nie miłe z jego strony? Ale zawsze był taki szczodry jak dziś. Znalazł ptaka już dawno temu na Molukach i przyznał szczerze, iż miał zamiar podarować jego pióra swojej ukochanej, by zatknęła je w kapeluszu. Wygląda jednak na to, że dziewczyna skwaśniała i rzuciła go dla jakiegoś prawnika z firmy drobiarskiej. Powiedział mi, że nie przejmował się tym zbytnio, bo czegoż może oczekiwać od życia człowiek z drewnianą nogą? Życzył im nawet szczęścia na przyszłej drodze, a co do piór, wyraził nadzieję, że mnie przyniosą więcej szczęścia. Nie wydaje ci się, że w kapeluszu będą wyglądać zbyt ostentacyjnie? Może lepiej będą wyglądać na gzymsie czy na zasłonie przed kominkiem?

- Cóż za urzekające piękno! Słów mi wręcz brakuje! To ci pyszny ogon! Nigdy jeszcze nie widziałem takiego przepychu połączonego z delikatnością!

Usiadł, ostrożnie obracając w dłoniach przepiękne pióra, układające się w niezwykle, rozłożysty ogon. Jackowi przyszło do głowy pewne żartobliwe skojarzenie drobiu z rajskimi ptakami, ale szybko zaniechał tej myśli - takie żarty były nie w porządku wobec Theobalda.

- Zastanawiałeś się kiedyś nad tymi wszystkimi płciowymi sprawami, mój drogi? - spytał Stephen.

- Nigdy - odparł Jack. - Powstrzymuję się od myśli o uprawianiu miłości.

- Mam na myśli uwarunkowania obu płci i wszelkie obciążenia, jakie za tym idą. Ten ptak, przykładowo, jest obciążony w sposób fizyczny, bo pstrokaty ogon długości jarda przygniata go do ziemi. Takie ptaszysko ledwie może latać, a codzienna rutyna musi być dla niego udręką. Wszystkie te pióra mają w zasadzie tylko jeden cel - zmusić samicę, by uległa jego natręctwu. Jeśli w istocie służą one ukazaniu żaru, jaki w nim płonie, nieźle się biedaczysko musi puszyć i stroszyć.

- Ciekawa myśl.

- Gdyby był kapłonem, jego życie byłoby o wiele łatwiejsze. Zniknęłyby te wszystkie bojowe ostrogi, a on sam stałby się łagodny, spokojny i towarzyski. Gdyby wykastrować całą załogę „Surprise”, wszyscy jak jeden mąż utyliby, stali się przyjaźni i spokojni, a okręt przestałby być śmigającym z niepokojem z miejsca na miejsce okrętem wojennym. Opłynęlibyśmy cały świat bez jednego sprośnego słowa. Nikogo nie rozczarowałoby zniknięcie Linois.

- Już mniejsza o to rozczarowanie. Słona woda z tym się upora. Zobaczysz, jaką błahostką będzie to za tydzień.

Słowa te okazały się prawdziwe - w chwili, kiedy „Surprise” minęła Cejlon i skierowała się na południe ku Morzu Jawajskiemu, znów zapanowała rutyna służby na okręcie. Odgłosy szorowania i polewania pokładu o pierwszym brzasku, świst gwizdka i hamaki lądujące w siatkach, przyjemne zapachy przygotowywanego śniadania, stały porządek zmieniających się wacht, mierzenie pozycji w południe i obiad z grogiem, ćwiczenia na pokładzie i werbel na zakończenie. Wieczorem grzmiały działa podczas ćwiczeń, refowano żagle, wyznaczano nowe wachty i rozpoczynały się ciepłe, gwiazdziste noce, które Jack często spędzał na pokładzie rufowym, wprowadzając dwóch najbystrzejszych midszypmenów w tajniki nawigacji według gwiazd. Ten tryb życia, surowo regulowany nagłym dźwiękiem dzwonu okrętowego, sprawiał wrażenie, jakby porwał całą załogę gdzieś ku wieczności, a fregata mknęła w kierunku równika, by go przeciąć gdzieś na dziewięćdziesiątym pierwszym stopniu długości wschodniej. Codzienne rytuały wachtowe oraz nabożeństwo i czytanie regulaminu wojennego w niedzielę były najlepszym sposobem odmierzenia czasu i nim ów cykl powtórzył się dwukrotnie, przyszłość i przeszłość zlały się w jedno. Wrażenie, które przypadło w udziale każdemu członkowi załogi, było tym silniejsze, że fregata znów płynęła samotnie przez ogromne morze. Otaczało ich dwa tysiące mil morskich ciemnego błękitu fal, których harmonii nie zakłócała najmniejsza nawet wyspa, a najmocniejszy wiejący nad nimi wiatr nie przynosił śladu zapachu jakiegokolwiek lądu. Okręt sam w sobie stał się światem, zamkniętym linią horyzontu.

Poczucie osamotnienia na szerokim oceanie było tym większe, że na tych wodach nie istniała potrzeba niespokojnego lustrowania wschodniego horyzontu - nie mogli natknąć się ani na okręt wroga, ani na potencjalny przyz. Holendrzy mieli do tych wód odcięty dostęp, Francuzi zniknęli bez śladu, a Portugalczycy obecnie byli przyjaciółmi.

Nikt jednak nie pozostawał bez zajęcia. Stourton dobrze znał się na obowiązkach pierwszego oficera, a cechował go nabożny niemal wstręt do jakiegokolwiek brudu czy niedopatrzenia.

Rzadko też wypuszczał z dłoni tubę, a jego głos krzyczący: „Z miotłą tu, z miotłą!” niósł się po pokładach równie często, jak kukanie kukułki w maju, a nawet przypominał je w tonacji.

Stourton od razu zaakceptował kapitańskie poglądy w sprawie dyscypliny, jednak siła przyzwyczajenia również robiła swoje. W efekcie „Surprise” nie musiałaby się obawiać nawet

niespodziewanej inspekcji admirała. Stourton był znacznie energiczniejszy od Herveya, od razu było widać, że lepiej potrafi zatroszczyć się o potrzeby okrętu na służbie. Na zadbanym okręcie z kompetentnym kapitanem każdy pierwszy oficer mógłby z łatwością spełnić owe wymagania, lecz Stourton wykonywał swoje obowiązki wprost perfekcyjnie. Kubryk midszypmenów wczesnym świtem nieraz życzył mu, by szczeł w piekle, lecz dla ustalonej, domowej atmosfery w mesie oficerskiej wrodzona pogoda ducha Stourtona była cennym nabytkiem.

Dzielność morską fregaty była teraz główną troską Jacka. Harrowby, nawigator, nie należał do szczególnie uzdolnionych ani w kwestiach nawigacji, ani rzemiosła morskiego. W pośpiechu przygotowań do odpłynięcia Harrowby dopuścił się nieproporcjonalnego rozsztautowania ładunku i fregata, z jej wdzięcznym zaostrzeniem dziobowym, ani nie trzymała się wiatru tak dobrze, jak mogła, ani też nie wykonywała tak zwinnie i szybko manewrów, jakby Jack sobie życzył. Okręt żeglował wspaniale jak nigdy dotąd, ale już płynąc bajdewindem, zaczynał ociężale reagować na ster i wykazywać tendencję do wypadania z wiatru, czemu nie mógł zaradzić żaden układ żagli. Aż do równika tylko dzięki przepompowaniu wody z jednego zbiornika do drugiego i przetaszczeniu kilku tysięcy kul armatnich na inne miejsce Jack osiągnął takie przegłębienie na rufę, że wreszcie odetchnął z ulgą. Był to rzecz jasna półśrodek - rozwiązanie problemu musiało poczekać aż do chwili, kiedy będą mogli znieść na ląd zapasy okrętu oraz dostać się do jego balastu i najniższej osadzonych zbiorników i na nowo rozmieścić ładunek. Mimo to nawet dzięki takim prowizorycznym zmianom okręt osiągnął znacznie lepszą sterowność.

Na pokładzie wciąż było sporo do zrobienia, ale wiele wieczorów upłynęło załodze na tańcach i śpiewach na pokładzie dziobowym. Jack i Stephen grali, czasem w swojej ciasnej kajucie, czasem na rufie, a czasem w kabinie Stanhope'a. Tworzyli wtedy trio, gdyż Stanhope grał na flecie o drżącym brzmieniu i miał ze sobą mnóstwo zapisów nutowych.

Delikatne zdrowie Stanhope'a znacznie się poprawiło w wyniku pobytu w Bombaju i po tradycyjnym pierwszym tygodniu choroby morskiej szybko odzyskał zarówno siły, jak i hart ducha. Zasiadał często ze Stephenem i przepytywali się nawzajem z malajskich czasowników lub ćwiczyli mowę do sułtana Kampongu. Mowa miała być wygłoszona po francusku, a w tym języku zarówno Stanhope'owi, jak i przypuszczalnie samemu sułtanowi daleko było do perfekcji. Na dworze sułtańskim przebywał jednak francuski rezydent i Stanhope uznał, iż bezbłędnie wygłoszona mowa powitalna byłaby wyrazem uznania dla jego pana. Ćwiczyli zatem bezustannie, za każdym razem zatrzymując się na *roi des trente-six parapluies, et tres illustre seigneur de mille elephants**, gdyż zdenerwowany Stanhope zamieniał *seigneur* miejscami z *elephants*.

* *Roi des trente-six parapluies, et tres illustre seigneur de mille elephants*, (fr.) - Król trzydziestu sześciu parasoli i jaśnie oświecony władca tysiąca słoni.

Mowa miała być również dokładnie przetłumaczona na malajski przez nowego sekretarza emisariusza, Ahmeda Smytha, człowieka mieszanej krwi i byłego mieszkańca Bengkulu. Na towarzysza posła królewskiego wybrał go sam gubernator Bombaju. Pan Atkins przyjął przybycie sekretarza z nieufnością i zawiścią i uczynił wszystko, by obrzydzić mu życie, jednak bez skutku. Malajski sekretarz trzymał bowiem fason, a jego wielkie, brązowe, lekko skośne oczy nigdy nie przestały promieniować zadowoleniem z życia.

Nie było tajemnicą, że Stanhope starał się, by żyli ze sobą w przyjaźni - na okręcie długości trzydziestu jardów, na którym żyło w ścisłości dwustu ludzi, pojęcie sprawy osobistej nie miało racji bytu. Nieprzyjemny, nosowy skrzek Atkinsa, narzekającego na ograniczenia jego prerogatyw, często dobiegał z kabiny emisariusza, przeplatając się z łagodnym, pojednawczym i cichym głosem Stanhope'a, próbującego przekonać go, że Smyth jest dobrym i miłym

człowiekiem, który nie ma zamiaru nikomu wadzić. Ahmed Smyth był lubiany na okręcie, mimo że jako mahometanin i człowiek cierpiący na dolegliwości nerek nie pił wina. Gdy na dolnym pokładzie rozluźniło się na tyle, że można było bujać się na hamaku, Stourton nakazał oddzielić parawanem hamak Ahmeda od innych, nazywając zaimprovizowaną kabinę „kajutą dla zamorskiego dżentelmena”. Atkins zaś zmuszony był dzielić kajutę z nieszczęsnym Berkeleyem, z którym nawet już nie rozmawiał i na wieść o „kajucie” wpadł w prawdziwą wściekłość. Przyszedł do Stephena i jął błagać go, by użył swoich wpływów i nakłonił kapitana, by ten położył kres tej rażącej niesprawiedliwości i nadużyciu władzy.

- Nie mogę się wtrącać w sprawy okrętu - odparł Stephen.

- Zatem Jego Ekscelencja będzie musiał osobiście porozmawiać z kapitanem - powiedział Atkins. - To jest nie do zniesienia. Ten czarnuch co dzień wynajduje nowe sposoby na sprowokowanie mnie. Jeśli nie zacznie zwracać uwagi na swoje czyny, to ja jego sprowokuję, zapewniam pana.

- Chce pan powiedzieć, że wyzwie go pan na pojedynek? - spytał Stephen. - To nie licowałoby z pańską pozycją.

- Och, dziękuję, doktorze, dziękuję panu! - wykrzyknął Atkins, ściskając dłoń doktora. Był niezwykle wyczulony na cień komplementów pod własnym adresem. - Nie o to mi jednak chodziło. Nie, skądże. Nikt z mojej rodziny nigdy nie wyzwie na pojedynek takiej urzędniczej krzyżówki czarnucha i wyrzutka kastowego, który nie jest nawet chrześcijaninem. W końcu *un gentilhomme est toujours gentilhomme**.

* *Un gentilhomme est toujours gentilhomme* (fr.) - Dżentelmen zawsze pozostanie dżentelmenem.

- Niechże pan się uspokoi, panie Atkins - przerwał mu doktor, gdyż Atkins wypowiedział te słowa z taką pasją, że zaczerwieniły mu się uszy i nozdrza. - Na tej szerokości geograficznej wybuchy emocji mogą prowadzić do omdleń. Nie podoba mi się rumieniec na pańskiej twarzy, za dużo pan je i pije pan za dużo. Jeśli to się utrzyma, na pewno padnie pan ofiarą choroby. Na zdrowiu zapadł jednakże sam Stanhope. Pewnego popołudnia, gdy Ahmed Smyth zasiadł do obiadu w mesie oficerskiej, pełen patosu skrzek Atkinsa słysząc było nawet na pokładzie. Kilkanaście stóp wyżej cieśla okrętowy odłożył młotek i powiedział na stronie do pomocnika:

- Gdybym to ja był Jego Ekscelencją, wsadziłbym tego darmozjada w jolkę, dał funt sera i wysłał na poszukiwanie nowego miejsca dla siebie.

- Jakże on się naprzykrza starszemu panu! Łazi za nim i truje, jakby był jego żoną. Żal mi starszego pana, miły z niego człek. Zawsze ma coś uprzejmego do powiedzenia.

W chwilę później lokaj Stanhope'a przyniósł pozdrowienia od swego pana, przeprosiny za absencję przy partyjce wista i prośbę o możliwość ujrzenia doktora Maturina, jeśli ten znalazłby chwilę czasu. Stephen odwiedził postą natychmiast - Stanhope wyglądał na zmęczonego, z miejsca oznajmił mu, iż zapewne znów dokucza mu ta przeklęta żółć i byłby nieskończenie wdzięczny za pół niebieskiej pigułki czy cokolwiek, co doktor Maturin uzna za stosowne. Stephen odkrył jednak, że Stanhope miał nieregularny puls, wysoką temperaturę, jego skóra była sucha, oczy mu błyszczały a twarz była pełna niepokoju. Zapisał wywar z kory wierzbowej oraz niebieską pigułkę placebo.

Kombinacja lekarstw odniosła swój efekt, gdyż już rankiem Stanhope miał się lepiej. Apetyt jednak nie wracał i Stephen był coraz bardziej zaniepokojony stanem pacjenta. Jego temperatura rosła i opadała, a on sam raz popadał w ospałość i odrętwienie, raz był niezdrowo ożywiony - Stephen nigdy nie widział go w takim stanie. Stanhope bardzo cierpiał z powodu upału, lecz, niestety, byli coraz bliżej równika. Co dzień między dziesiątą a drugą wiatr zamierał i stawał się lekką bryzą. Jediną rzeczą, którą mogli uczynić, było ustawienie nawiewnika, by kierować podmuchy wiatru prosto do kabiny Stanhope'a. Ten nie podnosił się

już z łóżka, wyschnięty, wychudły, dręczony mdłościami, lecz wciąż uprzejmy, wciąż wdzięczny za opiekę.

Stephen i M'Alister mieli sporo opracowań na temat chorób tropikalnych i czytali je teraz jedno za drugim, klnąc po łacinie odległość od lądu.

- Jest coś, co możemy zrobić - zauważył jednak Stephen. - Możemy pozbyć się jednego zewnętrznego źródła irytacji.

Tak więc na prośbę doktora Atkins otrzymał zakaz wstępu do kabiny Stanhope'a i Stephen w towarzystwie lokaja lub White'a spędzał tam teraz większość nocy. Lubił posła i chciał, by ten wyzdrowiał, lecz przede wszystkim powodowało nim poświęcenie zawodowe. Miał oto przypadek, w którym dawkowanie leków nie mogło już pomóc i cała nadzieja leżała w bacznej uwadze godnej samego Hipokratesa. Pacjent był słaby, choroba właściwie nieznaną, radykalnych środków nie było - trwał więc przy koi Stanhope'a wachta za wachtą, a okręt wciąż sunął przez fosforyzujące morze. W pewnym momencie swej wypełnionej rozmyślaniami służby doszedł do wniosku, że właśnie to było jego prawdziwym powołaniem, a nie wyniszczający ciało i duszę pościg za kobietą, która i tak była poza jego zasięgiem. Medycyna, tak jak ją postrzegał, była bezosobowa i w tym świetle ktoś taki jak Atkins powinien otrzymać taką samą opiekę jak Stanhope. Jaki cel zatem, on sam, Stephen, miał w uprawianiu medycyny, poza żądzą wiedzy, upodobaniem do katalogowania, mierzenia, nazywania i opisywania? Zamyślił się głęboko, gubiąc w skomplikowanych meandrach własnych myśli. Gdy wyrwał się z półprzutomnego stanu zamyślenia, odkrył, że na twarzy zastygł mu uśmiech, a od połowy drugiej szklanki aż po trzecią, która właśnie wybiła, dumał o Dianie Villiers. Wciąż miał w uszach echo jej śmiechu, melodyjnego, radosnego, prawdziwego, wciąż widział jej włosy zawijające się tuż nad ramionami...

- Przerabiał pan *Heautontimoroumes* w szkole? - wyszeptał nagle pan Stanhope.

- Tak, przerabiałem.

- Na morzu wygląda to inaczej. Gdy byłem w szkole, często śnił mi się doktor Bulkeley i jego okropna czarna twarz. Wydawało mi się, że widziałem go tu, w kabinie. Jakże się go bałem, gdy byłem dzieckiem! Jesteśmy jednak na morzu i inaczej to wszystko wygląda. Proszę mi powiedzieć, czy to już nadchodzi brzask? Zdawało mi się, że słyszałem trzy szklanki.

- Niebawem nadejdzie świt. Proszę podnieść głowę, poprawię panu poduszkę.

Stephen zmienił mu prześcieradło, obmył jego ciało i nakarmił rosółem, a ze spękanych ust usunął strupy, czarne w świetle świecy. Po wybiciu czwartej szklanki Stanhope wpadł w słowotok na temat etykiety panującej na dworze sułtana - według opowieści Smytha, malajscy władcy byli niezwykle wyczuleni na kolejność podczas każdej ceremonii. Wysłannikowi Jego Królewskiej Mości nie było zatem wolno wysunąć żadnych niestosownych żądań i miał nadzieję, że podoła zadaniu...

Stanhope, który był wstydlivy jak młoda dziewczyna, wciąż poczytywał za osobisty dyshonor obmycie ciała i zmiany pozycji. Dzień po dniu Stephen czuwał przy nim i obserwował zmiany w stanie zdrowia posła, by w końcu po dwóch tygodniach nieustannego doglądania pacjenta wkroczyć do szpitalika z podkrążonymi, zapadniętymi oczyma i oznajmić:

- Dzień dobry, panie M'Alister! Możemy ogłosić tryumf w walce z anoreksją. O czwartej mieliśmy mały kryzys, u pacjenta wystąpił wysięk, ale już po szóstej przyjął jedenaście uncji rosółu! Niech żyje rosół! Wciąż pozostaje problem dzikiego, nieregularnego pulsu i palpacyjnie wyczuwalnej wątroby, ale myślę, że rychło pacjent zacznie nabierać ciała i sił. W ciągu dnia wystawiono koję Stanhope'a na nawietrzną pokład rufowego i cała załoga ucieszyła się na jego widok. Jakieś piętnaście tysięcy mil wcześniej obecność jego wraz ze switą na pokładzie była prawdziwym utrapieniem dla załogi, ale przyzwyczaili się do niego i z czasem polubili. Stanhope nie należał do drażliwych, nietykalnych jegomościów, wręcz przeciwnie - był człowiekiem uprzejmym i zawsze miał w zanadrzu dobre słowo. Fregata wciąż sunęła na południowy wschód w kierunku silniejszych, chłodniejszych, ale mniej

przewidywalnych wiatrów, którym zdarzało się wiać ze wszystkich stron świata. Na razie jednak nikt na „Surprise” nawet nie myślał o ściągnięciu na pokład bramsteng i żegludze na samych, ciasno zreflowanych, marszlach.

Podczas jednego z takich beztrudnych dni Jack jak zwykle zasiadł do obiadu w mesie oficerskiej. Jako że w poniedziałek spodziewali się minąć zachodni cypel Jawy, otwierający Cieśninę Sundajską, rozmowa zeszła na temat dzikich zwierząt, jakie można spotkać na wyspie. Niespodziewanie do mesy wpadł przerażony i przejęty lokaj Stanhope'a. Stephen natychmiast wstał od stołu, a kilka minut później posłał po M'Alistera. Na okręcie natychmiast rozeszły się plotki - że pan poseł ma atak udaru słonecznego, że udławił się winem i własną gęstą krwią, że z ust wypływała mu czarna maź, że za godzinę trafi na stół operacyjny, a chirurg ostrzy właśnie narzędzia, wreszcie, że nie żyje.

Kiedy Stephen powrócił do milczących, przejętych towarzyszy w dusznej mesie, bez słowa zabrał się do pozostawionego posiłku.

- Wstępnie zaradziliśmy sytuacji i pacjent ma się nieźle - odezwał się do Jacka głosem wypranym z emocji. - Niemniej jego stan jest poważny i rzeczą najwyższej wagi jest pozostawienie go na najbliższym stałym lądzie, a póki nie osiągniemy lądu, musimy maksymalnie zredukować kołysanie okrętu. Kolejne dwadzieścia cztery godziny tego huśtania pociągną za sobą tragiczne konsekwencje. Mogę prosić o odrobinę wina?

- Panie Harrowby, panie Pullings, proszę za mną. - Jack odrzucił serwetkę. - Proszę nam wybaczyć, panie Stourton.

Po chwili wszyscy oficerowie okrętu opuścili mesę. Pozostał w niej jedynie Etherage z ochmistrem - przysunęli Stephenowi pudding, ser i wino i w pełnym niepokoju milczeniu przyglądali się jego posiłkowi.

Jack śledził mapy, a Pullings i nawigator trwali tuż przy nim. Kurs okrętu został zmieniony, by wiatr wiał z ćwiartki rufowej, fregata sunęła teraz, kołysząc się łagodnie, z postawionym jedynie fokmarslem. Dokonano ostatnich pomiarów i pozycja okrętu była ustalona ponad wszelką wątpliwość: 5 stopni 13 minut szerokości południowej i 103 stopnie 37 minut długości wschodniej. Od przyładka Java Head dzieliło ich 70 mil morskich na południowy zachód ku zachodowi.

- Na tym halsie moglibyśmy dotrzeć do Bengkulu - odezwał się Jack. - Ale nie w dwadzieścia cztery godziny. Albo odbić na Telanjang... Nie, nie przy takim morzu. Czy pan Stanhope potrzebuje nowoczesnego miasta, ze szpitalem, czy może być jakikolwiek ląd? To chyba najbardziej istotna kwestia.

- Dowiem się, sir. - Pullings wybiegł z kajuty. - Doktor mówi, że może być jakikolwiek ląd, sir! - krzyknął, wróciwszy.

- Dziękuję, Pullings. Zna pan te wody, wiele razy pływał pan przez te cieśniny. Może pan coś zaproponować?

- Pulo Batak, sir - natychmiast odpowiedział Pullings, dotykając wybrzeży Sumatry cyrklem. - We wnętrzu Pulo Batak. Dwukrotnie uzupełnialiśmy tam zapasy wody na „Lordzie Clive”. To przytulna zatoczka z brzegiem i dnem bez skał, głęboka na czterdzieści sążni w odległości kabla od lądu. W najwęższym miejscu zatoki spływa strumień po skale - wodę można czerpać prosto z łodzi. Nie ma tam miast, nie widziałem nikogo poza grupką czarnych nagusów, którzy wybijali jakieś rytmy na drewnianych bębnach. Zatoczka jest odcięta od wszystkich wiatrów poza północno-zachodnim.

- Bardzo dobrze. - Jack wziął mapę i podał ją Harrowby'emu. - Proszę wytyczyć kurs na Pulo Batak, panie Harrowby.

Wyszedł na pokład, by ocenić, jakie żagle można jeszcze postawić, aby ustabilizować kołysania okrętu, i pozostał tam aż do świtu. W miarę jak cichł wiatr, na masztach „Surprise” wykwitwały coraz to nowe połacie bieli. Potrzebowali każdego, nawet najłżejszego podmuchu, by na czas dotrzeć do Pulo Batak.

Pomiary w południe pokazały, że przebyli niezły szmat drogi, a po obiedzie, który tym razem rozpoczął się bez gwizdków bosmańskich i tarabanienia w bęben, rozpoczęły się przygotowania do zejścia na ląd. Pullings, siedzący na bombramrejach fokmasztu, był pewien, że odnaleźli właściwe miejsce - na północnym wschodzie widział bowiem zaokrągloną skałę z dwoma strzelistymi wierzchołkami. Okręt sunął niemalże siłą rozpędu przez gładką tafłę wód zatoki, a wciąż postawione topzagle nadawały mu prędkość czterech węzłów.

Ląd otaczający zatokę przyciągał swym osobliwym pięknem, całe wschodnie niebo kryło się za ciemnymi górami, które zieleniały, w miarę jak fregata wpływała coraz głębiej w zatoczkę.

Wyspa strzegąca wejścia do zatoki sprawiała wrażenie nadającej się do cumowania, po jej zachodniej stronie było widać jedynie drobne fale przyboju. Wszystko wskazywało na to, że „Surprise” rzuci kotwicę w wyznaczonym czasie - pozostała im jeszcze godzina.

Kotwica sterburty czekała już na kotbelce i wszystko było przygotowane, gdy od strony lądu przedwcześnie uderzyła bryza. Silne podmuchy przywiodły ze sobą mocny zapach gnijącej roślinności. Żagle naraz zwiotczały i załopotwały, a okręt zaczął schodzić z kursu. Jack posłał po sondę głębinową - chwilę później opuszczono ją z pluskiem na dziobie. Od trzymających linę marynarzy, którzy biegli w stronę rufy wzdłuż burty, dobiegły go znajome, dziwnie stłumione pokrzykiwania.

- Sonda nie dotyka gruntu, sir. Brak gruntu na głębokości dwustu sążni - pojawił się w końcu meldunek.

- Proszę spuścić wszystkie łodzie, panie Stourton - rozkazał Jack. - Będziemy holować okręt. Miejmy nadzieję, że sonda dotknie dna, nim przyptyw stanie się zbyt silny. Panie Rattray, proszę związać dodatkową linę do małej kotwicy i niech pan też wyciągnie tę nową cumę ośmiocalową.

Pullings kierował holowaniem okrętu z fokrei aż do chwili, kiedy napór przyptywu uniemożliwił jakiegokolwiek dalsze wiosłowanie. Opuścili wtedy kotwicę w głębię liczącą wciąż ponad dziewięćdziesiąt sążni. Jack nigdy nie kotwiczył na głębszych wodach i z niepokojem zwrócił się z tym do Pullingsa:

- Co pan sądzi o naszym miejscu postoju?

Stali obaj tuż nad kluzą kotwiczną, za ich plecami w milczeniu czekały wygi morskie z pokładu dziobowego.

- Nie najgorsze - odparł Pullings. - Staliśmy tu kiedyś przez trzy dni na „Clive”. Jestem pewien, że to tu, a dno jest równie czyste jak Gurnard Point. Nie zerwiemy się z kotwicy, ręczę moją reputacją.

- Hej tam, na dole! - zawołał Jack w głąb kluzy. - Zamocować podwójne stopery i luzować do końca!

„Surprise” cofała się pod naporem wody. Zwisająca łukowato lina naprężyła się i zaczęła wlec kotwicę po dnie. Łapa kotwicy zagrzebała się w końcu w mule, przesunęła jeszcze trochę i utknęła na dobre. Lina kotwiczna znów naprężyła się do granic, rozcinając płynącą wodę, i w końcu zatrzymała okręt.

Pullings stał na przednim pokładzie przez cały przyptyw, czując ciężar odpowiedzialności, obserwując zarówno linę, jak i plażę. Trzy drzewa rosnące jedno za drugim obrał za punkt orientacyjny, by według niego oceniać, czy okręt nie dryfuje bezwładnie na otwarte morze, prosto w objęcia silnego prądu północno-zachodniego obmywającego wybrzeże. Gdyby porwał ich prąd, dotarcie do zatoki mogło zabrać nawet kilka dni. Przyptyw wciąż rósł coraz szybciej, szumiała woda opływająca burty.

- Nigdy zem nie słyszał o kotwicy, która wytrzyma na stu sążniach - odezwał się jeden ze starszych marynarzy. Mówił po angielsku z niemieckim akcentem. - Rozsądek mówi, że nie da rady. Napór wody zbyt duży

- Zamknij się, Wilks! - Rozdrażniony Pullings odwrócił się, naśladując jego akcent. - Ty i ten twój cholerny napór!

- Tylko tak sobie powiedziałem... - bąknął cicho Wilks.

Przyptyw rósł bezlitośnie szybko, lecz jego napór chyba zaczynał się zmniejszać. Babbington dołączył do Pullingsa.

- Która godzina? - spytał drugi oficer.

- Za pięć minut wypada połowa pływu - odparł Babbington. Razem patrzyli na linę. - Ale już opada szybciej - dodał po chwili i Pullings poczuł, jak serce zalewa mu wdzięczność dla młodszego kolegi. - Mamy oddzielić kotwicę i oznaczyć linę, jak tylko da się znowu wiosłować - ciągnął po chwili Babbington. - Robią właśnie jakieś nosze, żeby przetransportować pana Stanhope'a przez burtę do łodzi.

Przyptyw w końcu stracił swą moc i na wodzie pojawiła się szalupa z cumą holowniczą, po drodze oznaczając linę kotwiczną boją. Pullings pobiegł na rufę.

- Jest pan gotów, panie Stourton? - zawołał Jack.

- Gotów, sir! - nadbiegła stłumiona odpowiedź.

- Odetnijcie linę! Panie Pullings, niech pan weźmie jolkę i poprowadzi! Spuścić resztę szalup na wodę! Naprzód!

Szalupy z energią popłynęły przed siebie i holowany okręt ruszył miękko z miejsca. Mimo to dopiero późnym wieczorem fregata minęła wyspę i wpłynęła do odosobnionej zatoczki z brzegami porośniętymi wysokim lasem tropikalnym. Tu i ówdzie wznosiły się również zielone ściany klifów, a z wody sterczały nagie skały. Okręt zatrzymał się w odległym końcu zatoczki, gdzie jaśniał półksiężyc plaży, a z czarnych skał spływał niezwykły wodospad, którego plusk był jedynym dźwiękiem unoszącym się w dusznym powietrzu. Łąd, wyglądający przyjaźnie i zapraszająco z oddali, teraz przybrał zgoła inne oblicze. Odległość dwustu jardów, dzielącą ich od brzegu, przebył rój czarnych much, które w mig pokryły okręt i szalupy, pełzając po takielunku, żaglach, pokładach i ludziach.

Nie dwadzieścia cztery, lecz aż trzydzieści godzin upłynęło, nim wreszcie nosze ze Stanhope'em wyniesiono z barkasa i łagodnie postawiono na piasku plaży.

Teraz, kiedy Jack zstąpił na małą plażę, wydała mu się ona jeszcze mniejsza niż wcześniej. Dżungla napierała na nią ze wszystkich stron - niewiarygodnie wielkie liście zwisały nad wyrzuconymi na brzeg wodorostami, a nieruchome powietrze, nie wzruszone morską bryzą, przepełniał zapach gnijącej roślinności i bzyczenie komarów. Słyszał już odległy dźwięk uderzania w bęben dobiegający gdzieś z lasu, kiedy okręt wpływał do zatoki; teraz, gdy jego ucho przywykło już do szumu wodospadu, znów je usłyszał, gdzieś na północy w niesprecyzowanej odległości.

Grupka roślinożernych nietoperzy, każdy o rozpiętości skrzydeł co najmniej pięciu stóp, przeleciała nisko przez otwartą przestrzeń i zniknęła w mroku obok wielkiego, omszałego drzewa. Śledząc ich złowieszczy lot, Jack odniósł wrażenie, że widzi ciemną, przypominającą człowieka postać poruszającą się w gąszczu. Energicznie ruszył w tamtą stronę, lecz ściana lasu okazała się przeszkodą nie do przebycia, a jedyne biegnące przez nią ścieżki w istocie były ledwie tunelami o wysokości dwóch, trzech stóp. Odwrócił się więc i spojrzał ku plaży i morzu. Jego ludzie rozbijali w tej chwili dwa namioty, płonęło już ognisko rozpraszające nadchodzący mrok, ustawiono latarnię, a Etherage rozstawiał swoich żołnierzy na posterunkach. Okręt kotwiczył w odległości jednego kabla od brzegu, wciąż mając dwadzieścia sążni wody pod kilem. Cuma dziobowa i rufowa łączyła go z drzewami na urwistym brzegu, a od strony morza opadała kotwica sterburty. Fregata sprawiała wrażenie potężnej i wysokiej na tle ciasnej zatoczki, a na jej głównym pokładzie przesuwaly się światła, migocząc też w otwartych furtach burtowych. „Surprise” była tu bezpieczna, nawet gdyby wiatr się zerwał, a jej działa mogły powstrzymać każdą próbę wtargnięcia do zatoki. Miał jednak wrażenie, że jest obserwowany i naraz poczuł się nieswojo. Ruszył w stronę namiotów.

- Panie Smyth - odezwał się na widok sekretarza - czy był pan tutaj już wcześniej?

- Nie, proszę pana - odparł Smyth. - W tej części kraju Malajowie nie przebywają często. Nie, nie... Ta kraina należy do Orang Bakut, ludu niskich ludzi o ciemnej skórze. Słyszysz pan zapewne ich bębny - tak się komunikują.

- Czy doktor jest przy pacjencie?

- Nie, proszę pana. Jest w sąsiednim namiocie i przygotowuje instrumenty.

- Stephen, mogę wejść? - spytał, nurkując w wejściu namiotu. - Jakie masz wieści?

Stephen wypróbował ostrze swego skalpela, ścinając włosy z przedramienia.

- Przystąpimy do operacji tak szybko, jak tylko będzie wystarczająco dużo światła, a pan Stanhope odpocznie nieco przez noc - odparł. - Przedstawiłem mu obie możliwości, zarówno niebezpieczeństwo wynikające z przeprowadzenia operacji na ciele wyniszczonym chorobą, jak i fatalne konsekwencje jakiegokolwiek zwłoki. Zdecydował się na operację. Pan White przebywa z nim w tej chwili i mam nadzieję, że pan Stanhope wytrwa przy decyzji. Muszę mieć jeszcze dwa kufry i trochę liny wzmocnionej skórą.

Zdecydowanie Stanhope'a wytrzymało, ale niestety zawiodło jego ciało. Przez całą noc nie zmrużył oka, nasłuchując odgłosów dżungli - niepokoiło go dudnienie bębnow z obu stron zatoki, a nieruchome, duszne i gorące powietrze było dlań nie do zniesienia. Odszedł około trzeciej w nocy, wciąż mówiąc cicho o ceremoniach na dworze sułtańskim i chyba nie zdając sobie sprawy z tego, że opuszcza go życie. Przez ostatnie godziny nocy Stephen wraz z kapelanem siedzieli przy jego łożu, nasłuchując odgłosów z zewnątrz, niezliczonych gadzich skrzeków i chichotów oraz innych trudnych do zidentyfikowania wrzasków, pohukiwań, chrząknięć i pomruków. Kilka razy słyszeli ryk tygrysa, dobiegający z różnych stron, wciąż bito w bębny, raz bliżej, raz dalej.

Stanhope'a pochowano w wejścia do zatoki w asyście wszystkich oficerów w galowych mundurach i większości załogi. Piechota morską oddała kilka salw nad jego grobem, a okręt pożegnał dzielnego posła salutem z dział, którego przetaczające się echo spłoszyło setki ptaków i latających lisów.

Jack wykorzystał dogodny kotwiczowisko do poprawienia trymu okrętu. Kiedy trwała praca, cieśla okrętowy sporządził drewniany krzyż na grób Stanhope'a. Pomalowano go na biało, lecz jeszcze zanim farba porządnie obeschła, fregata skierowała się na otwarte morze. Śmierdzące szlamem liny kotwiczne znów powróciły do składziku.

Jack spoglądał przez bulaj w rufie na coraz bardziej odległy ląd, atakowany teraz przez tropikalną burzę.

- Zatem przebyliśmy taki szmat drogi nadaremnie - powiedział w końcu.

I oto twój pościg zatrzymany

Umknął ci jeleń ścigany

Walczyłeś po próżnicy

Zdradzany przez twe dziewice

- wyszeptał zamyślony Stephen, jak gdyby w odpowiedzi.

- Lecz płyniemy już do domu - odezwał się Jack po długiej przerwie. - Wreszcie do domu! Obawiam się, że będziemy musieli zatrzymać się w Kalkucie, lecz tylko na chwilę! A potem - do domu, tak szybko, jak tylko się da! Właściwie - dodał po chwili namysłu - gdybyśmy ruszyli jeszcze dziś, może udałoby się wyprzedzić statki floty chińskiej! One tylko wyglądają na okręty wojenne, a w istocie są wolnymi, starymi kryptami, na których co noc refuje się marsle. Nie powinieneś być wspominać nic o dziewicach, Stephen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Okręty Kompanii Wschodniej złapali na osiemdziesiątym dziewiątym stopniu długości wschodniej. W połowie środkowej wachty dostrzeżono ciąg świateł w mroku nocy i z chwilą

wschodu słońca większość załogi „Surprise” zgromadziła się na pokładzie, by podziwiać chmury żagli na horyzoncie. Przed nimi w dwóch grupach sunęło trzydzieści dziewięć statków i jeden bryg. Statki rozproszyły się nieco podczas nocy i w tej chwili, na sygnał komodora konwoju, na nowo zbierały się w zwarte grupy. Maruderzy stawiali teraz każdy możliwy żagiel, by uchwycić jak najwięcej łagodnego północno-wschodniego wiatru i doścignąć resztę. Flotylla po zawietrznej, jeśli oczywiście owa ciągnąca się na trzy mile zbieranina statków zasługiwała na taką nazwę, składała się z rodzimych statków, płynących do Kalkuty, Madrasu lub Bombaju. Dołączyło do nich kilka statków innych krajów w celu lepszej ochrony przed piratami i dokładniejszej nawigacji. Flotylla na nawietrznej, złożona z szesnastu większych statków Kompanii Wschodnioindyjskiej, które miały przed sobą nieprzerwaną podróż z Kantonu do Londynu, ustawiła się już w formację, której nie powstydziliby się i sama marynarka.

- Czy jest pan całkowicie przekonany, że to nie są okręty wojenne? - spytał White. - Z tymi armatami na pokładach łatwo je pomylić z marynarką. Dla szczura lądowego nie ma różnicy.

- Czyż nie? - potwierdził Stephen. - Im chodzi właśnie o to, by tak wyglądać. Gdyby się pan jednak do nich zbliżył, myślę, że ujrzałby pan między działami beczułki z wodą, a na pokładzie inne towary, a tego by w marynarce nie zaaprobowano. Flagi i chorągiewki, które pan tam widzi, też są inne. Nie potrafię panu wytłumaczyć owej różnicy, ale dla żeglarza jest to rzecz oczywista. To nie są znaki królewskie. Zauważył pan też pewnie, że kapitan wydał rozkaz, by się do nich zbliżyć. Nie sądzę, by padł podobny rozkaz, gdybyśmy przed sobą mieli wrogie flotyлле tej wielkości.

- Kapitan powiedział: „Trzymać ostro do wiatru” i poparł to przekleństwem - kapelan zmrużył oczy.

- Wychodzi na to samo - odparł Stephen. - Oni na morzu używają metafor.

Ze swej grzędy na salingu grota Pullings wezwał do siebie Williama Churcha. Była to pierwsza podróż niziutkiego midszypmena, który w czasie jej trwania skurczył się chyba jeszcze bardziej.

- A więc, młodzieńcze - powiedział do niego - zawsze marudziłeś, że zamiast bogactwa Orientu w Bombaju czy dalej na wschodzie widziałeś tylko błoto, muchy i mnóstwo morza. Weź więc teraz lunetę i przyjrzyj się okrętowi, na którym powiewa proporczyk. To „Lushington”, odbyłem na nim dwa rejsy. Statek płynący za nim to „Warley”, niezwykle żeglowny i nawet całkiem szybki, jak na statek Kompanii. To bardzo dzielny okręt, czasem ma się wrażenie, że i bez załogi potrafiłby płynąć. Z daleka można by go nawet wziąć za ciężką fregatę. Jak widzisz, te statki mają foksztaksle na podobieństwo okrętów wojennych - to jedyne statki kupieckie, które je stawiają. Są ludzie, którzy nazywają to bezczelnością. Ten tam, z marslem w gotowości do postawienia, to... Och, co za fuszerka! Zapomnieli przewlec szota sztaksła! Widzisz tego wściekłego mata, jak biegnie po galeryjce? Aż tu go słyszeć! Z tymi Hindusami zawsze to samo - nieźli z nich marynarze, ale czasem zapominają o rzeczach zupełnie podstawowych i ciężko ich zmusić, by pracowali szybko. Następny okręt za nim, ten z połatanym kliwrem, to „Hope”. Albo „Ocean”... Są bardzo podobne, wyszły z tej samej stoczni i mają to samo zanurzenie. Wszystkie statki w szeregu po nawietrznej nazywamy „tysiącdwieścietonowcami”, choć niektóre z nich na pewno mają wyporność tysiąca trzystu albo nawet tysiąca pięciuset ton według oficjalnych standardów, na przykład „Wexford”, ten z tym lśniącym w słońcu mosiężnym działem ośmioletowym na forkasztelu. Tak czy owak, zwiemy go tysiącdwieścietonowcem.

- Sir, nie byłoby prościej nazywać go tysiąćpięćsettonowcem?

- Może i prościej, ale nigdy by się to nie przyjęło. Po co zmieniać coś, co już się przyjęło. Nigdy... Mój Boże, gdyby kapitan usłyszał, jak nierozważnie mówisz niczym demokratyczny jakobin, wyrzuciłby cię za burtę na trzycalowej desce, do której wcześniej przybiłby cię za uszy! Już trzech młodych dżentelmenów nauczył w ten sposób oglądy na Morzu Śródziemnym.

Nie, lepiej nie rób nic, co by mogło zaszkodzić tradycji. Francuzi tak zrobili i zobacz, do czego ich to przywiodło. Ale wezwałem cię tu, by pokazywać ci bogactwo Orientu. Spójrz na okręt poprzedzający komodorski, to „Ganges”, o ile się nie mylę, i potem spójrz na tego obiboka w tyle, który stawia właśnie bramsle i mocno traci na wietrze. Obejmij to wszystko wzrokiem i naprawdę dobrze się przyjrzyj, bo już chyba nigdy czegoś takiego nie zobaczysz. Masz przed sobą przyz wart sześć milionów bez prywatnych udziałów oficerów. Sześć milionów. Mój Boże, co za przyz!

Oficerowie, którzy wiedli ten niezwykły skarb Orientu przez ocean, otrzymywali sowite wynagrodzenia. Ich zadowolenie nie miało granic, gdyż oprócz innych rzeczy pozwoliło im to na zbyt kowną gościnność, a i w tej chwili zdecydowanie należeli do najgościnniejszych ludzi we flocie. Kiedy tylko kapitan Muffit, komodor konwoju, dostrzegł wysoki grotmaszt fregaty, natychmiast posłał po głównego stewarda oraz obu głównych kuków, chińskiego i hinduskiego. Chwilę później „Lushington” zaczął sygnalizować do „Surprise” - przekazał uroczyste zaproszenie na obiad dla kapitana i oficerów, a do reszty statków konwoju popłynął rozkaz następującej treści: „Do wszystkich statków: młode piękne damy proszone do towarzystwa przy obiedzie. Powtarzam, młode, powtarzam, piękne”.

„Surprise” zatrzymała się w odległości kabla od „Lushingtona”. Między statkami konwoju kursowały już szalupy, przewożące młode kobiety w jedwabnych sukniach i energicznych oficerów w błękitnych mundurach ozdobionych złotem. Wspaniałe salony na statku komodora wypełniał gwar ożywionych rozmów - wymieniano plotki z Europy, Indii i dalszych zakątków Wschodu, mówiono o wojnie, wspólnych znajomych. Rozmowy pozbawione były głębszych treści, lecz utrzymywano je w wesołym tonie, tu i ówdzie wznoszono już toasty - za Marynarkę Królewską! Za szlachetną Kompanię Wschodnioindyjską! Za udane interesy!

Oficerowie fregaty raczyli się bez umiaru wspaniałym posiłkiem i zapijali go szlachetnym winem. Sąsiadka Churcha, pulchna, słodka dziewczyna o złocistych włosach, traktowała go z szacunkiem należnym jego mundurowi i nie ustawała w zachęcaniu go do spróbowania a to ciut potrawy z kaczki, a to odrobiny wieprzowiny, a to kilku kolejnych kawałków ananasa. Poprosiła dłań o kolejną porcję kantońskich bułeczek i w końcu wymieniła jego trzeci talerz z puddingiem. Ostatecznie jednak nawet niezwykła wyrozumiałość i cierpliwość dziewczyny wyczerpały się i odważnie podjęła ona kilka prób zahamowania żarłoczności Churcha. Wszystko na nic - Church właśnie napoczął ciasto w formie pagody Kwan-Yin i pozostało mu osiem jej pięter do zjedzenia. Z wielką pasją realizował motto swego dowódcy: „Nie ma czasu do stracenia” i napychał się w milczeniu, nie marnując ani sekundy. Jego towarzyszką rozejrzała się bezradnie wokół, zawieszając w końcu wzrok na milczącym i pochmurnym doktorze Maturinie, ale nie znalazła w nim oparcia. Kiedy damy opuściły salony w towarzystwie nieodłącznego Babbingtona, mamroczącego coś o chusteczce pozostawionej w łodzi, podeszła do pierwszego oficera „Lushingtona” i powiedziała:

- Sir, widzi pan tego dzieciaka w mundurze marynarki? Czy mógłby pan się nim zająć, zanim zrobi sobie krzywdę?

Dalej obserwowała go z obawą, jak przekraczał burtę i po drabinie schodził na szalupę. Nie mogła jednak zobaczyć, ani nawet sobie wyobrazić, z jaką prędkością Church po wejściu na pokład fregaty puścił się do mesy midszypmenów, gdzie reszta jego kolegów raczyła się ucztą przywiezioną ze statków Kompanii.

Jack po dotarciu na fregatę z pewnością nie dałby już rady drugiemu obiadowi. Zrzucając kurtkę, kołnierz, kamizelę i bryczesy, zawołał, by przyniesiono mu spodnie nankinowe i zrobiono kawę.

- Wypijesz ze mną filiżankę, Stephen? - spytał. - Mój Boże, cóż za ulga mieć więcej przestrzeni!

Z wyjątkiem White'a, którego nie było stać na opłacenie kabiny, cała świta posła przeniosła się na statki Kompanii. Kajuta kapitańska znów stała do dyspozycji Jacka.

- I cóż za ulga pozbyć się tej przeklętej szumowiny Atkinsa!
- Rzeczywiście był utrapieniem, lecz to nie był zły człowiek. Po prostu słaby duchem i głupi.
- Wyraz „słaby” starczy za całą resztę. Ty lubisz szukać usprawiedliwienia dla łajdaków, Stephen. Uratowałeś tego parszywego drania Scrivena spod szubienicy, wykarmiłeś, obdarowałeś go protekcją i kto za to zapłacił? Jack Aubrey zapłacił! Oto twoja kawa - po tak wspaniałym obiedzie, aż się prosi, by sięgnąć po filiżaneczkę! Niech mnie, co za obiad... Nigdy nie próbowałem lepszej kaczki!

- Niezbyt się cieszyłem, widząc, jak nakładasz sobie jej czwartą porcję. Mięso kaczki wywołuje stany depresyjne. Tak czy owak, jeśli przybierzesz na wadze od tego tłustego sosu, w którym ją podano, to nie będzie najgorsza rzecz, jaka może się wydarzyć. W potrawach tego typu czyha apopleksja. Dawałem ci znaki, ale nie zwróciłeś na nie uwagi.

- To dlatego wyglądałeś na tak przygaszonego?

- Tak, a oprócz tego miałem dość moich sąsiadek.

- Tych rusałek w zielonych sukniach? Wspaniałe dziewczyny.

- Skoro nazywasz te toporne, durne, krościate dziewczki z zapiaszczonymi włosami, koślawymi paluchami i sieczką w głowach wspaniałymi dziewczynami, od razu znać po tobie, żeś spędził wiele czasu na morzu. Rusałki, dobre sobie. Jeśli w istocie rusałki, to pewnie większą część życia spędziły w cuchnącym bajorku, gdyż oddech tej po lewej śmierdział. Odwracając się w poszukiwaniu ulgi, odkryłem jednak, że jej oddech jest niczym w porównaniu z możliwościami jej siostry po mojej prawej. O górnych partiach ich sukien nie chcę się wypowiadać, aczkolwiek nie mam wątpliwości, że dolne były w gorszym stanie. „Hej, siostrzyczko!”, woła jedna do drugiej, chucha prosto na mnie i pokazuje swoje zepsute zęby. „Hej, siostrzyczko!”, odpowiada druga. Nie miałem pojęcia, że dwie siostry mogą ubierać się tak samo, w takie same powiewające dumnie pretensjonalne chałaty i czesać w takie same gorgonie loki, opadające na ich tępe, pozbawione śladów inteligencji czoła! Trudno o lepszy dowód, że prymitywizm, zarówno ten wrodzony, jak i starannie wyuczony, szerzy się coraz bardziej. A kiedy pomyślę sobie, że z ich łona wyjdą ludzie, którzy zaludnią Wschód... Należ mi jeszcze filiżankę, proszę. Nadęte bydłeta.

W zasadzie mógł dodać, że owe młode damy niemalże natychmiast poczęły mu opowiadać o pani Villiers z Bombaju, która właśnie przybyła do Kalkuty.

- Doktorze, musiał pan o niej słyszeć w Bombaju! - gładziła jedna. - To zwykły awanturnik w spódnicy, jakie to okropne!

- Widziałyśmy ją u gubernatora, niezbyt piękna, a ubrana wręcz nieprzyzwoicie. Musimy ją jednak przyjmować z szacunkiem, gdyż jej przyjaciel...

- Raczej protektor, siostrzyczko...

- ...jej protektor to ktoś znaczny i wiele może. Żyją w wielkim stylu, mówi się, że całkiem go omotała.

- A to człowiek wielce wytworny, wysoki, wygląda niemalże, jakby był jednym z nas. I patrzył na Aggie takim wzrokiem...

I obie zaniósł się chichotem, zakrywając usta przybrudzonymi chusteczkami i poklepując się nawzajem po zgarbionych plecach.

Rozważał to po raz kolejny, zastanawiając się, czy nie powiedzieć: „Wiesz, Jack, te panny źle mówiły o Dianie. Zdenerwowało mnie to - poprosiłem ją bowiem o rękę w Bombaju i w Kalkucie mam otrzymać odpowiedź. Miałem ci to powiedzieć już dawno, gdyż tego wymaga szczerłość i zaufanie, mam nadzieję, że mi wybaczysz...”

- Zatem nie polubiłeś ich? - Głos Jacka przerwał jego rozważania. - Cóż, przykro mi. Ja i mój rozmówca przy stole zgadzaliśmy się świetnie ze sobą. Kapitan Muffit, o niego chodzi.

Dziewczyna, siedząca po mojej drugiej stronie, to głupia gęś bez śladu biustu. Nie wiedziałem, że takie jeszcze istnieją. A Muffita od razu polubiłem. To prawdziwy wilk morski, a nie typowy

kapitan statku Kompanii - nie sugeruję oczywiście, że kiepscy z nich żeglarze, ale oni są raczej *pianissimo*, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, co oznacza *pianissimo*.

- Miał dokładnie ten sam co ja pomysł, który zresztą już zrealizował z cofnięciem bombramstengi za bramstengę i wstawieniem jej piętą w głowicę stengi. Według tego, co mówił, przy umiarkowanym wietrze wyciąga dodatkowy węzeł. Muszę tego spróbować. To równy facet, obiecał przejąć nasze paczki do domu i przekazać je na łódź pilota w chwili, kiedy zaczną sondować angielskie płycizny.

- Myślałem, że może rzeczywiście chcesz tego, by Sophie powitała cię w Maderze - wymamrotał Stephen.

- I zna się na prowadzeniu ogniem dział, co jest rzadkością nawet w marynarce. Daje z siebie wszystko, by jak najlepiej wyćwiczyć swoich ludzi, ale niestety, biedaczysko ma żalodne braki w sprzęcie.

- Wydawało mi się, że ma całkiem pokaźną kolekcję armat na pokładzie, więcej niż my, o ile się nie mylę.

- To nie armaty, mój drogi Stephenie. To tylko zwykłe kolubryny.

- Co to jest?

- Cóż, kolubryny to kolubryny, średnie osiemnastki. Jak mam ci to wyjaśnić... Wiesz, co to karonada?

- Jasne, to ta pękata machina o osobliwych proporcjach, która wyrzuca ogromne kule. Zauważyłem ich kilka u nas.

- Niech mnie, bystry z ciebie facet. Nic ci nie umknie. I oczywiście wiesz też, co to jest prawdziwe działo? Otóż, kiedy skrzyżujemy ze sobą te dwie rzeczy, bękartem ich związku będzie coś, co po każdym wystrzale skoczy w powietrze i zerwie uprząż, a trudności z trafieniem w cel będzie miało nawet z pięćdziesięciu jardów. To właśnie jest kolubryna. Lecz nawet gdyby Kompanii zależało na powodzeniu w interesach i wyposażyliby go w prawdziwe działa, któż miałby z nich strzelać? Potrzebowałby trzystu pięćdziesięciu ludzi, a ilu ma? Stu czterdziestu, w większości kukowie i stewardzi, co gorsza, głównie Hindusi. Na Boga, cóż za osobliwy sposób przewiezienia sześciu milionów przez cały świat! W każdym razie miał dobry pomysł z wstawieniem tej bombramstengi. Mam zamiar to wypróbować, nawet jeśli tylko na fok.

Podjęli próbę dwa dni później, gdy „Surprise” płynęła samotnie po zamglonych, rozkołysanych falach. Cieśla i jego ludzie pracowali nad pomysłem całe rano i przedpołudnie, przetykając obiad w pośpiechu, by w końcu maszt ruszył w górę, kołysząc się wśród płataniny takielunku. Na wzburzonym morzu było to trudne zadanie i dlatego Jack wolał opóźnić wydanie dziennej racji grogu. Nie życzył sobie pijackiego entuzjazmu przy ciągnięciu liny, był też świadom, iż taki rozkaz może zmusić załogę do gorliwszej pracy. Nikt nie będzie się wałkonił, nikt nawet nie przystanie na chwilę, by zaczerpnąć tchu w obawie przed reakcją swoich towarzyszy. Drzewce wędrowało coraz wyżej - Jack śledził jego wędrówkę, mrużąc oczy przed blaskiem słońca i koordynował każde następne pociągnięcie, by zgrać je z kołysaniem okrętu. Jeszcze pół stopy i cała załoga wstrzymała oddech, wpatrując się z napięciem w piętę stengi. Drzewce podskoczyło odrobinę wyżej, lina zaskrzypiała w bloku, w dół opadła garść przetartych włókien. Kolejne pociągnięcie wprawilo maszt w drżenie, ale jego pięta znalazła się tuż nad kolumną marsu.

- Ostrożnie, ostrożnie! - krzyczał Jack. Maszt powędrował jeszcze trochę w górę. Bosman przy topie masztu machnął dłonią.

- Niżej! Opuszczają!

Lina opadła nieco - pięta stengi utkwiała w gnieździe masztu. Zadanie było zakończone.

Cała załoga odetchnęła z ulgą. Grotmarsel i fokżagiel opadły niczym kurtyny na zakończenie emocjonującego widowiska, wybrano szoty obu żagli, bosman obgwizdał obłożenie. Jack

patrzył w górę na nową stengę tkwiącą mocno tuż za bramstengą i strzelającą ku niebu ze wspaniałymi obietnicami nowych mocy. Poczłł nagle, jak wzbiera w nim radość, nie tylko z powodu nowego masztu, wywołana nie tylko kołysaniem jego ukochanego statku czy wspaniałym uczuciem dowodzenia jednostką morską, lecz była to radość wywołana obfitością doznań...

- Hej, na pokładzie! - zawył obserwator na oku, w jego głosie czaiło się zarówno wahanie, jak i nerwowość. - Żagiel na lewo od dziobu. Może nawet dwa!

Marynarz na oku miał prawo się wahać, w końcu okrzyknięcie floty chińskiej po raz trzeci byłoby głupotą. Nerwowość w jego głosie z kolei spowodowana była tym, że już dawno powinien był okrzyknąć pokład, zamiast gapić się na dramatyczną wędrówkę stengi. Jego okrzyk wywołał niewielkie lub zgoła żadne zainteresowanie, z chwilą bowiem zamocowania rei w końcu miał zostać wydany grog. Ochoczo i bez rozkazu marynarze pchali się, by zawiązać obie pary want, a na salingu oczekiwali już inni zniecierpliwieni, gotowi założyć brasy. Jedynie Jack z pierwszym oficerem wpatrywali się z uwagą w zamglone kształty na horyzoncie, nienaturalnie duże z odległości czterech mil. Fregata płynęła z prędkością czterech węzłów na stałym wietrze północno-wschodnim i szybko zbliżała się do rosnących, nieznamytnych sylwetek.

- Cóż to za staroświecki sposób zakładania górnego bezansztaksła pod marszem grotmasztu? - zauważył Stourton. - Wydaje mi się, że widzę dwa inne okręty za nim. Dziwi mnie, że doścignęli nas tak szybko, w końcu...

- Stourton! - wrzasnął Jack. - To Linois! Ostro do wiatru! Ster na burtę! Postawić grotżagiel! Bandera w dół! Postawić fokszaksel i grotbramsel! Piechota morska, wybrać grotbras! Szybciej, szybciej! Panie Etherage, niechże pan popędzi swoich ludzi! Babbington przybiegł na rufę, by zameldować o zamocowaniu fokbramrei. Nagły zwrot fregaty, wzmocniony o skok na fali, zbił go z nóg i młodzieniec padł jak długi, tuż u stóp Jacka.

- Przesadza pan z szacunkiem dla mnie - skwitował to Jack.

- Reja zamocowana, sir - bąknął Babbington. - Coś się kroi? - spytał już mniej oficjalnie, widząc dziką radość malującą się na twarzy kapitana.

- Linois się kroi! - Wyszczrzył zęby Jack. - Panie Stourton, proszę natychmiast założyć baksztagi i baksztagi pomocnicze na ten maszt. Niech nie napinają want zbyt mocno. Wszystkie żagle boczne na marsy! Postawcie wszystko, co się da, a potem myślę, że może pan przygotowywać okręt do walki.

Jack porwał lunetę i ruszył na top masztu z energią młodzieńca. „Surprise” wykonała ciasny zwrot i równała teraz na kursie północnym, płynąc ostrym bajdewindem i wychylając coraz bardziej na lewą burtę, w miarę jak przybywało żagli. Odkos fali dziobowej rósł i strugi wody lądowały coraz dalej. Francuzi rozmyli się nieco we mgle, lecz Jack dostrzegł, jak bliższy okręt daje sygnały drugiemu. Oba pierwsze dostrzegły Anglika, więc płynęły na odpowiednim kursie do przechwycenia „Surprise”, wykonując podobny zwrot. Jack wiedział jednak, że bez zmiany halsu nie wejdą w jego ślad torowy, a na ten manewr było zdecydowanie za wcześnie. Za nimi dojrzał kształt większego okrętu, potem dostrzegł jeszcze jeden na południowym zachodzie oraz inny niewyraźny kształt, przypuszczalnie bryg. Okręty francuskie płynęły baksztagiem, rozciągnięte w szyku liniowym, by zasięgiem pokryć dwadzieścia mil pełnego morza. Ich kurs dokładnie przecinał się z miejscem, gdzie następnego dnia miała płynąć powolna flota chińska. Od samego rana po niebie niosły się grzmoty nadciągającej burzy, teraz do odległego, głuchego dudnienia dołączył odgłos wystrzału armatniego. Zapewne francuski admirał przekazywał sygnał okrętom na swej zawietrznej.

- Panie Stourton! - zawołał Jack. - Proszę wciągnąć banderę holenderską i dwa razy pierwsze z brzegu chorągiewki sygnałowe! I strzał z działa na nawietrzną! Nie, dwa wystrzały!

Francuskie fregaty płynęły bardzo szybko - postawiły szaksle bramsli i bomkliwry. Ich dzioby odkładały wysoką falę, okręt płynący pierwszy robił osiem węzłów, drugi dziewięć, lecz

odległość między nimi a „Surprise” rosta. Jack ucieczkę odłożył na dalszy plan, najpierw chciał się dowiedzieć, z kim ma do czynienia.

Na pokładzie pod nim wrzało jak w mrowisku rozrzuconym kopniakiem niesfornego dziecka. Słyszał już łomot drewnianych młotków pomocników cieśli demontujących grodzie. Za kilka minut to, co teraz wygląda na chaos i zamieszanie, zamieni się w sztywny, ustalony schemat - uprzątnięty pokład, działa odtoczone, obsługa każdego z nich w pogotowiu, posterunki przy zejściówkach, nawilżone ekrany chroniące magazyny, mokry piasek rozsypany na deskach pokładu. Jego załoga setki razy ćwiczyła ten manewr, ale jak dotąd, nigdy w chwili prawdziwego zagrożenia. Nurtował go niepokój, jak poradzą sobie w boju. Pewnie nie będzie najgorzej, w końcu pod dobrym dowódcą wielu nowicjuszy sprawdza się w walce. Poza tym załoga „Surprise” to dziarskie chłopcy, myślał, może nieco zbyt niecierpliwi podczas pierwszych salw... A skoro już o tym mowa? Ile prochu było przy każdym działu? Według wczorajszego raportu było po dwadzieścia ładunków na działu i mnóstwo przybitki - pan Hales był bardzo sumiennym artylerzystą. W składziku na proch uwija się teraz zapewne jak w ukropie.

Nie, ucieczka nie przyniesie nic dobrego. Postanowił poczekać jeszcze dwie minuty i potem zacząć działać. Druga z francuskich fregat prześcignęła już pierwszą. Z całą pewnością była to trzydziestoseściodziałowa „Semillante” z dwunastofuntówkami na głównym pokładzie - „Surprise” mogłaby rzucić jej wyzwanie. Przesunął się na reję, by lepiej widzieć - Francuzi płynęli teraz za rufą angielskiej fregaty i trudno było policzyć jej furty działowe. Tak, pierwszy okręt to zdecydowanie była „Semillante”, a ciężka fregata za nią to „Belle Poule”, okręt z czterdziestką dział osiemnastofuntowych. Pod dobrym dowódcą była twardym orzechem do zgryzienia. Śledził je beznamyślnie - zdecydowanie były w dobrych rękach. Sprawiały wrażenie płytko zanurzonych, zapewne z powodu ubytków w zapasach, obie też płynęły wolno. Nic dziwnego, po tyłu miesiącach żeglugi po wodach ciepłych jak zupa każda z nich musiała ciągnąć za sobą długi warkocz wodorostów. Pięknie się prezentowały, a ich załogi zapewne też dobrze znały swój fach - górny fokszaksel „Semillante” zwinięto w okamgnieniu. Odniosł co prawda wrażenie, że „Belle Poule” żeglowała lepiej z mniejszą liczbą postawionych żagli (fokbramsel wciskał jej dziób głębiej w fale), lecz jej kapitan na pewno najlepiej wyznawał się w kwestii trymu własnego okrętu.

Na reję wspiął się zasapany Braithwaite.

- Pan Stourton melduje, że okręt jest gotowy do boju. Czy rozkaże pan bić na alarm, sir?

- Nie, panie Braithwaite - odparł Jack po chwili zastanowienia. Nie kierował okrętu do boju, nie było zatem sensu trzymać ludzi w pogotowiu. - Nie. Przekaż jednak panu Stourtonowi, że życzę sobie, by dyskretnie zmniejszył powierzchnię żagli. Popuście nieco buliny, poluźnijcie trochę szoty, rozumie pan? Nic, co by mogło wpaść Francuzom w oko. A stary fokmarsel numer trzy przywiążcie do cumy i wypuście do wody przez rufową furtę na zawietrznej.

- *Aye!* - potwierdził Braithwaite i zniknął. W kilka chwil później stary żagiel znalazł się w wodzie, rozpostarł niczym parasol i prędkość fregaty poczęła maleć.

Stephen i White stali przy relingu rufowym, patrząc, co się dzieje na zawietrznej okrętu.

- Oni się chyba zbliżają - stwierdził pan White. - Już wyraźnie mogę dostrzec ludzi na przodzie tego bliższego statku, na tym dalszym zresztą też. Strzelają, widzi pan! I jakąś flagę wciągają! Pańska luneta, sir, proszę. To angielska flaga! Cieszymy się z ocalenia, doktorze! Przyznaję, że naprawdę obawiałem się, że wpadliśmy w prawdziwe tarapaty! Ha, ha, ha! To nasi!

- *Haud crede colori* - powiedział Stephen. - Niech pan spojrzysz w górę.

Pan White zadarł głowę, by spojrzeć na top stermasztu, gdzie dzielnie trzepotała flaga trójkolorowa.

- To flaga francuska! - wykrzyknął. - Nie, holenderska! Żeglujemy pod fałszywą flagą? Jak to możliwe?

- Możliwe - stwierdził Stephen. - Oni chcą oszukać nas, a my ich. Wina rozkłada się równo po obu stronach. To ogólnie uznawana konwencja, coś jak nakazanie lokajowi - kula z dziobowej pościgówki „Semillante” wbiła gejzer wody morskiej tuż obok rufy angielskiej fregaty i pastor aż się cofnął - by mówił, że nie ma pana w domu, podczas gdy zasiada pan wygodnie przed kominkiem i zajada bułeczki, nie życząc sobie, by ktokolwiek panu przeszkadzał.

- Często to czyniłem - powiedział pan White, jego bladą twarz pokrywał rumieniec. - Niech mi Bóg wybaczy. A teraz znalazłem się w środku bitwy. Nigdy bym nie przypuszczał, że takie rzeczy mogą mi się przytrafić, jestem człowiekiem usposobionym pokojowo. Cóż, nie wolno mi jednak dawać złego przykładu.

Kolejna kula odbiła się od szczytu fali i wpadła na pokład rufowy. Nie uczyniła jednak nikomu krzywdy i ugrzęzła w siatce zgrabnie ułożonych hamaków. Dwóch midszypmenów puściło się biegiem w jej kierunku - po krótkiej przepychance silniejszy z nich wyrwał kulę koledze i zawiął czule w kurtkę.

- Na niebiosa! - wykrzyknął pan White. - Strzelać wielkimi żelaznymi kulami do ludzi, których nigdy się nie widziało! Duch barbarzyństwa powrócił!

- Chce pan spojrzeć przez lunetę?

- Z chęcią! Chcę tu pozostać, by pokazać, że nie boję się tych łotrów. Chylę jednakże czoła przed pańską głęboką znajomością zagadnień wojennych. Czy kapitan ma zamiar długo pozostać tam na maszcie?

- Zapewne tak - odparł Stephen. - Przypuszczam, że układa sobie rozwój sytuacji w głowie. Tym właśnie zajmował się Jack. Oczywiście było, że jego podstawowym zadaniem po rozpoznaniu sił wroga będzie dotarcie do floty chińskiej i uczynienie wszystkiego, co możliwe, by ją uratować. Francuskie okręty miały dna w kiepskim stanie i nie ulegało wątpliwości, że prześcignie je z łatwością. Ba, nie wątpił, że dokonałby tego nawet wtedy, gdyby Francuzi oczyścili swe kadłuby - mieli wspaniałe okręty, w końcu sama „Surprise” również wyszła spod ich ręki, ale przecież żaden Francuz nie potrafi pokierować okrętem lepiej od Anglika! Mimo to nie wolno mu było nie doceniać szcwanego lisa Linois, który kiedyś już przechwycił i zatrzymał okręt Jacka na Morzu Śródziemnym.

Wreszcie dokładnie też widział płynący za fregatami dwupokładowiec - bez wątpienia był to uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa „Marengo”, nad którym powiewała flaga kontradmirałska. Liniowiec wykonał właśnie zwrot i płynął lewym halsiem na wiatr, w ślad za nim podążał czwarty okręt, a w pewnej odległości bryg. Czwarty okręt to z pewnością „Berceau”, dwudziestodwudziałowa korweta, brygu rozpoznać nie potrafił. A zatem Linois wykonał zwrot przez rufę zamiast zmiany halsu. Przypominało to „Marengo”, „Berceau” i nieznany bryg, pozostając na przeciwnym halsie, zamierzały zapewne odciąć „Surprise” drogę, gdy obu fregatom uda się nawiązać z nią walkę. Ogary zaganiające zająca.

Ostatnia kula wylądowała zbyt blisko - Francuzi musieli mieć doświadczonych artylerzystów, skoro przy maksymalnym zasięgu tak celnie lokowali swe kule. Szkoda by było, gdyby francuskie pociski pocięły mu jakieś liny.

- Panie Stourton! - krzyknął. - Każ pan zdjąć jeden ref z fokmarsła! Wybierać buliny! Fregata skoczyła naprzód, nawet mimo wlokącego się za nią w wodzie żagla. „Semillante” zostawiła już „Belle Poule” daleko w tyle na zawietrznej - Jack nagle uświadomił sobie, że może odciągnąć francuski okręt, niespodziewanie wykonać zwrot i wciągnąć go w walkę, pogruchotać trzydziestodwufuntowymi karonadami, a może nawet zatopić albo zająć, nim pojawiłaby się reszta francuskiej eskadry. Nagła pokusa sprawiła, iż zaczął szybciej oddychać. Chwała zdobywcy jedyne go przyzwoity na Oceanie Indyjskim! Szybko jednak stłumił wizje kłębow dymu, plujących ogniem dział i walących się masztów i powrócił do zimnej kalkulacji. Nie wolno mu było stracić choćby pojedynczego drzewca - fregata za wszelką cenę musi nietknięta dotrzeć do floty chińskiej.

Obecny kurs poprowadziłby Francuzów dokładnie na konwój statków Kompanii, oddalony zaledwie o pół dnia żeglugi na wschód, rozciągnięty na przestrzeni wielu mil morskich i niczego nie podejrzewający. Musi użyć jakiegoś fortelu, by zwieść Francuzów, nawet jeśli oznaczałoby to utratę korzystnej pozycji na nawietrznej. Musiałby ich zwodzić aż do zapadnięcia ciemności, potem ruszyć bajdewindem, licząc na to, że mrok nocy i doskonałe właściwości morskie „Surprise” pomogą zgubić przeciwników i umożliwią dotarcie na czas do konwoju.

Mógłby wykonać zwrot przez dziób i do dziesiątej płynąć na południowy wschód. Do tego czasu powinien uzyskać taką przewagę nad francuskim admirałem, iż niewidoczny w ciemnościach wystrzyłby do wiatru i zawrócił. Gdyby jednak to zrobił lub dał po sobie poznać, że ma taki plan, chytry Linois wysłałby ścigające go fregaty, aby utrzymały kurs północny, przesunawszy się na nawietrzną w stosunku do „Surprise”, i w ten sposób uzyskałby przewagę. Rankiem mogło się to okazać zgubne w skutkach - „Surprise” była szybkim okrętem, lecz halsując, by ostrzec flotę chińską, nie dałaby rady wyprzedzić „Semillante” i „Belle Poule” żeglujących baksztagiem.

Gdyby jednak Linois wydał taki rozkaz i obie fregaty rzeczywiście utrzymały kurs północny, w jego szyku pojawiłaby się luka. Szybki zwrot „Surprise” i skok fordewindem pod pełnymi żaglami mógłby umieścić angielską fregatę dokładnie między „Marengo” i „Belle Poule”, lecz poza zasięgiem dział obu okrętów. Korweta „Berceau”, oddalona nieco bardziej na zawietrzną, mogłaby zatkać lukę, lecz wątpliwe było, czy zdołałaby go zatrzymać na dłużej. Owszem, ogień jej dział mógł strącić kilka drzewców „Surprise”, lecz nie starczyłoby to, by wciągnąć angielską fregatę w zasięg dział „Marengo”. Zawsze istniała jednak ewentualność, że dowódca „Berceau” jest człowiekiem na tyle zdeterminowanym, że zdecyduje się zatrzymać „Surprise” choćby i kosztem własnego okrętu, na przykład taranując burtę fregaty. Wtedy sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót...

Wpatrywał się nad falami w odległą fregatę, póki ta nie zniknęła w chmurze przelotnego deszczu, wtedy przeniósł wzrok na dwupokładowiec. Co też knuł Linois? Płynął na południe południowy-wschód na nie pracujących żaglach - postawił jedynie marsle, a fokżagiel miał podebrany na gejtawy. Jednego Jack mógł być pewien - francuskiemu admirałowi daleko bardziej zależy na zniszczeniu floty chińskiej aniżeli samotnej fregaty.

Manewry, odpowiedzi na manewry, wahająca się skala zagrożenia, przewaga pozycji Francuzów... Wciąż pogrążony w rozmyślaniach Jack zszedł w końcu na pokład i przyglądający mu się z uwagą Stephen doszedł do wniosku, że z braku lepszych określeń wyraz twarzy Jacka mógłby nazwać „bitewnym”. Nie było to rozpierające go podniecenie przed oczekującym go bojem, abordażem i walką na białą broń, lecz stan znacznie odleglejszy. Był pogodny i pewny siebie, lecz zachowywał rezerwę, a autorytet wręcz bił od niego. Poza poleceniem, by zamocowano podwójne baksztagi pomocnicze, nie odezwał się ani słowem, a miast tego, jak gdyby nigdy nic, podjął spacer po pokładzie rufowym z dłońmi splecionymi z tyłu. Jego wzrok wędrował od fregat aż po liniowiec. Stephen dostrzegł, jak pierwszy oficer idzie ku niemu, po czym nagle waha się i cofa o krok.

„Zatem w takich chwilach mój przyjaciel staje się większy” - przyszło mu do głowy.

„Potężnieje zarówno w aspekcie fizycznym, jak i osobowościowym. Może to złudzenie optyczne? Jakże miałbym go teraz zmierzyć? Zresztą tego przenikliwego sprytu w jego oczach nie można zmierzyć. W takich chwilach Jack staje się kimś obcym - ja też bałbym się do niego przemówić”.

- Panie Stourton - odezwał się Jack. - Wykonamy zwrot przez dziób.

- Aye, sir! Czy mam wydać rozkaz, by odcięto holowany żagiel?

- Nie. Proszę wykonać manewr powoli. Wyda pan odpowiednie polecenia, proszę.

- Załoga do zwrotu!

Podczas gdy świergot gwizdków bosmańskich poniósł się po pokładzie, Jack stanął na hamakach, przyglądając się „Marengo” przez lunetę. Tuż po komendzie „Wybierać grotzagiel!” i odgłosie gwizdka oznaczającego obłożenie, dostrzegł, jak okręt flagowy nadaje sygnał do reszty eskadry. W tej samej chwili na rufie liniowca wykwił obłoczek dymu. „Semillante” i „Belle Poule” również poczęły wykonywać zwrot, by kontynuować pościg, jednakże „Semillante” wypadła z wiatru i pozostała na dawnym kursie. „Belle Poule” już przekroczyła linię wiatru, kiedy kolejny wystrzał z działa podkreślił rozkaz. Miała pozostać na kursie północnym i zyskać przewagę położenia, musiała zatem wykonać zwrot w prawo, by powrócić na poprzedni hals.

- Cholera - wymamrotał Jack. Pomyłka francuskiej fregaty zawężyła cenną lukę zaledwie do ćwierci mili. Zerknął na położenie słońca, potem na zegarek. - Panie Church, niech pan mi przyniesie mango.

Minuty płynęły, sok owocu ściekał po jego podbródku. Francuskie fregaty trzymały się kursu północno-zachodniego ku północy. „Semillante”, a tuż za nią „Belle Poule” przecięły ślad torowy „Surprise”, zyskując ostatecznie przewagę pozycji, zatem nie było już sensu zmieniać decyzji. „Marengo” płynął na prawym trawersie niemalże na równoległym kursie, dwa rzędy dział liniowca były doskonale widoczne. Na pokładzie panowała cisza, zakłócana jedynie przez coraz wyższy świst wiatru w takielunku i łoskot fal rozbijających się o lewą ćwiartkę dziobową fregaty. Oddalone okręty sprawiały wrażenie niemalże nieruchomych w stosunku do siebie. Patrząc na to, łatwo było ulec iluzji, iż na morzu panował spokój.

„Marengo” rozpostarł fok i kąt między jednostkami poszerzył się o pół stopnia. Jack sprawdził jeszcze raz pozycje wszystkich okrętów, zerknął na zegarek, obdarzył przelotnym spojrzeniem wskaźnik kierunku wiatru i odezwał się do Stourtona:

- Panie Stourton, żagle boczne są już na marsach, jak mniemam?

- Tak, sir.

- Doskonale. Teraz proszę uważnie posłuchać, w ciągu dziesięciu minut musimy odciąć dryfkotwę, postawić bombramsle i wszystkie żagle boczne, jakie się da, a potem błyskawicznie wyostrzyć na dwa rumby do linii wiatru. Trzeba postawić żagle tak szybko, jak tylko jest w to w naszej mocy, biorąc jednocześnie bezan na gejtawy i opuszczając sztaksle. Proszę posłać Bondena i Clerka do koła sterowego. Opuścić furty działowe prawej burty. Proszę wszystko przygotować i czekać na mój sygnał do odcięcia dryfkotwy.

Minuty biegły jedna za drugą, punkt krytyczny zbliżał się jednakże bardzo powoli. Jack, nieruchomy pośród gorączkowo krzątających się marynarzy i zajęty obserwacją odległych okrętów francuskich, pogwizdywał cichutko. Naraz upomniał sam siebie - pogwizdywanie przywoływało wiatr, a przecież każdy silniejszy podmuch mógłby być wykorzystany przez liniowca! Jack dobrze wiedział, jak szybko owe francuskie siedemdziesięcioczerodziałowe okręty potrafią się poruszać z korzystnym wiatrem!

Po raz ostatni rzucił okiem na nawietrzną - siły były idealnie wyrównane, nadszedł moment krytyczny. Zacerpnął głęboko tchu i wyrzucił włochatą pestkę mango za burtę.

- Odciąć dryfkotwę! Ster lewo na burt! - krzyknął, nim jeszcze usłyszał plusk wody.

Reje zaskrzypiały, odwracając się, żagle rozkwitały błyskawicznie jeden po drugim, podczas gdy inne szybko znikwały, a sama „Surprise” położyła się w zwrocie, pozostawiając za rufową ćwiartką prawej burty ciasny łuk spienionej wody. Okręt skoczył naprzód z nową mocą, aż zaskrzypiały maszty i szybko wszedł na nowy kurs, nie zbacząc zeń ani o ćwierć rumbu. Kierował fregatę dokładnie tam, gdzie tego chciał, prosto w środek luki między okrętami francuskimi. „Surprise” płynęła nawet szybciej, niż Jack początkowo zakładał, a wyższe reje wyginały się niczym bat woźnicy.

- Panie Stourton, dobra robota! Jestem bardzo zadowolony.

„Surprise” cięła fale, płynąc coraz szybciej, aż jej prędkość ustaliła się na jedenastu węzłach i napięte maszty przestały skrzypieć. Baksztagi opadły nieco - Jack oparł się o jeden z nich, badając jego napięcie i wciąż nie spuszczał wzroku z „Marengo”.

- Postawić żagle boczne fokbombramsla i grotbombramsla! - rozkazał.

Ani chybi „Marengo” miał dobrze wyszkoloną i szybką załogę, ale manewr „Surprise” zaskoczył ich całkowicie. Francuski admirał rozpoczął zwrot, dopiero kiedy na wysokości bombramsrei angielskiej fregaty wykwitły żagle boczne, maszty na nowo podjęły płacziwą pieśń skargi, pchając teraz pięćset ton okrętu przez fale z jeszcze większą prędkością. Pokład fregaty był ostro nachylony, a reling dziobowy nurzał się w pianie fali. Fale z łoskotem przewalały się wzdłuż burt, lecz z ust członków załogi nie padło ani jedno słowo. Stali, milcząc, oszołomieni prędkością okrętu i samym manewrem.

„Marengo” w końcu wykonał zwrot i ruszył baksztagiem, na którym wiatr mógł najefektywniej wypełnić piękne żagle liniowca i umożliwić mu jak najszybsze przechwycenie „Surprise”. Gdyby „Surprise” utraciła choć węzeł z obecnej prędkości, jej przechwycenie gdzieś na południowym zachodzie byłoby kwestią chwili. W tym samym czasie na jego flaglinkach dostrzec było można kolejne serie sygnałów, po części skierowanych do wciąż niewidocznej korwety na zawietrznej liniowca, po części nawołujących „Semillante” i „Belle Poule” do obrzucenia Anglika gradem pocisków.

- Nie uda im się - stwierdził Jack. - Powinni byli założyć podwójne baksztagi pomocnicze jakieś pół godziny temu. Nie mogą teraz postawić bombramsli przy takiej bryzie.

Mówiąc te słowa, mocno trzymał się knagi. Z bombramslami czy bez nich, sytuacja była trudna. „Marengo” rozwijał większą prędkość, niż Jack z początku zakładał, a „Belle Poule”, którą poprzedni błąd posłał na zawietrzną, powoli odzyskiwała pozycję. Liniowiec i ciężka fregata stanowili główne zagrożenie - „Surprise” nie miała żadnych szans w walce z „Marengo” i niewiele więcej w starciu z „Belle Poule”, a oba okręty szybko nachodziły na jej kurs. Każdego otaczał niewidzialny, groźny krąg zasięgu ich potężnych dział, zataczający promień dwóch mil, a na trawersie nawet więcej. Trzymanie się jak najdalej tych kręgów, a przede wszystkim stref, gdzie obydwie kręgi mogły na siebie najść, było dla „Surprise” kwestią życia i śmierci - a droga ucieczki była coraz cieńsza.

Przeanalizował dokładnie trym okrętu, niewykluczone, że postawił zbyt dużo żagli, które teraz przegłębiają okręt na rufę.

- Podebrać grotmaszt! - zawołał.

Miał rację, zmiana była zauważalna - okręt żeglował teraz znacznie swobodniej. Dzielna, kochana „Surprise” najlepiej płynęła na żaglach przednich.

- Panie Babbington, proszę pobiec na przód i sprawdzić, czy możemy postawić żagiel rozprzowy!

- Nie sądzę, sir! - Młodzieniec przybiegł z raportem. - Mamy bardzo wysoką falę dziobową. Jack pokiwał głową, meldunek Babbingtona potwierdzał jego przypuszczenia.

- Postawcie go więc na fok - rozkazał i w myślach podziękował Bogu za nową stengę, która z łatwością mogła wytrzymać napięcie. Jakże wspaniale zareagował okręt na nowe żagle! Cóż za okręt, zdawać by się mogło, iż umie spełnić każde ludzkie życzenie. Strefa największego zagrożenia zbliżała się jednak coraz bardziej - luka była coraz węższa, a „Marengo” pośpiesznie stawiał coraz to nowe żagle.

- Panie Callow - zwrócił się Jack do midszypmena sygnalisty. - Proszę ściągnąć holenderskie barwy i wywiesić banderę i nasz własny proporzec.

Po chwili bandera załopotała na topie stermasztu, a proporzec, oznaka okrętu wojennego, wykwitł na czubku grotmasztu. Dla załogi spiczasto zakończony proporzec „Surprise” miał szczególną wartość - cztery razy reperowano go już podczas tej służby i za każdym razem wywieszano go wyżej o jard czy dwa. Teraz jego ogniste płótno załopotowało na wysokości sześćdziesięciu stóp, zwrócone ku dziobowej ćwiartce sterburty. Załoga powitała widok z

pomrukiem aprobaty, większość z nich wciąż była mocno poruszona niezwykłą prędkością okrętu.

Teraz „Surprise” znajdowała się niemalże w maksymalnym zasięgu dziobowych dział „Marengo”. Gdyby teraz próbował się wymknąć, „Semillante” i „Belle Poule” przyskrzynyłyby go ogniem dział. Czy mógł sobie pozwolić na pozostanie na obecnym kursie?

- Panie Braithwaite - zwrócił się do pomocnika nawigatora. - Proszę opuścić log.

Midszypmen zrobił kilka kroków naprzód, czekając, aż prawa część pokładu rufowego opadnie. Chciał wybrać spokojniejszy fragment fali, gdzie mógłby cisnąć log.

- Odwijaj! - krzyknął do swego pomocnika, ciskając deskę przez deszcz bryzgów.

Chłopiec okrętowy stojący na siatce z hamakami trzymał bęben wysoko - naraz lina pękła i rozległ się jego krzyk. Ochmistrz zdołał chwycić ześlizgującego się chłopca za nogę i wciągnął go na pokład - bęben wyrwany z jego dłoni potoczył się i wpadł do wody za burtą.

- Proszę przynieść inny log - zarządził Jack z satysfakcją w głosie. Tylko raz wcześniej widział linę w całości zerwaną z bębna logu, kiedy sam służył jako midszypmen na okręcie „Flying Childers” idącym z Nowej Szkocji do Anglii.

Różnica polegała na tym, że na „Childersie” trzymający kołowrót majtek utonął. Tym razem majtek, półgłówek Bent Larsen, zachował życie i choć w innych okolicznościach wszyscy ubolewaliby z tego powodu, teraz nie było na to czasu. Ich prędkość już pozwalała na prześcignięcie „Marengo”, a odległość za kilka minut zaczęła rosnąć, lecz zbliżali się oto ku punktowi zbiegnięcia się kursów francuskich okrętów z kursem „Surprise”. Pomyłka o kilkaset jardów mogła oznaczać celne kule z ośmioletek.

Czy Linois otworzy ogień? Otworzył - ujrzeni płomień wylotowy i obłok dymu, kula, choć dobrze wymierzona, nie sięgnęła jednak „Surprise”. Następnym pięć pocisków również było niecelnych, a szósty wylądował sześć jardów za rufą fregaty. W ślad za nim uderzyły dwa kolejne, a następny chybił jeszcze bardziej. Byli bezpieczni, a z każdą minutą byli coraz dalej od maksymalnego zasięgu dział francuskich.

- Nie wolno mi go zniechęcić - powiedział Jack, nakazując zmianę kursu, by przybliżyć się nieco do francuskich okrętów. - Proszę poluznić szoty fokżagla i złożyć żagiel rozprzowy.

Panie Callow, proszę wywiesić sygnał: „Nieprzyjaciel w zasięgu. Liniowiec, korweta i bryg na kursie wschodnim, dwie fregaty na północno-zachodnim ku północy. Prośba o instrukcje” i nakazać wystrzał z działa na nawietrzną. Chorągiewki niech wiszą, a wystrzał z działa proszę powtarzać co trzydzieści sekund.

- Tak jest, sir! Czy wolno mi nadać, że korweta płynie już na południowy wschód?

Callow miał rację. Korweta wynurzyła się z mgielki wywołanej przelotnymi deszczami na dziobowej ćwiartce lewej burty angielskiej fregaty. Korweta płynęła na zawietrznej liniowca, wyprzedzając go bardzo. Zmienny szkwał przesunął ją o pół mili na zachód. Sytuacja była poważna, bardzo poważna.

Korweta mogła go teraz związać bojem, a gdyby chciał się wymknąć, wszedłby pod maksymalny zasięg dział „Semillante”, która znów wyprzedziła „Belle Poule”. Ale z kolei by stanąć z nim burta w burtę, korweta musiałaby wytrzymać niszczący ogień flankowy jego dział, a tylko najbardziej zdeterminowany i zawzięty kapitan mógłby tego dokonać. Francuski kapitan miał pewnie zamiar trzymać się na granicy zasięgu dział i co najwyżej odpalić kilka odległych salw burtowych. Jack nie miał nic przeciwko temu, wręcz odwrotnie, od chwili kiedy skierował fregatę w lukę i maksymalnie wykorzystał jej prędkość, starał się wymyślić sposób na zachęcenie Linois do pościgu. Marzeniem Jacka było teraz odciągać Francuzów na południe aż do zmierzchu. Wywieszane sygnały nie mogły długo zwodzić Francuzów, na dryfkotwę Linois nie nabrałby się po raz drugi, ale na przykład spuszczone z góry reja? Widzący spadającą reję wrogowie utwierdziliby się w przekonaniu, że okręt został trafiony.

- Panie Babbington, korweta chce nas związać bojem. Kiedy wydam rozkaz, proszę zrzucić grotmarsel wraz z reją, zupełnie jakby trafił w nas ogień przeciwnika. Musi pan być jednakże

ostrożny, nie wolno nam uszkodzić ani rei, ani samego żagla. Sposób załatwienia tego zostawiam panu. Niech to wygląda na totalny bajzel, ale żagiel ma być gotowy do natychmiastowego postawienia.

Oto psota, która mogła komuś takiemu jak Babbington sprawić wiele radości. Jack nie wątpił, że chłopak potrafi wywołać zamieszanie w bardzo profesjonalny sposób, lecz musiał szybko zabrać się do roboty. „Berceau” nadpływał pod pełnymi żaglami z maksymalną prędkością i Jack dostrzegł, jak stawiają luźny żagiel przed fokbombamslem. Korweta sterowała tak, by przejść przed dziobem „Surprise” - w tej chwili znajdowała się na jej trawersie - i choć miała już angielski okręt w zasięgu, nie otwierała ognia.

- Panie Babbington, skoro chce pan się tam zdrzemnąć na górze, to może postać panu pański hamak? - krzyknął Jack.

- Przepraszam, sir, nie dało rady szybciej! - Purpurowy z wysiłku Babbington ześlizgnął się po baksztagu. - Wszystko przygotowane. Zostawiłem na górze Harrisa i Old Reliable'a. Kazałem im się schować i wszystko zwalić na dany sygnał.

- Bardzo dobrze, panie Babbington. Panie Stourton, proszę bić w bębny na alarm bojowy! Na odgłos bicia w bębny Stephen ujął przerażonego pastora pod ramię i poprowadził go w kierunku zejściówek.

- Oto pana miejsce podczas boju - powiedział w ciemnym pomieszczeniu. - Na tych kufrach operujemy z panem M'Alisterem, a tam - machnął latarnią - są tampony i bandaże, które będzie pan podawał wraz z Cholesem. Jak znosi pan widok krwi?

- Ja w ogóle jeszcze nigdy nie widziałem rozlanej krwi!

- Gdyby był pan w potrzebie, tam stoi wiadro.

Jack wraz ze Stourtonem i Etherage'em stali na pokładzie rufowym, Harrowby czuwał nad kursem okrętu, stojąc nieco za ich plecami, reszta oficerów czekała przy działach. Każdy członek załogi śledził teraz „Berceau”, piękny, zgrabny i dobrze wytrzymały okręcik z czerwonymi marslami. Korweta płynęła teraz zwrócona dziobem w kierunku fregaty, kierując się prosto pod jej lufy dział, a Jack, uważnie obserwujący okręt przez lunetę, nie dostrzegł na jej pokładzie żadnych przygotowań do zmiany kursu. Stojące za nim działo sygnałowe ryczało co trzydzieści sekund, a korweta wciąż parła prosto w strefę niszczycielskiego ognia angielskiej fregaty. Nigdy by się nie spodziewał takiej determinacji po francuskim kapitanie. Co prawda kiedyś sam dokonał czegoś takiego na Morzu Śródziemnym, lecz jego przeciwnikiem była wtedy hiszpańska fregata.

Jeszcze dwieście jardów i kule z ciężkich karonad na pokładzie „Surprise” bez pudła uderzą we wrogi okręt. Działo sygnałowe wciąż odzywało się ogniem.

- Obkładać - rozkazał. - Panie Pullings! - Jego głos nabrał mocy. - Panie Pullings! Ogień ciągły! Uważnie celować tuż pod jej fokmaszt! Po każdym strzale czekajcie, aż dym się rozwieje!

Nastąpiła przerwa. Okręt wspiął się na kolejnej fali i naraz działo ochmistrza ryknęło ogniem, spowite obłokiem dymu. W żaglu rozprzowym korwety pojawiła się dziura powitana przez załogę okrzykiem radości, natychmiast zagłuszonym przez wystrzał drugiego dział.

- Równno, równno! - ryknął Jack.

Pullings biegł teraz wzdłuż burty, by naprowadzić trzecie działo na cel. Pocisk uderzył w wodę bardzo blisko dziobu korwety, a Francuz natychmiast odpowiedział z dział pościgowego, muskając kulą grotmaszt „Surprise”. Wystrzały z dział brytyjskiej fregaty następowały teraz jeden po drugim, układając się w pełną salwę burtową - dwie kule uderzyły w dziób korwety, inna zdruzgotała jej ławę wantową, jeszcze inne wyrwały dziury w jej fokżaglu. Kolejna salwa burtowa rozszalała się na burcie fregaty i teraz, w miarę jak francuska korweta coraz bardziej zbliżała się do „Surprise”, niemal każda brytyjska kula grzęzła w jej kadłubie lub wymiatała przed sobą pokład od dziobu aż po rufę. Na jej pokładzie leżały już dwa zdruzgotane działa i kilkanaście nieruchomych ciał. Kadłub okrętu trząsł się od kolejnych celnych salw, lufy

strzelały płomieniami, dym unosił się w gęstych kłębach. Pomimo opustoszałego, pogruchotanego pokładu „Berceau” wciąż jednak parła naprzód, a działa pościgowe na jej dziobie otworzyły nawet celny ogień kulami łańcuchowym, które ze świstem przelatywały w gąszczu takielunku, tnąc liny i żagle.

- Jeszcze chwila, a żadna sztuczka nie będzie już mi potrzebna - doszedł do wniosku Jack. - Czy on chce zewrzeć się burtą? Panie Babbington, panie Pullings, strzelajcie szybciej!

Następna salwa kartaczami! Panie Etherage, niech pańscy żołnierze...

Słowa kapitana utonęły w szaleńczej wrzawie załogi. Trafiony fokmaszt „Berceau” zachwiał się, pochylił mocno w przód i naraz runął, rwąc wanty i sztagi i przykrywając pościgówki płótnem zerwanych żagli.

- Basta! - ryknął Jack. - Hej tam, na marsie! Zrzucić!

Marsel „Surprise” załopotał i naraz zwałił się na pokład. Przez wodę dotarło doń słabe echo radosnego wrzasku załogi pogruchotanej korwety.

Działa brytyjskie posłały grad kartaczy ku pokładowi „Berceau”, powalając kilku ludzi i ścinając banderę.

- Wstrzymać ogień! Niech zgniją w piekle! - krzyczał Jack. - Zabezpieczcie te działa! Panie Stourton, załoga do wiązania lin!

- Opuszcza banderę... - ozwał się czyjś głos na śródokręciu w przerwie między wystrzałami.

Pociski z „Surprise” wielokrotnie trafiły w kadłub „Berceau”. Korweta, wykonując powoli manewr zwrotu miała wyraźne przegiębienie na dziób, a jej kadłub coraz bardziej grzązł w wodzie. Naraz wszyscy dojrzeli, jak któryś z członków załogi francuskiej wspina się szybko po wantach stermasztu, trzymając przed sobą nową banderę. Jack zdjął kapelusz w salucie dla francuskiego kapitana, stojącego samotnie na zakrwawionym, zdemolowanym pokładzie, ten odpowiedział na salut, lecz w tej samej chwili nakazał ocalałym działom lewej burty otworzyć ogień. Korweta odpaliła nierówną salwę burtową, a po niej kolejną, w ostatniej, bezskutecznej próbie zatrzymania odpływającej poza zasięg fregaty. Wszystkie kule chybiły i „Surprise” znów płynęła samotnie, mając „Marengo” daleko za ćwiartką rufową lewej burty i obie fregaty daleko na sterburcie.

Jack zerknął na słońce, pozostała im godzina do zmierzchu. Nie mógł jednak liczyć na to, że uda mu się długo zwodzić Francuzów podczas nadchodzącej, bezksiężycowej nocy, jeśli Linois w ogóle wytrzymałby w pościgu aż do zmierzchu.

- Panie Babbington, proszę zabrać swoich ludzi na mars i niech pan udaje, że doprowadza pan reję do porządku - powiedział Jack. - Może pan skantować reję. Panie Callow... Gdzież on jest?

- Zabrano go do szpitalika - odpowiedział Stourton. - Rana na głowie.

- Niech więc będzie pan Lee. Wywiesić sygnał „Starcie z częścią sił wroga. Ciężkie uszkodzenia. Proszę o pomoc. Kurs wroga: północny wschód ku północy i północny zachód ku północy”. Kontynuować wystrzały z działa sygnałowego co trzydzieści sekund. Panie Stourton, mały ogień na śródokręciu nie zaszkodzi nam, proszę zrobić mnóstwo dymu. Wystarczy wypełnić jeden z kotłów odpadkami i pakułami. Wywołamy trochę zamieszania.

Podszedł do relingu rufowego i uważnie zlustrował morze za rufą. Bryg podszedł do okaleczonej korwety, liniowiec utrzymywał kurs i prędkość, być może nawet zmniejszywszy nieco dystans. Zgodnie z oczekiwaniami nadawał sygnały do obu fregat - cóż za gadatliwy naród z tych Francuzów! Bez wątpienia nakazywał fregatom postawić więcej żagli, gdyż na „Belle Poule” rozkwitł właśnie grotbombramsel. W chwili obecnej sytuacja była opanowana. Zszedł pod pokład.

- Doktorze, jak wygląda lista ofiar? - spytał.

- Trzech ludzi zranionych odpryskami drewna, z radością donoszę, że to nic poważnego. Prócz tego jeden przypadek umiarkowanego wstrząsu.

- Jak pan Callow?

- Tam leży, na podłodze... Eee... na pokładzie. Tuż za panem. Blok spadł mu na głowę.

- Będziesz otwierał jego czaszkę? - spytał Jack, któremu nagle stanął przed oczyma widok Stephena dokonującego trepanacji czaszki artylerzysty na pokładzie „Sophie”. Z podziwem i nabożeństwem oglądali wtedy mózg ludzki.

- Nie, skąd. Jego stan nie usprawiedliwiałby takiego kroku. Da sobie radę i bez trepanacji. Jenkins miał za to wiele szczęścia. Ugodziła go drzazga i kiedy już ją wycięliśmy z panem M'Alisterem...

- Odskoczyła od zaczepów na grotmaszcie, sir! - wtrącił Jenkins, pokazując groźnie wyglądający, ostro zakończony kawałek drewna długości dwóch stóp.

- ...okazało się, że o wbitą drzazgę opiera się wciąż nienaruszona arteria. Jedna dwudziesta cala dalej albo brak uwagi z naszej strony i pan Jenkins stałby się kolejnym bohaterem tej wojny.

- Dobra robota, Jenkins - powiedział Jack. - Naprawdę dobra - dodał, po czym podszedł do pozostałych dwóch. Jeden z nich miał otwartą ranę na przedramieniu, drugi brzydką ranę głowy.

- Czy to pan White? - spytał, wskazując kolejne ciało.

- Tak. Unieśliśmy skalp Johna Saddlera, poprosiłem go, by trzymał brzegi rany na głowie, gdy będę ją zaszywał, ale zadanie okazało się ponad jego siły. Właściwie nie było widać krwi, ale cóż... To przejściowa dolegliwość, świeże powietrze na pokładzie na nowo doprowadzi go do stanu używalności. Czy można go wyprowadzić na pokład?

- Tak, kiedy tylko będzie chciał. Mieliśmy małe starcie z tą korwetą - cóż za rycerski człowiek nią dowodził! Radził sobie doskonale aż do chwili, kiedy pan Bowes zdmuchnął jego fokmaszt. Teraz płyniemy fordewindem, daleko poza zasięgiem nieprzyjaciela. Koniecznie musimy wyprowadzić pana White'a na pokład.

Czarny dym buchał z kotła na śródokręciu fregaty i niósł się kłębamii daleko za nią. Chłopcy okrętowi krzatali się wokół ze szczotkami i wiadrami, na pokładzie pojawiła się też machina gaśnicza, Babbington wyrzaskiwał przekleństwa na marsie i wymachiwał ramionami, a załoga wyglądała na zadowoloną z własnego sprytu. Ścigający zyskali ćwierć mili.

Daleko na trawersie sterburty słońce wolno zachodziło w krwistoczerwonej poświacie, niksą powoli za horyzontem. Bezgwiazdna, bezksiężycowa noc nadciągała ze wschodu, a w kilwaterze fregaty poczęła nieśmiało jaśnieć fosforescencja.

Żagle francuskich okrętów stały się już tylko niewyraźnymi, ledwie widocznymi białymi plamkami daleko za rufą. Pozycje okrętów eskadry Linois były znane tylko dzięki migotaniu latarni na topach masztów okrętu admirałskiego. Na „Surprise” szybko zapalono niebieskie latarnie, postawiono nie uszkodzony grotmarsel i fregata pomknęła chyżo na południowy zachód.

Kiedy dzwon okrętowy wybił osiem szklanek pierwszej wachty, płynąca w egipskich ciemnościach fregata podeszła ostro do wiatru. Jack wydał ostatnie rozkazy, po czym zwrócił się do Stephena:

- Najlepiej będzie, jeśli zdrzemniemy się nieco, póki jeszcze możemy. Spodziewam się jutro pracowitego dnia.

- Uważasz zatem, że nie udało się całkowicie wyprowadzić Linois w pole?

- Mogę tylko mieć nadzieję, że się udało. Cóż, powinien był popłynąć za nami i z pewnością jakiś czas będzie jeszcze płynął. Ale to wytrawny żeglarz i cwany wilk morski. Cieszyłbym się, gdybyśmy rano, po dotarciu do chińskiej floty, nie ujrzeli nic na wschodzie od nas.

- Uważasz, że może wcisnąć się między nas a flotę chińską, kierując się jedynie intuicją? Coś takiego dowodziłoby proroczych właściwości u francuskiego admirała, daleko przekraczających możliwości ludzkie. Wytrawny wilk morski to niekoniecznie prorok-wizjoner. Odpowiedni dobór żagli to jedna rzecz, a przepowiadanie przyszłości - inna. Szczerze mówiąc, Jack, jeśli będziesz dalej majaczył w ten pragmatyczny, dogłębny sposób, Sophie spędzi wiele niespokojnych nocy. Wydaje mi się - odezwał się, patrząc na przyjaciela, który zgodnie ze swym długo pielęgnowanym nawykiem momentalnie zapadł w kamienny,

beztroski sen, z którego nie mogło go wyrwać nic poza zmianą kierunku wiatru - wydaje mi się, że ludzkość na swej drodze zmierza ku coraz większej brzydocie. Nie jesteś brzydkim facetem, a zanim zahartowała cię pogoda, a wrogowie pocięli, poturbowali i kilka razy wysadzili w powietrze, byłeś prawie przystojny. Mimo to masz się ożenić z piękną dziewczyną i nie mam wątpliwości, że zostaniesz ojcem zwyczajnych, normalnych dzieci, które będą beczeć na zwykły, nużący i egoistyczny sposób, ślinić się, tracić mleczne ząbki i wyrastać na tumanów. Pokolenie następuje po pokoleniu, a rodzaj ludzki nie staje się ani piękniejszy, ani inteligentniejszy. Nie ma żadnych zmian - kierując się analogią do psów czy koni, bogaci powinni teraz mierzyć dziewięć stóp wzrostu, a biedni mieścić się na baczność pod stołem. Tak się jednak nie dzieje - stajemy się coraz brzydsi, a mimo to brak jakiegokolwiek poprawy wcale nie przeszkadza mężczyznom w szukaniu towarzystwa pięknych kobiet. Mnie samemu, kiedy myślę o Dianie, dzieci nigdy nie przychodzą do głowy. Nigdy świadomie nie przyczyniłbym się do nieszczęścia tego świata, sprowadzając nań nowych obywateli. A nawet gdybym myślał o dzieciach, wyobrażenie Diany jako matki jest absurdalne. Nie ma w niej nic, co chociaż przypominałoby macierzyństwo. Jej cnoty polegają na czymś innym.

Skrócił knot, pozostawiając jedynie drobny, niebieskawy promyk w latarni i wypetłzył na stromo nachylony pokład. Wcisnął się między kłęb lin a burtę i zapatrzył się na tonące w ciemnościach morze i gwiazdy, błyszczące w lukach między chmurami. Rozmyślał o owych cnotach Diany, próbując nazwać i określić każdą z nich, a jednocześnie słuchał odgłosów dzwonu pokładowego i odpowiadających mu okrzyków. Działo się tak aż do pierwszego przejaśnienia na wschodniej stronie nieba.

- Przyniosłem panu kubek kawy, doktorze - rozległ się głos Pullingsa, jego sylwetka wyłoniła się z ciemności tuż przy nim. - Jak pan wypije, obudzę kapitana. Będzie niezwykle zadowolony.

Wciąż mówił cichym głosem marynarzy z nocnej wachty, choć większość załogi była już na nogach i na pokładzie na nowo pojawiły się oznaki życia.

- A cóż ma go tak ucieszyć, Tom? Dziękuję za ten wspaniały, pokrzepiający napój - dobry z ciebie człowiek. Więc co ma go ucieszyć?

- Przez ostatnią szklanek widzieliśmy światła statków Kompanii. Kiedy wstanie świt, myślę, że ujrzymy je wszystkie, zdejmujące refy z marsli, dokładnie w tym miejscu, gdzie spodziewaliśmy się je ujrzeć. Przyzna pan, że to niezwykle wyczyn nawigacyjny - kapitan wykiwał Linois jak się patrzy.

Jack wyszedł na pokład. Coraz silniejsze światło dnia ukazało oczom załogi fregaty żagle czterdziestu statków handlowych, rozsianych na morzu po zachodniej stronie nieba. Już otworzył usta, by wydać rozkazy, kiedy w blasku ujrzał światła innego okrętu na wschodzie. Nieznany kształt rozbłysnął ogniem dział, niczym podczas pojedynku z innym okrętem.

- Panie Braithwaite, proszę na mars grota - polecił. - Proszę meldować, co pan widzi.

Odpowiedź nadeszła szybko:

- To ten francuski bryg! Nadaje sygnały jeden po drugim, jak szalenie jakiś! I chyba widzę jeszcze jakiś żagiel na północ od brygu.

Właśnie tego się obawiał - zaraz po zapadnięciu zmierzchu Linois wysłał bryg prosto na północ. Teraz okręt przekazywał reszcie eskadry za horyzontem wiadomość o „Surprise”, a może i nawet o całej flocie chińskiej.

Rozciągnięty w czasie podstęp wojenny nie powiódł się zatem. Jack miał zamiar ściągnąć okręty Linois tak daleko na południe i zachód przez noc, by „Surprise”, po drodze wykręciwszy ku konwojowi, była rano poza zasięgiem ich wzroku. Dzięki ogromnej prędkości fregaty z pewnością byli w stanie tego dokonać, niemniej na którymś z francuskich okrętów musiano dostrzec błysk żagla „Surprise”, kiedy fregata po wykonaniu zwrotu płynęła już na północ. Legendarna intuicja Linois też mogła mu podszeptać, że Anglicy próbują wystrychnąć go na dudka, tak więc odwołał pościg, wysyłając bryg na poprzedni kurs. Po godzinie sam z resztą

okrętów udał się zapewne w ślad za brygiem, stawiając wszystkie żagle, by jak najszybciej przeciąć kurs floty chińskiej. Podstęp Jacka nie zawiódł jednak całkowicie - dzięki niemu zyskał sporo czasu. Pytanie teraz brzmiało, ile w istocie tego czasu mieli.

Jack podał kurs prosto na konwój i wspiał się na saling - przeklęty bryg płynął w odległości czterech mil, skradając się podstępnie niczym Guy Fawkes*, a odległe żagle na horyzoncie zdały mu się większe.

* Guy Fawkes - członek grupy katolickich ekstremistów, którzy chcieli wysadzić Parlament wraz z otwierającym sesję królem Jakubem I; aresztowany w piwnicach budynku Parlamentu brytyjskiego 5 listopada 1605 roku.

Nigdy by ich nie dostrzegł, gdyby nie niezwykła przejrzystość powietrza o tej porze dnia, dzięki której kształt żagli rysował się znacznie wyraźniej. Nie miał wątpliwości, że żagle należały do jednej z francuskich fregat i że cała francuska eskadra, pomniejszona o korwetę, była znów rozciągnięta w szyku liniowym na kursie prostopadłym do kursu konwoju. Z łatwością mogli prześcignąć najszybszy ze statków konwoju, a przy wiejącym niezmiennie mounsunie nie było sposobu na ucieczkę. Z pewnością nie mogli prześcignąć konwoju i Linois zmuszony był jeszcze manewrować większą część dnia, by zgromadzić wszystkie siły i zaatakować chińską flotę.

Starsi stopniem kapitanowie, z komodorem Miffitem na czele, jeden po drugim w pośpiechu docierali na pokład „Surprise”. Flaga sygnałowa powiewająca na topie grotmasztu fregaty i wysiłki komodora w zapędzaniu maruderów uświadomiły wszystkim powagę sytuacji - zebrani w kajucie kapitańskiej na „Surprise” kapitanowie statków konwoju byli niespokojni i poważni. Kilku rozmawiało podniesionymi głosami, przeklinając władze Kompanii za brak dostatecznej eskorty konwoju i zastanawiając się, gdzie do tej pory przebywał Linois. Z całą pewnością była to grupa zdyscyplinowanych, zdolnych oficerów, niemniej zasady panujące w Kompanii zobowiązywały komodora do wysłuchania racji wszystkich dowódców statków konwoju przed podjęciem jakichkolwiek kroków. Koniec końców, jak każda narada wojenna, i ta przerodziła się w hałaśliwą, przesiąkniętą nutką zwątpienia, wymianę poglądów. Jak nigdy Jack tęsknił za rygorem panującym w marynarce, słuchając mętnych wywodów niejakiego pana Craiga, który starał się udowodnić, że znaleźliby się w o wiele lepszej sytuacji, gdyby zaczekali na dwa portugalskie statki i jeden z zatok Botany Bay.

- Panowie! - wykrzyknął w końcu Jack, kierując te słowa do trzech czy czterech najbardziej zaciekle dyskutantów przy stole. - Nie ma czasu na zbędną gadaninę. Rozwiązania istnieją tylko dwa: walczyć lub uciekać. Jeśli rzucimy się do ucieczki, Linois będzie niszczył konwój statek po statku, gdyż mój okręt może zatrzymać tylko jedną z fregat nieprzyjaciela, a „Marengo” jest w stanie zrobić pięć mil na wasze trzy. Jeśli zdecydujemy się połączyć nasze siły i walczyć, możemy odpowiedzieć Francuzom pięknym za nadobne.

- A kto niby ma strzelać? - spytał ktoś z zebranych.

- Przejdę do tego, sir. Na razie chciałbym zwrócić waszą uwagę na fakt, że okręty Linois nie były w stoczni od roku, a od Isle of France dzieli go trzy tysiące mil. Ma niewiele zapasów i w tej chwili pojedyncze drzewce czy pięćdziesiąt sążni dwucalowej liny mają dla niego znaczenie o wiele większe niż dla nas! Wątpię, czy w całej jego eskadrze jest choćby jedna zapasowa stenga. Nie będzie mógł zatem ryzykować wielkich uszkodzeń i nie będzie parł ślepo naprzód w zdecydowany, silny ogień.

- Skąd pan wie, że nie przeprowadził remontu w Batawii?

- Zostawmy i to na chwilę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział Jack. - Nie mamy czasu do stracenia. Oto mój plan. Z tego, co usłyszałem, macie trzy statki więcej w konwoju, a Linois nic o tym nie wie. Niech zatem trzy najlepiej uzbrojone statki Kompanii wywieszają proporce okrętów wojennych i flagę błękitnej eskadry.

- Nie wolno nam wywieszać barw marynarki!

- Pozwoli mi pan dokończyć? Całą odpowiedzialność w związku z wydaniem zgody na taki czyn biorę na siebie. Większe statki konwoju sformują szyk bojowy, po czym przejdą na nie zbędni ludzie z załóg pozostałych okrętów, by dołączyć do obsługi dział, a mniejsze statki odejdą na zawietrzną. Na pokład każdej z jednostek udających okręty wojenne prześlę oficera ze swojej załogi i wszystkich artylerzystów, jakich mogę się pozbyć. Z ciasnym, dobrze sformowanym szykiem nasze siły dwukrotnie przewyższą liczebnie francuską awangardę i ariergardę. Niech mnie kule biją, jeśli z jednym czy dwoma z waszych wspaniałych statków od jednej strony, a „Surprise” od drugiej, nie damy rady zniszczyć francuskiego liniowca, nie mówiąc już o fregatach!

- Słuchajcie go, słuchajcie go! - wykrzyknął Muffit, ujmując Jacka za rękę. - Oto nowy duch, jak Boga kocham!

Słowa Jacka spotkały się z entuzjastycznym poparciem, a we wrzawie ożywionych głosów słyhać było nawet jednego z kapitanów, jak uderzał pięścią w stół, krzycząc: „Rozniesiemy ich! Rozniesiemy!” Jasne było jednak, że nie wszyscy zgadzają się na jego plan. Kto kiedykolwiek słyszał o statkach handlowych z pokładami zarzuconymi przewożonymi towarami, by wytrzymały dłużej niż pięć minut w walce z potężnym okrętem wojennym? Każdy z nich miał zaledwie kilka mizernych karonad - lepiej byłoby zatem rozdzielić się, kilka statków na pewno zdołałoby uciec... Kapitan „Dorsetshire” był pewien, że jest w stanie prześcignąć Francuzów.

- Czy ktoś zechciałby przytoczyć przykład okrętu o salwie burtowej ważącej dwieście pięćdziesiąt funtów, który przetrwałby choćby jedną salwę o wadze dziewięćset pięćdziesięciu funtów? - spytał pan Craig.

- Cóż znowu, panie Craig! - wykrzyknął Muffit, nim Jack zdołał się odezwać. - Nie wie pan, że kapitan Aubrey jest tym dżentelmenem, który na brygu „Sophie” rzucił wyzwanie trzydziestodwudziałowej fregacie „Cacafuego”? Jak przypuszczam, salwa burtowa „Sophie” nie mogła wiele ważyć?

- Dwadzieścia osiem funtów - Jack poczerwieniał.

- Cóż! - wykrzyknął pan Craig. - Zadaję takie pytania jedynie w imieniu Kompanii i dla jej dobra. Podziwiam pana i przykro mi, że nie rozpoznałem nazwiska. Nie czuję się zawstydzony, przemawiam jedynie w imieniu Kompanii i powierzonych nam towarów, nie w swoim własnym.

- Panowie - odezwał się Muffit - uważam, że zgadzamy się wszyscy co do planu kapitana Aubreya. Nie słyszę głosów sprzeciwu. Panowie, proszę zatem o przeprowadzenie niezbędnych przygotowań na pokładach waszych statków, uzupełnienie prochu, oczyszczenie dział i stosowanie się do poleceń kapitana Aubreya.

Na pokładzie „Surprise” Jack zwołał swoich oficerów do kabiny na naradę.

- Panie Pullings - oznajmił - przejdzie pan na statek „Lushington” wraz z Collinsem, Haverhillem i Pollyblankiem. Panie Babbington, pan przejdzie z kolei na „Royal George” wraz z braćmi Moss. Panie Braithwaite, pan obejmie kuter i będzie powtarzał moje sygnały, weźmie pan też ze sobą zapasowy zestaw chorągiewek. Panie Bowes, czy zechciałby pan zająć się działami na „Earl Camden”? Wiem, że nikt lepiej od pana nie da sobie z nimi rady.

Oblicze ochmistrza pokraśniało z zadowolenia.

- Jeśli wołą kapitana jest - zachichotał - bym opuścił moje zapasy sera i świeczek, naturalnie tak uczynię, choć doprawdy nie wiem, jak sobie bez nich poradzę. Jeśli można, chciałbym zabrać Evansa i Strawberry Joe.

- Umowa stoi - odparł Jack. - Panowie, sprawa jest delikatna. Nie wolno nam w niczym obrazić oficerów Kompanii, a wielu z nich to ludzie dumni i drażliwi. Każde uchybienie ich czci może pociągnąć za sobą katastrofalne skutki. Musicie to dokładnie wytłumaczyć ludziom, których zabieracie ze sobą. Nie możemy sobie pozwolić na żadne zadzieranie nosa czy patrzenie na

kogokolwiek z góry, nie stać nas na uwagi w stylu „wagony z herbatą” czy „my w marynarce robimy to tak”. Schodzimy na ich statki, by dobrze celować i poczynić jak najwięcej zniszczeń w ożaglowaniu i takielunku francuskich okrętów. Pamiętajcie, mierzenie w kadłub czy zasypywanie kulami pokładów na nic się nie zda - liniowca zatopić nam się nie uda! Ten jeden raz musimy zachować się jak sami Francuzi. Panie Stourton, musimy opracować listę artylerzystów, bez których damy sobie radę i podczas kiedy ja będę zajęty rozsyłaniem ich po statkach Kompanii, pan poprowadzi okręt na wschód i będzie obserwował ruchy Linois. Szereg piętnastu zgrabnych statków Kompanii pod nie pracującymi żaglami uformował się w przeciągu godziny w odległości kabla od szybko poruszającego się kutra sygnałowego. Szalupy kursowały od strony mniejszych statków, przywożąc ochotników do obsługi dział i całe popołudnie Jack uwijał się wzdłuż szyku, rozdzielając po statkach Kompanii oficerów i artylerzystów, dając dyskretne rady, słowa zachęty i uprzejme uwagi. Nadmierna uprzejmość nie była jednak potrzebna, kapitanowie w większości okazali się żeglarzami z krwi i kości i mając nad sobą zdecydowanego dowódcę, zajęli się przygotowaniami z energią, która wzbudziła zachwyt Jacka. Bardzo szybko zaprowadzono porządek na pokładach, trzy okręty wybrane na naśladowców okrętów marynarki: „Lushington”, „Royal George” i „Earl Camden” z podtoczonymi działami naraz zaczęły jeszcze bardziej przypominać okręty wojenne. Znaleźli się jednak kapitanowie, których rezerwa, zniechęcenie i obojętność stwarzały problemy, a dwóch z nich okazało się wręcz tchórzliwymi głupcami. Najcięższą próbą był jednak kontakt z pasażerami. Atkins i reszta świty Stanhope'a nie stanowili problemu, ale z kobietami i innymi wysoko postawionymi cywilami należało porozmawiać na osobności i całą sytuację dokładnie wytłumaczyć. Jedna pani oznajmiła mu wprost, że nie ma zamiaru tolerować jakiegokolwiek przelewu krwi na pokładzie, a z panem Linois należy rozsądnie porozmawiać, to się opamięta. Jack miał zatem wiele pracy, a w nielicznych chwilach na odsapnięcie, spędzanych na ławce szalupy obok wiernego adiutanta Churcha, uporczywie powracało doń pytanie, które padło na naradzie: „Skąd wiem, że Linois nie dokonał remontu w Batawii?”

Nie wiedział tego, a był zmuszony oprzeć na tej poszlce całą swoją strategię. Nie wiedział, ale postawiłby wszystko, co ma, na to, że intuicja go nie zawodzi. Wszystko wskazywało na to, że się nie myli - Linois bardzo ostrożnie obchodził się ze swoimi okrętami, a Jack bardzo dobrze pamiętał, z jaką nonszalancją prowadził okręty na Morzu Śródziemnym, mając magazyny Tulonu w zasięgu kilku dni rejsu. Zawsze jednak istniało ryzyko - intuicja mogła go zawieść, a Linois był doświadczoneym, podstępny wojownikiem.

Obiad z kapitanem Muffitem na pokładzie „Lushingtona” był przerwą, którą Jack powitał z ulgą. Zrezygnował bowiem ze śniadania kosztem dopięcia przygotowań na ostatni guzik i był teraz głodny jak wilk, ale Muffit, jak się okazało, przewidział to. Łączyła ich zatem nie tylko wiara w strategię szyku torowego i agresywnego stawienia czoła nieprzyjacielowi, ale także upodobanie do obfitych, pokrzepiających posiłków.

Church pojawił się, kiedy obaj kapitanowie pili kawę.

- „Surprise” nadaje sygnały, sir - powiedział. - „Semillante”, „Marengo” i „Belle Poule” płyną na wschód ku południowi w odległości około czterech mil. Żagle liniowca pracują wstecz.

- Czeka, aż „Berceau” ich dogoni - stwierdził Jack. - Nie ujrzymy go przez godzinę czy dwie. Przejdziemy się na pokład?

Pozostawionemu samemu sobie w kajucie kapitańskiej midszypmenowi wystarczyło kilka sekund, by uporać się z resztkami puddingu i wepchnąć do kieszeni dwie francuskie bułeczki. Szybko wybiegł na pokład za kapitanem, który stał za komodorem na pokładzie rufowym, obserwując łodzie przewożące ostatnich pasażerów ku wątpliwemu bezpieczeństwu na pokładach reszty statków Kompanii na zawietrznej.

- Brak mi słów, by wyrazić - odezwał się kapitan Muffit cichym głosem - jakie to wspaniałe uczucie widzieć, jak odpływają. Cóż za ulga... Jaki spokój... Was, panowie, gnębią admirałowie i komisarze, oraz, bez wątpienia, sami wrogowie, ale pasażerowie... „Kapitanie, na tym okręcie

są myszy! Zjadły już mój czepek i dwie pary rękawiczek! Złożę skargę samemu dyrektorowi Kompanii! Mój kuzyn jest dyrektorem, sir!" Albo: „Kapitanie, dlaczego na tym okręcie nie można otrzymać jajka na miękko? Powiedziałam przecież temu młodemu człowiekowi w India House, że moje dzieci mogą mieć problem ze strawieniem żółtka w jajku gotowanym na twardo!" Albo: „Kapitanie, w mojej kabinie nie ma szaf ani szuflad, nie mam gdzie powiesić ubrań, brakuje mi miejsca! Miejsca! Słyszysz mnie pan, kapitanie?!" Tam, gdzie zmierzają, będzie dla nich miejsce, które tak sobie cenią - dziesięć sekund w jednej kabinie na statku, ha, ha, ha! Ależ się cieszę, że się ich pozbywam! Nigdy nie będą zbyt daleko ode mnie! - Oddalmy się zatem jeszcze bardziej. Proszę im dać sygnał do rozdzielenia się, naszym do ruszenia w szyku torowym i upieczcie pan dwie pieczenie na jednym ogniu. Każdy zasłużył na odrobinę przyjemności.

Chorągiewki pomknęły w górę, od grupy statków na zawietrznej nadeszło potwierdzenie, po czym zaczęto na nich stawiać żagle. Reszta statków przygotowała się do zwrotu przez dziób. Pierwszy ruszył „Alfred”, za nim „Coutts”, „Wexford” i „Lushington”. Kiedy okręt komodorski dotarł w miejsce zwrotu, wzburzone kilwaterem „Wexforda”, pan Muffit przejął koło sterowe z rąk swego oficera i wykonał manewr samodzielnie, płynnie, z gracją i dokładnie. „Lushington” zakręcił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i nagle w zasięgu wzroku Muffita znalazła się prawa ćwiartka dziobowa „Surprise”. Widok niskiej, pomalowanej w kratę burty i wysokich masztów podniósł Jacka na duchu, a na jego poważnej twarzy pojawił się pełen zadowolenia uśmiech, lecz owo rozluźnienie trwało ledwie sekundę, a jego wzrok sięgał już dalej ku horyzontowi i bombramsłom okrętów Linois.

„Lushington” wyprostował kurs. Pan Muffit odstąpił od koła sterowego, osłaniając oczy dłonią - zwrot wystawił rufę na palące promienie słońca, a tent już dawno został zastąpiony specjalną siatką, mającą chronić przed spadającymi drzazgami. Podbiegł szybko do burty i jął obserwować centrum szyku i statki w tylnej części. Z wolna formowała się długa na półtorej mili, płynąca lewym halsiem na południowy wschód linia statków, których zadaniem było oddzielić okręty wroga od pozostałych statków konwoju. Płynęli teraz w centrum gotowego do otwarcia celnego ognia szyku, który być może nie był silny sam w sobie, lecz niebezpieczny dla wroga dzięki wzajemnej bliskości statków. Statki Kompanii zgrabnie wykonały manewr ustawienia się w szyk, „Ganges” i „Castle of India” wypadały co prawda nieco z wiatru na zawietrzną, lecz zachowały właściwe odstępy. Nie było cienia wątpliwości, że kapitanowie Kompanii Wschodnioindyjskiej znali się na swym fachu. Manewr ustawiania wykonano już trzy razy i nie było przypadku gafy czy nawet zawahania. Oczywiście, manewrowali wolniej niż okręty marynarki, lecz równie fachowo. Potrafili obchodzić się ze swymi statkami - problemem teraz było, czy potrafili na nich walczyć?

- Cóż za wspaniałe zgranie zespołu! - odezwał się Jack. - Szyk godny Floty Kanału.

- Cieszę mnie pańskie słowa - powiedział Muffit. - Nie mamy tak dużych załóg jak wy w marynarce, ale staramy się wykonywać naszą pracę jak na prawdziwych żeglarzy przystało. Choć między nami mówiąc - dodał na stronie - myślę, że obecność pańskich ludzi ma również coś z tym wspólnego. Każdy z nas wolałby stracić oko, niż zawalić sprawę, będąc obserwowanym przez królewskiego oficera.

- A to z kolei przypomina mi o ważnej rzeczy - powiedział Jack. - Co pan powie o nałożeniu kurtki mundurowej Marynarki Królewskiej na tę okazję, pan i inni oficerowie, którzy wciągną banderę? Linois jest sprytniejszy od diabła i kiedy zauważy mundury Kompanii na okrętach wojennych, natychmiast zwącha nasz podstęp i uderzy w nas od razu.

Uwaga Jacka nie została wyrażona w najszcześliwszy sposób i Muffit poczuł się dotknięty. Rozważył jednakże szybko wady i zalety takiej decyzji, biorąc pod uwagę powagę sytuacji, i po chwili namysłu stwierdził, że będzie zaszczycony.

- Przywołałem zatem fregatę i wydam rozkaz rozesłania wszystkich kurtki mundurowych, jakie mam na pokładzie.

„Surprise” przyplęła z wiatrem, stając w dryfie na zewnątrz szyku z postawionym fokmarslem. W tej pozycji przypominała rączego, pięknego rumaka czystej krwi.

- Żegnam zatem, kapitanie Muffit. - Jack potrząsnął jego dłonią. - Nie wydaje mi się, byśmy się mogli zobaczyć, zanim nie uporamy się z pewnym starym jegomościem i jego okrętami. Jestem jednak pewien, że obaj chcemy walczyć do końca. Proszę pozwolić mi dodać, że praca z panem jest dla mnie zaszczytem.

- Sir - kapitan Muffit zmiażdżył mu dłoń w uścisku - to pan mnie zaszczyca.

Kiedy Jack znów stanął na pokładzie własnego okrętu, poczuł nowy przyplływ energii. Miło było znów powitać karność i sprawność załogi po długich korowodach z kapitanami statków Kompanii, miło było znów spojrzeć na utrzymany we wzorowym porządku pokład i poczuć jedność z okrętem, który doskonale się znało. Jedynym nowym akcentem była dobiegająca spod pokładu melodia wiolonczeli Stephena, grającego motyw, który Jack dobrze znał, lecz którego nazwy nie mógł sobie przypomnieć.

Fregata ruszyła w kierunku czoła szyku. Obsada pokładu rufowego była przerzedzona, poza nawigatorem i garstką młodzieńców nie pozostał na niej nikt z oficerów poza Etherage'em i Stourtonem. Ten ostatni właśnie złożył Jackowi raport w sprawie ruchów eskadry Linois.

Meldunek potwierdził jego własne przypuszczenia - francuski admirał zebrał już siły, a zwłoka spowodowana była próbami zajęcia dogodniejszej pozycji przed zaangażowaniem się w bój.

- Przypuszczam, że dokona zwrotu, gdy tylko wejdzie na nasz kilwater - zauważył - a potem przyspieszy. Tak czy owak, wątpię, czy zaatakuje przed zachodem słońca.

Wydał rozkaz rozesłania wszystkich mundurów oficerskich i skierował się ku relingowi rufowemu, gdzie stał wyczerpany i strapiiony pan White.

- Po raz pierwszy widział pan walkę, jak mniemam - powiedział Jack. - Boję się, że z trudem pan to znosi, bez porządných posiłków i kabiny dla siebie.

- Och, nie przeszkadza mi to w ogóle - wykrzyknął kapelan. - Muszę jednak przyznać, że w swej ignorancji oczekiwałem czegoś bardziej, jakby to nazwać... ekscytującego. Te powolne manewry, przeprowadzane co jakiś czas, to przedłużające się, pełne niepokoju oczekiwanie na starcie, nie, nie tak sobie wyobrażałem bitwę. Grzechot bębnow, ryk trąb, zagrzewanie do boju, okrzyki wojenne, wdzieranie się w szyk nieprzyjaciela, rozkazy kapitanów - to była moja naiwna wizja bitwy morskiej, a nie nie kończące się oczekiwanie i zastygnięcie w bezruchu. Proszę mnie źle nie zrozumieć, kiedy powiem, że nie wiem doprawdy, jak pan znosi tę nudę.

- Ma pan rację. Wojna to w dziewięciu częściach zwykła nuda, lecz jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Ostatnia godzina jednak stanowi godne zadośćuczynienie, proszę mi wierzyć. Myślę, że może pan oczekiwać czegoś spektakularnego jutro rano, a może nawet jeszcze dziś wieczór. Nie będzie żadnych trąb, niestety, ani też długich przemów przed bitwą, ale dam z siebie wszystko, jeśli chodzi o artylerię. Ryk dział ożywi nasz mózół, zapewniam pana. Jestem pewien, że spodoba się panu, widok walki niezwykle podnosi na duchu.

- Pańskie uwagi są z pewnością słuszne, a to z kolei przypomina mi o mojej służbie. Czy nie powinniśmy przygotować się duchowo w tym samym stopniu co materialnie?

- Cóż - powiedział Jack. - *Za Te Deum* wszyscy będziemy panu wdzięczni, lecz dopiero po uporaniu się z Linois. Obawiam się, że w tej chwili rozstawienie tentu nie jest możliwe.

Jack służył już pod fanatycznie religijnymi kapitanami - zdarzało mu się iść w krwawy bój z psalmem na ustach i nie przepadał za tym.

- Gdyby to jednak było możliwe - ciągnął - chciałbym pomodlić się o silniejsze fale. Pewnie moje słowa brzmią bluźnierczo, ale porządna huśtawka wielce by nam pomogła.

Panie Church, proszę sygnalizować: „Zmiana halsu w szyku torowym”. Załoga do zwrotu!

Sam wspiął się na siatkę z hamakami, by przyjrzeć się kutrowi trzymającemu się na zewnątrz linii w miejscu, skąd był widoczny dla wszystkich statków. Wiele będzie zależało od sprawności Braithwaite'a w przekazywaniu sygnałów. Chorągiewki powędrowały w górę, działo sygnałowe wypaliło na nawietrzną.

„Dam im chwilę do namysłu” - pomyślał i wstrzymał się aż do chwili, kiedy ujrzał pędzący ku rufie fregaty dziób „Alfreda”.

- Ster lewo na burt! - krzyknął.

Statek Kompanii znalazł się już w miejscu, gdzie wykonała zwrot płynąca teraz na przeciwnym halsie „Surprise”. Jeden po drugim statki mijaly fregatę, zakreślając ostry łuk w ślad za pierwszym statkiem w szyku, a Jack uważnie obserwował każdy z nich. „Alfred” i „Coutts” były pierwsze w szyku, każdy z pomocnikiem sternika na pokładzie rufowym - w ferworze wykonywania manewru bukszpryt „Couttsa” wszedł na moment w reling rufowy „Alfreda”. Drobna kolizja nie spowodowała żadnych uszkodzeń, a jedynym jej efektem było kilka dosadnych przekleństw i piskliwa paplanina hinduskiej załogi. „Wexford” płynął następny; wspaniały, dobrze utrzymany okręt, który mógłby zwinąć grotmarsel bez ryzyka wypadnięcia z szyku. Energiczny, zdecydowany kapitan „Wexforda” zdobył sobie sławę w zeszłym roku, wyrabując dla swego statku drogę wśród chmury piratów z Borneo. „Lushington” szedł następny, ze szczerzącym w uśmiechu zębami Muffitem na pokładzie rufowym i Pullingsem, stojącym tuż obok niego. Na pokładzie „Lushingtona” dostrzegł kilka innych kurtek mundurowych marynarki. Następne płynęły „Ganges”, „Exeter” i „Abergaweny” - na pokładzie tego ostatniego dostrzegł beczułki z wodą. Co też sobie myślał jego kapitan? No tak, to był Gloag, stary, słaby człowiek.

„Boże” - pomyślał. „Wskaż mi takiego, co ma lepsze pomysły ode mnie!” Luka w centrum szyku czekała na „Surprise”, następny płynął „Addington”, szybki, lecz pokraczny statek, a za nim odpadający na zawietrzną „Bombay Castle” - bosman statku z pomocą Old Reliable'a gorączkowo naprawiali uprząż dział. Na pokładzie płynącego z kolei „Camdena” dostrzegł Bowesa, który kuszykał ku rufie tak szybko, jak mógł, by pomachać kapeluszem mijanej fregacie. Nigdy jeszcze bardziej nie uszczęśliwił człowieka niż teraz, powierzając Bowesowi pieczę nad działami „Camdena”, choć Bowes na pewno do krwiożerczych nie należał. Za nim szedł „Cumberland”, ciężki, opornie słuchający steru statek, stawiający z pośpiechem kolejne żagle, by utrzymać miejsce w szyku, i „Hope”, kolejny okręt z ponurym, przewrażliwionym na punkcie konwenansów, chłodnym brutalem jako dowódcą. Trzecim od końca okrętem w szyku był „Royal George”, prawdziwa piękność wśród statków Kompanii. Epolety zapasowego munduru jego kapitana lśniły w słońcu na pokładzie rufowym - mundur był odrobinę na niego za duży, lecz jemu bynajmniej nie przynosiło to ujmy na honorze. Po Mufficie był najlepszym żeglarzem w konwoju. Wraz z Babbingtonem stali teraz za żurawikami i śmiali się głośno. Ostatni płynął uzbrojony ledwie w garstkę niewielkich dział „Dorset”, w którego załodze było więcej Europejczyków niż na którymkolwiek innym statku konwoju, i wreszcie „Ocean”, statek w godnym pożałowania stanie.

- Sir - odezwał się Stourton. - Linois wykonuje zwrot. Zechce pan spojrzeć?

- Istotnie, wykonuje zwrot. - Jack odwrócił się ku rufie.

- Wszedł wreszcie na nasz kilwater. Czas na zajęcie miejsca w szyku. Panie Church, sygnał: „Zredukować żagle”. Panie Harrowby, proszę umieścić okręt między „Addingtonem” a „Abergaweny”.

Aż to tej pory Linois manewrował krótkimi halsami, by zebrać swe okręty i złapać jak najlepszy wiatr, raz płynąc ku statkom konwoju, innym razem oddalając się od nich. Teraz w końcu sformował szyk i zdecydowanie ruszył ku konwojowi.

Kiedy „Surprise” zajmowała miejsce w szyku, Jack skierował lunetę ku okrętowi francuskim. Ich kadłuby doskonale było już widać i gołym okiem, lecz Jack chciał dokładnie przyjrzeć się szczegółom takielunku, gdyż tam kryła się tajemnica ich zamiarów. Obserwacja nie przyniosła mu jednak pociechy - Francuzi stawiali żagle, jakby na niczym im nie zależało. Płynąca z przodu fregata „Semillante” odkładała już wysoką falę dziobową, trzymając się blisko za nią „Marengo” stawiał bombramsle, a pozostająca ćwierć mili z tyłu „Belle Poule” szybko odrabiała dystans. Jack dostrzegł również „Berceau” - w jaki sposób korwecie udało się

postawić tyle żagli po laniu, jakie jej spuściły armaty „Surprise”? Był to niezwykle wyczyn - kapitan korwety musiał być wspaniałym żeglarzem.

W tej pozycji, ze statkami Kompanii płynącymi na nie pracujących żaglach na prawym halsie z wiatrem na dwa rumby od rufy i z okrętami Linois oddalonymi o pięć mil na wschód, lecz nadpływającymi na tym samym halsie, Jack mógł odwlekać akcję, po prostu trzymając się wiatru. Mógł ją odwlekać aż do rana, chyba że Linois zdecydowałby się na wydanie im nocnego boju. Wiele przemawiało za zwłoką - załogi musiały odpocząć i najeść się, poza tym przygotowania do boju nie były jeszcze zakończone, a kolejność okrętów w szyku pozostawiała wiele do życzenia. Z drugiej strony, śmiałe zablokowanie drogi Francuzom było również niezwykle istotną sprawą. Linois musi uwierzyć, iż konwój ma eskortę jednostek Marynarki Wojennej, niezbyt potężną, ale wystarczająco silną, by wraz ze statkami Kompanii zadać jego okrętom poważne uszkodzenia, gdyby zdecydował się na otwarty atak. Jeśli chodzi o porządek w szyku, gdyby chciał zmieniać go teraz, wywołałoby to zbyt dużo zamieszania. Załogi Kompanii nie były przyzwyczajone do tego typu manewrów, a poza tym w bezpośrednim starciu, gdy dym z dział i ogólny zamęt załamią sztywną linię formacji, ci z kapitanów, którzy będą mieli ochotę stanąć burta w burtę z nieprzyjacielem, uczynią to, inni zaś nie.

Taktyka, którą obmyślił wraz z Muffitem i którą objaśnił każdemu z kapitanów, opierała się na oskrzydleniu z bliskiego dystansu. Szyk torowy miał być utrzymany aż do ostatniej chwili, kiedy to statki Kompanii miały wykonać zwrot, wedrzeć się między okręty francuskie, wziąć każdy z nich między dwie, trzy salwy burtowe i przytłoczyć liczbą, niezależnie od siły ognia każdego ze statków Kompanii. Gdyby manewr skoordynowanego natarcia nie powiódł się, każdy z kapitanów miał działać według własnego uznania. Tak czy owak, w końcu każdy z okrętów francuskich zostałby otoczony wianuszkiem statków konwoju niszczących jego żagle i takielunek ogniem z bliskiej odległości.

Teraz, po godzinach spędzonych na rozmyślaniu, Jack wciąż uważał, że jego pomysł był dobry. Tylko z bliskiego dystansu każde działo mogło być wykorzystane efektywnie i na miejscu francuskiego admirała wolałby uniknąć sytuacji okrążenia przez rój kąśliwych statków, zwłaszcza jeśli między nimi w istocie miały się kryć okręty wojenne. Jediną rzeczą, której się obawiał, poza kiepską znajomością rzemiosła wojennego na statkach kupieckich, był celny ogień Francuzów z odległości tysiąca jardów.

„Surprise” wślizgnęła się na swoje miejsce w szyku i eskadra francuska zniknęła za fokżaglem „Addingtona”. Jack zadarł głowę ku marsowi i naraz poczuł, jak ogarnia go zmęczenie. Jego umysł nadal pracował szybko i efektywnie, lecz ręce i nogi miał już odrętwiałe ze zmęczenia. „Mój Boże” - pomyślał. „Starzeję się. Mała utarczka wczoraj, rozmowa z tymi wszystkimi ludźmi dzisiaj i jestem całkiem wykończony. Na szczęście Linois jest starszy ode mnie. Może popełni jakiś błąd, kiedy już się zewrzemy? Boże, niech popełni jakiś błąd...”

- Bonden! - krzyknął. - Skocz no na mars i powiedz mi, gdzie są Francuzi!

Francuzi płynęli już baksztagiem. „Belle Poule” postawiła foksztaksel i niemalże wyrównała z dwupokładowcem, zbliżali się bardzo szybko. Meldunki Bondena następowały jeden po drugim ze stałymi przerwami, a przez ten czas słońce kryło się za horyzontem. Kiedy w końcu Bonden zameldował, że statki zamykające szyk są w maksymalnym zasięgu strzału z „Semillante”, Jack oznajmił midszypmenowi sygnaliście:

- Panie Lee, proszę nadawać: „Odpasć o jeden rumb”. Niech pan też uszykuje następne sygnały: „Przygotować się do jednoczesnego zwrotu na wystrzał z działa. Kurs południowo-wschodni ku wschodowi” oraz: „Przód zwrot na nawietrzną. Centrum i tył na zawietrzną”. Szykował się zatem do agresywnego manewru dowódcy, który był zdecydowany wydać bój. Zwrot najpierw miał zmienić porządek w szyku, a potem posłać całą linię bajdewindem na przeciwnych halsach prosto na francuską eskadrę, by zagrozić nieprzyjacielowi ogniem z obu flanek. Utracą w ten sposób przewagę wiatru, lecz Jack nie chciał ryzykować posłania całej grupy jednym halsiem do starcia. Sam manewr jednoczesnego zwrotu i tak był już dość

skomplikowany, choć kilka minut odpadania miało go trochę ułatwić. Linois może rzeczywiście poczytać to za oznakę pewności siebie.

Linia statków dalej odpadała od wiatru, cały czas żeglowały na sprzyjającym halsie na południe, mając wiatr tuż za trawersem.

- Proszę wykonać, panie Lee - powiedział Jack i odwrócił się, by przyjrzeć kutrowi powtarzającemu rozkazy. Chorągiewki wnet skoczyły w górę, bezbłędnie i szybko powtarzając komendy Jacka. - Dajmy im czas na zrozumienie - powiedział do siebie, spacerując po pokładzie. Czuł drażniący smród tłącego się lontownika działa sygnałowego, uświadomił sobie też, że oddycha coraz szybciej. Wszystko, absolutnie wszystko zależało teraz od tego, czy uda się prawidłowo przeprowadzić manewr. Gdyby pogubili się podczas zwrotu, gdyby wśród kapitanów pojawiło się niezdecydowanie, Linois przejrzałby jego grę i dopadł statki w pięć minut, śląc na prawo i lewo salwy z trzydziestosześcio- i dwudziestoczerofuntówek. Jack kilkakrotnie przemierzył pokład.

- Ognia! - krzyknął. - Cała załoga do zwrotu! Rozkazy, niczym odbite echem, rozbrzmiały na każdym statku, poparte świergotem gwizdków bosmańskich. Statki zaczęły zmieniać kierunek i ustawiać się rufą do wiatru, później ćwiartką rufową lewej burty, lewą burtą i dalej, obracające się reje trzeszczały coraz bardziej, mocniej i mocniej, aż cała linia, z prawie nie zakłóconą regularnością znalazła się na lewym halsie. Każdy statek zachował swoje miejsce w szyku, tak więc teraz prowadził „Ocean”, a zamykał „Alfred”. Manewr przeprowadzono niemalże wzorowo.

- Panie Lee, kolejny sygnał: „Zwiększyć powierzchnię żagli. Wciągnąć banderę”. Na maszt powędrowała niebieska bandera, gdyż pod takimi barwami pływał wiceadmirał Hervey z Bombaju. „Surprise”, pozostająca pod rozkazami admiralicji, wywieszała zawsze białą banderę. Niebieski był zacnym, budzącym respekt kolorem, lecz nawet jego majestat nie zwiększył prędkości fregaty.

- „Ocean” więcej żagli! - krzyczał Jack do sygnalisty. - „Ocean”, powtórzyc, więcej żagli! Dwa wystrzały z działa!

Równa linia okrętów francuskich była teraz przed nimi, na lewej ćwiartce dziobowej, flaga admirałska pojawiła się na topie stermasztu liniowca. Obie linie zbliżały się do siebie ze skumulowaną prędkością czternastu węzłów, za mniej niż pięć minut konwój miał znaleźć się w zasięgu francuskich dział.

Jack pobiegł na dziób i gdy był na forkasztelu, Linois otworzył ogień. Padł tylko jeden strzał i to z działa sygnałowego. Ledwie dym się rozwiął, dostrzegł, jak francuskie okręty zmieniły kurs na północno-zachodni ku północy. Nie podjęły wyzwania.

Będąc z powrotem na pokładzie rufowym, Jack nadał sygnał: „Zmiana halsu” i linia wykonała zwrot przez dziób, rozciągając się teraz ku zachodzącemu słońcu. Pod pokładem wciąż grała wiolonczela Stephena. Muzyka była pełna głębi i zadumy i naraz Jack skojarzył motyw muzyczny. Była to suita Boccheriniego w tonacji D-dur. Uśmiechnął się, a w jego uśmiechu pojawiło się wiele odcieni szczęścia.

- Panowie - powiedział. - Kilka ostatnich chwil przyniosło wiele chwały statkom Kompanii, prawda?

- Ledwie wierzyłem własnym oczom, sir - odrzekł Stourton. - Ani jeden statek nie wypadł z szyku. Dobrze, że dał im pan czas na odpadnięcie!

- Linois nie przejął się tym - odezwał się Etherage. - Aż do ostatniej chwili nie wierzyłem, że odstąpi, niezależnie od tego, czy miałby przed sobą perspektywę nocnej akcji, czy nie.

- Oficerowie Kompanii to doborowe towarzystwo - oznajmił Harrowby. - Wielu z nich należy traktować poważnie.

Jack śmiał się głośno. Pobożność i lęk przed zapieszeniem nie pozwoliły mu nawet na sformułowanie, nie mówiąc o wypowiedzeniu myśli: „Połknął haczyk! Popęłnił błąd!” Oparł się zatem o kołek do obkładania i powiedział:

- Linois spędzi noc, halsując na nawietrzną, podczas gdy my staniemy w dryf. Jego załogi będą rano zmęczone, w związku z tym nasze muszą jak najlepiej wypocząć. Panie Stourton, straciliśmy naszego ochmistrza, czy zechciałby pan zająć się wydzielaniem posiłków? Niech załoga otrzyma dobrą, pożywną wieczerzę - w mojej spiżarni jest sporo szynki. Gdzie mój steward? Zawołaj...

- Tu jestem, sir, i stoję przy tym pachołku od połowy szklanki - rozległ się pełen poczucia krzywdy jęk Killicka. - Mam dla pana kanapkę i kubek wina. Burgund smakował znacznie lepiej niż jakiegokolwiek wina, które w życiu pił. Natychmiast poczuł się pokrzepiony zarówno na ciele, jak i na duchu.

- Zatem w ogóle nie będzie bitwy? - spytał kapelan, wyłaniając się z cienia i kierując pytanie w stronę Etherage'a i Harrowby'ego. - Chyba uciekają ze wszystkich sił. Czy to tchórzostwo? Często słyszałem, że Francuzi to straszni tchórze!

- Nie, niech pan w to nie wierzy, panie White - powiedział Jack. - Francuzi nie raz już przetrzepali mi skórę. W tej chwili stary lis Linois zaszył się w swojej norze, by obmyślić zemstę! Nie spotka pana rozczarowanie, założę się, że z rana obejrzy pan niezłą strzelaninę. Zalecam więc, by udał się pan na spoczynek i uszczknął tyle snu, ile to w tych warunkach możliwe. Zrobię to samo, jak tylko zobaczę się z kapitanami.

Stali w dryfie przez całą noc. Na topach masztów i rufie każdego okrętu świeciły latarnie, a pięćdziesiąt nocnych lunet śledziło światła zmagających się z przeciwnym wiatrem okrętów francuskich. Jack obudził się w połowie wachty środkowej tylko po to, by przekonać się, że jego modlitwy zostały wysłuchane - okręt mocno kołysał się na fali. Nie musiał się zatem obawiać francuskiego ognia z dużej odległości. Celny ogień na daleki dystans był możliwy tylko na spokojnym morzu.

Prześliczny, spokojny świt rozciągnął się nad wzburzonymi falami, ukazując oczom Anglików francuski szyk w odległości trzech mil. Linois całą noc nadrabiał odległość, tak więc teraz bezsprzecznie miał przewagę pozycji i mógł zaatakować, kiedy tylko chciał. Znow był panem sytuacji, lecz nie kwapił się z wykorzystaniem tego przywileju. Okręty jego eskadry kołysały się teraz na szalejącym morzu, raz ustawiając żagle do pracy wstecz, raz pozwalając, by wypełnił je wiatr. Po pewnym czasie „Semillante” zostawiła swoje miejsce w formacji i wypuściła się na rekonesans aż po kraniec zasięgu strzału z działa, lecz powróciła szybko. Francuskie okręty wciąż były na trawersie konwoju, płynąc na wiatr z dziobami skierowanymi na północny zachód. Wzmagał się upał.

Silniejsze fale, wywołane przez jakąś odległą burzę na południu, wzmogły tchnienie niewzruszonego monsunu północno-wschodniego. Co chwilę wzburzone morze stało przyjemne bryzgi nad pokładem rufowym.

- Gdybyśmy zaatakowali od zawietrznej - zauważył Jack, wpatrzony w „Marengo” - liniowiec nie dałby rady otworzyć furt działowych w dolnym rzędzie.

Jak na większości francuskich okrętów, dolny rząd dział „Marengo” umieszczony był wysoko, ale nawet mimo to z burtą nachyloną parciem wiatru i przy wzburzonym morzu otwarcie furt równało się zalaniu dolnego pokładu. Liniowiec ponadto miał puste komory i w związku z tym łatwiej przechylał się na burtę. Skoro Linois nie mógł użyć swoich najcięższych dział, które znajdowały się właśnie na pokładzie rufowym, siły były bardziej wyrównane. Czy to właśnie dlatego zwlekał z podjęciem działań, mając konwój wart sześć milionów na zawietrznej, tuż pod nosem? Cóż on planował? Czy po prostu się wahał? Czy tak mocno nim wstrząsnął widok długiej linii światła brytyjskich statków, które miast rozpląnąć się w mroku nocy, czuwały w pobliżu aż do świtu, by rankiem znow być gotowym do boju? Gdyby wczorajszy manewr był tylko podstępem, konwój brytyjski na pewno by zniknął...

- Załoga na śniadanie - rozkazał Jack. - Panie Church, proszę przekazać Killickowi, że jeżeli moja kawa nie pojawi się na pokładzie za piętnaście sekund, to w południe każę go publicznie

ukrzyżować. O, doktorze, dzień dobry! Czyż to nie piękny dzień? O, wreszcie kawa... masz ochotę na filiżankę? Wypałeś się? Ha, ha, ha, jakie to wspaniałe uczucie, tak się wypaść! Sam przespał pięć godzin na koi pod wełnianą derką i czuł teraz, jak wypełnia go nowa energia. Był świadom, że podjął się niezwyklego, niebezpiecznego zadania, ale wiedział też, że albo zwycięży, albo poniesie zaszczytną klęskę, nie przynoszącą mu ujmy na honorze. Przypuszczał też, że nie będzie wielkiej różnicy pomiędzy obydwoma rezultatami starcia, ale pocieszała go świadomość, że nie pchnął siebie, swego okrętu i piętnastu setek innych ludzkich żywotów na pożarcie lwom. Niepokój opuścił go na dobre. Jedną z przyczyn tego był dobry nastrój wśród załóg statków Kompanii - ich kapitanowie znali się na rzemiośle morskim i dobrze o tym wiedzieli, a zgrabnie wykonany manewr i odwrót eskadry Linois dobrze wpłynął na tych, którzy jeszcze się wahali. Wśród kapitanów panowała teraz jednomyślność i, ku jego szczerej radości, gotowi byli kontynuować jego plan.

Wiedział jednak, że głośno okazywana radość tak wcześnie rano mogłaby rozwścieczyć jego przyjaciela, dlatego też ograniczył się do spaceru po pokładzie rufowym, chrupiąc sucharka posmarowanego hinduskim masłem i balansując kubkiem kawy, by zrównoważyć mocne kołysanie stojącego w dryfie okrętu.

Śniadanie dobiegło końca, a francuska eskadra wciąż nie wykonała ruchu.

„Trzeba mu pomóc w podjęciu decyzji” - pomyślał Jack. Chorągiewki sygnałowe skoczyły w górę, żagle brytyjskich okrętów poczęły wypełniać się wiatrem i linia przeszła na prawy hals, obierając kurs zachodni pod marsłami i żaglami głównymi. Od razu kołysanie fregaty stało się spokojniejsze i mniej dokuczliwe. Francuskie okręty natychmiast wykonały zwrot, przeszły na przeciwny hals i ruszyły na południe - naprzeciw statkom Kompanii

- Wreszcie! - powiedział Jack. - Ciekawe, co teraz zrobi...

Przyglądał się Francuzom dłuższą chwilę, a kiedy już się przekonał, że nie był to zwód, lecz celowy manewr, mający zapoczątkować dalsze działania, powiedział:

- Stephen, czas, byś zszedł na dół. Panie Stourton, proszę bić w bębny na alarm.

Dudnienie bębnow było dźwiękiem znacznie bardziej alarmującym od trąbki, lecz na pokładzie „Surprise” nie wywołało większego poruszenia. Okręt był przygotowany do walki od dłuższego czasu - reje podwieszono na łańcuchach, zamocowano siatki chroniące przed odłamkami, uzupełniono proch i przygotowano pociski, a lontowniki żarzyły się wzdłuż obu burt. Ludzie błyskawicznie znaleźli się na stanowiskach, stojąc lub klęcząc przy działach i patrząc ponad ich lufami w stronę nieprzyjaciela. Francuzi nadszali z „Marengo” na czele - zamysł Linois nie był mu znany, lecz starsi żeglarze zgadzali się, że Linois wykona zwrot, wejdzie na ten sam hals co statki Kompanii, ustawi się równolegle do szyku brytyjskiego i przemknie wzdłuż niego, strzelając ze wszystkiego, co ma. Inni twierdzili, że Linois przetnie ich kilwater i zaatakuje z zawietrznej, by móc w ten sposób użyć dział na dolnym pokładzie, zamkniętych teraz za omywanymi zielonkawą wodą furtami. W każdym razie wszyscy na pokładzie fregaty byli zgodni co do tego, że okres powolnych manewrów dobiegł wreszcie końca, a za kwadrans kurz na pokładzie okrętu wzbije się w powietrze. Na „Surprise” panowała teraz pełna powagi i zarazem niespokojna cisza, przesycona nerwowym oczekiwaniem na jak najrychlejszy początek bitwy.

Jack był zbyt zajęty oglądaniem ich szyku i śledzeniem ruchów Francuzów, by zauważyć owo niecierpliwie oczekiwanie wśród własnej załogi, lecz sam również nie mógł się już doczekać pierwszych wystrzałów. Podświadomie tęsknił za poczuciem pewności siebie, które przychodzi wraz z chwilą otwarcia ognia - wiedział bowiem, że walczy ze strasznym, nieprzewidywalnym przeciwnikiem. Już pierwszy manewr okrętów Linois zaskoczył go całkowicie. Francuski admirał, szacując, że czoło brytyjskiego szyku było odpowiednio wysunięte w stosunku do jego zamiarów i wiedząc, że statki Kompanii nie mogą utrzymywać wielkiej szybkości i jednocześnie zmieniać żagli lub halsów, niespodziewanie sam zaczął stawiać coraz to więcej żagli. Manewr był dobrze dograny - każdy z francuskich okrętów,

wliczając w to bryg, rozkwitł nagle piramidą bieli, pojawiły się bombramsle, a żagle boczne otwały się niczym skrzydła, dwukrotnie niemalże zwiększając szerokość zbliżających się okrętów i nadając im wyraz zarazem piękny i groźny. Przez chwilę Jack nie rozumiał ani celowości obranego kursu, ani samego manewru, lecz naraz olśniła go całkowita pewność.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - On chce złamać nasz szyk! Lee, natychmiast nadawaj: „Zmiana halsu! Postawić wszystkie żagle!”

W chwili, kiedy chorągiewki wbiegały na wanty, manewr Francuzów stał się jeszcze bardziej oczywisty. Ciężki liniowiec kierował się prosto na lukę między „Hope” i „Cumberlandem”, dwoma najsłabszymi statkami. Miał zamiar przeciąć szyk w tym miejscu, pozostawić jeden czy dwa ze swoich okrętów, by się uporały z tymi z odciętych statków, których nie zniszczyłby ogień liniowca i samemu wyostrzyć do wiatru na nawietrznej szyku Brytyjczyków, waląc w nich salwami burtowymi.

Jack wyrwał tubę z dłoni Stourtona, runął ku relingowi rufowemu i ile sił w płucach okrzyknął statek idący za nim:

- „Addington”! Marsel na pracę wstecz! Wychodzę z szyku! Cała załoga do zwrotu! - ryknął, odwracając się. - Ster na burtę! Harrowby, ustaw nas burtą do ćwiartki dziobowej „Marengo”! Teraz długie, żmudne ćwiczenia przynosiły swój owoc. Fregata wymknęła się z szyku ciasnym, zgrabnym łukiem, przyśpieszając coraz bardziej, w miarę jak załoga stawiała żagiel po żaglu. Cięża fale z ławą wantową burty zawietrznej skąpaną w pianie, mknąc bajdewindem w kierunku miejsca, gdzie jej kurs przetnie się z „Marengo” - gdyby utrzymała się jej dotychczasowa prędkość, z pewnością nastąpiłoby to, zanim statki Kompanii weszłyby w zasięg ognia liniowca. Musiał powstrzymać okręt admirałski aż do chwili, kiedy pozostałe okręty Kompanii zrównają z fregatą i wesprą ją ogniem. Zamiar był wykonalny tylko pod warunkiem, że ogień Francuzów nie zniszczy żadnej z jego rei. Był zmuszony przeciw naprzód prosto pod salwy burtowe „Marengo”, lecz liczył, że przy tym stanie morza nie będzie to aż tak groźne. Zakładając jednakże, że manewr się powiedzie i nie straci żadnego drzewca - na jak długo zdoła zatrzymać liniowiec? Ile czasu zabierze statkom z czoła szyku dołączenie do niego? Nie chciał rozbijać całego szyku, gdyż bezpieczeństwo statków konwoju zależało tylko i wyłącznie od wzajemnej pomocy i wspólnego ognia szyku.

Balansując na uskoku pokładu rufowego, jeszcze raz rozeznał się w sytuacji. Płynąc w przeciwnym kierunku, „Surprise” minęła już „Addingtona”, „Bombay Castle” i „Camdena”, które, stawiając żagle, szybko wypełniły lukę po fregacie. Od strony lewej ćwiartki dziobowej, w odległości mili na północny wschód, widział wysoki, biały odkos dziobowy „Marengo”. Od strony lewej ćwiartki rufowej zaś „Alfred” i „Coutts”, wciąż w odległości mili, wykonały już zwrot i stawiały bramsle. „Wexford” miał żagle w łopocie, wyglądało to, jakby jego kapitan obawiał się, że energicznie wykonujący manewr „Lushington” popełni błąd. Pokiwał głową - jego zamysł był wykonalny. W rzeczywistości nie było innego wyjścia.

Ześlizgnął się po drabince i pośpieszył do obsady dział, by z nimi porozmawiać. Mówił przyjaźnie, szczerze, z pewną szczególną poufałością - byli w końcu towarzyszami wspólnej podróży na jednym okręcie, znał każdego z nich po imieniu, a większość lubił. Nastroje panowały dobre - marynarze liczyli się z tym, że okręt oberwie, lecz udawali, że się tym nie przejmują. Zapewniali go, że nie zmarnują ani kuli, że będą strzelać, kiedy okręt znajdzie się na szczycie fali, że najpierw załadują kulami, a kartaczami, gdy tylko będzie już można. Francuzi nie mogli otworzyć dolnych furt, więc dadzą im porządnie popalić, gdy tylko ustawią się burtą ku jego dziobowi.

- Oczywiście, że będziecie dobrze strzelać! - zapewnił ich Jack. - Popatrzcie tylko na Old Reliable'a, nie chybił ani razu podczas tej wyprawy! Francuzi popamiętajają jeszcze wyszkolenie Anglików!

Old Reliable zmrużył swe jedyne oko i zachichotał.

Pierwsza kula z „Marengo” trafiła w fale, sto jardów od lewej burty, wzbijając wysoki pióropusz białej piany, natychmiast rozwiany przez wiatr. Po chwili przerwy burta liniowca zniknęła w jasnej chmurze dymu od dziobu po rufę - aż cztery francuskie kule siedziały w celu, trzy utkwily w części dziobowej, jedna uderzyła w kotbelkę.

Jack zerknął na zegarek, kazał klerkowi zapisać godzinę i ściskając zegarek w dłoni, znów zaczął kroczyć po pokładzie rufowym z panem Stourtonem u boku, aż odezwał się łoskot kolejnych celnych pocisków. Tym razem artylerzyści „Marengo” wycelowali znacznie lepiej - gejzery wody wystrzeliły wszędzie wokół na wysokość marsów, a kadłub aż zadrżał od uderzenia wielu dwudziestoczerofuntowych kul. W płótnie żagli na fok i grocie pojawiły się pierwsze dziury, a na śródkręciu na siatkę ochronną spadła garść bloków.

- Nieco poniżej dwóch minut - zauważył Jack. - Tak sobie. - Przerwa między salwami burtowymi na „Surprise” trwała bowiem tylko około minuty i dwudziestu sekund. - Dzięki Bogu, że dolne furty ma zamknięte.

Zanim „Marengo” odpali kolejną salwę, fregata będzie już ćwierć mili bliżej.

„Semillante”, następny w szyku za liniowcem, otworzył ogień z dział na dziobie. Dojrzał jedną z kul, jak przemknęła daleko za rufą fregaty, a gdy kontynuując swój rytualny spacer po pokładzie rufowym, dotarł do relingu, ujrzał kolejną, jak śmigała w dużej odległości, otoczona czymś na kształt ledwie widocznej aureoli.

- Panie Stourton, działa na dziobie mogą otworzyć ogień - rozkazał. Nie zaszkodzi postrzelać, nawet pomimo tego, że francuskie okręty wciąż są zbyt daleko - huk wystrzałów własnych dział na pewno ożywi załogę. Minęły dwie minuty i kilka sekund - kolejna, dobrze wycelowana salwa „Marengo” uderzyła w „Surprise” niczym młot. Niemal wszystkie kule trafiły do celu. Zaraz po „Marengo” otworzyła ogień „Semillante”, lecz jej sześć pocisków przeszło za wysoko.

- Zniszczone wieszaki rei żagla rozprzowego! - zameldował Stourton. - Cieśla doniósł o trzech stopach wody w zębie! Łata właśnie kilka dziur pod linią wodną, na szczęście niezbyt głęboko. Działo dziobowe wystrzeliło, przerywając jego słowa i mocny, podnoszący na duchu zapach dymu prochowego dotarł na rufę.

- Do pracy zatem, panie Stourton - odparł Jack, uśmiechając się. - Na szczęście „Semillante” nie może nas sięgnąć, kąt jest zbyt ciasny. Kiedy „Marengo” zacznie strzelać kartaczami, proszę wydać rozkaz, by ludzie leżeli przy działach!

Na ćwiartce dziobowej lewej burty widział, jak Francuzi podtaczają ostatnie działa, czekając, aż uniosą się na fali. Rozejrzał się po bezludnym niemalże pokładzie rufowym, zanim odwrócił się podczas spaceru. Bonden i Carlow czuwali przy kole sterowym, za nimi stał Harrowby, podając kurs, a Stourton krzykiem posyłał marynarzy do bulin fokmarsła. Po zawietrznej stał midszypmen sygnalista, Callow, z obandażowaną głową, którego zadaniem było przenoszenie rozkazów po pokładzie, młody klerk Nevin z tabliczką w dłoni i Etherage obserwujący statki Kompanii przez niewielką, kieszonkową lunetę. Wszyscy żołnierze piechoty morskiej, poza wartownikiem przy zejściówce, byli rozdzieleni między załogi dział.

Huk odpalanej salwy burtowej, potem wystrzał dziobowej pościgówki i naraz dwadzieścia kul w jednej chwili uderzyło w kadłub brytyjskiej fregaty. Hałas był ogłuszający, Jack dostrzegł, jak koło sterowe zostaje roztrzaskane odłamkiem, a przecięty wpół Harrowby wali się na reling rufowy. Z przedniego pokładu dobiegały wrzaski. Natychmiast pochylił się do tuby głosowej, biegnącej pod pokład do człowieka czuwającego przy zapasowych taliach, które w sytuacjach awaryjnych mogły zastąpić koło.

- Hej tam, na dole! - ryknął prosto w tubę. - Okręt sterowny?

- Tak, sir!

- Doskonale! Trzymaj kurs!

Salwa Francuza zniszczyła trzy działa fregaty, a pokład aż do wysokości grotmasztu zasłany był odłamkami drewna, kawałkami relingu i bomów, strzępami żagli i pogruchotanymi

szczałkami łodzi wraz z fragmentami hamaków, które salwa wydarła z siatek. Stenga bukszprytu z przestrzeloną kolumną miotła się na prawo i lewo, uwolnione kule armatnie toczyły swobodnie po przechylonym pokładzie, lecz największym niebezpieczeństwem były teraz zerwane z upręży działa, oszalałe potwory, zdolne swym ciężarem zmiażdżyć człowieka. Jack wskoczył w sam środek zamieszania na dziobie, gdzie garstka oficerów na próżno starała się zaprowadzić porządek. W biegu porwał jakiś zakrwawiony hamak. Dwie tony rozpedzonego metalu, niegdyś hołubione działo pościgowe na lewej burcie, stało nieruchomo, póki okręt wznosił się na fali, gotowe jednak ruszyć przed siebie wraz z opadnięciem dziobu, miażdżąc wszystko przed sobą aż po sterburtę. Jack błyskawicznie związał hamak wokół lufy, polecając kilku ludziom przymocować linę do najbliższego drzewca. Kiedy wykrzykiwał rozkazy, tocząca się po pokładzie trzydziestosześcioletnia kula uderzyła go w kostkę, zbijając z nóg.

Stourton pracował gorączkowo przy następnym dziale, wciąż tkwiącej w lawecie karonadzie, blokując ją handszpakami przed ześlizgnięciem się w dół przez przedni luk i niechybnym przebicciem kadłuba na wylot. Zrębnice wokół luku nie stanowiłyby dla pędzącego działa większej przeszkody aniżeli tekturowa przesłona. Niespodziewanie okręt zarył dziobem w fali i karonada potoczyła się ku dziobowi. Nim działo porządnie się rozpedziło, Stourtonowi udało się je przewrócić, jednak ten sam ruch okrętu zerwał z prowizorycznej więzi pierwsze działo, które jęło toczyć się z coraz większą prędkością prosto w środek zaskoczonych ludzi. Każdy z nich próbował zatrzymać je samemu, tak więc rozpedzona pościgówka przemknęła nie zatrzymana, wybiła dziurę w burcie tuż za ławą wantową i zniknęła w falach. Surowa dyscyplina, utrzymywana na okręcie, okazała się zabójcza dla inicjatywy marynarzy, lecz na szczęście pozostałe grupki wraz z oficerami pracowały skutecznie. Rattray wraz z dwójką matów siedział już na bukszprycie, mocując stengę, Etherage z tuzinem żołnierzy zbierali i zabezpieczali toczące się kule armatnie, a Callow i załoga jego szalupy wyrzucali za burtę szczątki roztrzaskanej łodzi.

Jack poderwał się, by rzucić okiem na „Marengo”, w tej samej chwili podtoczono wszystkie działa liniowca, z wyjątkiem dwóch.

- Padnij! - ryknął i nim okręt znów wzniósł się na fali, na pokładzie zapanowała całkowita cisza, zakłócona jedynie świstem wiatru i pluskiem wody. Samotna, zapomniana kula staczała się po schodkach zejściówki. Rozległ się ryk dział i wycie rozcinanego przez kule kartaczy powietrza. Salwa przeszła jednak za wysoko. Rattray i jego ludzie wciąż walczyli z umocowaniem stengi bukszprytu, wrzaskiem domagając się dziesięciu sążni liny i nowych handszpaków. „Surprise” nadal utrzymywała się na kursie, nieznacznie tylko zoczywszy ze względu na stratę bomkliwra i zerwanie niektórych żagli. Teraz już nawet ostatnie w szyku statki Kompanii poczęły otwierać ogień z odległości połowy mili. W płótnie fokmarsla liniowca pojawiły się dziury. Jack naraz doszedł do wniosku, że zanim francuski liniowiec zdoła po raz kolejny wystrzelić salwę burtową, „Surprise” znajdzie się przed dziobem liniowca i poza zasięgiem dział jego burty. Gdyby zaś „Marengo” odbił z kursu, by razić Anglika ogniem z burty, tym samym przegrałby starcie - manewr wyniósłby dwupokładowiec daleko za wciąż nietkniętą linię statków Kompanii.

Jack poszedł znów w kierunku pokładu rufowego, gdzie na czworakach słaniał się wstrząśnięty młody Nevin.

- Wszystko w porządku, Bonden? - rzucił, przyklękając przy tubie. - Hej tam, na dole! Popuszczaj pół rumba! Jeszcze pół! Obłóż! - Okręt sterował nieco gorzej.

- Wszystko w porządku, sir - odparł Bonden. - Tylko ramię mam zwichnięte. Już mi Carlow opatrzył.

- To pomóż mi z ciałem Harrowby'ego - rzucił Jack. Za rufą okrętu, gdzie z pluskiem zniknęło wyrzucone ciało sternika, sześć statków Kompanii wykonało już zwrot i nadpływało pod

pełnymi żaglami, były jednakże wciąż daleko. „Marengo” zaś, widoczny na ćwiartce lewej burty dziobowej, był już niemal w zasięgu.

- Załoga do dział! - wrzasnął Jack. - Oko za oko! Nie tracić kuli! Jeszcze nie! Jeszcze nie!

- Pięć stóp wody w zęcie, sir - zameldował Stourton. Jack skinieniem głowy przyjął to do wiadomości.

- Jeszcze pół rumba! - krzyknął przez tubę.

- Jest pół rumba, sir! - odparł upiorny, odbity echem głos z dołu. Fregata żeglowała gorzej, lecz teraz tylko zatonięcie mogłoby jej przeszkodzić w otwarciu ognia w przeciągu minuty. Był pewien, że będzie to celny, silny ogień - kiedy już fregata znajdzie się na wprost dziobu liniowca, salwy burtowe uderzą weń z bardzo bliskiego dystansu.

Z pokładu dziobowego „Marengo” strzelano już z muszkietów, francuska piechota morska pchała się na dziób i mars foka. Jeszcze sto jardów i jeśli „Marengo” nie wykona zwrotu, „Surprise” otworzy ogień, jeśli zaś wykona zwrot, staną burta w burtę i rozpocznie się walka na śmierć i życie...

- Panie Stourton, proszę wysłać ludzi, by wzięli fokmarsel na gejtawy i obrócili go pod wiatr. Panowie Callow, Church i Lee, na dziób - rozkazał.

Byli bliżej i bliżej, „Marengo” zbliżał się z piękną falą dziobową, a prędkość „Surprise” malała. Fregata miała przeciąć kurs liniowca w odległości poniżej dwustu jardów, a już teraz była tak blisko, że statki Kompanii wstrzymały ogień, by nie razić sprzymierzeńców. I jeszcze bliżej, by salwa miała pełną moc... I jeszcze... Marynarze kucali przy wycelowanych działach, w całkowitym skupieniu, ostatecznie regulując położenie luf, obojętni na latające w powietrzu kule muszkietów.

- Ognia! - krzyknął Jack, kiedy „Surprise” poczęła wznosić się na fali. Następujące jeden po drugim wystrzały z dział zwały się w jeden ryk. Kiedy dym się rozwiął, oczom Jacka ukazał się wymieciony do czysta pokład Francuza, szarpane wiatrem końce urwanych lin i dziko łopoczący, zerwany sztaksel.

- Za nisko! - ryknął. - Celować wyżej! Wyżej! Callow, Church, wyżej!

Zabijanie Francuzów nie miało sensu - w tej walce liczyły się niszczone drzewce, takielunek i same żagle, a nie krew, spływająca właśnie szpigatami dziobu, barwiąca na purpurowo pianę fal. Marynarze pracowali szaleńczo, w mig odtoczono działa, oczyszczono lufy, załadowano i znów podtoczono. Działo numer trzy, z najszybszą obsadą, wypaliło pierwsze.

- Na gejtawy! - krzyczał pośród wystrzałów następujących jeden po drugim. - Fokmarsel wstecz! „Surprise” zwolniła i stanęła spowita całunem dymu, zwrócona burtą w stronę dziobu „Marengo”, strzelając weń tak szybko, jak tylko zdołano ładować działa. Trzecia salwa burtowa złała się z czwartą, fregata przeszła na ogień ciągły, a Stourton i midszypmeni biegali wzdłuż burt, celując, nastawiając działa i zamieniając ochryple wrzaski kapitana na konkretne wytyczne. Ludzie wciąż nie mogli się otrząsnąć po wcześniejszych celnych trafieniach z „Marengo” i ogień fregaty był chaotyczny, pociski uderzały zbyt nisko, lecz przy tej odległości żaden z nich nie chybiał. Chłopcy noszący proch uwijali się jak w ukropie, amunicja płynęła na pokład szerokim strumieniem, a nadzy do pasa, zalani potem artylerzyści ryczeli z radości jak szaleni, mogąc wreszcie odpłacić Francuzom pięknym za nadobne. Nic jednak nie trwa wiecznie - gdy tylko dym się rozwiął, stało się jasne, że liniowiec kieruje się prosto na małą fregatę z zamiarem staranowania jej lub wzięcia abordażem.

- Opuścić fokżagiel! Fokmarsel na wiatr! - wy wrzeszczał Jack z całej mocy swych płuc. - Odpadamy o dwa rumby! - ryknął do tuby. Za wszelką cenę musiał utrzymać się przed dziobem „Marengo” i razić liniowiec salwami. Dziób okrętu francuskiego przypominał teraz jatkę, lecz jak do tej pory ogień fregaty nie uszkodził żadnej istotnej części ożaglowania. „Surprise” rozpoczęła długi, ślamazarny zwrot, w trakcie którego naraz ujrzeli burtę liniowca i otwierane mimo wzburzonego morza furty pokładu dolnego. Właśnie odtaczano ogromne trzydziestosześcioletnie działa. Jeden ruch kołem sterowym i „Surprise” znajdzie się

naprzeciwko dwóch rzędów dział w zasięgu strzału z pistoletu. Chwilę później jedynym problemem Francuza będzie zamknięcie dolnych furt, by okręt nie nabrał wody.

Etherage z czterema muszkietami i chłopcem do ładowania strzelał bez wytchnienia w kierunku fokstengi „Marengo”, zdejmując każdego, kto tylko się na niej pojawił. Pół mili za rufą „Surprise” nadpływające statki z czoła szyku otworzyły ogień w kierunku „Semillante” i „Belle Poule”, które zasypywały je pociskami od pięciu minut. Dym unosił się wszędzie, a grzmot salw burtowych zagłuszało wycie wiatru.

- Ster na lewo! - Jack krzyknął do tuby. - Postawić grotzagiel!

Gdzie się teraz podziała szybkość biednej, kochanej „Surprise”? Mogła się co prawda utrzymać przed „Marengo”, ale tylko odpadając z wiatru tak mocno, że w efekcie stawała rufą do dziobu liniowca, a przez to działa fregaty nie donosiły do celu. Ogień osłabł i ucichł zupełnie, a ludzie jęli oglądać się ku rufie. Dwa obroty koła sterowego liniowca ustawiłyby francuskie armaty prosto w kierunku rufy fregaty, nawet już teraz widzieli podwójną linię paszcz armatnich wystających z furt. Dlaczego nie wykonywali zwrotu? Po co nadawali sygnały?

Ryk dział na sterburcie był odpowiedzią. „Royal George” z dwoma innymi statkami za sobą opuściły święty szyk i z dużą prędkością zbliżały się, by oskrzydlić liniowca. W tym samym czasie czoło szyku nadpływało z zachodu, grożąc całkowitym okrążeniem - jedynym manewrem, którego Linois się obawiał.

„Marengo” podszedł ostro do wiatru, a jego obrót umożliwił działom fregaty powrót do akcji. Lufy na pokładzie bluznęły ogniem, a liniowiec błyskawicznie odpowiedział nierówną salwą dział górnego pokładu prawej burty. Oba okręty były tak blisko, że wyraźnie widzieli jaśniejące w mroku furt działowych twarze Francuzów, a gdy francuskie kule przeleciały nad fregatą, na jej pokład opadła płonąca przybitka znad baterii przeciwnika. Przez chwilę oba okręty leżały burta w burtę. Przez dziurę, wyrąbaną przez angielski pocisk w nadburciu pokładu rufowego, Jack ujrzał admirała francuskiego, siedzącego na krześle. Z poważnym wyrazem twarzy pokazywał coś na górze. Jack siedział kiedyś przy tym stole i rozpoznał natychmiast charakterystyczne dla Linois lekkie przekrzywienie głowy. Zwrot liniowca oddalał oba okręty coraz bardziej - jeszcze raz gruchnęły rufowe karonady, po czym „Marengo” ruszył bajdewindem, wystawiając rufę na ogień ocalałych dział fregaty (kolejne dwa rozbił ogień francuski, a jedno eksplodowało przy wystrzale), które rozbiły rufową galeryjkę. Oddalający się coraz szybciej liniowiec dosięgła jeszcze jedna salwa burtowa z fregaty i z rykiem radości załoga powitała widok lecącej w dół bagenrei, do której dołączyły bezanżagiel i bramstenga. I w końcu liniowiec francuski znalazł się poza zasięgiem, a „Surprise”, mimo najszczerzych chęci, nie była w stanie ani wykonać zwrotu, ani rozwinąć należytej prędkości, by znowu pokryć go ogniem dział.

Francuska linia wykonała razem zwrot i płynąc bajdewindem, wymknęła się z zacieśniającej się pułapki brytyjskich statków.

- Panie Lee - powiedział Jack. - Proszę nadać: „Do pościgu”.

Pościg na nic się nie zdał. Statki Kompanii rzuciły się w ślad za okrętami francuskimi, wyciskając wszystko z każdego postawionego żagla, lecz francuska eskadra utrzymywała bezpieczny dystans i Jack odwołał je, kiedy w końcu Linois ruszył halsem na wschód.

„Lushington” pierwszy stanął przy „Surprise” i kapitan Muffit przybył na pokład fregaty. Jego rumiana, rozradowana zwycięstwem twarz ukazała się nad nadburciem niczym wschodzące słońce, lecz gdy tylko stanął na zakrwawionym pokładzie, z jego oczu zniknęła radość, a pojawił się szok i zaskoczenie.

- Na Boga! - wykrzyknął, patrząc na rumowisko, w jakie zamienił się pokład fregaty. Ogień Francuzów zniszczył siedem dział fregaty, pogruchotał wszystkie lodzie na wytykach i niemalże ściął grotmaszt i fokmaszt. Pokład zaślany był teraz szczątkami rei i porwanymi, splątanymi linami. W nadburciu ziały wielkie dziury po kulach, w innych miejscach kule wciąż tkwiły w drewnie. Słychać było bulgot pomp pracujących na pełnych obrotach i wylewających

wodę z trzewi okrętu przez szpigaty. - Na Boga, ale się pańskiemu okrętowi oberwało! - powiedział, ujmując dłoń Jacka. - Odniosł pan wielkie zwycięstwo, lecz strasznie pan ucierpiał! Obawiam się, że pańskie straty są ogromne!

Jack był zmęczony do granic, a jego stopa, spuchnięta wewnątrz buta, sprawiała wiele bólu.

- Dziękuję panu, kapitanie - odparł. - Linois nieźle nas poharatał i gdyby „Royal George” nie nadpłynął z odsieczą, ani chybi spoczeliśmy na dnie. Straciłem za to bardzo niewielu ludzi. Zginał pan Harrowby, niestety, i dwóch innych, długa jest też lista rannych, ale to niewielka cena za taki wyczyn. No i odpłaciliśmy mu pięknym za nadobne! Tak, na Boga, aleśmy mu pokazali!

- Proszę wybaczyć, sir, osiem stóp trzy cale wody w zęcie - zameldował cieśla. - Poziom wody przybiera.

- Czy możemy się w jakiś sposób przydać? - wykrzyknął Muffit. - Nasi cieśle, bosmani, ludzie do pompowania?

- Byłbym panu wdzięczny za odesłanie moich ludzi i oficerów z powrotem na pokład fregaty wraz z każdą pomocą, jakiej może pan udzielić. Bez niej okręt ani godziny nie utrzyma się na morzu.

- Natychmiast, sir, natychmiast! - zawołał Muffit, ruszając w stronę burty, będącej teraz znacznie bliżej lustra wody. - Mój Boże, coś za łomot... - powiedział, zatrzymując się, by po raz ostatni obejrzeć pokład.

- Zgadza się - powiedział Jack. - I doprawdy nie wiem, skąd wezmę liny i żagle po tej stronie Bombaju. Ani jedna reja nie została się na tym statku. Jedno, co mnie pociesza, to że położenie Linois jest znacznie gorsze.

- Ach, jeśli chodzi o maszty, reje, liny, łodzie, zapasy i inne, Kompania będzie zaszczycona, mogąc panu pomóc! Nie będą mogli się pana nachwalić w Kalkucie! Pana wspinała akcja uratowała konwój i tak właśnie im powiem. Burta w burtę z liniowcem... Może wezmę pański okręt na hol?

Stopa Jacka pulsowała niewyobrażalnym bólem.

- Nie, dziękuję - odparł ostrym głosem. - Popłynę z panem do Kalkuty, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, skoro, jak miemam, nie chce pan żeglować na pełnym morzu, mając Linois w pobliżu. Ale nie pozwolę wziąć okrętu na hol tak długo, jak długo pozostanie mi choćby jeden maszt, panie Muffit.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kompania w istocie nie mogła się go nachwalić. W niebo strzelały fajerwerki, bankiety następowały jeden po drugim, a szeroki strumień morskich skarbów płynął na pokład fregaty prosto z magazynów portowych. Tyle uwagi poświęcano załodze „Surprise” podczas remontu, że od chwili zrzućcia kotwicy nie było wśród niej ani jednego trzeźwego bądź pozbawionego nadobnego towarzystwa człowieka, a w dniu zakończenia napraw byli już wszyscy rozpuszczoną bandą hulaków.

Wdzięczność Kompanii wyrażona została serią uczt, niezliczonymi mowami pochwalnymi i zapewnieniem możliwie najbardziej rozpustnej rozrywki w stylu orientalnym. To wszystko sprawiło, że Jack natknął się w końcu bezpośrednio na Richarda Canninga. Już na pierwszym, niezwykle oficjalnym obiedzie Jack uświadomił sobie, że Canning siedzi po jego prawej stronie, a na dodatek z ochotą przyznaje się do znajomości z nim i traktuje go z szacunkiem. Zaskoczenie Jacka było wielkie - kiedy „Surprise” stała w Bombaju, przypomniał sobie nazwisko Canninga może dwa razy, lecz od chwili starcia z Linois nie myślał o nim w ogóle. Nawet przy sprzyjającym wietrze i życzliwej pomocy załóg konwoju miał mnóstwo pracy z bezpiecznym przyprowadzeniem swego okaleczonego okrętu do portu, Stephen zaś był zajęty w przepełnionym szpitaliku, wykonując wiele skomplikowanych operacji, z głową

nieszczęsnego pana Bowesa na czele. Przez nawał pracy ledwie zamienili na osobności kilka słów, które mogłyby przywieść na myśl Dianę czy Canninga.

A teraz Canning siedział tuż obok niego, przyjazny, rozluźniony i najwyraźniej ignorujący potrzebę zachowania rezerwy. Zaszczycił nawet Jacka toastem za jego zdrowie, połączonym ze zgrabną, pełną wdzięczności mową, w której wymieniał przymioty Sophie i życzył obojgu długich lat w zdrowiu i szczęściu. Pierwsze chwile zażenowania i rezerwy odeszły zatem w niepamięć i Jack odkrył, że Canning należy do ludzi, których nie sposób nie lubić. Nawet nie próbował okazywać niechęci, widząc, że i Stephen jest z nim w bardzo dobrych stosunkach. Poza tym, jakiegokolwiek okazywanie dystansu w takim towarzystwie byłoby zachowaniem tak niewdzięcznym i grubiańskim, że nie myślałby o tym nawet wtedy, gdyby jego krzywda była większa i znacznie świeższa. Pomyślał później, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż sam Canning nie miał pojęcia o tym, że jakiś czas temu pokrzyżował mu plany. Cóż, nieważne. To wszystko wydarzyło się dawno temu i to w zupełnie innym świecie.

Bankiety i przyjęcia mnożyły się, a odrzucił zaproszenie tylko na jeden z nich, gdyż tego dnia miał się odbyć pogrzeb Bowesa. Było to tydzień przed pierwszym spotkaniem z Canningiem na osobności. Siedział w swojej kabinie przy biurku, trzymając zranioną stopę w wiadrze z ciepłym olejkiem sezamowym. Pisał list do Sophie.

...szpada honorowa, którą mi sprezentowali, to bardzo przyzwoita rzecz. Wydaje mi się, że wykonano ją w hinduskim stylu, a na ostrzu wygrawerowano niezwykle pochlebny inskrypcję. W istocie, gdyby słowa przekładały się na pieniądze, sam już byłbym nababem i z pewnością, kochana moja, żonatym nababem. Kompania, kupcy perscy i ubezpieczyciele zebrali niezłą sumkę dla załogi, mam ją rozdzielić między ludzi, lecz ich takt...

Niespodziewanie zaanonsowano przybycie Canninga.

- Zaproszcie go pod pokład - polecił, przekładając list zębem wieloryba.

W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach, przywiany bryzą znad rzeki Hugli.

- Dzień dobry, panie Canning, proszę spocząć! Zechce pan wybaczyć, że przyjmuję pana w tak nieformalny sposób, ale Maturin każe mnie wychłostać, gdy tylko wyjmę stopę z wiadra bez jego zezwolenia.

Canning uprzejmie wypytał o stan zdrowia, na co Jack odparł, że ma się znacznie lepiej.

- Kazałem obwieść się wokół pańskiego okrętu - ciągnął Canning. - Słowo honoru, nie mam pojęcia, jak się panu udało doprowadzić go do portu. Z całą pewnością naliczyłem czterdzieści siedem wielkich dziur od kul między tym, co pozostało z dziobnicy a resztą kotbelki na lewej burcie. Na prawej ćwiartce dziobowej, jest jeszcze gorzej. Może mi pan opisać położenie „Marengo” podczas bitwy?

Niewiele szczerów lądowych byłoby zainteresowanych czymś więcej niż krótkim, treściwym opisem bitwy, lecz Canning sam kiedyś żeglował, wynajmował korsarzy i nawet sam walczył z jednym z okrętów korsarskich. Jack dokładnie opisał więc pozycję „Marengo” i ciągnął powieść dalej, podczas gdy Canning śledził rozwój sytuacji, ze znanstwem komentując każdy manewr i zmianę wiatru. Jack dodatkowo opisał też ruchy „Semillante” i „Belle Poule” oraz manewr dzielnego „Berceau”, kreśląc palcem umaczanym w olejku wykresy na blacie stołu.

- Cóż - westchnął w końcu Canning. - Jestem pod wrażeniem. To najlepiej przeprowadzona akcja, o jakiej słyszałem. Oddałbym prawą rękę, by tam być, nigdy jednak nie należałem do ludzi obdarzonych szczęściem. No, może z wyjątkiem handlu. Na Boga, jakże ja bym chciał być żeglarzem!

Przez chwilę wyglądał na przygnębionego, starego człowieka, lecz w okamgnieniu ożywił się.

- Najlepiej przeprowadzona akcja! Znac szkołę Nelsona!

- Och nie, proszę pana, skądże! - wykrzyknął Jack. - Myli się pan, Nelson zatopiłby „Marengo”! Był nawet moment, kiedy wydawało mi się, że i nam się to uda. Gdyby dzielny McKay na „Royal George” podciągnął tył szyku z większą prędkością lub gdyby Linois wahał się minutę dłużej z kolejną salwą, statki z czoła szyku dotarłyby na miejsce i wzięlibyśmy

Francuzów w dwa ognie. Nie dało jednak rady. Bitwa stała się zatem zaledwie kolejną nie rozstrzygniętą potyczką, a teraz Linois zapewne remontuje swoje okręty w Batawii.

Canning pokręcił głową, uśmiechając się.

- Cóż, nie nazwałbym jednak pańskiej akcji bezskuteczną - powiedział. - Konwój o wartości sześciu milionów funtów został uratowany i kraj, nie mówiąc już o samej Kompanii, byłby w skomplikowanej sytuacji, gdyby te pieniądze zostały utracone. A ta myśl przywodzi mnie do celu mojej wizyty. Przybyłem tu mianowicie na życzenie moich wspólników, by taktownie podpytać pana, w jaki sposób mogliby oni wyrazić wdzięczność za pana Wiktorię w sposób, rzekłbym, bardziej konkretny od mów pochwalnych, kolejnych półmisków *pilau* czy beczulek burgunda. Być może istnieją sposoby wynagrodzenia pana, które mogą stać się tematem negocjacji, jak to powiadamy w City. Mniemam, iż nie uraziłem pana, mówiąc te słowa?

- Bynajmniej, proszę pana - odparł Jack.

- Cóż, wychodząc z założenia, że cokolwiek przypominającego choćby bezpośrednio zadośćuczynienie w przypadku dżentelmena pańskiej klasy w ogóle nie wchodzi w rachubę... „Skąd, u licha, biorą się u ciebie te szalone, romantyczne sformułowania?” - pomyślał Jack, niecierpliwie obserwując twarz Canninga.

- ...kilku członków zaproponowało wykonanie ozdobnej zastawy stołowej lub zdobionego złotem palankinu. Wyjaśniłem im jednak, że minąłby rok, zanim serwis zaproponowany przez moich szanownych kolegów dotarłby na pański stół, a według tego, co sam wiem, ma pan już sporo srebra. - W zasadzie była to prawda. Sześć srebrnych zastaw Jacka znalazło się już jednak w lombardzie. - A poza tym wyjaśniłem im, iż palankin, aczkolwiek zacny prezent, na niewiele zda się oficerowi marynarki. Wtedy to wpadłem na pomysł, że fracht jest odpowiedzią na nasze wątpliwości. Ufam, iż nie razi pana bezpośrednio, z jaką mówię?

- Ależ skąd! - wykrzyknął Jack. - Proszę nie czynić z tego ceregieli!

Był oszołomiony - frachtowe, niespodziewany, zdobyty niemalże bez wysiłku, obfity deszcz złota, który spadał jedynie na tych szczęśliwców wśród dowódców okrętów wojennych, którzy przewozili ładunki dla rządu lub bogaczy, wahających się posłać swój dorobek mniej pewnym środkiem transportu. Frachtowe wynosiło około dwóch, trzech procent wartości przewożonego ładunku i było niezwykle mile widzianym źródłem dochodu, gdyż, choć jeszcze rzadsze od przyzowego, było znacznie pewniejszym sposobem na zarobek. Z frachtowym nie wiązały się bowiem żadne trudności prawne, nie pociągało ono też za sobą ryzyka utraty okrętu, załogi i reputacji. Podobnie jak większość żeglarzy, Jack wiedział wszystko o frachtowym, lecz nigdy jeszcze nie miał okazji do zdobycia pieniędzy w ten sposób. Poczuł rosnącą zyczliwość wobec Canninga, choć niepokoili go wątpliwości - przecież pieniądze z reguły podróżowały do Indii, a nie z Indii do Anglii. Do Anglii żeglowało bogactwo Kompanii w formie ładowni wypełnionych muślinem, herbatą i kaszmirskimi szalami... Nigdy jeszcze nie słyszał o czyimś bogactwie, które miało płynąć do kraju.

- Wie pan zapewne, że na pokładzie „Lushingtona” znajdował się jeden z naszych ładunków diamentów, mianowicie rubiny z Borneo - ciągnął Canning. - Mamy też ładunek pereł z Tinnevely i dwie skrzynki szafirów. Całość nie jest wiele warta, obawiam się, ogólna wartość nie sięga nawet ćwierć miliona, lecz nie zajmuje również wiele miejsca. Nie będzie pan cierpieć przez to niewygód. Czy mógłbym uprzejmie pana prosić, by zechciał pan ów ładunek zabrać ze sobą?

- Oczywiście, że tak - odparł Jack. - Jestem panu nieskończenie zobowiązany za ów godny dżentelmena sposób, w jaki złożył mi pan tę propozycję.

- Nie mnie powinien pan dziękować, drogi panie Aubrey, to nie miejsce i czas na osobiste zobowiązania. Jestem tylko rzecznikiem moich szanownych kolegów z Kompanii. Jakżebym chciał pomóc panu jako osoba prywatna! Gdyby istniał jakikolwiek sposób na osobiste odwdzięczenie się, byłbym doprawdy zobowiązany. Może byłby pan zainteresowany na przykład przestaniem przesyłki do Anglii? Gdyby zechciał pan włożyć kilka tysięcy w akcje

czarnej herbaty i angory, zyskałby pan z trzydzieści procent przed powrotem do domu. Wraz z kilkoma kuzynami regularnie wymieniamy łądem pocztę, kurier jest w tej chwili w drodze, a będzie przekraczał Suez.

- Akcje angory - powiedział Jack zadumany. - Obawiam się, że w tych sprawach błędę jak wśród mgieł na mieliznach. Powiem jednakże panu, Canning, na czym by mi zależało. Moja wdzięczność nie miałaby granic, gdyby pański człowiek zechciał zabrać dla mnie list w prywatnej sprawie. Dam go panu za dziesięć minut! To bardzo, bardzo miło z pańskiej strony! Pchnął Canninga w stronę Pullingsa, by ten sumiennie oprowadził go po okręcie i zwrócił jego szczególną uwagę na odcinek forkasztelu przed mocnicami pokładowymi i stan pacholków, po czym powrócił do swego listu.

Kochana Sophie, oto najwspanialsza wiadomość na świecie! Otóż Kompania

Wschodnioindyjska napycha mi okręt skarbami! Dostaniemy frachtowe, jak to się u nas w marynarce nazywa. Wy tłumaczę Ci to później, to coś jak przyzowe, ale nie idzie do podziału, nawet admirał nie dostaje swojej działki, mimo że dalej jestem pod rozkazami admiralicji. Nie obiecano mi żadnej przytłaczającej sumy, lecz na pewno pomoże mi wyjść z długów i pozwoli kupić przytulną chatkę z akrem ziemi, może nawet dwoma. Proszę Cię zatem, byś jak najszybciej dostała się na Maderę, a do listu dołączam jeszcze kilka słów do Heneage'a Dundasa, który będzie zaszczycony, mogąc Cię przewieźć na pokładzie „Ethaliona”, jeśli dalej kursuje w tych stronach. Jeśli nie, z pewnością znajdzie kogoś z naszych wspólnych przyjaciół, kto się tam wybiera i podejmie się zadania. Nie trać ani chwili, suknię ślubną możesz zacząć szyć na pokładzie. Wielki mój pośpiech, lecz ma miłość jeszcze większa.

Jack

PS: Stephen ma się niezłe. Ścieliśmy się z Linois.

Heneage, stary druhu!

Jeśliś wciąż moim przyjacielem, przewieź, proszę, Sophie na Maderę. Jeśli sam nie możesz, zagadnij o Clowesa, Seymoura, Rieu, kogokolwiek z naszych wspólnych, oddanych przyjaciół. Przewieź ją, proszę, choćbyś miał dla niej tyle wygód, co dla pomocnika bosmana, a moja wdzięczność nie będzie miała granic.

Twój na wieki Jack Aubrey

PS: „Surprise” miała starcie z liniowcem „Marengo”, uzbrojonym w siedemdziesiąt cztery działa, ale odpłaciła Francuzowi z procentem. Ruszam na morze, jak tylko dziobowe węzłówki zaczną jakoś wyglądać. Ta przesyłka idzie łądem, dlatego też zapewne wyprzedzi mnie o kilka miesięcy.

- List gotowy, proszę pana! - wykrzyknął, widząc ciemny kontur postaci Canninga w drzwiach kabiny. - Podpisany i zapieczętowany. Będę nieskończenie wdzięczny.

- Nie ma problemu. Od razu przekażę go Atkinsowi, a ten zanieś go kurierowi, zanim opuści on Kalkutę.

- Atkinsowi? Temu od pana Stanhope'a?

- Tak. Doktor Maturin dał mu instrukcje dla mnie. Zdaje się, że pan Atkins stracił oparcie po nieszczęsnej śmierci posła. Zna go pan dobrze?

- Płynął z nami na „Surprise”, ale ledwie co go widywałem.

- W istocie? Ach, a to mi przypomina, że nie miałem jeszcze przyjemności rozmawiać z doktorem przez kilka ostatnich dni.

- Ja również nie. Widujemy się jedynie na tych wspaniałych obiadach, lecz poza nimi Stephen jest niezwykle zajęty w szpitalu lub biega po okolicy, poszukując tygrysów i robaków.

- Proszę przyprowadzić dla mnie słonia - oznajmił Stephen.

- Natychmiast *sahib!* Czy *sahib* życzy sobie słonia czy słonice?

- Słonia. Ze słoniem lepiej dam sobie radę.

- Czy *sahib* życzy sobie udać się do domu pełnego chłopców? Czystych, miłych chłopców smukłych jak gazy, chłopców, którzy umieją śpiewać i grać na flecie?

- Nie, Mahomet, po prostu życzę sobie słońca, jeśli nie masz nic przeciwko. Ogromne szare stworzenie uklękło i Stephen spojrział uważnie w jego niewielkie, stare i przepełnione mądrością oko, lśniąca na tle farb i ozdób.

- *Sahib* raczy umieścić swą stopę tutaj, na nodze zwierzęcia.

- Wybacz mi - mruknął Stephen prosto w ogromne ucho słońca i zasiadł na jego grzbiecie. Ruszyli w dół zatłoczoną Chowringhee, a Mahomet ochoczo wskazywał ciekawe budynki.

- Tam mieszka Mirza Szach, jest ślepy i niedołączny, lecz kiedyś królowie drżeli na dźwięk jego imienia. Tam mieszka bogacz Kumat, niewierny, ma chyba z tysiąc konkubin. *Sahib* jest zde gustowany? Ja również. Jeśli *sahib* uważa kobiety za gadatliwe, podstępne, wrzaskliwe, podłe, niegodne zaufania, niegościnnie i obleśne stworzenia, to ja zaprowadzę *sahiba* do młodego pana, którego skóra pachnie miodem. A to jest Majdan. *Sahib* widzi tam dwa święte figowce przy moście, niech Bóg zawsze obdarza *sahiba* tak dobrym wzrokiem. Tam właśnie przychodzą panowie z Europy, by walczyć ze sobą na szpady i pistolety. Ten budynek za mostem to pogańska świątynia, pełno w niej bożków. Przejdziemy przez most. O, a teraz *sahib* jest w Alipurze.

Alipur powitał ich widokiem wielkich, ogrodzonych murem ogrodów i odosobnionych, samotnych domów, gotyckich ruin z postawioną tam pagodą i okrągłej wieży postawionej przez dręczonego nostalgą Irlandczyka. Słoń podszedł wysypaną żwirem ścieżką aż pod portyk, który przypominałby podobne budowle na angielskiej prowincji, gdyby nie nisze dla tygrysów po obu jego stronach i obezwładniający zapach dzikich bestii, jaki utrzymywał się po dachem. Tygrysy wstały i zmierzyły ich spojrzeniem nieubłaganych oczu. Ich łańcuchy wciąż wlokły się po ziemi, a kocie łby były tak blisko siebie, że ich wąsy niemalże splatały się ze sobą. Trudno było też powiedzieć, z której gardzieli wydobyło się owo warknięcie, które wypełniło ganek długim, głuchym echem. Warknięcie zbudziło czuwające nieopodal malutkie dziecko odzwiernego, które porwało za korbę łańcuchów i odciągnęło tygrysy od krat.

- Dziecko - odezwał się Stephen - wyjaw mi, jak zwą się te bestie.

- Ojciec wszystkich ubogich, ich imiona to Prawda i Kłamstwo. Są tu od niepamiętnych czasów, były już w tym portyku, nim się urodziłem.

- Mimo, że ich terytoria nachodzą się?

- *Maharadz*, mój rozum nie pojmuje słowa „nachodzą”, lecz bez wątplenia jest tak, jak mówisz.

- Dziecko, weź tę monetę.

Zapowiedziano przybycie Stephena.

- Jest tu znowu ten uzdrowiacz - oznajmiła lady Forbes, patrząc na Stephena i osłaniając ręką twarz od słońca. - Musisz przyznać, że ma on pewien styl, bywał już w dobrych towarzystwach, lecz ja nigdy nie ufam tym półkastowcom. Dzień dobry panu! Dobrze, że pan tu jest, oni darli ze sobą koty tak, że przez Dianę pewnie sama mogłabym wypełnić dół w ziemi łzami, gdyby mi tylko jakieś pozostały... Piję właśnie herbatę, może ma pan ochotę na filiżaneczkę? Dolewam do herbaty dzinuu, wie pan, to jedyna ochrona przed tą potworną wilgocią. Kumar! Gdzie się podział ten czarny sodomita? Jeszcze jedną filiżankę! A zatem pochowaliście biednego pana Stanhope'a? Cóż, każdego z nas kiedyś to czeka, jedynie to mnie pociesza. Boże, jak młodo ludzie tutaj umierają! Panna Villiers zejdzie do nas za chwilę. Może naleję panu filiżankę i pójdę na górę, by jej pomóc się ubrać? *Ona tam leży naga ze spotniałą skórą, chłodzoną wachlarzem. Na pewno sam byś chciał pójść na górę i jej pomóc, młody człowieku, przez swe żądze ledwie w miejscu możesz ustać! Nie mów mi, iż takowych nie masz. Ha, jestem starą, zgorzkniałą kobietą, ale kiedyś też byłam młodą dziewczyną, niestety, niestety!*

- Stephen, mój zwycięski bohaterze! - Diana niespodziewanie sama weszła do pokoju. - Jakże się cieszę, że znowu cię widzę! Gdzieś ty się podziewał przez te wszystkie dni? Nie odebrałeś mojej wiadomości? Usiądź, proszę, i zdejmij już ten płaszcz! Jak ty możesz nosić coś tak grubego w ten przeklęty upał? My tu wychodzimy z siebie, rozdrażnieni tą duchotą, a ty tu

stoisz, jakby ci jeszcze było chłodno! Ależ ja ci zazdrozczę... Ten słoń na zewnątrz to twój? Każę go natychmiast zaprowadzić w cień, nie wolno trzymać słońca na słońcu!

Diana zawołała służącego, który okazał się niezbyt pojętnym człowiekiem. Musiała powtórzyć polecenie, uderzając w wysoki, dobrze znany Stephenowi ton.

- Kiedy ujrzałam zbliżającego się podjazdem słońca - powiedziała, znów się uśmiechając - już myślałam, że to ten nudziarz Johnstone. Wciąż tu przyjeżdża. Tak naprawdę nie do końca jest nudziarzem, w rzeczywistości całkiem ciekawy z niego człowiek. To Amerykanin, polubiłbyś go. Spotkałeś kiedyś jakiegoś Amerykanina? Ja też nie. Ten jest bardzo kulturalnym człowiekiem, te opowieści o ich pluciu na podłogę to same bzdury. Jest też niezwykle bogaty, lecz jego wizyty są uciążliwe przez te jego przekłete, nie kończące się przedstawionka. Często wprawia mnie w zażenowanie bądź zakłopotanie. Przy tej pogodzie, kiedy to zalewasz się potem przy najdrobniejszym ruchu, urządzenie scenek obyczajowych to doprawdy zły pomysł. Każdy dostaje białej gorączki w tym upale. Dlaczego przyjechałeś tu na słońcu, Stephen, ubrany w ten kwiecisty płaszcz?

Nawet człowiek, który na temat morfologii wiedział o wiele mniej niż Stephen, dostrzegłby, że poza suknią Diana nie miała na sobie nic więcej. Spojrzał ku oknu, marszcząc nieco brwi. Chciał zachować czysty umysł na tę chwilę.

- Słoń jest tu symbolem splendoru i pewności - powiedział. - A ja przez ostatnie tygodnie, właściwie od chwili, gdy okręt odbił od wybrzeży Sumatry, zauważyłem w swym spojrzeniu sporo głęboko zakorzonego, wciąż przybierającego na sile, niepokoju. Widzę to wyraźnie, kiedy się gołę. Czuję też ból w tych częściach ciała, którymi umiem wyrażać myśli - w głowie, szyi, ramionach. Badam się sam od czasu do czasu i wciąż stwierdzam, że jest to rezultat wrodzonego, nienazwanego, ogólnego lęku, czy może nawet strachu. Staram się to stłumić i chwilami znów wyglądam na człowieka radosnego, bystrego, nawet pewnego siebie, lecz mój strach nigdy mnie nie opuszcza na dłużej. Pamiętasz zapewne, że kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, poprosiłem, byś uczyniła mi zaszczyt i wyszła za mnie.

- Pamiętam, Stephen! - zawołała Diana, rumieniąc się. Nigdy dotąd nie widział jej rumieńca i głęboko go to poruszyło. - Oczywiście, że pamiętam! Dlaczego ty nie powiedziałeś tego dawno temu, na przykład w Dover? Wszystko mogłoby się inaczej potoczyć! - Porwała wachlarz ze stołu i wstała, wachlując się szybkimi, nerwowymi ruchami. - Boże, jak gorąco - powiedziała, a wyraz jej twarzy nagle się zmienił.

- Dlaczego zwlekałeś aż do dziś? Z mojej reputacji zostało tak niewiele, że każdy człowiek powie ci, iż czynisz rzecz szaloną. W rzeczy samej, gdybym nie darzyła cię tak wielką sympatią, a jesteś dla mnie przyjacielem, którego kocham, nazwałabym twoje zachowanie impertynencją. Wręcz afrontem. Żadna kobieta nie daruje takiego afrontu, obojętnie jaki ma temperament. Ale ja... Ale ja przecież siebie nie poniżyłam... - Na jej podbródku pojawiła się bruzda, lecz opanowała to i ciągnęła. - Nie mogłam upaść aż tak... - Naraz jej duma prysnęła i po policzkach szybko popłynęły łzy. Oparła głowę o jego ramię, a łzy jeły spływać na jego płaszcz, w kwitnące kwiaty. - Mimo wszystko - powiedziała, łkając - tak naprawdę nie chcesz mnie poślubić. Sam mi powiedziałeś jakiś czas temu, iż nie o to chodzi, by ustrzelić lisa, lecz by go gonić.

- Co pan, do licha ciężkiego, wyprawia, sir! - ryknął niespodziewanie Canning przez otwarte drzwi.

- A co to pana obchodzi? - odparł Stephen ostrym tonem.

- Pani Villiers jest pod moją opieką! - Canning był błądliwy z wściekłości.

- Nie będę się tłumaczył z całowania kobiety przed żadnym mężczyzną z wyjątkiem jej męża!

- Ach, nie?

- Nie, drogi panie. A jak daleko właściwie rozciąga się pańska opieka? Wie pan równie dobrze jak ja, iż pani Canning pojawi się tu szesnastego, na pokładzie statku „Hastings”. Co zatem oznacza pańska opieka? Co to za osobliwy rodzaj troski?

- Czy to prawda, Richard?! - krzyknęła Diana. Canning poczerwieniał.
- Grzebałeś w moich papierach, Maturin. Twój człowiek Atkins grzebał w moich papierach! - Postąpił jeszcze krok i z furią uderzył Stephena w twarz.

Diana zareagowała natychmiast - popchnęła stolik między obu mężczyzn, po czym odepchnęła Canninga.

- Nie przejmuj się tym, Stephen! - krzyczała. - On nie chciał! To ten upał! Jest pijany! On cię przeprosi! Natychmiast wyjdź z tego domu, Canning. Co ty sobie myślisz? Co mają oznaczać takie wulgarne zaczepki? Co, jesteś może urażonym panem młodym? Jesteś żałosny!

Stephen stał z dłońmi splecionymi za plecami. Jego twarz była śmiertelnie blada, z wyjątkiem miejsca zaczerwienionego po ciosie Canninga.

Canning, już przy drzwiach, porwał za krzesło i uderzył nim o ziemię, rozerwał ocalałe oparcie, odrzucił je i wybiegł.

- Stephen, proszę, nie przejmuj się tym - krzyknęła Diana. - Nie walcz z nim! Nie walcz! On cię przeprosi, z pewnością cię przeprosi! Obiecuj, że nie będziesz się z nim bił! On naprawdę cię przeprosi!

- Możliwe, moja droga - odparł Stephen. - Nieźle się wpakował. - Otworzył okno. - Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym opuścić twój dom w ten sposób. Nie do końca ufam twoim tygrysom.

- Kapitanie Etherage - powiedział Stephen - czy wyświadczyłby mi pan przysługę?

- Z największą przyjemnością. - Żołnierz odwrócił swą zaczerwienioną, łagodną twarz od luku, skąd bezskutecznie oczekiwał powiewów świeżego powietrza.

- Wydarzyło się dziś coś, co mnie głęboko wzburzyło. Chciałbym pana prosić o zawitanie do rezydencji pana Canninga z oświadczeniem, iż domagam się satysfakcji za to, że mnie dziś uderzył.

- Uderzył pana? - wykrzyknął Etherage, a na jego twarzy błyskawicznie pojawił się wyraz głębokiej troski. - Och, na Boga! Nie usatysfakcjonują pana publiczne przeprosiny? Lecz zaraz... Canning, pan powiedział? Czy to aby nie Żyd? Nie musi pan przecież walczyć z Żydem! Nie wolno panu narażać życia w walce z kimś takim. Niech tylko pan każe, a moi żołnierze skopią jego niewierny tyłek i napchają mu bekonu w gardło!

- Postrzegamy sprawę na dwa różne sposoby - odparł Stephen. - Jestem gorliwym sługą Naszej Pani, która przecież była Żydówką i nie dostrzegam wyższości naszego narodu nad Jej. Poza tym, to osobista sprawa i za nic nie odstąpię od walki z tym człowiekiem!

- Czyni mu pan zbyt duży zaszczyt! - Etherage'a wyprowadziła z równowagi odpowiedź doktora. - Lecz to pańska sprawa i pan tu decyduje. Nie wolno puścić uderzenia płazem, lecz z drugiej strony, konieczność walki z kupcem, to jakby zostać zmuszonym do poślubienia służącej, bo się jej zrobiło dziecko. Może wolałby pan stoczyć pojedynek z kimś w jego zastępstwie? Nie? Cóż, nałożę zatem mój mundur. Nie zrobiłbym tego dla kogokolwiek innego, panie Maturin, nie w tym przeklętym upale. Mam nadzieję, że Canning znajdzie sekundanta, który się wyznaje w tych sprawach, jakiegoś chrześcijanina najlepiej.

Zniechęcony i zmartwiony Etherage wszedł do swej kajuty i wyłonił się ponownie odziany w czerwoną kurtkę mundurową, już wilgotną od potu, i w drzwiach wykonał ostatnią próbę wpłynięcia na Stephena:

- Jest pan pewien, że nie chce pan stoczyć pojedynku z kimś innym? Z jakimś gapiem, który widział owo uderzenie?

- To nie dałoby tego samego efektu. - Stephen pokręcił głową. - Ach, panie Etherage, jeszcze jedno. Mogę oczywiście liczyć na pana dyskrecję.

- Och! - zachnął się Etherage. - Rozumiem, że chce pan stoczyć walkę najwcześniej jak to możliwe? Może być świt?

Kapitan odszedł korytarzem, mamrocąc pod nosem: „Uparty dureń... Nie słucha rozsądnych rad...”

- O co chodzi z naszym homarem*? - spytał wchodzący do mesy Pullings. - Nigdy jeszcze nie widziałem go tak wściekłego. Na mózg mu padło od upału?

* Homar - żołnierzy piechoty morskiej zwano homarami ze względu na charakterystyczne czerwone mundury.

- Wieczorem mu przejdzie.

Już po swoim powrocie Etherage sprawiał wrażenie spokojniejszego i niemalże zadowolonego.

- Cóż, przynajmniej ma kilku wysoko postawionych przyjaciół - powiedział. - Rozmawiałem z pułkownikiem Burke, pozostającym na służbie Kompanii. Dobrze ułożony człowiek, dokładnie o takiego mi chodziło i uzgodniliśmy, że pojedynek odbędzie się na pistolety z odległości dwudziestu kroków. Mam nadzieję, że odpowiada to panu?

- Oczywiście. Jestem panu głęboko zobowiązany, panie Etherage.

- Pozostaje mi jeszcze tylko obejrzeć miejsce pojedynku. Uzgodniliśmy, że spotkamy się z panem pułkownikiem po zebraniu głównej komisji prawniczej Kompanii, kiedy będzie już chłodniej.

- Och, niech już się pan tym nie kłopotczy, panie Etherage! Zadowolili mnie każdy plac

- Nie, nie. - Zmarszczył brwi Etherage. - Nie ścierpię niedopatrzeń czy nieprzepisowości w takiej sprawie jak ta. Sprawa będzie mocno podejrzana, jeśli sekundanci nie obejrzą miejsca pojedynku!

- Jest pan zbyt uprzejmy! Przygotowałem panu trochę mrożonego ponczu, wypije pan szklaneczkę?

- I, jak widzę, przygotował pan też pistolety - powiedział Etherage, ruchem głowy wskazując otwarte pudło. - Zalecam szczególnie starannie podsypać prochu, zresztą, panu nie trzeba nic takiego mówić. Poncz jest doskonały. Do końca życia chciałbym taki popijać.

Stephen wszedł do kabiny kapitańskiej.

- Jack - oznajmił. - Minęły już wieki, odkąd muzykowaliśmy razem. Co powiesz na małą sesję dziś wieczór, chyba że jesteś zbyt zajęty twoimi pacholkami i zapadkami kabestanu?

- A więc pojawiłeś się na pokładzie, śliweczko moja? - Jack z rozpromienioną twarzą spojrzał nań znad raportów bosmana. - Mam dla ciebie wspaniałe wieści. „Suprise” ma przewieźć drogocenny ładunek, a fracht wydobędzie mnie z długów.

- Co to jest ten fracht?

- Po prostu pozbycie się długów.

- To świetna wieść! Ha, ha, niechże ci pogratuluję, cieszę się z całego serca. Ale mnie zaskoczyłeś!

- Potem wyjaśnię ci to wszystko dokładnie z liczbami i w ogóle, jak tylko skończę te sprawozdania. Ach, niech szlag trafi robotę papierkową na dziś. Masz ochotę na jakiś szczególny utwór?

- Może Boccherini C-dur?

- Pewnie! Słuchaj, to dziwne, ale to adagio chodziło mi po głowie od godziny, choć nie jestem dziś w melancholijnym nastroju. Ha, daleko mi od tego! - powiedział, przecierając smyczek kalafonią. - Ach, Stephen, skorzystałem z twojej rady. Napisałem do Sophie, by przybyła na Maderę. Canning wysła list kurierem lądowym.

Stephen pokiwał głową i uśmiechnął się, nućąc, chwycił właściwy rytm i odnalazł go na swojej wiolonczieli. Dostroili instrumenty, skinęli głowami, trzy razy stuknęli obcasami w podłogę, każdy ze wzrokiem wlepionym w smyczek przyjaciela i uderzyli w pierwsze przepiękne i podnoszące na duchu takty.

Ciągnęli melodię w nieskończoność, zagubieni w wygrywanych przez siebie rytmach, wplątani w cudowną złożoność melodii. Ciągnęli nastrojowe adagio, po czym uderzyli z ogniem i pasją aż do granic swych możliwości i dobrnęli do majestatycznego, tryumfalnego zakończenia.

- Na Boga, Stephen - powiedział Jack, opierając się na krześle i ostrożnie odkładając skrzypce
- nigdy tak dobrze nie graliśmy.

- To wspaniały utwór i głęboko podziwiam jego twórcę. Posłuchaj, Jack, mam tu kilka dokumentów, które chciałbym ci powierzyć. Wiesz, zwyczajowe sprawy. Wczesnym rankiem mam pojedynek z Canningiem.

Atmosfera natychmiast zgęstniała, tłumiąc między nimi wszelkie słowa poza najbardziej formalnymi.

- Kto jest twoim sekundantem? - spytał Jack po chwili milczenia.

- Etherage.

- Pójdę z tobą. To stąd ta twoja treningowa strzelanina na pokładzie rufowym, jasne. Czy nie będzie ci przeszkadzało, jeśli wpierw z nim pomówię?

- Nie, w zupełności nie. Nie ma go teraz jednak, poszedł do budynku obrad komisji prawnej, chce obejrzeć miejsce pojedynku z pułkownikiem Burke po imprezie. Nie zamartwiaj się o mnie, Jack, jestem przyzwyczajony do tego typu wydarzeń. Rzekłbym, że nawet bardziej niż ty.

- Och, Stephen! - powiedział Jack. - Cóż to za potworne, mroczne zakończenie tak wspaniałego dnia.

- W Kalkucie z reguły tu załatwiamy nasze sprawy - pułkownik Burke prowadził ich przez oświetlony blaskiem księżyca Majdan. - Biegnie tu droga do mostu prowadzącego do Alipuru, widzicie, jest bardzo blisko, a dzięki tym drzewom teren jest osłonięty.

- Pułkowniku - powiedział Jack - o ile dobrze rozumiem, obraza nie nastąpiła w miejscu publicznym. Myślę, że jakiegokolwiek wyrażenie skruchy przez Canninga mogłoby rozwiązać sprawę. Żywię wielki szacunek dla pańskiego zwierzchnika i mówię te słowa z troski o niego. Proszę, uczynimy wszystko, co w naszej mocy, gdyż mój człowiek jest niezwykle groźnym przeciwnikiem.

Burke przyjrzał się mu uważnie.

- Pan Canning również - powiedział urażonym tonem. - W Hyde Parku ustrzelił Harlowa jak ptaka. Jednak nawet gdyby nie był tak skuteczny w walce na pistolety, nie oznaczałoby to nic. Canning nie pragnie ugody, wiem to dobrze. Nie byłoby mnie tu, gdyby było inaczej. Oczywiście, jeśli pański człowiek zdecyduje się z godnością przyjąć ów cios i nadstawić drugi policzek, nie mam nic więcej do powiedzenia. Niech będą błogosławieni ci, którzy niosą pokój. Jack opanował się. Nie było wielkiej nadziei na przeniknięcie głupoty Burke'a, lecz mimo to kontynuował.

- Canning z całą pewnością był pijany! Wystarczy publicznie stwierdzić ten fakt w najbardziej ogólnikowy sposób! Z pewnością usatysfakcjonuje to moją stronę, jestem gotów użyć mego autorytetu, by tak się stało!

- I uwięzi go pan we własnej kajucie? Cóż, w marynarce macie swoje sposoby, jak widzę. U nas to nie przejdzie. Przekażę pańską propozycję, rzecz jasna, lecz nie odpowiadam za rezultat. Nigdy jeszcze nie miałem zwierzchnika bardziej zdecydowanego, by dać satysfakcję w sposób ustalony tradycją.

W swoim pamiętniku Stephen napisał:

„W bardzo wielu przypadkach pamiętnikarz może wierzyć, że adresuje swe słowa do siebie samego w przyszłości, lecz prawdziwą istotą prowadzenia pamiętnika jest pisanie dla samego pisania, czego dobrym przykładem może być ten zapis. Dlaczego tak bardzo przejmuję się jutrzejszym spotkaniem? Bywałem już przecież w takiej sytuacji wiele, wiele razy. To prawda, że moje dłonie nie są już tym, czym były kiedyś, a starzejąc się, tracę gdzieś owo całkowicie nielogiczne, lecz głęboko zakorzenione przeświadczenie o własnej nieśmiertelności. Prawda jest jednak taka, że teraz, w tym momencie, mam bardzo dużo do stracenia. Mam oto stoczyć walkę z Canningiem. Nie udało się tego uniknąć i wielce tego żałuję. Nie czuję wrogości w stosunku do niego i nie sądzę, by on sam, jakkolwiek w chwili obecnej jest wyprowadzony z równowagi i bez wątplenia będzie starał się mnie zabić, czuł jaką wrogość do mnie, choć z

pewnością jestem katalizatorem jego nieszczęścia. Jeśli o mnie chodzi, będę się starał, *sub Deo*, zranić go w ramię, nic ponad to. Drogi pan White nazwałby zapewne moje *sub Deo* wielkim świętokradztwem i kusi mnie, by spisać kilka moich uwag w tej kwestii, lecz *peccavi nimis cogitatione verbo, et opere*. Muszę znaleźć mojego księdza i szybko położyć się spać. Sen to najlepsze lekarstwo, sen wycisza umysł".

Ze snu, na który złożyły się jednak szybko zmieniające się, oderwane od siebie koszmary, wyrwał go Jack, zaraz gdy dzwon okrętowy wybił dwie szklanki wachty porannej. Ubierając się, słyszeli Babbingtona na pokładzie, śpiewającego półgłosem *Lovely Peggy*. Głos młodego oficera był równie radosny jak blask wstającego dnia.

Po wyjściu z kabiny powitał ich smród znad Hugli i jej nie kończących się mokradel. W korytarzu stali już Etherage, M'Alister i Bonden.

Druga grupa, złożona z Canninga, dwóch jego przyjaciół, chirurga i kilku mężczyzn, którzy mieli wyznaczyć teren, oczekiwała w milczeniu pod świętymi figowcami na opustoszałym placu. W oddali stały dwa zamknięte powozy.

- Dzień dobry panom. - Burke wystąpił naprzód. - Jak wiadomo, w tej sprawie nie może dojść do ugody. Panie Etherage, jeśli pan również uważa, iż nasi interesanci mają wystarczająco dużo światła, proponuję ich rozstawić, chyba, oczywiście, że pański zechciałby się wycofać.

Canning miał na sobie czarny płaszcz, zapięty wysoko ponad żabotem. W czystym powietrzu wstającego dnia dobrze było widać jego powagę i opanowanie, lecz pobrużdżona twarz pozbawiona była kolorów i sprawiała wrażenie starej.

Stephen zdjął płaszcz, a po nim koszulę i złożył ją starannie.

- Co robisz? - wyszeptał Jack.

- Zawsze walczę tylko w bryczesach. Płótno w ranie bardzo komplikuje obrażenia, mój drogi. Sekundanci wyznaczyli krokami stanowiska dla nich obu, po czym sprawdzili pistolety i rozmieścili ludzi. Podjechał trzeci, zamknięty powóz.

Z chwilą, kiedy Stephen poczuł w dłoni doskonale znaną mu rękojeść pistoletu i dobrze wyważony ciężar broni, jego twarz zaczęła wyrażać absolutny chłód. Blade oczy śledziły z bezosobową, złowrogą intensywnością postać Canninga, który zajął właśnie stanowisko z prawą stopą wysuniętą nieco naprzód i ciałem ustawionym bokiem. Ludzie stali nieruchomo, cisi, skoncentrowani niczym podczas wypełniania sakramentu.

- Panowie - odezwał się Burke. - Na mój sygnał możecie otworzyć ogień.

Ramię Canninga skoczyło ku górze. Patrzący wzdłuż lśniącej lufy Stephen ujrzał blask wystrzału i natychmiast zdjął palec ze spustu. W tym samym momencie potężne uderzenie w bok i w poprzek klatki piersiowej omal nie zważyło go z nóg. Stephen zatoczył się, przerzucił wciąż nabity pistolet do drugiej dłoni i zmienił pozycję. Dym rozwiął się już i ujrzał sylwetkę Canninga wyraźnie, z wysoko uniesioną głową, zadartą na modłę rzymskich cesarzy. Lufa jego pistoletu znalazła się na wprost jego ciała, zawahała lekko i znieruchomiła. Stephen wystrzelił. Canning runął na ziemię, dźwignął na kolana, wołając o drugi pistolet, lecz upadł znowu. Otoczyli go przyjaciele.

Stephen odwrócił się.

- Wszystko w porządku, Stephen? - nadbiegło skądś pytanie.

Pokiwał głową, wciąż spokojny i twardy jak zawsze, po czym odezwał się do M'Alistera:

- Proszę podać mi ten bandaż.

Oczyścił swą ranę, podczas gdy pan M'Alister badał ją uważnie.

- Kula odbiła się od trzeciego żebra - mruzczał - i łamiąc je, utkwiała przy mostku, fatalna lokalizacja. Chciał pana zabić, psi syn. Pomogę panu założyć opatrunek.

Stephen patrzył już jednak w stronę grupki jego przeciwnika i czuł, jak jego serce staje się bryłą lodu. Złowrogie, bezlitosne spojrzenie zniknęło naraz, zastąpione bezgranicznym smutkiem.

Ciemna kałuża krwi, zamierająca pod nogami ludzi wokół Canninga mogła oznaczać tylko jedno.

M'Alister, trzymając jeden koniec bandaża między zębami, zerknął w ślad za nim i pokiwał głową.

- *Subclavian* lub sama aorta - wymamrotał przez płótno. - Zamocuję ten koniec i podejść, by zamienić słowo z moim kolegą w przeciwnej drużynie.

Wracając, kiwał głową z powagą.

- Nie żyje? - spytał Etherage, patrząc niepewnie na Stephena i wahając się, czy pośpieszyć z gratulacjami. Powstrzymało go spojrzenie Stephena przepełnione całkowitym przygnębieniem. Kiedy Bonden wyjmował ładunek z drugiego pistoletu i umieścił oba w pudle, Etherage podszedł do Burke'a. Obaj wojskowi wymienili kilka słów, zaszalutowali oficjalnie i obaj ruszyli w swoją stronę.

Na placu zaczynał się z wolna ruch, a wschodnie niebo już się rumieniło.

- Musimy natychmiast zawieźć go na pokład - powiedział Jack. - Bonden, dawaj powóz!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Klatka z tygrysami zniknęła, a służący wynosili rzeczy na zewnątrz.

- Dzień dobry pani! - Do pokoju wszedł Jack. Diana dygnęła. - Przynoszę list od Stephena.

- Och! - wykrzyknęła. - Jak się czuje?

- Kiepsko z nim. Ma wysoką temperaturę, a kula tkwi w jego ciele. W tym klimacie zaś... Cóż, pani wie wszystko o gojeniu ran w tym klimacie.

Jej oczy zaszklily się łzami. Spodziewała się po Jacku oschłości, lecz nie chłodnego gniewu.

Był wyższy, niż go sobie zapamiętała, potężniejszy i groźniejszy. Chłopięce rysy twarzy zniknęły na dobre, jego wzrok był teraz twardy i rozkazujący, a jedyną rzeczą, którą rozpoznała z dawnych lat, były jasne włosy splecione teraz w warkoczyk. Nawet jego mundur się zmienił, w końcu służył teraz w randze kapitana.

- Proszę o wybaczenie, Aubrey - powiedziała i otworzyła list, na który składały się trzy napisane z trudem, nierówne linijki.

„Diano - pisał Stephen - musisz wrócić do Europy. »Lushington« wypływa czternastego. Pozwól, bym ja się zajął wszelkimi formalnymi sprawami. Zawsze na mnie polegaj. Zawsze, Diano”.

Wolno czytała te słowa i zaczęła jeszcze raz, choć teraz łzy zamazywały jej widok. Jack stał odwrócony i spoglądał przez okno z dłońmi splecionymi na plecach. Był rozwścieczony i zde gustowany samym faktem, że musi tu być, lecz jego myśli wypełniał nieustający potok pytań i wątpliwości, których nie umiał nazwać. Nie uznawał pojęcia „słuszność”, z wyjątkiem sytuacji zaniedbania obowiązków podczas służby na morzu lub naruszenia dyscypliny obowiązującej w marynarce. A teraz... Czyżby był takim skończonym łajdakiem, by żywić wrogość do kobiety, o wdzięki której kiedyś się starał, łotrem, który miałby pielęgnować przepełniającą go od stóp do głów oschłość? Czy nie była to ohydna hipokryzja, przez którą każdy poczciwy, przyzwoity człowiek miał go potępić? Przecież starając się o wdzięki Diany, o mały włos zniszczyłby sobie karierę - a ona wybrała Canninga. A może owo przepełniające go święte oburzenie było niczym więcej jak tylko nędzną niechęcią? Nie, to nie tak - Diana bardzo mocno zraniła Stephena, a Canning, przyzwoity człowiek, stracił przez nią życie. Nie była dobrą kobietą, ani trochę, a jednak ów pojedynek pod drzewami mógł mieć na celu obronę czci najcnotliwszej kobiety na świecie. Cnota... Zastanowił się nad znaczeniem tego słowa, obserwując ledwie widoczną sylwetkę jeźdźca na koniu migającą między drzewami. Jej „cnotę” oskarżał ze wszystkich swoich sił, lecz jak na jej tle prezentował się on sam? Popularne stwierdzenie: „mężczyźni są inni” nie stanowiło dla niego pociechy. Jeździec znów stał się widoczny, a jego rumak wydał mu się najpiękniejszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek widział. Była to klacz o kasztanowej sierści i doskonałej budowie, zwierzę lekkie, a zarazem silne i wytrzymałe. Koń zatrzymał się na widok węża na drodze i cofnął z gracją, a siedzący prosto w siodle jeździec poklepywał jego szyję. Cnota... Ze wszystkich cnót najbardziej cenil

odwagę i wydawało mu się, że właśnie w pojęciu odwagi kryły się wszystkie inne. Spojrzał teraz na trupioblade odbicie Diany w szybie okiennej - tak, odwagi miała mnóstwo, w to nie wątpił. Stała za nim, wyprostowana, tak szczupła i gibka, iż naraz zdało mu się, że mógłby jedną ręką ją złamać. Na jej widok niespodziewanie obudziły się w nim czułość i podziw, uczucia, o których myślał, że dawno w nim obumarły.

- Pan Johnstone - zaanonsował służący.

- Powiedz mu, że nie ma mnie w domu. Jeździec odjechał.

- Aubrey, zabierzesz mnie do domu na pokładzie swego okrętu?

- Nie, proszę pani. Przepisy nie pozwalają na to, a okręt w żadnym wypadku nie jest przystosowany do przewożenia dam. Poza tym przede mną jeszcze z miesiąc czy nawet więcej remontu.

- Stephen prosił mnie o rękę. Mogłabym się nim opiekować.

- Niezmiernie mi przykro, lecz rozkazy nie pozwalają mi na ustępstwo w tej sprawie. Ale „Lushington” wypływa za tydzień i będę szczęśliwy, jeśli do tego czasu moja pomoc na coś się przyda.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś słabym człowiekiem, Aubrey - powiedziała, w jej wzroku rozbliły pogarda. - Ale nie wiedziałam, że jesteś łajdakiem. Jesteś dokładnie taki, jak wszyscy mężczyźni, których poznałam, poza jednym Maturinem - fałszywy, słaby, a na domiar tchórz. Jack uklonił się i starając się zachować spokój, wyszedł z pokoju. W drodze powrotnej minął kucharza, popychającego ręczny wózek wyładowany mosiężnymi garnkami i rondlami.

- Czy naprawdę jestem łajdakiem? - zapytał sam siebie, a pytanie prześladowało go aż do Howrah, gdzie kotwiczyła fregata. W chwili, kiedy ujrzał wysoki grotmaszt okrętu, strzelający wysoko między masztami innych statków, przyśpieszył kroku i ruszył biegiem przez trap, mijając oczekujących go oficerów i wbiegając pod pokład.

- Killick - powiedział - dowiedz się, czy pan M'Alister jest zajęty przy doktorze. Jeśli nie, to przekaż mu, iż chce się z nim zobaczyć.

Stephen leżał w wielkiej kabinie, najlepiej nasłonecznionym i chłodzonym pomieszczeniu na okręcie. Panował tam teraz spory ruch - z pomieszczenia wyszedł M'Alister z rysunkiem w dłoni, za nim opuścili kabinę bosman, cieśla i kilku ich pomocników. M'Alister wyglądał na zaniepokojonego.

- Jak się czuje? - spytał Jack.

- Temperatura jest zbyt wysoka - powiedział M'Alister. - Przypuszczam jednak, że spadnie, gdy wyciągniemy kulę. Jesteśmy prawie gotowi do operacji, ale kula naprawdę siedzi mocno.

- Czy Maturin nie powinien być zabrany do szpitala? Miejscowi chirurdzy mogą panu pomóc. Nasze możemy przygotować w okamgnieniu.

- Sugerowałem to, rzecz jasna, lecz po odnalezieniu kuli tuż pod osierdziem, spłaszczonej i spazzonej... Sam pan rozumie. Zresztą sam doktor ma złą opinię o chirurgach wojskowych i miejscowym szpitalu. Niecałe pół godziny temu przysłali gońca z pytaniem, czy aby nie potrzebujemy ich pomocy, i przyznam, że przyjąłbym ją z otwartymi rękami. Doktor jednak nalega na przeprowadzenie operacji samemu, a nie ośmielę się mu sprzeciwić. Proszę wybaczyć mi teraz, ale zbrojmistrz pokładowy przygotowuje właśnie ekstraktor, który doktor Maturin samodzielnie zaprojektował.

- Mogę się z nim zobaczyć?

- Tak, proszę tylko go nie niepokoić.

Stephen leżał na rzędzie kufrów pokrytym płótnem żaglowym z plecami wspartymi o płócienną matę. Nad nim, tam gdzie było najlepsze nasświetlenie, przy użyciu całego systemu lin i bloków zawieszono wielkie lustro, w którym odbijała się naga klatka piersiowa Maturina. Tuż obok, w zasięgu ręki, stał kryty płótnem stół z bandażami i całą kolekcją instrumentów chirurgicznych, między innymi chwytaki, ekstraktory i szczypce różnego rodzaju.

- Byłeś u niej? - spytał Stephen, spojrzawszy na Jacka.

- Tak.
- Jestem ci bardzo wdzięczny, że zdecydowałaś się tam pójść. Jak się miewa?
- Jakoś się trzyma. Dobrze wiesz, jak ciężko ją złamać. Stephen, a jak ty się czujesz?
- Co miała na sobie?
- Na sobie? No, jakąś suknię miała, przypuszczam. Nie zwróciłem uwagi.
- Nie czarną?
- Nie. Taką bym zauważył. Stephen, wyglądasz na cholernie rozgorączkowanego! Może odsunę świetlik, byś miał więcej powietrza?

Stephen potrząsnął głową.

- Pewnie mam temperaturę, lecz nie jest na tyle wysoka, by w jakimkolwiek stopniu zaćmić umysł. Bredzić w malignie zacznę dopiero później. Czy Bates nie może się pośpieszyć z moim nowym chwytakiem?

- Czy pozwolisz mi na przyprowadzenie lekarza z Fort William, by asystował przy zabiegu? Mógłbym go ściągnąć w pięć minut!

- Nie. Przeprowadzę operację sam. - Krytycznie przyjrzał się swoim dłoniom. - Jeśli potrafiły podolać jednemu zadaniu, muszą i z drugim dać sobie radę. Sprawiedliwości stanie się zadość. M'Alister wrócił do kabiny, trzymając dopiero co wykonany przez zbrojmistrza długi instrument z małymi szczękami. Stephen ujął go we własne ręce, porównał wygięcie z narkreślonym na projekcie i uruchomił chwytak.

- Sprytnie wykonane. Całkiem zgrabne, podoba mi się. Panie M'Alister, zacznijmy zatem. Proszę zawołać Cholesa, jeśli jest trzeźwy.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? - spytał Jack. - Bardzo chcę się na coś przydać! Może potrzynam basen lub będę podawał opatrunki?

- Możesz zająć miejsce Cholesa, jeśli nalegasz, i trzymać mój brzuch, uciskając go mocno na mój znak. Jesteś pewien, że głowa i żołądek nie odmówią ci posłuszeństwa? Dobrze znosisz widok krwi? Wiesz, Choles był rzeźnikiem...

- Niech cię Bóg błogosławi, Stephen, już jako dziecko widziałem krew i rany! Widział w życiu wiele krwi, lecz nigdy dotąd nie obserwował nacięć wykonywanych celowo i z zimną krwią przez wolno poruszający się skalpel, poszukujący kuli w ciele rannego. Pochylony mocno nad brzuchem Stephena, gdyż nie chciał mu zasłaniać lustra, wzdrygał się teraz, słysząc zgrzyt piłki chirurgicznej o kość żyjącego człowieka, pracującej zaledwie kilka cali od jego ucha.

- Będzie pan musiał podnieść zebro, panie M'Alister - szeptał Stephen. - Proszę je mocno uchwycić kleszczami o kwadratowym zakończeniu. I w górę, mocniej, mocniej. Niech pan odetnie tę chrząstkę! - Metaliczne zgrzytnięcia nożyc instrumentów i po nich polecenia, szybkie, następujące raz za razem skrobanie, brutalność obchodzenia się z żywym organizmem przechodziła wszystko, czego oczekiwał. Operacja ciągnęła się i ciągnęła w nieskończoność.

- Teraz, Jack. Mocny ucisk ku dołowi. Dobrze. Tak trzymaj. Proszę podać mi ten nowy chwytak. Panie M'Alister, proszę założyć tampon. Uciskaj, Jack, uciskaj!

Głęboko w pulsującej jamie Jack pochwycił błysniecie kawałka ołowiu, które natychmiast zniknęło wśród krwi. Długi instrument zanurzał się coraz głębiej w ranę. Jack zacisnął powieki. Stephen wciągnął głęboko powietrze w płuca i wstrzymał oddech, wyginając jednocześnie plecy w łuk. W absolutnej ciszy jedynym słyszalnym odgłosem było tykanie zegarka M'Alistera. Rozległo się chrząknięcie bólu, a potem głos Stephena:

- Mam ją. Bardzo spłaszczona. Panie M'Alister, jest w całości?

- W całości! Na Boga, cała! Ani okrucz nie został w ranie! Och, cóż za precyzja!

- Teraz powoli, Jack. Ostrożnie z kleszczami, panie M'Alister. Jeszcze kilka tamponów i może pan zacząć szyć. Nie, powoli. Proszę najpierw zająć się kapitanem, podczas gdy ja oczyszczę ranę. Niech mu pan poda amoniak i nisko ułoży głowę.

M'Alister dźwignął Jacka na krzesło. Kapitan poczuł po chwili, jak ktoś z całej siły wciska mu głowę między kolana, a ostry zapach amoniaku zaczyna penetrować jego umysł. Spojrzał w górę i ujrzał Stephena - poszarzała twarz przyjaciela lśniła od potu, ledwie przypominając ludzką, lecz mimo to dostrzegł w niej cień tryumfu. Wzrok Jacka zszedł do poziomu przeoranej klatki piersiowej Stephena, głębokiej jamy z nagimi, białymi kośćmi... W samą porę widok rany zasłoniły epatujące spokojem i znużeniem plecy M'Alistera, a w jego ruchach można było dostrzec radość ze współudziału w tryumfie. Kończyli operację z wprawą, wymieniając krótkie uwagi techniczne i naraz Jack ujrzał Stephena na nowo, z zabandażowaną piersią, umytego i rozluźnionego, rozpartego na posłaniu z półprzymkniętymi oczyma.

- Mierzył pan czas, panie M'Alister? - spytał.

- Dokładnie dwadzieścia trzy minuty.

- Dość wolno... - Jego głos osłabł. - Jack, spóźnisz się na obiad. - Znow odzyskał siłę.

Jack zaczął protestować, że powinien pozostać przy pacjencie, lecz M'Alister położył palec na ustach i na czubkach palców poprowadził go do drzwi. Na zewnątrz czatowała blisko połowa załogi, o dyscyplinie nie pamiętał już chyba nikt.

- Wyjęli kulę - oznajmił. - Panie Pullings, na pokładzie od grotmasztu po rufę ma panować absolutna cisza. Absolutna! - Po czym zniknął w drzwiach swej kajuty.

- Jest pan bardzo blady, sir! - powiedział Bonden. - Może by pan gołnął coś mocniejszego, sir?

- I będzie pan musiał zmienić kurtkę, sir - powiedział Killick. - I bryczesy.

- Boże drogi, Bonden - sapnął Jack. - On sam siebie otworzył, powoli, własnymi rękoma, prosto do serca! Widziałem, jak biło!

- Ach, po to są chirurdzy, sir! - Bonden podał mu kieliszek. - Nikogo ze starej „Sophie” to nie zaskoczy, sir. Pamięta pan tego artylerzystę? Niech pan nie pozwoli, by panu przez to obiad uciekł. Doktor będzie zdrow jak ryba, nie ma co się martwić, sir!

Obiad okazał się wspaniałą ucztą na połyskujących, złotych półmiskach i Jack połknął cały funt, może nawet dwa, potrawki z jakiegoś zwierzęcia w ognistym sosie, nie poświęcając mu ani chwili refleksji. Jego sąsiedzi przy stole zachowywali się uprzejmie, lecz po wyczerpaniu wszystkich zwyczajowych tematów porzucili dalsze próby nawiązania kontaktu. Jack w milczeniu przebrnął przez wszystkie dania, każde podlane stosownym rodzajem wina, i naraz wpadł mu w ucho fragment rozmowy dwóch cywili naprzeciwko niego. Pierwszy z nich był starym, przygłuchym sędzią w zielonych okularach, mówiący donośnym głosem, drugi zaś korpulentnym członkiem rady. W miarę jak obiad miał się ku końcowi, na policzkach obu pojawiły się rumieńce i mocno się ożywili. Tematem ich rozmowy był Canning, jego śmiała i niezależna działalność i przyczyny braku popularności.

- Z tego, co usłyszałem - rzekł sędzia - wy, panowie, będziecie skłonni obdarować zwycięzcę pojedynku parą inkrustowanych złotem pistoletów, jeśli nie złotym serwisem!

- Mnie to nie dotyczy - powiedział członek rady. - Moim polem bitwy jest Madras, lecz myślę, że znalazłoby się tutaj kilku panów, którzy nie będą ronić łez podczas pogrzebu.

- A co z kobietą? Czy to prawda, że ma się ją wydalić z miasta jako osobę niepożądaną?

Chciałbym ujrzeć wygnanie w starym, dobrym stylu, kobieta przywiązana do wozu i inne takie. Minęło już wiele lat od chwili, kiedy zaznałem przyjemności oglądania tego na własne oczy. Nie miałby pan ochoty chwycić za bicz samemu? Mądre wyrażenia typu „niepożądana osoba” mają obecnie tylko administracyjne znaczenie.

- Zona Bullera zajrzała tam, by się dowiedzieć, jak sobie radzi z niedolą, ale nie wpuszczono jej do środka.

- Na pewno jest przybita, całkiem przybita. Tego jestem pewien. Proszę mi jednak powiedzieć coś o tym połykającym ogień irlandzkim szarlatanem? Czy to prawda, że kobieta była jego... Niespodziewanie za ich plecami pojawił się adiutant i wyszeptał coś między pochylonymi ku sobie głowami.

- Co? - wykrzyknął sędzia. - Do licha, skąd mogłem wiedzieć?!

Zsunął okulary nieco niżej ku czubkowi nosa i wlepił spojrzenie w Jacka.

- Mówisz pan o moim przyjacielu Stephenie Maturinie - wycedził Jack - i żywię głęboką nadzieję, że kobieta, do której pan nawiązujesz, w żaden sposób nie jest powiązana z damą, która zaszczyca mnie i pana Maturina swoją przyjaźnią.

Ależ skąd! - zapewnili go, nie mieli najmniejszego zamiaru obrażać dżentelmena i z całego serca chcieliby uniknąć wygłoszenia jakiegokolwiek żartobliwej uwagi! Przecież nie ośmieliliby się mówić o znajomej kapitana Aubreya z brakiem szacunku, wręcz przeciwnie, sądzili, iż wypije z nimi kieliszek wina za jej zdrowie. Jack zgodził się, a wkrótce potem obaj panowie opuścili bankiet w asyście służących.

Następnego dnia Jack powitał Dianę na wyściełanym dywanikiem pokładzie rufowym ze znacznie mniejszą rezerwą, niż się spodziewała. Oznajmił, że doktor Maturin jest właśnie pogrążony we śnie, lecz gdyby życzyła sobie zejść pod pokład do pana M'Alistera, mogłaby dowiedzieć się wszystkiego na temat jego stanu zdrowia. Gdyby zaś Stephen się obudził, pan M'Alister mógłby od razu ją wprowadzić.

Posłał pod pokład wszystko, co na okręcie podchodziło pod pojęcie przekąski, lecz tego dnia Diana czekała na próżno.

- Myślę, że następna pani wizyta będzie pomyślniejsza - powiedział, gdy w końcu wyszła na pokład - lecz sen to dla niego największe błogosławieństwo. Śpi tak po raz pierwszy od długiego czasu.

- Jutro nie uda mi się wyrwać z domu, mam jeszcze tyle do zrobienia. Czy mogę go odwiedzić w czwartek?

- Oczywiście. Byłbym zobowiązany, gdyby zechciała pani przyjąć pomoc któregoś z moich oficerów. Zna pani już Pullingsa i Babbingtona. Co pani powie na Bondena jako eskortę? Te doki nie są miejscem dla samotnej damy.

- To bardzo uprzejme z pana strony. Będę wdzięczna za asystę pana Babbingtona.

- Na Boga, Braithwaite - powiedział w piątek Babbington, podwójnie ogolony i z trójgraniastym kapeluszem lśniącym od złota na głowie - nie masz pojęcia, jak ja lubię tę pannę Villiers!

- Przy niej wszyscy wyglądamy niczym dzikusy z Portsmouth Point - westchnął Braithwaite, potrząsając głową.

- Nigdy już chyba nie spojrzę na inną kobietę, jestem pewien. Zobacz, nadjeżdża! Widzę jej powóz za tymi dhow!

Podbiegł, by pomóc jej przejść po trapie i wejść na pokład rufowy.

- Dzień dobry! - powitał ją Jack. - Stephen ma się znacznie lepiej i z dumą donoszę, iż zjadł całe jajko. Ma jednak wciąż gorączkę i błagam panią, proszę uważać, by go przypadkiem nie wzburzyć czy zaniepokoić. To zalecenie pana M'Alistera, nie wolno nam go denerwować ani...

- Drogi Stephenie! - powiedziała. - Jakże się cieszę, że cię widzę! Już siadasz? Przyniosłam ci kilka owoców mango, pomagają zbić gorączkę. Lecz powiedz mi szczerze, jesteś pewien, iż czujesz się wystarczająco na siłach, by przyjmować gości? Aubrey, Pullings, M'Alister, a teraz nawet Bonden, wszyscy mnie straszą! Wszyscy wciąż mi mówią, że nie wolno mi cię męczyć! Ba, nie chcę czuć się tu osobą nieproszoną!

- Jestem silny jak byk, moja droga! - odparł. - A na twój widok siły mi wracają jeszcze szybciej!

- Na wszelki wypadek postaram się jednak ciebie nie martwić ani nie denerwować. Po pierwsze, pozwól mi serdecznie podziękować za twój krótki liścik. Była to dla mnie wielka pociecha, no a teraz podążę za twymi wskazówkami.

Na obliczu Stephena wykwitł uśmiech.

- Jakże ty mnie uszczęśliwiasz - powiedział cichym głosem. - Lecz, Dianko, ta sprawa ma też swój mało romantyczny aspekt. Wiesz, trzeba ją opłacić i w ogóle. W tej oto kopercie...

- Stephen, jesteś najlepszym człowiekiem pod słońcem, lecz z pewnością będę w stanie pokryć wszystkie koszty. Sprzedałam wielki szmaragd, który podarowali mi Nizamowie, a na pokładzie „Lushingtona” zarezerwowałam tylko jedną kajutę. Zostawiam tu wszystko, niech leży tam, gdzie leży. Te miejscowe gbury mogą do woli ciskać za mną obelgami, lecz przynajmniej nie będą mogli powiedzieć, że zależało mi na pieniądzach Canninga.

- Nie, na pewno nie - powiedział Stephen. - A zatem „Lushington”. To przestronny i wygodny okręt, dwukrotnie większy od naszego i serwują na nim kapitalną sherry, najlepszą, jaką kiedykolwiek piłem. Jednakże... Jednakże, wiesz, chciałbym, byś płynęła z nami, na „Surprise”. A tak mam przed sobą kolejny miesiąc czekania, może nawet więcej, ale... Czy pomyślałaś o tym, by spytać Jacka?

- Nie, mój drogi - powiedziała z czułością w głosie. - Nie, nie pomyślałam o tym, ależ ze mnie głupia gęś! Lecz przecież miałabym ze sobą służące, a wiesz, jak to jest z mężczyznami na morzu. A poza tym nie chciałabym, byś oglądał mnie trapiącą przez chorobę morską, zieloną na twarzy, wynędzniałą i wściekłą na wszystko. Na dłuższą metę nie zrobi nam to żadnej różnicy, wierz mi. Zobaczymy się na Maderze, a już na pewno w Londynie. Nie potrwa to długo. Masz spieczone usta, podam ci coś do picia. Czy to kleik jęczmienny?

Rozmawiali po cichu - o kleiku, owocach mango, jajkach, tygrysach, a raczej to ona mówiła, a on leżał poważny, z przezroczystą skórą, lecz głęboko szczęśliwy, z rzadka wtrącając słowo czy dwa.

- Aubrey z pewnością zatroszczy się o ciebie - powiedziała. - Zastanawiam się, czy sprawdzi się w roli męża tak dobrze, jak w roli przyjaciela. Raczej bym w to powątpiewała, Aubrey nie ma pojęcia o kobietach. Stephen, jesteś zmęczony, pójdę już zatem. „Lushington” odpływa o jakiejś zupełnie niechrześcijańskiej porze o świcie, przy wysokiej wodzie. Dziękuję za moją obrączkę. Żegnaj, mój drogi.

Pocałowała go i jej łzy kapnęły mu na twarz.

Cuchnące mokradła Hugli ustąpiły wreszcie połąciom czystszej wody Zatoki Bengalskiej, a potem ciemnoniebieskim falom Oceanu Indyjskiego. „Surprise” wreszcie rozpostarła skrzydła, by chwycić w nie monsun i ruszyć na południowy zachód w ślad za odległym teraz o dwa tysiące mil „Lushingtonem”. Fregata wiozła do domu niezadowoloną z odmiany losu, przepita i zgnusiała załogę, stalowe pudło pełne rubinów, szafirów i pereł w woreczkach z irchy, bredzącego chirurga i pełnego niepokoju kapitana.

W chwili, kiedy gorączka Stephena sięgnęła obecnego, zatrważającego poziomu, Jack spędzał każdą noc przy jego koi. Zawsze bezwzględny M'Alister wygnałby z kajuty każdego z mesy oficerskiej, lecz delirium uwolniło u Stephena potok głęboko skrywanych, intymnych sekretów, których tylko Jack mógł słuchać. Chory majaczył głównie po francusku i katalońsku, inne jego majaki były niezrozumiałe bez kontekstu jego koszmaru sennego, lecz pojawiały się i takie, które Jack dobrze rozumiał. Człowiek mniej skryty na jawie zapewne nie mówiłby tyle we śnie, lecz z ust pogrążonego w majakach Stephena sekrety wyływały jeden za drugim, niczym potok.

Niektóre z jego zwierzeń stanowiły tajemnicę poliszynela, lecz były i takie, którym nie wolno było dotrzeć do uszu kogoś postronnego. Słuchający ich Jack sam czuł się zażenowany - Stephen był dumniejszy od samego Lucyfera i z pewnością byłby upokorzony, wiedząc, że wszystkie jego słabości czy żądze zostały wyjawione niczym na Sądzie Ostatecznym, choćby spowiednikiem był nawet najlepszy przyjaciel. Mającący Stephen ciągnął wywody na temat cudzołóstwa, toczył wyimaginowane rozmowy z Richardem Canningiem o naturze więzów małżeńskich, zdarzało mu się naraz wykrzyknąć w malignie: „Jacku Aubrey, ty też sam się kiedyś przebijesz własnym mieczem! Fłaszka wina ci starczy, a zaciągniesz do łóża pierwszą lepszą dziewczuchę, która do ciebie mrugnie! Nie wiesz, co to wstrzemięźliwość!” W jego majaczeniach pojawiały się również dziwaczne, budzące niepokój słowa jak: „Określenia Żyd i bękart są niczym nie zasłużonymi wyróżnieniami. Żyd i bękart powinni być zatem braćmi,

gdyż z oboma trudno zawrzeć przyjaźń, a czasem jest to wręcz niemożliwe, gdyż zarówno Żyd jak i bękart wyczuleni są na sprawy obce ogółowi".

Jack trwał przy jego boku, ocierając spotniałe czoło gąbką, wachty zmieniały się, a okręt sunął przed siebie. Dziękował Bogu, że miał oficerów, którym mógł zaufać. Siedział i czuwał, zwilżając czoło Stephena, wachlując go i wbrew swojej woli słuchając jego wywodów, które czasem go niepokoiły, czasem nudziły, a czasem wręcz raniły.

Nie potrafił tkwić bez słowa w jednej pozycji godzina po godzinie, a stres związany z wysłuchiowaniem bolesnych słów Stephena wykańczał go z wolna. Już dawno znużenie wyparło poczucie obowiązku, teraz marzył tylko o tym, by Stephen przestał mówić. Lecz on, tak małomówny na jawie, w delirium stawał się niestrudzonym mówcą, ciągnącym kazania na temat ogółu rodzaju ludzkiego. Jego pamięć zdawała się nie mieć granic, Jack słyszał, jak bredząc, deklamował całe rozdziały Moliny i większą część *Etyki nikomachejskiej*.

Niesprawiedliwość sytuacji, która sprawiła, że stał się spowiednikiem swego przyjaciela, wywoływała w nim zażenowanie i wstyd. Jeszcze bardziej przygnębiał go fakt, że w toku spowiedzi wszystkie jego poglądy o Stephenie upadły. Zawsze postrzegał go jako filozofa, osobę silną, pewną siebie i ledwie zauważającą sprawy przyziemne, lecz ten Stephen, jaki przed nim wyłonił się w majakach, Stephen czuły i wrażliwy, Stephen całkowicie ujarzmiony przez Dianę, Stephen pełen wątpliwości, przeraził go do głębi. Nie czułby większego przerażenia na widok „Surprise” bez kotwic, balastu i kompasu.

- *Arma virumque cano*. - W ciemnościach rozległ się ochrypły głos Stephena, gdy kolejne wspomnienie szalonego kuzyna Diany poruszyło jego pamięć.

- Dzięki Bogu, na szczęście łacina - powiedział Jack. - Niech to trwa jak najdłużej.

Trwało to w istocie długo, aż do porannej wachty, kiedy to z kabiny chorego dobiegły słowa „...ast illi solvuntur frigore membra vitaeque cum gemitu fugit indignata sub umbras” i następujący zaraz po nich pełen oburzenia wrzask: - Zielonej herbaty! Czy nikt na tym parszywym statku nie wie, jak się opiekować ofiarą kalentury*? Wołam i wołam, a wy nic!

* Kalentura - tropikalna choroba żeglarzy, objawiająca się delirium, w którym uważali ocean za zielone pola.

Być może to zielonej herbacie, być może zmianie kierunku wiatru lub zgoła interwencji świętego Stefana zawdzięczać można to, że gorączka Stephena spadła wręcz z godziny na godzinę. M'Alister utrzymywał gorączkę na niskim poziomie, parząc napary z kory. W rekonwalescencji Stephena rozpoczął się jednakże okres zrzędzenia i opryskliwości, który dla Jacka okazał się równie trudny do zniesienia, jak wysłuchiwanie deklamowanej w śpiączce *Eneidy*. Nawet on, którego lata na morzu nauczyły cierpliwej życzliwości wobec każdego z towarzyszy rejsu, zastanawiał się, jak uda im się to znieść. Killick, który sam był zepsutym do szpiku kości, marudnym i zarozumiałym typem, pędząc co sił w nogach po łyżkę, nazwał doktora „przeklętym dziadem poskręcany przez syfilis”. Musieli jednak pogodzić się z losem - Bonden cierpliwie zniósł atak potrawką z ryby, a starsi marynarze z podwachty pokładu dziobowego, którzy wynosili go na pokład i byli łajani za każdy podmuch wiatru, nie ustawiali w próbach uspokojenia go.

Stephen był paskudnym pacjentem - czasem patrzył na M'Alistera jak na człowieka nieomylnego w kwestii doboru leków, a czasem cały okręt trząsał się, odbijając echo wrzasku: „Szarlatan!”, a leki fruwały po całym dolnym pokładzie. Najbardziej cierpiał kapelan - podczas gdy rekonwalescent przebywał na pokładzie, oficerowie wybierali jak najdalsze zakamarki na okręcie, jednak pan White nie potrafił wspinać się po linach, a jego profesja wymagała, by w każdej chwili był do dyspozycji chorego. Ba, musiał nawet grać z nim w szachy. Raz, sprowokowany uwagą Stephena na temat erastazjanizmu, skoncentrował wszystkie swe siły i wygrał, po czym musiał znosić nie tylko wyrzuty własnego sumienia i pełne nagany spojrzenia

całej mesy oficerskiej, lecz nawet ścierpieć na poły oficjalną reprimendę z ust kapitana, który oznajmił, „iż wykorzystywanie słabości chorego dla własnych korzyści jest godnym pogardy, małostkowym zachowaniem”. Pan White znalazł się jednak w sytuacji bez wyjścia, gdyż gdyby przegrał, doktor Maturin oskarżyłby go o nieuwważną grę i zapewne wpadłby w furję.

Żelazne ciało Stephena z wolna jednak wygrywało walkę z chorobą i tydzień później, kiedy fregata stanęła w dryf naprzeciwko jakiejś nie zamieszkaney wysepki, której położenie geograficzne było różne na wszystkich mapach, które mieli, postanowił zejść na ląd. Tam też, w dniu, który w kalendarzu jego życia należałoby podkreślić grubą białą kreską, dokonał swego najważniejszego odkrycia.

Łódź przeplnęła przez przerwę w rafie koralowej i dobiła do plaży, która porośnięta była mangowcami po lewej stronie i przechodziła w palmowy cypel po prawej. Na tym brzegu Jack rozłożył swe instrumenty i tam, wraz z resztą oficerów, niczym grupa czarodziei nekromantów zapatrzyli się w bladą tarczę księżycy i jasną Wenus tuż nad nią.

Choles i M'Alister wynieśli Stephena z łodzi i postawili na suchym piasku. Stephen zachwiał się, więc ujęli go i poprowadzili w kierunku cienia olbrzymiego, nienazwanego starożytnego drzewa, którego korzenie układały się w wygodny, wyściełany mchem fotel, a gałęzie oferowały widok czterestu różnych rodzajów orchidei. Pozostawili go tam z książką i cygarami, dołączając do grupy dokonującej oględzin kotwicowiska i pomiarów astronomicznych, co miało jeszcze potrwać kilka godzin.

Instrumenty ustawiono na starannie wyrównanej górcie piasku i teraz, kiedy nadchodził ów wielki moment, napięcie zdawało się unosić nawet między drzewami. W grupie zapadła śmiertelna cisza, przerywana jedynie głosem Jacka odczytującego kolejne cyfry klerkowi.

- Dwa siedem cztery - powiedział w końcu, prostując się. - Panie Stourton, co u pana?

- Dwa siedem cztery, dokładnie to samo.

- To najbardziej satysfakcjonujące pomiary, jakich kiedykolwiek dokonałem - oznajmił Jack. Oparł dłoń na lunecie i z lubością popatrzył na wyraźną, żeglującą na nocnym nieboskłonie Wenus. - Teraz możemy pozbierać ekwipunek i wracać na okręt.

- Co za pomiary, Stephen! - zawołał, idąc plażą w kierunku jego drzewa. - Przykro mi, że musiałeś tak długo czekać, ale opłaciło się. Wszystkie obserwacje zgadzają się, chronometry pokazywały zatem błąd dwudziestu siedmiu mil. Ustaliliśmy położenie wyspy co do... Mój Boże, a co to za bydlę?

- To żółw, mój drogi, wielki żółw lądowy, zupełnie nowy gatunek, nie znany nauce i w porównaniu z nim okazy odkryte przez Rodrigueza i Aldabrę to tylko takie sobie gadzinki. Waży pewnie z tonę! Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem tak szczęśliwy. Jeszcze nie wiem, jak go załadujemy na pokład, ale wierzę, iż dla marynarki nie ma rzeczy niemożliwych.

- Czy musimy zabierać go na pokład?

- Och, nie ma co do tego wątpliwości. Żółw unieśmiertelni twoje imię. Na wieczność pozostanie *testudo aubreei*!

Nazwisko bohatera bitwy o Nil kiedyś zostanie zapomniane, lecz nazwisko Aubrey przetrwa w nazwie żółwia. Oto twoja chwała!

- Jestem ci szczerze zobowiązany. Myślę, że możemy go po prostu mocno obwiązać i przyholować do okrętu. Jak go znalazłeś?

- Poszedłem odrobinę w głąb wyspy w poszukiwaniu jakichś ciekawych okazów i raz-dwa wypełniłem całe pudełko! Cóż za bogactwo, materiał na pół tuzina monografii! Dostrzegłem go na jednej z polanek, jak pożywiał się liśćmi *figus religiosa*. Zerwałem kilka większych liści, które starał się dosięgnąć i podając mu je jeden po drugim, zwabiłem go tutaj. To niezwykle ufne stworzenie, niech Bóg ma w opiece jego i cały gatunek, kiedy inni ludzie odnajdą tę wysepkę. Spójrz, jak błyszczą mu oko! Chciałby jeszcze listek. Jego widok podnosi mnie na duchu. Całkiem wyleczył mnie ten żółw! - zawołał, obejmując ramieniem potężny pancerz.

Skorupa poruszyła skorupę, jak to ujął pan M'Alister, któremu tropikalny upał mocno wyostrzył dowcip. W każdym razie obecność żółwia na pokładzie miała na Stephena znacznie bardziej krzepiący wpływ aniżeli wszystkie wywary i medykamenty z okrętowej apteczki. Dzień po dniu Stephen zasiadał z *testudo aubreei* przy klatkach z kurami i z każdym dniem stawał się coraz bardziej dobrotliwy i zrównoważony, a jego złośliwość znikła.

Fregata, której takielunek i omasztowanie były w należyтым porządku, nie trapiła przeciwnymi wiatrami, szybko pokonywała pozostały jej dystans. Mogło się wydawać, że zapal załogi dawno już się wyczerpał, lecz świadomość, że płynęli do domu, miała na nich magiczny wpływ. Wielu marynarzy tęskniło przecież za żonami czy kochankami, lecz najbardziej z nich wszystkich tęsknił chyba kapitan, nie tylko za swą przyszłą, jak miał nadzieję, żoną, lecz również za prawdziwą strefą działań wojennych, za szansami na odznaczenie, za „Gazette” i oczywiście za przyzami. Dzięki wysiłkom Kompanii okręt znów prezentował się dumnie - nie było mowy o targowaniu się choćby o wiaderko smoły, co zdarzyłoby się w każdej stoczni królewskiej. Kupcy zafundowali fregacie wspaniały remont - nowe żagle, nowe miedziane obicie dna, olinowanie z manilskich konopi, wszystko to sprawiło, że okręt znów zachowywał się jak za swoich młodych lat. Nie uporano się jedynie z kilkoma bardziej skomplikowanymi, głębiej tkwiącymi uszkodzeniami, rezultatami zarówno zaawansowanego wieku fregaty, jak i samej bitwy z „Marengo”, lecz na razie okręt sprawował się doskonale i mknął na południe, jak gdyby ścigał galeon wyładowany złotem.

Załogę poddano teraz ćwiczeniom. Akcja przeciwko Francuzom scementowała jeszcze bardziej załogę, która od dawna umiała działać bez namysłu i rozkazy były wypełniane, nim je jeszcze podano. Wiatr wciąż sprzyjał, mimo że już dawno przekroczyli zwrotnik Koziorożca. Załoga dawała z siebie wszystko i okręt odkładał co dzień równo dwieście mil za sobą. Była to wspaniała żegluga, ta część morskiego żywota, którą oficerowie na połowie pensji w swych ciemnych, wynajmowanych pokojach wspominali jako prawdziwe życie.

W drodze do Indii nie dostrzegli ani jednego żagla na horyzoncie od Przylądka Dobrej Nadziei aż po Lakkadiwy. Tym razem napotkali aż pięć statków, z czego z trzema udało im się nawiązać kontakt. Był to angielski korsarz z ożaglowaniem typu bark, amerykański statek w drodze do Chin i zaopatrzeniowiec płynący na Cejlon. Każdy z nich poinformował ich o rejsie „Lushingtona”, który, zgodnie z tym, co powiedziała załoga zaopatrzeniowca, wyprzedzał ich niewiele więcej niż o siedemset mil.

Ciepłe fale naraz ochłodziły, aż stały się całkiem zimne. Marynarze na nocnych wachtach nakładali już kamizele, a z nieboskłonu zniknęły północne konstelacje. Wkrótce potem, nieopodal płycizny Otter, załogę wystraszyło szczekanie pingwinów dobiegające z mgły. Następnego dnia osiągnęli strefę wiatrów zachodnich i rozpoczęła się prawdziwa zmiana klimatu.

Dla załogi halsującej fregaty nastał czas futrzanych czap i ciepłych kurt. „Surprise” zmagala się z przeciwnym wiatrem pod sztormowymi żaglami, bądź odpadając na południe w poszukiwaniu łagodniejszego wiatru lub sztormując, bądź zwierając się w walce ze ścianą wiatru o każdą milę na zachód. Petrele i albatrosy znów towarzyszyły okrętowi. Zapasy żywności kończyły się z wolna i najpierw obiady w mesie midszypmenów, później oficerskiej, a na końcu w kajucie kapitańskiej ograniczyły się do sucharów i solonej wołowiny (dolny pokład nigdy nie jadł nic innego). Wiatr wciąż utrzymywał się, a widoczność była tak słaba, że nie było sensu prowadzić obserwacji przez długie dni.

Żółw już od dawna przebywał pod pokładem w ładowni. W trakcie nie kończącego się rejsu wokół Przylądka zwierzę spało na posłaniu z worka, a jego pan głównie robił to samo, w przerwach między snem jedząc, nabierając sił i sortując cenne okazy z Bombaju i nieliczne okazy z innych krajów. Niewiele miał do roboty - M'Alister uporał się z wyniesionymi z Kalkuty, typowo żeglarskimi chorobami, nim jeszcze Stephen doszedł do zdrowia. Opita świeżym sokiem cytrynowym załoga tryskała teraz zdrowiem, a nadzieja, zapal i uciecha

sprawiły, że ludzie na „Surprise” byli nie tylko zadowoleni z życia, ale i radośni. Stephen poradził sobie zatem z kilkoma przypadkami *coleoptera* i gdy dziób fregaty zwrócił się nareszcie ku północy, trwał głęboko zatopiony w badaniach nad skrytopłciowymi roślinami naczyniowymi.

Nastało pięć dni łagodnych, zmiennych wiatrów. Było już zdecydowanie cieplej i po raz pierwszy od długich tygodni na „Surprise” postawiono stengi. Pewnej ciepłej, księżycowej nocy, kiedy Stephen zasiadł z White'em przy relingu rufowym, obserwując, jak ten uwiecznia na papierze zadziwiająco płataninę takielunku, ciemne linie i plamy cienia na tle bladego, upiornie wyglądającego pokładu, niespodziewany podmuch wiatru przechylił okręt. Indyjski atrament rozlał się, a fala fosforyzującej wody wdarła się na pokład od strony lewej burty. Przechylił stawał się coraz silniejszy, a urywany bulgot wody wzdłuż burty przerodził się w ciągły dźwięk.

- Jeśli to nie nasz błogosławiony pasat - powiedział wtedy Pullings - niech mnie kule biją! Jak się okazało, kule trzymały się od niego z daleka. To naprawdę był pierwszy podmuch południowo-wschodniego pasatu, z początku łagodny, lecz pewny, nie zmieniający kierunku ani o rumb. Na masztach fregaty wykwitło wiele żagli i okręt szybciej pomknął w kierunku zwrotnika. Dni były coraz cieplejsze, a załoga szybko doszła do siebie po zmaganiach z pogodą wokół Przylądka, z dziobu dobiegały teraz śpiewy i skoczne dźwięki hornpipe*. W drodze powrotnej Jack nie stawiał już okrętu w dryfie, by można było popływać, nawet gdy byli już daleko za zwrotnikiem Koziorożca.

* Hornpipe - skoczny taniec marynarski, tańczony w pojedynkę przy dźwiękach instrumentu przypominającego kobzę.

- Rano będziemy mijać Wyspę Świętej Heleny - powiedział Jack jednego dnia.
- Rzucimy kotwicę? - spytał Stephen.
- Och, nie!
- Nawet po to, by uzupełnić zapasy? Nie masz już dość solonego mięsa?
- Nie i jeśli myślisz, że istnieje jakiś podstęp czy wybieg, który pozwoliłby ci zejść na ląd i szukać robali, to lepiej przemyśl to raz jeszcze.

W istocie, kiedy nastał cudowny świt następnego dnia, na horyzoncie pojawiła się ciemna plamka z wiszącą nad nią chmurą. Kiedy zarysy lądu stały się wyraźniejsze, Pullings ją wskazywać poszczególne punkty na wyspie - Holdfast Tom, Stone Top i Old Joan Point. Lądował już na wyspie kilka razy i zależało mu na tym, by pokazać doktorowi ptaki, które żyły na cyplu Diana's Peak, a które, jak sam określił, były „czymś między papugą a sową i miały taki dziwaczny dziób”.

Fregata podała swój numer wysokiej stacji sygnałowej i przesłała zapytanie, czy są jakieś rozkazy lub poczta dla „Surprise”.

- Brak rozkazów dla „Surprise” - padła odpowiedź stacji. - Brak poczty - dotarł kolejny sygnał po kwadransie. - Powtarzam, brak rozkazów, brak poczty.

- Zapytaj, proszę, czy „Lushington” przechodził tędy - poprosił Stephen.

- „Lushington” zawinął do portu, lecz wypłynął do Madery już siódmego. Nie meldowali problemów - przekazała stacja.

- Odpływamy - rozkazał Jack. Żagle fregaty wypełniły się wiatrem i ruszyły na morze. - Muffit musiał mieć sporo szczęścia przy okrążaniu przylądka. Teraz to już ruszy bajdewindem bezpośrednio na Lizard Point i zmieści się w sześciu miesiącach. Może łotr zaryzykował przepłynięcie Kanałem Mozambickim?

Nastał kolejny świt, którego olśniewające piękno napawało wręcz niepokojem obserwujących - w końcu wszystko, co doskonałe, kiedyś się kończy. Tym razem był to okrzyk: „Żagiel na horyzoncie”, po którym załoga wyległa tłumnie na pokład szybciej niż na odgłos gwizdka

bosmańskiego. Obcy okręt, z pewnością wojenny, płynął przeciwnym halsem na południe. Pół godziny później było już wiadomo, że jest to fregata zbliżająca się coraz bardziej do „Surprise”. Załoga była już przygotowana do ewentualnego boju, kiedy Jack rozkazał nadać osobisty sygnał „Surprise”. Obcy okręt odpowiedział, podając swój numer i nazwę - „Lachezis”. Napięcie naraz opadło, szybko zastąpione radosnym oczekiwaniem.

- Wreszcie będziemy mieli jakieś wieści - powiedział Jack, lecz w trakcie jego słów „Lachezis” wywiesiła kolejne chorągiewki.

- Wiezie meldunki!

„Lachezis” podeszła ostrzej do wiatru i możliwe było, iż w ogóle nie stanie w dryf.

- Spytaj, czy ma jakąś pocztę - rzekł Jack, śledząc ruchy „Lachezis” przez lunetę i odczytując odpowiedź samemu, nim zdołał to zrobić midszypmen sygnalista.

- Brak poczty dla „Surprise”!

- Bądź przeklęty razem ze swoją krypą! - mruknął Jack, widząc, jak dystans między okrętami się zwiększa.

- Leży mi jedna rzecz na sercu, Stephen - powiedział podczas obiadu. - Chciałbym, by nie było z nami naszego pastora. Pan White to dobry człowiek, nic do niego osobiście nie mam i z chęcią będę uczęszczał na jego msze, o ile odbędą się one na lądzie. Na morzu jednak zawsze się mówiło, że pastor na pokładzie oznacza pecha. Osobiście wcale nie jestem przesądny, o czym dobrze wiesz, ale załoga się niepokoi. Gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie zabierałbym kapelana na żaden z moich okrętów. Poza tym duchowni na okręcie wojennym są nie na miejscu. Ich zadaniem jest głosić, że obowiązkiem każdego człowieka jest nadstawiać drugi policzek, ale takich rzeczy nie opowiada się na okręcie wojennym idącym do boju! Jak mówiłem, przesądny nie jestem, przecież nawet nie zwróciłem uwagi na tego złowieszczygo ptaka, który przeleciał nad naszym dziobem!

- Przecież to był tylko głupek z Wysp Wniebowstąpienia! Ten grog to chyba najpaskudniejszy trunek na świecie, nawet jak się do niego dosypie koszenili i imbiru... Jak ja tęsknię za kubkiem dobrego, czerwonego wina! Jack, powiem ci coś. Im więcej dowiaduję się o marynarce, tym bardziej zaskoczony jestem tym, że człowiek z liberalnym wykształceniem może upaść tak nisko, by wierzyć w zabobony. Pomimo twego zapału i pośpiechu, by jak najszybciej dostać się do domu, kazałeś zatrzymać okręt w piątek, co poparłeś mętnymi tłumaczeniami, że coś nie tak z kabestanem. Teraz pewnie powiesz, że to o nastrój w załodze ci chodziło, na co moja odpowiedź będzie taka jak zawsze - ha, ha, ha!

- Mów sobie, co chcesz, ale to naprawdę działa. Mógłbym ci opowiedzieć historie, po których włosy stanęłyby ci dęba tak mocno, że zrzuciłyby perukę na ziemię!

- Wszystkie te wasze znaki i uprzedzenia zawsze zwiastują nieszczęście. Jack, kiedy masz załogę niezadowoloną z życia, stłoczoną na zbyt ciasnej przestrzeni i spędzającą wolny czas na waleniu się po łbach, to każde ponure przeczucie może się sprawdzić, lecz to nie żaden pastor czy ogień świętego Elma będą przyczyną katastrofy. Jack pokręcił głową, nie przekonany.

- A co do tego liberalnego wykształcenia - odezwał się po kilku minutach żucia twardego kawałka wołowiny - to ja też mogę powiedzieć ha, ha, ha! My żeglarze rzadko kiedy mamy jakiegokolwiek wykształcenie! Jedynym sposobem na wykształcenie morskogo oficera jest posłanie go za młodu na morze. Pływam, odkąd ukończyłem dwanaście lat i większość moich przyjaciół skończyła edukację na szkółce prowadzonej przez starsze panie. Jedyna rzecz, na której znamy się dobrze, to nasz fach - jeśli w istocie się na tym znamy. Powinienem był spróbować płynąć Kanałem Mozambickim... Nie, z całą pewnością nie należymy do gatunku mężczyzn, za którymi wszechstronnie wykształcone, inteligentne i dobrze wychowane młode kobiety mogą przemierzać po tysiąc mil morskich. Na lądzie to nas lubią, są dla nas miłe i nazywają wilkami morskimi, gdy odniesiemy zwycięstwo. Ale nie wychodzą za nas, chyba że się je zaskoczy i weźmie abordażem w dymie z własnych dział. Kiedy da się im czas do namysłu, to wychodzą za takich właśnie pastorów czy innych mądrych prawników.

- Skoro już o tym mowa, Jack, nie doceniasz Sophie. Kochanie jej to już coś jak liberalne wykształcenie. To jasne, że w tym sensie jesteś wykształconym człowiekiem. A na marginesie, prawnicy to fatalni mężowie, gdyż bez przerwy gadają, a wy żeglarze, cóż, uczy się was, byście bez szemrania wykonywali polecenia - odpowiedział Stephen, po czym, by odwrócić myśli Jacka od smutnych spraw, dodał: - Giraldus Cambrensis twierdzi, że mieszkańcy Ossory mogą na życzenie zmieniać się w wilki.

Wróciwszy do pracy nad roślinami skrytopłciowymi, Stephen uświadomił sobie, że gryzie go sumienie. Tyle myślał o oczekującym go prawdopodobnym spotkaniu na Maderze, a już pewnym w Londynie, że zupełnie nie zwrócił uwagi na rosnący niepokój Jacka. Sam również czuł teraz podobny niepokój, przybierający na sile, w miarę jak nieokreślona, przyciągająca go przyszłość naraz stała się bardzo konkretna. Gnębiła go świadomość, że okres owego wielkiego szczęścia, odczuwanego podczas ciągnącej się miesiącami podróży na północ ku cudownemu rozwiązaniu, miał się wkrótce zakończyć. Nie było to przeczucie nadchodzącej klęski, lecz raczej pewien szczególny rodzaj niepokoju, którego nie umiał nazwać.

- To było nieszczęśliwe sformułowanie - powiedział, myśląc o słowach Jacka „wychodzą za takich właśnie pastorów”. „*Absit, o absit omen*” - pomyślał, gdyż jednym z najbardziej skrywanych, osobistych przesądów Stephena był lęk przed nazywaniem rzeczy po imieniu. Kapelan siedział samotnie w mesie, układając figury na szachownicy.

- Panie White - zagadnął do niego Stephen - czy spośród pańskich kolegów zna pan kogoś o nazwisku Hincksey?

- Pana Charlesa Hinckseya? - spytał kapelan, uprzejmie unosząc głowę.

- Właśnie, pana Charlesa Hinckseya.

- Tak, znam go dobrze. Studiowaliśmy razem w seminarium, grywaliśmy w fives* i odbywaliśmy długie spacerzy.

* *Fives* - gra przypominająca squasha, polegająca na odbijaniu piłki kijem lub dłonią w rękawicy o ściany w trójkątnej lub czworokątnej sali.

To wspaniały kolega, bez przerostu ambicji i chęci do rywalizacji, bardzo lubiono go na uniwersytecie. Cieszę się, że go poznałem. Grekę zna wyśmienicie. Pochodzi z dobrej rodziny, w rzeczywistości tak dobrej, że ma w tej chwili dwa beneficja, oba w Kent. Jedno z nich należy do największych w hrabstwie, drugie ma szansę rozwoju, a mimo to nie wierzę, by któryś z moich kolegów, nawet ci bez beneficjum, zazdrościli mu lub żywili doń urazę. To dobry kaznodzieja, wygłasza kazania rozsądnie, mówi jasno i bez zapalczywości. Myślę, że ma szansę zostać biskupem, z korzyścią dla samego Kościoła.

- Czyli jest to człowiek o nieskazitelnej reputacji?

- Nie, nieskazitelnej to raczej nie... - odpowiedział pan White. - Choć jakoś nie mogę sobie przypomnieć jakichś jego konkretnych wad. Jednakże nawet gdyby miał jakieś wady, ludzie dalej by go lubili. To jeden z tych wysokich, przystojnych mężczyzn, którzy może nie są zbyt dowcipni, lecz zawsze stanowią dobre towarzystwo. Jak do tej pory udało mu się uniknąć małżeństwa, lecz trudno mi powiedzieć dlaczego. Swatano go już setki razy. Nie sądzę, by miał uraz do stanu małżeńskiego, a raczej wysokie wymagania.

Dni biegły teraz szybciej - co prawda każdy z nich wydawał się długi, lecz jakże szybko układały się one w tydzień, potem w dwa tygodnie! Zmienne wiatry i odcinki ciszy morskiej, które tak mocno dały im się we znaki podczas podróży do Indii, nie dokuczały już im w drodze powrotnej i okręt nadrabiał stracony czas, sunąc ku linii równika i dalej, ku strefie pasatów. I już na prawym trawersie wyłonił się, wciąż oddalony o prawie sto mil, szczyt Teneryfy, lśniący trójkąt uwieńczony chmurą.

Pożerający Jacka zapał, by jak najszybciej dostać się do Madery, nie osłabł ani trochę. Ani przez chwilę kapitan nie zawahał się przed postawieniem maksymalnej liczby żagli, delikatnie

balansując na krawędzi ryzyka. Jednakże zarówno jego samego, jak i Stephena dręczyło przybierające na sile napięcie, lęk przed oczekującym ich spotkaniem zmieszany z zachwytem. Wyspa wyłoniła się na północy na tle groźnego, wzbierającego burzą nieba. Przed zachodem słońca Teneryfa zniknęła w strugach deszczu z nisko wiszących chmur, po burtach okrętu spływały strumyki wody zmieszanej ze świeżą farbą. Rankiem oczom załogi ukazał się kanał Funchal pełen statków i okrętów, a za nimi białe miasto, migoczące w czystym powietrzu. Dostrzegli fregatę „Amphibion”, slup „Badger”, kilka okrętów portugalskich i jakiś amerykański oraz niezliczone mnóstwo tendrów, kutrów rybackich i innych małych statków. W dalekim końcu kanału kotwiczyły trzy statki Kompanii Indyjskiej z rejami złożonymi na pokładzie. Nie było wśród nich „Lushingtona”.

- Panie Hales, do roboty! - ponaglił go Jack. Działa fregaty oddały salut twierdzy, która odpowiedziała

po chwili. Huk dział odbił się echem, a dym przetoczył wolno nad wodami zatoki.

- Kotwica w dół!

Kotwica z pluskiem wpadła do wody, a lina kotwiczna pomknęła za nią, lecz nim kotwica dotarła do dna i okręt zadrżał, po raz kolejny rozległ się huk salwy armatniej. Jack spojrzał w kierunku otwartego morza w poszukiwaniu kolejnego statku, zawijającego do portu, gdy nagle uświadomił sobie, że salut skierowany był do niego, a nadszedł od strony statków Kompanii. Załoga „Lushingtona” pewnie opowiadała im już o starciu z Linois.

- Salut z siedmiu dział, panie Hales - powiedział. - Opuścić barkas!

Stephen miał przejść przez burtę pierwszy, lecz zawahał się przy trapie.

- To łatwe, sir, da pan sobie radę - wyszeptał idący za nim Bonden, który wziął to za chwilową fizyczną słabość. - Niech pan mi poda rękę.

Jack wszedł za nimi. Na odgłos gwizdków bosmańskich łódź odbiła od burty okrętu i pchana wiosłami, ruszyła w stronę brzegu. Siedzieli w swoich najlepszych mundurach twarzą w twarz z wioślarzami, starannie ogolonymi, odzianymi w białe kurtki i białe kapelusze z długimi wstążkami z nazwą „Surprise”. Jedynym słowem, jakie wypowiedział Jack, było: „Odbijać!” Po wylądowaniu od razu skierowali się do przedstawiciela ich agenta.

- Witam pana! - wykrzyknął Anglik. - Wiedziałem, że to pan, gdy tylko usłyszałem salwy statków Kompanii! Pan Muffit był tu tydzień temu i opowiedział nam o pańskiej niezwyklej akcji. Pozwoli pan, że złożę na pana ręce gratulacje z okazji tak chwalebного boju!

- Dziękuję, panie Henderson. Czy na wyspę, proszę mi rzec, dotarła jakaś młoda dama, na okrętach marynarki tudzież na statkach Kompanii?

- Młoda dama? Nie, proszę pana, nic mi o tym nie wiadomo. Z pewnością nie na okrętach marynarki. Statki Kompanii zawinęły jednak tu w poniedziałek, poturbowane po sztormie w zatoce. Być może panna, o którą pan pyta, jest wciąż na jednym z nich. Oto lista pasażerów...

Jack szybko przebiegł wzrokiem po nazwiskach i błyskawicznie znalazł „panna Diana Villiers”. Dwie linijki niżej znalazł „pan Johnstone”.

- Lecz to lista pasażerów „Lushingtona”! - zawołał.

- To prawda - potwierdził agent. - Pozostałe są na drugiej stronie - „Mornington”, „Bombay Castle” i „Clive”.

Jack dwukrotnie przejrzał obie listy.

- Nie ma nic o panie Williams - powiedział powoli, przeczytawszy listę po raz trzeci. - Jest może jakaś poczta?

- Jego głos był słaby.

- Nie, nie proszę pana. Nikt by jeszcze nie pytał o „Surprise” na Wyspach Kanaryjskich! W kraju nikt nie wie, że pan już płynie do domu! Przypuszczam, że poczta dla pana znajduje się na pokładzie „Bellerophona”, który należał do ostatniego konwoju wysłanego do Indii, teraz jednak przyszło mi do głowy, że w biurze mam jeden list dla pana doktora Maturina, który ma się znajdować na pokładzie „Surprise”. List zostawiła pewna dama z „Lushingtona”. Oto on.

- To ja jestem Maturin - odezwał się Stephen. Natychmiast rozpoznał charakter pisma, a przez papier koperty wyczuł kształt pierścionka. - Jack, to ja już pójdę - powiedział.

- Do widzenia.

Wolnym krokiem Stephen ruszył w kierunku jednego ze wzgórz, zgoła nie dbając o to, dokąd prowadzi go ścieżka. Szedł przez niewielkie poletki trzciny cukrowej, mijał sady i tarasy z winnicami, by zagłębić się w zagajnik drzew orzechowych. Wędrował, aż drzewa przerzedziły się i w końcu zostawił zagajnik za sobą, prac dalej wśród coraz mizerniejszych zarośli. Ścieżki już dawno się skończyły, szedł teraz wśród nagich osypisk skał wulkanicznych, spiętrzonych u stóp centralnego łańcucha gór na wyspie. Tu i ówdzie natykał się na resztki mokrego śniegu w cieniu rzucałym przez skały. Zatrzymywał się wtedy, nabierał go pełne garście i zjadał - podczas wędrowki wypocił i wypłakał całą wodę ze swego ciała. Jego usta i przełyk były teraz tak wyschnięte i spękane jak jałowa skała, na której w końcu spoczął.

W trakcie wędrowki jego umysł z wolna pogrążał się w apatii, a choć ściągnięte zimnym wiatrem policzki wciąż były mokre od łez, pierwszy ból już minął. Jak tylko wzrokiem sięgał, widział nękany pogodą krajobraz, z początku całkiem jałowy, potem pokryty plamą lasu i terenem usianym malutkimi poletkami i wioskami poniżej. Dalej rozciągał się już cały południowy brzeg wyspy, z kanałem Funchal upstrzonym białymi plamkami żagli, i horyzont, gdzie ocean wspinał się na powitanie nieba. Patrzył na to wszystko z obojętnością. Za tym wielkim cyplem na zachodzie leżała wyspa Camara de Lobos. Ponoć żyły tam foki.

Słońce wisiało już na wysokości dłoni nad horyzontem i niezliczone parowy na zboczu, gdzie cienie rozciągały się już od krawędzi po krawędź, ziały ciemnością.

- Zejście na dół będzie stanowiło problem - powiedział na głos. - Niemal każdy człowiek dałby radę się tu wspinać, ale zejście na dół pewną nogą to całkiem inna sprawa.

Musiał przeczytać list, rzecz jasna. W świetle ostatnich promieni słonecznych wyciągnął go z kieszeni i rozdarł papier. Nie lubił tego odgłosu. Przeczytał słowa napisane przez Dianę, zmuszając się do zachowania surowego wyrazu twarzy, lecz pod koniec nie mógł opanować skurczów pełnej rozpaczy czułości. To jednak do niczego nie prowadziło, słabość do niczego nie prowadziła - ponownie z wyrazem obojętności spojrział w kierunku skał, szukając wzrokiem niecki, w której mógłby się położyć.

Kiedy na niebie pojawił się księżyc, nadszedł sen i skurczone, wyczerpane ciało wreszcie się rozluźniło. Spał przez kilka godzin, lecz był to jedynie martwy sen, przenoszący go w pustkę. Wędrujące słońce oświetliło Kalkutę, potem Bombaj, by w końcu dotrzeć na drugą stronę planety i skierować swe promienie prosto w twarz śpiącego Stephena, i zmusić go do powrotu do świata żywych. Usiadł, wciąż rozespany i oszołomiony, naraz napłynęło doń wrażenie ogromnego bólu, którego w pierwszej chwili nie umiał nazwać. Rozrzucone elementy wspomnień powoli układały się w logiczną całość i w końcu pokiwał głową, zakopał starą, żelazną obrączkę, którą wciąż trzymał zaciśniętą w dłoni i znalazł ostatni spłachetek śniegu, by oczyścić twarz. List dawno już porwał wiatr.

Dopiero po południu zszedł na dół. Na Jacka natknął się przy placu katedralnym, podczas spaceru wzdłuż kanału Funchal.

- Mam nadzieję, że przeze mnie nie musieliście wstrzymać wypłynięcia? - spytał.

- Nie, skądże. - Jack ujął go pod rękę. - Uzupełniamy zapasy wody. Chodź, napijemy się wina. Usiedli. Stephen był zbyt przygnębiony i zbyt oszołomiony, by czuć zażenowanie, więc ujął myśl w najprostsze słowa:

- Powiem ci to wprost, Jack. Diana odpłynęła z panem Johnstonem do Ameryki, konkretnie zaś do Wirginii. Mają się tam pobrać. Między mną a nią nie było żadnych ustaleń czy zobowiązań. Zwiodła mnie jej uprzejmość w Kalkucie i pozwoliłem sobie myśleć zbyt dużo. Nie czuję się jednakże urażony jej decyzją. Wypiję za jej zdrowie.

Skończyli butelkę, po niej jeszcze jedną, lecz alkohol w żaden sposób nie pomógł im poprawić nastrojów. W milczeniu wsiedli do szalupy i odpłynęli na okręt.

Zapasy wody i żywności były już uzupełnione. Podniesiono kotwicę i okręt ruszył na otwarte morze, okrążając wyspę od wschodniej strony i niknąc w brudnym mroku nocy. Wesołość na pokładzie przednim mocno kontrastowała z powagą na rufie. Ludzie wiedzieli, że coś było nie w porządku z kapitanem, żeglowali pod jego rozkazami już tak długo, że potrafili właściwie odczytać wyraz jego twarzy. Lękano się również o doktora, którego twarz znów była blada, lecz panowała opinia, iż obaj mieli jakąś przykrą przygodę na lądzie i za dzień czy dwa wszystko będzie z nimi w porządku, a skoro z pokładu rufowego nie padały żadne karcące słowa, śpiewali i śmiali się dalej. Od Anglii dzielił ich już bowiem przysłowiowy „żabi skok”, a korzystny wiatr kierował ich na przylądek Lizard Point. Czekwały ich żony, kochanki, wypłata i piwo!

Ciężki nastrój w kabinie kapitańskiej nie był efektem przygnębienia, lecz raczej powrotem do nużącej, pozbawionej większego sensu i barw, szarej codzienności. Stephen odwiedził szpitalik okrętowy i odbył z M'Alisterem długie posiedzenie nad księgami - za tydzień zwiną do portu i obaj będą musieli zdać rachunki oraz pod przysięgą usprawiedliwić każdy wydatek i zużyty lek przez ostatnie osiemnaście miesięcy, a poczucie obowiązku pana M'Alistera było wprost mordercze. Pozostawiony sobie samemu Stephen wydobyl butelkę z laudanum, zakorkowane źródło jego hartu ducha. Swego czasu zażywał laudanum bez przerwy, zbliżając się do dawki czterech tysięcy kropeł na dzień, tym razem jednak nawet nie wyciągnął korka. Nie było potrzeby wspierać hartu ducha, jego duszę wypełniała pustka, sztuczne zbliżanie do stanu szczęścia pozbawione było sensu. Zasnął, wciąż siedząc na krześle, przespał ćwiczenia artyleryjskie i spał długo, aż do rozpoczęcia wachty środkowej. Obudziwszy się niespodziewanie, ujrzał światło, wydobywające się przez szczelinę pod drzwiami kajuty kapitańskiej. Jack wciąż był na nogach, czytając po raz kolejny swoje uwagi dla hydrografów admiralicji, raporty z niezliczonych sondowań, obserwacji linii wybrzeża i pomiarów pozycji. Jack stawał się zatem żeglarzem-naukowcem.

- Jack - odezwał się niespodziewanie Stephen. - Myślałem właśnie o Sophie. Myślałem o niej też tam na górze. I wydaje mi się... Jakie to proste! Czemu wcześniej na to nie wpadliśmy? Wydaje mi się, że nie ma co liczyć na kuriera! Ma on do przebycia setki mil lądem, przez dzikie krainy i pustynie, a wieść o śmierci Canninga musi nieść się szybko, może nawet szybciej. Być może wyprzedziła ona kuriera i sprawiła, że współnicy Canninga zmienili plany. Najprawdopodobniej twoja wiadomość nigdy do niej nie dotarła!

- To miło z twojej strony, że tak mówisz. - Jack spojrział na niego z wdzięcznością. - W istocie, dobrze rozumiesz. Wiem jednak, że wiadomość dotarła do India House sześć tygodni temu, Brenton mi powiedział. Nazywano mnie kiedyś Jackiem Szczęściarzem, pamiętasz? Byłem szczęściarzem w swoim czasie, ale to już koniec. Lord Keith powiedział mi kiedyś, że każde szczęście kiedyś się wyczerpuje. To właśnie stało się chyba z moim. Zbyt wysoko mierzyłem, to wszystko. Co powiesz na chwilę muzyki?

- Z ogromną chęcią.

Przy świetle lampy kołyszącej się podczas wspinaczki na fali i akompaniamencie strug deszczu na zewnątrz, rozpoczęli koncert. Najpierw zagrali Corelliego, potem uderzyli w ton Hummela, gdy nagle smyczek Jacka, rozpoczynający kolejny utwór Boccheriniego, uderzył fałszywie o struny.

- To był wystrzał z działa - powiedział.

Milcząc, zastygli w bezruchu. Niespodziewanie drzwi do kajuty otworzyły się i wbiegł ociekający deszczem midszypmen.

- Pozdrowienia od pana Pullingsa! - powiedział. - Pan Pullings mówi, że na zawietrznej widać żagiel.

- Dziękuję, panie Lee. Zaraz przyjdę na pokład. - Jack porwał płaszcz i zwrócił się do Stephena: - Miejmy nadzieję, że to Francuz. Wolałbym teraz spotkać Francuza aniżeli... - Zniknął, nie kończąc zdania. Stephen odłożył instrument.

Na pokładzie zimny deszcz i świeży podmuch wiatru z południowego zachodu, w kontraście z tropikalnym upałem kajuty, wiezionym jeszcze od równika, zaparły mu dech w piersiach. Podszedł do Pullingsa, który czuwał przy relingu z lunetą.

- Gdzie ów żagiel, Tom?

- Dokładnie na baksztagu, sir, tam, na tym odcinku światła półksiężyca. Najpierw dostrzegłem błysk światła, a potem wydawało mi się, że widzę, jak statek wykonuje zwrot. Spójrzy pan? Pullings widział nieznajomy statek całkiem dobrze - żeglował na prawym halsie pod marsłami w odległości trzech mil. Sygnalizował właśnie jakiemuś niewidzialnemu towarzysowi podróży bądź okrętowi eskorty, że podchodzi do zwrotu przez sztag. Przywiązanie do kapitana i troska o niego kazały pozostawić mu tryumf odkrycia tożsamości nieznajomego.

- Na Boga, masz rację, Pullings. To statek. Płynie bajdewindem na prawym halsie. Proszę zarządzić zwrot, potem marsle na gejtawy, wejdziemy w jego ślad torowy i zobaczymy, jak blisko uda się podejść. Nie ma co się śpieszyć... - wymamrotał. - Załoga do zwrotu! - zawołał. Gwizdki bosmańskie i ryk pomocników bosmana obudziły rozespiane wachty pod pokładem i już w chwilę później fregata mknęła, by przeciąć kurs obcego statku. Postawiono same tylko żagle główne, dzięki czemu w ciemnościach fregata była niemal niewidoczna. Z wiatrem na dwa rumby od dziobu zbliżała się coraz bardziej do obcego statku z odtoczonymi już działami i osłoniętymi latarniami bitewnymi na głównym pokładzie. Dzwon już zabezpieczono, rozkazy podawano półgłosem. Jack i Pullings stali teraz na dziobie, wyężając wzrok przez strugi deszczu. Lunety nie były już potrzebne, a strzelająca z nieba błyskawica pokazała im, że obcy statek był fregatą.

Gdyby okręt był tym, co miał nadzieję spotkać, Jack od razu mógł odpalić salwę burtową. Nim minąłby efekt zaskoczenia, wyprzedziłby obcą fregatę, za rufą odpalając jeszcze dwie, może trzy salwy i położył się na jej baksztagu. Byli coraz bliżej, słyszał już dzwon na pokładzie obcej fregaty, wybito siódmą szklankę, lecz wciąż nie było odgłosów alarmu. Niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć.

- Uwaga przy szotach! - zawołał cicho. - Bellow, daj z siebie wszystko. - Byli coraz bliżej, a serce biło mu już niczym młot. - Teraz! - Naraz w mroku rozkwitły marsle, błyskawicznie wybrano szoty i „Surprise” skoczyła naprzód, prosto ku ćwiartce rufowej obcego okrętu. Na obcym okręcie rozległy się krzyki.

- Kim jesteście?! - wrzasnął prosto w kierunku ogarniętego zamieszaniem pokładu. - Kim jesteście! Fokmarsel na pracę wstecz! - rzucił przez ramię. - Podwójne gejtawy!

Obcy pokład mieli w odległości strzału z pistoletu i wszystkie działa mierzyły ku niemu.

- „Euryalus”! - dobiegła go odpowiedź. - A wy co za jedni?

- „Surprise”! Stań w dryf albo was zatopię! - ryknął w odpowiedzi, lecz zapal bitewny zgąsł w nim w jednej chwili. - Bądźcie przeklęci, cholerna bando próżniaków - mruknął pod nosem. Zaświtała mu nadzieja, że wciąż może to być podstęp wojenny i w miarę jak okręty zbliżały się do siebie, pozostał na pokładzie dziobowym, sprawiając w ciemności wrażenie olbrzyma. Napotkany okręt w istocie był „Euryalusem”, a na pokładzie rufowym pojawił się w koszuli nocnej kapitan Miller. Wizytę rozpoczął od zwymyślenia oficera wachtowego i obserwatorów - nieźle by wyglądali, gdyby zaskoczył ich okręt francuski.

- Aubrey! - wrzasnął Miller. - Skąd, u diabła, wracasz!

- Z Indii Wschodnich!

- Czemu, u diabła, nie dałeś nocnych sygnałów, jak na chrześcijanina przystało, co? Jeśli to ma być jakiś cholerny dowcip, to zupełnie mnie nie rozbawił! Gdzie jest mój przeklęty płaszcz?

Moknę tu, do cholery! Panie Lemmon, panie Lemmon, później zamienię jeszcze z panem kilka słów na osobności! Aubrey, zamiast wydurniać się i wyskakiwać mi tu jak diabeł z pudełka, podpłyń lepiej do „Ethalion” i przekaz im, żeby może się pośpieszyli! Miłego dnia!

Naraz zniknął z dzikim warknięciem, a pod nogami Jacka, od strony furt prawej burty jakiś głos zawołał:

- „Euryalus“?!
- Czego? - ryknął w odpowiedzi jakiś głos z ostatniej furty na rufie.
- Pieprzcie się!

„Surprise” lekko ruszyła w kierunku „Ethaliona”, coraz lepiej widocznego w świetle nastającego dnia, pozostającego daleko, daleko za rufą „Euryalusa”. Jack nakazał wywiesić osobisty sygnał fregaty i przekazać rozkaz kapitana Millera.

„Ethalion” potwierdził odebranie rozkazu i już Jack układał kurs na Finisterre, kiedy pan Church, midszypmen sygnalista podczas tej wachty, choć niezbyt wprawny w tej materii, odezwał się:

- Znowu jakieś sygnały, sir!

Gapił się przez lunetę, walcząc ze stronicami podręcznika, by z pomocą reszty wachty powoli przeczytać:

- Kapitan na „Surprise”... Mam dwie paczki... Nie, nie paczki... panny dla was. Nowa chorągiewka. „Jedna młoda. Zapraszam na śniadanie”.

Jack samodzielnie porwał za koło sterowe.

- Więcej żagli! - ryknął. - Więcej żagli! Bystro, bystro! Do roboty, ludzie!

„Surprise” przemknęła przed dziobem „Ethaliona”, by zatrzymać się na zawietrznej spotkanej fregaty. Jack wyteżzał wzrok z ogromnym lękiem na twarzy, starając się zignorować płonącą nadzieję.

- Dzień dobry, Jack! - wrzasnął Heneage Dundas z własnego pokładu rufowego. - Mam tu pannę Williams! Wpadniesz?

Szalupa opadła z pluskiem, momentalnie wypełniając się do połowy wodą na wzburzonych falach, po czym ruszyła, pchana gwałtownymi pociągnięciami wiosł. Jack skoczył ku burcie „Ethaliona”, błyskawicznie wspiał po drabince trapowej, zasalutował pokładowi rufowemu i zmiądzzył Dundasa w uścisku. Chwilę później poprowadzono go ku kabinom, nie ogolonego, mokrego od bryzgów morskiej wody i promieniejącego radością.

Sophie dygnęła, Jack odpowiedział ukłonem, oboje zarumienieni aż po uszy. Dundas opuścił ich, mamrocząc coś o dopilnowaniu przygotowań śniadania.

Po jego wyjściu nareszcie padli sobie w objęcia i utonęli w fali pieszczot i pocałunków. Każde starało się wytłumaczyć coś drugiemu, oboje przerywali sobie nawzajem i zaczynali raz jeszcze. Sophie opowiedziała z przejęciem, jak to kochany kapitan Dundas zabrał ją na swój okręt, lecz musiał gonić statek korsarski hen po Bahamy! I o mały włos by go złapali, nawet już kilka razy wystrzelono!

- Teraz ci coś powiem, Sophie! - przerwał jej Jack. - Mam pastora na pokładzie! Przeklinałem go ile weszło kiej Jonasza, ale teraz cieszę się, że go mam! Da nam dziś rano ślub!

- Nie, ukochany! - zaprzeczyła Sophie. - Musimy się pobrać w domu, jak należy, za zgodą mamy. Tak, za zgodą mamy, czy ci się to podoba, czy nie! Teraz już nigdy nie odmówi, obiecuję ci to! Pobierzemy się w kościele Champflower, gdy tylko dotrzemy do domu, jeśli tak ci zależy! Bo jeśli nie, mój drogi, to chętnie poześluję z tobą dookoła świata, a potem jeszcze raz! Jak się miewa Stephen?

- Stephen? Na Boga, kochanie, co ze mnie za samolubny gbur! Stało się coś strasznego. Już myślał, że się pobiorą z Dianą, wiesz dobrze, jak bardzo mu na tym zależało. Oboje to rozumiemy. Diana była już w drodze do domu, lecz w Maderze opuściła statek Kompanii, którym podróżowała i umknęła z jakimś Amerykaninem. Mówią, że z bardzo bogatym Amerykaninem. W sumie to najlepsza rzecz, jaka mogła się Stephenowi przytrafić, ale oddałbym swą prawą dłoń, by tylko Diana wróciła i Stephen zrzucił z siebie to przygnębienie. Jego widok złamie ci serce, Sophie. Bądź dla niego dobra.

Jej oczy zaszklily się łzami, lecz nim zdołała odpowiedzieć, pojawiła się służąca, dygnęła przed Jackiem z surowym wyrazem twarzy i oznajmiła, że śniadanie jest gotowe. Nie była

zadowolona z zaistniałej sytuacji, a pełne dezaprobaty i przestachu spojrzenie stojącego za nią stewarda dowodziło, że z pobytu wśród żeglarzy również nie była zadowolona.

Śniadanie ubiegło wśród opowieści Dundasa o pościgu za korsarzem i nalegań o dokładną opowieść o starciu z Linois, siłą rzeczy więc posiłek przerodził się w długą dyskusję, w trakcie której naczynia powędrowały na bok, a kawałki grzanek zamieniły się w okręty wojenne. Jack przesuwał je po stole lewą ręką, pokazując pozycje okrętów w poszczególnych fazach bitwy, prawą dłonią ujmując pod stołem rękę Sophie, która była zasłuchana w jego opowieść, potakiwała z zapałem przy fragmentach o przewadze względem wiatru. Przeciągający się posiłek zakończył ponaglający huk dział rozdrażnionego kapitana Millera.

Wyszli na pokład. Kiedy szykowano ławeczkę bosmańską, o którą poprosił Jack, Stephen i Sophie machali do siebie z zapałem, śmiejąc się i wołając: „Jak się masz, Stephen!”, „Jak się masz, moja droga!”

- Heneage, jestem ci głęboko wdzięczny - powiedział Jack. - Bardzo, bardzo wdzięczny, mój przyjacielu. Teraz muszę tylko zawieźć Sophie i mój skarb do domu, a przyszłość jawi mi się niczym raj na ziemi.

Scanned & processed by JMT @ 2004

MAŻ I JEGO OREŻ

Charlton Heston

Największym problemem przy pisaniu o powieściach Patricka O'Briana jest to, iż są one nader absorbujące. Zagłębiasz się w ich treść w poszukiwaniu haczyków, na których możesz zawiesić swe komentarze, a tu naraz na nowo oczarowuje cię magia gawędy pisarza i porywa cię na dwadzieścia, trzydzieści stron. W ten oto sposób zamiast pisać o jego powieściach, czytasz je po raz wtóry, co niewątpliwie sprawia wiele uciechy, choć raczej nie jest najlepszą odpowiedzią na „deadline” wydawcy.

Patrick O'Brian jest jednym z najlepszych pisarzy angielskojęzycznych i choć w jego twórczości znajdują się biografie i dzieła naukowe, jego talent pisarski osiąga szczyt w cyklu powieści o dziejach kapitana Jacka Aubreya z Marynarki Królewskiej oraz jego przyjaciela i towarzysza podróży, doktora Stephena Maturina. Akcja cyklu osadzona jest podczas wojen morskich Anglii z Napoleonem we wczesnych latach dziewiętnastego wieku i zaiste, każda z jego części to perełka.

Nie sposób się od tych książek oderwać. Za każdym razem, kiedy ukazuje się nowy tom, koledzy z pracy, bliscy przyjaciele, a nawet rodzina osiągają stan rozdrażnienia, nie mogąc się doczekać własnej kolejki.

Od samego początku krytycy literaccy porównywali twórczość O'Briana z C.S. Foresterem, od dawna uważanym za niedoścignionego powieściopisarza marynistę, lecz porównanie wypada zdecydowanie na korzyść tego pierwszego. Kilka lat temu ugrzązłem w Norwegii na planie filmowym. Nie miałem przy sobie nic do czytania, a jedynymi książkami po angielsku, oferowanymi przez miejscową księgarnię, był cykl powieści Foreстера, który przeczytałem w całości w ciągu kilku tygodni. Muszę przyznać, że O'Brian jest najlepszym pisarzem „na wiele mil morskich wokoło”*, jakby to ujął Długi John Silver, jeden z najbardziej znanych morskich bohaterów.

* Patrz: Robert Louis Stevenson, *Wyspa skarbów*, przekład Józef Birkenmajer, Książka i Wiedza, Warszawa 1992, s. 156 (przyp. tłum.).

O'Brian prześcignął swego znakomitego poprzednika nie tylko ogólną wiedzą i barwnym przedstawieniem postaci, ich dialogów i realiów epoki, ale również komediowym poczuciem humoru, który w powieściach Foreстера nie istnieje.

„Oręż opiewam i męża” - pisze Wergiliusz w *Eneidzie*, wyznaczając wysoką poprzeczkę dla tych, którzy podjęliby się pisania o wojnie. Najlepsi z nich, od Homera, przez Szekspira, Stendhala, Tołstoja aż po Hemingwaya, opisywali wojnę z całym jej tragizmem i pełną wyrazistością, jednakże pisali tylko o bitwach lądowych. Melville i Conrad, choć najlepsi z pisarzy zafascynowanych morzem, również nigdy nie podjęli wyzwania Wergiliusza, a przyczyny takiego stanu rzeczy mogą być jedynie kwestią domysłów.

Być może powodem był znaczny udział czynnika losowego w dawnych starciach morskich. Ówczesne okręty wojenne były niczym więcej ponad pływającymi fortecami wyposażonymi w wojskiem. Prymitywizm rzemiosła morskiego w owych czasach sprawiał, że bitwy morskie często przeradzały się w serie chaotycznych starć, których wynik zależał bardziej od szczęścia, aniżeli talentu czy inicjatywy.

Być może ten właśnie fakt jest przyczyną, iż literatura dotycząca zmagania morskich w owym okresie jest bardzo uboga, a z pewnością żaden z istniejących zapisów nie zasługuje na wyróżnienie. Porażka Marka Antoniusza w bitwie pod Akcjum miała ogromny wpływ na bieg losów świata, lecz Plutarch zadowolili się skąpym jej opisem. Cervantes brał udział w bitwie pod Lepanto, starciu morskim o ogromnym znaczeniu, a nawet został w nim okaleczony (na szczęście stracił lewą rękę, a nie prawą), lecz nigdy nie napisał o niej ani słowa.

Pod koniec osiemnastego wieku w Anglii, jako jedynym z wielkich mocarstw, uświadomiono sobie potrzebę posiadania dobrych okrętów i wyszkolonych załóg. Jestem przekonany, iż w czasach, gdy Anglia broniła mór przed Francuzami, Patrick O'Brian był gdzieś tam. Jego opowieści, w których tchnął życie w Jacka Aubreya i uczynił go jednym z bohaterów owych zmagania, są bowiem przejmująco prawdziwe.

Czy to na lądzie, czy na morzu, czy walczący w bitwie, czy leżący w łozu, czy goszczący w angielskich dworach, czy w cuchnących francuskich więzieniach, Jack Aubrey żyje własnym życiem i doprawdy trudno nam podważyć jego istnienie. Jest on klasycznym przykładem kapitana okrętu wojennego we flocie Nelsona. Mając pod nogami deski pokładu fregaty (słupa bądź nawet przeciekającej szalupy rybackiej), Aubrey staje się przenikliwym, działającym instynktownie taktykiem, niezawodnym, współczującym towarzyszem i przywódcą na miarę Aleksandra Wielkiego (czy samego Nelsona, w końcu jego idola).

Na lądzie jednakże Aubrey, jeśli nie staje się rybą wyjętą z wody, to przynajmniej traci grunt pod nogami. Stojąc na pokładzie rufowym, rzadko kiedy podejmuje błędne decyzje, lecz z chwilą zejścia na ląd staje się wzruszająco, a czasem wręcz komicznie bezradny. Popęnia błędy, przed którymi dziecko by się ustrzegło - chyba że, jak on, spędziłoby swe życie na morzu.

O'Brian zaś, z drugiej strony, nie myli się nigdy - czy to na lądzie, czy na morzu. Niezwykłe jest jego wyczucie niuansów językowych w angielszczyźnie schyłku osiemnastego stulecia, którą przeplata odrobiną francuskiego, katalońskiego i łaciny. Długo czas zajmowałem się sortowaniem różnic w użyciu i wymowie języka angielskiego na przestrzeni wieków oraz jego regionalnymi i narodowymi odmianami i wiem, że O'Brian dopasowuje język do sytuacji z taką lekkością, jak gdyby sam cofał się w czasie do dziewiętnastego wieku, by robić notatki. W jego powieściach pojawia się salonowy angielski rodem z powieści Jane Austen, slang marynarzy z forkasztelu podczas przepustki na ląd i uroczyste przemowy lordów admiralicji podczas zebrań w Whitehall. O'Brian bezbłędnie odmalowuje różnice językowe. „Tak!” - myślisz, czytając dowcipne, starannie utkane wymiany zdań. „Tak właśnie było z pewnością!” Tego dokonać może tylko pisarz wybitny.

Co do bitew morskich, jakże istotnych w homerycznej sadze, którą snuje, dokonał doskonałego wyboru. Opisuje go we wstępie do pierwszej części cyklu *Dowódca* »Sophie«:

„Kiedy ktoś pisze o Marynarce Królewskiej na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, trudno mu uniknąć umniejszania faktów (...) Bardzo często bowiem nieprawdopodobna rzeczywistość przerasta fikcję. Nawet najbardziej wydajnemu fantascie trudno jest wyobrazić

sobie komandora Nelsona na pogruchotanym siedemdziesięcioczerodziałowcu »Captain«, wślizgującego się przez bulaj rufowy na pokład osiemdziesięciodziałowego »San Nicholas«, biorącego go abordażem i zdobywającego następnie potężnego »San Josefa«, uzbrojonego w sto dwadzieścia dział, gdzie, jak mówił sam Nelson, »otrzymałem szpady poddających się Hiszpanów, które wręczyłem jednemu z moich towarzyszy z barkasa, Williamowi Fearneyowi. Ten zaś bezceremonialnie wepchnął je sobie pod pachę«*.

* Chodzi tu o bitwę koło Przylądka St. Vincent 14 lutego 1797 (przyp. tłum.).

O'Brian wykorzystuje elementy tej niezwyklej opowieści, która przeszła do historii Brytyjskiej Marynarki Wojennej jako „mostek Nelsona” w swej pierwszej powieści o Jacku Aubreyu. Pisząc, bardzo sumiennie korzysta też z zapisów admiralicji. Opisując każdą z niezliczonych akcji w swych powieściach, O'Brian szczegółowo przedstawia warunki pogodowe, wady i zalety okrętów oraz zastosowaną taktykę. Nie ogranicza się w tym do opisów walk z francuskimi, hiszpańskimi czy amerykańskimi wrogami, z równą starannością snuje opowieści o bitwach z siłami natury - sztormami, górami lodowymi i brzegami nawietrznymi, a także napaściami piratów i podstępными zradami, które nękały Jacka Aubreya przez całe lata jego służby.

Oczywiście, jak dobrze wiedzą reżyserowie filmowi, nawet najżywsza, najlepiej oddana akcja filmu nie stanowi, a co dopiero mówić o powieści. Wszystko zależy od postaci w fabule i od tego, czy czytelnik zainteresuje się ich losami. Stronice powieści Patricka O'Briana są zaś wprost zatłoczone bohaterami, z których każdy to postać złożona i zapadająca na długo w pamięć. Czytelnik zaczyna w trakcie lektury przejmować się ich losami, czy są to aborygeni czy admirałowie, syjamscy sułtani, hiszpańscy sierżanci, holenderscy kupcy, bostońscy rewolucjoniści, czy wreszcie kunsztownie malowane postacie najrozmaitszych kobiet. Spośród nich wyróżniają się zwłaszcza dwie, jakże od siebie różne angielskie damy, których roli wyjawiać tu nie będę, oraz wzruszająca para osieroconych dziesięciolatek z Polinezji, które stają się towarzyszkami podróży lekarza okrętowego. Przysięgam, iż każda z owych postaci istniała naprawdę. Cóż, kilka z nich z całą pewnością.

Najciekawszymi bohaterami stworzonymi przez O'Briana są jednak przewijające się przez cały cykl postacie żeglarzy. Losy niektórych członków załogi Jacka Aubreya śledzisz od chwili, kiedy są młodziutkimi midszypmenami, aż do czasu ich awansów lub przydziałów na inne okręty. Z innymi żywasz się tak mocno, iż oplakujesz ich śmierć w boju czy katastrofie równie szczerze, jak byś to czynił w przypadku własnych przyjaciół.

Pojawia się między nimi Tom Pullings, którego poznajesz jako niezdarne, młodego midszypmena i obserwujesz jego niewzruszoną służbę, nieomal przerwana cięciem szabli przez szczękę, aż po stopień pełnego kapitana, który objął, wciąż będąc człowiekiem solidnym jak skała i tryskającym młodzieńczo, dobrym humorem.

Pojawia się Bonden, sternik łodzi Jacka i esencja brytyjskiego hultajstwa od Wojny Dwóch Róż aż po operację Pustynna Burza, oraz Davies Niezguła, niezwykle silny, aczkolwiek niezgrabny żeglarz, po kres życia oddany Jackowi, który uratował go przed utonięciem. Wraz z Bondenem, uzbrojony w rzeźnicki tasak, pieniający się z bitewnej ekstazy Davies osłania plecy Jacka w każdej akcji abordażowej. Pojawia się wreszcie Killick, osobisty steward Jacka, matkujący mu, dąsający się, wiecznie marudzący dla dobra swego kapitana:

„Płaszcz podarty w pięciu miejscach i przecięty na przedramieniu. Jakże ja mam to teraz zacerować? O, dziury po kulach, wszystkie osmalone, przecież ja nigdy nie doczyszczę śladów po prochu! Bryczesy w strzępach, wszędzie ta przekłeta krew, tarzał się pan w tym, sir? Co by na to panienska powiedziała, słów mi brak... A epolet całkiem podarty, podarty na kawałki! Bodajbym oślepl...”

I w końcu serce powieści, wątek unoszący ją do miana literatury wybornej - niezwykła przyjaźń, łącząca Jacka Aubreya i Stephena Maturina. Ich spotkanie ma miejsce już w pierwszym wątku pierwszej części cyklu i wiedzie ich nieomal do pojedynku. Miast tego jednak stają się towarzyszami rejsu i, jak to określa sam Jack, wyjątkowymi przyjaciółmi. Obaj bohaterowie są tak od siebie różni, iż od razu można domyślić się, dlaczego zostali przyjaciółmi - oni po prostu doskonale się uzupełniają. Jack to człowiek otwarty, ufny i pełen energii, typowy przykład człowieka czynu, Stephen zaś jest intelektualistą oraz osobą skrytą i zdystansowaną. Pracuje jako szpieg dla wywiadu brytyjskiego, osiągając doskonałe rezultaty, natomiast na większości okrętów Jacka spełnia funkcję lekarza okrętowego. Poznajemy go również jako niereformowalnego szczura lądowego, biologa, anatoma, kryptografa oraz człowieka śmiertelnie groźnego w pojedynku, zarówno na broń palną, jak i białą.

Tworząc Jacka Aubreya, O'Brian przedstawił czytelnikowi wiarygodny i szczegółowy wizerunek dowódcy fregaty za czasów Nelsona. W przypadku Stephena Maturina postarał się w równym stopniu, pogłębiając jego postać za pomocą wiedzy ogólnej i wyczerpujących badań naukowych, w efekcie czego powstaje nie tylko fascynujący, zagadkowy bohater, lecz również wzór lekarza i naukowca początku dziewiętnastego wieku, co na pewno nie jest łatwym zadaniem. Maturin jest zdecydowanie najpełniejszym obrazem doktora w literaturze. Doktor Watson u Conan Doyle'a, doktorzy z twórczości Shawa i Czechowa to ciekawe postacie z walizczkami lekarskimi, jednakże nieczęsto zajmują się oni swoją profesją. Doktor Żiwago to doskonale nakreślona postać protagonisty, lecz i on nieczęsto wypełnia swe powołanie jako lekarz. Talent lekarski Maturina jest natomiast przywoływany bez przerwy w najróżniejszych sytuacjach, a jego zdolności, nigdy nie wybiegające poza poziom wiedzy dostępnej w owych czasach, zazwyczaj odgrywają decydującą rolę w fabule.

Choć zupełnie inni, Aubrey i Maturin mają również i wspólne cechy. Obaj są odważni do granic, łączy ich umiłowanie dla kobiet i miłość do muzyki - obaj są w końcu muzykami-amatorami. A to nie wszystko. Wystarczy rzec, iż obaj, jako przyjaciele i towarzysze podróży, działają znacznie sprawniej, aniżeli wynikałoby to z połączenia ich uzupełniających się osobowości.

Łączącą ich przyjaźń jest najciekawszym i najbardziej przemawiającym przykładem przyjaźni, jaki znam w literaturze. Większość literackich przyjaźni jest wymysłem autora. Damon i Pytiasz, Atos i D'Artagnan, Huck Finn i Murzyn Jim to pary wspaniałych bohaterów, lecz przyjaźnie między nimi nie zostały wystarczająco pogłębione. Nawet najśłynniejsza para przyjaciół, Sherlock Holmes i doktor Watson, w postaci których wcieliłem się jako aktor, poza wspólnym rozwiązywaniem nakreślonych przez Conan Doyle'a zagadek nie czynią wiele więcej jako przyjaciele. Czytelnik, który zagłębi się w przygody Aubreya i Maturina, pozna natomiast łączącą ich przyjaźń i będzie się nią cieszył na równi z nimi samymi.

Dziwi mnie to, iż upłynęło tyle czasu, nim naprawdę odkryto talent O'Briana. Ku mojemu zadowoleniu myślę, iż właśnie się to dzieje. Patrick O'Brian nie jest bowiem po prostu znanym pisarzem. To wielki, wielki mistrz.

Esej pochodzi z opracowania „Patrick O'Brian. Critical Appreciations and a Bibliography”, pod redakcją A.E. Cunnighama, i został umieszczony w tym tomie za zgodą British Library.